

MROCZNA STRONA *BELLE ÉPOQUE*

KATARZYNA KWIATKOWSKA

ZGUBNA
TRUCIZNA

JK



znak



KATARZYNA
KWIATKOWSKA

ZGUBNA
TRUCIZNA

WYDAWNICTWO ZNAK

Oto masz złoto, tę truciznę zgubną
Dla duszy ludzkiej, która więcej zabójstw
Na tym obmierzłym świecie dokonywa
Niż owe marne preparata, których
Pod karą śmierci sprzedać ci nie wolno.

William Shakespeare, *Romeo i Julia*,
akt V, scena 1, przeł. Józef Paszkowski

ROZDZIAŁ 1

Wchodząc do hotelu Concordia w Poznaniu, rozbawiony Jan Morawski wyobrażał sobie, jakim zaskoczeniem będzie dla Oskara Krause jego przybycie. Kilkoma ruchami strzepnął z siebie śnieg i podszedł do lady. Siedział za nią drobny recepcjonista o spiczastych uszkach.

– Chciałbym zobaczyć się z panem Oskarem Krause – zaczął Jan.

– Mam zapewne przyjemność z panem Janem Morawskim?

– Tak, ale... – Przybysz zmarszczył czoło.

– Pan Krause uprzedzał, że pan przyjedzie po dziewiątej. Otóż to, po dziewiątej rano. Zgadza się, wszystko się zgadza. – Dłońmi w rękawiczkach bez palców recepcjonista przesuwiał po kartach otwartej książki. – Pan Krause ma pokój sto sześć, to w bocznym skrzydle. Zimno tam okropnie, ale pan Krause uparł się, że zamieszka na odludziu. Co zrobić? Klient nasz pan. Ale mam nadzieję, że nie zamierza pan też wynająć tam pokoju? Nikogo w tej części nie lokujemy, bo w marcu zaczynamy przebudowę. Ale gdyby pan nalegał, to klient nasz pan. – Odchrząknął i gadał dalej ze sprawnością pozytywki. – Pokój sto sześć. Zechce pan udać się tym korytarzem do końca, wejść na pierwsze piętro i skręcić w lewo. Numer jest na drzwiach. Posłałbym z panem boya, ale gdzieś się zawieruszył, huncwot jeden. Sto sześć, pamięta pan? Sto sześć. Pierwsze piętro. Trafi pan bez kłopotu, bo tam jest tylko jedno piętro i jeden korytarz. I jeden pokój sto sześć.

Trochę oszołomiony tym słowotokiem Morawski potrząsnął głową. Zauważył, że śnieg z jego okrycia spada na leżące na blacie gazety. Odszedł na bok, odstawił na podłogę neseser, zdjął płaszcz i mocno go otrzepał. W tym czasie do hotelu wszedł drobny posłaniec, ciasno opatulony grubą kurtką. Głowę miał owiniętą czarnym szalem i tak jak Jan zasypany był wielkimi płatkami śniegu. Na ladzie postawił drewnianą skrzyneczkę z czarnym napisem: „Handel Cygar, Cygaret, Tytuniów

i Tabaki S. Żychlińskiego”.

– Mam paczkę dla pana Oskara Krause – dobiegł spod szala cienki głos.

Janowi zrobiło się żal dzieciaka. Musiał biegać po mieście podczas takiej śnieżycy, a sądząc po wzroście i głosie, miał nie więcej niż dwanaście lat.

Recepcjonista wyłonił się zza kontuaru i Morawski z zaskoczenia cicho zagwizdał. Myślał, że spiczastouchy siedzi, a on stał! Nawet posłaniec był od niego wyższy.

– Cygara i cygara – skrzypiał krasnoludek, przybliżając twarz do pudełka. – Wczoraj cygara, dzisiaj znowu. Tutaj są pewnie tańsze niż tam u nich. – Uniósł skrzyneczkę i lekko nią potrząsnął. – Sam chyba będę musiał zanieść tę paczkę, bo nasz pikolak gdzieś przepadł. Albo przysnął. – Wrócił za ladę. – Zaraz ci podpiszę pokwitowanie, ale najpierw mi pomóż i zdejmij z półki ten dzwonek. Ten gałgan go tak wysoko położył, żebym nie mógł na niego dzwonić. Łobuz wie, że nie mogę tam sięgnąć.

Chłopak wspiął się na palce i zdjął z półki wskazany przedmiot. Morawski przewiesił sobie płaszcz przez ramię i chciał zaproponować, że zanieś skrzynkę, ale recepcjonista z niebywałą energią potrząsnął dzwonkiem i hol wypełnił się tak piekielnym brzękiem, że Jan złapał swój neseser i pobiegł do pokoju Oskara.

Przybył tu z konkretnym zamiarem: chciał wyprowadzić Krausego z równowagi, tak by spanikowany Niemiec opuścił hotel i udał się tam, dokąd popchnie go nieczyste sumienie, a w drodze do tego miejsca miał go śledzić kamerdyner Morawskiego Mateusz, przyczajony w pobliżu hotelu. Plan ten wprawdzie powstał, gdy Jan był pewien, że Oskar nie spodziewa się zobaczyć go w Poznaniu, ale choć okoliczności nieco się zmieniły, cel pozostał: wykurzyć liska, by wskazał drogę do swej nory.

Jan wszedł na pierwsze piętro i otworzył ciężkie metalowe drzwi. Owionęło go lodowate powietrze. Ruszył mrocznym, ogołoconym ze sprzętów korytarzem, starając się nie hałasować na pozbawionej dywanu posadzce. Stał pod drzwiami pokoju 106 i położył dłoń na klamce. Minimalnie ją nacisnął. Ustąpiła bezgłośnie, więc nacisnął silniej i uchylił drzwi. Zobaczył Oskara siedzącego przy biurku

oświetlonym niewielką lampką. W lewej ręce trzymał książkę, w prawej ołówek. Na blacie spoczywała mała kartka, a on uderzał w nią ołówkiem. Okulary miał jak zawsze na czubku nosa i coś mrucał. Jan zapukał w drzwi i jednocześnie je otworzył. Na twarzy Oskara ukazał się wyraz paniki, ale szybko zniknął. Krause zręcznym ruchem wsunął karteczkę w książkę, odłożył tom na biurko i poderwał się.

– Ależ to pan Jan! Witam!

– Pukałem – sumitował się Morawski – ale nikt nie odpowiadał.

– Nic nie słyszałem. Ale to nie szkodzi. Nie mam przed panem tajemnic, przyjacielu! – zapewnił, patrząc ponad okularami.

Był pięćdziesięcioletkiem średniego wzrostu i tuszy, uderzająco czystym i starannym w ubiorze, a skazą na tym obrazie schludności były jego przetłuszczone włosy w kolorze stali.

Jan wszedł i wieszając płaszcz na haczyku na drzwiach, obserwował, jak dłonie Oskara, całe pokryte brązowymi plamkami, zamykają jakieś teczki na biurku, przesuwają książkę, wyrównują stos wizytówek, chowają ołówki do etui. Morawski zbliżył się do biurka i bez zainteresowania przeczytał tytuł książki: *Die Geheimschriften und die Dechiffrierkunst*¹.

– Recepcjonista wspomniał, że czeka pan na mnie – ciągnął, podchodząc do okna. Wyjrzał na podwórze: po prawej stronie na parterze zobaczył oświetlone tylne okno recepcji. – Trochę mnie to zdziwiło, bo decyzja o tej podróży zapadła nagle.

– Jestem detektywem, wprawdzie bankowym, ale jednak detektywem. Moją sprawą jest wiedzieć.

Jan uśmiechnął się krzywo i udał, że nie dostrzega, jak Krause wsuwa w książkę wąski pasek depeszy.

– Ja też jestem detektywem – odparł Morawski – ale pański wyjazd do Poznania, tuż po tak efektownym rozwiązaniu wielkiej zagadki, jednak mnie zaskoczył. Widzieliśmy się kilka godzin wcześniej i nic mi pan o tym planie nie wspominał. – Przyglądał się Niemcowi ze zmarszczonym czołem, a w jego ciemnych oczach widniał łagodny wyrzut.

Oskar zagryzł wargę. Wskazał gościowi fotel, a gdy ten usiadł, sam opadł na

krzesło. Na kominku płonął ogień, w pokoju było ciepło i niezbyt widno. Jan poczuł wielką ochotę na kawę.

– A więc dobrze – westchnął Krause. – Jestem już zmęczony ukrywaniem tego przed panem, bo przyzwyczałem się, że współpracujemy i nic przed sobą nie taimy. – Odchrząknął i po chwili kontynuował. – Obaj rozumiemy, że odkrycie warsztatu fałszerza w Monachium i odzyskanie papieru to tylko wierzchołek góry lodowej. Nadal nie wiemy, kim jest Mistrz. A ja mam wszelkie powody, by podejrzewać, że szukamy nie jednej osoby, ale grupy.

– To oczywiste, biorąc pod uwagę doskonałą organizację całego przedsięwzięcia – zauważył Jan. – A rysunek przedstawiający cztery młotki sugeruje cztery osoby. To dobra liczba. Dyskutowaliśmy już o tym. Po co więc teraz ta tajemnicza wyprawa?

– Problem w tym, przyjacielu, że za tymi fałszerstwami stoją najprawdopodobniej pana rodacy.

– Słucham? – Morawski gwałtownie się wyprostował.

– Nie chciałem pana niepotrzebnie niepokoić, ale musiałem poinformować o tych podejrzeniach moich szefów. Już po odkryciu w Monachium pojawiły się nowe dowody i zdecydowałem się przyjechać tu osobiście. Wczoraj wieczorem spotkałem się na neutralnym gruncie z jednym z tych fałszerzy... to znaczy z jednym z podejrzanych.

Jan siedział bez ruchu. Dłonie opierał na kolanach i nie spuszczał wzroku z mówiącego.

– Zbladł pan, przyjacielu. – Oskar ze zmartwioną miną pokiwał głową. – Nie dziwię się pana reakcji. Jeśli te podejrzenia się potwierdzą, sytuacja Polaków w Cesarstwie jeszcze się pogorszy. Rząd nie omieszką wykorzystać tej afery przeciwko całemu narodowi. – Wpatrywał się w Jana z troską. – Należę panu odrobinę koniaku. To złagodzi szok i pokrzepi pana po podróży. Straszny śnieg.

Krzętał się, ustawiał kieliszki, szukał butelki, a jednocześnie paplał o śniegu, karnawale: „Wszak to dzisiaj tłusty czwartek!” i „polskie pączki są najlepsze na świecie”. A Jan próbował ocenić znaczenie tego, co usłyszał.

Wobec powtarzających się przypadków fałszowania not Banku Rzeszy rząd niemiecki postanowił wprowadzić nowe, udoskonalone banknoty. Wymiana miała w pierwszym rzędzie objąć stumarkówki, tak zwane niebieskie setki – *Blaue Hunderter* – niezwykle rozpowszechnione i najczęściej fałszowane. Dwudziestek nie podrabiano, bo proceder taki był nieopłacalny, zaś noty tysiącmarkowe pojawiały się rzadziej, tylko podczas przeprowadzania poważnych transakcji. Na konsultacje zaproszono ekspertów ze Stanów Zjednoczonych – światowego centrum fałszerstwa i walki z nim – którzy wyśmiali emitowane w Niemczech banknoty i uznali je za pozbawione zabezpieczeń. Niemcy schowali urażoną dumę do kieszeni i dla dobra sprawy postanowili zatrudnić specjalistów zza Atlantyku. Przez kilka miesięcy międzynarodowa grupa pracowała nad nową, niepodrabialną setką, godną państwa pretendującego do miana mocarstwa XX wieku. Efekt tej tytanicznej pracy miał zostać wprowadzony na rynek w dniu pierwszym marca 1901.

Termin ten stanął pod znakiem zapytania, gdy na początku lutego pewien drobny fałszerz, przypadkowo zatrzymany w związku z inną sprawą, zaśmiał się śledczym w twarz i zasugerował, żeby dali mu spokój, a „zaczęli zbierać siły na prawdziwy przekręt, bo Mistrz, ten, który wyciął ów świetny numer z rosyjskimi banknotami, szykuje coś wielkiego”. Nic więcej nie chciał zeznać, dopiero skuszony obietnicą zwolnienia z aresztu dodał, że słyszał o zniknięciu z rządowego magazynu papieru przygotowanego specjalnie z myślą o nowych setkach.

Ten papier – o wyjątkowym składzie i z zatopionymi w nim czerwonymi i niebieskimi jedwabnymi nitkami – stanowił jedno z podstawowych zabezpieczeń nowych banknotów. Wytwarzano go tylko w papierni rządowej i podlegał ścisłemu zarachowaniu. Gdyby faktycznie doszło do jego kradzieży, trzeba by gotową partię zniszczyć i rozpocząć prace nad nowym papierem. Oznaczałoby to ogromne koszty, a nade wszystko – kompromitację rządu. Jak to: podrobiono niepodrabialny banknot? To tak, jakby zatopić niezatopialny statek.

W wyniku przeprowadzonej w papierni kontroli okazało się, że pewna ilość cennego papieru rzeczywiście zniknęła. Natychmiast wszczęto śledztwo i powierzono je najbardziej doświadczonemu detektywowi Banku Rzeszy Oskarowi Krause, ale następnego dnia, ósmego lutego, wezwano także Jana, gdyż dotychczas

tylko jemu udało się storpedować plany Mistrza i uniemożliwić oszustwo. Morawski nie zdołał się jednak wykazać, bo już jedenastego lutego policja odzyskała cały skradziony papier, a kolejnego dnia Oskar zorganizował nalot na warsztat w Monachium, w którym oprócz narzędzi znaleziono płyty obu stron nowego banknotu. Spoczywały w skrytce pod podłogą, zawinięte w papier, na którym narysowano cztery młotki.

„Jeśli Oskar powiedział mi prawdę – dumiał Jan – Polacy zamierzali podłożyć sobie prawdziwą bombę, a Prusacy nie omieszkaliby tego w pełni wykorzystać, uznając fałszerstwo za przestępstwo polityczne, mające na celu destabilizację niemieckiej gospodarki i osłabienie prestiżu Cesarstwa. Szykany i ucisk, już teraz trudne do zniesienia, bez wątplenia uległyby zaostrzeniu. Na szczęście i papier, i płyty w porę odzyskano”.

Krause przestał wreszcie chodzić, paplać i grzebać w walizkach. Na stoliku postawił dwa metalowe kieliszki oraz czarną butelkę z kremową etykietą i złotym wizerunkiem centaury czy – jak wolą niektórzy – Strzelca.

– Kim są ci ludzie? – spytał Jan takim tonem, jakby pytał o nazwiska przechodniów.

Oskar zacmokał i do obu kieliszków nalał szczodłą porcję koniaku Rémy Martin.

– *Nomina sunt odiosa*². Powiem panu tylko, że oskarżenie ich o ten spisek i skazanie byłoby ciosem dla tutejszego społeczeństwa.

– A jaki był cel tego wczorajszego spotkania?

– Myślę, że mogę panu coś wyjawić, ale proszę zachować to dla siebie: zostałem upoważniony przez rząd do negocjacji.

– Do negocjacji? – Morawski łyknął koniaku i na chwilę przymknął oczy, gdy palący płyn spływał mu w dół przełyku.

– Tak. Fałszerz ma zaprzestać działalności i oddać wszystkie urządzenia, płyty, materiały. Jeśli nie, Polacy poniosą poważne konsekwencje.

– Czyli dalsze dokręcanie śruby germanizacyjnej? – doprecyzował Jan. Wydął usta i zapatrzył się na swego rozmówcę.

– Zgadza się. Jak pan wie, jestem przeciwnikiem brutalnego nacisku. Dlatego

blagałem ich, by się wycofali, póki jeszcze mogą. – Krause splótł dłonie i na znak szczerości przycisnął je do serca. – Tłumaczyłem fałszerzowi, że odkryto warsztat, przejęto płytę. Jeśli odda banknoty...

– Ale przecież papier odzyskano?

Niemiec odchrząknął.

– Mamy powody, by przypuszczać – odparł po chwili – że zdołał wyprodukować swój papier. Kopię rządowego, ze wszystkimi zabezpieczeniami.

Oskar dolał jeszcze trochę koniaku do obu kieliszków. Widok butelki kosztownego trunku i mętne wywody Krausego, który nie potrafił się zdecydować, czy mówi o fałszerzu, czy fałszerzach, przypomniały Janowi wszystkie podejrzenia, jakie żywił wobec swego „współpracownika”. To one go tu przywiodły. Oskar miał ostatnio za dużo pieniędzy jak na detektywa bankowego, pojawiał się w dziwnych miejscach i wyciągał fałszerzy jak króliki z kapelusza. Ponadto jego błyskawiczny sukces w ostatniej akcji był co najmniej zaskakujący. W dniu odzyskania papieru przez policję przebywał we Wrocławiu, a następnego ranka wrócił do Monachium i prosto z dworca pojechał w miejsce, gdzie – chyba za pomocą różdżki – odkrył warsztat fałszerzy. Wszystko to brzydko pachniało, toteż Morawski, gdy poprzedniego wieczoru dowiedział się o nagłym wyjeździe Oskara do Poznania, natychmiast ruszył jego tropem przez Wrocław do Wielkopolski.

Jan zabębnił palcami w blat stolika, popatrzył na swego uśmiechniętego towarzysza i stwierdził, że cała ta rozmowa jest raczej niewiele warta. Nadszedł czas na realizację planu, z którym przybył. Spojrzał na zegarek.

– Jak późno! – Wstał i sięgnął po płaszcz.

– Chyba pan nie idzie?

– Muszę, niestety. Jestem umówiony. Czy zechciałby pan pożyczyć mi mikroskop kieszonkowy? – wymyślił na poczekaniu. – Gdzieś swój zgubiłem, a pan zawsze ma dwa.

– Oczywiście, oczywiście.

Oskar podszedł do walizki i pochylił się nad nią. Korzystając z tego, Morawski sięgnął po karteczkę wsuniętą w książkę. Zobaczył niezrozumiały ciąg liter. Zabrał

jeszcze kilka kart wizytowych Krausego i wszystko schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Gdzieś tu go miałem – mruzczał Oskar. Rozległ się łoskot kluczy. – Lupa jest... Mikroskop też musi być...

Teraz Jan otworzył jedną z teczek. Wyciągnął urzędowy papier i przebiegł po nim wzrokiem, wyławiając pojedyncze frazy: „zaangażowanie duchowieństwa... sporządzono poufne spisy polskich księży... ich stosunku do państwa pruskiego i procesu germanizacji... niebezpieczny polski agitator, gorliwy Polak, wróg niemieckości, fanatyczny Polak, ostrożny polonizator...”. Poniżej widniało kilka pieczęci i ręczny dopisek: „Coś trzeba z tym zrobić!”.

Morawski poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Więc Oskar, tak nienawidzący brutalnego nacisku, mieszał się do polityki!

– Mam! – ucieszył się Krause.

Jan przełożył raport do lewej dłoni, ukrytej pod przewieszonym płaszczem. Wziął od Krausego podłużne etui, lecz nie zdołał zmusić się do uśmiechu.

– Może zjemy razem obiad? – zaproponował Niemiec.

– Wolałbym się nie umawiać. Muszę się z kimś spotkać i nie wiem, ile zajmie mi to czasu. Właściwie przyjechałem tu w innej sprawie. Do pańskich przełożonych zgłosił się ktoś, kto ma informacje o jednym z detektywów banku. Podobno ten detektyw oferował mu współpracę przy czymś nielegalnym.

Teraz dla odmiany twarz Oskara pokryła się trupią bladością.

– Ależ... ależ...

– Przysłano mnie, żebym to zbadał, bo nie jestem stałym pracownikiem i nie będę próbował nikogo kryć.

– To straszne, co pan mówi. W banku? W naszym Reichsbanku ktoś nieuczciwy? Niemożliwe! O kogo chodzi?

– Niestety, nie wolno mi nic wyjawić.

– Drogi panie Janie...

– *Nomina sunt odiosa*. – Morawski uśmiechnął się przeprasząco. – No, chyba że wyjaśni mi pan, co to robi u pana, rzekomo niezależnego eksperta. – Pomachał

mu raportem przed nosem.

– Proszę mi to oddać – wysyczał Krause. – Żądam, by pan mi to oddał. Widział pan, kto to podpisał?

– Naczelnny prezes prowincji Rudolf von Bitter³. – Jan uniósł wysoko rękę z kartką. – Pański prawdziwy szef ?

Oskar kilkakrotnie podskoczył, ale w tym pojedynku nie miał szans. Jan mierzył dwadzieścia centymetrów więcej i liczył dwadzieścia lat mniej.

– Zgłoszę to władzom! – wrzeszczał Niemiec. – Dopilnuję, by bank nigdy już pana nie zatrudnił.

– Powodzenia.

Jan podniósł swój neseser i otworzył drzwi.

– To niedopuszczalne! To przestępstwo! Pożałujesz! Powiadomię mojego szefa!

Morawski przekroczył próg i na korytarzu, pod przeciwną ścianą, zobaczył skulonego elfa z recepcji, który w ramionach trzymał skrzyneczkę z cygarami i chyba zamierzał się nią bronić.

– Boy nie wrócił – wyznał szeptem, patrząc na Jana z przestachem. – Wyszedł i przepadł. Ani widu, ani słychu. Pewnikiem zatrzymała go ta straszna śnieżycą. Więc przyniosłem tę paczkę.

Jan wskazał mu pokój, skinął głową i odszedł.

W holu na dole włożył płaszcz, sprawdził, czy karteczka i wizytówki są dobrze ukryte, do neseseru schował urzędowy raport. Pół minuty po nim zjawił się drżący krasnoludek i czmychnął za blat. Jan próbował obliczyć, po jakim czasie Oskar wystrzeli z hotelu niczym z procy.

W chwili gdy zapinał ostatni guzik, nastąpił wybuch.

¹ *Die Geheimschriften und die Dechiffrierkunst* (niem.) – *Szyfrogramy i sztuka deszyfracji*, książka Friedricha Wilhelma Kasiskiego.

² *Nomina sunt odiosa* (łac.) – Nie należy wymawiać nazwisk (dosł. nazwiska są nienawistne).

³ Rudolf von Bitter (1846–1914) – naczelnny prezes prowincji poznańskiej w latach 1899–1903.

ROZDZIAŁ 2

Rozległ się huk, brzęk szkła, łomot spadających cegieł. Jan znieruchomiał w oczekiwaniu na dalsze eksplozje, na zawalenie się sufitu czy choćby wypadnięcie szyb. Nic takiego nie nastąpiło. Podbiegł do okna wychodzącego na podwórze i zobaczył kłęby ciemnego dymu. Spojrzał w lewo. Z czarnej czeluści, gdzie jeszcze pięć minut wcześniej był pokój Krausego, strzelały języki ognia.

– Dobry Boże, co się stało? – zajęczał krasnoludek. – Co się stało?

– Proszę zadzwonić po straż pożarną!

– Uciekajmy! – Recepcjonista złapał kasetkę z pieniędzmi i rejestr gości.

– Nikogo poza Krausem tam nie było?

– Nikogo, nikogo. Przecież mówiłem. Przebudowa. Zaczynamy przebudowę. –

Rzucił rejestr i wydobyl z szafki aparat fotograficzny. – Uciekajmy!

Przez przeszklone drzwi od strony ulicy wbiegł zaśnięzony Mateusz.

– Wybuch w bocznym budynku – poinformował go Jan. – Wezwij straż pożarną. I policję.

Mateusz zdecydowanym gestem odsunął na bok roztrzęsionego krasnoludka, podszedł do lady, na której stał telefon, zdjął słuchawkę z widełek i poprosił o połączenie ze strażą pożarną.

Jan pobiegł w stronę bocznego skrzydła. Na klatce schodowej nie było dymu, wszedł więc na piętro. Metalowe drzwi prowadzące do korytarza, gdzie nastąpił wybuch, zastał zamknięte, więc wrócił do recepcji.

– Zgłaszam pożar – rozległ się oficjalny, spokojny głos Mateusza. – Hotel Concordia, ulica Głogowska, naprzeciwko dworca kolei żelaznej.

Kamerdyner wysłuchał odpowiedzi i odwiesił słuchawkę.

– Ktoś tuż przede mną już to zgłosił – oznajmił. – Przyjadą sikawki z remizy na ulicy Karola⁴. To kilkaset metrów stąd.

Tymczasem recepcjonista, ofuknięty przez Mateusza, przestał się pakować i umilkł, a nawet zdołał wskazać wyjście na podwórze. Jan z kamerdynerem dołączyli do kilkunastu zgromadzonych na zewnątrz osób i obserwowali szalejący żywioł. Wszędzie kłębił się ciemny dym zmieszany z parą pochodzącą z topniejącego gwałtownie śniegu. Środkowa część bocznego skrzydła płonęła, aczkolwiek niezbyt intensywnie, i wkrótce grupka chłopców zaczęła się bawić rzucaniem śnieżek w płomienie. Szczęśliwie znajdowali się na terenie podmiejskim i pożar, który w centrum oznaczałby tragedię, tu, w luźnej zabudowie, wydawał się możliwy do opanowania. Swoją rolę odegrały też ogołocenie wewnątrz z łatwopalnych tkanin oraz śnieg, który wprawdzie przestał już sypać, ale jego warstwa spowalniała rozprzestrzenianie się ognia.

Po kilku minutach przez bramę wjechały na podwórze trzy sikawki, z których wysiedli strażacy w eleganckich mundurach. Rozwinęli węże i zaczęli pompować wodę. Gapiom nakazano opuszczenie terenu akcji i Jan z Mateuszem skierowali się do recepcji hotelu. Przy tylnym wejściu spotkali niemłodego mężczyznę w okrągłych okularach, z gęstą czarną brodą przetykaną niczym marmur białymi żyłkami. Morawski się rozpromienił.

– Dzień dobry, panie doktorze.

– Dzień dobry, witam panów. – Przybysz uścisnął dłoń Janowi i zaskoczonymu tym honorem Mateuszowi. – Miło mi pana spotkać, panie...

– Jan Morawski.

– Doprawdy? Co za zbieg okoliczności. Ja znam wielu Morawskich. Jestem z nimi skoligacony.

– Ja też jestem z panem skoligacony.

– Och – stropił się medyk i przytknął dłoń do piersi. – Pan jest zapewne synem Józefa. Z Oporowa.

– Nie, Stanisława. Z Chobiecka.

– Oczywiście, oczywiście. Witam cię, mój drogi.

Jan z trudem powstrzymał śmiech. Roztargnienie doktora Franciszka Chłapowskiego⁵ było równie znane jak jego wiedza lekarska i poświęcenie dla

pacjentów, zwłaszcza tych ubogich.

Razem weszli do recepcji i zobaczyli umundurowanego policjanta przesłuchującego recepcjonistę i jakiegoś człowieka w garniturze. Mówił akurat krasnoludek, podskakując i dłońmi kreśląc w powietrzu kształt skrzynki i ogrom eksplozji, gdy nagle jego wzrok spoczął na Janie.

– To on! – rozdarł się. – To on. On krzyczał na niego. I tamten też krzyczał na niego. To on! Łapać go!

Cała trójka pospiesznie podeszła, a krasnoludek schował się za człowiekiem w garniturze i histerycznie wskazywał Jana: „To on! To on!”.

– Czy ktoś jest ranny? – spytał doktor Chłapowski.

Niemiec oderwał spojrzenie od oskarżonego i na widok lekarza natychmiast zdjął pikielhaubę, po czym się uklonił.

– W tej części mieszkał tylko jeden gość – wyjaśnił. – A on najprawdopodobniej zginął, bo wybuch nastąpił w jego pokoju.

Pan Chłapowski dokonał prezentacji i Morawski dowiedział się, że ma do czynienia z komisarzem Beckiem i panem Sołeckim, właścicielem hotelu. Po tym światowym przerywniku policjant zwrócił się do Jana:

– Recepcjonista poinformował, że tuż przed wybuchem był pan w tamtej części. Podobno kłócił się pan z Oskarem Krause, tym właśnie, który tam mieszkał i który przypuszczalnie poniósł śmierć.

– Byłem tam rzeczywiście, ale o kłótni nie może być mowy. – Jan starał się wyglądać jak wcielenie niewinności. – Wystąpiła drobna różnica zdań, jak to bywa między współpracownikami. Nic więcej.

Komisarz Beck wpatrywał się surowo w Morawskiego.

– Nie mogę w tej chwili pana przesłuchać, przynajmniej dopóki nie otrzymam wsparcia z komendy. Muszę obejrzeć to miejsce, porozmawiać z recepcjonistą, z panem Sołeckim, wyjaśnić tę zagadkową dostawę cygar. – Z każdym słowem coraz bardziej marszczył czoło. – Ale pański udział w tej sprawie jest wysoce podejrzany i zamierzam zatrzymać pana do czasu złożenia wyjaśnień. Jeden z moich podwładnych odwiezie pana na komisariat. Tam pan poczeka na mój powrót.

Podszedł do okna, zastukał w szybę i gestem przywołał posterunkowego. Jan poczuł, że robi mu się ciepło. Zatrzymanie oznaczałoby stratę co najmniej pół dnia. Miał też przy sobie ukradzione wizytówki i tajny raport naczelnego prezesa prowincji. A w walizce na dworcu... Nawet nie chciał o tym myśleć. Nie, zdecydowanie nie powinien jechać na komisariat. Już otwierał usta, by zaprotestować i powołać się na słynną praworządność pruskiej policji, gdy włączył się doktor Franio ze swą niezawodną metodą rozbijania przeciwnika.

– Ale czy to ma sens? – Jedną ręką ujął policjanta za ramię, drugą złapał Jana i odciągnął ich na bok. – Przecież pan, mój drogi komisarzu, zostanie tu zapewne kilka godzin. Jest teraz wpół do jedenastej. Może lepiej umówić się od razu na jutro rano?

– Muszę mieć pewność, że pan Morawski nagle nie wyjedzie.

– Ależ to mój kuzyn i ja za niego ręczę. To krewny po kądzieli, bo matka moja była z Morawskich. Jan to syn jej ulubionego kuzyna Kajetana. Jest to też zarazem kuzyn mojego najbliższego przyjaciela Kazia Morawskiego. Zapewne słyszał pan o nim?

– Tak – przytaknął skołowany policjant. – To znaczy nie. Ale wierzę panu, doktorze.

– Więc puść mi kuzyna, komisarzu, bo żona czeka nas z obiadem.

Biedny policjant poruszył kilkakrotnie głową, wsuwając palce za przyciasny kołnierzyk.

– Panie doktorze, ja nie zapomniałem, że pan mi uratował dziecko. I jeśli pan zagwarantuje, że jutro o ósmej ten człowiek stawi się u mnie, to ja go puszczę.

– Kochany, osobiście ci go przywiozę. – Doktor Chłapowski poklepał Niemca po dłoni ukrytej w czarnej skórzanej rękawiczce.

– Dobrze zatem. Posterunek siódmego rewiru, ulica Moltkego. Ósma rano. Ale teraz – zwrócił się do Jana groźnym głosem – póki wszystko dokładnie pan pamięta, proszę spisać przebieg zdarzeń. Kiedy pan przyjechał, co pan robił, o czym rozmawiał pan z Krausem. I proszę napisać, na czym polegała wasza współpraca. Proszę to podpisać, zaadresować do mnie i oddać jednemu z policjantów.

Jan posłusznie skinął głową, a Beck ukłonił się doktorowi, stuknął obcasami i odszedł, nakładając po drodze hełm. Gestem wskazał panu Sołeckiemu i recepcjoniście, by poszli za nim.

Chłapowski poklepał Jana po ramieniu.

– Napisz mu to, co chciał. A później mi opowiesz, co ty nawywijał.

Jan usiadł w recepcji, rozpiął płaszcz, z kieszeni wyjął pióro, z szuflady krasnoludka kartkę i przez kilka minut przenosił na papier historię swej znajomości z Krausem i dzisiejszego spotkania: była to w gruncie rzeczy towarzyska rozmowa dwóch kolegów, którzy ostatnio współpracowali, a teraz dziwnym zbiegiem okoliczności znaleźli się w tym samym mieście i postanowili razem wypić lampkę koniaku. Gotowy raport spakował do koperty, napisał na niej nazwisko komisarza i powierzył pierwszemu napotkanemu policjantowi.

Bagaż Jana i Mateusza znajdowały się w przechowalni dworcowej, wobec tego trójka mężczyzn wyszła z hotelu i ruszyła w stronę wysokiego drewnianego mostu dla pieszych. Mozolnie wspięli się po oblodzonych schodach, smagani wiatrem przeszli ponad torami kolejowymi, biegnącymi na poziomie ulicy Głogowskiej, i po jeszcze bardziej oblodzonych schodach zeszli na owalny podjazd przed stacją.

Szybkim marszem pokonali odcinek dzielący ich od dworca i weszli do wielkiej dwukondygnacyjnej hali podzielonej arkadami na części. W sektorze frontowym, między kasami, zlokalizowana była przechowalnia bagażu. Mateusz sprawnie odebrał dwie walizki.

– Skromnie podróżujecie – zauważył doktor Chłapowski.

– Dwie lekkie torby wysłaliśmy już do hotelu, bo w przechowalniach zawsze giną – odparł Jan. – Po przyjeździe mieliśmy trochę czasu, więc kupiłem cygara, tu w sklepie. Poślaniec sklepowy akurat jechał do Bazaru i zabrał to, co kupiłem, a przy okazji powierzyliśmy mu także nasze torby. Chłopak sobie przynajmniej dorobi.

Wyszli z hali dworca, mijając przy drzwiach tablicę z napisem „*Haben Sie nichts vergessen?*”⁶, i wsiedli do dwukonnej dorożki z podniesioną budą – Jan z doktorem na głównej kanapie, Mateusz na przeciwległej, tyłem do kierunku jazdy – i ruszyli. Początkowy odcinek drogi prowadził pod górę i konie kilkakrotnie się poślizgnęły.

Morawski obserwował jadące równolegle do nich przeszklone wagony tramwaju elektrycznego, które bez wysiłku wspinały się po torach. Wreszcie dotarli na szczyt wzniesienia, skręcili w prawo i minęli ogród rozrywkowy zwany Kindergarten. Dalej rozpoczynał się teren forteczny z głęboką i szeroką fosą, przez którą prowadził most. Za mostem stała ponura Brama Berlińska z łukami wspartymi na potężnych filarach, o szeroko otwartych wrotach i podwójnej jezdni. Wjechali w nią i otoczyła ich ciemność. Zewsząd dobiegał wzmożony turkot wozów, tupot kopyt końskich i odgłos kroków przechodniów, a Jan odniósł przykre wrażenie, że brakuje mu powietrza. Po paru sekundach mrok zaczął rzednieć, a po kilku kolejnych zatoneł w tym bolesnym blasku, jaki daje tylko świeży śnieg. Morawski głęboko odetchnął.

Za bramą ciągnęła się szeroka ulica – Święty Marcin – po obu stronach oflankowana wysokimi, ciasno stłoczonymi domami. Wjeżdżającym do miasta musiał nasuwać się wniosek, że twórcy fortyfikacji byli ludźmi bez wyobraźni, bo gdy w XIX wieku cały świat zaczął się rozbudowywać, oni postanowili otoczyć Poznań ze wszystkich stron murami, wałami i fosami. Ponieważ powierzchni do zabudowy nie przybywało, miasto rosło w górę.

Dorożka zatrzymała się przed głównym budynkiem hotelu Bazar – nowym, pięknym i imponującym. Mężczyźni wysiedli, portier z Mateuszem wnieśli bagaże, a Jan zapłacił fiakrowi i razem z doktorem weszli do budynku. Pan Franio spotkał jakiegoś kolegę po fachu i nastąpiła pospieszna konsultacja w sprawie ciężkiego przypadku zapalenia jelita ślepego, Morawski zaś przeszedł przez długą sień, mijając po prawej stronie sklep, a po lewej hotelową winiarnię. Dotarł do holu i czekając, aż recepcjonista skończy rozmowę z gościem, wyciągnął z kieszeni ukradziony Krausemu raport i uważnie go przeczytał.

Wynikało z niego, że znaczne zaangażowanie duchowieństwa polskiego w życie społeczno-narodowe niepokoiło władze Rzeszy. W 1900 roku naczelny prezes Rudolf von Bitter polecił wszystkim landratom w prowincji poznańskiej sporządzić poufne charakterystyki księży z określeniem ich stosunku do państwa niemieckiego. Odpowiedzi dotyczyły sześciuset duchownych i landraci opisywali w nich działalność kleru w polskim ruchu narodowym, prawie wszystkich księży uznając za politycznie niepewnych – *unzuverlässig*. Padały rozmaite określenia: niebezpieczny

polski agitator, gorliwy Polak, wróg niemieckości, fanatyczny Polak, ostrożny polonizator. Podawano przykłady działalności księży w organizacjach narodowych, zarzucano im nielegalne nauczanie polskiego. Większość kleru uznano za wroga Niemcom.

Recepcjonista skończył rozmowę, Jan podszedł więc i podał swe nazwisko.

– Otrzymaliśmy pański telegram, oczywiście – padła wyuczona odpowiedź. – Torby także dostarczono, ale nie dysponujemy żadnym wolnym pokojem. Koniec karnawału, rozumie pan. Wszystko od miesiący zajęte.

Biuralista przerzucał kartki rejestru, wybiegając wiele dni do przodu, jakby uważał, że sytuację gościa uratuje termin w przyszłości, powiedzmy za miesiąc.

W tym momencie, niczym dobra wróżka, dołączył do nich doktor Franio. Zdjął kapelusz, odsłaniając wysokie czoło i siwiejące włosy zaczesane na bok.

– I co, mój drogi? – zagadnął Jana. – Znajdzie się tu jaki kątek dla ciebie?

Rysy twarzy recepcjonisty natychmiast straciły zaciętość.

– To pana znajomy, panie doktorze?

– Mój krewny. Jak tam twoje gardło?

– Doskonale, dziękuję. Odkąd smaruję tym płynem, który dostałem od pana doktora, ani razu nie miałem chrypki. – Zajrzał znowu do swej czarodziejskiej księgi. – Hm. Wolnego nic nie mam, ale jest pokój zarezerwowany na stałe dla hrabiego Swinarskiego. On na pewno teraz nie przyjedzie, bo mają w domu żalobę, a tu u nas bal za balem. Tylko że to niewielki pokój. I w starym budynku – zastrzegł.

– Nic nie szkodzi – zapewnił Jan.

– Gdy zwolni się coś większego, od razu pana przeniesiemy.

Potem udało się też znaleźć pokój dla Mateusza na ostatnim piętrze, a gdy kamerdyner i portier odeszli z bagażami, Jan rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca do rozmowy. Na wprost sieni znajdowało się podwórze, a za nim restauracja. Na klasyczną recepcję, z fotelami i stolikami dla czekających gości, w Bazarze zabrakło miejsca i po prostu wykrojono z jednego ze sklepów kłitkę, umieszczając w niej dostępną z holu portiernię, dziuplę właściwie.

Wobec tego Jan podprowadził doktora do przeszklonych drzwi wychodzących na

dziedziniec.

– Chciałbym coś panu pokazać – powiedział i wręczył lekarzowi niemiecki raport.

Chłapowski poprawił okulary i zaczął czytać, a im dłużej czytał, tym bardziej szarpał brodę. Skończył, starannie złożył kartkę i oddał ją Janowi.

– To bardzo niepokojące. Bardzo – stwierdził, podnosząc na Morawskiego wzrok. – Kim ty właściwie jesteś, mój drogi?

– Detektywem.

– I zajmiesz się tym?

– Spróbuję.

– Czy mogę ci pomóc?

– Być może. Jeszcze nie wiem.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem. Wreszcie doktor Chłapowski podszedł do recepcji, sięgnął po pióro, z kieszeni wydobyl mały kartonik i coś na nim nabazgrał. Potem odłożył pióro, a Janowi podał kartę. Na froncie widniało:

Dr. Franz Chłapowski

prakt. Arzt u. Sanitätsrath

Victoriastr. 27

Sprechstunden: Vorm. 9–10 Uhr, Nachm. 3–5 Uhr

A na odwrocie:

Dr Franciszek Chłapowski

ulica Wiktorii 27

godziny przyjęć 9–10 i 3–5

Pod polskim tekstem lekarz dopisał: „Będę wdzięczny za wszelką pomoc udzieloną memu kuzynowi Janowi Morawskiemu”. Jan poczuł się tak, jakby wręczono mu list żelazny.

– Piękna wizytówka. Czy zna pan tutaj jakiegoś godnego zaufania litografa

i drukarza?

– Tu w sąsiedztwie, na Wilhelmowskiej. Zakład działa pod szyldem firmy Rose, bo to stara marka, ale od lat dowodzi tam Chrzanowski.

Morawski podziękował, a doktor pożegnał się i ruszył w stronę drzwi, ale po chwili się odwrócił.

– Czy zechcesz się spotkać w tej ważnej sprawie z jednym z moich przyjaciół?

– Chętnie spotkam się z każdym z pana przyjaciół.

Lekarz skinął głową i odszedł.

Jan pobiegł do swojego pokoju na drugim piętrze w starym, ponad sześćdziesięcioletnim gmachu. Było to małe, pozbawione wszelkich wygod pomieszczenie, ale Morawski cieszył się, że udało mu się zdobyć choć takie lokum. Mateusz był już na posterunku i działał.

– Chłopiec dostarczył paczkę z cygarami i torby, które mu powierzyliśmy – oznajmił, wyciągając z walizki frak Jana. – Wybiera się pan dzisiaj na bal?

Morawski przerzucał zawartość swego neseseru w poszukiwaniu notatnika i w pierwszej chwili nie zrozumiał pytania. Potem dotarło do niego, że zaczął się ostatni tydzień karnawału, a nikomu, po prostu nikomu nie wolno w tym czasie uchylać się od obowiązków towarzyskich, które sprowadzały się do uczestnictwa w choćby jednym balu każdego wieczoru. Westchnął. Od tej pańszczyzny nie było ucieczki. Z walizeczki zabrał skórzane etui z wieloma przegródkami i notes.

– Dowiedz się, co się dzisiaj odbywa w Bazarze, i kup mi bilet. – Zatrzasnął neseser, a przyjacielowi podał raport. – Przeczytaj to, a potem starannie schowaj. Oddasz mi później. – Z pudła na kapelusze wyciągnął homburga. Nie zamierzał paradować po mieście w futrzanej czapce. – Idę na pocztę. Jeśli Krause kombinował na boku, musiał odbierać wiadomości na *poste restante*. Przy odrobinie szczęścia uda mi się przejąć jego korespondencję.

– A jeśli go tu znają?

– Nie będę wymieniał nazwiska, po prostu podam jego wizytówkę. Jeśli ktoś zaprotestuje, udam, że przez pomyłkę wyciągnąłem niewłaściwą kartę. – Spojrzał na zegarek. – Jest wpół do dwunastej. Muszę tam zdążyć przed przerwą.

Zbiegł na dół i wyszedł starą bramą na ulicę Nową. Minął wielki plac budowy i skręcił w prawo, w Wilhelmowską. Była to najbardziej reprezentacyjna ulica Poznania, wzorowana na słynnej Unter den Linden, z dwoma rzędami drzew pośrodku i traktem spacerowym, na którym teraz trwały wyścigi sanek. Morawski wymijał zwały śniegu, pracowicie sprzątane przez umundurowanych dozorców, i obserwował zmiany, jakie zaszły tu w ostatnim czasie. Zamiast dwupiętrowych budyneczków stały czteropiętrowe kamienice o pałacowym wyglądzie, a w co drugiej działała restauracja.

Główna siedziba poczty mieściła się kilkaset metrów od Bazaru, na styku ulicy Wilhelmowskiej z Fryderykowską. Był to imponujący, ciężki budynek z trzema kopułami na dachu i wejściem na ściętym narożniku.

Jan wszedł i w wielkiej sali odnalazł punkt przyjmowania listów poleconych i wydawania przesyłek. Stanął jako drugi przy okienku i czekając na powrót urzędnika, czytał porozwieszane wszędzie rozmaite nakazy i zakazy. Naczelnik poczty przypominał na przykład, że na listach wysyłanych na jakikolwiek adres w Wielkopolsce musi się znaleźć dopisek: „Provinz Posen”; bez tego przesyłki nie będą dostarczane. Ta nienawistna nazwa nie chciała przejść przez usta żadnemu Polakowi i nadal używali oni nieaktualnego od ponad pięćdziesięciu lat miana „Wielkie Księstwo Poznańskie”.

Na swoje stanowisko pracy wrócił pocztowiec – krępy wążacz – i warknął:

– Następny.

Stojący przed Janem mężczyzna położył na wysokim blacie list, ale tamten tylko spojrzął i odsunął kopertę.

– Nie przyjmujemy z polskimi adresami.

– Przyjmujecie – odparł klient po niemiecku ze słowiańskim akcentem. Nie nosił brody, tylko rozwichrzone staroświeckie bokobrody falami opadające na kołnierz i poły płaszcza. Ponownie podał list. – Czytałem wypowiedź waszego ministra, który jasno stwierdził, że nie wydawał żadnego rozporządzenia o zakazie przyjmowania listów z polskimi adresami.

– Ja mam swoje rozporządzenia. Rozporządzenia naczelnika. Nie przyjmujemy

z polskimi adresami.

Pstryknął w list, tym razem z większą siłą, tak że koperta poszybowała w powietrzu i upadła na podłogę. Polak oderwał się od okienka i podbiegł, żeby podnieść list.

Urzędas tymczasem chwycił za gałkę na szybie i zaczął zamykać okienko. Jan złapał leżącą na blacie wielką książkę adresową i wsunął między szybę a ramę.

– Przerwa! – warknął Niemiec.

– Za pięć minut – odwarknął Jan ze swoim najbardziej berlińskim akcentem. – A teraz proszę o wydanie moich listów.

Podał służbową kartę wizytową Krausego, zadrukowaną wszystkimi możliwymi symbolami Reichsbanku. Pocztowiec spojrział i oklapł. Wziął kartonik i odczłapał. Gdy wrócił, coś błysnęło w klapie jego marynarki. Jan zmrużył oczy i zobaczył metalowy okrągły znaczek: na środku tarcza i czarny orzeł, dookoła napis: *Deutscher-Ostmarken-Verein*⁷. Położył przed Janem kopertę. Morawski zabrał ją, lekko się skłonił i odszedł. Do okienka wrócił odepchnięty Polak, ale wściekły pocztowiec zasunął szybę i zniknął.

Jan szedł w stronę wyjścia, ale nie czuł triumfu. Wyrzucał sobie, że dał się zapamiętać. „Przecież nazwisko Oskara ukaże się jutro w prasie. Podrażniony gbur na pewno je zapamiętał. Błąd. Oby nie okazał się kosztowny”.

Podszedł do jednego ze stołów, usiadł i specjalnym tępym nożem rozciął kopertę. Wiadomość była krótka:

Spotkanie naszej trójki. Sobota 16 lutego, 9 rano. Dorożka nr 66. Tam gdzie zawsze.

Schliemann

Tam gdzie zawsze, czyli gdzie? I kim, *zum Teufel!*⁸, był Schliemann?

Morawski schował list do koperty i jego wzrok padł na skrzynkę pocztową: „*Aufschrift und Marke nicht Fergessen!*”⁹. Skrzywił się. W Niemczech takimi instrukcjami regulowano życie mieszkańców na każdym kroku i Jan się do tego przyzwyczaił. Tam wszystko, co nie było zabronione, było nakazane. Tutaj jednak

drażniło go to coraz bardziej. Westchnął ciężko. Wstał i opuścił budynek poczty.

Na zewnątrz wpadł prosto na Mateusza, który w eleganckim dwurzędowym płaszczu i meloniku przypominał bankiera. Wracali w stronę hotelu i Jan zrelacjonował mu swą rozmowę z Oskarem.

– Ta cała teoria – wyznał – że Mistrzem, który od kilku lat zasypuje Europę fałszywkami, jest szajka czterech Polaków, wydawała mi się zmyłką, próbą zepchnięcia mnie z właściwego toru. Ale teraz już nie wiem, bo czy sam ten zamach nie uwiarygadnia koncepcji Krausego?

– Mistrz usunął pana Oskara, bo za bardzo się zbliżył? – rozważał kamerdyner, ale po chwili pokręcił głową: – Nie wierzę w to. Od miesięcy panu powtarzam, że ten cały Oskar to blagier i oszust.

Zatrzymali się, bo na pasie rozdzielającym jezdnie dwóch policjantów udzielało nagany dzieciom, które przedtem urządzały tam sobie wyścigi. W powietrzu latały ostre słowa, spośród których wybijało się: „*Verboten!*”¹⁰.

– Oskar powiedział – ciągnął Jan – że wczoraj wieczorem spotkał się z jednym z fałszerzy na neutralnym gruncie. A krasnoludek w hotelu marudził, że „wczoraj cygara, dzisiaj cygara”. Może spotkanie nastąpiło w sklepie z cygarami, a rano szajka przysłała bombę w opakowaniu tej samej firmy, wiedząc, że Oskar tam kupuje, więc je otworzy? – Zatrzymał się i spojrzał na Mateusza, ale ten nie wyglądał na przekonanego. – W każdym razie zamierzam trochę powęszyć. To było pudełko Żychlińskiego i przejdę się tam.

– Tylko proszę nic więcej nie kupować – upomniął go Mateusz – bo zaopatrzył się pan dzisiaj w ich sklepie na dworcu. To przecież też był Żychliński. A co do Oskara, to przekona się pan, że miałem rację. To był oszust.

– Nie zaprzeczysz chyba, że odnosił sukcesy w tropieniu przestępstw bankowych? – wytknął mu Jan, który miał zwyczaj bronić oskarżanych i wynajdywać wady u chwalonych.

– Być może, ale z Mistrzem nigdy nie wygrał. Przecież pana wezwano właśnie po tym, jak Oskar zawiódł.

To była prawda. Jan dwa razy skrzyżował szpady z Mistrzem. Za pierwszym

razem Morawski przegrał: dwa lata temu Rosja została zalana fałszywymi banknotami i żadnemu z detektywów, w tym także Janowi, nigdy nie udało się wpaść na trop fałszerza, a straty państwa rosyjskiego i tych europejskich bankierów, którzy dali się nabrać, liczone w milionach. Po kilku miesiącach do siedziby banku carskiego przysłano wykorzystane płyty, do których przyczepiono kartkę z rysunkiem czterech młotków i podpisem „Mistrz”.

Za drugim razem poszło Janowi lepiej: zastawem pod kredyt w pewnym niemieckim banku miały być obligacje rządowe, przez przypadek odkryto jednak, że są fałszywe; same odbitki były doskonałe, ale kilka dokumentów miało numery identyczne z tymi, które widniały na obligacjach już zdeponowanych w skarbcu. Bank udzielający kredytu, w porozumieniu z Bankiem Rzeszy, postanowił przewlec formalności, by zyskać na czasie i dotrzeć do fałszerza. Oskar Krause jako detektyw rządowy zawiódł, ale Jan, wynajęty przez ten prywatny bank, wytropił warsztat w Kolonii i odzyskał płyty. Zawinięte w papier z rysunkiem przedstawiającym cztery młotki. Mistrz zniknął.

Stan porachunków między Janem a Mistrzem wynosił jeden do jednego i Morawski bardzo chciał zwyciężyć.

– Oskar grał znaczonymi kartami, przekona się pan – podążał za swoimi myślami Mateusz. – W każdym razie coś kombinował, bo jak inaczej wytłumaczy pan ten raport w sprawie polskich księży?

Dotarli do hotelu.

– Mam dla ciebie zadanie, Mateuszu. Pojedź do Concordii, zjedz obiad w okolicy. – Morawski dostrzegł na twarzy kamerdynera nagłe ożywienie. – Popytaj, posłuchaj. Dowiedz się, co mówią. Ja zjem coś szybko w hotelu, a potem pójdę do składu cygar Żychlińskiego.

Pożegnali się. Morawski przeszedł przez długą sień i hol, wydostał się na zaśnieżony dziedziniec i wkroczył do wielkiej sali restauracyjnej, oddanej do użytku rok wcześniej razem z głównym gmachem. Zdjął kapelusz i płaszcz, powiesił je na metalowym wieszaku ustawionym w kącie i usiadł przy stoliku. Zamówił potrawy dostępne od razu i już wkrótce pił barszcz, zagryzając pasztecikiem. W oczekiwaniu na drugie danie czytał szczegółowe sprawozdanie Spółki Bazar za rok 1900.

W budynku mieściło się „13 zmodernizowanych lokali handlowych, 48 komfortowych pokoi gościnnych, duża sala balowa, zwana Białą Salą, oraz duża sala restauracyjna”. Tak zwana Stara Sala miała służyć tylko na zebrania. Ogółem były 72 pokoje, zatem te 24 pominięte w ulotce należały chyba do drugiej kategorii. Gmach miał własny zakład oświetlenia elektrycznego, centralne ogrzewanie i windy.

Morawski zjadł zamówione steki z dzika z jarzynami, zrezygnował z pieczeni, a także – z żalem – z deseru, zapłacił i sięgnął po okrycie. Przez podwórze i hol wrócił do sieni, a wtedy otworzyły się drzwi Bazarowej winiarni i ukazał się w nich szczupły blondyn średniego wzrostu o szarych oczach i falujących włosach szczesanych na bok. Wyposażony był we wszystkie akcesoria dandysa – cygarko, monokl i znudzoną minę – i z dziesięciu metrów wyczuwało się w nim prawdziwą rasę. Jan się uśmiechnął. Nie spodziewał się zastać tutaj hrabiego Maksymiliana Krajewskiego, znanego powszechnie jako Wesoły Maksio, hulaki i utracjusza, który w Monte Carlo przepuścił spadki po dwóch zakochanych w nim ciotecznych babkach; rodzinny majątek pod Lesznem pochłonęło już przedtem paryskie życie beztroskiego panicza.

Obok niego stała jego niezbyt udana kopia. Młody człowiek był także niewysoki, dość szczupły, miał i cygarko, i monokl wetknięty w oczodół, i minę nawet bardziej znudzoną, ale całość wypadła sztucznie. O ile w Maksie wszystko była kształtne i dopasowane, jego towarzysz miał wydatny nos i wypukłe czoło, zajmujące niemal połowę owalu twarzy, co dodatkowo podkreślał, zaczesując brązowe włosy do góry, zapewne aby sobie przydać wzrostu.

Morawski się zbliżył, a Maksio zareagował na jego widok takim entuzjazmem, że na chwilę stracił swą wytrenowaną flegmę.

– Janie, przyjacielu! Co za widok! W życiu bym się tu ciebie nie spodziewał.

Strój Maksia był w stu procentach modny i markowy: angielski tużurek, krawat gruby jak poduszka i tak szeroki, że zakrywał cały gors, a kołnierzyk najwyższy, jak się dało. Sprawiał wrażenie bogatego arystokraty, choć Jan był pewien, że jest spłukany.

– Ja też nie postawiłbym nawet marki na to, że cię tu spotkam – zaśmiał się Morawski. – To raczej nie twój teren.

– Uważasz, że wyglądałbym lepiej na Riwierze lub wśród warszawskich bankierówien?

Wybuchnęli śmiechem i uścisnęli sobie dłonie.

– Pozwól, że was przedstawię. – Maksio się uspokoił. – Janie, to mój tutejszy znajomy Artur Boratyński, wszechstronny... artysta. Arturze, to Jan Morawski, mój odwieczny znajomy, wszechstronny... – zamachał ręką z cygarem – no, po prostu wszechstronny.

– Idziecie na obiad? – spytał Jan, wkładając rękawiczki.

– Już jesteśmy po obiedzie – wycedził Artur, miękką, pulchną dłonią wskazując drzwi winiarni.

Maks chciał coś jeszcze dodać, ale Morawski rzucił: „Zobaczymy się wieczorem”, i opuścił hotel.

Przekroczył ulicę Wilhelmowską i szybkim krokiem szedł wzdłuż południowej pierzei placu Wilhelmowskiego. Minął Hotel Rzymski, delikatesy Meyera, potem kolejne budynki, między innymi dom handlowy „Michaelis i Kantorowicz” pod numerem 6, pierwszy poznański zespół lokali wynajmowanych kupcom. Handel Cygar, Cygaret, Tytuniów i Tabaki S. Żychlińskiego znajdował się pod numerem 9, w budynku Banku Włociańskiego, tuż przy teatrze niemieckim.

Morawski wszedł do środka i znalazł się w olbrzymim, wyłożonym ciemnym drewnem pomieszczeniu. Ściany były zastawione szafami, a przez uchylone drzwi jednej z nich Jan dostrzegł pudełka z kolorowymi etykietami. W przeszklonych regałach wyeksponowano obcinarki, popielnice i futerały do cygar, dalej oferowano akcesoria dla palaczy fajek, a jedno stoisko było poświęcone papierosom, zwłaszcza wprowadzonym właśnie na rynek i szeroko reklamowanym marki Sulima. Morawski bywał w tym składzie wielokrotnie, gdyż wybór oferowanych tu cygar był imponujący, jakość doskonała, a ceny akceptowalne.

O tej obiadowej godzinie sklep świecił pustkami. Gdy tylko przebrzmiał dźwięk dzwonka uruchomionego poruszeniem drzwi, z zaplecza nadbiegł piegowaty chłopak, stanął na baczność za ladą i nisko się uklonił.

– Czym mogę szanownemu panu służyć?

Przez chwilę Jan stał z wydętymi ustami, rozważając, jak przedstawić swoją sprawę.

– Czy był pan tu wczoraj wieczorem? – spytał wreszcie.

– Nie, wczoraj miałem dyżur w naszym punkcie na dworcu. Klientów obsługiwał szef.

– A czy mógłbym z nim porozmawiać?

– Niestety, dzisiaj on jest na dworcu.

Jan przypomniał sobie wypielegnowanego mężczyznę z siwiejącą hiszpanką¹¹, który tego ranka pomagał mu wybrać cygara. Spojrzał na księgę sklepową.

– Chciałbym wiedzieć, jacy klienci dokonali tu wczoraj wieczorem zakupu – zaryzykował.

– Niestety, proszę pana. – Chłopak złapał rejestr i objął go ramionami. – Musiałby pan mieć upoważnienie od szefa.

Morawski zdecydował się sprawdzić siłę ofiarowanego mu wytrycha do ludzkich serc i sumień.

– Mam tylko takie upoważnienie.

Sięgnął do portfela i podał subiektowi wizytówkę doktora Chłapowskiego. Młodzieniec wziął ją nieufnie, odwrócił i nagle tak pokraśniał, że jego piegi zniknęły.

– Rany! Czemu pan tak od razu nie mówił? Przecież ja bym dla pana doktora wszystko... Wyleczył z tyfusu moją matulę i nic za to nie wziął. – Wyszedł zza kontuaru, stanął obok Jana i otworzył rejestr. – Co chce pan wiedzieć?

– Czy był tu wczoraj niejaki Oskar Krause i jacy klienci znajdowali się w sklepie w tym samym czasie.

Obaj przyjrzeni się zapisom i znaleźli to nazwisko trzecie od dołu.

– Ta ostatnia piątka była tu w ciągu trzydziestu minut przed zamknięciem – oświadczył subiekt, unosząc księgę i wpatrując się w kartkę. – Szef zawsze robi podsumowanie pół godziny przed końcem dnia. Widać liczbę wpisaną ołówkiem na wysokości piątego klienta od dołu.

Jan spisał nazwiska czterech mężczyzn. Przed Krausem zakupu w sklepie

dokonali niejaki Bernard Orzelski i Artur Boratyński, owa kopia Maksia. Po Krausem natomiast kupowali Ludwik Jankowski i Tomasz Leśniewicz. Każdy z Polaków podpisem zaakceptował wartość transakcji, która miała zostać ujęta w rachunku zbiorczym, Oskar zaś zapłacił gotówką. Patrząc na podpis pana Orzelskiego, Jan przypomniał sobie swoją nianię, która takie pismo – mocno pochylone w lewo – z nieznanego powodu nazywała złodziejskim.

Morawski zmarszczył czoło, składając ową „listę Żychlińskiego”. Czy to nie dziwne, że tych klientów było właśnie czterech, jak cztery młotki i czterech fałszerzy? Choć to mogło nie mieć znaczenia, wszak Krause twierdził, że spotkał się tylko z jednym.

– O której zamykacie? – spytał.

– O dziewiątej. Najpóźniej, jak się da.

Jan pokiwał głową. W październiku minionego roku wprowadzono nową ustawę proceduralną: sklepy zamykano nie później niż o dziewiątej wieczorem, personel miał prawo do minimum dziesięciogodzinnego odpoczynku, a w czasie pracy obowiązywała półtoragodzina przerwa obiadowa. Łamanie tych przepisów groziło grzywną lub więzieniem.

Morawski serdecznie podziękował subiektowi, uścisnął mu dłoń i obiecał, że wspomni doktorowi Chłapowskiemu o jego dobrej woli. Ruszył do drzwi, ale się cofnął.

– Kto to jest Schliemann?

– Rany! – jęknął chłopak. – Niech pan nie wypowiada tego nazwiska takim... lekkim tonem.

– No więc kim jest ten, którego nazwiska nie można wypowiadać?

– To szef policji politycznej.

⁴ Wykaz ulic i placów, których nazwy z 1901 roku nie odpowiadają dzisiejszym, znajduje się w części *Dodatki* zamieszczonej na końcu książki.

⁵ Franciszek Chłapowski (1846–1923) – lekarz, społecznik, naukowiec. Współzałożyciel „Nowin Lekarskich”, działacz Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie kierował wydziałami Przyrodniczym i Lekarskim. Majątek przekazał na cele dobroczynne.

6 *Haben Sie nichts vergessen?* (niem.) – Czy nie zostawili Państwo czegoś?

7 *Deutscher-Ostmarken-Verein* (niem.) – Niemiecki Związek Marchii Wschodniej, organizacja nacjonalistyczna, znana jako Hakata.

8 *Zum Teufel!* (niem.) – Do diabła!

9 *Aufschrift und Marke nicht Fergessen!* (niem.) – Nie zapomnieć adresu i znaczka!

10 *Verboten* (niem.) – zakazany.

11 Hiszpanka – typ bródki.

ROZDZIAŁ 3

Jan szedł w kierunku Bazaru. Po prawej stronie rozciągał się plac Wilhelmowski, na którym przy sprzyjającej aurze armia niemiecka organizowała co niedzielę defilady, apele i pokazy. Teraz na całej jego połaci leżał śnieg. Świeciło słońce i biel, tak biała, że prawie błękitna, rozbłyskiwała milionami gwiazdek. A za placem stał jeden z najpiękniejszych budynków w Poznaniu: Biblioteka Raczyńskich. Ufundował ją ponad siedemdziesiąt lat wcześniej znany filantrop Edward Raczyński z „chęci ułatwienia każdemu środków zdobywania nauki i wiadomości”. Główna jej elewacja, wzorowana na wschodniej fasadzie Luwru, swą charakterystyczną kolumnadą od razu przyćmiła stojący w pobliżu teatr niemiecki.

Spoglądając co chwilę na bibliotekę, Morawski zmierzał do zakładu litograficznego. Chciał sprawdzić, czy któraś z poznańskich drukarni udostępniała urządzenia prywatnym klientom, wątpił bowiem, by ktokolwiek pokusił się o zakup prasy drukarskiej na własny użytek. Wobec jej gabarytów o takim nabytku od razu wiedziałoby całe miasto.

Minął wejście do Bazaru, poszedł dalej i skręcił w sąsiednią bramę. W podwórzu trafił na podwójne drzwi, nad którymi wisiał szyld: „Drukarnia i Zakład Litograficzny A. Rose”. Popchnął skrzydło i znalazł się w obszernym pomieszczeniu, jasno oświetlonym pośrodku, mrocznym po bokach. Stało tam kilka pras, w tym jedna gwiazdzista, z potężnym, pionowo ustawionym kołem. Centrum warsztatu stanowił wielki stół, przy którym siedziało trzech mężczyzn. Każdy z nich miał przed sobą kamień w kształcie prostopadłościanu, na który przenosił kredką rysunek ze szkicu. Jan podszedł bliżej i zobaczył, że stół jest zasypany drobnymi narzędziami: lupami i ołówkami, igłami i skrobaczami, pędzlami i buteleczkami. Litografowie tak bardzo koncentrowali się na swej pracy, że dopiero po chwili najstarszy z nich uniósł głowę i spytał:

– W czym można panu pomóc?

– Chciałbym rozmawiać z panem Chrzanowskim – wyszeptał Morawski.

Żaden z litografów się nie podniósł, natomiast od bocznego stolika wstał kilkunastoletni chłopak, którego Jan wcześniej nie zauważył, i poszedł w głąb pracowni. Po kilku sekundach wrócił.

– Patron zaraz przyjdzie – oznajmił i zajął poprzednie miejsce.

Czas oczekiwania Morawski wypełnił sobie lekturą ulotki:

Antoni Rose. Drukarnia, zakład litograficzny.

Wykonuje za pomocą maszyn pospiesznych wszelkie prace do zakresu litografii i druków należące. Skora usługa. Ceny niskie, lecz stałe. Fabryka rejestrów gospodarskich, ksiąg kościelnych i kontowych.

Jan odłożył ulotkę i przyglądał się pracy jednego z litografów, który rysował na kamieniu jegomościa w płaszczu: miała to być zapewne reklama pracowni krawieckiej bądź sklepu z konfekcją.

Rozległy się kroki i Morawski podniósł głowę. Naprzeciwko niego stał mężczyzna bardzo do niego podobny: także wysoki, szczupły, również ciemny szatyn o brązowych oczach. Pan Chrzanowski miał tylko siwe skronie i znacznie więcej zmarszczek niż Jan.

– Dzień dobry, nazywam się Jan Morawski...

– Wiem – przerwał mu gospodarz, obiema dłońmi ściskając rękę Jana. – Czekam na pana od dwóch godzin. Był u mnie doktor Franio. – Wskazał na swych pracowników. – Zna się pan na litografii?

– Nie bardzo. Wiem, że na kamieniu litograficznym wykonywany jest rysunek tłustą kredką, a po wytrawieniu tylko te zarysowane powierzchnie przyjmują farbę.

– Zgadza się. Litografia to wspaniałe odkrycie. – Pan Chrzanowski rozpromienionym wzrokiem omiótł stół. – Jest o wiele wygodniejszym sposobem drukowania niż miedziorytnictwo. Dzięki litografii to, co przedtem zarezerwowane było dla dzieł artystycznych, stało się dostępne na co dzień. Przedtem grafiki zdobiły ściany lub książki, teraz możemy dekorować plakaty, zaproszenia, bilety

wizytowe, papeterie, rachunki, etykiety, dyplomy.

Jan pokiwał głową i wskazał na skoncentrowanych rzemieślników-artystów.

– Zawsze myślałem, że to proste, ale gdy patrzę na pańskich pracowników...

– Tak, tak, by przenieść wzór na kamień, potrzeba uzdolnień rysunkowych.

Potrzeba cierpliwości i staranności. Poza tym rysując na kamieniu, trzeba pamiętać, że to, co na negatywie jest po prawej stronie, na odbitce będzie po lewej. To samo dotyczy pisma. – Pan Chrzanowski wskazał stojące pod zasłoniętym oknem biurko i zaproponował: – Pokażę panu, z czego jesteśmy znani.

Podeszli tam i drukarz rozłożył na blacie ozdobny album.

– Naszą specjalnością są pocztówki artystyczne, zwłaszcza o tematyce patriotycznej i historycznej. Polskiej, oczywiście. W zeszłym roku wydaliśmy serię kartek przedstawiających ilustracje do *Ogniem i mieczem*, a teraz kończymy prace nad pocztówkami z reprodukcjami *Sejmu rozbiorowego* Matejki.

– I Niemcy panu na to pozwalają?

– Na razie nie wpadli jeszcze na pomysł, jak tego zabronić, ale utrudniają mi życie, jak mogą. – Przez chwilę wpatrywał się w Jana, po czym nagle się uśmiechnął. – Chodźmy.

Przeszli do przyległego kantorka. Jedna ściana była przeszklona i zapewniała właścicielowi widok na pracownię, natomiast trzy pozostałe skrywały się za regałami. Na środku stało wielkie biurko zavalone stertami dokumentów, a pod wewnętrznym oknem stół, na którym panował wzorowy porządek.

Pan Chrzanowski odebrał od Jana płaszcz, powiesił na wieszaku, a gościowi wskazał krzesło. Gdy Morawski usiadł, gospodarz podał mu urzędowe pismo z sądu poznańskiego. Był to wydany kilka dni wcześniej wyrok skazujący Walerego Chrzanowskiego na karę trzydziestu marek grzywny za sprzedaż kartek pocztowych z polskim orłem, co stanowiło wykroczenie przeciw rozporządzeniu rejencyjno-policyjnemu z 17 kwietnia 1898 roku.

– Takie firmy jak moja są solą w oku policji. Obserwują nas nieustannie, lecz Niemcy to państwo prawa, więc na razie mogą tylko szukać błędów formalnych. Wystarczy brak nakładcy na kartce, by ukarać mnie grzywną. – Z uśmiechem

zapatrzył się na wyrok. – Ale z drugiej strony to najwspanialszy dokument, jaki Polak może od nich dostać. Certyfikat lojalności. Wobec Polski oczywiście. Chyba to sobie oprawię.

Mrugnął do Jana, ale ten odpowiedział tylko odruchowym uśmiechem. Na drugim krańcu stołu zobaczył zestaw szkieł powiększających i mikroskop. Kusiło go, by wtajemniczyć tego fachowca w swoją sprawę i poprosić o profesjonalną opinię. Wreszcie podjął decyzję.

– Chciałbym coś panu pokazać, ale wszystko, co pan zobaczy i usłyszy, musi pozostać między nami.

Tamten natychmiast spowaźniał, odłożył swój „dyplom” i zajął miejsce przy stole.

– Jestem gotowy. Doktor Chłapowski wspominał, że może pan potrzebować pomocy.

Jan wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki skórzane etui, otworzył je i wydobył dwa banknoty stumarkowe nowej edycji, na oko identyczne. Był to oryginał z drukarni rządowej i odbitka z płyt odkrytych w Monachium.

– Zapewne wie pan o planowanym wypuszczeniu nowych banknotów – zaczął, a drukarz skinął głową. – Istnieje obawa, że w dniu ich wprowadzenia na rynku znajdą się banknoty zarówno prawdziwe, jak i fałszywe.

– Ale przecież te nowe banknoty mają być niepodrabialne.

– Tak, tak. Ale zaszły nieprzewidziane okoliczności. Czy jest pan w stanie rozpoznać, który z tych banknotów jest prawdziwy?

Chrzanowski wstał, przyniósł mikroskop, umieścił na szkiełku najpierw jeden banknot, potem drugi i z uwagą je oglądał.

– Ten jest fałszywy – oznajmił i podał Morawskiemu jeden z nich.

Jan spojrzał na jego narożnik, szukając tam zrobionego przez siebie znaczka, i skierował na drukarza pełne uznania spojrzenie.

– Zgadza się. Jak pan to odkrył?

– Jestem drukarzem i litografem. Z nawyku oglądam pod lupą każdy typ druku, jaki wpadnie mi w ręce. Także banknoty. Są one odbijane ze stalorytów, a ten, który

wskazałem, to heliograviura. Czyli jakby drukowane zdjęcie.

– I tak łatwo je rozróżnić?

– W przypadku stalorytu rysunek graweruje się rylcami w płycie stalowej. Wytrzymałość takiej płyty po zahartowaniu jest nieograniczona, stąd metodę tę wykorzystuje się do drukowania znaczków pocztowych i banknotów. Typową cechą rytej linii jest jej ostry początek, rozszerzenie i ponownie ostry koniec. Proszę spojrzeć. – Podał Janowi wielkie szkło powiększające. – Na tym banknocie linie są równe i nie ma tej regularności, o której mówiłem.

Jan przez chwilę wpatrywał się na przemian w oba banknoty, tymczasem Chrzanowski kontynuował:

– Następną różnicą leży w kreskowaniu. Za pomocą cienkich kresek, równoległych lub krzyżujących się, oddaje się kolory lub stopnie szarości. Wykonuje je maszyna liniująca. Na oryginale linie są idealnie równoległe. Przy użyciu lupy może je pan policzyć. W heliograviurze niektóre zlewają się ze sobą. Proszę spojrzeć.

Morawski porównał oba banknoty. Teraz, gdy wiedział, czego szukać, różnice były oczywiste.

– Sądziłem, że największym problemem dla fałszerza jest odtworzenie giloszy – wskazał skomplikowaną plątaninę ozdobnych zakrętasów otaczających nominał.

– Gilosze są w ogóle nie do powtórzenia, nawet dla twórcy. Powstają również dzięki specjalnej maszynie i każdy wzór jest unikalny. Właśnie heliograviura pozwala zbliżyć się do oryginału, bo to po prostu zdjęcie. Powtarzam: tym, co najtrudniej uzyskać w heliograviurze, jest liniowanie.

– A gdyby połączyć te dwie techniki? Większość elementów wykonać w technice heliograviury, ale część wyryć?

– Prawdopodobnie otrzymałby pan arcydzieło. – Chrzanowski sięgnął po jeden z banknotów, spojrział i sięgnął po drugi. – Skąd ma pan tę fałszywkę?

– Zdobyliśmy płyty i szukamy tego, kto je sporządził. Ta odbitka została wykonana w drukarni rządowej z tych sfałszowanych płyt. I płyty, i banknoty zostały przekazane ekspertom Banku Rzeszy, ale zanim otrzymamy wyniki analizy, minie

wiele tygodni. Dlatego pana opinia, że to heliograviura, jest dla mnie niezwykle cenna. Bo zakładaliśmy dotąd, że tak doskonałe płyty musiały wyjść spod ręki genialnego rytownika.

Pan Chrzanowski przez chwilę gładził oba banknoty.

– Jeśli fałszerz wykonał takie płyty, proszę szukać fotografa, bo te banknoty nie zostały skopiowane z rysunku, lecz z doskonałego diapozytywu. A do tego potrzeba fachowego sprzętu fotograficznego. Proszę szukać fotografa. I chemika.

– Sądzi pan, że zaangażowanych w to jest więcej osób? – spytał lekkim tonem Morawski.

– Grafika to praca zespołowa: trzeba wykonać rysunek lub zdjęcie, a to zadanie dla rysownika lub fotografa. Na tej podstawie opracowuje się negatyw. To robi grawer, litograf lub chemik. Potem druk. Jedna osoba tego nie opanuje. – Naraz się rozpromienił. – Ale przecież...! Mam na warsztacie heliograviurę, co prawda jesteśmy już w połowie pracy, lecz jeśli chciałby pan obejrzeć pewien etap procesu...

Morawski z entuzjazmem pokiwał głową. Bardzo pragnął zobaczyć, jak powstają tak doskonałe fałszywki.

Pan Chrzanowski składał lupy i mówił:

– Heliograviura, zwana też fotograviurą, to coś pośredniego między akwatintą i nowymi metodami fotochemicznymi. Wszystko zaczęło się od odkrycia, że naświetlona chromożelatyna jest nierozpuszczalna w wodzie. Potem pewien Czech opracował metodę przenoszenia fotografii na płytę metalową, którą poddawał trawieniu, tak by miejsca najjaśniejsze tworzyły najpłytsze zagłębienia.

Przeszli do pracowni, stanęli przy wolnej części stołu, a litografowie przerwali pracę.

– Bierzemy miedzianą płytę – mówił Chrzanowski – i napyłamy ją sproszkowanym asfaltem syryjskim lub kalafonią, najlepiej w specjalnym pudle. – Położył dłoń na drewnianej skrzynce. – Potem całą powierzchnię pokrywamy warstwą żelatyny, która dzięki zawartości dwuchromianu potasowego nabiera własności światłoczułych. Zapraszam pana tutaj.

Weszli do małego pomieszczenia. Na stojącym pod ścianą stole leżała płyta oświetlona ostrym światłem padającym z umieszczonej powyżej lampy.

– Gdy żelatyna wyschnie, kopiujemy na nią, przy silnym świetle, rysunek lub diapozytyw. My nie mamy diapozytywów, więc korzystamy z rysunku wykonanego na przezroczystym papierze. – Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. – Myślę, że będzie już gotowa. – Wyłączył lampę, odsunął rysunek i podniósł płytę. Następnie zanurzył ją w płytkiej waniencie wypełnionej wodą. – Kopię wywołujemy w letniej wodzie, przy czym nie naświetlone partie rysunku zostają wypłukane. To, co zostanie, tworzy relief żelatynowy. – Zaprezentował Janowi płytę pokrytą nierównościami. Wyglądała jak porcelana ze żłobieniami. – Płyta będzie przez kilka godzin schnąć, a potem wytrawimy ją w roztworze chlorku żelaza.

Podeszli do blatu, na którym stały szklane kuwety, ciemnobrązowe butelki z napisem *ferrum chloratum* i szklana rurka, w której Jan rozpoznał areometr Baumé.

– A tak wygląda gotowa płyta – oznajmił pan Chrzanowski, kładąc na blacie metalowy prostokąt. Przesunął palcem po licznych zagłębieniach. – Kwas zadziałał poprzez różnej grubości warstwy żelatyny, trawiąc proporcjonalnie płytę. Teraz można nakładać farbę i drukować – oznajmił zadowolony.

– Czy do druku potrzeba wielkiej prasy? Takiej jak ta? – Jan wskazał urządzenie z kołowrotem.

– To akurat jest prasa litograficzna. Do druku heliograviury potrzeba prasy miedziorytniczej. – Drukarz się zastanowił. – W sumie nie potrzeba nawet dużej prasy, wystarczy przenośna, taka jak ta.

Podprowadził swego gościa do niewielkiego urządzenia stojącego na stole: na drewnianej ramie umocowane były jeden nad drugim dwa walce, z boku znajdowało się kilka zębatek i korba.

To zmieniało koncepcję Jana. Dotąd myślał, że musi znaleźć drukarnię, czy chociaż odizolowane pomieszczenie, ale taka przenośna prasa zmieściłaby się w zwykłym pokoju.

– Założmy, że posiadam coś takiego. Czego jeszcze bym potrzebował?

– Przede wszystkim doskonałej fotografii, potem diapozytywu. W Poznaniu jest kilka pracowni fotograficznych, które dysponują sprzętem i wynajmują studia i ciemnie amatorom. Na przykład Atelier Rubens. Znam dobrze właściciela i mogę go poprosić, by odpowiedział na pana pytania.

Morawski z wdzięcznością przyjął propozycję i już po chwili, wyposażony w list polecający do pana Cieślińskiego w Atelier Rubens przy placu Wilhelmowskim 3, pożegnał uczynnego drukarza.

– Proszę pamiętać – powtórzył jeszcze Chrzanowski. – Wykonanie takiej heliograviury to robota dla kilku specjalistów. Niech pan się rozgląda za chemikiem lub fotografem. I za drukarzem.

Jan wyszedł na ulicę, minął wejście do Bazaru i po raz trzeci tego dnia przemierzał plac Wilhelmowski. Dotarł do numeru trzeciego, wszedł na piętro i otworzył drzwi z tabliczką „Atelier Rubens, dawniej E. Mirska”. Tkwił w poczekalni ponad dwadzieścia minut i już chciał zrezygnować, gdy wreszcie drzwi studia się otworzyły i wypłynęła z nich wysztafirowana dama w bardzo dopasowanym futrze i bardzo niezimowym kapeluszu, na którym brakowało tylko karmnika dla ptaków. Obrzuciła Jana spojrzeniem pełnym aprobaty i w kącikach jej ust zaczął ukazywać się uśmiech, ale Morawski był trochę rozdrażniony czekaniem, więc tylko się uklonił, wyminął ją i wszedł do pracowni. Zastał tam postawnego mężczyznę, który zmęczonym ruchem ocierał pot z łysiny.

– Przepraszam, jeśli musiał pan czekać, ale niektóre damy nie potrafią się zdecydować na żadną scenografię. Najpierw chcą mieć zdjęcie na sankach, potem z łyżwami, a na końcu z padającym śniegiem.

– A na co ta się zdecydowała?

Fotograf odsunął się od planszy i pokazał obraz przedstawiający góry i tablicę: „Davos”. Morawski się zaśmiał. Następnie podał panu Cieślińskiemu kopertę od drukarza i wyjaśnił, że szuka miejsca, gdzie można sporządzić diapozytywy niezbędne do wykonania heliograviury. Fotograf nie mógł, niestety, udzielić żadnych konkretnych informacji.

– Rzadko wykonujemy diapozytywy, ale popytam innych fotografów w mieście,

czy coś takiego ostatnio robili.

Jan podziękował, zostawił swe nazwisko i adres, przeszedł do poczekalni i dodał:

– Pan Chrzanowski wspominał, że udostępnia pan pomieszczenia amatorom...

– Tak, nawet teraz jest w drugim studiu pewien młodzieniec, ale on nie zajmuje się diapozytywami, tylko zwykłymi zdjęciami. To znaczy nie bardzo zwykłymi, ale zdjęciami. Praca tak go pochłania, że zapomina o posiłkach. A, oto on!

Jan odwrócił się i zobaczył wzorcowego przedstawiciela moderny: zamiast krawata fontaź, do tego czarna peleryna i szerokoskrzydły kapelusz. Na ich widok artysta zdjął swe awangardowe nakrycie głowy i odsłonił małe oczka, wysokie czoło i wydatny nos. Jednym słowem, spod przebrania wyłonił się Artur Boratyński, numer dwa na „liście Żychlińskiego”. Ochłonął szybciej niż Morawski i serdecznie go powitał, bez wahania przechodząc na „ty”. Po chwili zostali sami, gdyż fotograf musiał się zająć następną klientką, która przybyła „zdjąć się w kreacji balowej”.

– Pan Cieśliński mówił, że pasjonujesz się fotografią – zagadnął Jan z zainteresowaniem.

– Takie tam byle co – machnął ręką Artur, po czym szybko otworzył teczkę i zaczął rozkładać dziesiątki zdjęć, pomiędzy którymi Jan wypatrzył trzy jasnioletowe papierki z wizerunkiem krowy i napisem ALPEN-MILCH CHOCOLADE MILKA. Artur zręcznie je ukrył między fotografiami. – Ale dzisiaj wyszło mi coś fantastycznego. Absolutnie genialnego. Musisz to zobaczyć. Wiesz, co to jest?

Morawski zmarszczył czoło i próbował się zorientować, co widzi, ale nie potrafił nawet określić, gdzie jest góra, a gdzie dół fotografii. Ciemne i jasne kształty – czy raczej bezkształty – mieszały się ze sobą i z promieniami światła.

– Bezwzględnie powinieneś rozwijać swój talent – wybrnął Jan, przeglądając zdjęcia.

– Studiowałem malarstwo w Monachium – opowiadał Boratyński – ale malowanie mi nie szło... To znaczy szło mi, nawet bardzo, ale nudziło mnie, więc zająłem się fotografią. To coś znacznie ciekawszego, w tym tkwi potencjał. – Złożył swe dzieła, schował do teczki i razem z Morawskim wyszli z atelier. – Musisz

koniecznie obejrzeć inne moje prace.

Schodzili akurat po schodach, więc Jan zignorował to zaproszenie. Gdy wyszli na zewnątrz, niebo było już granatowe, ale za sprawą śniegu i świateł z niezliczonych latarni na ulicy było jasno. Zmierzali w stronę Bazaru i Morawski kątem oka przyglądał się drobnej figurce swego towarzysza, drżącego z zimna w artystycznej pelerynie.

– Wydaje mi się, że widziałem cię dzisiaj na ulicy Głogowskiej – rzucił Jan. – Chyba w okolicy dworca, ale nie jestem pewien.

– To nie byłem ja. Cały ranek spędziłem u Rubensa.

– Nie mówiłem, że widziałem cię rano.

– Czy on nie jest piękny?! – zawołał Artur, a Morawski podążył wzrokiem za jego dłonią i spojrzął na nowe skrzydło Bazaru. – To dzieło Rogera Sławskiego. Wykazał się wielką intuicją, że nie próbował stylistycznie nawiązać do starego budynku, ale za wzór przyjął późnobarokowe pałace miejskie. Spójrz na ten portal, na barokowe szczyty. Ta fasada jest ozdobna, ale nie przesadnie ozdobna. Nareszcie godna tego miejsca, zwłaszcza że stary gmach, taki rozciągnięty przy tej wąskiej ulicy, właściwie nie jest widoczny.

– Po przeciwnej stronie Nowej, tam gdzie trwa budowa, powstanie chyba muzeum, prawda?

– Tak. Muzeum imienia Cesarza Fryderyka III – wyjaśnił Boratyński, po czym wyrecytował napuszonym tonem: – Budowla, która będzie mówić o „pruskiej misji cywilizacyjnej na wschodzie” i wyższości niemieckiej kultury nad „żywołem polskim”. No i usunie w cień ten przeklęty Bazar. Będzie ciężka i poważna. Niemiecka. Zupełnie inna niż to urocze cacko. – Zapatrzył się na dzieło Sławskiego. – Jest piękny. Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

– Architekturę też studiowałeś?

– Mógłbym – stwierdził Boratyński, wysoko unosząc głowę. – Niestety, z jednej ze sztuk zrobiono naukę inżynierską. A ja do biegania po budowach się nie nadaję. Jestem artystą.

Jan poczuł pokusę, by zawołać jak chłopak w sklepie z cygarami: „O rany!”.

Naraz Artur przystanął i zasłonił oczy dłonią. Gdy po chwili opuścił rękę, w oczach miał łzy.

– Jestem taki zmęczony – wyszeptał. – Zmęczony tym miastem pełnym filistrów, których interesują tylko pieniądze. A gdy sobie pomyślę, ilu świetnych rzeczy mógłbym dokonać, gdybym nie musiał tu tkwić... po prostu ogarnia mnie rozpacz. Takie marnotrawstwo!

Jan głośno sapnął i ruszył przed siebie. Po chwili zrozpaczony artysta go dogonił. Doszli do ulicy Wilhelmowskiej, przecięli ją i zatrzymali się przed głównym wejściem do Bazaru. Artur zaczął się żegnać, ale w tym momencie z sieni hotelowej przez otwarte szeroko drzwi dobiegł perlisty śmiech. Boratyński spojrział w tamtą stronę i mruknął:

– Oto jedna z tych, które mnie wpędzają do grobu. Panna Anastazja. Jej horyzont nie sięga poza salę balową i sklep modniarki. I salon, gdzie może flirtować. – Pokręcił z niesmakiem głową. – A jej ojczyma interesuje tylko, czy „fakty są ścisłe”. Jakby to miało znaczenie.

Uklonił się jednak, a wtedy szczebiotliwy głos go zawołał. Artur wszedł więc do sieni i Jan podążył za nim. Na końcu długiego pomieszczenia stała dziwnie niedopasowana para: malutka panienska o idealnie okrągłej buzi otoczonej misternie ułożonymi złotymi loczkami, obok niej zaś wysoki, szczupły mężczyzna, sztywny i wyprostowany. Nosił czarną, wypielęgnowaną brodę, a jego oczy ginęły pod obfitymi nawisami brwi.

Artur przedstawił Jana panie Anastazji Nowackiej, która zatrzepotała rzęsami i szepnęła: „*Je suis enchantée, monsieur*”¹², a następnie panu Bernardowi Orzelskiemu, jej ojczymowi i opiekunowi. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a Jan od razu zdecydował, że numer jeden z „listy Żychlińskiego” na pewno nie odgrywał tego ranka roli posłańca. Nie ten wzrost, nie ten zarost.

– Proszę spojrzeć, panie Arturze – ćwierkała panienska, lekko grasejując. – Dzięki pana wspaniałej siostrze Isabelle trafiłam do gazety. – Podsunęła mu czasopismo pod nos i paluszkami w błękitnej rękawiczce wskazała najważniejszy fragment. Spojrzął, ale nie zdążył nic przeczytać, bo podała gazetę Janowi, uśmiechając się do niego i przybliżając bardziej, niż to było przyjęte. – O tu, tu. To o mnie. „Palma

pierwszeństwa należy się Pannie Anastazji Nowackiej, która zachwyciła suknią z tiulu białego, błyszczącą, niby kroplami rosy, kryształowymi perełkami. Przednie bryty wąskie i gładkie, rozkładały się bokami w wachlarze plisowane, drżące riuszeczkami ze złotej gazy. Z tyłu, jakby druga odrzucona suknia, spływał długi powłok z białego atłasu w duże kwiaty *pompadour*. Staniczek okrągło wycięty, z girlandą róż różowych, pękiem złotych rozetek u boku i na ramieniu lewym, pantofelki białe, atłasowe, w kwiatki *pompadour* malowane”.

Wyrecytowała to w większości z pamięci i miękko się zaśmiała.

Jan spojrział. Cała kolumna była poświęcona sprawozdaniu modowemu z balu na rzecz Towarzystwa Warta, a pod tekstem widniały inicjały „IB”.

– Twoja siostra pisze do gazet? – zapytał Artura.

– Tak, relacje z różnych wydarzeń publicznych, a co kilka tygodni omówienia paryskich żurnali. Co się nosi i takie tam bzdury.

Boratyński wzruszył ramionami i wstąpił na stopień prowadzący do winiarni. Nareszcie jego wzrok znalazł się na równi z oczyma Jana i pana Bernarda.

– Jakie bzdury, jakie bzdury? – obruszyła się panna Anastazja. – Żadne bzdury. Ja panu powiem. – Wlepiała w Jana szafirowe oczęta. – Panna Isabelle pisze nie tylko dla poznańskich gazet, ale też dla „Tygodnika Mody” i nawet...

– Dla „Tygodnika Mód i Powieści” – wycodził jej ojczym, patrząc w przestrzeń.

– ... i nawet dla berlińskich. Właśnie wczoraj brała udział w największym balu sezonu w Berlinie, bo zamówiono u niej sprawozdanie. – Podskoczyła w miejscu i zaklaskała. – Czy to nie wspaniałe? Jest lepsza od niemieckich dziennikarek. *C'est fantastique!* Kiedy wróci? Będzie dzisiaj na naszym balu? Muszę jej podziękować. Jestem sławna!

– Musisz być dumny z siostry – rzucił Jan, widząc naburmuszoną minę Artura.

Zagadnięty wyglądał, jakby coś utkwilo mu w gardle.

– Zarabia nieźle, choć nie musi pracować. Cieszę się, że znalazła zajęcie, które wypełnia jej czas, zwłaszcza że prawdziwa sztuka jej nie interesuje.

– Jest dwanaście po piątej – wycodził pan Bernard. – Już jesteśmy spóźnieni.

– Idziemy na *jour fixe*¹³ do baronowej Kwileckiej – wyjaśniła panna Anastazja.

– Do hrabiny Kwileckiej – skorygował jej ojczym.

– Pan dzisiaj przyjechał? – Złapała Jana za rękę. – W takim razie pierwszego walca rezerwuje pan dla mnie!

– Ja nie tań...

Wsunęła dłoń pod ramię ojczyma i odeszli.

– *Au revoir!* – pomachała od progu.

– Czuję, że łapie mnie *Weltschmerz*¹⁴ – jęknął Artur i ruszył w stronę wyjścia.

¹² *Je suis enchantée, monsieur* (fr.) – Jestem zachwycona, proszę pana.

¹³ *Jour fixe* (fr.) – ustalony dzień tygodnia przeznaczony na przyjmowanie gości.

¹⁴ *Weltschmerz* (niem.) – smutek i depresja związane ze świadomością niedoskonałości świata (dosł. ból świata).

ROZDZIAŁ 4

Po rozstaniu z Arturem Boratyńskim Jan uświadomił sobie, że nie zjadł jeszcze ani jednego pączka, choć tłusty czwartek trwał już od ponad siedemnastu godzin. Zamierzał pójść na Stary Rynek do kawiarni Pfitznera, ale wstąpił do delikatesów Szczawińskiego, jednego ze sklepów w budynku Bazaru, i okazało się, że w taki dzień pączki były dostępne nawet tam. Kupił dziesięć sztuk, wrócił do hotelu bramą przy ulicy Nowej i poszedł do swojej klitki.

Już na schodach rozpakował pączki i od razu zjadł dwa – były jeszcze ciepłe, z popołudniowego wypieku, i lukier nie zdążył skrzepnąć. W pokoju nie zastał Mateusza, nic też nie wskazywało na to, że kamerdyner wrócił ze swej misji. Jan zdjął płaszcz i kapelusz, umył ręce, a potem wyciągnął z kieszeni karteczkę Oskara z dziwnym zapisem, usiadł przy stole i przez ponad godzinę próbował złamać szyfr. Wykorzystał wszystkie znane sobie kody, szukał prawidłowości i powtórzeń, ale nie uzyskał żadnego sensownego rozwiązania.

Przed siódmą wrócił Mateusz. Morawski, który właśnie z desperacji zjadł trzeciego pączka, popchnął w stronę przybyłego karton z delikatesów.

- Może pączka?
- Dziękuję, jadłem kolację.
- Miałeś zjeść obiad.
- Obiad też zjadłem, dziękuję.

Kamerdyner wyszedł, a po kwadransie wrócił – bez bankierskiego płaszcza i melonika, za to z dzbankiem parującej kawy z hotelowej restauracji.

– Czego się dowiedziałeś w Concordii? – spytał Morawski, z lubością pijąc gorzki płyn.

– Pożar ugaszono szybko – referował Mateusz, wyciągając z szafy ubranie wieczorowe Jana – ale policjanci odjechali stamtąd dopiero po czwartej. Podobno

najdłużej trwało przesłuchanie recepcjonisty. Kilka razy przybiegł posterunkowy z dworca, przynosząc temu Beckowi depesze. Pewnie sprawdzali pana i Krausego. A teraz, tak przynajmniej słyszałem, wszyscy szukają chłopaka, który dostarczył paczkę. Wezwano już pana Żychlińskiego, tego od cygar, ale powiedział, że nie realizowali żadnej dostawy do Concordii.

Kamerdyner wziął koszulę frakową i wyszedł, by doprowadzić ją do stanu idealnego, a Jan zapalił cygaro, położył się na łóżku i zagłębił w myślach o podwójnym życiu Oskara i tajemniczym posłańcu.

Gdy Mateusz wrócił, Morawski przekazał mu, co ustalił w czasie popołudnia, poczynając od „listy Żychlińskiego”, przez opinie drukarza, na zainteresowaniu Artura fotografią kończąc.

– Poznałem dwóch klientów – mówił, zakładając koszulę o gorsie sztywnym jak blacha – którzy mogli się spotkać z Oskarem w sklepie, pozostali mi jeszcze dwaj. Przy odrobinie szczęścia spotkam ich na balu, a jeśli nie, popytam o nich. – Wyjął z pudełka spinki do mankietów. – Mogło być oczywiście i tak, że ten domniemany fałszerz niczego nie kupił i trop się urwie. Ale od czegoś musimy zacząć. Zajmij się pierwszym z listy: Bernardem Orzelskim. Mieszka w hotelu, więc czegoś powinieneś się dowiedzieć. Spróbuj ustalić, co robił przed południem, choć to na pewno nie on dostarczył bombę. Jest za wysoki.

– A ten drugi, którego pan poznał? Ten od fotografii?

– Artur Boratyński. Nie wiem, gdzie mieszka. I nie znajdziemy go w książce adresowej, bo raczej nie prowadzi żadnej działalności. Jest ponad to. – Jan wykonał zwiewny ruch ręką. Sięgnął po muszkę. – Ale ma siostrę, Izabelę, która pisze sprawozdania modowe do gazet. To powinno pomóc go namierzyć. Bo jutro musisz ustalić, co robił w godzinie wybuchu. Twierdzi, że cały ranek był w Atelier Rubens.

Kamerdyner kiwał głową przy każdej informacji, a potem położył na stole bilet na bal.

– W czyjej intencji dzisiaj tańczymy? – zagadnął Morawski, poprawiając węzeł pod szyją.

– Towarzystwa Pomocy Naukowej dla Dziewcząt Polskich.

W czasie karnawału bale odbywały się codziennie. W Poznaniu były to prawie wyłącznie bale publiczne, organizowane w dużych hotelach i restauracjach. Każdy mógł wziąć w nich udział, wystarczyło kupić bilet wstępu we wskazanej kawiarni bądź w sklepie z cygarami.

Tuż po godzinie dziewiątej Jan zbiegł na pierwsze piętro i ruszył w stronę nowej, szerokiej klatki schodowej łączącej stary gmach z dobudowanym w ubiegłym roku budynkiem mieszczącym restaurację na parterze i salę balową na piętrze. Na wielkim podeście schodów stały trzy panie, niezwykle strojnie ubrane, i witały wchodzących z parteru gości. Morawski wmieszał się w tę rzekę, przywitał z organizatorkami i wszedł na salę zwaną Białą Salą, w odróżnieniu od Starej Sali, notabene również pomalowanej na białe.

Biała Sala była całkiem spora – Jan ocenił jej długość na piętnaście metrów – i wysoka na dwa piętra. Zdobily ją bogate sztukaterie: pod sufitem biegł gzyms, a ściany były podzielone pilastrami na kwatery. Trzy wielkie okna umieszczono w ścianie wschodniej, a w zachodniej znajdowały się przejścia do saloniku. Po stronie południowej, naprzeciwko wejścia, widać było obszerną wnękę zajmującą całą wysokość sali: na dole przewidziano miejsce dla orkiestry, a powyżej – prawdziwą galerię dla widzów, wśród których przeważali gimnazjaliści starszych klas. Podłogę pokrywała misterna mozaika z klepek, z sufitu zwieszał się ogromny wieloramienny pajak, a pod ścianami rozstawiono kanapki i krzesła, na których już teraz porozsiadały się liczne damy w szacownym wieku.

Orkiestra stroiła instrumenty, wszędzie rozlegały się powitania napływających osób, a młodzieńcy biegali między grupkami gości i zapisywali się w karnecikach młodych dam, starając się wywalczyć najwyżej cenione tańce: „Czy mógłbym trzeciego walca?”, „piątego kadryla?”, „drugiego mazura?”. Panny sięgały do zeszycików z wydrukowanym planem balu, w którym wymieniony był każdy taniec, i wpisywały rezerwacje. Odmówić nie mogły – to byłoby wbrew wytycznym wszechmocnej Pani Etykiety.

Po chwili rozbrzmiał polonez, pary błyskawicznie się ustawiły i bal się rozpoczął. Jan wypatrzył pod jedną ze ścian Maksa Krajewskiego i podszedł do niego.

– Chyba nigdy jeszcze nie widziałem cię na sali balowej – szepnął. – Zawsze wolałeś zielony stolik i opary dymu.

Maksio we fraku wyglądał olśniewająco i zwracało się ku niemu wiele kobiecych spojrzeń.

– Nie jesteś na bieżąco – rzucił znudzonym tonem. – Karty zostały przez poznańskie towarzystwo skazane na banicję. Hazard jest tu zbrodnią gorszą niż morderstwo. Zresztą od ośmiu miesięcy nie gram. Od ośmiu miesięcy i trzech dni. – Spojrzał na salę. – Ty też nigdy nie byłeś wielbicielem takich rozrywek.

Morawski rzeczywiście nie przepadał za balami, a już szczególnie nie znosił karnawału, tych tygodni swojego życia, gdy dzień zaczynał się po południu, a kończył bladym świtem. Drażniły go urywane po kilku zdaniach rozmowy, rozgrzane sale, spoceni tancerze, hałas i tłumy nie zawsze mile widzianych osób, przed którymi nie było ucieczki. A już najbardziej nienawidził dziesiątków przepisów i przykazań pętających uczestników balów. Nie miało to nic wspólnego z zabawą.

Przez chwilę przyglądali się tańczącym. Panie w jasnych, wydekoltowanych sukniach prezentowały się pięknie na tle czarno-białych panów; błyskały broszki, spinki i naszyjniki, szeleściły jedwabie, stukwały obcasy. Pewna monotonia panowała za to w fasonach, bo suknie były uszyte wedle jednego szablonu: obcisłe w pasie, opięte na biodrach, rozszerzały się od kolan, by u dołu osiągnąć niespotykaną obfitość warstw powiewających w tańcu.

– Poza wyprawą ona nie dostanie nic – odezwała się jakaś matrona, nachylając się ku innej. – Zakazałam Frankowi z nią tańczyć. Mój syn jest wart lepszego losu.

– Nie widzę twojego przyjaciela – zagadnął Jan, a ponieważ Maks wydawał się zdziwiony, dodał: – Artura Boratyńskiego.

– Ach – zaśmiał się Krajewski i założył monokl. – To znajomy, nie przyjaciel. Ostrzegął, że może się trochę spóźnić. Jego siostra miała wrócić z Berlina pociągiem o wpół do ósmej.

Jan uśmiechnął się pod nosem. Z niecierpliwością czekał na chwilę, gdy pozna tę młodą damę. Znał kilka kobiet zajmujących się modą, a wszystkie one były

atrakcyjne i pełne kokieterii.

W tym momencie przebrzmiały ostatnie takty poloneza i na parkiecie zakotłowało. Morawski zauważył, że w ich kierunku biegnie panna Anastazja Nowacka w morelowej falbaniastej sukience i perłach wplecionych we włosy.

– Chryste, tylko nie ona – jęknął Krajewski.

Panna jednak nawet na niego nie spojrzała. Wsunęła dłoń pod ramię Jana i zaćwierkała:

– *C'est notre dance!*

Jan w ogóle nie zamierzał tańczyć – gdyby pozwolono mu decydować. Zagrano walca, co nie było najszcześniejszym wyborem wobec różnicy wzrostu między tancerzami. Anastazja była niska, szczupłutka w pasie, solidnie zaokrąglona w innych miejscach; w pełni zasługiwała na miano Kieszonkowej Wenus. Filuternie się uśmiechała, a gdy rzucała jakąś zdawkową uwagę – na przykład: „Tańczy pan bosko!” – unosił się wokół niej oszałamiający karmelowo-owocowy zapach, od którego kręciło się w głowie.

Po jednym z obrotów musieli na chwilę się zatrzymać, by przepuścić inną parę, i Jan usłyszał za plecami beznamiętny głos:

– Ten nowy, Morawski, to duża fortuna?

Jan wykonał krok do przodu, lekki obrót w prawo, krok do tyłu i znalazł się bokiem do mówiącego. Zobaczył ciemne włosy, w które wbijały się niezwykle wysokie zakola, czarną brodę i obfite brwi. Ojczym Anastazji nie spuszczał oczu ze swej podopiecznej.

Trzpiotka zachichotała, a na jej policzkach ukazały się dołeczki.

– On chce mnie jak najszybciej komuś opchnąć. Mieszka w hotelach, zwykle w Londynie lub tam, gdzie mówi się po angielsku. Gdy tylko wyda mnie za mąż, będzie mógł wrócić do swego ulubionego trybu życia. – Nagle kogoś zauważyła i pomachała dłonią w stronę wejścia. – Jest moja przyzwoitka. Ojczym powierzył mnie opiece ciotki pana Artura i panny Izabeli, tej od mody. Dzięki temu nie musi spędzać całych nocy na balach. Chodźmy do nich.

Nie zważając na to, że taniec nie dobiegł końca, poprowadziła Jana w stronę

nowo przybyłych. Artur występował we wcieleniu światowca, dla którego liczą się salony, nie Sztuka. Podawał ramię wyższej od siebie i dość tęgiej damie, mniej więcej pięćdziesięcioletniej, której tusza zgromadziła się w górnej połowie ciała – na biuście, brzuchu i ramionach. Kobieta miała czarne oczy i także włosy, w które wpięła ozdobną egretę¹⁵.

Obok niej stała młoda dama, także wyższa od Artura, szczupła i jak na panujące standardy za mało zaokrąglona. Tyle Jan zdążył dostrzec, bo stanął przed starszą z kobiet i został przedstawiony pani Teresie Żdzarskiej, ciotce Artura, sprawującej funkcję przyzwoitki panny Anastazji. Ukłonił się i pochylił, by ucałować podaną mu dłoń, a potem zaprezentowano go pannie Izabeli Boratyńskiej. Miała ciemne włosy, błękitne oczy, teraz podkrążone, i bardzo jasną cerę. Tak Jan wyobrażał sobie Królową Śnieżkę, tylko że Śnieżka była ładniejsza; panna Izabela miała bowiem powierzchowność całkowicie przeciętną, a sposób bycia chłodny, mało serdeczny. Poczł się zawiedziony.

Szybko się okazało, że cały przydział wylewności przypadł pani Żdzarskiej: mówiła za dwie osoby, a śmiała się za trzy. Artur po chwili przeprosił i odszedł w kierunku Maksa, panna Izabela także się oddaliła. Stała w jednej z wnęk okiennych i uważnie obserwowała zebranych.

Pani Teresa natomiast ujęła Jana pod ramię i zaczęła opowiadać mu o zebranych, przy każdym komentarzu kryjąc się za wachlarzem:

– Widzi pan tego bladego z kocią bródką? Musi się do marca ożenić, bo przepadnie mu spadek... A tę rudą, z lokami, widzi pan? Ma wielki posag, ale chętnych brak, bo jej siostra jest obłąkana.

Szli razem wzdłuż ściany, a ona ze wszystkimi się witała, chwaliła córki jednych dam, synów innych. Dwukrotnie podchodzili młodzi ludzie i prosili o pozwolenie zatańczenia z jej podopieczną, panną Anastazją. Zgodziła się, ale jednemu zwróciła uwagę, że to już drugi taniec, a zatem nie powinien więcej tańczyć z panną Nowacką.

Po kilkunastu minutach Jan zaproponował, że znajdzie jej wolne miejsce na kanapie, ale odmówiła.

– Wolę pogawędzić z panem. Gdybym gdzieś klapnęła, musielibyśmy się rozstać.

Jan podziękował uśmiechem. Była to prawda, mężczyznom bowiem Pani Etykieta zabraniała siadać na sali balowej, chyba że byli starzy i zgrzybiali. Zauważył, że panna Izabela trwała na swym stanowisku, co chwilę się odwracała i pisała w notesiku ułożonym na parapecie.

– Pani młoda krewna nawet w czasie balu pracuje.

– Tak, to złote dziecko. Po ukończeniu pensji zaczęła studiować, ale wtedy ich ojciec zbankrutował i zrezygnowała z nauki, by utrzymać brata. Jest starsza od niego o sześć lat. Tak zaczęła się ta historia z modą i korespondencjami do gazet.

– Nie każdy byłby zdolny do takiego poświęcenia – zauważył Morawski, przyglądając się poważnej pannie, która w skupieniu obserwowała wirujące pary.

– Ale to dla naszego kochanego Arturka! – obruszyła się pani Teresa. – On jest godzien każdego poświęcenia.

Jan spojrział w stronę Boratyńskiego. Mówił coś do Maksa i próbował przyciągnąć jego uwagę, ale Maks z niepokojem rozglądał się po sali. Pani Żdzarska kontynuowała niewzruszona:

– Nawet nie potrafię panu opowiedzieć, jaki on jest utalentowany. Zna się na malarstwie, na rzeźbie, na fotografii. Na wszystkim po prostu. Jest tak zdolny, że aż nudzi się na uniwersytecie. Wyobraża pan to sobie?

– I to panna Izabela go utrzymuje? – Jan położył tamę temu strumieniowi pochwał.

– Tak – przyznała pani Żdzarska z ociąganiem. – Tak to można nazwać. Ale już nie utrzymuje go z własnej pracy, bo trzy lata temu otrzymała spadek po kuzynce matki. A spadki powinni dostawać mężczyźni, więc można powiedzieć, że ten spadek należał się Arturkowi. Tylko że ta kuzynka uznawała wyłącznie kobiety i zapisała majątek czterem pannom z rodziny.

Nagle podszedł do nich Artur. Wyraźnie wypadł z roli niezaangażowanego eleganta.

– Nie rozumiem, co Maks w niej widzi – rzucił przez zęby i stanął pod ścianą,

splatając ramiona.

Jan spojrział na salę i wyłowił wzrokiem Krajewskiego: szczupły i niewysoki Maks tańczył jak fordanser. A przy tym z miną zakochanego wpatrywał się w swą partnerkę, drobną i zgrabną pannę o jasnobrązowych włosach. Tańczyła krokiem lekkim jak boginka, która nie podlega grawitacji, a jedynym zgrzytem na tym olimpijskim portrecie była jej suknia: modna i zbyt obficie przyozdobiona błyskającymi pajetkami.

– Jak to, co w niej widzi? – zachichotała pani Teresa. – Posag.

– Dziedziczka? – spytał Morawski.

– I to jaka! Jej ojcem jest hrabia Walewski z Galicji. Cecylia dostanie w posagu ładny majątek z dworem, parcele we Lwowie, klejnoty rodzinne, bogatą wyprawę i gotówkę. Dużo gotówki.

Jan uśmiechnął się z przekąsem: a więc marzenie Maksa się ziściło – upolował bogatą hrabiankę.

– Cecylia mieszka tu z ojcem – ciągnęła pani Teresa. – Zajmują najlepszy apartament na pierwszym piętrze, a podczas balów ona przebywa pod moją opieką, bo hrabia Walewski słabuje. Ach jej, ależ to on właśnie!

Spomiędzy podskakujących w kadrylu danserów wyłonił się wściekły niczym szerszeń mężczyzna, daleki od stanu słabości. Jego czupryna była gęsta, lecz całkowicie biała, taki sam był obfity zarost w stylu Franciszka Józefa. Nosił mundur nieokreślonej formacji, przepasany wstęgą z orderem, a całości dopełniała cesarska mina.

– Niech pani coś zrobi z tym Krajewskim! – wysyczał.

– Pozwoli pan hrabia, że mu przedstawię... – zaczęła pani Teresa.

– Proszę zabronić mu z nią tańczyć! – Hrabia wskazał palcem tańczącą parę, ale lodowato błękitne oczy świdrowały panią Źdzarską. Galicyjski krezus był tak drobny i chudy, że uniesiony rękaw wydawał się pusty.

– Panie Janie, oto pan hrabia Maurycy Walewski, ojciec panny Cecylii.

– To birbant, utracjusz i hazardzista – wściekał się hrabia. – Przepuścił całą ojcowiznę! Oddałem Cecylię pod pani opiekę...

– Umówiliśmy się, że przez pierwszą godzinę każdego balu ona znajduje się pod pana opieką – przerwała mu pani Teresa – a nie ma jeszcze dziesiątej. Zresztą oni się kochają. Od pierwszej chwili, gdy się zobaczyli po państwa przyjeździe do Poznania. Przecież pan wie.

Wciągnął powietrze nosem, więc dodała ugodowo:

– Ten taniec już się kończy, a ja dopilnuję, by więcej dzisiaj nie tańczyli.

Prychnął niczym rozjuszony tur i odszedł.

– Nie rozumiem, o co mu chodzi – szepnęła pani Teresa. – Pochodzenie Maksu Krajewskiego jest świetne, a że nie ma pieniędzy? Co z tego? Skoro ona ma pieniądze, Maks już nie musi.

Podeszła do nich panna Izabela.

– Jakież problemy, ciociu?

– Nie, nie, tylko ten Maurycy... – westchnęła zagadnięta. – Idę porozmawiać z Cecylią.

– Był dosyć rozdrażniony – wyjaśnił Jan panie Izabeli.

– Gdyby nie miał tytułu i pieniędzy – odparła, przenosząc na niego spojrzenie – powiedzielibyśmy, że zachował się jak cham.

Jan uśmiechnął się krzywo i na moment pochylił głowę.

– Przyjmuję krytykę – rzekł, patrząc na nią – i obiecuję poprawę.

– Proszę tego nie traktować jako przytyku. Wszyscy przyznajemy bogaczom prawo do ekscentryzmu. – Wzruszyła ramionami. – Taka jest siła pieniędzy.

– Podobno wraca pani wprost z Berlina.

– Tak, choć groziło mi, że tu dzisiaj nie dotrę. Gdy wyjeżdżałam, zaczął mocno padać śnieg i ostrzegano, że mogą wystąpić opóźnienia w ruchu pociągów. Bałam się, że nie zdążę na ten bal.

– I nie byłoby sprawozdania z opisem co piękniejszych kreacji.

– Więc już pan wie?

– Panna Anastazja pokazywała mi pani artykuł w gazecie. Gratuluję.

– Dziękuję panu. – Uśmiechnęła się, prezentując krzywe zęby.

– Wspominała też, że doceniono panią nawet w Berlinie i poproszono

o przygotowanie relacji z najważniejszego balu sezonu.

– Szczerze mówiąc, to się okazało trudniejsze, niż przypuszczałam. – Spoważniała. – Nie martwię się o analizę strojów, to było proste. Ale hierarchia wśród berlińskiej socjety jest taka skomplikowana.

– Tak, wiem – zaczął Jan, marszcząc brwi – jednak...

– W relacji z balu – wyjaśniła – nie wymienia się pań w kolejności przybycia ani od najpiękniejszej do najbrzydszej. Musiałam je uszeregować według pozycji, jaką zajmują w towarzystwie. I tu obawiam się potknięcia. Było kilkanaście księżnych. Którą opisać najpierw? – Zamilkła. – Przepraszam. Rozgadałam się, a to nudny temat dla mężczyzny.

– Proszę nie przeproszać, słucham pani z zainteresowaniem – wypowiedział ten frazes i pojął, że mówi prawdę.

Rozejrzał się dookoła. Tuzin lornetek nakierowanych było na niego i pannę Boratyńską, a te damy, które ich nie obserwowały, szeptały coś przyjaciółkom. Wyglądały jak lalki z tej samej kolekcji: czarne dzęty i koronki, brylanty w uszach, *lorgnon* w dłoni.

– Jesteśmy pod obstrzałem argusowych oczu – poinformował swą towarzyszkę. – Moja matka mówiła o nich „matrony kanapowe”.

– Na swój sposób są godne podziwu, nie sądzi pan? Zostawiają na wsi mężów i młodsze dzieci, by przez kilka tygodni uczestniczyć w tym pospolitym ruszeniu. – Bez skrępowania odwdzięczyła się damom spojrzeniem. – Nic dziwnego, że starają się wydać córki za mąż już w pierwszym roku bywania. Czy liczył pan kiedyś, ile kosztuje udział jednej tylko panny w karnawale? Wynajęcie apartamentu, przyjmowanie gości, wizyty? Pomijam już stroje.

– Nie, nie liczyłem, ale nieraz zastanawiałem się, skąd te kobiety biorą siły, by przez osiem godzin siedzieć na krześle i pilnować córek.

– A dawniej krzesła w Bazarze słynęły z niewygody. – Zaśmiała się. Miała miły śmiech, cichy i radosny. Gdy się śmiała, wyglądała prawie ładnie. – Dobry wieczór, panie doktorze.

Podszedł do nich doktor Chłapowski. Panna Izabela chciała dokonać prezentacji,

ale panowie wesoło poinformowali ją o swym pokrewieństwie.

– Właśnie rozmawialiśmy o twardych krzesłach w Bazarze – zwróciła się do lekarza panna Izabela.

– I zajmujących je paniach – dodał Jan.

– Mój nieodżałowany Marceli Motty¹⁶ – rzekł pan Franciszek – nazywał to miejsce „Bazarem mariażowym”, a o tych paniach mawiał „tylna straż matek”.

Roześmiali się, wywołując kolejną akcję lornetowania. Doktor chciał coś dodać, ale podbiegła do nich Anastazja, uśmiechnięta i rozszczebiotana, i uprowadziła pannę Boratyńską na bok.

– A moja żona – szepnął lekarz Janowi – nazywa to zgromadzenie „Bazarem komerażowym”¹⁷.

Morawski zachichotał.

– Pańska żona znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli one się o tym dowiedzą.

– Zamierzałem cię jej przedstawić, ale nie mogła przyjść. Może innym razem.

– Z największą przyjemnością, panie doktorze. – Jan się uklonił. – A tymczasem chciałbym poznać pana Ludwika Jankowskiego.

– Służę ci. – Lekarz rozejrzał się dookoła. – Chodźmy. Wiem, gdzie można go znaleźć. – Ruszyli przez salę w stronę przyległego saloniku, gdzie był rozstawiony bufet z przekąskami i napojami. – Zamierzasz kupić kamienicę?

– Tym się zajmuje pan Jankowski? Budową kamienic?

– Między innymi. Prowadzi wiele przedsiębiorstw – Chłapowski zatrzymał się i wydał usta – ale nie jestem pewien jakich. Wiem, że zaczynał od handlu cegłami. A może mięsem?

– Widzę, że pogłoski o demokratyzacji Bazaru nie są przesadzone.

– Bazar powstał właśnie po to, by mieszczaństwo mogło się poznać z ziemiaństwem i by obie warstwy zaczęły wspólnie działać. I tak się dzieje. Pamiętam, że jeszcze za czasów mojej młodości na mieszczan patrzano krzywo w restauracjach, ale potem synowie kupców i rzemieślników zaczęli wracać ze studiów z uniwersyteckimi dyplomami i bez wahania chadzali wszędzie.

Przystanęli w progu bufetu. Przy końcu stołu stał niski mężczyzna o bardzo

zaokrąglonej figurze i czerwonej twarzy. Zjadł coś z talerzyka, popił winem, a potem chlebem otarł to wino z sumiastych wąsów.

– Z punktu widzenia medycyny – doktor Chłapowski zmarszczył czoło – taki tryb życia powinien go już dawno zabić. Nieustanna praca, nadmiar jedzenia i oddawanie czci Bachusowi przy każdej okazji.

Pan Ludwik był tak pochłonięty delikatesami, że nie zauważył nadchodzących. Do stołu zbliżyła się hoża kelnerka i postawiła na nim półmisek. Pan Jankowski przysunął się do niej, pogłodził po twarzy i coś jej szepnął na uszko. Dziewczyna zachichotała i uciekła. Popatrzył za nią z uśmiechem, a w jego ustach błysnęły złoty ząb.

Pan Chłapowski dokonał prezentacji i odszedł, a Morawski, starając się nie patrzeć na wąsy z resztkami majonezu, napomknął, że właśnie przyjechał do Poznania i rozważa zakup... Pan Jankowski słuchał uważnie, ale w tym momencie kelner przyniósł ostrygi: otwarte muszle były ułożone na półmisku z lodem, a między nimi sterczały ósemki cytryny. Na ten widok pan Ludwik porzucił nowego znajomego. Brał do ręki muszle, trójzębnym krótkim widelczykiem bódł mięczaka, oglądał go, po czym podnosił muszlę, przechylał i wciągał do ust ciało i płyn. Następowало ciamkanie, mlaskanie i przełknięcie, a potem repetycja całej ceremonii. Między jedną a drugą ostrygą głośno się zachwycał: „Uwielbiam te pieszczoszki”. Jan urwał swą wypowiedź w połowie zdania i z fascynacją przyglądał się tej ekstazie.

Naraz z sali balowej dobiegł dźwięk gongu, wywołując niespodziewaną reakcję obzartucha, który przełknął ostrygę, oblizał palce i zawołał:

– Chodźmy, wybierają królową balu! – Złapał Morawskiego za łokieć i pociągnął. – Zobaczymy, czy wygra moja ukochana. A potem mi pan opowiesz, co chcesz pan kupić. Ja to na pewno mam.

Jedną z tradycji zabaw karnawałowych był wybór królowej balu. Każdy uczestnik dostawał przy wejściu jakiś drobiazg i wręczał go najpiękniejszej pannie. Ta, która zebrała najwięcej fantów, wygrywała. Jan również otrzymał kokardę, ale gdzieś ją odłożył. Poszedł za panem Ludwikiem, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w którąś z panien. Przez chwilę trwało liczenie, po czym wodzirej

obwieścił:

– Wygrała... panna... Cecylia Walewska!

– Bravo! – rozkrzyczał się pan Jankowski. Klaskał jak na wyścigach konnych. – Proszę na nią spojrzeć – odwrócił się do Jana – czy nie jest piękna?

Morawski posłusznie przeniósł spojrzenie na dziewczynę, na jej szare oczy, skórę tak przejrzystą, że przebijały przez nią żyłki, na jasnobrązowe włosy. Była eteryczna, ale czy piękna?

– Od lat szukam żony z arystokracji – wyznał pan Ludwik – ale odkąd pojawiła się panna Cecylka, na żadną już nie patrzę.

Jan spojrzął na pana Jankowskiego: musiał mieć około sześćdziesięciu lat, Cecylia dwadzieścia. No i chyba nie liczył, że zakochana w olśniewającym Maksie hrabianka zwróci uwagę na kogoś takiego jak on?

Na głowę uszczęśliwionej Cecylii nałożono wianek z białych róż, a wtedy stanął koło niej Maks, ujął ją za rękę i coś jej z uśmiechem mówił. Naraz rozległ się czysty, cyzelowany głos panny Anastazji, powleczonego francuskim akcentem:

– Gratuluję ci, *ma chère* Cécile. Wyglądasz rzeczywiście zjawiskowo w tej sukni. – Podeszła bliżej i uniosła jedną z falban obsypanych połyskliwymi blaszkami. – Widziałam identyczną w Warszawie podczas Bożego Narodzenia. Tak mnie to podobieństwo zafascynowało, że napisałam kilka dni temu list do przyjaciółki. Odpisała mi, że tamta panna nie ma już tej sukni, bo pożyczyła ją krewnej, której ojciec zbankrutował, stracił dosłownie wszystko, nawet pałac rodowy. I to bardzo zabawne – Anastazja zachichotała – ale tak się składa, że ten bankrut nosi takie samo nazwisko jak wy. *Comte*¹⁸ Walewski. Ale to chyba nie o państwa chodzi, bo przecież nikt z was nie miałby czelności, by tak nas wszystkich oszukiwać. – Rozejrzała się po znieruchomiałych balowiczach. – Na pewno nie opowiadalibyście nam o tych pałacach, klejnotach i majątkach, gdybyście byli ńędzarszami. No i ten obiecany posag... – Wpatrywała się w śmiertelnie bladą Cecylię. – Gdyby miało się okazać, że go nie ma, to przecież wyszłoby to na jaw jeszcze przed ślubem, podczas spisywania intercyzy...

Dookoła nastała całkowita cisza. Dwieście osób stało bez ruchu i wpatrywało się

w Cecylię, ściskającą dłoń Maksa, i w dumnego Maurycego, który przystanął obok. Nikt nie wiedział, jak zareagować, bo nikt nie wiedział, czy to prawda. Wątpliwości te rozwiązał hrabia Walewski, nacierając na córkę:

– Wszystko jej wypaplałaś, ty idiotko!

Towarzystwo, skamieniałe przez chwilę, nagle ożyło. Maks puścił dłoń Cecylii, uklonił się i odszedł. Pozostali także odwracali się i rozchodzili, szepcząc między sobą. Zewsząd dobiegały oburzone głosy: „Skandal! Tak nas oszukać!”, „Wyrzuceni z pałacu!”, „To niesłychane!”.

Królowa balu zsunęła z głowy koronę z róż, opuściła dłonie na suknię i zaczęła płakać.

– Nie rób przedstawienia – burknął były bogacz. – Dosyć już narozrabiałaś. Wychodzimy!

Ciągnąc dziewczynę za rękę, wyprowadził ją z sali. Morawski rozejrzał się i w jednej z wnęk okiennych dostrzegł pannę Nowacką. Stała z boku i wyglądała na zaskoczoną, ale w chwili, gdy strącona z tronu panna Walewska opuszczała miejsce klęski, na twarzy małej Anastazji ukazał się uśmiezek zaspokojonej złości.

– A to szelma – mruknął Morawski i podszedł do niej. – Jestem pełen uznania.

Uniosła na niego niewinne spojrzenie i zatrzepotała rzęsami.

– *Pourquoi?*¹⁹

– Jak pani to odkryła?

Przez chwilę wydawało się, że wszystkiego się wyprze, ale jednym ruchem odrzuciła swą minoderię i spojrzała Janowi prosto w oczy.

– To było proste. Tak proste, że aż nie powinnam tego panu mówić. Zauważyłam kilka rzeczy. – I odliczając na palcach, wymieniała, nawet nie grasejąc: – Cecylia ma tylko jedną parę pantofelków balowych. Cerowane rękawiczki. Na dłoni ma drobne oparzenie, więc prasuje sama. Raz miała krzywo zapiętą sukienkę. Hrabia nosi ten niby-mundur, bo oszczędza mu to wydatku na garnitur i frak. Mają własnego służącego, to niby podnosi ich prestiż, ale chodzi o to, by oszczędzić na napiwkach. Jedzą najprostsze rzeczy. On rzekomo cierpi na żołądek, ale ona? –

Anastazja spojrzała na kogoś stojącego za Janem i uroczo pomachała rączką. Potem ciągnęła rzeczowym tonem: – Zdarzają się chorobliwi skąpcy, więc wolałam się upewnić, czy to nie ten przypadek. Rozpoznałam jedną z sukien Cecylii, akurat tę dzisiejszą. Widziałam ją w Warszawie. Napisałam do przyjaciółki i ona wszystkiego się dla mnie wywiedziała. Tamta panna od sukni jest kuzynką Cecylii i pożyczyła jej kilka strojów na gościnne występy w Poznaniu.

– Bystrości wzroku mógłby pani pozazdrościć ryś.

– To kwestia motywacji, mój drogi panie. – Zrobiła dramatyczną pauzę. – Maks jest mój. Poznaliśmy się w czasie Bożego Narodzenia, właśnie w Warszawie, i postanowiłam, że za niego wyjdę. To był prawdziwy *coup de foudre*²⁰. Muszę wyeliminować Cecylię, więc użyłam argumentu, który Maks dobrze rozumie. Pieniądze.

– Dlaczego mi to pani mówi?

– Pan też lubi wiedzieć, prawda? Tak jak ja. Obszedł pan dzisiaj sporo miejsc. Choć jeszcze nie wiem po co.

Jan zmrużył oczy. To była jedna z najdziwniejszych rozmów, jakie ostatnio przeprowadził.

– Ale być może wie pani, jakiego wzrostu jest pan Tomasz Leśniewicz.

– Kilka centymetrów wyższy od pana.

– A czym się zajmuje?

– Jest chemikiem. – Uśmiechnęła się. – Niech pan nie zdradzi, co panu powiedziałam – szepnęła mu i uciekła, bo ogłoszono mazura.

Jan głośno wypuścił powietrze i stanął przy jednej z portier. Rozmyślanie o Anastazji pozostawił sobie na później, teraz zaś zajął się informacjami, których mu dostarczyła. Wyglądało na to, że z czwórki mężczyzn, którzy mieli okazję spotkać się z Oskarem Krause w wieczór poprzedzający jego śmierć, tylko Artur Boratyński mógł w przebraniu posłańca dostarczyć mu wystrzałowe cygara: Bernard i Tomasz byli zbyt wysocy, Ludwik zbyt gruby. A wiadomość wieczoru stanowił fakt, że Tomasz jest chemikiem.

Zagrano mazura i pary zaczęły się ustawiać na parkiecie. Z najbliższej wnęki

dobiegł Jana syk:

– Posłuchaj, pannico. Nie obchodzi mnie, kto ci się podoba. Wyjdiesz za kuzyna Anzelma.

Morawski wychylił się i wyjrzał zza kotary. Zobaczył plecy ubranej na czarno kobiety, która miażdżyła w dłoni nadgarstek stojącej przed nią panny.

– Ale on jest wstrętny – wychlipała dziewczyna.

– Wyjdiesz za kuzyna Anzelma – powtórzyła dama. – Jego majątek należy się mnie i poprzysięgam, że go dostanę. To kwestia sprawiedliwości. Więc pohamuj te łzy, bo nic ci nie pomogą. Wyglądasz z nimi szkaradnie.

Morawski się cofnął, a po chwili pani matka wyprowadziła córkę na środek sali i powierzyła czterdziestolatкови o fizjonomii śniętej ryby.

Jan postanowił wrócić do siebie. Odszukał pana Chłapowskiego i zaczął się żegnać. Nagle podeszła do nich ciemnowłosa niewysoka dama, wsunęła dłoń pod ramię doktora i ciepło spojrzała na Jana.

– Więc jednak zdążyłaś, moja droga? – ucieszył się lekarz. – Przyjechałaś sama?

– Nie, Franiu, przyjechałam z tobą o dziewiątej.

Jan parsknął śmiechem. Skonfundowany doktor umilkł i coś rozważał, więc pani doktorowa przedstawiła się sama:

– Maria Chłapowska.

Morawski wymienił swe nazwisko i pochylił się nad podaną mu dłonią. Przez chwilę gawędzili o wspólnych krewnych, a potem Jan spytał:

– Czy orientuje się pani, ile lat ma panna Anastazja Nowacka?

– Właśnie skończyła osiemnaście. Choć raz czy dwa dostrzegłam w jej spojrzeniu coś... hm... bardzo dorosłego. – Pani Maria popatrzyła w stronę dziewczyny, która z wdziękiem wykonywała kolejne figury mazura. – Jej ojciec to był taki uroczy człowiek. Pochodził z Podola i bywał w Poznaniu. Jego żoną była jakaś bankierówna, chyba z Łodzi, ale nie znaliśmy jej, bo nigdy jej nie przywoził.

– Była z gatunku Ksantyp, toteż nie pokazywał jej nikomu – wyjaśnił zwięźle doktor.

Wspólnie przyglądali się mazurowi, który powoli tracił rozpęd. Naraz Jan

stwierdził, że nigdzie nie widzi czarnej brody Bernarda Orzelskiego. Zaczął się rozglądać za panem Ludwikiem, ale też go nie znalazł. Zniknął również Artur Boratyński.

Po mazurze goście ruszyli na wspólną kolację do restauracji znajdującej się na parterze, pod salą balową. Morawski zajął strategiczne miejsce na klatce schodowej, ale żadnego z trójki mężczyzn nie wypatrzył. Odprowadził do wyjścia państwa Chłapowskich, którzy wybierali się do domu, i wstąpił do restauracji, ale pomiędzy uczującymi również nie było żadnego z poszukiwanych panów.

Zamyślony ruszył do swego pokoju schodami w nowym budynku. Gdy minął pierwsze piętro, usłyszał szloch. Cofnął się, wyjrzał na korytarz i zobaczył hrabiego Maurycego Walewskiego, który z twarzą częściowo zasłoniętą jakąś tkaniną szedł i szlochał:

– Co teraz będzie? Co teraz będzie?

15 Egreta – spięty broszą pęk piór, zwykle czaplich.

16 Marceli Motty (1818–1898) – nauczyciel i felietonista, autor m.in. *Przechadzek po mieście*.

17 Komeraze – złośliwe plotki, intrygi.

18 *Comte* (fr.) – hrabia.

19 *Pourquoi?* (fr.) – Dlaczego?

20 *Coup de foudre* (fr.) – miłość od pierwszego wejrzenia (dosł. uderzenie pioruna).

ROZDZIAŁ 5

– **I**ta mała panienska ujawniła to celowo? By odebrać tamtej adoratora? – dopytywał się Mateusz, gdy Jan po powrocie do pokoju zrelacjonował mu swą rozmowę z Anastazją. Przebieg sceny dekonspiracji Walewskich kamerdyner znał, ponieważ od początku balu siedział na chóрку sali balowej.

– Zgadza się. A ojczymem i opiekunem tej małej panienski jest Bernard Orzelski.

– Jan zsunął z nóg lakierki i zdjął frak. – Dowiedziałeś się czegoś o nim?

– Tak, wszyscy go tu znają. Prowadzi dość specyficzny tryb życia. Zamienił noc z dniem. Wstaje po południu, je śniadanie w porze obiadu, obiad w porze kolacji, a kolację, gdy wszyscy śpią. Niby więc ma alibi na rano, ale niemożliwe do potwierdzenia.

– Na pewno to nie on odgrywał posłańca. Z czwórki umieszczonej na „liście Żychlińskiego” na posłańca nadaje się tylko Artur Boratyński.

– Mam jego adres i jutro spróbuję go sprawdzić. W domu i w tym studiu fotograficznym.

Jan skinął głową.

– Z czego żyje Orzelski?

– Ma spory majątek, natomiast jego pasierbica ma bardzo spory majątek.

– Ona twierdzi, że ojczym chce się jej pozbyć.

– To straszne!

– Nie tak „pozbyć” – zachnął się Jan. – Wydać za męża. Przestań czytać tyle kryminałów.

– A ja wiem, kto jest kandydatem na tego męża. – Kamerdyner zachichotał. – Pan Bernard wypytywał, „ile ten Morawski ma”. To był zresztą główny temat rozmów służby. Zrobił pan takie wrażenie, jak odyniec, który zbliża się do linii strzału w zagajniku. Cierpią tu na brak dobrych partii.

Mateusz się roześmiał. W hotelu porzucił swój wyjściowy garnitur i wrócił do grafitowej jaskółki: surduta o zaokrąglonych połach, z tyłu sięgającego kolan, z przodu krótszego i otwartego. Całości dopełniały sztuczkowe spodnie, biała koszula i kamizelka.

Zirytowany Morawski usiadł, zajrzał do kartonu i sięgnął po pączka. Zjadł go ze smakiem i zatonął w myślach. Nagle zauważył, że kamerdyner wpatruje się w niego ze zdumieniem.

– Nuci pan?

– Ja? Niemożliwe.

Mateusz zaczął gwizdać i melodia wydała się Janowi znajoma.

– *Jeszcze jeden mazur dzisiaj* – wyjaśnił kamerdyner. – Dziwne, że to się panu przyplątało. Zagrają ten kawałek dopiero na koniec balu.

Gwizdząc dalej, Mateusz krzątał się po pokoju i przygotowywał garnitur Jana na jutrzejsze spotkanie z komisarzem.

A Morawski siedział z wyprostowanymi nogami na skraju krzesła, jadł, a z jakichś zakamarków jego pamięci wypływały kolejne obrazy: śnieg i dwór, szlichtady²¹ i maskarady, bigos i piwny grzaniec, zakład z jakimś chłopakiem, którego imienia nie pamiętał, kto zje więcej pączków. W tle zaś ta melodia. Brzmiała kiedyś, a teraz, po latach, przywołały ją inne wrażenia.

Pokrętność pamięci fascynowała Jana od dawna. Niczym roztargniona magazynierka, pamięć chowała gdzieś rzeczy wielkie i istotne, a na podporządku trzymała drobiazgi i bezustannie podsuwała je człowiekowi pod nos. Poproszona o znalezienie czegoś, wyciągała z kąta stare, zakurzone graty, zwykle te, których właściciel poszukiwał nadaremnie tydzień wcześniej. Poganiana, zaczynała się miotać, aż wreszcie siadała zrozpaczona pomiędzy swymi skarbami, niezdolna odnaleźć się w tym zamęcie. Ale najciekawszy był jej fantazyjny zwyczaj łączenia niewidzialnymi nitkami rozmaitych eksponatów, które kiedyś przez jeden moment zaistniały równocześnie w życiu właściciela tego magazynu osobliwości: gdy potem pojawiał się jeden z tych elementów, pamięć triumfalnie ciągnęła za nitkę i wydobywała tę drugą część. I może się zdarzyć, że słuchając mazura, czujemy

smak powideł, a na palcach lepkość lukru.

Morawski spojrzął na zegarek – do północy pozostało dziesięć minut. Za dziesięć minut skończy się czternasty lutego, dzień jego urodzin. Uśmiechnął się, bo chyba nigdy jeszcze nie obchodził swego święta z takim hukiem. No ale to już koniec wrażeń.

Naraz ktoś szarpnął drzwiami tak gwałtownie, że Jan prawie zsunął się z krzesła na podłogę. Chwycił się stołu i zerwał na równe nogi. W progu stał jakiś zarośnięty obdartus, brudny i zmarznięty, może także chory, który na dodatek rozpaczał dookoła koszmarnej smród niemytego ciała, alkoholu i moczu. Zatoczył się i zatrzymał na ścianie.

– Marek! – jęknął Mateusz.

Jan spojrzął na przyjaciela, a potem na obszarpańca. Czyżby to był brat Mateusza? Kamerdyner przypadł do przybysza, podparł go i doprowadził do stołu. Jan podsunął krzesło i osłabły mężczyzna opadł na siedzenie. Spod za krótkiego i pozbawionego guzików płaszcza wystawały spodnie o nogawkach różnej długości, mężczyzna miał też chyba na sobie marynarkę, ale nie nosił koszuli.

– Jesteś chory? – zdenerwowany Mateusz potrząsnął go za ramię.

Tamten pokręcił przecząco głową. Morawski wyciągnął z walizki butelkę koniaku i nalał sporo płynu do szklanki. Marek złapał podane naczynie i wypił jednym haustem. Otarł usta wierzchem dłoni i chuchnął.

– Myślałem, że nie żyjesz – szeptał Mateusz, ujmując szczeniastą twarz w dłonie.

Morawski taktownie podszedł do okna i przez chwilę spoglądał na ulicę. Nigdy nie poznał Marka, wiedział tylko, że jest kilkanaście lat młodszy od Mateusza, który po śmierci matki stał się opiekunem brata. Nie było to łatwe zadanie, bo Marek chyba nie przepadał za pracą, uważając, że przysługuje mu prawo do wolności od wszelkiego trudu. Jako dwudziestolatek wyjechał do Ameryki, ale Mateusz nadal go wspierał, głównie finansowo.

Naraz za plecami Jan usłyszał lekko podniesiony głos.

– Gdzieś ty był? – gorączkował się kamerdyner. – Szukam cię od dwóch lat po

całej Ameryce, ale ty zniknąłeś. Napisałem chyba pod każdy znany mi adres i nikt...

– Wróciłem do Polski i znalazłem pracę, tylko że teraz mnie zwolnili – tłumaczył Marek płaczliwie. – Uwzięli się po prostu. Chcę wrócić do Stanów. Tu się nie da żyć. Ale przedtem postanowiłem zobaczyć się z tobą, braciszku.

– Czy ty sobie wyobrażasz, jak ja się niepokoiłem? – ciągnął Mateusz, wpadając w tonację histeryczną. – Nie dawałeś znaku życia!

– To nie moja wina! Nie mogłem cię znaleźć, ciągle gdzieś wyjeżdżasz.

– Wystarczyłoby wysłać list na paryski adres.

– Życie mnie nie oszczędzało. Nawet nie wiesz, ile razy uciekłem spod wieka trumny.

– To cię nie tłumaczy!

– Mateuszu, spokojnie. – Jan położył mu rękę na ramieniu.

– Właśnie! Słuchaj, co ten pan mówi. – Marek wyciągnął do Jana dłoń, a w umorusanej twarzy błysnęły takie same niebieskie oczy jak Mateusza. – Jestem Marek Małecki.

Kamerdyner szarpnął brata za łokieć do góry.

– Wstań chociaż – rzucił przez zęby – skoro już pierwszy wyciągasz rękę.

Dokonano prezentacji.

– Tyle razy ci powtarzałem...

– Czy dasz radę ulokować go w swoim pokoju? – przerwał Jan.

– Coś mu ułożę na podłodze.

– Zabierz go na górę, niech odpocznie, a jutro postanowimy, co dalej.

– Najpierw muszę coś zjeść – oznajmił Marek. – Mogę być brudny i niewyspany, ale głodny nie.

Morawski się zaśmiał.

– To naprawdę twój brat, Mateuszu. – Podał Markowi karton z pączkami, a ten od razu sięgnął po ciastko i odgryzł połowę. – Na pierwszy głód to wystarczy. Zejdź do kuchni, Mateuszu, i zamów mu coś do jedzenia.

Bracia wyszli, Morawski zaś przygotował dokumenty potwierdzające jego współpracę z Bankiem Rzeszy, a potem wyjął z neseseru metalową kasetkę ze

swymi notatkami, powierzoną mu kopertą i kolekcją fałszywek z poprzednich oszustw. Na wszelki wypadek zamierzał dać ją na przechowanie Mateuszowi. Po chwili wahania dołączył do tego depozytu kieszonkowy mikroskop Oskara i swój najnowszy pistolet, wykonany na zamówienie w zakładzie FN w Belgii. Była to zminiaturyzowana wersja browninga numer 1, mierząca zaledwie dwanaście centymetrów.

Pół godziny później przyszedł kamerdyner.

– Będą kłopoty – mruknął.

– Tak się o niego niepokoiłeś. Myślałem, że się cieszysz.

– Cieszę się. Ale będą kłopoty. Zawsze są.

[21](#) Szlichtada – kulig połączony z odwiedzaniem sąsiadów i zapraszaniem ich do wspólnej zabawy.

ROZDZIAŁ 6

O siódmej rano Mateusz przyniósł do pokoju „Dziennik Poznański” i „Posener Zeitung”, a także dzbanek z kawą. Jan nalał sobie parującej smoły do filiżanki i zaczął przeglądać gazety w poszukiwaniu wzmianki o wybuchu.

– Wdałem się wczoraj w utarczkę z pocztowcem – wyjaśnił swoje zainteresowanie – i jeśli przeczyta przy śniadaniu o śmierci Krausego, będę się musiał mieć na baczności.

– Wypytywałem o tego komisarza Becka. Podobno jest całkiem przyzwoity – oznajmił kamerdyner, nalewając sobie kawy do kubka. – Najważniejsze, że sprawa pozostaje na poziomie rewiru. Na wyższych urzędach porozsiadali się hakatyści.

Ktoś zastukał. Mateusz otworzył drzwi i odebrał wiadomość od boya hotelowego. Potem wrócił do stołu i przez chwilę stał, dotykając palcami krawędzi koperty.

– *Polizei-Direktion* – obwieścił ze wstrętem.

Morawski odłożył gazetę, odstawił filiżankę i wyciągnął dłoń po przesyłkę. Spojrzał na czerwoną pieczęć, złamał ją i przeczytał na głos wiadomość. Było to wezwanie do stawienia się na przesłuchanie w siedzibie Dyrekcji Policji przy placu Wilhelmowskim 12 o godzinie ósmej w dniu piętnastym lutego. W imieniu radcy policyjnego Gottschalka wezwanie podpisał komisarz policji kryminalnej Schultz.

Jan westchnął. Sprawa zaczynała brzydko pachnieć. Wstał, włożył marynarkę, schował pismo do kieszeni i oznajmił:

– Idę na śniadanie.

– Tak, tak, musi pan się porządnie najeść – gorąco przyklasnął temu pomysłowi Mateusz. – Nie wiadomo, kiedy uda się panu znowu coś zjeść.

– Dostałem wezwanie na przesłuchanie, a nie na katorgę.

Morawski zszedł do hotelowej restauracji, gdzie trwały porządki po balu, który

zakończył się dwie godziny wcześniej. Zaproponowano mu bigos („Jeszcze lekko ciepły, szanowny panie”), ale odmówił i wybrał smażone jajka i świeże bułki. Potem zamówił dodatkową porcję jajek, a gdy skończył jeść i dopijał kawę, zjawił się doktor Chłapowski, by zgodnie z obietnicą odeskortować podejrzanego do komisarza Becka.

– To już nieaktualne – poinformował go Jan i podał mu wezwanie. – Góra się mną zainteresowała.

Lekarz opadł na krzesło, przeczytał pismo i zapatrzył się w okno.

– Niedobrze. – Wyciągnął blok recept i jedną podał Janowi. – Napisz mi tu nazwiska z tego wezwania, bo na pewno zapomnę. Pójdę z tym do adwokata. Dobrze chociaż, że to nie Schliemann cię wzywa.

– Już drugi raz słyszę to nazwisko. Taki jest straszny?

– To najgorliwszy z Niemców. Przekonany o absolutnej wyższości swego szczepu. Filar Hakaty.

Doktor wstał i schował do kieszeni receptę z nazwiskami, potem pożegnał się i spiesznie odszedł. Morawski poprosił o rachunek, a gdy go przyniesiono, zaakceptował podpisem. Przy dłuższych pobytach w hotelu należności za posiłki były dopisywane do zbiorczego rachunku, regulowanego przez klienta co kilka dni.

Wrócił do swego pokoiku, bo minęło już wpół do ósmej.

– Nie rozumiem, dlaczego się do pana przyczepili – mruknął na powitanie Mateusz, który pozostawiony sam sobie wprawiał się w solidne zdenerwowanie.

– Krause nie żyje. Jako ostatni widziałem go żywego, a recepcjonista słyszał naszą kłótnię.

– Gdyby policjanci czytali kryminały, wiedzieliby, że człowiek, który kłócił się z ofiarą tuż przed jej śmiercią, nie jest mordercą.

– Wykorzystam tę zasadę jako argument przemawiający na moją korzyść. – Jan sięgnął po swój podbity futrem płaszcz. – Przestań się tym przejmować. Pójść tam muszę, a po powrocie zajmę się śledztwem.

– Może przygotuję panu sandwicze?

– Sprawdź alibi Artura Boratyńskiego na czas wybuchu – wycedził Jan. – I ustal,

kto jeździ dorożką numer sześćdziesiąt sześć. I dlaczego wciąż masujesz szyję? Czyżbyś spał na podłodze?

Schował do portfela karteczkę z kodem zabraną Oskarowi i wyszedł. Cel znajdował się niedaleko, na przeciwnym skraju podłużnego placu Wilhelmowskiego, Morawski postanowił więc pójść tam pieszo. Pogoda była piękna: słońce ukazało się nad dachami kamienic, śnieg wesoło chrząścił pod nogami i mróz lekko szczypał w twarz. Zapowiadał się cudowny dzień, w sam raz na kulig.

Dyrekcja Policji mieściła się za teatrem niemieckim, dzieląc budynek z aresztem. Jan wszedł do środka i zbliżył się do siedzącego za ladą policjanta.

– Otrzymałem takie wezwanie – rzekł i położył na blacie pismo.

Funkcjonariusz rzucił okiem na podsunięty papier i postukał ołówkiem w tabliczkę głoszącą: „*Dienststunden von 9–1 und 3–6*”.

– Ale tu jest napisane, że mam się zgłosić o ósmej.

– Pomyłka.

Jan odszedł i przystanął przy długiej ławce. Wahał się: czekać czy wrócić do Bazaru. Tuż obok jakiś starszy mężczyzna zamiatał podłogę.

– Jeśli pan odejdzie – rozległ się szept porządkowego – zarzucą panu, że się pan nie zgłosił.

Morawski lekko skinął głową, ale nic nie powiedział. W urzędach nie wolno było używać języka polskiego. Nigdy i nikomu.

Usiadł na twardej drewnianej ławce, wyciągnął notes, pióro i karteczkę z kodem, a potem próbował produktywnie spędzić czas. Nic jednak nie mógł wymyślić i po chwili złapał się na tym, że rysuje własne pióro: wiernie oddał zgrabny kształt stalówki z drobnym napisem „Parker Lucky Curve”, ale nie był zadowolony ze spiralnego reliefu otaczającego ebonitowy korpus.

Zaczął się rozglądać za gazetami, ale dostępne były tylko okólniki urzędowe, rozporządzenia regulujące każdą sferę życia i apele do mieszkańców, by informowali policję o zaobserwowanych nieprawidłowościach. W miarę upływu minut korytarze się zaludniały. Napływali głównie pracownicy, zarówno mundurowi, jak i cywile, a ich liczba przygłębiała. Słysząc tylko język

niemiecki i niemieckie nazwiska, a wszyscy wydawali się świadomi, że na tej odległej wschodniej placówce występują jako przedstawiciele Niemczyzny.

Minęło w pół do dziewiątej, gdy Jan usłyszał, jak policjant wywołuje jego nazwisko. Poprowadzono go do małego pokoju na pierwszym piętrze, gdzie za biurkiem siedział zmęczony czterdziestolatek z rdzawą wysypką na twarzy. Przedstawił się jako *Kriminal-Polizei-Kommissar* Schultz.

– Zapewne domyśla się pan, dlaczego pana wezwaliśmy, panie Morawski.

– Zapewne w związku z wczorajszym wybuchem. Wybierałem się w tej sprawie na ulicę Moltkego.

– Uznaliśmy, że tak poważne przestępstwo należy do naszych kompetencji. Chciałbym usłyszeć, co pana łączyło ze zmarłym Oskarem Krause.

– Wszystko to wyjaśniłem pisemnie komisarzowi Beckowi.

– Czytałem pana wyjaśnienie. – Komisarz uniósł leżącą przed nim kartkę. – A teraz chciałbym usłyszeć, co pana łączyło ze zmarłym Oskarem Krause.

– Współpracowaliśmy przy pewnej sprawie na zlecenie Reichsbanku.

– Przy jakiej sprawie?

– O to proszę zapytać radcę von Ballwitza z centrali banku w Berlinie.

Komisarz odchrząknął i poprawił się na krześle.

– Nie omieszkamy tego uczynić. Czekamy obecnie na potwierdzenie, czy w ogóle działa pan w imieniu Reichsbanku. – Przerzucił kilka papierów. – Jeszcze nie nadeszło, choć od razu potwierdzono fakt zatrudnienia pana Oskara Krause. – Spojrzał triumfalnie. – To daje do myślenia.

Morawski tylko wzruszył ramionami.

– W takim razie proszę opowiedzieć, co pan robił po przyjeździe do Poznania – zażądał policjant.

– Poszedłem do hotelu Concordia, poprosiłem recepcjonistę o spotkanie z panem Krause, udałem się do jego pokoju...

– Nie tak szybko. Zapomniał pan wspomnieć, że na dworcu kupił pan cygara w składzie pana Żychlińskiego. I polecił pan gdzieś je dostarczyć.

– Zgadza się. Do hotelu Bazar.

– Oprócz tego powierzył pan posłańcowi dwie torby, z którymi pan przyjechał. Co w nich było?

– W jednej kapelusz, cylinder i inne lekkie rzeczy, w drugiej koszule frakowe i może coś jeszcze.

– Jak wyglądał ten posłaniec?

– To był drobny chłopiec, sądząc po głosie i wzroście, mniej więcej dwunastoletni, ale równie dobrze mógł mieć dziesięć lub piętnaście lat. Ale jak wyglądał, nie wiem. Na zewnątrz szalała śnieżycy, więc posłaniec był w grubej kurcie, na głowie miał czapkę, dodatkowo owiniętą szalem. To był posłaniec sklepowy, więc wystarczy zapytać właściciela, jak wygląda i jak się nazywa.

– Tym już się zajęliśmy – zapewnił komisarz i coś zanotował. – Dobrze. Poszedł pan do hotelu...

– I tam też pojawił się posłaniec. I wszystko, co powiedziałem o tamtym, odnosi się również do tego. Szczupły, młody, opatulony. Twarzy nie widziałem, bo stał tyłem.

– To teraz proszę mi powiedzieć, o czym pan rozmawiał z denatem. Podobno kłócili się panowie?

– Spieraliśmy się, jak to między współpracownikami bywa. Mieliśmy odmienne poglądy na pewną kwestię zawodową.

– To były krzyki i groźby.

– Recepcjonista przesadza.

– Nie mówiłem, że to zeznał recepcjonista.

– Ja mówiłem, że to zeznał recepcjonista.

– I naprawdę nie zdoła pan sobie przypomnieć twarzy żadnego z tych posłańców?

– Nie mogłem zapomnieć czegoś, czego nie widziałem.

Rozległo się pukanie do drzwi, ktoś je uchylił i wywołał komisarza na zewnątrz. Morawski wstał, podszedł do jednego okna, do drugiego, wrócił do krzesła i usiadł. Po kwadransie przyszedł inny mężczyzna, krępy, siwy i wąsaty, i przedstawił się jako *Polizei-Rath* Gottschalk, szef *Kriminal-Polizei*.

– Nadal czekamy na potwierdzenie pańskich związków z Reichsbankiem – oznajmił. – Berlin nie odpowiada, a oddział poznański nigdy o panu nie słyszał. Bezsprzecznie natomiast udało się ustalić pana związki z tutejszymi Polakami. Mecenas Trąpczyński²² już u mnie był w pana sprawie. – Odchrząknął. – Tymczasem proszę mi opowiedzieć, co pan robił wczoraj po przyjeździe i co łączyło pana z Oskarem Krause.

Jan zacisnął zęby, by nie wybuchnąć, policzył do dziesięciu i powtórzył swe zeznanie, tym razem pamiętając, by wspomnieć, że widział sylwetki dwóch posłańców.

– I naprawdę nie zdoła pan sobie przypomnieć twarzy żadnego z tych posłańców?

Morawski wpatrywał się w radcę i rozważał, czy policjanci mają zamontowaną płytkę, jak w polifonie²³, i dzięki niej zadają te same pytania.

– Nie widziałem tych posłańców – odparł. Przez chwilę milczał, po czym odezwał się pojednawczym tonem: – Proszę posłuchać, panie radco. Przypisują mi panowie uknuć spisku i wysadzenie w powietrze współpracownika. Czy jakikolwiek konspirator zorganizowałby akcję, w której sam mógł zginąć? Przecież ta bomba tylko przez przypadek nie została dostarczona do pokoju Krausego, jeszcze gdy ja tam byłem.

Radca wolno pokiwał głową. Ktoś zapukał, drzwi się uchyliły i pan Gottschalk wyszedł. Wrócił po kilku minutach, bardzo podekscytowany, i oznajmił:

– Sytuacja się zmieniła. Musimy udać się w pewne miejsce.

Morawski zabrał płaszcz i kapelusz, a potem razem z radcą przemierzał labirynt korytarzy. Mijali wyłącznie mężczyzn, gdyż miejsce niemieckich kobiet było w domu, a wszyscy ci mężczyźni kłaniali się radcy i ustępowali mu przejścia. W pewnej chwili pan Gottschalk z Janem przystanęli przy kracie odgradzającej skrzydło dla aresztantów, ale zaraz otworzyły się drzwi po lewej stronie i wyszli na dziedziniec. Wsiedli do krytego powozu i ruszyli. Objechali plac, skręcili w ulicę Wilhelmowską, potem przed pięknym budynkiem Bazaru skierowali się w lewo, w ulicę Nową. Pojazd potoczył się w dół, dotarł do Starego Rynku i skręcił w prawo,

w ulicę Szkolną.

Zatrzymali się przed budynkiem z czerwonej cegły, który za sprawą wysokich szczytów przypominał fabrykę. Był to dawny klasztor Teresek, w którym kiedyś tymczasowo ulokowano chorych, mianując ten przybytek Szpitalem Miejskim. A choć potem próbowano wybrać inne miejsce, nigdy nie udało się nic znaleźć i szpital utknął w tej ciasnej uliczce na Starym Mieście.

Trwała tu obecnie kolejna już rozbudowa, połączona z wyburzeniem sąsiedniej kamienicy, i do wejścia trzeba się było wspinać po dostawionej drewnianej rampie. Radca i Jan zatrzymali się w holu, tam Niemiec przeprosił i odszedł do stojącego pod ścianą posterunkowego. Morawski zbliżył się do wielkiej tablicy z napisem „*Städtisches Krankenhaus*” i czytał nazwiska lekarzy, ale oprócz chirurga, doktora Drobnika, nie znalazł tam żadnego Polaka.

Obrócił się w stronę rozmawiających policjantów i próbował odgadnąć, co przełomowego zaszło. Kogoś najwyraźniej znalezione w szpitalu. Ale kogo? Jednego z pośłańców? Bo przecież nie Krausego.

– Chodźmy – rzekł pan Gottschalk, podchodząc do Jana.

Ruszyli korytarzem, z mundurowym zamykającym pochód, zeszli schodami do sutereny i znaleźli się przed błękitnymi metalowymi drzwiami. Napis głosił: „*Prosektur*”. Niżej wisiała mniejsza tabliczka: „*Prosektor Dr Otto Lubarsch*”²⁴. Posterunkowy nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Weszli i natychmiast otoczyła ich piwniczna wilgoć oraz odór środków odkażających. Morawski się wzdrygnął. Czekąca go identyfikacja Krausego.

Nie wiadomo skąd pojawił się niewysoki, szczupły mężczyzna z siwą bródką i nastroszonymi wąsami. Przywitał się z radcą, a Janowi ukłonił się i przedstawił: „Lubarsch”. Poprowadził ich do sąsiedniego pomieszczenia, zapalił światło i zobaczyli metalowy stół. Na nim pod prześcieradłem rysował się wyraźny kształt. Doktor chwycił obiema dłońmi skraj tkaniny i odsunął ją. Jan chyba jęknął. Na blacie leżał drobny chłopiec o jasnych włosach i sinej twarzy. Czubek jego nosa i brzegi powiek były zaczerwienione.

– Najprawdopodobniej zamarzł – powiedział patolog. – Znalezione go dziś rano

na podwórzu przy placu Wilhelmowskim. Czas śmierci nieustalony.

– Po raz ostatni był w miejscu pracy o piątej po południu – włączył się posterunkowy. – Ta część podwórza, gdzie go znalazł dozorca, zamykana jest o ósmej wieczorem.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem Morawski się pochylił. Przy jednym kąciku ust dziecka zobaczył coś beżowego.

– Widział pan to, doktorze?

– Tak. Mam zanotowane, by zwrócić na to uwagę podczas sekcji. Wykonamy też badanie treści żołądka, bo może coś mu podano. To by tłumaczyło, dlaczego zasnął i zamarzł.

– Nad ranem było piętnaście stopni mrozu – oznajmił posterunkowy i zaczął wymieniać fragmenty odzieży, w której znaleziono chłopca. – Twarz miał zakrytą czarnym szalem.

– Na którym znaleźliśmy kilka czarnych włosów, dość krótkich – dodał doktor Lubarsch.

– Czy pan go poznaje? – radca zwrócił się do Jana. – Czy to jemu powierzył pan wczoraj na dworcu paczkę?

– Być może. Nie wiem. Tamten wszedł z zewnątrz, więc był cały opatulony, bo padał śnieg. Zabrał paczki i natychmiast wyruszył z powrotem do miasta.

– Pan Żychliński ze sklepu z cygarami zidentyfikował go jako tego, któremu przekazał pan kupione cygara i własne torby.

Morawski tylko wzruszył ramionami.

– On wie lepiej ode mnie.

Wpatrywał się w to ciało, z którego uleciał już duch, i próbował zrozumieć całą tę sytuację. Nie było to łatwe, bo jego myśl wciąż biegła do matki tego dziecka.

„Policja szuka posłańca – analizował – który dostarczył bombę. Widział go recepcjonista. Jednocześnie badają moje kroki, bo jestem podejrzany. Odkrywają, że też wysłałem tego dnia rano posłańca. Potem pojawia się martwy chłopiec. Co robi policja? Wzywa obu świadków: właściciela sklepu (identyfikacja pozytywna) i recepcjonistę z hotelu”.

– Co powiedział recepcjonista z Concordii? – spytał cicho.

– Zaraz się pan przekona – odparł radca i skinął na posterunkowego.

Policjant wyszedł, a po chwili wrócił, prowadząc małego recepcjonistę, który miał na sobie kozuch, a futrzaną czapkę obiema dłońmi przyciskał do piersi.

– Proszę powtórzyć, co nam pan powiedział, panie Bajer – poprosił Gottschalk.

– To jest ten chłopiec, który wczoraj dostarczył paczkę dla pana Krause – oznajmił krasnoludek. – To jest on, jestem pewien. Przyszedł rano w czasie śnieżycy i zostawił paczkę. Dla pana Krause. Z cygarami. To jest ten chłopak, na pewno.

Policjanci i lekarz wpatrywali się w Jana. A on milczał, choć był przekonany, że recepcjonista nie mógł widzieć twarzy posłańca na tyle dokładnie, by ją rozpoznać.

– Chciałbym się upewnić, czy pan to rozumie – Gottschalk zwrócił się do Morawskiego łagodnym tonem. – Przekazał pan chłopcu coś na dworcu, on potem dostarczył to do hotelu, ale do Concordii, a nie, jak pan twierdzi, do Bazaru. Nastąpił wybuch. Teraz chłopiec nie żyje. Znalaziono go na podwórzu przy placu Wilhelmowskim, kilka kamienic od miejsca, gdzie wczoraj pan przebywał. Pozostawiono go tam między piątą a ósmą wieczorem. Co pan robił w tych godzinach?

– Byłem głównie w swoim pokoju hotelowym.

– Czy ma pan świadków?

– Nie na cały ten czas – odparł nieobecny głosem Jan.

Nie zajmował się teraz wnioskami śledczych, nie zwrócił uwagi, że posterunkowy wyszedł. Raz po raz odtwarzał z pamięci przebieg tamtej sceny: wejście do hotelu Concordia, rozmowa z krasnoludkiem, otrzepywanie płaszcza ze śniegu, przybycie posłańca, narzekania na hotelowego boya, dzwonek. Przy trzeciej powtórce coś drgnęło.

– Mam pytanie – zwrócił się do recepcjonisty, który wzdrygnął się i schował za radcą Gottschalkiem. – Gdy ten posłaniec przekazał paczkę, narzekał pan na hotelowego pikolaka.

– Tak, tak, wyszedł i przepadł. Jak kamień w wodę. Zostawił mnie ze...

– Podejrzewał pan – przerwał mu Morawski – że celowo odłożył ręczny dzwonek

wysoko na półkę, tak by nie mógł pan po niego sięgnąć.

– Tak, wisus jeden, ciągle to robi. Ciągle i ciągle. A tam nie da się przystawić krzesła i nie mogę tego zdjąć. Więc jak chcę zadzwonić na tego nicponia...

– Panie doktorze, czy zmierzył pan chłopca?

– Oczywiście – przytaknął patolog i zajrzał do notatnika. – Sto czterdzieści dwa centymetry.

– A czy mógłby pan zmierzyć tego pana? – Jan wskazał recepcjonistę.

Pan Bajer protestował, ale przystawiono go do ściany, oznaczono jego wysokość i zmierzono ją. Sto czterdzieści sześć centymetrów.

– Proszę mi wyjaśnić – zagadnął Jan – jak niższy od pana chłopiec zdołał zdjąć z półki dzwonek, do którego pan nie mógł sięgnąć.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nie wiem.

– Panie Bajer – wycedził radca Gottschalk – proszę spojrzeć jeszcze raz na tego chłopca, a potem przysięgnie pan na Biblię, że to on dostarczył wczoraj paczkę do hotelu.

Krasnoludek, desperacko tuląc do siebie czapkę, spojrzął na siną twarz dziecka.

– Za składanie fałszywych zeznań – poinformował go Jan – grozi kara więzienia.

– Nie widziałem jego twarzy – wyznał mały pan Bajer, spoglądając błagalnie na Gottschalka. – Nie widziałem. Nie dokładnie. Cały był zakryty czarnym szalem. Przepraszam. Mówiliście, że ten był zakryty szalem. Pomyślałem, że to na pewno ten sam szal. Na pewno. To przecież musiał być ten sam szal, prawda?

– Proszę poczekać na mnie na zewnątrz – polecił radca, a gdy kajający się krasnoludek wyszedł, popatrzył na Morawskiego.

– Przecież nie zlecałbym dostawy bomby w czasie, gdy sam tam byłem – powtórzył Jan swój argument. – A recepcjonista w Bazarze potwierdzi, że chłopak naprawdę dostarczył do nich moje rzeczy.

– Czy zgodziłby się pan na najprostszy test? – odezwał się doktor Lubarsch. – Chciałbym obejrzeć pański włos pod mikroskopem i porównać z jednym z tamtych znalezionych na szalu. Zamierzałem je obejrzeć, a tak od razu będę miał je razem.

Morawski wyraził zgodę, doktor przyniósł więc pęsetę i kartki papieru, a potem

wyrwał Janowi trzy włosy: ze skroni, znad czoła i z czubka głowy. Każdy włos wsunął do osobnej kopertki utworzonej z papieru, po czym zrobił na nich jakieś adnotacje ołówkiem. Zabrał pakieciki i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Widzieli, jak siada przy stole, zapala lampę przy mikroskopie i przygotowuje próbki.

Nagle drzwi się otworzyły i ktoś wszedł. Jan stał tyłem do wejścia, więc nie widział kto, ale zobaczył, że Gottschalk napina szczękę, a potem przywołuje na twarz uprzejmą minę.

– Radca von Schliemann! Dzień dobry! Co pana tu sprowadza?

Morawski powoli się odwrócił i zobaczył wysokiego mężczyznę, mniej więcej pięćdziesięcioletniego. Kwadratowa szczęka i krótko ostrzyżona jasna czupryna przywodziły na myśl pruskiego oficera, ale temu stereotypowi przeczyły okulary w złotych oprawkach. W klapie jego płaszcza lśnił okrągły znaczek z czarnym orłem.

– Doskonale pan się sprawił, Gottschalk – oznajmił pan von Schliemann dźwięcznym głosem. – Spotkałem posterunkowego i powiedział, że dowody są niepodważalne, a sprawa wyjaśniona.

– To nieaktualna wiadomość. Główny świadek wycofał zeznanie.

– Więc znajdźcie innego świadka – poradził nowo przybyły. – Wszystko jest jasne. Polak wysłał bombę, a potem zabił chłopaka, by nie zdradził, kto zlecił dostawę.

– Nie rozumiem, dlaczego wtrąca się pan w moje śledztwo.

– Mam powody przypuszczać, że tło tej historii jest polityczne. A to moja działka.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł głos przesuwanego krzesła. W drzwiach pojawił się doktor Lubarsch i z niechęcią spojrział na radcę Schliemanna.

– Włosy znalezione na szalu nie są włosami tego człowieka – oznajmił. – A co ciekawe, te z szala nie mają cebulek. Są martwe. Jakby wypadły z peruki.

– Proszę zachować te naukowe teorie do swych ekspertyz – poradził pan Schliemann. – Zatrzymujemy tego człowieka. Ma motyw i nie ma alibi.

– Jaki motyw? – zdenerwował się Gottschalk. – Polityczny? To śledztwo

kryminalne i takie podstawy nie wystarczają do aresztowania.

Do prosektorium wpadł posterunkowy.

– Jest depesza z Berlina – wydyszał i podał radcy Gottschalkowi papierowy pasek.

– Przejdźmy tam. – Pan Schliemann wskazał biuro doktora Lubarscha.

Niemcy przeszli do pomieszczenia obok, ale idący na końcu lekarz zostawił lekko uchylone drzwi.

– „*Herr* von Morawski działa na zlecenie Reichsbanku – czytał Gottschalk. – Wiele zasług w przeszłości. Misja tajna”. To przesądza sprawę, musimy go puścić.

– Uważam, że trzeba Morawskiego aresztować.

– Nie mamy podstaw. Trampczyński już mnie naciskał.

– Mamy podstawy. Dał coś chłopakowi na dworcu. Kłócił się z denatem. Nie ma alibi na wczorajsze popołudnie.

– Nie mamy dowodów. Recepcjonista zmienił zdanie, a włosy nie są jego.

– To się nie liczy.

– Wie pan, radco von Schliemann – do policyjnej szermierki włączył się doktor – jaka jest różnica między panem, prawnikiem, a mną, naukowcem? Pan tworzy tezę, a potem zbiera fakty, które tę tezę potwierdzają. A ja zbieram wszystkie fakty, by z nich stworzyć tezę. I według mojej oceny więcej faktów potwierdza niewinność tego człowieka.

– Nie zatrzymuję go – oznajmił Gottschalk.

Schliemann otworzył drzwi, przemaszerował obok Jana i wyszedł z prosektorium.

²² Wojciech Trampczyński (1860–1953) – adwokat, bronił polskich interesów w wielu procesach politycznych. W latach 1901–1911 zasiadał w poznańskiej radzie miejskiej. Wybitny parlamentarzysta. Poseł do sejmu pruskiego (1910–1918) i parlamentu Rzeszy (1912–1918). Naczelnny prezes prowincji i rejencji poznańskiej w czasie powstania wielkopolskiego. W okresie II Rzeczypospolitej marszałek senatu (1922–1928), poseł (1928–1935).

²³ Polifon – instrument odtwarzający muzykę zapisaną na wymiennej perforowanej płycie. Zwany też pozytywką płytową.

²⁴ Otto Lubarsch (1860–1933) – niemiecki patolog, działał w Poznaniu w latach 1899–1904. Dyrektor

Instytutu Higienicznego i kierownik kostnicy w Szpitalu Miejskim.

ROZDZIAŁ 7

Zanim Morawski zdążył ochłonać, do prosektorium wszedł doktor Chłapowski.

– Skoro wyleciał stąd wściekły, to znaczy, że cię puszczają.

Jan uśmiechnął się i skinął głową. Zbliżyli się panowie Gottschalk i Lubarsch, przywitali z nowo przybyłym, a potem radca zaproponował, by polski lekarz spojrział na ciało chłopca.

– Ktoś będzie musiał poinformować rodzinę o jego śmierci. Pan Żychliński prosił, by go z tego zwolnić, więc może pan, doktorze...

– Nazywał się Ignacy Błachowiak – oznajmił doktor Lubarsch, gdy stanęli przy stole.

– Nie znam – stanowczo odpowiedział pan Chłapowski i odsunął prześcieradło. – Oczywiście, że go znam – zmienił zdanie. – Leczyłem go, gdy oblał lewą dłoń wrzątkiem.

Pan Lubarsch odsłonił lewą rękę zmarłego, z typowymi śladami po oparzeniu. Doktor Chłapowski pokiwał głową i mówił dalej:

– Za uchem, też lewym, blizna. Przewrócił się i uderzył o poręcz. Założyłem szwy. Mieszkają na Wrocławskiej, w suterenie. Na podwórzu jest kuźnia. Szóstka dzieci, matka wdowa, zarabia praniem. Jedno z dzieci niewidome, dwoje ma chorobę piersiową. On był najstarszy.

Radca Gottschalk wpatrywał się w lekarza, a potem podrapał się po głowie.

– Powie jej pan?

– Ano powiem – westchnął Chłapowski. – Skoro nie ma innego wyjścia. Najlepiej nadałby się ktoś z rodziny, ale nie wiem, czy ona kogoś ma.

Ustalono, że doktor przekaże matce tragiczną wiadomość i dopilnuje, by kobieta zgłosiła się w celu potwierdzenia tożsamości dziecka. Jan natomiast poprosił doktora Lubarscha o możliwość obejrzenia szala, którym zakryty był chłopiec.

Pokazano mu męski szal, czarny i niedrogi. Morawski podziękował i razem z doktorem Chłapowskim wyszedł ze szpitala. Minęło już południe, słońce zalewało świat jaskrawym blaskiem, od którego bolały oczy. Jan westchnął. Czuł się, jakby wracał z Hadesu.

– Pójdę z panem do matki chłopca. To przeze mnie został wmieszany w tę sprawę.

– Najpierw musimy załatwić coś innego.

Skręcili w ulicę Gołębią i podeszli do drzwi jakiegoś handelku – tak nazywano w Poznaniu małe sklepiki obsługiwane przez właścicieli. W środku, nad skrzynkami z kapustą i ziemniakami, wisiała kartka:

*Posyłki zał
atwiam sumi
ennie i tani
o*

Lekarz kazał Janowi napisać list o swym uwolnieniu do „tego, co z nim przyjechał”.

– Już dwa razy mnie dzisiaj nachodził. Obiecałem, że dasz mu znać, co z tobą.

Jan zdjął gumkę spinającą notes, wyrwał kartkę i nagryzmolił uspokajającą wiadomość dla Mateusza. Podał liścik przywołanej dziewczynie i chciał zapłacić, ale właściciel stanowczo zaprotestował.

– Nie ma mowy. Toż przecież ona żyje tylko dzięki doktorowi – stwierdził, po czym zwrócił się do córki: – Biegnij.

– Jak się czuje żona? – zagadnął doktor Chłapowski. – Lepiej jej poza miastem?

– Prawie wyzdrowiała. Nadal jest u tych gospodarzy, co to ich pan doktor wynalazł. A wyzdrowieje zupełnie, jak się tam wszyscy przeniesiemy. Mam na oku mieszkanie i sklep na Jeźycach. Potrzebny będzie remont, ale spółdzielnia obiecała mi kredyt.

– To by było świetnie. – Lekarz pokiwał głową z aprobatą.

Opuścili sklep i szli w stronę ulicy Wrocławskiej, a doktor opowiadał:

– Połowa moich pacjentów natychmiast odzyskałaby zdrowie, gdyby poprawiono warunki mieszkaniowe.

– Chodzi panu o zagęszczenie?

– O zagęszczenie i wszystko inne. O brak przewiewu i brak roślin, o głębokie, zabagnione fosy, które są wylęgarnią paskudnych chorób. Warunki higieniczne są opłakane, a nawet nie chcę ci opowiadać o śmiertelności dzieci. Wedle ostatniego raportu na siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców siedem tysięcy mieszka w piwnicach. – Dotarli do ulicy Wrocławskiej. – Muszę tu zajrzeć do pacjenta. Wejdiesz ze mną?

Jan wolał poczekać. Obejrzał witrynę sklepu oznaczonego szyldem „*Kurzwarenhandlung*” i pomiędzy różnymi tasiemkami, kłębkami wełny i guzikami wypatrzył niebieskie i czerwone motki jedwabnych nici. Naraz z przeciwnej strony jezdni dobiegł gromki krzyk. Morawski obrócił się i zobaczył mężczyznę w wielkim futrze. Spod kudłatego okrycia wychylał się garnitur w krzykliwą żółto-wiśniową kratkę. Pan Ludwik Jankowski, wielbiciel ostryg i arystokratycznych pańienek, stał na chodniku przed jakąś budową, wokół niego zgrupowało się kilku mężczyzn, a on podniesionym głosem wydawał im polecenia. Gdy skończył z jednym z podkomendnych, ten odchodził, a wódz zwracał się do kolejnego żołnierza. Potem skinieniem dłoni przywołał dwóch czekających w pobliżu posłańców i coś im powiedział. Chłopcy odbiegli, a pan Ludwik stał podparty pod boki i oglądał powstający budynek.

– Pan Jankowski buduje dla siebie dom? – spytał Jan, gdy doktor do niego dołączył.

– Ten buduje na sprzedaż lub wynajem. Za mizerne to dla niego. Dla siebie stawia olbrzymią kamienicę przy Nowym Rynku. I chyba tam właśnie idzie.

Pan Jankowski porzucił budowę przy Wrocławskiej i zaskakująco żwawym krokiem oddalał się ulicą Gołębią.

Doktor z Janem ruszyli w stronę Starego Rynku. Przy ulicy Wrocławskiej stały domki z końca XVIII wieku, zwykle parterowe z wystawką, przypominające miniaturowe pałacyki. Skręcili w drugą bramę po prawej stronie i znaleźli się na

podwórzu. Naprzeciw widoczna była kolejna brama, prowadząca na ulicę Jezuicką, równoległą do Wrocławskiej. Od frontowego budynku odchodziły skrzydła; w tych bocznych częściach lokowano zwykle warsztaty rzemieślnicze, w tym konkretnie przypadku była to kuźnia, o czym informowała tablica nad wejściem przedstawiająca cztery młotki. Niewielki dziedziniec wypełniały krzyki, łoskot narzędzi, tłuczenie metalem o metal, chrobot łańcuchów, rzenie podkuwanych koni.

Doktor otworzył drzwi w ścianie głównego budynku, zeszli po kilkunastu ceglanych stopniach i znaleźli się w niewielkiej sionce, prawie całkowicie zagłębionej w ziemi. Pan Chłapowski zapukał w koślawe drzwi i ktoś gwałtownie je otworzył. Naprzeciw ukazała się zmęczona, wychudła kobieta z dzieckiem w ramionach. Dwoje innych szkrabów tuliło się do jej szarego płóciennego fartucha.

– Pan doktor? – spytała zdumiona. Po chwili na jej twarzy ukazał się cień uśmiechu. – Pan pewnie do Ignasia? Nie wrócił wczoraj, nie wiem dlaczego, ale lada chwila mój brat go znajdzie.

Lekarz patrzył na nią i kilkakrotnie szarpnął brodę. Pani Błachowiak ustąpiła im przejścia i mężczyźni weszli.

Jan chyba nigdy jeszcze nie czuł takich wyrzutów sumienia. A to wnętrze – ciasne, ciemne, wilgotne – jeszcze zwiększało ten ciężar. Oprócz stołu i kilku krzeseł stał tam piecyk, na którym coś bulgotało, i kredens bez drzwiczek w górnej części. Dwa okna umieszczono wysoko, tuż pod sufitem, ale od zewnątrz zostały czymś zastawione i światło dzienne prawie tu nie dochodziło. Na stole stała mała lampka paląca się rachitycznym płomieniem, jakby też chorowała na gruźlicę. Przez otwarte drzwi widać było jeszcze pokój, jeśli można tak nazwać kliteczkę, której całą powierzchnię zajmowały dwa łóżka zarzucone siennikami.

– Coś się mogło stać... – zaczął doktor.

– Na pewno nie – pokręciła głową i wskazała gościom rozchwierutane krzesła. – On jest taki rozważny.

– Nigdy nie spotkałem wspanialszego chłopca – rzekł ciepłym głosem lekarz.

– Prawda? – rozjaśniła się. – Wszystkie mi go tu zazdrozczą. Od małego chodził po sprawunki, a jak miał osiem lat, znalazł sobie pracę – opowiadała, zwracając się

do Jana. – Zbierał szmaty, papier, różne żelastwo, butelki, a potem zamieniał to u lumpenzamlera²⁵ na igły, nici, zeszyty, naczynia. Roznosił bułki i mleko, gazety. I jeszcze chodził do szkoły. Wszyscy w okolicy wiedzą, że jak trzeba kogoś do pomocy, to tylko posłać po Ignasia. Pan doktor pewnie też ma dla niego jakieś zlecenie, prawda?

Jan słuchał nieuważnie, bo pochłaniały go własne rozważania. Wczoraj powierzył paczkę posłańcowi ze sklepu z cygarami Żychlińskiego – był to Ignacy Błachowiak, niższy niż recepcjonista, obecnie w prosektorium. Pół godziny później paczkę z bombą dostarczył do Concordii posłaniec wyższy niż recepcjonista, tożsamość i miejsce pobytu nieznane. Zamordowano jednak zupełnie niewinnego Ignacego Błachowiaka. Dlaczego? Dlatego że Morawski coś mu powierzył? A może mały Ignas coś jednak wiedział? Coś o młotkach przy wejściu na teren kuźni? Coś o klientach sklepu z cygarami?

Cisza, która nastąpiła, wyrwała Jana z zamyślenia. Dzieci przycupnęły u stóp matki, tylko sześciolatka dziewczynka siedziała na zydlu przy kredensie i wpatrywała się w przestrzeń.

– Ignas nie... – lekarz odchrząknął. – Czy Ignas ma dużo zleceń?

– Nie, odkąd rozpoczął prawdziwą dorosłą pracę u pana Żychlińskiego, co to pan doktor wie. Jako laufbursz²⁶ – dodała pod adresem Jana. – A oprócz tego chodzi do szkoły, ale tylko na dwie godziny wieczorem. To pewnie dlatego nie wrócił wczoraj. Musiał zostać w szkole i wysłał mi wiadomość, ale nie dotarła. A rano poszedł do pracy.

– Ta jego nieobecność jest bardzo niepokojąca – spróbował jeszcze raz doktor Chłapowski. – Musi pani przygotować się...

Kobieta wpatrywała się w mówiącego ze zmarszczonym czołem, ale lekarz umilkł, bo jeden z malców zawołał:

– Mama! Jeść!

Pani Błachowiakowa dała znak głową i najstarsza dziewczynka, może dziesięcioletnia, podeszła do piecyka, przystawiła sobie odwrócone do góry dnem wiadro, weszła na nie, a potem zanurzała w garnku chochlę i nalewała jakąś gęstą

breję do dwóch misek i kubka. Kubek podała niewidomej siostrze, miski ustawiła na stole, a obok nich położyła łyżki. Natychmiast przy każdym naczyniu usiadło po dwoje dzieci, sięgnęły po łyżki i bez ociągania zaczęły jeść to coś, co wyglądało jak rozgotowane w dużej ilości wody ziemniaki.

– Powinni dostawać mleko – cicho zauważył lekarz. – Poproszę żonę, żeby się tym zajęła.

– Pan doktor taki łaskaw...

– Może ja mógłbym pani pomóc? – nie wytrzymał Jan i sięgnął po portfel.

Przeniosła na niego wzrok i pokręciła przecząco głową.

– Pan chce pewno dobrze, ale ja pana nie znam.

Rozległo się szuranie w sieni i drzwi się otwały. Wszedł wysoki, wąsaty mężczyzna w stroju dorożkarza – ciężkim baranym kożuchu pokrytym granatowym sukmem i futrzanej czapce, na której widniał numer 62.

– Nie mogę go nigdzie znaleźć, siostro.

Doktor Chłapowski ciężko westchnął. Podeszedł do mężczyzny, ujął go pod ramię i wyprowadził do sieni. Tam szeptem wyjawiał mu to, czego nie potrafił wyznać matce. Potem lekarz razem z Janem wyszli, wdrapali się po schodach i zatrzymali na piekielnym podwórzu, w ścisku, hałasie i brudzie.

– Spójrz tylko – doktor przekrzykiwał stukanie młotów. – Przez tę kuźnię dzieci siedzą cały dzień w domu. I tak jest na każdym podwórzu: drukarnie, browary, warsztaty. A do tego stajnie, chlewy, kurniki. Wszyscy tu marzą o wyprowadzce poza centrum, do przyłączonych dzielnic, na Wildę, Łazarz. Taniej tam i zdrowiej.

Gdy znaleźli się na ulicy, Morawski zauważył, że symbol czterech młotków znajduje się także nad bramą wjazdową na podwórze. Ruszyli w stronę Starego Rynku.

– Co oni jedli?

– Ślepe ryby. Tak tu nazywają zupę ziemniaczaną. Czasami ze skwarkami lub cebulą. A jeśli matka pracuje poza domem, gotuje po prostu kocioł ziemniaków i dzieci jedzą je przez kilka dni na przemian z gzikim²⁷, z olejem, z kapustą. – Lekarz spojrzał na swego towarzysza. – Wracasz do hotelu czy idziesz ze mną?

– Idę z panem – odparł Jan bez wahania.

– Chodź zatem, mam tu na Starym Rynku jeszcze jedną pacjentkę, a potem odwiedzimy laboratorium Leśniewiczów.

Morawski drgnął.

– Tego chemika, Tomasza? – wygrzebał to imię z pamięci. Śledztwo w sprawie fałszerstw wydało mu się nagle tak odległe, jakby toczyło się rok wcześniej, a nie poprzedniego dnia.

– I jego ojca, lekarza i arcyidealisty. A o wpół do trzeciej zjemy z kimś obiad.

Doktor odwiedził nie jedną pacjentkę, ale trzy pacjentki i trzech pacjentów, a Jan już się nie wykręcał, lecz szedł razem z nim. Wszędzie powtarzała się ta sama scena: ubogie mieszkanie, zwykle w podwórzu, na którym kłębił się dym z licznych kominów, a do wszystkich murów były doklejone daszki, komórki i drewniane podesty, do których prowadziły schody. Lekarz wchodził, serdecznie witany, i badał, oglądał, radził. Nie pamiętał imion, pamiętał dolegliwości. Potem matka rodziny sięgała do wychudłej sakiewki, ale znajdowała za mało, więc przynosiła metalowe pudełko z wąską szczeliną w wieku i napisem: „Oszczędności”. Wtedy doktor Franciszek mówił: „Nie trzeba, proszę tego nie otwierać”. Wydawał końcowe zalecenia i zostawiał receptę z adnotacją: „Bez opłaty”.

Gdy wyszli z szóstego mieszkania, Jan spytał:

– Kto płaci za te leki? Pan? Przecież pan nawet nie przyjął zapłaty za żadną wizytę.

– Przyjmuję honoraria, przyjmuję, ale od dobrze miennych – wyjaśnił doktor po chwilowym zawahaniu. – Pieniądze te zanoszę do apteki Gierłowskiego, a on wydaje leki tym, którzy przyjdą z moją receptą.

– A jak... – zaczął Morawski, ale zamknął usta.

– A na utrzymanie rodziny zarabiam – uzupełnił lekarz – ordynując każdego lata w Kissingen. To są prawdziwe żniwa.

Jan słyszał o tej praktyce lekarza zdrojowego. Chłapowski zyskał renome dzięki swym genialnym diagnozom, ale największej sławy przysporzyła mu przygoda z pewnym Rosjaninem. Otóż doktor Franciszek zażądał za konsultację jakiegoś

skromnego honorarium, a pacjent, myśląc, że to pomyłka, dał dziesięciokrotność tej kwoty. Lekarz oddał mu nadpłaconą sumę, a Rosjanin wrócił do domu i odtąd polecał Chłapowskiego wszystkim swoim znajomym.

Oprócz tego specyficznego sposobu prowadzenia praktyki przez doktora jeszcze jedno zjawisko zwróciło uwagę Morawskiego podczas tej wędrówki. Odniósł wrażenie, że o ile kilka lat wcześniej Stary Rynek był zdominowany przez Niemców, teraz wyraźnie przybyło tu polskich sklepów.

Na przyległych ulicach było podobnie. Wracali Wrocławską i po prawej stronie minęli remontowane pomieszczenie, w którego oknie wisiał arkusz z napisem: „Polski szewc. Od marca”. W następnej bramie namalowano strzałkę: „Krawiec. Już przyjmuje”. Dalej w podwórzu urzędował stolarz, w suterenie działał sklep bławatny, w bocznej uliczce szynk. Wszystko to były przedsięwzięcia drobne, ale polskie.

– A kto płaci za to? – Jan powtórzył swe pytanie, pokazując nowo otwarty warsztat zegarmistrza.

– Sami płacą. A raczej pożyczają. Ze spółdzielni pożyczkowych, do których należą i do których wpłacają swe oszczędności.

– Te z tych skarbonek, które widzieliśmy?

– Tak. To małe kwoty, ale zasada jest taka, że spółdzielnie przyjmują najdrobniejsze wkłady, nawet jeśli mają stracić. Znasz przysłowie o ziarnkach i miarce. Te drobne wkłady pozwalają zwalczać lichwę i kredytują rozwój polskich przedsiębiorstw.

– Powiedział pan: „wpłacają”. Kto wpłaca?

– Wszyscy. I traktuj to dosłownie. Robotnicy, kupcy, rzemieślnicy, młodzież szkolna. Książeczki oszczędnościowe wystawiane są już od jednej marki. Cała rodzina wrzuca drobne do pudełka, potem to jest odnoszone do spółdzielni.

Wymijając zwały odgarniętego porządnie śniegu (za pozostawienie śniegu na chodniku dozorca groziła grzywna), przeszli na lewy trotuar. Przed bramą domu, w którym mieszkał zmarły posłaniec, Morawski przystanął. Chłapowski cofnął się do niego.

– Przecież nie zrobiłeś nic poza powierzeniem mu paczek. Chciałeś, żeby zarobił.

– To ja go w to wciągnąłem i on nie żyje.

– A nie sądzisz, że winę ponosi ten, kto załatwił mu pracę w tym sklepie?

– Czyli kto?

– Ja.

Doktor poszedł dalej, a Morawski po chwili go dogonił. Czuł się lżej.

Po przejściu pięćdziesięciu metrów Jan zobaczył idącego z przeciwka suchego starca z długą siwą brodą. Ubranie na nim wisiało, a oczy skrywały się za ciemnymi okrągłymi okularami. Szedł małymi kroczkami i laską badał grunt przed sobą.

– Witam, profesorze! – krzyknął doktor Chłapowski. – Właśnie idziemy do pana.

– Dzień dobry, Franiu – zawołał starzec nieprzyjemnie wysokim głosem.

Chłapowski serdecznie go uściskał, wprowadził do bramy, bo tarasowali chodnik, a potem przedstawił mu Jana.

– To profesor Agaton Leśniewicz – oznajmił Morawskiemu. – Już wkrótce będzie znany na całym świecie, gdy ogłosi wyniki swych badań nad nowym lekarstwem dla chorych na gruźlicę.

W tym momencie podszedł do nich mężczyzna w wieku Jana, wysoki, barczysty, o bardzo jasnej cerze i krwistych rumieńcach.

– Nie można cię, ojcze, nawet na chwilę zostawić samego – rzucił żartobliwie. – Od razu idziesz do pracy. – Ukłonił się Chłapowskiemu: – Dzień do-do-dobry, panie doktorze – wydukał.

Młodzi mężczyźni wymienili swe nazwiska – Jan Morawski, To-To-Tomasz Leśniewicz – i uścisnęli sobie dłonie. Cała czwórka podeszła do drzwi z tabliczką: „Laboratorium. Profesor A. Leśniewicz”. Tomasz wyciągnął z kieszeni klucz, upuścił go, podniósł i z trudem trafił do zamka. Potem wszedł pierwszy, by zapalić światło, i potknął się na jedynym stopniu. Gdy wreszcie znaleźli się we wnętrzu, jego rumieńce były jeszcze ciemniejsze, a on trzęsącymi się dłońmi urwał guzik od płaszcza. Odwiesił okrycia na haczyki i poszedł po fartuchy, a profesor zaprosił gości do śnieżnobiałego laboratorium. Tam prezentował Janowi dyplomy Tomasza

potwierdzające ukończenie studiów na politechnikach w Darmstadt i Akwizgranie, obu z pierwszą lokatą. Owadzimi palcami zdejmował ramki ze ściany i podsuwał Morawskiemu pod nos.

– Doktor Chłapowski wspominał, że jest pan lekarzem.

– Tak, ale nigdy nie praktykowałem – zapiszczał profesor. – Zawsze bardziej pociągały mnie badania. A gdy gruźlica zabrała mi żonę, postanowiłem poświęcić resztę życia na walkę z tą zmorą.

– I już jesteś bliski sukcesu – włączył się Chłapowski.

– Tak, czuję, że odkrycie jest na wyciągnięcie ręki. Oby mnie oczy nie zawiodły, tylko o to proszę Boga. Potem mogę oślepnąć.

– Gdybyś nie nadwyręzał tak oczu...

– Nie mam czasu na oszczędzanie się. Doktor Wicherkiewicz powiedział jasno: nic nie uratuje mi wzroku. A skoro tak, to należy go wykorzystać, póki jest. – Poklepał Chłapowskiego po ramieniu. – Nie lituj się nade mną, Franiu, nie wiem, czy jest inny taki szczęśliwiec na świecie jak ja. Chyba nikt nie ma takiego syna.

Akurat wrócił genialny chemik, po drodze wpadając na metalowy kubeł.

– Pracował już w laboratorium firmy Bayer w Barmen – chwalił się dumny ojciec – ale gdy go poprosiłem, by przyłączył się do moich badań, bez wahania rzucił tamtą pracę i przyjechał do domu.

Morawski słuchał ojca, a patrzył na syna. Tomasz usiadł przy bocznym stole, zdjął pokrowiec z mikroskopu, włączył bardzo silną lampę i zaczął rozkładać menzurki i probówki, odczynniki i rurki. O dziwo, jego ruchy były teraz precyzyjne, celowe. Niczego nie tłukł, niczego nie przewracał. Z gabloty wyciągał płaskie szklane pojemniczki i ustawiał je w rzędzie, potem oglądał kolejno pod mikroskopem. Z szuflady wyjął kajet i coś w nim notował. Był tak wysoki, jak oceniła Anastazja, Jan więc wykreślił go z listy potencjalnych dostawców bomby, mógł jednak być zleceniodawcą.

– Wszystko mi się w życiu udało – zapewniał profesor. – A teraz przepraszam, muszę przemyć oczy, bo zaczynają mnie piec.

– Pomogę ci – zaoferował się Chłapowski.

Gdy wyszli, Jan podszedł cicho do Tomasza i zajrzał mu ponad ramieniem.

– Ma pan bardzo charakterystyczne pismo – oznajmił, a tamten podskoczył z zaskoczenia. – Chyba widziałem je w sklepie pana Żychlińskiego w księdze zakupów.

– Nie by-by-byłem u niego od ty-ty-tygodni – padła odpowiedź i chemik pochylił się nad okularem. Jednocześnie wyciągnął dłoń i zatrzasnął zeszyt.

– Zupełnie nie orientuję się, gdzie leży Barmen – wyznał Morawski.

– Na północ od Ko-Ko-Kolonii.

– A kiedy wrócił pan do Poznania?

– Nie-nie-nie powinienem być w ogóle tu wra-wra-wracać.

– Nawet tak nie mów – błagał ojciec, stając w drzwiach. – Serce by mi pękło. Tak dobrze nam się pracuje. Bez ciebie nic bym nie zdziałał. I jesteśmy już tak blisko. – Obrócił twarz do Chłapowskiego: – Odkryliśmy, że pewne gatunki pleśni, takie jak ten, który formuje się na chlebie, mają nie zbadane dotąd właściwości lecznicze. To może być przełom. Podobny do tego odkrycia leku na raka, które ogłosiła „Gazeta Polska”. Czytałeś, Franiu?

Gdy Chłapowski wyznał, że nie, Tomasz wyciągnął czasopismo i bez zająknięcia przeczytał, że na początku tego roku dziennik rzymski „Messagero” opisał preparat doktora Ranelettiego używany w Rzymie z powodzeniem w leczeniu raka. Płyn ten, o nazwie Mirmol, wykazywał zdolność wysuszania złośliwych narośli, tak że stawały się nieszkodliwe.

Jan nie wierzył w takie cudowne wynalazki, o których informacje pojawiały się mniej więcej raz na miesiąc, ale trójka przyrodników, przekonanych o wszechmocy nauki, odniosła się do przeczytanej wiadomości z entuzjazmem. Pomyśleć tylko: rak był już uleczalny!

Wkrótce potem Chłapowski i Morawski pożegnali się i opuścili pracownię.

– Wyposażenie i utrzymanie takiego laboratorium pochłania zapewne fortunę – zauważył Jan.

– Pochłonęło już fortunę Agatona, więc teraz badania są finansowane z zysków polskich przedsiębiorstw, między innymi Związku Spółek i Bazaru.

– Bazar finansuje takie inicjatywy?

– Zgodnie ze statutem założycielskim Spółki Bazar trzecia część zysku przekazywana jest na rozwój rodzimego przemysłu i handlu, a także na dotacje dla organizacji. Dla Towarzystwa Naukowej Pomocy, Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk²⁸, Teatru Polskiego. A jeśli interesuje cię działalność Związku Spółek, to wkrótce będziesz mógł się wszystkiego dowiedzieć.

Wyszli z bramy i doktor wskazał kolejny budynek.

– Tu, pod numerem szesnastym, Niemcy założyli Instytut Higieniczny. Jego filarem jest doktor Lubarsch, twój znajomy z prosektorium. – Spojrzał na zegarek. – A teraz chodźmy. Za dwie minuty wpół do trzeciej, a nasz gość jest najbardziej zajęтым człowiekiem w tym kraju. Musimy kawałek się cofnąć. Restauracja, w której zjemy obiad, mieści się bliżej Starego Rynku.

– Z kim mamy się spotkać? – spytał Jan, gdy stanęli przed numerem trzydziestym ósmym.

Chłapowski obejrzał się.

– Właśnie idzie.

Z tej samej strony, z której oni przyszli, sztywnym krokiem nadchodził ogromnej postury ksiądz w zwykłym czarnym kapeluszu na głowie. Wszyscy mu się kłaniali i ustępowali przejścia, a on szedł jak taran, ledwo kogokolwiek dostrzegając. Gdy dotarł przed restaurację, zdjął kapelusz. Jan zobaczył krótko ostrzyżone włosy zaczesane do góry, wysoko uniesioną brodę i dumną minę.

– Wasza wielbność, oto Jan Morawski, o którym mówiłem księdzu rano. Janie, ksiądz patron Piotr Wawrzyniak²⁹.

²⁵ Lumpenzamler (gw. pozn.) – szmaciarz (od. niem. *Lumpensammler*).

²⁶ Laufbursz (gw. pozn.) – chłopiec na posyłki (od. niem. *Laufbursche*).

²⁷ Gzik – twaróg wymieszany ze śmietaną i cebulą; tradycyjna potrawa wielkopolska.

²⁸ Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (PTPN) – założona w 1857 roku i działająca do dzisiaj organizacja zrzeszająca naukowców wszystkich dziedzin. Celem statutowym było „pielęgnowanie nauki i umiejętności w języku polskim”. Wobec braku w Poznaniu wyższej uczelni i nasilającej się polityki germanizacyjnej od początku swej działalności PTPN zyskało wielkie znaczenie.

²⁹ Piotr Wawrzyniak (1849–1910) – ksiądz, działacz społeczno-gospodarczy. Współorganizator Związku

Spółek Zarobkowych, potem wicepatron związku, ostatecznie patron. Do końca życia kontrolował i ulepszał spółdzielnie, rozszerzał działalność związku. Tworzył spółdzielnie zbytu i zaopatrzenia rolnictwa.

ROZDZIAŁ 8

Wchodząc do restauracji, Jan kątem oka spoglądał na słynnego duchownego i przypominał sobie, co o nim słyszał: geniusz finansowy o niebywałym rozmachu i ekonomicznej intuicji; autokrata i despota; tytan pracy. A jak przedstawiały się fakty? Morawski wiedział, że ksiądz Wawrzyniak przejął z rąk poprzedniego patrona Związku Spółek Zarobkowych system spółdzielni zunifikowany, ale mało znaczący; że stworzył z niego czołową organizację finansową, zdolną nie tylko do bieżącego wspierania przedsiębiorców i gospodarstw domowych, ale też przeciwdziałania germanizacji i ustawom nadzwyczajnym.

Restauracja świeciła pustkami, bo godzina obiadowa minęła. Goście zdjęli okrycia: ksiądz patron pod płaszczem miał sutannę do kolan i czarne spodnie, natomiast lekarz oddawał hołd tradycji i nosił bardzo staroświecki dwurzędowy anielez³⁰ zapięty pod szyję.

Obsługiwał ich sam właściciel, pan Władysław Roehr, wyraźnie świadom zaszczytu, jakiego dostąpił, goszcząc dwie takie osobistości jak ksiądz patron i doktor Chłapowski. Był to piątek, dzień bezmięsny, panowie zamówili więc plendze³¹ z sosem grzybowym.

Gdy drzwi do kuchni się otwarły i powiał stamtąd aromat jedzenia, Jan poczuł, jaki jest głodny. Poprzedni posiłek jadł siedem godzin wcześniej, a potem zwiedzał różne zakazane miejsca, w tym siedzibę policji i prosektorium.

– Czy jest coś, co mógłbym zjeść od razu? – spytał. – Wystarczy mi nawet chleb.

Pan Roehr obiecał spełnić jego życzenie, ale po chwili wrócił i zaproponował na pierwsze danie zupę rybną, która została od obiadu. Morawski ochno się zgodził i po minucie postawiono przed nim głęboki talerz pełen nieprzejrzystego wywaru, w którym pływały białe kawałki ryby, a gdzieniegdzie także plasterki marchwi i listki laurowe. Zanurzył łyżkę i zaczął jeść. Zupa okazała się przepyszna – choć

może to głód, najpewniejsza przyprawa, tak ją dosmaczył – i zaskakująco ostra. Tajemnica się wyjaśniła, gdy po zjedzeniu wszystkiego Jan na dnie talerza znalazł cieniutką papryczkę.

Jedząc, przysłuchiwał się rozmowie swych towarzyszy: ksiądz Wawrzyniak opowiadał o czterech spółdzielniach, które zdążył zwizytować, odkąd rano przyjechał z Mogilna; po obiedzie wybierał się do Banku Związku Spółek na spotkanie z pracownikiem, którego niedawno zatrudniono do prowadzenia transakcji na giełdzie i do obrotu papierami wartościowymi, a potem zamierzał jeszcze pojawić się w Hotelu Francuskim, by wystąpić na koniec walnego zebrania akcjonariuszy spółki akcyjnej H. Cegielski.

Gdy Jan zaspokoił pierwszy głód, a zadowolony właściciel zabrał pusty talerz, ksiądz patron zagadnął:

– Doktor Chłapowski wspominał, że posiada pan pewien ciekawy raport.

Morawski wytarł dłonie i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wydobył płaski skórzany portfel, w którym przechowywał ważne dokumenty, otworzył go, znalazł właściwą kartkę, wyciągnął ją i podał patronowi. Ksiądz rozłożył papier i przeczytał.

– Szykują drugą falę kulturkampfu? – spytał cicho doktor Chłapowski.

– Tak sędzę. Ale nie pójda tą samą drogą. Tamto zawiodło, więc wymyślą coś nowego. Choć kierunek od siedemdziesięciu lat pozostaje niezmienny.

– Germanizacja? – włączył się Jan.

– Podporządkowanie sobie Polaków – odparł patron. Zetknął opuszki palców obu dłoni i wykladał: – Już w latach trzydziestych ustalono, że problemy sprawiają szlachta i duchowieństwo, polscy urzędnicy i gimnazjaliści. Wydano więc wytyczne: pozbawić szlachtę ziemi, podporządkować Kościół państwu, zniemczyć gimnazja, administrację i sądownictwo, dobrać niemieckich urzędników nie pod kątem znajomości polskiego, lecz lojalności, a ponadto roztoczyć opiekę nad chłopami, aby ich urobić i uczynić z nich podporę monarchii. I zawsze upośledzać Polaków, a forować Niemców.

– Ale dopiero po wojnie francuskiej powiał wiatr kultury – przypomniał doktor.

– Postanowiono zgermanizować duchowieństwo, aby tą drogą ułatwić asymilację Polaków.

– Tak, podporządkowany państwu Kościół miał być narzędziem unifikacji Rzeszy. Zaczęło się od uchwalenia w siedemdziesiątym trzecim roku „ustaw majowych”, które zapewniały państwu wpływ na obsadę stanowisk kościelnych. Potem ustanowiono małżeństwa cywilne, zakazano nauki religii w języku polskim w szkołach średnich. Opór hierarchów i księży spowodował represje, w tym także kary więzienia, oraz wprowadzenie dalszych zarządzeń antykościelnych. To wtedy zlikwidowano większość zakonów.

– A ludność opowiedziała się po stronie represjonowanych księży – dopowiedział Chłapowski.

– Co się wydarzyło, że Niemcy ustąpili? – spytał Jan.

– Nie zmienili zdania, o nie – gorzko uśmiechnął się patron. – Ale wyrósł im nowy wróg wewnętrzny, ruch robotniczy, i państwo potrzebowało sojusznika do walki z tym wrogiem. A w każdym razie nie chciało walczyć na dwóch frontach. Stopniowo wycofano się z wielu ustaw, niektóre jednak pozostały i Kościół musiał to zaakceptować. Ale dla nas to była mała cena w porównaniu z osiągniętym zyskiem. Bo kulturkampf doprowadził do moralnego wzmocnienia duchowieństwa, zjednoczył naród, zwiększył autorytet księży w społeczeństwie. A bez tego autorytetu nigdy nie udałooby się tak rozwinąć spółek kredytowo-oszczędnościowych. – Popatrzyl na wykaz. – Czy mogę to zatrzymać na kilka dni? Po niedzieli zwrócę.

– Oczywiście.

– A jak pan wszedł w posiadanie tego?

– Wolałbym nie wdawać się w szczegóły. W każdym razie osoba, która tym dysponowała, zginęła we wczorajszym wybuchu. Tuż po rozmowie ze mną.

– Prowadzi pan ciekawe życie. – Ksiądz patron uniósł brwi.

– „Ciekawe” nie jest słowem, którego bym użył. Po rozmowie ze mną stracił też życie posłaniec... chłopiec, któremu powierzyłem po przyjeździe do Poznania paczkę.

– Byliśmy właśnie u jego matki, by ją poinformować o śmierci syna –

powiedział cicho lekarz. – To dla niej tym większa strata, że chłopiec mimo młodego wieku był jej prawdziwą podporą.

– Chciałem pomóc tej kobiecie, dać pieniądze, ale nie przyjęła. Powiedziała, że mnie nie zna.

– Zaimponowała mi tą odmową – wyznał lekarz – choć przecież stykam się z nią od lat i wiem, jaka to silna osoba. Ale wiadomo, że heroizm i prawdziwą cnotę można łatwiej znaleźć w niższych klasach, gdzie ludzie zmuszeni są zmagać się z losem.

– Tak, prawdziwa cnota wymaga wysiłku – przytaknął duchowny, a jego ton stał się znaczący. – Czy jednak warto się wysilać na heroizm, skoro we współczesnym świecie najbardziej liczą się miałkie polityczne sukcesy i towarzyskie triumfy? – Zirytowany oparł się dłońmi o rant stołu i wyprostował ręce, odsuwając trochę krzesło. – W związku z tym co światlejsi rodzice uczą swe dzieci, że aby osiągnąć te sukcesy i triumfy, trzeba zgromadzić jak największy stos złota. I nie jest ważne, w jaki sposób zgromadzi się ten stos, byle tylko po drodze unikać zatargów z wymiarem sprawiedliwości. A gdy już zdobędzie się solidną ilość tego złota, nie trzeba będzie dłużej obawiać się konsekwencji łamania prawa, gdyż można wtedy kupić sędziów i samemu stanowić prawo. Taki sobie świat organizujemy my, chrześcijanie.

Chłapowski i Morawski wpatrywali się w niego, zdumieni tą perorą, a ksiądz po chwili wyjaśnił:

– Dziś w pociągu miałem okazję wysłuchać podobnych instrukcji udzielanych przez pewnego hrabiego jego synowi.

– Mógł mu ksiądz przypomnieć słowa o wielbłądzie i uchu igielnym – odpowiedział doktor.

– To jest przeciwny koniec skali, równie niebezpieczny – zaprotestował Jan. – Nie można stawiać nędzy na piedestale. – Naraz się zreflektował. – Proszę wybaczyć, że takim arbitralnym tonem wygłaszam opinie... Po prostu każda przesada jest błędem: dążenie do bogactwa za wszelką cenę, ale także uwznioślanie nędzy. Bieda nie uszlachetnia. Natknąłem się ostatnio na pewne zdanie Samuela

Johnsona³² i wydaje mi się, że trafił on w sedno. Brzmiało to mniej więcej tak: „Postaraj się nie być biednym. Niezależnie od tego, jaką kwotą dysponujesz, wydawaj mniej. Bieda jest wielkim wrogiem człowieczego szczęścia: niszczy wolność, pewne cnoty czyni niemożliwymi, inne zaś trudnymi do praktykowania”.

– Ja się z tobą zgadzam, przyjacielu – zapewnił ksiądz Wawrzyniak. – I staram się tę biedę zwalczać. Ale złoto nie może stanowić celu samego w sobie, tylko środek ułatwiający działanie.

– Widziałem dzisiaj na każdym kroku efekty działań księdza – ukłonił się ułagodzony Morawski.

– To odpowiedź na to, o czym wspomniałem na początku. Rząd upośledza Polaków, a foruje Niemców. Próbujemy to trochę wyrównać.

Właściciel w asyście młodej dziewczyny przyniósł gorące, świeżo usmażone placki ziemniaczane, po pięć na każdym talerzu, a obok talerzy postawił na stole miseczki z gęstym sosem z suszonych grzybów. Na czas jedzenia pierwszych dwóch plendzy nastąpiła cisza.

– Powiedział ksiądz – zagadnął Morawski – że zakładanie spółdzielni to walka z germanizacją. Skąd pomysł, by tak walczyć?

– Taka była potrzeba. – Patron jadł szybko i sprawnie: składał placki na pół, kroił na paski, złożone paski nabijał na widelec, smarował sosem, wkładał do ust. Następny! Nie chodziło o przyjemność, lecz zapewnienie organizmowi paliwa. – Taka była sytuacja. Po kongresie wiedeńskim Wielkopolska została odcięta od rynków zbytu na wschodzie, a wskutek rozwoju przemysłu i kolei nastąpił zalew tańszymi produktami niemieckimi. Całe branże tutaj bankrutowały. A rząd zaborcy nie tylko nie pomagał, lecz dążył do własnego rozwoju naszym kosztem. Mieliśmy stać się zapleczem rolniczym Rzeszy i niczym więcej. Po zjednoczeniu Niemiec różnice jeszcze się zaostrzyły, bo nowo powstałe Cesarstwo dzięki strumieniowi francuskiego złota parło ku potędze gospodarczej. Aby gonić Niemców, Polacy musieliby inwestować – kupować maszyny, wdrażać technologie, szkolić pracowników – a inwestycje wymagają pieniędzy. Zapewnić mógł je tylko kredyt.

– Nie było kredytu – włączył się doktor Chłapowski – była lichwa.

– Tak, to prawdziwa gangrena każdego społeczeństwa. Aby z nią walczyć, zaczęto zakładać towarzystwa pożyczkowe, najpierw w Poznaniu, potem w innych miastach. A trzydzieści lat temu powołano Związek Spółek Zarobkowych, zrzeszający spółdzielnie polskie w całym zaborze. Pierwszym patronem został ksiądz Szamarzewski i to on ujedynolicił cały system. Ale już wtedy związek miał jeden słaby punkt: nie pomagał spółdzielniom w polepszeniu płynności finansowej.

Umilkł i zajął się wycieraniem resztek sosu ostatnimi kawałkami placka. Gdy skończył, talerz lśnił, tak że można by go z powrotem schować do kredensu.

Doktor Chłapowski i ksiądz Wawrzyniak musieli wracać do swych obowiązków, ale ten ostatni zaproponował, by Jan odprowadził go kawałek, a dokończą rozmowę. Morawski z wdzięcznością – i z dumą – przyjął propozycję i poszedł zapłacić za posiłek. Z pewnymi kłopotami udało mu się przekonać pana Roehra, by przyjął należność, a potem złapał płaszcz i w biegu go zakładając, ruszył do wyjścia, gdzie lekarz i ksiądz się żegnali.

– Do wieczora – rzucił Janowi doktor Chłapowski i odszedł.

Pozostała dwójka ruszyła w stronę Starego Rynku. Morawski, choć sam chodził szybko, z trudem nadążał za galopującym duchownym.

– Znasz, oczywiście, zasadę spółdzielczości? – spytał patron.

– Zrzeszanie się jednostek dla osiągnięcia wspólnych celów.

– Dobrze. Spółdzielnie gromadzą fundusze własne i wpłaty zewnętrzne, aby móc z tego udzielać kredytów. Dzięki tym kredytom drobni wytwórcy mogą kupować więcej potrzebnych materiałów w korzystniejszych cenach, mogą kupować coraz lepsze narzędzia, przyjmować większe zamówienia. Mogą remontować warsztaty, uruchamiać działalność.

– Jednym słowem, współfinansujecie polskie życie gospodarcze.

– Zgadza się – patron zatrzymał się dla podkreślenia wagi tych słów – bo ochrona polskości i odparcie germanizacji są ideą nadrzędną.

– Zwykle nadrzędną ideą organizacji finansowych jest zarobek.

– Ale nie spółdzielni. Spółdzielnia nie jest od wypracowywania zysku.

Szli dalej wzdłuż południowej pierzei Starego Rynku.

– Ale kredyty są oprocentowane – wytknął Jan.

– Spółdzielnie kredytowe nie mogą zrezygnować z odsetek czy opłat za usługi bankowe, ale są one tylko minimalnie wyższe od kosztów. Wszelkie nadwyżki są uspołeczniane, bo powiększają fundusze niepodzielne lub są wypłacane jako dywidenda dla członków.

– I spółdzielnie nie próbują podnieść opłat, zarobić więcej?

– Pęd poszczególnych spółdzielni do nadmiernego zysku trzymamy w ryzach – zapewnił patron, lekko się uśmiechając. – Jest niezgodny z prawem spółdzielczym i władze niemieckie tylko czekają, by nas na tym przyłapać. Wykorzystają każdy pretekst, żeby nas osłabić, a potem zniszczyć. W tym miejscu – wskazał kamienicę na ulicy Szkolnej, tuż obok narożnika Starego Rynku – jeszcze rok temu był niemiecki skład naczyń. Teraz jest polska piekarnia. Kredytu udzielił Bank Przemysłowców, członek Związku Spółek. Mógłbym ci wskazać kilkanaście takich punktów tylko na Starym Mieście.

Szli w górę ulicy Nowej, po lewej stronie mijając wydłużoną fasadę Bazaru.

– Kto może należeć do spółdzielni?

– Każdy: chłop, ziemianin, kupiec, przemysłowiec, służąca, adwokat. Jedną z zasad spółdzielczości jest otwartość członkostwa. Oczywiście stawiamy pewne warunki. Członkowie muszą mieć zdolność kredytową i opisany stan majątkowy, muszą też cieszyć się dobrą opinią w pracy lub w parafii. Formalności są nieskomplikowane: podpis pod statutem, wpis na listę w sądzie rejestrowym, zakup jednego udziału.

– Ale skąd służąca ma mieć pieniądze na zakup udziału?

– Przy wstępowaniu wpłaca się na ułamek udziału. Reszta gromadzona jest latami, stopniowo, ze składek i podziału dywidendy.

– Czyli ja również mógłbym przystąpić?

– Tak. – Patron roześmiał się po raz pierwszy i huknął Jana po plecach. – Oczywiście, że tak.

– A jakie jest oprocentowanie wkładów?

Doszli do ulicy Wilhelmowskiej i ksiądz Wawrzyniak wskazał budynek po lewej

stronie.

– Tam, pod numerem dziewiętnastym, klient jednej ze spółdzielni, inżynier Zakrzewski, otworzy na początku marca skład maszyn. Będzie tam można kupić urządzenia do ogrzewania centralnego, dynamomachiny, iniektory. Wprawdzie niemieckie, ale firma handlowa jest polska. – Wskazał drugą stronę i polecił: – Idziemy w prawo. A jeśli chodzi o oprocentowanie, spółdzielnie same je ustalają, ale na takim poziomie, by było korzystniejsze niż w bankach akcyjnych. Od wkładów spółdzielnie płacą przeciętnie cztery i pół procent, od kredytu pobierają średnio sześć.

– To korzystniejsze oprocentowanie niż w Niemczech. Znacznie korzystniejsze.

– Zgadza się.

Przechodzili przez jezdnię przy Bibliotece Raczyńskich i patronowi ukłoniła się – wbrew zasadom Pani Etykiety – jakaś piękna dama.

– Dzień dobry pani. – Duchowny uchylił kapelusza.

– Kto to był? – spytał Jan, oglądając się za śliczną kobietą.

– Nie pamiętam.

Po chwili stanęli przed nową kamienicą po zachodniej stronie ulicy Wilhelmowskiej.

– To tu – oznajmił patron. – Nasza siedziba. Nie zapraszam, bo mam spotkanie.

– Oczywiście. – Jan skinął głową. Zaczynał się przyzwyczajać do bezpośredniości tego człowieka.

– Dokąd mam odesłać ten raport?

– Może ja się zgłoszę? W poniedziałek?

– Doskonale. O ósmej mam zebranie, o dziesiątej spotkanie w Banku Przemysłowców. Może o dziewiątej czterdzieści?

– Będę. Do zobaczenia.

Uścisnęli sobie dłonie i patron zniknął w bramie.

[31](#) Plendze – wielkopolska nazwa placów ziemniaczanych.

[32](#) Samuel Johnson (1709–1784) – pisarz angielski, twórca *Słownika języka angielskiego*.

ROZDZIAŁ 9

Morawski szedł ulicą Wilhelmowską w niezbyt optymistycznym nastroju. Wczoraj rano, gdy przyjechał do Poznania, śledztwo miało jeden wątek – fałszerstwa – z ewentualnym podwątkiem nieuczciwych machinacji Krausego. Teraz, po upływie nieco ponad trzydziestu godzin, nie żyły dwie osoby, ktoś zręczny próbował wmanewrować Jana w te morderstwa, a on sam czuł w powietrzu odór antypolskiego spisku. Nie wspominając już o tym, że śledztwo w sprawie fałszerstw tkwiło w miejscu. Od czego zacząć?

Zatrzymał się i zastanowił. Czy wśród tych wszystkich nitek była jakaś sprawa terminowa? Jedna: następnego dnia o dziewiątej rano radca Schliemann z policji politycznej miał się spotkać z Krausem (to już było nieaktualne) i z kimś jeszcze w dorożce numer 66. Morawski rozpiął dwa górne guziki płaszcza i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wydobył etui i zajrzał do listu odebranego z *poste restante*. Tak, sobota, dziewiąta rano, dorożka numer 66. Zamierzał wziąć udział w tym spotkaniu, choć jeszcze nie wiedział jak.

Szedł dalej i po kilkudziesięciu metrach dotarł do placu Wilhelmowskiego. Po prawej stronie miał Bibliotekę, a przed nią zobaczył ustawione jedna za drugą dorożki. Wydawały się identyczne, jak wszystko w tym kraju, odlane z jednej, odgórnie narzuconej formy. Różnił je tylko numer umieszczony na czapkach dorożkarzy, na lampach i z tyłu pojazdu. Morawski ruszył w kierunku postoju. Nie znał zasady nadawania numerów dorożkom, ale przypuszczał, że jakaś zasada istnieje – zadbali o to z pewnością systematyczni Niemcy. Trzy pierwsze pojazdy go nie zainteresowały, bo były oznakowane numerami 75, 12 i 38 i sztyldami z nazwami trzech różnych firm. Na lampie czwartej widniał numer 63, a na bocznych drzwiczkach tabliczka: „Paul Heptner”. Jan poszedł dalej, w stronę piątej dorożki. Na lampie zobaczył 69, a na drzwiczkach ponownie: „Paul Heptner”. Zadowolony kiwnął głową i wrócił do numeru 63.

Wsiadł i powiedział po niemiecku:

– Do dorożki numer sześćdziesiąt dwa.

– Gdzie? – spytał dorożkarz, odwracając się do pasażera.

Morawski wstał i polecił po polsku:

– Proszę znaleźć dla mnie dorożkę numer sześćdziesiąt dwa.

Usiadł. Po chwili pojazd ruszył.

Poszukiwania zajęły im ponad pół godziny. Objechali wszystkie postoje w centrum, potem wyjechali przez Bramę Wildecką i znaleźli dorożkę numer 62 na postoju na ulicy Następcy Tronu. Morawski sownie opłacił numer 63 i wsiadł do dorożki 62. Na drzwiczkach również widniała tabliczka: „Paul Heptner”.

Poprosił o zawieszenie na Stary Rynek, doszedł bowiem do wniosku, że podczas przejazdu przez centrum znajdzie się jakaś okazja do rozmowy. Rzeczywiście, już na ulicy Półwiejskiej musieli zjechać na bok, by przepuścić tramwaj elektryczny. Jan wtedy wstał i udając, że przygląda się zamieszaniu, powiedział półgłosem:

– Byłem dzisiaj u pańskiej siostry z doktorem Chłapowskim.

Dorożkarz spojrział na niego, ale Morawski go szturchnął.

– Policjant patrzy. Proszę się do mnie nie odwracać. Próbuję znaleźć tego, kto zabił pańskiego siostrzeńca. Muszę dzisiaj spotkać się z dorożkarzem numer sześćdziesiąt sześć.

Tramwaj przejechał, Morawski usiadł więc i ruszyli dalej.

– Gdzie mam się zatrzymać? – spytał dorożkarz po niemiecku. Nie wolno mu było rozmawiać po polsku.

– Przed kawiarnią Pfitznera.

Przystanęli tam i Jan wręczył fiakrowi pieniądze. Tamten wydał mu resztę i podał kwit.

– Kończę o siódmej – mruknął. – Proszę przyjść o ósmej przed remizę na Świętym Marcinie czterdzieści sześć.

Morawski nie odpowiedział, tylko wysiadł i ruszył do lokalu Pfitznera, najstarszej kawiarni w mieście. Po wewnętrznej stronie drzwi wisiał wielki afisz zawiadamiający, że w piątek piętnastego lutego o godzinie szóstej w Starej Sali

w Bazarze odbędzie się wiec skierowany przeciwko hazardowi karcianemu.

Morawski kupił pół tuzina ptysiów, za którymi przepadał Mateusz, choć on sam wolałby makaroniki, i z kartonem w ręku ruszył w stronę hotelu, myśląc o wielofunkcyjności Bazaru. Czegóż tam nie organizowano? Zebrania, wiece, odczyty; poświęcone sprawom patriotycznym, naukowym, politycznym, kulturalnym, także obyczajowym, jak ten dzisiejszy antyhazardowy. Koncertowano, protestowano, dyskutowano, wykładano. I tańczono, tańczono, tańczono. Niemcy mieli instytucje porozrzucane po całym mieście, Polacy jedną, wielozadaniową – Bazar.

Minął bramę wjazdową na podwórze hotelowe i przystanął przy kolejnym sklepie. Na wielkiej szybie widniał ozdobny napis: „Leon Kuczyński – Salon fryzjerski i sklep z artykułami męskimi”. Wszedł do środka. We frontowej części znajdował się skład z rękawiczkami, krawatami, koszulami, mankietami, spinkami i perfumami, ale Morawski minął te wszystkie dobra i poszedł dalej. Tam poprosił o pokazanie peruk, obejrzał je starannie, a gdy fryzjer szukał jakiegoś wyrafinowanego modelu, Jan wyrwał z czarnej peruki kilka włosów. Chwilę jeszcze pogawędził, kupił jakiś drobiazg i wyszedł, zawijając swą zdobycz w chusteczkę. Ruszył w stronę Wilhelmowskiej.

Wejście do nowego gmachu Bazaru znajdowało się dokładnie pośrodku parteru. Całą prawą stronę zajmował duży sklep, natomiast po lewej mieściły się trzy lokale: do sieni przylegała hotelowa winiarnia, do niej zaś dwa niewielkie sklepy, dostępne od ulicy Nowej.

Jan wszedł do sieni i przypomniała mu się chwila, gdy poprzedniego dnia zobaczył wychodzących z winiarni Maksa i Artura. Nacisnął ostrożnie klamkę i uchylił przeszklone drzwi. Pomieszczenie, do którego wkroczył, ciągnęło się wzdłuż całej sieni. W pierwszej części, której wielkie okno wychodziło na ulicę Wilhelmowską, stały stoliki i fotele, teraz puste. Dalej od okna urządzono kameralny zakątek, od strony wejścia przesłonięty częściowo drewnianym przepierzeniem. Unosił się stamtąd dym cygar i dobiegały męskie głosy.

– Zapewniam panów, że tych nowych banknotów nikt już nie zdoła podrobić – odezwał się ktoś, kto mówił przez nos. – Problem fałszerstw zniknie. A to przecież

my, bankowcy, mamy z tym najwięcej kłopotów, bo to w bankach zwykle wykrywane są fałszywki. Oczywiście mnie jeszcze nikt nie oszukał. Do szwindli mam nosa.

„Zatkanego” – zaśmiał się w duchu Morawski i delikatnie przymknął drzwi. Usiadł przy najbliższym stoliku, a Zatkany Nos gadał dalej, jakby czytał ulotkę:

– Te nowe banknoty są wzorowane na amerykańskich. Zastosowano w nich najnowsze techniki i niepowtarzalne materiały, na przykład specjalny papier ze skupionymi lokalnie włóknami. Gdy podniesiemy banknot pod światło, widać włókienka niby włoski lub krótko posiekaną słomę. Kumulują się one w jednej połowie noty – wzdłuż lub w poprzek.

Przerwał mu ktoś, czyj głos Jan rozpoznał od razu.

– W Stanach Zjednoczonych – wycedził pan Bernard Orzelski swym zasadniczym tonem – technika produkcji papieru z włóknkami nazywa się *localized fiber* i fałszerze już dawno podrobili taki papier. Po prostu nadrukowują te kreseczki.

– To nie jedyne zabezpieczenie – nie ustępował Zatkany Nos. – Wzdłuż banknotu w papierze będą zatopione jedwabne nici, czerwona i niebieska.

– To już również podrobiono. Fałszerze skleją dwa cienkie arkusze, a w środku umieszczają nitki.

– Tych zabezpieczeń jest mnóstwo – zirytował się wreszcie Nos. – Poza tym nadal będziemy dostawać specjalne okólniki informujące o kolejnych odkrytych przez policję fałszerstwach. Dzięki temu kasjerzy wiedzą, na co zwracać uwagę.

– Co za bzdura! – prychnął Orzelski. – Przecież fałszerze dzień w dzień wypuszczają nowe banknoty. Trzeba patrzeć na punkt, który najtrudniej podrobić, czyli na numery. Wiadomo, jaką sztuką jest przyłożyć pieczętkę dokładnie w wyznaczone miejsce.

– Ja patrzę na kolor – odezwał się znudzony głos Maksa Krajewskiego.

Nastąpiła cisza i Jan prawie widział, jak młody hrabia wydmuchuje dym dla podkreślenia, że ten temat właściwie go nie obchodzi i nawet cygaro jest ważniejsze.

– Nowe banknoty są białe, używane kremowe – ciągnął Krajewski. – A fałszywki

zwykle celowo brudzi się lub postarza nikotyną bądź kawą. To daje pozór długiego obiegu, pomaga ukryć słabe punkty fałszywki. – Znowu nastąpiła chwila ciszy. – Ludzie są nieufni wobec nowych banknotów i każdy fałszerz o tym wie. Tymczasem czysta biel stanowi prawie gwarancję autentyczności, brud powinien włączać alarm.

Wtedy rozległo się sapnięcie i do pogawędki włączył się pan Ludwik Jankowski:

– Tere-fere! Banki marnują pieniądze na wymyślanie nowych zabezpieczeń, a i tak fałszerze natychmiast wymyślają metody ominięcia tych przeszkód. Dobry fałszerz da sobie radę z każdym zabezpieczeniem, zapewniam panów. A co na to klienci? Ten patrzy na numerki, ten na kolorki. A wiecie, jeden z drugim, skąd się bierze problem fałszerstw? Fałszerze wyrosli na ignorancji obywateli. – Rozległo się szurnięcie krzesła i kroki, najwyraźniej więc pan Ludwik wstał. – Co jest na froncie dziesiątki? Co na odwrocie dwudziestki? Jaki kolor tylnej strony setki? Czy numer w kolorze, czy czarny? Nikt z was nie potrafiłby na to odpowiedzieć, panowie teoretycy. Gdyby wprowadzić do szkół naukę o banknotach, sztuka fałszerstwa upadłaby.

Pan Jankowski rzeczywiście wstał i pytania egzaminacyjne zadawał zebranim panom, każdego odpytywanego wskazując palcem. Niestety, wracając na swe miejsce, zauważył Jana.

– O, pan Morawski! Wypuścili pana?

Jan podniósł się i zbliżył do przepierzenia.

– Właśnie wróciłem – kłaniał się – i wszedłem tu, ale nie chciałem panom przerywać.

Rozejrzał się. Jedyńą nie znaną mu osobą był mizerny, niewysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, o okrągłej głowie, łysej na czubku. Miał jasnorożową prosiaczkowatą cerę i bezbarwne rzęsy.

Tamten przedstawił się: Henryk Terlecki, dyrektor Banku Przemysłowców (z naciskiem na „dyrektor”), i podał Janowi dłoń, lodowatą i bezwładną niczym martwa ryba.

Pan Ludwik przyniósł z baru czysty kieliszek, pokazał Janowi butelkę chambertina, a potem nalał, chlapiąc przy tym na blat.

– Byliśmy pewni, że nie wrócisz – rzucił beztróska Maks.

– Zamknęli cię w więzieniu? – rozległ się głos Artura.

Boratyński nie brał udziału w sporze banknotowym i Jan dopiero teraz uświadomił sobie jego obecność. Jak zawsze w towarzystwie Maksa, Boratyński wystylizowany był na niego i na nim koncentrował uwagę.

– Jeśli już, to w areszcie – skorygował pan Bernard. Siedział sztywno wyprostowany, trochę na uboczu, w tużurku i muszce, i wpatrywał się w odległe okno. Na jego dłoni trzymającej kieliszek załśnił sygnet. – Do więzienia trafia się po wyroku.

– Podobno jesteś zamieszany w ten wczorajszy wybuch – zagadnął Maks.

– A nie oskarżają pana o odurzenie tego posłańca? – dołączył się pan Ludwik.

Jan upił trochę wina (swoją drogą wyśmienitego, nie na darmo piwnice Bazarowe słynęły w całym Księstwie), oblizał usta i zapatrzył się na pana Jankowskiego. Wątpił, by ujawniono podejrzenie, że być może chłopcu podano środek odurzający.

– Udało mi się dowieść – odparł pogodnym tonem – że nie miałem nic wspólnego z tą eksplozją, ale akurat gdy byłem w Dyrekcji Policji, śledczy ustalili, że człowiek, który zginął w wybuchu, poprzedniego wieczoru, w środę, był w sklepie z cygarami pana Żychlińskiego i z kimś się pokłócił. Mają już chyba listę czterech osób, które tam były w ciągu pół godziny przed zamknięciem sklepu, i policjanci będą tych ludzi przesłuchiwać.

Morawski wypił kolejny łyk wina i odstawił naczynie. Naprzeciwko niego siedział Maks, pochłonięty układaniem równo małych kwadratowych podkładek i przesuwaniem ich po blacie.

– Akurat w środę byłem u Żychlińskiego, chyba o ósmej – odezwał się Artur. – Skończyły mi się papierosy, a nie zasnę, jeśli kilku nie wypalę. Poszedłem tam więc i wpadliśmy na siebie z panem Orzelskim. Wyszliśmy razem. I nikogo oprócz nas w sklepie nie było.

Jan z uprzejmym uśmiechem spojrział na pana Bernarda.

– To było o ósmej trzydzieści pięć – skorygował pan Orzelski i pogładził

smoliście czarną brodę. – Próbował pan bezskutecznie przekonać mnie o wyższości papierosów nad cygarami.

– Nie wytrzymam... – mruknął Artur i z irytacji potargał włosy.

– I rzeczywiście nikogo oprócz nas nie było – dokończył pan Bernard.

– Myślałem, że kupujecie gdzieś indziej – burknął pan Ludwik. – Nigdy was tam nie widziałem. Ale może to dlatego, że ja wpadam do Żychlińskiego zwykle tuż przed samym zamknięciem. Tak też było w środę. Zajrzałem tam chyba za dziesięć dziesiątą. Razem z Tomaszem Leśniewiczem.

Morawski pokiwał głową. Miał więc swoją czwórkę z księgi sklepowej, a raczej trójkę, bo chemik twierdził, że od dawna nie był u Żychlińskiego. Skoro jednak panowie tak chętnie się spowiadali – nawet jeśli wciskali mu kłamstwa – postanowił kuć żelazo póki gorące:

– A co się tyczy tej drugiej sprawy, śmierci posłańca, policja ustaliła, że znalazł się na tym podwórzu między godziną piątą po południu a ósmą wieczorem. Zostałem oczyszczony z zarzutu przyczynienia się do jego śmierci, ponieważ na cały ten czas mam alibi.

– To było wczoraj? – pytali, spoglądając po sobie.

I zaczęli przerzucać się wyznaniem:

– Ja wracałem z atelier z Janem – opowiadał Artur. – Rozstaliśmy się tutaj o wpół do szóstej...

– O piątej trzynastej – poprawił pan Bernard, a Boratyński spojrzał na niego ze złością.

– Niech będzie, w każdym razie potem poszedłem do domu i byłem tam aż do balu. Cioteczka może potwierdzić.

W to Jan nie wątpił. Pani Teresa potwierdziłaby każde zeznanie swego ulubieńca.

– Ja byłem w domu – włączył się pan Henryk.

– Ja wróciłem o szóstej z wizyty i czytałem – to był pan Bernard.

– Ja byłem w mojej papierni – oświadczył pan Ludwik.

Wszyscy spoglądali na Maksa, który tasował podkładki, układał je w stos

i przesuwał po stole. Jego gesty były dopracowane i mimowolne, a oczy kierował na każdego z mówiących. Gdy się zorientował, że czekają na jego deklarację, upił łyk wina i uśmiechnął się do Jana.

– Czy mnie się wydaje, czy ty nas przesłuchujesz?

Morawski lekko zmrużył oczy, a tamten zwrócił się do pozostałych:

– Rozmawialiśmy o fałszerstwach, ale należało o opinię poprosić Jana. Podobno odniósł kilka sukcesów w walce z fałszerzami i bardzo go cenią w naszym drogim Reichsbanku. Ale nie wiedziałem, że morderstwa też cię interesują. Chyba powinniśmy bardziej uważać na słowa, przyjaciele, bo wszystko, co powiemy, może zostać wykorzystane przeciwko nam.

Jan rozejrzał się po otaczających go twarzach: zobaczył urazę i narastającą nieufność. Wiedział, że nie odpowiedzą już na żadne pytanie. Przed chwilą był jednym z nich, teraz zmienił się w szpicla, we wroga. Uśmiechnął się do Maksa.

Zbliżył się młodziutki kelner.

– Przybiegł posłaniec ze Starej Sali. Za pięć minut zacznie się wiec.

– No nareszcie – podniósł się pan Jankowski. Wciągnął brzuch, co pozwoliło mu z czeluści kieszeni wydobyć zegarek. – Dziesięć minut spóźnienia. Czy oni nie rozumieją, że czas to pieniądz?

Pan Henryk Zatkany Nos Terlecki poderwał się, chwycił płaszcz i wyszedł, mrużąc: „Ja nic nie piłem”. To zapewnienie skierował do kelnera, który przyniósł podkładkę z rachunkami i podawał ją kolejno wszystkim panom, gdyż każdy płacił za siebie. Na końcu wręczył stosik panu Bernardowi Orzelskiemu. Ten podpisał swój kwit i przekazał podkładkę Janowi. Kelner spojrzał skonsternowany, bo na tego klienta nie był przygotowany.

– Napiszę na kartce moje nazwisko i numer pokoju – zaproponował Morawski.

Z kieszeni marynarki wyjął swojego parkera. Pióro zaczepiło się o skórzane etui i wyciągnął je razem, a potem z drugiej kieszeni wydobył czarny notes spięty gumką. Położył wszystko na stole, otworzył pióro, wyrwał kartkę z notesu, wpisał swoje dane i sięgnął po podkładkę z kwitami. Spojrzał na rachunek znajdujący się na wierzchu. Widniało na nim kilkanaście wpisów z kolejnymi datami, a wszystkie

były potwierdzone podpisem pana Bernarda Orzelskiego, ale podpis ten w niczym nie przypominał autografu, który Jan widział w sklepie z cygamami. Tamten podpis był pochylony w lewo, tutaj pismo stało prosto i było tak strzeliste, jak wieże gotyckich katedr.

– Oskar Krause, detektyw Reichsbanku? – rozległ się głos Maksa, a Morawski drgnął.

Gdy on czytał kwit, jego etui spadło na podłogę i wysunęły się z niego trzy karty wizytowe detektywa, który wyleciał w powietrze, razem z kopertą do niego zaadresowaną. Krajewski wszystko to podniósł i przeczytał. Jan spojrzął na otaczające go twarze. Przed chwilą widział na nich nieufność, teraz wrogość, a już pan Bernard Orzelski, spoglądający spode brwi i błyskający białkami oczu, wyglądał na rozwścieczonego.

Otworzyły się drzwi i zajrzał recepcjonista:

– Panie Jankowski, czekają na pana. Jako wiceprzewodniczący Towarzystwa Antyhazardowego ma pan zagaić zebranie.

– Biegnę.

W pół minuty winiarnia opustoszała i został w niej tylko Morawski.

ROZDZIAŁ 10

Jan poszedł na drugie piętro starego gmachu, z kieszeni wyjął klucz do swego pokoju, otworzył drzwi i zamarł. Zniknęły wszystkie jego rzeczy. Pokój był pusty. Cofnął się i sprawdził numer. 214. Nagle usłyszał swoje nazwisko. Korytarzem biegł recepcjonista.

– Hrabia Walewski – wydyszał – zwolnił apartament numer dwanaście na pierwszym piętrze i pański kamerdyner zdecydował, że się pan przeniesie.

– Doprawdy? To miło z jego strony.

Ruszył do nowego gmachu (tylko drugie piętro znajdowało się na tym samym poziomie w starym i nowym budynku) i zbiegł po schodach. Znalazł drzwi oznaczone numerem 12 i wszedł do sporego pokoju, urządzonego jak elegancki salon. W bocznych drzwiach ukazał się Mateusz.

– Już myślałem, że nigdy pan nie przyjdzie.

– Musiałem załatwić kilka spraw.

Morawski rozglądał się po wnętrzu, potem przeszedł do sypialni, gdzie znajdowały się już jego rzeczy. Łóżko było metalowe, znacznie szersze niż w tamtej celi w starym budynku, pod ścianą stały komoda i umywalnia z kamienną płytą, a naprzeciwko nich trzydrzwiowa szafa z wielkim kryształowym lustrem. W pokoju oprócz drzwi do salonu były także drugie, prowadzące na korytarz. Nacisnął klamkę. Były zamknięte, a klucz tkwił w zamku.

Wrócił do salonu. Przy stole stał Mateusz z kartonem od Pfitznera w dłoni. Takim samym jak ten, który trzymał Jan. Bez słowa wymienili się pakunkami. Morawski położył pudełko na blacie, rozwiązał wstążkę i uniósł wieko. Wewnątrz były dwa tuziny podwójnych, sklejonych kremem makaroników, po sześć z każdego koloru: beżowe, brązowe, różowe i zielone. Natychmiast sięgnął po zielonego. Ciastko było cudownie chrupkie, a krem aksamitny.

– Być może nie powinienem był decydować za pana – mówił Mateusz z pełnymi ustami, rozsiewając dookoła cukier puder – ale wynegocjowałem obniżkę o pięćdziesiąt procent. Wyjaśniłem dyrektorowi, że nikt inny tego nie wynajmie, bo ci, co mieli przyjechać na karnawał, już przyjechali.

– Walewski zrezygnował z tego królewskiego lokum czy kazano mu zrezygnować? – spytał Jan, który zjadł właśnie malinowy makaronik i uznał jego wyższość nad pistacjowym.

– Nie jestem pewien, ale wszyscy odetchnęli, gdy się zgodziłem to wynająć. Nawet w tej cenie. Po tym jak się wczoraj wydało, że hrabia jest goły, dyrekcja miała nie lada kłopot, co z nim zrobić. Mieszkał dwa tygodnie w najlepszym apartamencie, na kredyt oczywiście, a nie stać go nawet na pokój na poddaszu.

– Dokąd się wyprowadził?

– Znalaziono mu coś w starym gmachu. – Mateusz oblizał krem z palców i zachichotał. – Ale próbował jeszcze złowić pana na zięcia. Pytał, ile pan ma.

– I co mu powiedziałaś?

– Wyceniłem pana na dwieście tysięcy. Machnął ręką, burknął: „Potrzeba mi dziesięć razy tyle”, zawinął się szalem i odszedł. Mamy go z głowy. – Sięgnął po drugiego ptysia i tłumaczył dalej: – Musiałem zresztą wziąć ten apartament, bo nie mieściliśmy się z Markiem...

– Właśnie, co z nim? – Morawski zdecydował się spróbować wersji migdałowej.

– Wraca do sił – odparł po chwili Mateusz.

– To dobra wiadomość czy zła?

– Trudno powiedzieć. Ja będę spał na rozkładanym łóżku tu, a on zostanie na trzecim piętrze. Na razie wysłałem go na wiec antyhazardowy. Tu, w Bazarze. Podobno odczyt wygłosi doktor Chłapowski.

– O hazardzie?

– O szkodliwym wpływie hazardu na organizm człowieka. – Kamerdyner pokręcił głową. – Nie wiem, jak udaje mu się przyswoić i zapamiętać wszystkie te wiadomości. Przejrzałem w „Nowinach Lekarskich” wykaz jego prac i wierzyć mi się nie chciało, iloma zagadnieniami on się zajmuje: *O niemocie, O chorobach*

żołądka, O arteriosklerozie, O obłąkaniu, O diecie bez soli. I jakaś setka innych, w tym także o przyrodzie Księstwa.

– Ty nie wiesz, jak on przyswaja te wiadomości, a ja nie wiem, kiedy się tym zajmuje, bo cały dzień odwiedza chorych – stwierdził Jan i opowiedział Mateuszowi o hojności doktora i oddaniu pacjentom.

– To mi przypomina, że dzisiaj idzie pan na raut, z którego dochód przeznaczony jest na Towarzystwo Wincentego à Paulo. Prezesem Towarzystwa jest właśnie doktor Chłapowski. A po dwunastej bal.

Morawski pokręcił głową: nawet w piątek nie dadzą mu odpocząć od tańca. W karnawałowe piątki wprawdzie nie odbywały się bale, tylko rauty, ale ponieważ namiętnością narodową był taniec, tuż po północy, gdy już nastąpiła sobota, zaczynała grać orkiestra i pary ruszały na parkiet.

– Dobrze, że ten karnawał dobiega końca, bo zaczynam mieć dość – mruknął Morawski.

Wrzucił do ust kolejne ciasteczko i zdjął wreszcie płaszcz.

– W Poznaniu i tak nie jest źle – pocieszył go Mateusz – bo bale organizują towarzystwa, więc odpada mitręga tych wszystkich późniejszych dygestii³³. Co pan zdziałał?

Jan, chodząc po sypialni i salonie, zaglądając do szuflad i szaf, zrelacjonował Mateuszowi wydarzenia dnia: przesłuchania na policji, pobyt w prosektorium, odwiedziny u pani Błachowiak i w laboratorium.

– A wie pan, co mi przyszło do głowy? Że to wszystko wyszło na odwrót. Że Krause zginął przez przypadek, a celem zamachu był pan. Skoro się nie udało, postanowili zrobić pana w tę bombę. A to znaczy, że jest pan na tropie.

– Na jakim tropie, Mateuszu? – Morawski się skrzywił. – Przecież nic nie wiem.

– Mówię panu, że...

– Proszę cię. – Jan uniósł dłonie w uciszającym geście. Usiadł, rozwiązał i zdjął buty. – Jeszcze jedno. Ciekawą rozmowę podsłyszałem w Bazarowej winiarni, gdy wróciłem tuż przed szóstą.

Powtórzył, co usłyszał, a potem opowiedział, jak zebrani zareagowali na jego

sugestie, że coś ich łączyło z Krausem.

– Próbowałem przeanalizować, czy któryś z tej czwórki mógł być zamieszany w poprzednie afery Mistrza, i wyszło, że prawie każdy. Artur studiował w Monachium, Tomasz Leśniewicz pracował pod Kolonią, a Bernard Orzelski pomieszkuje w Wielkiej Brytanii, gdzie ktoś rozprowadził stopy tych rosyjskich fałszywek. Tylko o wyjazdach Ludwika Jankowskiego jeszcze nie słyszałem.

– Dwa razy w roku wyjeżdża do Rosji i kupuje tam drewno – rzekł Mateusz. – Popytałem tu i ówdzie.

– To od tej pory pytaj ostrożniej – zastrzegł Jan i opowiedział, jak Maks go zdekonspirował w winiarni.

Mateusz nie krył zaniepokojenia:

– Przecież każdy z nich może być tym fałszerzem. I to jeden z nich mógł urządzić na pana zamach. A teraz wiedzą, że pan ich tropi. Musi pan uważać. I nigdzie nie może pan sam...

– Zastanów się, co mówisz: skoro ktoś z nich urządził na mnie zamach, to właśnie dlatego, że wie, czym się zajmuję. I ta dzisiejsza rozmowa niczego nie zmienia. Powiedz, co ustaliłeś.

Kamerdyner przez chwilę wpatrywał się w Morawskiego, coś rozważając, aż wreszcie oderwał myśl od swej teorii spiskowej.

– Dorożka numer sześćdziesiąt sześć – oznajmił – należy do firmy Paula Heptnera, ich remiza mieści się na Świętym Marcinie.

Jan już otwierał usta, by powiedzieć, że sam to odkrył, ale uprzytomnił sobie, jak dobrze się stało, że nie wspominał o tym w swej relacji. Wiedział z doświadczenia, że opętany manią prześladowczą Mateusz ma zwyczaj otaczać go parasolem ochronnym i uniemożliwiać działanie. Na pewno starałby się przeszkodzić w eskapadzie, którą Morawski planował na sobotni rano.

– A Artur?

– Mieszka z siostrą i ciotką na ulicy Wilhelmowskiej osiemnaście. To niedaleko Świętego Marcina. Dozorca kamienicy, w której się mieści Atelier Rubens, twierdzi, że wczoraj młody Boratyński był tam i rano, i po południu.

– Artur zeznał stanowczo – rozważał Jan – że był w studiu, więc musiał mieć pewność, że ktoś z tamtego budynku to potwierdzi.

Przyniósł z sypialni tacę, na której Mateusz ułożył przedmioty powierzone mu tego ranka, i sięgnął po mikroskop kieszonkowy Oskara. Był to zmyślny przyrząd, rozkładany jak leżak plażowy, zbudowany z dwóch par połączonych poprzeczką nóg, na których wierzchołku mocowało się szkło. Jan wydobyl z kieszeni płaszcza próbkę włosów z peruki, a potem pęsetą wyrwał sobie włos ze skroni.

– Au! – jęknął kamerdyner.

Przez kilka minut wspólnie porównywali włosy z peruki i włos Jana. Różnica była wyraźna nawet dla ich amatorskich oczu: włos z peruki nie miał cebulki. Potem Mateusz wyrwał sobie włos z przedramienia i też poddał go oględzinom, a na końcu analizował wygląd drobin cukru pudru.

– A ma pan jeszcze te nowe banknoty? – przypomniał sobie.

Jan się zaśmiał i przysunął metalową kasetkę z eksponatami. Oryginalne noty nowej edycji i odbitki z monachijskich płyt otrzymał godzinę przed wyjazdem z Bawarii, toteż Mateusz nie miał dotąd okazji ich obejrzeć.

Na pierwszy ogień poszedł oryginalny banknot. Kamerdyner dotykał go, składał i łamał.

– Rzeczywiście, papier jest podobny do dolarów. – Założył okulary i spojrzał pod światło. – Są kłaczki i nitki ułożone wzdłuż. – Zgiął banknot na pół, prostopadle do długiego boku. – Te niemieckie też nie łamią się równo.

– To kwestia struktury papieru.

– Ale z wyglądu nie przypomina dolarów.

– Projekt jest niemiecki, Amerykanie dzielili się doświadczeniem w kwestii papieru i zabezpieczeń, radzili, co umieszczać na banknocie, by maksymalnie utrudnić życie fałszerzom. – Morawski wyciągnął z portfela aktualną wersję stumarkówki i położył ją na stole obok nowej. – W sumie okazuje się, że oprócz wyjątkowego papieru najważniejsze jest wielokrotne powtarzanie tych samych motywów: giloszy i fragmentów wzoru na marginesach, także wielokrotne umieszczanie nominałów. Bo gdy taki motyw zostanie opracowany na płytce...

– Na płycie.

– Na płytce. Kompletne płyty składają się z mniejszych fragmentów, przygotowywanych osobno przez ludzi lub maszyny. Każdy grawer specjalizuje się w czymś innym, każdy rytuje swoją część na miękkiej płytce mieszczącej tylko ten element. Te małe płytki, efekt pracy wielu ludzi, są utwardzane, a ich odcisk przenoszony za pomocą prasy na miękką stalową rolkę, rolka odbija to na płycie i z kolei ta jest utwardzana. Tę pojedynczą płytę transferuje się na większą płytę, na której można zmieścić cztery, sześć lub osiem banknotów.

Morawski wyjął z kasetki całą swoją kolekcję banknotów i kładł na stole najciekawsze eksponaty.

– Na banknocie można zmieścić wiele elementów różnego rodzaju. I nie chodzi tylko o ich walor informacyjny, mają też utrudnić fałszerstwo. Centrum stanowią winiety, zwykle postacie, rzadziej widoki bądź sceny wojenne. Dalej zwoje, bordiury, liczby, narożniki, także mandale geometryczne z umieszczonym w środku nominałem. Najbardziej skomplikowane fragmenty powstają dzięki specjalnym maszynom, które tworzą wzory absolutnie niepowtarzalne. Spójrz na tę dziesięciodolarówkę. – Jan położył na stole zielonkawy banknot. – Zobacz, ile razy powtórzony jest nominał, w jakich dopracowanych otoczkach. Na banknotach niemieckich bardzo rozbudowana jest pierwsza litera nominału zapisanego słownie, są winiety, ale zlekceważono zasadę duplikowania motywów, powtarzania nominałów i umieszczania ich wewnątrz mandali.

– Niemcy wzięli sobie te wytyczne do serca, bo na tym nowym banknocie sporo się dzieje – stwierdził Mateusz. – Dodali ozdobne nominały, narożniki, cienie liter. Nie ma już tyle wolnego miejsca. Zawsze odnosiłem wrażenie, że dwie strony tych niebieskich stumarkówek do siebie nie pasują. Jedna jest taka oficjalna, bankowa, dopracowana, a druga to po prostu portret trzech pań na błękitnym tle.

– Teraz te panie dostaną ciekawsze otoczenie.

Potem Jan powtórzył przyjacielowi, czego dowiedział się od pana Chrzanowskiego o odróżnianiu stalorytu od heliograviury. Mateusz obejrzał banknoty pod mikroskopem, potem w okularach, a następnie schował wszystkie do portfela, znowu je wyjął i sprawdzał, czy od pierwszego rzutu oka można rozpoznać

falszywy banknot. I stwierdził, że nawet wiedząc, na co patrzeć, dałby się nabrać na fałszywki wykonane w technice heliograviury.

Morawski zebrał swe zbiory i otworzył płaską metalową kasetkę. Spoczywały w niej jego pieniądze i koperta z poufnymi dokumentami przekazanymi przez firmę Lloyds, które w żadnym razie nie powinny trafić w niepowołane ręce. Ta sprawa dopiero nabierała rozpędu i nikt nie mógł się dowiedzieć, że obudziła zainteresowanie. Należało ten pakiet dobrze ukryć.

Schował fałszywki do kasetki, zamknął ją i przeszedł do sypialni. Podchodził do kolejnych mebli, wsuwał pod nie dłonie i macał dno.

– Tu będzie dobrze – stwierdził, wskazując komodę.

Mateusz zdjął z blatu kilka drobiazgów i przewrócili mebel na bok. Z szuflad dobiegł szum przesuwanych przedmiotów. Dno komody było umieszczone dziesięć centymetrów nad podłogą. Jan wkręcił w nie cztery piekielnie ostre śruby, a do każdej pary przytwierdził końce gumowo-skórzanego paska. W tych mocowaniach zawiesił kasetkę. Postawili komodę, a Morawski odszedł kilka kroków i przyklęknął, by sprawdzić, czy skrytka jest niewidoczna. Zniknęła za ozdobnymi listwami obiegającymi dół mebla.

– Myśli pan, że zdołali naprawdę wyprodukować własny papier i wydrukować te banknoty?

Jan przez chwilę klęczał, opierając dłonie na udach. Potem wstał.

– To możliwe, ale jeśli zdołali uzyskać własny papier, to po co ukradli ten z rządowej papierni? W każdym razie Krause musiał coś odkryć. Coś w Poznaniu. Bo przecież z jakiegoś powodu zginął. – Podeszedł do stołu w salonie, sięgnął po makaronik i w całości wrzucił do ust. Ten był czekoladowy i zdaniem Jana krem zdominował delikatne ciasteczko. To była zdecydowanie najgorsza wersja. Powoli rozgryzał smakołyk. – A wracając do twojego pytania, tak, myślę, że udało się wyprodukować te doskonałe fałszywki, i myślę, że one gdzieś tu są niedaleko – machnął ręką dookoła. W tym obrocie dostrzegł kątem oka, że ktoś stoi w cieniu głębokiej futryny.

– Dzień dobry, właśnie wszedłem – oznajmił przystojny przybysz i posłał Janowi

przesadzoną wersję szczerego spojrzenia.

Morawski sam zbyt wiele razy wypowiadał to zdanie, by w nie teraz uwierzyć, choć miał chwilę słabości, gdyż przyzwyczał się ufać spojrzeniu niebieskich oczu Mateusza, a te były łudząco podobne. Marek, blondyn o ciemnych, szerokich brwiach, niezwykle wymownych i ruchliwych, stał całkiem odmieniony. Był ostrzyżony, ogolony i ubrany – w garnitur swego brata – nie ulegało więc wątpliwości, że jego fortuna zatoczyła pół koła, wahadło losu zmieniło położenie, a sinusoida życia zmierzała ku maksimum.

– Prosiłem cię tysiąc razy, żebyś... – zaczął Mateusz.

– Chciałbym spędzić trochę czasu z bratem – powiedział Marek, a jego oczy, wpatrzone błagalnie w Jana, hipnotyzowały go. – Czy pozwoli pan, że zostanę kilka dni?

– Oczywiście, to doskonały pomysł.

– Nie będę się panu narzucał – zapewnił Marek.

Mateusz odchrząknął.

– Wiec już się skończył?

– Skąd! Naliczono czterystu uczestników, odczytano błogosławieństwo arcybiskupa, potem zagaił wiceprzewodniczący czegoś tam anty hazardowego, swoją drogą wygląda na takiego, co to za kołnierz nie wylewa, a teraz ustalają rezolucję potępiającą karciarstwo. A jeszcze ma być odczyt lekarza, więc wyszedłem. Jeśli chodzi o mnie, to rzuciłem karty, bo się splukałem... o, *sorry*... straciłem pieniądze, a nie dlatego, że mi gra szkodziła na wątrobę.

Podszedł do stołu, sięgnął po makaronik, ale Mateusz trzepnął go po ręce. Jan z trudem powstrzymał śmiech. Ciasteczko spadło na dywan, Marek podniósł je, dmuchnął i zjadł.

– Ta czekolada zupełnie nie pasuje – ocenił.

Jan zostawił braci i zamknął się w sypialni. Pozwolił sobie na dwudziestominutową drzemkę, a o wpół do ósmej wyszedł z pokoju – w kurtce Mateusza i swojej futrzanej czapce. Zamiast zejść klatką schodową do recepcji, wybrał znacznie dłuższą trasę: wspiął się na drugie piętro, korytarzem przeszedł do

starego gmachu i skorzystał z tamtejszej klatki schodowej. Hotel opuścił przez bramę wjazdową przy ulicy Nowej, gdzie panowało sprzyjające mu zamieszanie związane z rozchodzeniem się uczestników wiecu.

Skręcił w lewo w ulicę Wilhelmowską, minął filię Reichsbanku i Hotel Francuski, przekroczył Podgórną i dotarł do Świętego Marcina. Tam, przy Drukarni Nadwornej W. Decker & Co., największej w mieście, skręcił w prawo i szedł prosto, mijając najpierw wielkie cztero- i pięciopiętrowe kamienice, dalej niższe i uboższe, choć i tak ogromne w porównaniu ze stojącymi tam jeszcze dziesięć lat wcześniej domkami.

Numer 46 znalazł po północnej stronie ulicy, *vis-à-vis* szkoły miejskiej, na odcinku między ulicami Bismarcka i Wiktorii. Stał przy bramie i czekał, zastanawiając się, jak rozpozna właściwego fiakra, gdy ten nie będzie w dorożce. Wiedział tylko, że szuka wysokiego wąsacza. Po pięciu minutach z bramy wysypało się jedenastu mężczyzn, wszyscy byli wysocy, mieli wąsy, futrzane czapki i źle dopasowane płaszcze, kupione jako wyrób gotowy. Na szczęście Morawski ogoloną twarzą odcinał się od tłumu zarośniętych poznaniaków. Podeszło do niego dwóch wąsaczy i burknęli jakieś powitania.

Jan zaproponował, by poszli gdzieś, gdzie będą mogli porozmawiać, i dorożkarze zasugerowali Tunel Bismarcka. Morawski się zgodził i poszli na pobliską ulicę imienia żelaznego kanclerza, gdzie w monumentalnych piwnicach urządzono gigantyczną piwiarnię. Przy wejściu wisiał afisz: „Od 13 lutego wyszynk piwa Schultheiss-Bock”.

Jan zamówił trzy kufle tej nowości, której, jak się okazało, żaden z nich jeszcze nie próbował. Chciał też, by wybrali coś do jedzenia, ale fiakrzy, sparaliżowani skrzepowaniem, nie potrafili się na nic zdecydować. Wreszcie Morawski poprosił garsona, by coś podsunął, i ten wkrótce wrócił z filedami ze szczupaka smażonymi w cieście naleśnikowym („świeżo przywiezione, szanowny panie”), z sosem pomidorowym i podaną osobno sałatką ziemniaczaną.

Najpierw dorożkarze jedli opornie, walcząc ze sztućcami, ale ponieważ gospodarz przyjęcia porzucił nóż, poszli w jego ślady. Po kilku minutach przyszedł czas na przedstawienie prośby i Jan zrobił to w czterech zaledwie zdaniach:

– Jestem Polakiem, detektywem, krewnym doktora Chłapowskiego. Prowadzę śledztwo w sprawie, która łączy się ze śmiercią Ignasia Błachowiaka. Wiem, że jutro rano dorożką numer sześćdziesiąt sześć będzie jechał radca Schliemann i kogoś zabierze na jakieś spotkanie. Muszę być przy tym spotkaniu.

– To niemożliwe – mruknął numer 62.

Dorożkarz 66 podrapał się po skroni.

– Pan żartuje, prawda? – Popatrzył na Jana uważnie. – Nie, nie żartuje pan. Wie pan, kim on jest?

– Wiem.

– A wie pan, co mi grozi, jeśli panu pomogę?

– Zwolnienie z pracy.

– I to, że już nigdy tu niczego nie znajdę. – Upił łyk piwa. – Widziałem pana dzisiaj w mieście. Z księdzem patronem. Szliście sobie i on się roześmiał. Ja jestem ze Śremu, a on tam przez lata mieszkał i pracował.

Morawski wyczuł lekkie uniesienie przyłbicy.

– Często go pan wozi? – Miał na myśli Schliemanna i dorożkarz o tym wiedział.

– Czasami raz w tygodniu, czasami częściej. Zabieram go z domu i zawożę tam, gdzie chce. Jeździ w różne miejsca. Zwykle najpierw jedziemy po kogoś, zabieramy jedną lub dwie osoby, czasami z dwóch różnych punktów, a potem gdzieś każe się wieźć. Do sądu, komendantury, hotelu, restauracji, siedziby rejencji. Zdarzało się też, że po prostu jeździliśmy. – Dopił piwo. – I tak mi się widzi, że zawsze z tych samych miejsc odbieramy tych samych ludzi. On chyba sobie poustalał, gdzie każdy wsiada. I ci ludzie znają numer sześćdziesiąt sześć, więc rozchodzi się o to, by to zawsze była moja dorożka.

Jan zamówił po jeszcze jednym kuflu piwa dla fiaków. Ten drugi, brat wdowy Błachowiakowej, siedział z ponurą miną, jadł, popijał i milczał, choć chodziło o znalezienie winnego śmierci jego siostrzeńca. Numer 66 był ulepiony z zupełnie innej gliny.

– Moglibyśmy tak zrobić – zmrużył oczy – że pojedzie pan drugą dorożką, z Antkiem, i dotrze na to miejsce chwilę po radcy i jego gościu. A co dalej, to już

pana sprawa.

Przyniesiono piwo, a Jan się zamyślił. Po kilku minutach wiedział już, jak to zorganizuje. Pozostały im do ustalenia warunki finansowe. Numer 66 miał otrzymać sto marek, ale numer 62 odmówił przyjęcia jakiegokolwiek gratyfikacji poza opłatą za kurs. Ostatecznie Janowi udało się przekonać go, by wziął sto marek dla siostry, matki Ignasia.

– A jeżeli wszystko się wyda – dodał numer 66 – i Schliemann spowoduje, że mnie wyleją, to znajdzie mi pan robotę w Westfalii.

– W Westfalii też są Niemcy.

– Ale nie ma hakatystów. Z Niemcami da się żyć.

³³ Dygestia – obowiązkowa krótka wizyta u gospodarzy proszonego obiadu lub balu (od franc. *la visite de digestion*).

ROZDZIAŁ 11

Trzy minuty po dziesiątej wieczorem Jan pojawił się na podeście klatki schodowej prowadzącej do sali balowej. Przy drzwiach stał komitet organizacyjny – doktor Chłapowski w towarzystwie dwóch dam – i witał napływających gości. Wszyscy byli ubrani w stroje wieczorowe. Powitania ograniczały się do jednego zdania, tak by nie tamować ruchu, lekarz jednak wdał się z Janem w rozmowę, beztrzesko porzucił swe stanowisko i razem z krewniakiem wszedł na salę, całkowicie ignorując syki dwóch organizatorek, które w ten sposób próbowały go przywołać. Goście utknęli na schodach, bo bez powitania z prezesem Towarzystwa Wincentego à Paulo nikt nie chciał wejść, i kryzys został zażegnany dopiero przez Morawskiego, który ujął rozgadanego doktora pod ramię i odprowadził na posterunek.

Tego wieczoru sala prezentowała się inaczej niż podczas zwykłego balu: w kilku miejscach zgrupowano wokół stolików kanapki i fotele, a w dwóch narożnikach ustawiono bufety z napojami. Zimne przekąski i słodczyce serwowano w przyległym saloniku.

– Dobry wieczór, panie Janie – roześmiał się ktoś.

Morawski odwrócił się i zobaczył rozpromienioną panią Teresę prowadzoną pod ramię przez Artura. Przy ciemnowłosej, energicznej ciotce młody Boratyński, wystylizowany na zblazowanego arystokratę, wyglądał anemicznie.

– Panna Izabela nie mogła przyjść? – spytał Morawski po powitaniu.

– Przyszła, przyszła – zapewniła pani Żdzarska. – Rozmawia na dole z dyrektorem o jutrzejszym balu.

Artur tymczasem rozglądał się po sali. Nagle rozjaśnił się, powierzył ciotkę Janowi i odszedł. Morawski spojrzał za nim i zobaczył, jak podchodzi do Maksa Krajewskiego.

A pani Teresa, śmiejąc się i paplając, prowadziła Jana po sali i przedstawiała

innym gościom. Naraz od strony wejścia ktoś ją zawołał i pani Żdzarska sapnęła.

– Masz ci los! Terlecka.

Jan spojrział w kierunku drzwi, zastanawiając się, gdzie słyszał to nazwisko. Szła ku nim uśmiechnięta i zadbana szatynka, o oczach ciemnych i łagodnych, które zestawione z brakiem podbródka nadawały jej wygląd jałówki. Dopóki dama przedzierała się między gośćmi, widoczna była tylko górna, szczupła połowa jej ciała, gdy się jednak zbliżyła, Morawski zobaczył szerokie biodra i potężne uda, bezlitośnie wyeksponowane przez panującą modę.

Tuż za nią podążał różowawy pięćdziesięciolatek z łysym czubkiem głowy i bezbarwnymi rzęsami. Na jego widok Jan zrozumiał, czemu nazwisko „Terlecka” wydało mu się znajome. Oto zbliżał się Henryk, dumny bankowiec, którego nikt nie oszuka. Pan Terlecki, już nie kwaśny i nadęty, lecz uprzejmy i zadowolony, przedstawił swą małżonkę Jadwigę, a potem oboje rozstąpili się i wskazali ukochaną córkę Henrykę. Morawski w pierwszej chwili się wzdrygnął, panna bowiem po matce odziedziczyła brak podbródka, a po ojcu brak koloru, co w połączeniu ze zbyt podwiniętą górną wargą, odsłaniającą zęby, tworzyło niezbyt efektowną całość.

– Nie wiedziałam, że pani działa w Towarzystwie – włączyła się pani Teresa.

– Nie, nie, praca w Kole Kobiet Katolickich i w kościele zabiera mi właściwie cały czas – zapewniła dama wykwintnym tonem. – Ale jak pani wie, chrześcijańskie miłosierdzie jest podstawą mojego istnienia, więc nie pozwoliłabym sobie na opuszczenie takiej uroczystości.

Pani Żdzarska odeszła, intensywnie się wachlując, a pani Jadwiga zwróciła się do Morawskiego:

– Za nic nie opuściłabym takiej uroczystości i możliwości poznania pana...

– Mogliby obniżyć ceny biletów – burknął jej mąż. – Trzy marki! Za co?

Jan spojrział na najmodniejsze kreacje pań Terleckich, z których każda, na jego oko, kosztowała parę setek. Pani Jadwiga szepnęła coś mężowi i popchnęła go w stronę stołów, a do Morawskiego słodko się uśmiechnęła. Na twarzy panny Henryki ukazał się identyczny uśmiech.

– Pan pewnie nie może się opędzić od zaproszeń – rozpoczęła pani Terlecka

szemrząco. – Tym bardziej jesteśmy zaszczytzeni, że zaszczycił nas pan swoją obecnością. Gdy tu wchodziliśmy, to właśnie moja Henryczka powiedziała, że to prawdziwy zaszczyt...

W tym momencie do Jana podeszła panna Anastazja i stanęła na palcach. Pochylił się ku niej.

– Więc jednak nie podłożył pan tej bomby? – szepnęła.

– Tego pani nie wie. W każdym razie niczego mi nie udowodnili.

Z drobnymi złotymi loczkami i w różowej sukience wyglądała na niewinnego cherubinka. Zaśmiała się i uciekła, a za nią – niczym oswojona małpka za katarynką – podążyła rozchichotana panna Henryka, z trudem się poruszając w opinającej szerokie biodra sukni.

Do drugiego boku Jana przybliżyła się pani Terlecka i powiedziała przyciszonym głosem:

– Radzę panu uważać z tą Nowacką: proszę nie dać się zwieść temu anielskiemu wyglądowi. Jej konduita jest wątpliwa. Podobno tak rozrabiała w Krakowie, że ojczym musiał ją stamtąd czym prędzej wywieźć. Prowadzała się z jakimiś oficerami. – Wychyliła się i spojrzała na pannę Anastazję, a potem znacząco poruszyła cieniutkimi brwiami, które wyglądały na narysowane. – I nie wiadomo, czy ten ojczym to naprawdę tylko ojczym. A teraz pana przeproszę, bo muszę od tej latawicy odciągnąć moją Henrykę. – Nagle jej oczy rozszerzyły się i wyszeptała: – Książę Czartoryski...

Pobiegła do arystokraty, a Morawski stanął niedaleko drzwi i rozejrzał się dookoła. Pani Żdzarska wesoło gawędziła z doktorową Chłapowską, Artur zaś opowiadał coś Maksowi, mocno gestykulując. Krajewski jednak nie zwracał na niego uwagi, tylko lustrował salę.

– Co panu naopowiadała ta stara gorgona? – rozległ się głos panny Anastazji.

– Czy pani ze wszystkimi rozmawia tak bezpośrednio?

– Nie, tylko z panem. Czuję w panu pokrewną duszę. Wiem, że gadała o mnie, bo widziałam, jak zerka w moją stronę. Proszę mi powiedzieć, uwielbiam dobrze przyprawione plotki.

– Przestrzegająca mnie przed panią, bo rozrabiała pani w Krakowie.

– Musiałam. Tylko tak mogłam się stamtąd wyrwać, żeby przyjechać tu, do Maksa.

Jan się roześmiał.

– To było łatwe – ciągnęła – wystarczyło narazić się Pod Baranami i już mogłam się pakować.

– Odpowiedziałem na pani pytanie i proszę o rewanż.

– Słucham.

– Czy wie pani o jakichś wspólnych sprawach swego ojczyma, Artura Boratyńskiego, młodego Leśniewicza i pana Ludwika?

Wydęła usta.

– Nie. I nigdy nie widziałam, żeby rozmawiali. Do tego ojczym na nich narzeka. Mruczał ostatnio, że gdyby im pozwolił, toby go puścili z torbami.

Jan stał, kiwając głową, a młoda dama zwróciła wzrok w kierunku sali.

– Nie sądzi pan, że Artur już zbyt długo przebywa z Maksem? – zagadnęła słodko. – Jego ciotka powinna była go poinformować, że pannie nie wolno bez przerwy rozmawiać z jednym kawalerem.

Morawski przez chwilę obserwował, jak podeszła do tamtej dwójki, wsunęła Maksowi dłoń pod ramię i po prostu go uprowadziła. A młody Boratyński odgarnął włosy do góry i odsłonił wielkie czoło. Maleńkie oczy błyskały wściekłością.

Jan przesunął się w stronę pani Teresy, ale przystanął, gdy usłyszał jej słowa.

– Moja droga – mówiła do tęgiej pięćdziesięcioletniej niewiasty z orlim nosem – powinna pani patrzeć na życie realnie. Maks to młody człowiek, czymś go musimy skusić. Oczywiście trzeba będzie najpierw spłacić jego długi. Podpisał jakieś weksle, muszę tylko ustalić, na jaką sumę. Myślę też, że nasza pozycja byłaby w tych rokowaniach pewniejsza, gdyby zaproponowała mu pani miesięczną pensję. Tysiąc marek miesięcznie po ślubie. Tak, wiem, że to spora kwota, ale za tę cenę dostanie pani szykownego męża i tytuł. Proszę sobie wyobrazić koronę hrabiowską na pani powozie. Niech pani to przemyśli, ja muszę porozmawiać z innymi zleceniodawcami.

– Przepraszam, że tak pana zostawiłyśmy – zaszemrała pani Terlecka, wracając razem z panną Henryką – ale musiałam przywitać się z księciem.

Naraz na podeście schodów rozległ się dźwięczny głos panny Izabeli, aczkolwiek Jan jeszcze jej nie widział. Głos ten dosłyszała również pani Terlecka.

– Pewnie z tego Berlina przywiozła nie wiadomo ile kreacji – mruknęła do córki, a Janowi wyjaśniła: – Panna Boratyńska strasznie dużo wydaje. Mąż będzie miał z nią ciężki kawałek chleba, czy też raczej miałby, bo ona już sieje rutkę. Przekroczyła trzydziestkę. W każdym razie ciągle kupuje nowe stroje.

W tym momencie weszła panna Izabela w przepięknej sukni, bardzo prostej w kroju, ale uszytej z dziwnie opalizującego materiału. Chwilami tkanina wydawała się amarantowa, chwilami kobaltowa. Przywitała się z kilkoma damami, rozejrzała, a gdy jej wzrok zetknął się ze spojrzeniem Jana, on się uklonił. Ruszyła w jego stronę. Wydała mu się znacznie ładniejsza niż poprzedniego dnia.

– Ta kobieta nie ma wstydu – zachnęła się pani Terlecka. – Chodzi w tej sukni od początku karnawału. Co ona zamierza zrobić z tymi pieniędzmi? Zabrać je do grobu? – A gdy panna Boratyńska stanęła przed nimi, zawołała z emfazą: – Panno Izabelo, co za suknia! Już ze dwadzieścia razy to pani mówiłam.

– Dokładnie czternaście razy – uśmiechnęła się nowo przybyła, prezentując krzywe zęby.

Pani Jadwiga zrobiła głupią minę – nie wiedziała, czy to żart, prawda, czy docinek.

– Gratuluję wspaniałego sprawozdania w „Tygodniku Mód i Powieści” – zmieniła na wszelki wypadek temat. – Jesteśmy zaszczyceni, że liczy się pani do naszego grona. Nie miałam niestety okazji przejrzeć tego, gdyż mąż mój nie pozwala kupować prasy. Właśnie w tej chwili moja Henryczka wyraziła żal z tego powodu. Byłybyśmy zaszczycone, gdyby udostępniła nam pani swój egzemplarz.

Panna Boratyńska zgodziła się i została obłana podziękowaniami, które raptownie się urwały, gdy wzrok pani Terleckiej uciekł w bok.

– Ach, panie hrabio! – wołała do Maurycego Walewskiego, który ukazał się z miną jeszcze dumniejszą niż wtedy, gdy był krezusem. – Jakże się cieszę, że pana

widzę! Właśnie w tej chwili Henryczka mnie spytała, gdzie jest pan hrabia! – Tu nastąpił ukłon jak podczas prezentacji u dworu, z nieodzownym odkopnięciem trenu. – Ale cóż to, pan hrabia chory? – wskazała wielki szal, którym owinął szyję.

– Boli mnie gardło. Moja niemądra córka przyniosła mi za zimną herbatę.

– Miał pan zakłopotaną minę, gdy tu podchodziłam – panna Izabela zagadnęła Jana. – Rozumiem, że słuchał pan komplementów pod moim adresem? – Zaśmiała się na widok konsternacji na twarzy Morawskiego. – Chodziło o to, że pracuję, czy że mam tylko dwie suknie wieczorowe?

– O suknie. Zna pani jej repertuar.

– Składa się z zaledwie dwóch pozycji, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. – Ukłoniła się komuś przechodzącemu. – Nie ma się czym przejmować. Zwykła dokuczliwość życia towarzyskiego. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Drobiazg w porównaniu z przesłuchaniem na policji.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Zwłaszcza te złe.

Jan się zaśmiał, a ona spojrzała na niego ze współczuciem.

– Bardzo było nieprzyjemnie?

– Tak, w prosektorium. Potem także tu, w winiarni, gdy Maks Krajewski ogłosił, że jestem szpiclem. Obawiałem się, że podczas rautu nikt się do mnie nie odezwie.

– Proszę wybaczyć bezpośredniość, ale z takim nazwiskiem wolno panu być nawet detektywem.

Podeszli do miejsca, gdzie wydawano napoje, i sięgnęli po szklaneczki ponczu. Potem zatrzymali się przy kotarze osłaniającej wnękę okienną, wewnątrz której stała kanapka i fotele. Tam rozsiadła się pani Teresa z hrabią Maurycym.

– Panie hrabio, wiem, że jest pan w trudnej sytuacji, ale musi pan trochę obniżyć swoje żądania. Nikt nie zapłaci za Cecylię dwóch milionów marek. Teraz to mężczyźni żądają wielkich posagów, każą sobie płacić za nazwisko. Nie znajdę panu żadnego ziemianina, który ją weźmie w samej koszuli.

– Więc proszę znaleźć kogoś bez pochodzenia – zdecydował po chwili pan Walewski. – Kogokolwiek, byle bogatego. Chcę odzyskać mój pałac i potrzebuję

dwóch milionów. – Wstał i poprawił swój czarny szal. – Co za wstrętne czasy. Żeby ja, z taką pozycją... – Syknął i rozejrzał się w poszukiwaniu ofiary dla swej złości. – Gdzie jest ta dziewczyna?

Odczłapał, a zakłopotana Izabela ciężko westchnęła i odgarnęła fałdy zasłony.

– Ach, to ty, moja droga – ucieszyła się na jej widok ciotka. – Znajdź panią Eufemię i powiedz jej, żeby była gotowa. A pan posiedzi ze mną.

Jan usłuchał. Znał oczywiście profesję swatki; zwykle roli tej podejmowały się damy z towarzystwa, które aranżowały małżeństwa międzysferowe i szaperonowały³⁴ bogatym pannom o niskim pochodzeniu, a także ubogim pannom o wysokim pochodzeniu. Klajstrowały te nierówne związki, gdzie jedna strona miała tytuł i nazwisko, a druga pieniądze. I nieźle na tym zarabiała.

– Wygląda pan na zaskoczonego – stwierdziła pani Teresa z uśmiechem. – Małżeństwo jest towarem jak każdy inny, a towar trzeba sprzedać. W handlu zaś potrzeba pośrednika i ja nim jestem. Kojarzę pary, bo wiem, komu czego brakuje. Zresztą ja się tylko dostosowałam do ogólnego trendu. – Potrząśnięciem wielkiej czarnej fryzury wskazała na salę. – Proszę posłuchać młodych ludzi: rozmawiają o posagu, o wyprawie i spodziewanych w przyszłości spadkach. Panna jest wyłącznie nieuniknionym dodatkiem, złem koniecznym.

– Nie można chyba sprowadzać małżeństwa tylko do pieniędzy.

– Pieniądze są przynajmniej czymś konkretnym, a czym jest zakochanie? Złudzeniami. – Westchnęła. – Biegnie Anastazja. Ta też uważa, że trzeba wyjść za mąż z miłości.

– Pani Tereso, chcę panią zatrudnić.

– Ach jej! Naprawdę? – Pani Żdzarska spojrzała na Jana, a on zaczął się podnosić.

Anastazja machnęła ręką, by został.

– Proszę mnie wydać za Maksa. Myślałam, że sama to załatwię, ale nie. Potrzebuję pani pomocy.

Ciotka swatka zacmokała.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Płacę dziesięć tysięcy marek.

– Ale ty jesteś niepełnoletnia, a ojczym...

– Tak, wiem, nie zgadza się. Ale gdy wyjdę za mąż, zyskam dostęp do moich pieniędzy i pani zapłacę. Zresztą mam dwadzieścia tysięcy gotówki. Proszę mnie za niego wydać, a połowa będzie pani. – Pochyliła się i powtórzyła: – Dziesięć tysięcy marek.

Podeszła Cecylia, blada niczym rusałka, w prostej sukni ze spranego białego muślinu.

– Papa kazał mi tu przyjść i we wszystkim pani słuchać.

– Wyglądasz na chorą, *mon amie* – zatroszczyła się panna Anastazja. – Czy można ci pomóc? Nie mogę odżałować, że przez przypadek wyjawiałam twój *petit secret*.

– Jakaś ty dobra! Wiem, kochana, że nie chciałaś. Jesteś przecież moją przyjaciółką.

– Usiądź – poleciła pannie Walewskiej swatka i zwróciła się do panny Nowackiej: – A tobie, moja droga, udzielę rady, jak postępować z mężczyznami. Panie Janie, proszę zatkać uszy.

*Oprzej się woli, chciej mieć własne zdanie –
Lwem rozdrażnionym, tygrysem się stanie.
Ale znaleź wtór do jego piosneczki,
Jak zwyciężona wychodź z każdej sprzeczki,
W jego rozumie kręć się zawsze kole,
A na jedwabiu wywiedziesz go w pole³⁵.*

– Kogo Anastazja ma wyprowadzić w pole? – spytała Cecylia. – Tego tygrysa czy lwa? Czy to nie jest niebezpieczne?

Wpatrywali się w nią zaskoczeni, a Anastazja ledwie skrywała uciechę. Nie zdążyła jednak sprowokować Cecylii do powiedzenia kolejnej bzdury, gdyż podeszła panna Izabela.

– Przepraszam bardzo – zagadnęła. – Czy mogę porwać pana Jana? – A gdy

ruszył za nią, szepnęła: – Przepraszam za tę obcesowość, ale tam toczy się rozmowa, która może pana zainteresować.

Podeszli do rozdyskutowanej grupki i zewsząd otoczyły ich podekscytowane głosy: „Znaleziono go na podwórzu pod numerem szóstym”, „Był zakryty szalem”, „Na szalu znaleziono kilka włosów, krótkie i ciemne, a on był blondyn”, „Trzeba się rozglądać za brunetem”, „Otruł go i zostawił na pewną śmierć”. W tym momencie Morawski spojrział na stojącego obok Bernarda Orzelskiego i jego czarną brodę. Mężczyzna wpatrywał się w Jana z jakąś lodowatą wrogością.

– Pan musiał znać tego chłopca, panie Ludwiku – odezwał się ktoś. – To był przecież posłaniec.

– Mogłem go znać, mogłem. Wciąż rozsyłam posłańców z wiadomościami. Jako pierwszy kupię telefon, który będzie można ze sobą nosić.

– Przenośny telefon! – burknął hrabia Walewski. – Co za ambaje³⁶!

Grupka się rozproszyła i Morawski razem z panną Boratyńską również odeszli. W pobliżu doktor Chłapowski spierał się ze swym kolegą po fachu.

– Powtarzam panu, że w cukrzycy dieta jest sprawą kluczową – mówił.

– Zgadzam się, a ponieważ wysoki poziom cukru w moczu świadczy o utracie tegoż, należy pokryć tę stratę, spożywając jak najwięcej pokarmów zawierających cukier.

– W żadnym razie. Taki sposób żywienia powoduje dalsze zwiększenie wydzielania cukru i cięższe przypadki cukrzycy zamienia w cięższe.

Panna Izabela odwróciła się do Morawskiego i powiedziała cicho:

– Czy mogłabym w jakiś sposób pomóc panu w tym śledztwie? Znam tu wszystkich.

– Dziękuję pani, będę pamiętał o tej propozycji.

Nic więcej nie dodał, bo tuż obok przeszedł poirytowany znajomy doktora. Do Chłapowskiego zbliżył się natomiast Bernard Orzelski.

– Ach, to pan – ucieszył się doktor i kontynuował zawodowym tonem: – Dobrze, że pan przyszedł. Zastanawiałem się, czy się panu polepszyło. – Ujął twarz pacjenta w dłoń, a kilka osób zaczęło się przysłuchiwać. – Napięcie nie minęło, kolki się

z pewnością utrzymują. Proszę zwiększyć dawkę nalewki z belladonny z pięciu do piętnastu kropli. Zażywać trzy razy dziennie. A gdyby wystąpiła obstrukcja...

Przy słowie „obstrukcja” na obliczach najbliższej stojących matron ukazała się zgroza. Panna Izabela podeszła do lekarza i coś mu szeptnęła. Rozejrzył się i lekko stropił. Podziękował jej, a oszołomionego Orzelskiego odprowadził na bok.

Jan trząsł się ze śmiechu.

– Dobrze, że trafiło na mężczyznę – rzekła panna Boratyńska. – W zeszłym roku doktor naraził się na wielkie przykrości, bo na spotkaniu przedstawiono go pewnej pani, a on, przekonany, że to konsultacja, zaczął ją diagnozować: „cera wątrobianą, nerwowe mruganie oczu, skłonność do migren, inklinacja do hysterii”. Tej hysterii to mu nie wybaczyła. – Spojrzała na drugi koniec sali. – Przepraszam, cioteczka mnie wzywa.

Jan poczuł nagłą chęć na przełamanie smaku ponczu czymś słonym. Poszedł do sąsiedniego saloniku i sięgnął po tartinkę z wędzonym łososiem.

– Czuję się w obowiązku – rozległ się tuż obok jedwabisty głos pani Terleckiej – ostrzec pana przed tą Boratyńską. To nie jest osoba przyzwoita. Jej konduita jest wątpliwa. Podróżuje sama, odmówiła przystrajania ołtarza w naszym kościele i... i ma za szeroką talię. – Poklepała Jana po dłoni. – Ale nie zostanie pan sam. Proszę tu poczekać, przyprowadzę panu Henryczkę. Jestem pewna, że stęsknił się pan za moją dziewczynką. Wyznała mi, że nigdy nie spotkała tak przystojnego dżentelmena jak pan.

Odwróciła się na pięcie, zarzuciła szerokimi biodrami i odmaszerowała. A Morawski postanowił czym prędzej skryć się przed tą koszmarną przedstawicielką gatunku zwanego w męskich kręgach: „mameczki”.

Jednym kęsem rozprawił się z tartinką, opuścił salonik i przystanął niedaleko głównego wejścia do sali balowej. Rozglądając się za azylem, spojrzał w stronę giełdy małżeńskiej. Na kanapce siedziała pani Teresa, na fotelach po obu jej stronach pan Ludwik i hrabia Maurycy. Mężczyźni coś mówili podekscytowani, unosili się z siedzeń, a pani Żdzarska ich rozdzielała. Nagle pan Walewski wstał, zarzucił sobie szal na szyję i wymaszerował. Wtedy od portiery oderwała się wążka

figurka Cecylii i pobiegła za ojcem.

– Papo, zlituj się! – doszedł z klatki schodowej jej głos. – Ja nie mogę za niego wyjść.

– Więc chcesz, żebym na starość musiał się tułać? Hrabia Walewski bez dachu nad głową?

– Wróćmy do domu! – błagała rozedrganym głosem.

– Mówiłem ci sto razy, ty idiotko, że nie mamy domu.

– Przecież nie można nam zabrać naszego pałacu.

– Nie rezonuj! Wyjdiesz za tego człowieka i on odkupi nam nasz pałac. Rozumiesz? A teraz wracaj na salę i bądź dla niego miła.

Po dłuższej chwili Jan wyrzwał na schody, ale żadnego z nich nie zobaczył.

Ruszył do bufetu i sięgnął po kieliszek szampana. W zasięgu jego słuchu stali pani Teresa i pan Ludwik.

– Panie Ludwiku, pamiętam pana zlecenie: chce pan arystokratkę. Ale czy jest pan pewien, że to musi być Cecylia? Nie mam nic przeciwko niej, to miła dziewczynka, ale ten jej ojciec wyszła z pana tuk³⁷.

– Utargujemy rabat – odparł i pocałował ją w rękę.

Pokręciła głową i odeszła, on zaś wziął kieliszek szampana, wychylił go duszkiem i podał kelnerowi. Ten wyjął spod stołu butelkę i nalał nieperłającego się płynu.

– Muszę z kimś pogadać, a pan jest obcy – wyznał pan Ludwik, zbliżając się do Morawskiego. Wydawał się zafrasowany. – Stary chce za dużo. – Wypił kilka łyków i chuchnął, a Jana owionął zapach wódki. – Trochę mi to nie w smak, mój drogi, bo akurat potrzebuję gotowizny. Będę musiał docisnąć kogoś, kto mi zalega. Ale ta Cecylka to jest taki gołąbek, o jakim zawsze marzyłem. Pal sześć bejmy³⁸. – Rozpromienił się. – Jeśli tylko wyjdzie mi pewna sprawa, którą dogrywam, wpadnie mi większa suma. – Mrugnął i dolał sobie płynu z butelki. – Mogę panu wszystko mówić, bo detektywa też obowiązuje tajemnica, no nie?

Wypił jednym haustem i odszedł pewnym krokiem. A z fotela po drugiej stronie bufetu wstał Maks.

– Szlag mnie trafi, jak pomyślę, że hrabianka Walewska ma wpaść w szpony mistrza murarskiego – rzucił przez zęby do Morawskiego.

– Mistrza?

– Murarskiego.

Nagle orkiestra zaczęła grać, lokaje ruszyli odsuwać kanapy i fotele pod ściany, pojawiło się dwóch panów z kolorowymi kokardami w klapach i zachęcali pary do tańca. Do Maksa podbiegła Anastazja, złapała go za rękę, ale wyslizgnął się jej, ukłonił przed kobietą z orlim nosem, która złożyła na niego zamówienie u swatki, i po chwili wirowali razem z innymi.

A Jan, ku swemu zdumieniu, ukłonił się przed panną Boratyńską. Ona wstała.

– Oczywiście ma pan pozwolenie mojej... opiekunki?

W pierwszej chwili Morawski zdębiał, ale dostrzegł błysk w jej szafirowych oczach i ukłonił się przed panią Teresą.

– Jeśli pozwoliła, ukłon przed panną – mówiła panna Izabela tonem nauczycielki dobrych manier. – Panna zabiera wachlarz i chusteczkę, Bóg jeden wie po co. Tańczą.

Zaczęli tańczyć, a Morawski szybko się przekonał, że młoda dama nie tańczy najlepiej. Znała kroki i poruszała się lekko, ale nie dostrajała do rytmu partnera.

– Wolno się stykać tylko rękoma – przestrzegała. – Nie wolno patrzeć sobie w oczy ani poufale rozmawiać. Trzeba wyglądać na znudzoną. Nie wolno tańczyć razem zbyt wiele razy. Nie wolno zniknąć opiekunce z oczu.

Morawski śmiał się coraz głośniej, aż wreszcie musieli się zatrzymać i przysiąść obok pani Żdzarskiej.

– Młodym dżentelmenom nie wolno siadać na sali balowej – pogroziła mu palcem panna Izabela.

Jan posłusznie wstał i wtedy usłyszał z boku szept:

– Proszę, Panie Boże, spraw, żeby ktoś mnie poprosił.

Obejrzał się. Kilka krzeseł dalej siedziała Cecylia – gwiazda poprzednich wieczorów, królowa balów, eksdziedziczka. Dzisiaj nie poprosił jej do tańca żaden z wczorajszych adoratorów. Przygryzała wargę, po policzkach na splecione dłonie

skapywały jej łzy. Walc nadal płynął. Morawski wykonał krok w jej stronę.

– Proszę, Panie Boże, choć jeden taniec – szeptała.

Lubiący się bawić Los wysłuchał ją. Przed dziewczyną stanął pan Ludwik i uklonił się. A ona nie mogła odmówić. Podniosła się ociężale, on ją objął i zaczęli tańczyć – ona lekka jak nimfa, on niezgrabny niczym pływający satyr. Przykry to był widok, nie tylko dla Jana. Maks Krajewski obserwował tę niedobraną parę spod ściany. Uderzył pięścią w pięść i wyszedł.

Morawski spojrzął na parkiet i wtedy zobaczył coś ciekawszego. Tomasz Leśniewicz, jąkała i łamaga, tańczył z bardzo atrakcyjną kobietą, dość pulchną, ale kształtną, o miodowych, falujących włosach. A w tym tańcu była namiętność i zażyłość, zdawali się tworzyć jedność.

– Nie sądziłem, że młody Leśniewicz jest żonaty.

– Co pan opowiada! – zaśmiała się pani Teresa. – To rzeczywiście pani Leśniewicz, ale jej mąż jest tam. – Wskazała wachlarzem półślepego naukowca. – Tomasz tańczy ze swoją macochą. To ja ją wyswatałam z panem Agatonem – pochwaliła się. – Gdyby nie ja, nadal musiałyby pracować jako nauczycielka, a tak ma zapewnione wszystko co najlepsze. Doczekali się już nawet synka. Ma roczek i jest bardzo podobny do taty.

Jan zaczął rozumieć zdenerwowanie Tomasza. Dylemat między lojalnością wobec ojca a pożądaniem jego żony każdego mógłby wpędzić w szaleństwo.

Taniec dobiegł końca i Morawski przyjrzał się pani Leśniewiczowej. Miała senne powieki i twarz pokrytą puszkami, tak że przywodziła na myśl przejrzejącą brzoskwinię. Dał jej trzydzieści lat, tyle co Tomaszowi. Zaintrygowany ruszył wzdłuż ściany w kierunku naukowców.

– Dziękuję ci, mój drogi, że spełniasz mój obowiązek – zwrócił się ojciec do syna swym przenikliwym, donośnym głosem.

Jego żona skrzywiła się na ten dźwięk. Tomasz odszedł, a z jej twarzy zniknęło ożywienie, przygaszona opadła na krzesło.

Morawski zawrócił w stronę swego poprzedniego miejsca, a po drodze zauważył, że pani Terlecka rozmawia z jednym z wodzirejów. Ogłoszono kotyliona i nagle do

Jana podbiegł ten właśnie wodzirej, złapał go pod ramię i zawołał:

– Mam dla pana partnerkę! – Pociągnął go kilka kroków, wcisnął do ręki jaskraworóżową rozetę i przedstawił: – Panna Henryka Terlecka.

Jan nie miał wyjścia, niepodobieństwem było w takiej sytuacji się wymigać, choć w duchu przeklinał mameczkę i siebie. Znał praktykę wmuszania kotylionów upatrzonym mężczyznom, więc widząc panią Terlecką, powinien był zniknąć. Jeden z wodzirejów biegał po sali i ustawiał tańczących, natomiast drugi wciąż polował na mężczyzn zdolnych do służby. Gdy parkiet był już pełny, rozległa się muzyka i wodzirej zawołał: „Runda dookoła!”. Panowie objęli swe partnerki i pary ruszyły, walcząc wokół sali. Potem padały kolejne komendy: „tyłem do siebie”, „w cztery kąty”, „do środeczka”, „damy obrót pod ręką”, a wszyscy z żołnierską dyscypliną spełniali te rozkazy i tworzyli wymyślne figury. Pani Terlecka biła córce brawo, choć każda czwórka czy ósemka, w której skład panna Henryka wchodziła, niezmiennie się opóźniała, młoda dama bowiem z trudem się poruszała w opiętej syreniej sukni. Taniec z nią był dla Jana koszmarem.

Naraz ponad głowami tańczących dostrzegł, że pan Ludwik wyciągnął z kieszonki zegarek i demonstracyjnie nim zamachał, patrząc na kogoś. Kręcąc się w tańcu, Morawski próbował dostrzec mężczyzn z „listy Żychlińskiego”, ale żadnego nie wypatrzył. Uwolnił się z ramion panny Henryki i wypadł na schody. Zbiegł na parter, stamtąd wydostał się na dziedziniec i przez sień na ulicę Wilhelmowską. Pełno tam było ludzi wracających z zabaw lub dopiero na nie zmierzających, ale nie zobaczył nikogo ze znajomych. Podbiegł kawałek w lewo, cofnął się i wyjrzał na ulicę Nową.

Piekielnie zły wrócił do hotelu. Czuł, że nienawidzi balów jeszcze bardziej niż dotąd. Poszedł od razu do siebie. Minęło wpół do pierwszej, a on po piątej musiał wstać.

[34](#) Szaperonować – wprowadzać w świat młodą dziewczynę, towarzyszyć jej podczas balów i przyjęć.

[35](#) Aleksander Fredro, *Śluby panieńskie, czyli Magnetyzm serca*, akt II, scena 6.

[36](#) Ambaje – brednie.

37 Tuk (gw. pozn.) – szpik.

38 Bejmy (gw. pozn.) – pieniądze.

ROZDZIAŁ 12

O wpół do szóstej Morawski opuścił hotel przez bramę w starym budynku, z ulicy Nowej skręcił w prawo w Wilhelmowską i szedł szybko w świetle ulicznych latarni. Po drodze mijał robotników spieszących do pracy i tancerzy wracających z balów. Ubrany w kurtkę Mateusza, ciemnoszare spodnie i futrzaną czapkę, pasował raczej do tej pierwszej grupy, toteż nikt z wymiętych balowiczów nie zwracał na niego uwagi.

Dotarł do budynku poczty i przypomniał sobie, że po powrocie do hotelu musi sprawdzić, czy w gazetach opublikowano nazwisko ofiary wybuchu.

Skręcił w prawo, we Fryderykowską. Naprzeciwko bocznego skrzydła poczty znajdowała się ulubiona piwiarnia dorożkarskiej braci Bier-Quelle. Morawski spodziewał się podrzędnego szynku z blaszaną ladą i wyziewami spirytusu, a trafił do skromnego, czystego lokalu, gdzie podstawę menu stanowiło nie piwo, lecz tanie gotowe jedzenie – a były to niebagatelne walory dla fiaków, dysponujących ograniczoną ilością gotówki i jeszcze bardziej ograniczonym czasem. Za dziesięć fenigów można tu było dostać wielką bułę przełożoną ozorem, szynką, pieczenią lub serem. Serwowano też specjalność berlińskich piwiarni, czyli serdelki z bułką i musztardą.

Tę właśnie potrawę zamówili Jan i dwaj dorożkarze, z którymi się tu umówił: wystraszony Antek, wuj zmarłego posłańca, i pełen fantazji Mikołaj, fiakier 66. Przy śniadaniu Morawski przedstawił im swój plan. Początkowo obaj byli zaszokowani, ale o ile zdumienie Antka przeszło w przerażenie, o tyle Mikołaj, od którego zależało powodzenie akcji, szybko zaczął się uśmiechać.

Omówili wszystkie szczegóły i kilka minut po szóstej rozstali się. Dorożkarze zaczęli zmianę o siódmej, a przedtem czekała ich jeszcze praca w stajni.

Jan natomiast ruszył z powrotem do Bazaru. Po drodze kupił „Dziennik

Poznański”, poranne wydanie „Kuriera Poznańskiego” i „Posener Zeitung”, a po chwili namysłu także *Adressbuch der Provinzial-Hauptstadt Posen*, wielką księgę zawierającą między innymi plan miasta i spis przedsiębiorców. Skoro bowiem Oskar Krause przypuszczalnie miał rację i za fałszerstwami stała jakaś szajka, przestępcy na pewno nie korzystali z prasy ręcznej, bo nigdy nie wydrukowaliby satysfakcjonującej ich ilości banknotów.

Wchodząc po schodach hotelowych, Jan minął idącą w dół pannę Walewską, ubraną w zbyt krzykliwy pąsowy płaszczyk. W złożonych nabożnie dłoniach trzymała modlitewnik, wybierała się zatem na prymarię.

Niezawodny Mateusz już czekał z kawą i słodkimi bułkami. Po dorożkarskim śniadaniu Morawski nie zdołałby wcisnąć w siebie drugiego, ale ciepłymi drożdżówkami nie pogardził.

– Wpół do siódmej, a tego trutnia nie ma – mruknął kamerdyner, stawiając talerz na stole. – Idę go obudzić i zagonię do pracy. Koniec z lenistwem.

Wyszedł, a Jan sięgnął po drożdżówkę i rozłożył sobotnie wydanie „Dziennika”. Nie znalazł żadnej wzmianki o wybuchu i toczącym się śledztwie, ale w prawdziwą euforię wprowadziło go ogłoszenie: „Internacyjny Bar i Bodega – Piekary 24 – poleca american drinks”.

Jeszcze się śmiał z tego zaiste międzynarodowego słownictwa, gdy wrócił Mateusz – sam i mocno zachmurzony.

– Gdzie są gazety z poprzednich dni? – spytał Morawski.

Kamerdyner przyniósł dwa „Dzienniki”. Jan wziął ten z piętnastego, Mateuszowi dał z czternastego, nalał mu kawy i polecił szukać wzmianek o wybuchu.

Sam znalazł krótką relację zawierającą suche fakty: co, kiedy, gdzie. Żadnych teorii spiskowych, domniemań czy nazwisk. W dziale ogłoszeń – istnym kąciku humoru – trafił za to na coś fantastycznego: „Jutro wielki festyn wieprzobójny połączony z koncertem... świeże mięso z kotła... świeże kiszki... Restauracja w rzeźni miejskiej”. Nad tym widniał anons: „Bal na rzecz Czytelni Ludowych. 16 lutego br. w Bazarze, bilety 3 m u Drostego”. Dalej wymieniono nazwiska osób z komitetu organizacyjnego.

Jedząc kolejną drożdżówkę, uśmiechnął się na myśl o ponownym spotkaniu z panną Izabelą.

– Co tam masz, Mateuszu?

– „Wczoraj z rana śnieg zaczął padać w Hamburgu, Bremie, w południe w Kolonii i Hanowerze”. Nic o Paryżu.

Jan przewrócił oczyma. Kamerdyner ekscytował się komunikatami meteorologicznymi i uwielbiał wiedzieć, gdzie padał deszcz, gdzie śnieżyło, a gdzie ścisnął mróz. I marzył, by zaczęto ogłaszać prognozy pogody, bo z góry wiedziałby, czy założyć melonik, czy czapkę, wziąć parasol czy laskę.

– Nie ma nic o wybuchu?

– Przecież gazeta ukazała się czternastego rano, czyli przed wybuchem. Nawet wiadomości pogodowe są z poprzedniego dnia.

Jan zacmokał nad własną bezmyślnością, a Mateusz wyciągnął w jego stronę dłoń:

– Poproszę o wydanie z piętnastego. „Wczoraj tuż po północy śnieg zaczął padać w Berlinie i Poczdamie, przed świtem w Dreźnie. W południe we Wrocławiu”. Zdołaliśmy więc uciec. O, jest! „W Paryżu pogodnie”. Tam już niedługo wiosna. Wiosna w Paryżu... Powinniśmy zacząć myśleć o powrocie. Co? „Wielki festyn wieprzobójny połączony z koncertem... świeże mięso z kotła... świeże kiszki... Restauracja w rzeźni miejskiej” – czytał w ekstazie. – Muszę to pokazać Markowi. Na sto procent będzie chciał iść. Uwielbia takie imprezy. – Rozległo się stukanie do drzwi. – To na pewno on.

To jednak nie był on, lecz pikolak z wiadomością od doktora Chłapowskiego. Na odwrocie wizytówki hrabiny Taczanowskiej lekarz nagryzmolił: „Sekcja chłopca: w żołądku ziemniaki, mleko i czekolada z morfiną. Włosy z szala martwe. Matka nie rozpoznała szala”.

Morawski przestał się śmiać i odsunął talerz z drożdżówkami.

– Mateuszu – powiedział cicho – odeślij tę wizytówkę doktorowi. Na pewno będzie jej szukał.

Potem jeszcze raz przebiegł spojrzeniem po szpaltach „Dzienników” i przejrzał

sobotni „Kurier”. Z sypialni przyniósł karteczkę ukradzioną Krausemu. Przez chwilę analizował zapis, ale uznał to za stratę czasu. To przecież nie musiał być zaszyfrowany sensowny tekst, lecz klucz dostępu do jakiegoś miejsca, nic nie znaczący ciąg znaków. Tylko po co Oskar próbował to złamać? Może ukradł i nie wiedział, co to jest? Jan przepisał litery do notesu, wyrwał kartkę i dał Mateuszowi.

– Spróbuj to rozgryźć. Jeśli ci się nie uda, zniszcz. Ja przed ósmą wychodzę i wrócę około dwunastej.

– Pamiętaj pan o tym, że ktoś na pana poluje, prawda? I na nic nie będzie się pan narażał?

– Idę na spotkanie – obruszył się Morawski. – A ty zajrzyj do sklepu Żychlińskiego i dowiedz się, kiedy właściciel będzie na miejscu. Chcę z nim porozmawiać. Potem zajmij się posłańcem. Może jego śmierć nie wiąże się z wybuchem? Może on po prostu czegoś się dowiedział? Dostarczał cygara, więc niejedno mógł zobaczyć. Ignacy Błachowiak. Mieszkał na Wrocławskiej numer osiem lub dziewięć, nie jestem pewien. To po wschodniej stronie. Szukaj kuźni w podwórzu. A nad wejściem – zawiesił głos – młotków.

Jan schował oryginał kodu w szufladzie biurka w sypialni, wrócił do salonu, usiadł przy stole i nalał sobie jeszcze kawy. Upił pierwszy łyk, gdy tuż za nim rozległo się wesołe: „Dzień dobry!”. Morawski zaczął kaszleć, a Mateusz upuścił łyżeczkę.

– Mówiłem ci, żebyś pukał!

– Rany! Przepraszam.

Śpiewając: „Wielka sława to żart, księżę błazna jest wart”, Marek nalał sobie kawy do kubka Mateusza i usiadł obok Jana przy stole. Odgryzł kawał drożdżówki, a potem sięgnął po gazetę i otworzył ją. Starszy brat już go łapał za kołnierz, gdy Marek krzyknął:

– Koncert w rzeźni! Dzisiaj! – Spojrzał rozpromieniony na Mateusza. – Idziemy?

Kamerdynerowi opadły ramiona i uśmiechnął się.

– Możemy iść.

Za pięć ósma Morawski wyszedł z hotelu i wsiadł do czekającej na niego dorożki

numer 66. Dzień był piękny, bezwietrzny, mroźny. Przez pół godziny Mikołaj obwoził Jana po mieście i pokazywał miejsca, dokąd Schliemann miał zwyczaj jeździć.

O wpół do dziewiątej Jan wysiadł z dorożki na placu Sapieżyńskim i poszedł pieszo do Bier-Quelle. Gdy po dziesięciu minutach wynurzył się stamtąd, był ubrany w ciężki barani kozuch pokryty granatowym suknem, baranią czapkę z numerem 66 nad granatowym daszkiem i granatowe spodnie z błękitnymi wypustkami w szwach. Na nogach miał wysokie buty z cholewami, na szyi zawieszoną skórzaną torebkę z kwitami, a w dłoni przepisowy bat. A na twarzy – sumiaste wąsy, które kupił poprzedniego wieczoru u fryzjera. Podszedł do dorożki z numerem 66, a tuż za nim podążał inny wąsaty mężczyzna w kurtce.

– Postaram się nie narozrabiać – mruknął fiakier.

– Przekonamy się w kwietniu.

– W kwietniu?

– Dwa razy w roku, w kwietniu i październiku, policja urządza nam przegląd. Wtedy dowiadujemy się, ile skarg na każdego z nas wpłynęło.

– Skarg od kogo?

– Od posterunkowych i praworzędnych obywateli. Od dozorców i właścicieli restauracji. – Zza pazuchy Mikołaj wyciągnął broszurę. – Tu jest regulamin opracowany dla dorożkarzy przez policję. Proszę to sobie poczytać. I proszę uważać na paczki, które pan zabiera. Jeśli przewiezie pan coś kradzionego, oskarżą mnie o współudział w kradzieży.

W tym momencie do Jana dotarło to, co czuł już poprzedniego dnia, gdy czekał na przesłuchanie i czytał zachęty do delatorstwa³⁹: oto znalazł się w państwie policyjnym. Nie był to jednak czas na rozmyślanie. Wdrapał się na kozioł, a Mikołaj odwiązał konia. Morawski trzasnął batem i dorożka ruszyła.

Za piętnaście dziewiąta zatrzymał się przed piękną rokokową kamienicą przy eleganckiej ulicy Naumanna. Wyciągnął z kieszeni broszurę i już z pierwszej strony dowiedział się, że nie wolno mu odzywać się w niezrozumiałym języku, czyli po polsku. Zamknął książeczkę, uznając, że ma dość.

Po dziesięciu minutach oczekiwania zjawił się pan radca w eleganckim płaszczu chesterfield, wsiadł i rzucił:

– *Paulikirche!*

Dorożkarz zaciął konia i pojechał przez plac Królewski do ewangelickiego kościoła Świętego Pawła. Zatrzymał się przed wejściem i siedział bez ruchu. Po dziesięciu sekundach dorożka zakołysała się pod ciężarem wsiadającego.

– Jechać!

Ruszyli. Fiakier skręcił w lewo, w ulicę Wałową, obiegającą miasto dookoła. Jan już wcześniej postanowił, analizując plan miasta, że jeśli cel jazdy nie zostanie określony, postara się wyjechać właśnie na tę ulicę, gdyż jest tam niewiele skrzyżowań, dzięki czemu będzie mógł się skupić na słuchaniu. Bo był prawie pewien, że nie ma lepszego miejsca do knowań niż dorożka, o ile tylko można mieć pewność, że fiakier niczego nie zrozumie. Nastąpiło kilkadziesiąt denerwujących sekund, podczas których rekapitulował wszystkie *pro et contra* całego planu.

Naraz usłyszał za sobą głos mówiący koszmarną francuszczyzną:

– Trochę nam się sytuacja skomplikowała.

– Naprawdę? – odparł Schliemann z lekkim tylko niemieckim akcentem.

– W sumie to ma pan rację. Oskar nie jest już potrzebny. – Towarzysz radcy mówił głośniej, więc Jan słyszał większość jego słów. Chwilami wyczuwał też aromat wędzonych śliwek. – Wszystko jest przygotowane. Towar dotarł.

– W takim razie w poniedziałek lub ... wejdziemy do drukarni ... To załatwi sprawę...

– Na szczęście Oskar zdążył dogadać się ze stróżem.

– Gdy ... rozpoczniemy drugi etap. – Przez chwilę panowała cisza. – A ... bankier? Dostał prezent?

– Tak, chłopcy weszli dwie noce temu. Ale musieli trochę zmienić plany.

Potem Schliemann o coś zapytał, ale akurat przejeżdżał tramwaj i zagłuszył jego słowa.

– Nikt przypadkowo nie znajdzie – zapewnił towarzysz radcy, a fiakier, który był absolwentem paryskiego Lycée Henri-IV, wprost zżymał się, słysząc jego wymowę.

– Szkoda, że nie dotarliśmy do tego skarbcza, ale to załatwił Oskar.

– Wymyśliłem coś innego – oznajmił miękkiem głosem Schliemann. – Lubię ... więc chcę mieć trzy ptaki utłuczone jednym kamieniem. Po ... już się nie podniosą.

– Z jednego powodu żałuję śmierci Oskara. Nie wiemy, kim są ci fałszerze. Szukam i nic. Morawski też szuka. Cały czas mam go na oku. W ostateczności go przycisnę.

– W ostateczności to ja...

Tematy chyba się wyczerpały, gdyż zapanowało milczenie.

– Byłem wczoraj na miejscu wybuchu, ale po Krausem nie została nawet szpilka – rozległo się po chwili. – Sprawdzę jeszcze na dworcu, czy nie zostawił czegoś w poczekalni.

– *Bahnhof* – warknął Schliemann.

Minęli właśnie Bramę Rycerską i dojeżdżali do przygnębiającej reduty Fortu Grolman. Po prawej stronie jezdnia się rozszerzała, fiakier wjechał więc w zatoczkę i zawrócił pojazd. W ciszy ruszyli w drogę powrotną. Skręcili w lewo w Bramę Berlińską, wyjechali poza mury i przed Kaponierą ponownie skręcili w lewo, w kierunku dworca. Dorożka zatrzymała się przed wejściem do hali, pojazd się zakołysał i rozległo się podwójne „*Wiedersehen*”. Morawski lekko odwrócił głowę w prawo i kątem oka dostrzegł mężczyznę średniego wzrostu w kraciatym płaszczu i meloniku. Poczł też znowu aromat śliwkowego tytoniu. Na nic więcej nie miał czasu, bo z tyłu dobiegło szczeknięcie:

– *Generalkommando!*

Naczelne Dowództwo znajdowało się w pałacyku przy placu Działowym, w niezwykle wyeksponowanym miejscu na wprost wylotu ulicy Wilhelmowskiej. Fiakier wjechał w bramę i zatrzymał się przed zadaszonym gankiem, tuż za plecami pomnika cesarza. Schliemann bez słowa wysiadł i zniknął za drzwiami budynku. Mikołaj pouczył swego zmiennika, że w takiej sytuacji należy poczekać, ewentualnie ustawić dorożkę gdzieś w pobliżu. Jan nie mógł stać na wąskim podejździe, więc przystanął dziesięć metrów dalej. Wydobył z za pazuchy regulamin i dowiedział się, że kłócenie się z pasażerami jest *verboten*, podobnie jak wożenie

pijanych i opuszczanie pojazdu, gdy zajmuje pierwsze miejsce na postoju.

Dorożka się zakołysała.

– *Landschaft!*

Pojechali więc do Ziemstwa Kredytowego na rogu Lipowej i placu Wilhelmowskiego, stamtąd do Komisji Osadniczej przy Młyńskiej i do Sądu Okręgowego, do którego przylegało więzienie. Większość gmachów, wliczając w to sąd cywilny, olicowano czerwonym klinkierem niczym budynki wojskowe, co wywoływało wrażenie przebywania na terenie koszar, których zresztą było w mieście bez liku, podobnie jak garnizonów, placów musztry i komendantur. A nad tym wszystkim górowała złowieszcza cytadela – Fort Winiary – której czerwone mury wystawały ponad pokrywające wzgórze drzewa i były widoczne z wielu punktów. Przypominały miastu, że znajduje się pod butem i powinno porzucić nadzieję.

W każdym z odwiedzanych miejsc radca Schliemann wysiadał i odchodził, a dorożkarz czytał, co jeszcze jest jego obowiązkiem. Dowiedział się, że musi mieć pieniądze, by wydać resztę, musi umieć udzielić pasażerowi informacji o ulicach i urzędach, musi także posiadać rozkład jazdy pociągów.

Wreszcie za piętnaście jedenasta niestrudzony radca Schliemann wysiadł przed budynkiem Sądu Nadziemskiego przy placu Sapieżyńskim, rzucił: „*Das ist alles!*”⁴⁰, i odszedł.

Morawski przez chwilę siedział bez ruchu, wreszcie głęboko odetchnął i zaciął konia.

³⁹ Delatorstwo – donosicielstwo.

⁴⁰ *Das ist alles!* (niem.) – To wszystko!

ROZDZIAŁ 13

Dorożka numer 66 zajęła trzecie miejsce na postoju na trójkątnym placyku, gdzie zbiegały się ulice Berlińska, Świętego Pawła i Wiktorii. Z tego punktu we wszystkich kierunkach rozchodziły się ciągi wielkich kamienic czynszowych.

Morawski pochylił się i dyskretnie spojrział na złoty zegarek. Za dziesięć jedenasta. Miał przed sobą ponad godzinę pracy. Z kieszeni wyciągnął regulamin, otworzył go, na nim rozłożył kartkę i spisał wszystko, co zapamiętał z rozmowy Schliemanna i Śliwkowego. Działania radcy, ich tempo i wielokierunkowość, imponowały i wymagały roztropnej, równie szeroko zakrojonej kontrakcji.

Tymczasem Jan skupił się na rozważaniu, jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Oskar. Krause od lat tropił fałszerzy i odniósł wiele sukcesów, ale niektóre z tych sukcesów przychodziły mu dziwnie łatwo, jakby bez śledztwa wiedział, kto jest przestępcą. Zdobywał też sfalszowane płyty – gdy już banknoty były wydrukowane. I nigdy nie udało mu się wygrać z Mistrzem. Dla tego wszystkiego można by jednak znaleźć jakieś wyjaśnienie. Zupełnym natomiast *novum* w tym katalogu były antypolskie knowania Krausego ze Schliemannem.

Morawski dłonią w rękawicy osłonił bok twarzy. Pół godziny wcześniej zerwał się lodowaty wiatr, który z każdą chwilą przybierał na sile. Dwie dorożki odjechały z postoju z klientami i Jan zajął pierwsze miejsce. Zsiadł i ustawił budę nad tylnym siedzeniem. Z jednego ze sklepów wyszła kobieta w ciemnobłękitnym płaszczu i Jan pomyślał, że ten odcień pasowałby do panny Izabeli. Dama szła w jego kierunku, ale nawet na niego nie spojrzała. Zdziwiony, dopiero po chwili przypomniał sobie, że jest w stroju dorożkarza, a przecież szata czyni człowieka.

Naraz za plecami usłyszał ostry głos:

– Rusz się, człowieku!

Odwrócił się i zobaczył dwie kobiety obładowane stosami paczek. Pod

króciutkimi kozuszkami widać było rozrośnięte uda, domyślił się więc, że ma przed sobą panią i pannę Terleckie. Jedna trzymała w ramionach kilka kartonów z ozdobnym napisem „Dom Jedwabi – Leo Rosenberg”, druga różowe pudła oznaczone „Bon Marché”.

– No już! – pogoniła go starsza.

Czym prędzej uwolnił je od zakupów, a gdy układał to wszystko na przedniej kanapie, one wgramoliły się do dorożki i siedziały z identycznymi, nadętymi minami.

Wdrapał się na kozioł i pani Jadwiga rzuciła:

– Wilhelmstrasse – Sankt Martin.

Zaciął konia i ruszyli. Po trzech sekundach zaczęło się:

– Ten człowiek, wiesz kto, to spełnienie moich modlitw.

Jan słyszał wszystko doskonale, zapewne dzięki postawionej budzie, która kierowała dźwięki na niego. Wytężył uwagę.

– Sprawdziłam go na wszystkie strony – zapewniła córkę mameczka. – Sprzedał majątek po ojcu i zgarnął ponad milion. Większość ulokował w Anglii i w Ameryce. Do tego ma mieszkanie w Paryżu i parcele we Wrocławiu. Po matce przysługuje mu prawo do połowy kamienicy w Krakowie, a gdyby się dobrze zakrzętnął, to na pewno uzyskałby tytuł od cesarza.

Jan zastanawiał się, czy to możliwe, by chodziło o niego. Wprawdzie wszystkie dane się zgadzały – oprócz kamienicy w Krakowie, o której nie wiedział – ale chyba pani Terlecka nie myślała naprawdę...

– Musimy go złowić, kochanie – ciągnęła aksamitnym głosem. – Ojciec gada, że kupi kamienicę, ale obie wiemy, że to nieudacznik. Nigdy niczego się nie dorobi, więc mamusia wyda cię za kogoś, kto zapewni ci wszystko, na co zasługujesz. Szkoda, że nie dałam ci na imię Henrietta. Ślicznie byś się nazywała. Henrietta Morawska. Ale to nic straconego. W Paryżu przedstawisz się jako Henrietta i załatwione.

Dorożkarz się przygarbił.

– Ten jedwab jest piękny – mówiła pani Terlecka. – Pani Adela do jutra uszyje ci

z niego suknię, koniecznie z pajetkami i trenem. A dzisiaj upniemy tiul na tej kremowej, a do tego ta nowa narzutka atłasowa z łabędzim puchem. Będzie pięknie. Ale ty też musisz włożyć trochę wysiłku, najmilsza. Patrz na niego, machaj rękami i mów mu, jaki jest mądry. To zawsze działa. Resztą ja się zajmę.

Dojeżdżali do celu i po chwili ciszy jeszcze raz odezwała się mameczka.

– Pamiętasz, co masz mówić ojcu?

– Tak.

– A jak zapyta o bilety na bal, to dostałyśmy z Klubu Kobiet.

Dorożka zatrzymała się przy kościele Świętego Marcina. Panie wysiadły, złapały paczki, a fiakier podał im kwit na pięćdziesiąt fenigów, tak jak przewidywała taryfa urzędowa.

– Mam tylko czterdzieści – oznajmiła pani Terlecka, podając monety. – Dopłacę następnym razem.

Nie czekając na odpowiedź, przeszły na drugą stronę ulicy i zniknęły w narożnym domu.

Zanim Jan zdecydował, na który z postojów pojechać, do dorożki podbiegł klient i poprosił o zawiezenie do kantoru spółki H. Cegielski na Strzeleckiej. Tam Morawski trafił na kolejnego pasażera, który spieszył się na odczyt historyczny do PTPN, a potem jakaś Niemka wybierała się do kościoła Świętego Piotra⁴¹ (Jan był zdania, że żaden chyba budynek w mieście nie mógł się poszczycić tak wspaniałą ekspozycją jak ta dwuwieżowa świątynia). Gdy dojechali na miejsce, pomógł damie wysiąść i podprowadził ją pod same drzwi, bo było ślisko. Ofiarowała mu szczodry napiwek, a ledwie usiadł na koźle, przybiegły trzy młode panie i zleciły kurs na Wielkie Garbary.

Jechał powoli Wrocławską, bo wszędzie roiło się od ludzi i pojazdów. Już na początku ulicy zobaczył charakterystyczną parę: ślepnącego Agatona Leśniewicza podtrzymywanego przez barczystego Tomasza. Stali przed niemieckim Instytutem Higienicznym, a profesorowi ktoś się nisko kłaniał. W tym kimś Jan rozpoznał doktora Otto Lubarscha, szefa prosektorium. Przypomniał sobie, że przeglądając rano gazety, natrafił na wzmiankę, że tego dnia, jak w co drugą sobotę od stycznia

do marca, w Instytucie Higienicznym odbędzie się wykład poświęcony gruźlicy. W komitecie wykładowym znajdowało się tyleż nazwisk polskich, co niemieckich.

Kilkanaście metrów dalej Morawski zauważył Mateusza niosącego drewnianą skrzynkę z kanką mleka, dwoma bochenkami chleba i mniejszymi pakunkami. Kamerdyner odwracał głowę w stronę ściany, by zasłonić się od wiatru. Skręcił w bramę, nad którą były widoczne cztery młotki.

Dorożka wyjechała na Stary Rynek, a stamtąd ulicą Wodną doturlała się do Wielkich Garbar. Wszędzie po drodze Jan widział polskie afisze ogłaszające zebrania, odczyty i wykłady. Wydawało się, że w mieście istnieją dwa niezależne systemy, jeden oparty na urzędach, drugi na stowarzyszeniach.

Panny ze śmiechem wysiadły przed budynkiem, na którym wisiał plakat: „Spotkanie Towarzystwa Śpiewaczego”, a Jan skręcił w ulicę Szeroką. Dziesięć minut dzieliło go od południa, zmierzał więc w stronę Bier-Quelle, by zakończyć zmianę. W uszach dźwięczał mu jeszcze kobiecy śmiech i myśl jego pobiegła w stronę innej młodej damy. Jak spędzała to sobotnie przedpołudnie panna Izabela? Pracowała? Bo w taką pogodę raczej nie poszła na spacer.

Jechał pod wiatr, wiejący dokładnie z zachodu, i jedną dłonią próbował osłonić oczy. Naraz na trotuarze po prawej stronie zauważył kobietę, która tak jak on zmagala się z tym potwornym wietrzyskiem: przez przedramię miała przewieszoną torebkę, jedną ręką przytrzymała kapelusz, w drugiej niosła płaskie pudło. Przyhamował konia, zeskoczył z kozła i podbiegł do niej, zasłaniając ją od wiatru. Podniosła głowę i zobaczył bladą twarz panny Boratyńskiej i jej podkrążone błękitne oczy. Miała na sobie dopasowany grafitowy płaszcz i czarny kapelusz, toczek właściwie, uformowany z futra. Nie poznała go, bo wyglądał dokładnie tak jak wszyscy inni dorożkarze w tym mieście. Wskazał jej pojazd i pomógł wsiąść, a ona podała mu adres: Berlinerstrasse 8. Wdrapał się na kozioł, chwycił bat, lejce i pojechali.

Wysadził ją we wskazanym miejscu, a ona sięgnęła do torebki po pieniądze. Wzbraniając się, zamachał rękoma i zaczął wsiadać, ale położyła mu dłoń na ramieniu. Zatrzymał się. Uniosła wieko kartonu ze złotym napisem „Madame Bertha”, wyciągnęła ze środka białą różę z jedwabiu i podała mu. Ukłonił się nisko,

a ona weszła do kamienicy.

Przez chwilę stał i patrzył za nią, a potem schował dar za pazuchę i odjechał. Mogło się okazać, że regulamin dorożkarski nie pozwalał na przyjmowanie kwiatów od pasażerek.

Mikołaj czekał już pod Bier-Quelle i wyraźnie mu ulżyło, gdy zobaczył swego zmiennika. Przejrzał kwity i złapał się za głowę:

– Ale pan ma farta. Przez godzinę zrobił pan więcej kursów niż ja przez pięć.

– Pogoda jest niegodziwa, więc wszyscy szukają dorożki.

Weszli do piwiarni i na zapleczu zamienili ubrania. Potem Jan uregulował z fiakrem rachunki.

– Gdyby pan kiedyś potrzebował pomocy...

Morawski podziękował i rozstali się.

Szybkim krokiem wracał do hotelu. Wiatr ciągle wiał mocno, ale prawdziwie dokuczliwy stał się, gdy Jan wyszedł na otwartą przestrzeń placu Wilhelmowskiego. Minął budowę niemieckiego muzeum i skręcił w ulicę Nową. Wszedł bocznym wejściem do hotelu i pobiegł na drugie piętro. Korytarzem starego gmachu dotarł do nowego, a tam w saloniku dostrzegł małą figurkę panny Anastazji Nowackiej. Siedziała przy stole bokiem do wejścia i coś pisała. Morawski przysunął się do ściany i cichutko szedł w stronę pochłoniętej swym zajęciem panienki. Przed nią leżała kartka, a ona przepisywała na nią coś, co znajdowało się na papierze położonym obok.

– Dzień dobry – zagadnął.

Podskoczyła i przytknęła drobną piąstkę do piersi.

– To pan! Chce mnie pan wpędzić do grobu?

Spojrzał na stół, a ona się rozkosznie uśmiechnęła.

– Można spytać, czym się pani zajmuje?

– Chciałam się przekonać, czy nadawałabym się na fałszerza.

Jan zrobił groźną minę.

– Czy to znaczy, że zamierza pani popełnić przestępstwo?

– Ja sprawdzam, mój drogi, czy umiem podrabiać podpisy, bo w to, że byłabym

w stanie popełnić przestępstwo, mam nadzieję, pan nie wątpi.

Morawski wybuchnął śmiechem.

– Wszyscy zresztą jesteśmy zdolni do przestępstwa – mówiła, a wokół niej, jak zawsze, unosił się owocowo-karmelowy aromat. – Czytuje pan Balzaca?

– Rzadko.

Przysiadł na podłokietniku fotela i słuchał jej z zaciekawieniem.

– Szkoda, w jego książkach można znaleźć sporo ciekawych obserwacji. Balzac uważał, że istnieją dwie kategorie uczciwości, czynna i bierna. Czynna uczciwość charakteryzuje pańskiego kamerdynera, bo ma niejedną okazję, żeby kraść, a nie kradnie. Takich ludzi jest niewiele. Większość jest uczciwa biernie: nie popełniają niczego złego, bo nic ich nie skusiło. Ale jeśli pojawi się okazja, to z niej skorzystają.

Wykładała swą teorię etyczno-kryminalistyczną, chodząc po eleganckim saloniku, ubrana w liliową suknię pełną zakładek, a każda z tych zakładek podkreślała jakąś krągłość. Naraz zatrzymała się przy Janie i pociągnęła nosem.

– Robił pan za dorożkarza?

Morawski prawie spadł na podłogę.

– Ja...

– Cuchnie pan stajnią. – Przyjrzała się mu z bliska. – I ma pan zaczerwienioną skórę, ale tylko wokół oczu. I podrażnione miejsce nad górną wargą. – Dotknęła go paluszką. – Przykleił pan wąsy. Proszę to posmarować olejem z oliwek.

– Chce mnie pani wpędzić do grobu?

Zachichotała.

– Jak zbankrutował hrabia Walewski? – rzucił.

– Wracamy więc do śledztwa. Jak pan zauważył, hrabia rozumem nie grzeszy. Na szczęście ożenił się z mądrą kobietą i to ona zajmowała się interesami. Zmarła i wszystko zaczęło się sypać. Potrzebował zaledwie trzech lat, by dojść na skraj bankructwa, a wtedy ktoś namówił go na jakąś wielką spekulację, która miała postawić Walewskich na nogi. Kupił obligacje, a one okazały się fałszywe. Oczywiście sprzedawca zniknął, a ukochany pałac hrabiego został wystawiony na

licytację.

– Skąd pani to wie?

– Jak to skąd? Od Cecylii. Przecież jestem jej najbliższą przyjaciółką.

Morawski próbował przypomnieć sobie wszystkie ostatnie afery związane z fałszywymi obligacjami. Walewscy mieli dobra w Galicji, więc to zapewne były c.k. obligacje.

– A nie wie pani, co to były za obligacje?

– Cecylia powiedziała, że „obligacje rządowe cesarstwa”, ale gdy spytałam którego, była zdumiona. Myślała, że jest jedno: rosyjsko-niemiecko-austriackie. – Zaśmiała się. Naraz dostrzegła kogoś w korytarzu. – Poczekaj, Cecylko kochana, mam coś dla ciebie!

Wybiegła.

A Jan zszedł piętro niżej do swego pokoju. Odwiesił kurtkę Mateusza na oparcie krzesła w saloniku i poszedł do sypialni. Zawinął różę w chusteczkę i ostrożnie schował do walizki. Zdjął buty, położył się na łóżku i spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej. Zamknął oczy i zasnął.

⁴¹ Kościół Świętego Piotra – nie istniejący dziś kościół na styku ulic Świętego Piotra (obecnie Krysiewicza) i Półwiejskiej.

ROZDZIAŁ 14

Wydawało mu się, że spał zaledwie sekundę, gdy poczuł szarpanie za rękę.

– Musi pan wstać – przekonywał Mateusz – bo od spania w dzień boli pana głowa.

– Daj mu spokój – rozległ się jakiś głos. – Płaci ci, a ty go dręczysz.

– Wyjdź!

Ten krzyk pomógł Janowi wrócić do przytomności. Otworzył oczy, obrócił głowę i spojrzał na zegarek. Wpół do drugiej?

Podniósł się i spuścił nogi na podłogę. Przed jego nosem pojawiła się filiżanka parującej kawy. Mruknął podziękowanie i upił trochę. Po wypiciu dwóch filiżanek kawy rozwiało się otępienie wywołane niedospaniem i wiatrem. Umył się, zmienił koszulę na wizytową, włożył spodnie od garnituru i zasiadł przy stole w saloniku, by odbyć konferencję z kamerdynerem.

– Wczoraj udało mi się ustalić – zaczął ostrożnie – gdzie Schliemann organizuje swoje spotkania. Ukryłem się tam i trochę usłyszałem.

Pokazał Mateuszowi zapis rozmowy radcy i Śliwkowego, a potem przez chwilę rozważali, co zamierzał Schliemann i jakie pułapki zastawił.

– Przejrzyj gazety – polecił Jan – i popytaj w hotelu, czy było włamanie do jakiegoś banku. W nocy ze środy na czwartek lub z czwartku na piątek. A jeśli chodzi o drukarnię, skoro tam coś podrzucili, to musi to być polska drukarnia. Później przejrze spis przedsiębiorstw.

Na stole stała patera z apetycznie wyglądającymi żółtymi jabłkami. Morawski, wielbiciel tych owoców, sięgnął po jedną kulę i zanurzył w niej nożyk. Natychmiast strzelił w niego sok. Odkroił ćwiartkę, odgryzł kęs i żuł zachwycony. Jabłko było pyszne, słodko-kwaśne i soczyste. Obejrzał jeszcze raz owoc, żółty z różowym rumieńcem, ale nie potrafił odgadnąć, jaka to odmiana.

– Ryszard – odparł zapytany Mateusz. – Ryszard żółty.

Jan kroił jabłko na ćwiartki i jadł, a kamerdyner składał relację ze swej wyprawy. Po ustaleniu, że pan Żychliński będzie w sklepie we wtorek, ruszył do domu Ignasia, ale niczego przełomowego tam nie odkrył. Cała okolica – sąsiedzi, dzieci, sklepikarze, którzy go zatrudniali – wyrażała się o chłopcu w samych superlatywach. Nikt nie słyszał, by się chwalił, że coś wie.

– Ale podano mu morfinę i pozostawiono na mrozie – mruknął Jan.

– Więc albo nie wiedział, że coś wie, albo zabito go, by obciążyć pana.

Ujrzawszy ołowiane spojrzenie Morawskiego, kamerdyner porzucił swój ulubiony temat. Milczeniem pominął pomoc, jakiej udzielił rodzinie pani Błachowiak, i kontynuował swą opowieść o ulicy Wrocławskiej:

– Wszystkie te domy mają wspólne podwórza z budynkami przy sąsiednich ulicach, popytałem więc o chłopca także przy Jezuickiej, bo na nią wychodzi druga brama. O Ignasiu niczego się nie dowiedziałem, ale odkryłem, że młody pan Boratyński, ten nie zrozumiany artysta, w czasach gimnazjalnych z zapalem występował w amatorskich przedstawieniach teatralnych. To ciekawe, zwłaszcza że jako jedyny pasuje na posłańca.

– I jako jedyny ma na ten ranek alibi.

– Każdy czytelnik kryminałów wie, że winny jest człowiek z żelaznym alibi.

– O której wychodzimy na koncert wieprzobójny? – spytał Marek, pojawiając się nie wiadomo skąd.

Mateusz uderzył dłońmi w blat stołu i szeptem warknął:

– Pukaj!

Jan wstał.

– Ruszajcie do tej rzeźni, a ja idę na obiad. A po powrocie, Mateuszu, weź na spytki tego chudego służącego Walewskich i dowiedz się, co to za fałszywe obligacje kupił pan hrabia.

Morawski zawiązał krawat, włożył buty, kamizelkę i marynarkę, sięgnął po płaszcz i kapelusz, a potem zbiegł na parter i głównym wyjściem opuścił hotel. Przekroczył

ulicę Wilhelmowską i wszedł do restauracji Hotelu Rzymskiego. Zamówił obiad – zupę szparagową, sandacza w galarecie i *filet mignon* z sosem berneńskim – a w trakcie jedzenia rozważał, którym wątkiem się zająć. Włamanie do banku miał wstępnie rozpoznać Mateusz, natomiast sprawa drukarni wymagała analizy z książką adresową w dłoni. Jan zdecydował, że skoro już ubrał się wizytowo i wyszedł z hotelu, odwiedzi panią Teresę. Może uda mu się przyłapać Artura na jakiejś niekonsekwencji.

Kamienica przy Wilhelmowskiej 18 niczym nie różniła się od innych czynszówek w tej dzielnicy. Miała cztery piętra, bogate obramienia i zwieńczenia okien, balkony i wspaniałą bramę, po której obu stronach mieściły się eleganckie sklepy. Morawski wszedł na pierwsze piętro, gdzie, jak poinformował go dozorca, mieszkała pani Żdzarska, i zakołatał w ciemnobrązowe drzwi.

Po chwili otworzyła mu wysoka, chuda kobieta o niezwykle muskularnych przedramionach.

– Chciałbym się zobaczyć z panią Teresą.

– Niech wejdzie jest u siebie z paniczem czekają na powrót panienki straszny wichur to te drzwi po lewej ja muszę pilnować żółtek.

Zniknęła.

A do Jana dotarło tylko to, że Izabeli nie ma. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo liczył, że ją zobaczy. Zmarszczył czoło. Skąd w ogóle wzięła się w nim pewność, że ona będzie w domu? Nic nie wiedział o jej życiu. Może właśnie spotkała się z narzeczonym?

Stał w holu – zawiedziony i rozdrażniony – aż wreszcie z bocznego korytarzyka prowadzącego do nieoficjalnej części mieszkania wychyliła się siłaczka z miedzianym rondlem w dłoni i mieszając w nim kwirlejką⁴², ruchem głowy wskazała Janowi drzwi.

Podszedł tam i zapukał, a gdy odpowiedziało leniwe: „Tak?”, nacisnął klamkę. Otworzył drzwi, przekroczył próg i odchrząknął ze zdumienia.

Znalazł się w namiocie sułtana: z sufitu zwieszały się orientalne materie, ściany pokrywała granatowa tapeta w złote arabeski, a powietrze było gęste od

egzotycznego zapachu trociczek. Przy niskim stole stały dwie kanapy. Na jednej siedziała pani Teresa, w karmazynowej aksamitnej sukni i turbanie haftowanym błyszczącą nicią, a naprzeciwko niej wpołużał Artur, bynajmniej nie dekadent i nie dandys, lecz zadowolony kocur. Spędzali miłe popołudnie, pijąc gorącą czekoladę i stawiając podwójnego pasjansa.

Pani swatka przywitała Jana z wielkim entuzjazmem, młody Boratyński z mniejszym. Gość usiadł, a wtedy jego oczom ukazała się czwarta ściana pokoju, cała obwieszona oprawionymi w ramki sentencjami o znakach zodiaku, gwiazdach i ciałach niebieskich, w stylu: „Lekarz nie znający astrologii nie ma prawa nazywać siebie lekarzem. Hipokrates”. A honorowe miejsce między tymi mądrościami zajmował wielki obraz Czarnej Madonny.

Jan wstał, podszedł bliżej i zaczął czytać. Pani Teresa od razu do niego dołączyła.

– Świetne są, prawda?

– O tak. To jest najlepsze. – Wskazał tekst: „Będą znaki na słońcu i na księżycu, i na gwiazdach”, myśląc jednocześnie, że Łukasz Ewangelista przewróciłby się pod swym głazem, gdyby wiedział, w jakim kontekście użyto jego słów. – No i ta Madonna robi po prostu wstrząsające wrażenie.

Pani Źdzarska zaklaskała, słysząc to określenie.

– Właśnie takiego wrażenia doznałam, gdy ją zobaczyłam trzy lata temu w sklepie. Poczułam, jakby do mnie przemówiła. Bez wahania ją kupiłam i zawiesiłam między moimi złotymi myślami.

Przez chwilę opowiadała, jak wyszukuje nowe cytaty, lecz nagle zamilkła i zakryła dłonią usta.

– Ach jej! Ja tu gadu-gadu, a pan pewnie przyszedł do Arturka! Mówił mi, jaki był pan zachwycony jego fotografiami.

Boratyński odgarnął grzywę z czoła i zrobił obojętną minę.

– Takie tam... – machnął pulchną ręką. – Nie ma o czym rozmawiać.

– Jak to: nie ma o czym rozmawiać? – zaperzyła się cioteczka. – Już panu mówiłam, jaki on jest wszechstronnie utalentowany – przekonywała żarliwie.

Splotła dłonie i wielkimi czarnymi oczyma Cyganki wpatrywała się w Jana. – Większość ludzi nie nadaje się do żadnych studiów, a on studiował i filozofię, i języki. Wszystko po prostu. Mógłby nawet studiować medycynę.

– Sądziłem, że studiowałaś w Monachium kierunki artystyczne... – zdziwił się Jan.

Artur wzruszył ramionami i obracał w dłoniach malutką kadzielniczkę, z której przez dziurkowaną przykrywkę wydostawał się duszący dym.

– Zacząłem od filozofii, ale moje koncepcje były zbyt przełomowe. Nie podobały się jednemu z profesorów i tak mnie prześladował, że musiałem się przenieść do Bawarii.

– Tak po prostu, widzi pan? Nie filozofia, to sztuka. W Monachium studiował malarstwo, ale potem odkryto jego fenomenalną rękę do rzeźby...

– Niestety, mój wykładowca, kompletne beztalencie, zazdrościł mi i zmienił moje życie w piekło.

Ciotka przysiadła obok niego i pogładziła go po dłoni.

– Więc gdy przyjechał na Boże Narodzenie – zwróciła się do Jana – taki zmalretowany, uparłam się, by na ten semestr został w domu, ze mną.

– I zastanawiam się, czy w ogóle tam wracać, teraz, gdy odkryłem swoje prawdziwe powołanie. – Artur zerwał się z kanapy i wycelował w Jana palec: – Muszę ci coś pokazać, coś absolutnie rewelacyjnego. Te zdjęcia, które tak ci się podobały, to nic w porównaniu z nowymi.

Wybiegł, a pani Teresa splotła dłonie na obfitym biuście.

– Nie poznali się na nim w tych wstrętnych Niemczech, ale żaden geniusz nie został doceniony za życia, prawda?

Morawski mruknął coś niezrozumiałego, bo przez głowę przelatywał mu ciąg nazwisk: Mozart, Beethoven, Goethe, Michał Anioł.

– Tylko że ten brak uznania go przygnębia – oświadczyła pani Teresa, zapalając fajkę – bo jest taki wrażliwy. Czasami ma... jak on to nazywa?... zapaść woli, wtedy leży i nie reaguje na wołania, prośby, groźby. Ostatni taki napad miał kilka dni temu. Zaraz, kiedy to było? Może w zeszłym tygodniu? Nie, to musiało być w tym,

ponieważ nie było Izabeli. Ona jest taka energiczna, że chyba część tej energii udziela się jemu i przy niej nie miewa tych ataków petryfikacji. – Dookoła rozszedł się aromat śliwkowego tytoniu. – To musiało być w środę, bo ona pojechała do tego swojego Berlina i wróciła dopiero na czwartkowy bal. A Arturek przyszedł do domu w środę już po północy, położył się na kanapie i najpierw straszliwie rozpaczał, powiadam panu, to była absolutna desperacja. Ale potem było jeszcze gorzej, bo zapadł w letarg.

Przez chwilę panowała cisza. Naraz swatka rozszerzyła oczy:

– Za długo go nie ma. – Rzuciła fajkę na stół. – On tak łatwo wpada w depresję. Może coś sobie zrobić? – Wybiegła z pokoju.

Jan podniósł fajkę i powąchał, a potem rozejrzał się za jakimś naczyniem. Na tacy stały tylko kubki po czekoladzie, podszedł więc do toaletki, sięgnął po jakąś miseczkę, wysypał z niej koraliki i umieścił wewnątrz fajkę. Na lustrze wisiał *postiche*, czarna dopinka, na co dzień udająca fryzurę pani Teresy. Morawski, niezbyt zainteresowany nastrojami Artura, wyrwał dwa włosy i położył je na dłoni. Nie miały cebulek, ale były bardzo długie. Z kieszeni wyjął chustkę i zawinął w nią swą zdobycz. Potem wyszedł na korytarz i podążył za głosem pani Teresy.

– Są naprawdę ładne – zapewniała.

– Ładne? – najeżył się Artur. – Co za okropne słowo. Ładne to znaczy przeciętne. Już wolałbym, aby były po prostu brzydkie. Ładne!

Siedział przy stole zarzuconym fotografiami i opierał twarz na dłoniach. Jan sięgnął po jedno ze zdjęć, ale Boratyński podskoczył, wyrwał mu fotografię, a potem drżącymi rękoma zbierał swe dzieła.

– Nie patrz na nie. Nie chcę, by ktokolwiek je widział. Są denne. Martwe. – Opadł na krzesło. Na białej twarzy miał czerwone plamy, a małe oczka wpatrywały się w przestrzeń. – Są martwe jak moja dusza. Oto skutki mieszkania w tym mieście. Aż się boję myśleć, czego mógłbym dokonać w Paryżu!

Morawski przez chwilę się zastanawiał, co było gorsze do zniesienia: zrządzenie czy przechwałki. Rozejrzał się. Byli w zwykłym jasnym pokoju mieszczańskim, z *biedermeierowskimi* meblami wykonanymi z drewna czereśniowego, z kanapą

i fotelami obitymi grubym materiałem w pastelowe pasy. Pod oknem stało duże biurko, a pod jedną ze ścian zegar wysoki na dwa metry. Miał dwie tarcze, dużą i małą, oraz wielkie wahadło.

– Jaki piękny zegar! – zachwycił się.

Tamci drgnęli zaskoczeni tą zmianą tematu. Dotknięty Artur odwrócił głowę, ale pani Teresa podeszła bliżej.

– To nasz zegar rodzinny. Gdy mój brat stracił majątek, a wkrótce potem zmarł, dom, meble, pamiątki, w ogóle wszystko zostało wystawione na licytację. Kilka miesięcy później Izabela zaczęła zarabiać, ale nie myślała o odszukaniu tych rzeczy. Dopiero gdy otrzymała spadek... Mówiłam panu, prawda?... Ten spadek, który należał się Arturkowi, bo to mężczyźni powinni dostawać spadki... Więc jak dostała te pieniądze, to tak długo ją błagałam, aż wreszcie zgodziła się odkupić ten zegar. Stał w antykwariacie i nikt go nie chciał, bo jest taki ogromny.

– Jak bije?

W tym momencie, jak na życzenie, zegar wybił wpół do czwartej.

– Pełne godziny rąbie tak, że zagłusza dzwony kościelne, ale kwadranse i połówki wybija delikatnie.

– A innych rzeczy nie chciała wykupić – burknął Artur. – Powiedziała, że nie chce pamiętać tamtego życia.

– Taka była piękna ta srebrna zastawa – żaliła się pani Żdzarska.

– I majolika z Nieborowa. – Artur z entuzjazmem dołączył się do tego sentymentalnego mazgajstwa.

– Takie śliczne kokoszniki⁴³ i ażurowe kosze.

Morawski czuł, jak opanowuje go wściekłość: dziewczyna przez lata ich utrzymywała, a oni mieli pretensje, że nie chciała przeznaczać ciężko zarabianych pieniędzy na skorupy? Odwrócił się od nich. Na biurku leżały arkusze białego kartonu, do których przyszyto po kilkanaście pasków różnobarwnych tkanin. Każdy pasek był opisany jakąś fantazyjną nazwą: *foulard liberty*, *taffeta*, *louisine*, *peau de soie*, *soie duchesse*.

– Czy to próbники tkanin?

– Tak, Izabela przywiozła je z ostatniego wyjazdu do Berlina.

– Panna Izabela dużo pracuje, prawda?

– Skoro lubi...

Jan się rozejrzył. Czyżby trafił do jej pracowni? Chodził po pokoju, a tamci zajmowali się sobą.

– Wiesz co, kochany? – pani Żdzarska mówiła do Artura. – Szykuje mi się dodatkowy zarobek w tym sezonie. Mam szansę na dziesięć tysięcy marek. Więc może coś z tych rzeczy udałoby się jeszcze odkupić, choć to już siedem lat minęło.

Boratyński nagle wstał.

– Ja też liczę na niezłą sumkę, ale wtedy zacznę podróżować. – Zwrócił się do Jana, który podniósł leżącą na wierzchu stosu książkę *The Portrait of a Lady*. – Ty zjeździłeś kawałek świata, prawda? Dokąd powinien pojechać ktoś o takiej konstytucji jak ja?

Morawski przygryzł wargę, by nie parsknąć śmiechem. Wydawało się, że poważnie rozważa tę kwestię.

– Jeśli nie byłeś we Włoszech – wymyślił bezpieczną odpowiedź – to koniecznie powinienes to nadrobić.

– Tak, to coś dla mnie. Zawsze o tym marzyłem. – Arturowi rozbłysły oczy. – Do takiego wyjazdu trzeba się przygotować, więc jutro od rana zacynam opracowywać program podróży. Dzisiaj jeszcze odpocznę, ale od jutra nie ma mnie dla nikogo.

„Wieczne jutro nałogowców i trutniów” – pomyślał Jan.

Artur ruszył do drzwi, mrużąc:

– Gdzieś mam jakąś książkę o Włoszech.

Pani Teresa wskazała Janowi drogę do siebie.

– Tak bym się cieszyła – szepnęła – gdyby udało mu się pojechać... Może nawet wybrałabym się z nim. Może to by go wyleczyło z tej melancholii. Jest taki wrażliwy.

Morawski zaczął się żegnać, ale weszła służąca o galopującej wymowie:

– Oddaje gazete wiatr ustał kupiłam pani w aptece co pani chciała zapłaciłam półpięta.

Pani Teresa wzięła jakąś flaszeczkę i drobne monety, a gazetę wetknęła sobie pod pachę. Butelkę schowała do szafki, a z pieniędzmi ruszyła w głąb pokoju. Jan ukradkiem uchylił drzwiczki mebla i zobaczył dziesiątki przemieszanych buteleczek: belladonnę, laudanum, chloroform, morfinę.

– Co to jest półpięta? – spytał, by jakoś uzasadnić, że jednak nie wyszedł. – Połowa pięciu?

– Nie, pięć bez połowy, czyli cztery i pół. Marcjanna używa takich określeń monetarnych. Półtrzecia to nie połowa z trzech, lecz trzy minus pół: dwa i pół. – Pani Żdzarska położyła na stole grubą teczkę i ze starannością buchalterki umieściła w niej gazetę. – Mam wszystkie egzemplarze „Dziennika”. Takie domowe archiwum bywa niezwykle przydatne.

Wrócił Artur z książką, nie o Włoszech raczej, gdyż na okładce widniał autor: Przybyszewski. Jan się pożegnał, ale odpowiedzieli mu nieuważnie, zajęci szeptaniem.

Wyszedł do holu i zobaczył w półmroku Izabelę. Zamknął drzwi do pokoju pani Teresy, a dziewczyna podniosła głowę. Wtedy zauważył, jak coś w panice chowa. Podeszedł bliżej. Na jej twarzy ukazały się zdumienie i ulga, a potem opadła na krzesło. Rysy – widoczne to było nawet w tym słabym oświetleniu – miała ściągnięte. Z torby wydobyła książkę *Dzień grzecznej Helenki* i tabliczkę, do której były przywiązane biały rysik i gąbka.

– Boże – wykrztusiła wreszcie – myślałam, że to inspektor szkolny.

– Uczy pani dzieci?

– Warciańskie.

Patrzył na nią, marszcząc czoło, więc wyjaśniła:

– Działam w stowarzyszeniu „Warta”. Uczymy dzieci polskiego, ale to zabronione. Już raz zapłaciłam grzywnę. Nawet gdyby przyszedł tu inspektor, nic by mi nie groziło, bo tę *Helenkę* mogę mieć, dopiero uczenie jest karalne. Ale taka jest siła nieczystego sumienia, że prawie zemdlałam. – Podniosła się. – Pan już wychodzi?

– Tak, spędziłem tu dwadzieścia minut, a to, jak pani wie, maksymalny czas

pierwszej wizyty.

– Czy nie uważa pan, że życie towarzyskie sprowadza się nie do przyjemności, lecz przestrzegania zasad i dbania o reputację?

– Podpisuję się pod tym stwierdzeniem obiema rękoma.

Uśmiechnęła się.

– Więc proszę wejść choć na dwie minuty.

Skinął głową i otworzył przed nią drzwi do pokoju ciotki.

– Martwiłem się całe przedpołudnie – odezwał się Artur, odrywając usta od kubka z czekoladą – jak uda ci się przenieść pudło z tymi bzdurkami przy takim wietrze. Ze zmartwienia nie mogłem pracować i przysiadłem na chwilę u cioteczki.

– Podwiózł mnie pewien dorożkarz.

– Przecież nigdy nie bierzesz...

– Przeuroczy człowiek. Widział, że z trudem idę, więc sam się zatrzymał. Nawet nie przyjął zapłaty. – Spojrzała na zegarek przypięty do sukni. – Muszę wyjść do pani Miecznikowskiej oddać wizytę. Czy mógłbyś, braciszku, zanieść pani Terleckiej „Tygodnik Mód”? Prosiła mnie wczoraj, a ja od rana byłam zajęta i teraz już nie zdążę.

– Zanieś jej to, a z wizytą pójdziesz kiedy indziej.

– Dzisiaj ósmy dzień po obiedzie pani Miecznikowskiej, ostatnia pora na dygestię. Muszę iść.

– Poślij „Tygodnik” przez Marcjanę.

– Terlecka się obrazi.

– Ja nie mogę – rozkaszał się Artur. – Źle się czuję.

– To nie jest pogoda na jego zdrowie – poparła go ciotka.

– Proszę mi to dać – zdenerwował się Jan. – Ja zaniosę.

[42](#) Kwirlejka (gw. pozn.) – przyrząd kuchenny do mieszania, mątewka.

[43](#) Kokosznik – kieliszek do jajka.

ROZDZIAŁ 15

Jan wysłuchał wytycznych panny Izabeli i jej podziękowań, a potem wyposażony w dużą kopertę zawierającą bezcenny „Tygodnik Mód i Powieści” opuścił jej mieszkanie. Wyszedł z bramy, skręcił w prawo i po przejściu kilkudziesięciu metrów znalazł się przed kamienicą stojącą na rogu ulic Wilhelmowskiej i Święty Marcin. Wspiął się na drugie piętro i zapukał do drzwi oznaczonych lśniąca tabliczką „H.J. Terleccy”.

Skrzydło się uchyliło i w szparze pojawiło się oko.

– Czego? – spytał głos, chyba kobiety.

– Chciałbym się widzieć z panią Terlecką.

– Ni ma.

– A czy jest ktokolwiek z państwa?

– Ni ma.

– Czy mogę coś zostawić dla pani Terleckiej?

Tym ją zaskoczył. Szeptem naradzała się z samą sobą. Wreszcie wymyśliła.

– A jest tam napisane, o co się rozchodzi?

Teraz to Morawski się zamyślił. Dostał kopertę, ale nie wiedział, czy panna Izabela dołączyła jakieś wyjaśnienie. Chyba nie, bo nie widział, żeby coś pisała.

– Nie – odparł – ale jeśli mogę wejść na chwilę i dopisać do tego wiadomość, to wszystko będzie jasne.

Teraz istota potrzebowała prawie minuty na przemyślenie tej propozycji. Wreszcie otworzyła drzwi i Morawski zobaczył prostą wieśniaczkę w brudnym fartuchu i chustce na głowie. Na bosych stopach miała coś, co w Poznaniu nosiło nazwę „laczki”. Stała z boku, więc wszedł. W przedpokoju było ciemno i tak lodowato jak w remontowanym skrzydle hotelu Concordia przed wybuchem. Stali naprzeciwko siebie.

– Czy mógłbym wejść gdzieś, gdzie jest więcej światła?

Poszła w głąb korytarza i Jan zawahał się, czy ma za nią podążyć. Otworzyła drzwi, jak się okazało do kuchni, i oczom gościa ukazał się stół zawalony obierkami i skotłowany pod nim barłóg. Służąca wróciła ze zwykłą lampą naftową, taką, jakie wieszają się na haku w stajni.

– Niech wejdzie do salunu – poleciła i pokazała mu drzwi. – Tylko żeby niczego nie wyniósł. Pan by mi łeb ukręcił.

Odczłapała.

Morawski wszedł do niewielkiego pokoiku, wykrojonego chyba z salunu i urządzonego w uwielbianym przez drobnomieszczaństwo stylu japońskim. Na jednej ścianie wisiała mata z bambusowych listewek, do której przypinano zdjęcia pagód, a na drugiej – papierowe wachlarze w chryzantemy. Na konsolkach stały pudełka z „laki” i filiżanki z motywem wierzby. Naprzeciw drzwi prowadzących z holu wisiały sznurki z nanizanymi kawałkami bambusa pomalowanymi w pawie i ibisy.

Jan odsunął tę szmerliwą zasłonę i wszedł do głównego „salunu”. Uniósł lampę w oczekiwaniu jakichś sensacji, ale tu nie spotkała go niespodzianka. Trafił do zwykłego pokoju, tyle że arktycznie zimnego. Ściany były obwieszane tanimi oleodrukami, a pod reprodukcją *Hołdu pruskiego* wisiały amatorskie akwarelki i płaskorzeźby z korka, zapewne dzieło któregoś z domowników. Na każdej płaskiej powierzchni ustawiono porcelanowe figurki, muszle i świeczniki, a między tym wszystkim tkwiły w ozdobnych ramach fotografie panny Henryki, z tym podbródkiem w zaniku, bezbarwną oprawą rybich oczu i podwiniętą górną wargą. Jan szybko odsunął światło i pozwolił tym atrakcjom zatonać w łaskawym półmroku.

Podszedł do etażerki i podniósł kilka zbytkownych przedmiotów: figurkę z Sèvres, kryształowy dzwonek Lalique’a, przezroczysty płaski flakon z nakrętką przypominającą korek od szampana i złotą etykietą „Jicky – Guerlain Paris”. Była w tym jakaś sprzeczność – nieopalone mieszkanie i kosztowne detale.

Ustawił lampę na stole i rozpiął płaszcz, żeby wyjąć pióro i kartkę. Usiadł na

trzeszczącym krześle. Przed nim leżała książka w poważnej brązowej oprawie z tłoczonym napisem: *Ojca Prokopa kapucyna Żywoty świętych pańskich*. Zakładka wskazywała, że ktoś zbliżał się do końca tej świątobliwej lektury, ale gdy Morawski chciał przerzucić kartki, okazało się, że większość jest nie rozcięta, także w tej „przeczytanej” części.

Obok ambitnego dzieła leżał *Podarunek ślubny* niezastąpionej pani Ćwierczakiewiczowej, z wieloma paskami papieru, znaczącymi zapewne ważne fragmenty. Jan zajrzał w kilka miejsc i znalazł podkreślone ołówkiem zdania i tematy: „Gospodarstwo jest sztuką dobrego użycia czasu, rozumu i pieniędzy”, „Trucizny – spirytus, cykuta, strychnina”, „Jakie przetwory z owoców i warzyw można produkować na sprzedaż” i „O szkodliwości tytoniu”. Morawski, wielbiciel cygar, zaczął czytać ten ostatni rozdział, gdy nagle zza bambusowej zasłonki dobiegły go kobiece głosy:

– Ojca jeszcze nie ma. Schowałaś tamte zakupy?

– Tak, mam. Zniosłam do skrytki na górę. A ten płaszcz taty zabrać do salonu?

– Tak. I nie zapomnij położyć obok niego koszyczka z szyciem. Krawiec świetnie się sprawił.

– A mięso do kuchni?

– Tak, ale kwit zostaw tu, żeby widział.

Trzasnęły drzwi wejściowe.

– Wychodziłyście? – spytał męski głos, ale z oddali, chyba z przedpokoju.

Morawski wstał i cicho podszedł do zasłony.

– Tak, byliśmy na Chwaliszewie, bo tam jest tańszy chleb. Aż o trzy fenigi. Zresztą Henryczka musiała się przejść, bo od rana nicowała twój płaszcz.

– A u rzeźnika wynegocjowałam obniżkę ceny skopowiny⁴⁴, tatusiu – zaszcebiotała Henryczka.

Tatuś zachichotał czule przez zatkany nos.

– Dobra dziewczynka, a teraz pokaż, jak zrobiłaś mi nowy płaszcz ze starego.

– Proszę jaśnie państwa...

– O właśnie, czy Józefa zapłaciła już za tę stłuczoną szklanekę? – spytał tatuś

złodowaciałym nagle tonem. – A może Józefa myślała, że ja zapomnę? Ja się nie dam oszukać.

– Proszę jaśnie pana, w salunie jest gość.

– Gość?! – zawołała mameczka. – Jaki gość?

– Ja tam ni wim.

– Dlaczego Józefa zostawiła go samego? – wysyczał pan Henryk. – Trzeba było siedzieć pod drzwiami i pilnować.

Jan czmychnął do stołu, usiadł i sięgnął po notes.

– Tylko żebyś nikogo nie zapraszała na kolację – dobiegł z przedpokoju głos pana domu. – Musimy zaciskać pasa.

Rozległ się szmer i zza przesłony wyłoniła się pani Terlecka.

– Ależ to pan! – klasnęła w dłonie. – To pan? Cóż za zaszczyt! Gdybym wiedziała, że pan nas zaszczyci, nie ruszyłabym się przez cały dzień z domu. Czy to nie zaszczycające... to znaczy zachwycające? – zwróciła się do męża i córki.

Mąż marszczył czoło, a córka spojrzała na ojca i też zmarszczyła czoło.

Mameczka uścisnęła gościowi dłoń, a potem się wstrząsnęła:

– Ależ tu zimno. – Wybiegła do przedpokoju, a za nią wyszedł jej małżonek. – Józefo! Dlaczego Józefa nie napaliła?

– Przecie pan zabronił palić.

– Józefa źle go zrozumiała. Proszę natychmiast napalić. I nastawić czajnik. – Wróciła do salonu. – Jak się panu podoba buduarok Henryczki? – ćwierkała, wskazując kliteczkę za bambusową przesłoną. – Najmodniejsza żapońszczyzna. Sama to projektowała. A jadalnię mam urządzoną na starość. Chciałby pan zobaczyć?

– Nie, nie, ja...

– Zostanie pan na podwieczorku, prawda? – zaszemrała pani Terlecka.

Wpatrywała się w Jana z zachwytem, a na twarzy młodej damy widniało takie samo maślane rozmodlenie; już nie marszczyła się jak ojciec.

– Nie, dziękuję. Właściwie przychodzę do pani jako posłaniec.

Podał jej przesyłkę, a ona uśmiechnęła się do niego czule. Otworzyła kopertę i wyciągnęła „Tygodnik Mód i Powieści” z jedenastego lutego. Mina jej zrzedła,

a cieniutkie namalowane brwi się uniosły. Ze środka wypadła na stół wizytówka.

– Że też ona nie ma wstydu, żeby posyłać mi swą kartę – mruknęła i ponad ramieniem pokazała kartonik córce, która pokręciła z niesmakiem głową. – Panna nie ma biletów wizytowych – wyjaśniła Janowi. – Idąc z ojcem lub matką, dopisuje ołówkiem swe imię i nazwisko. Dopiero stare panny sprawiają sobie bilety. Henryczka nie ma własnych wizytówek, prawda?

Córka gorliwie potwierdziła. Morawski sięgnął po kapelusz, a pani Terlecka przerzuciła kilka kartek „Tygodnika”.

– I czy to jest naprawdę takie specjalne? – spytała, podsuwając Janowi pod nos artykuł o kreacjach zaprezentowanych podczas karnawału poznańskiego.

Zaciekawiony Morawski ujął podane sobie czasopismo. Artykuł panny Izabeli zajmował dwie strony, a oprócz tekstu zamieszczono szkic sukni o linii *empire*, z długim trenem spadającym od pleców.

– Jestem pewna, że Henryczka zrobiłaby to o niebo lepiej – przekonywała mameczka. – No ale ja nie dopuściłabym, aby moja córka robiła cokolwiek za pieniądze. To takie niedystyngowane. Pannie Izabeli to jednak nie przeszkadza.

Pojawiła się służąca z węglarką, wiadrem i koszem na drewnienka. Zaczęła hałasować przy piecu, a wtedy pani Terlecka zbliżyła się do Jana, położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

– Proszę być ostrożnym. Panna Boratyńska jest zdesperowana i zrobi wszystko, by wyjść za mąż. Zwłaszcza za kogoś takiego jak pan. Nie chciałabym, by złapała pana w jakąś pułapkę.

W tym momencie do salonu wrócił pan Henryk. Płaszcz zamienił na gruby sweter, a szyję i ramiona owinął czarnym wełnianym szalem. Spojrzał na żonę wzrokiem inkwizytora.

– Zajrzałem do pokoju Henryczki i w szufladzie znalazłem pudełko czekoladek. To niedopuszczalna rozrzutność.

– Henryczka dostała je od wielbiciela – zapewniła go małżonka, a córka przytaknęła.

Spojrzenie papy się ociepliło.

– W poniedziałek odeślemy do sklepu. Powiesz, że się rozmyśliliśmy, niech zwrócą pieniądze. A w kuchni palą się aż dwie lampy. Proszę się tym zainteresować.

Pani domu wyszła razem z córką, a Jan ukłonił się, zamierzając podążyć ich śladem, ale niespodziewanie zagadnął go pan Terlecki:

– Pan się podobno spotyka z patronem Wawrzyniakiem.

Morawski aż zmrużył oczy, tak bardzo nie podobał mu się ton pana Terleckiego. Marzył, by się wydostać z tego miejsca, ale ciekawość zwyciężyła.

– objaśniał mi zasady działania Związku Spółek Zarobkowych. – Przesunął się, by przepuścić wychodzącą Józefę. – Pan jest dyrektorem w Banku Przemysłowców, który należy do związku, prawda? Związek wykonuje wspaniałą pracę dla wspierania walki z germanizacją.

– Nie wiem, czy wykonują wspaniałą, czy marną pracę. Ale wiem, że poświęciłem temu bankowi najlepsze lata życia, a oni żałują mi nawet kredytu. Wyobraża pan sobie taką niewdzięczność?

Jan mruknął coś i odwrócił się do wyjścia, ale pan Henryk złapał go za rękaw.

– Właśnie dziś spadł na mnie ten cios. Potrzebuję dwustu tysięcy marek na zakup kamienicy i liczyłem na kredyt. A oni stwierdzili, że nie mam zdolności kredytowej. To ja jestem od ustalania zdolności kredytowej, a nie oni. – Sapał i niczym topielec wpijał się palcami w ramię gościa. – Przecież mieliby zabezpieczenie. Kamienica to najlepsza inwestycja na świecie. Nie złoto, nie obligacje. Po co narażać się na fałszerstwo czy upadek spółki? – Od jego jasnoróżowej twarzy o białych brwiach i rzęsach odcinały się zaczerwienione oczy, tak że przypominał królika. – Kamienica, panie, to jest to.

Otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale weszła mameczka, niosąc tacę z zastawą do kawy. Jan nabrał tchu, by stanowczo odmówić udziału w podwieczorku, ale pan Terlecki nie puszczał go.

– Dwadzieścia lat tam pracuję, dwadzieścia jeden, dokładnie mówiąc, bo zacząłem pracę, gdy Henryczka miała dziewięć lat...

– Ależ kochanie – łagodnym głosem wtrąciła się pani domu – coś ci się pomyliło. To Henryczka ma dwadzieścia jeden lat.

Terlecki opadł na krzesło. Nadeszła panna Henryka z drugą tacą i oparła ją o stół, a potem razem z matką zestawiły przyniesione naczynia. Oprócz dzbanka i mlecznika, filiżanek i talerzyków na stole znalazł się duży talerz z czterema kawałkami suchego biszkoptu, koszyczek z kilkoma kromkami czarnego chleba i otwarte pudełko z czekoladkami Mozartkugeln. Honorowe miejsce zajmowała cukiernica skrzynkowa zamykana na kluczyk.

Pani Terlecka złapała płaszcz Jana, poddał się więc i zdjął okrycie. Panna Henryka przystąpiła do nalewania kawy, a bankowiec dalej rozdrapywał swą jęczącą ranę.

– Próbowałem pożyczyć od Żydów, ale jak mi zaśpiewali odsetki, to myślałem, że na miejscu trafi mnie apopleksja. – Sięgnął po kawałek chleba. – To niewiarygodne, że państwo toleruje takie zdzierstwo. Ktoś powinien zrobić z nimi porządek.

– Czy właśnie działalność Związku Spółek nie przyczynia się do zwalczania lichwy? – wtrącił Jan.

– Lichwa powinna być zakazana – oświadczył pan Terlecki, kierując w Morawskiego różowosiny palec. – Odgórnie i ostatecznie. Skoro ci wszyscy działacze z tym całym Jankowskim na czele potrafili wyplenić hazard, niech teraz wezmą się za lichwiarzy.

Panie nałożyły na talerzyki trzy z czterech kawałków suchego ciasta, a Jan przypomniał sobie, że jego babka wprowadziła klasyfikację różnych stopni skąpstwa i prawie najgorsza kategoria nosiła nazwę: „podać na stół po jednym kawałku dla każdego i jeden na pokaz”.

– Mąż jest na diecie – odezwała się pani Terlecka. – Może jeść tylko chude mięso i chleb Grahama.

Pan Terlecki wstał i z kieszeni wyciągnął kluczyk na łańcuszku. W zgrzebnym swetrze i szalu wyglądał dziwacznie obok szykownie ubranych kobiet. Przysunął sobie cukiernicę, po czym nastąpiło misterium otwierania skarbca i nakładania grudeczek cukru miniaturowymi szczypczykami. Po tej ceremonii odniósł cukiernicę na boczny stolik, a przy okazji zabrał też pudełko z czekoladkami.

– Ale ja i tak kupię kamienicę – oświadczył, wracając do stołu. – Kamienica to jest to.

– Tak, masz rację – przytaknęła mu małżonka. – Zawsze lepiej mieszkać we własnym domu.

– Co ty opowiadasz? A bo nam tu źle? Mieszkania w naszej kamienicy wynajmiemy, a ja zrezygnuję z pracy w tym przeklętym banku. Dopiero mnie docenią. I będę miał spadek dla Henryczki.

– Posag.

– Spadek.

Jan siedział, kruszył ciasto i pił popłuczyny po kawie. Słuchał.

– Proszę wybaczyć skromny posiłek – zwrócił się do niego pan Henryk – ale w naszej sytuacji każdy grosz się liczy. Zgadza się ze mną, moje drogie, prawda?

– Oczywiście, kochany.

– Oczywiście, tatusiu.

Pan domu wskazał na córkę, a ona zadeklamowała wyuczoną lekcję:

– „Wszędzie tam, gdzie nie ma oszczędności, natychmiast pojawia się marnotrawstwo”.

– Proszę słuchać, szanowny panie. – Pan Terlecki, zwykle nadęty, teraz pękał z dumy, a jego głos stał się ze wzruszenia jeszcze bardziej nosowy. – Oto posag mojej córki: nawyk oszczędzania. Ona nie kupi nowej sukni, bo najpierw przerobi starą, potem ją zaceruje, a w kolejnym roku przefarbuje.

– „Gospodarstwo jest sztuką dobrego użycia czasu, rozumu i pieniędzy” – zacytowała własnowolnie Henryka, która słuchała pochwał ojca z miną najlepszej uczennicy na pensji.

– Ona nie będzie latała na jakieś śpiewanie do towarzystw – kontynuował tatuś. – Spędzi dzień we własnych czterech ścianach, nicując płaszcz swego ojca, zamiast komuś to zlecać i płacić. Pokaż panu, co robiłaś.

Posłuszna Henryczka przyniosła z żapońskiego pokoiku płaszcz prosto od krawca.

– Doskonale, moja droga, doskonale. Wygląda, jakby to robił krawiec. – Pan

Henryk uśmiechnął się do niej, a goście chwalił się dalej: – My prawie niczego nie kupujemy, tylko podstawowe produkty. Resztę robimy sami. – Mówił „my”, tak jakby zajmował się tym osobiście. – Przygotowujemy zaprawy⁴⁵ na zimą, szyjemy, cerujemy, farbujemy. Chodzimy, a nie jeździmy. Żadne z nas jeszcze tej zimy nie korzystało z dorożki. W ostateczności jedziemy tramwajem.

Morawski patrzył na małżeństwo Terleckich. Byli jak Frozyna i Harpagon, przebiegłość i skąpstwo.

– A mnie się wydaje – uśmiechnął się niewinnie – że przed południem widziałem panią...

Chciał dodać: „w dorożce”, ale mu przerwała:

– To możliwe, że widział mnie pan poza domem, bo ja nigdy nie zaniedbuję podstawowego obowiązku chrześcijanki i niezależnie od pogody niosę pociechę gorzej potraktowanym przez los.

Pan domu spojrział na zegarek i wstał.

– Już wpół do piątej? Pół godziny temu powinienem był wypić moje ziółka.

– Pamiętaj, kochany, że wychodzimy dzisiaj na bal.

– Co? – Terlecki gwałtownie odwrócił się od drzwi.

– Dostałam darmowe bilety z Koła Kobiet. I przewidziano kolację.

– Ach – odprężył się. – To co innego.

Wyszedł, ciasniej zawijając się szalem.

Morawski dopił kawę i podniósł się, a wtedy zza zasłony wyłoniła się głowa Józefy.

– Nie ma tu pana? Przyszedł do niego taki jeden wedle suteryny.

– Jakiej suteryny? – poderwała się mameczka.

– Powiedział Wrocławska trzydzieści dziewięć.

– Ja nic nie wiem! Gdzie on jest?

– Kazałam mu czekać na tylnych schodach.

Pani Terlecka wbiegła za zasłonę i Jan usłyszał jeszcze głos Józefy:

– I, proszę pani, ja jutro rano odchodzę, ja nie mam na tę szklanę.

– Moja Józefo, zaraz ci dam pieniądze i zapłacisz panu. Że niby to od ciebie. –

Jej głos się oddalał. – Ja nie zniosę nowej służącej z każdą zbitą szklanką.

Morawski dostrzegł wlepione w siebie rybie oczy Henryczki i jej wiecznie rozchylone wargi. Na jej twarzy nie widniał żaden wyraz, bo nie miała kogo naśladować. Jan odchrząknął.

– Do widzenia – powiedział.

[44](#) Skopowina – baranina.

[45](#) Zaprawy (gw. pozn.) – przetwory.

ROZDZIAŁ 16

–Przejrzałem spis drukarni. Jest ich dwadzieścia siedem. Odrzuciłem niemieckie, a polskie podzieliłem na zajmujące się drukiem książek i gazet.

Morawski siedział przy stole w swoim saloniku w Bazarze i wskazywał Mateuszowi zaznaczone w księdze adresowej przedsiębiorstwa.

– Raczej skłaniałbym się ku drukarni wydającej gazety – ciągnął – choć nie odrzucam też książkowych.

– Nie zdołamy sprawdzić dwunastu firm – policzył Mateusz. – Jak zresztą można by je sprawdzić? Pójdzie pan i powie: „Przypuszczam, że hakatyści podrzucili wam coś nielegalnego. Rozejrzyjcie się”? Wyśmieją pana.

– Wiem, dlatego starałem się wywnioskować, na zniszczeniu której drukarni mogłoby Schliemannowi zależeć. Przypomnij sobie raport na temat polskich księży, który zabrałem Krausemu. To był tajny raport sporządzony na polecenie naczelnego prezesa von Bittera. Takie dokumenty nie są udostępniane byle komu. Oskar albo to ukradł, albo dostał, a jeśli dostał, to od kogoś wysoko postawionego. Na przykład od swego znajomego, szefa wydziału politycznego policji. A skoro tenże radca Schliemann zleca podrzucenie czegoś do drukarni i interesuje się polskim Kościołem, rację może mieć ksiądz patron, że szykuje się kolejny akt kulturkampf. A jeśli tak, to w którą drukarnię uderzyć, jeśli nie w tę? – Wskazał ołówkiem pierwszą drukarnię w wykazie.

– St. Adalbert-Druckerei – przeczytał kamerdyner.

– Drukarnia Świętego Wojciecha. Oprócz książek religijnych wydają też „Kurier Poznański”.

Mateusz zajrzał do notatek z akcji „Dorożka”.

– Śliwkowy powiedział: „Towar dotarł”. Jaki towar?

Jan sięgnął po dzbanek z kawą i nalał wciąż gorącego płynu do kubka

kamerdynera i do swojej filiżanki. Potem do kubka dolał też mleka.

– Myślę, że Oskar miał kontakty z jakimiś fałszerzami. Nie, nie z Mistrzem. Wątpię. Poznał kogoś w czasie jednego ze śledztw i ten ktoś podrzucał mu tropy, które pozwalały Oskarowi błyszczeć w banku. Podsuwał policji płotki, a krył grubą rybę. Potem nawiązał współpracę z radcą, choć ta kwestia pozostaje niejasna. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że w tej drukarni ukryto fałszywki, zapewne śliczne stumarkówki. Policja je znajdzie, a drukarnia zostanie zamknięta za działania na szkodę państwa. Kierownictwo poniesie karę, a władze rozgłoszą to w całym świecie jako dowód nikczemnych skłonności Polaków. Musimy temu zapobiec. – Łyknął kawy. – Problem w tym, jak w drukarni znaleźć schowane pieniądze.

– Szukacie czegoś? – Obaj drgnęli na dźwięk głosu Marka tuż za plecami. – Może pomóc?

– Nie jesteś u siebie! – wycedził Mateusz. – Pukaj! Ile razy mam to powtarzać?

– Ale jesteście nerwowi. – Marek podszedł bliżej, a w pokoju rozniósł się intensywny zapach ulubionej wody lawendowej Mateusza.

– U Świętego Wojciecha drukują „Kurier” – zastanawiał się głośno Morawski – więc prasy chodzą przez całą dobę. Jeśli chodzi faktycznie o tę drukarnię, Niemcy podrzucili ten zakazany towar gdzieś w sąsiedztwie, zapewne w biurze wysyłkowym lub w redakcji. Musieli się włamać i być może zostały tam jakieś ślady.

– Zazwyczaj zostają ślady włamania – przytaknął Marek, siadając przy stole i sięgając po kubek brata. – Uszkodzenia zamka, odpryski farby na futrynie, świeży kit w oknach.

– Naprawdę?

Zainteresowanie Jana mile połechtало próżność Marka, więc gadał dalej:

– Tak, tak, trudno jest wejść, nie zostawiając nic po sobie. Pomijam już odciski stóp czy zgubione przedmioty. Raz zdarzyło mi się nawet...

– Przestań! – krzyknął Mateusz.

Marek zamrugał i skonsternowany spojrzał na Morawskiego. Ten mu się spokojnie przyglądał.

– No dobrze, nie zawsze było tak świetnie w tej Ameryce i bywało, że chodziłem głodny. Więc kilka razy poszedłem na włam. – Pochylił głowę, ale nagle się wyprostował i dodał z tym swoim najszczerzym na świecie spojrzeniem: – Ale brałem tylko jedzenie.

Jan popatrzył na przyjaciela. Mateusz siedział z zaciśniętymi ustami i wpatrywał się w brata.

– Ale to było tylko kilka razy – kontynuował Marek. – Po tym jak straciłem pracę. Straciłem nie ze swojej winy. Wszystko przez takiego jednego kumpla, przedrzeźniał majstra i...

Jan na ten dzień miał dosyć wysłuchiwania: „To nie moja wina!”. Najważniejsza była teraz drukarnia i właściwie podjął decyzję, co zrobi.

– Idę tam. – Wstał. – Rozejrzę się, czy oprócz drukarni są tam inne pomieszczenia, puste w nocy. O tej godzinie w sobotę nikogo już tam nie powinno być, więc przy odrobinie szczęścia uda mi się rozpoznać teren.

– Idę z panem, szefie – oznajmił młodszy Małecki.

Mateusz już uniósł dłoń, by trzepnąć w stół, ale zwinął ją w pięść i tylko przygryzł wargi.

– A jeśli znajdzie pan ślady włamania?

– Poinformuję patrona Wawrzyniaka, że w drukarni podrzucono coś zakazanego, i przekonam go, by użył swoich wpływów i zarządził przeszukanie.

Marek wyszedł z pokoju, śpiewając: „Wielka sława to żart, książę błazna jest wart, złoto toczy się w krąg z rąk do rąk, z rąk do rąk”. Morawski spojrzał na napiętą twarz Mateusza.

– Nie jesteś za niego odpowiedzialny.

– Jestem. To mój młodszy brat, wychowałem go, więc jestem za niego odpowiedzialny. Nie potrafię panu tego wytłumaczyć, bo nie ma pan dzieci ani młodszego rodzeństwa.

– Pójdę sam.

– Nie, już lepiej, żeby poszedł z panem.

Jan przez chwilę patrzył na drzwi, za którymi zniknął Marek, i dumiał

o młodszych braciach. Potem ruszył do sypialni i z neseseru wyciągnął minibrowninga, latarkę i pęk wytrychów.

Dziesięć minut później Jan z Markiem opuścili hotel różnymi wyjściami i spotkali się na chodniku przed Reichsbankiem. Szli jeden za drugim w milczeniu, jakby się nie znali, spowici padającymi płatkami śniegu. Minęli kamienicę, gdzie mieszkała panna Izabela, i doszli do końca ulicy Wilhelmowskiej. Skręcili w prawo w Święty Marcin. W narożnym budynku mieściła się Drukarnia Deckera, natomiast Drukarnia Świętego Wojciecha była zlokalizowana w podwórzu następnej kamienicy, pod numerem 69. Jeden ze sklepów od frontu zajmowała w tym budynku Księgarnia Świętego Wojciecha i Morawski postanowił, że jeśli nie natrafią na nic podejrzanego na podwórzu, zainteresują się lokalem księgarni.

Bez kłopotu minęli bramę i weszli na dziedziniec. Biuro ekspedycyjne, jak głosił szyld, znajdowało się w tylnym skrzydle domu po lewej stronie, natomiast drukarnia działała w głębi podwórza. Posuwali się wzdłuż muru, aż doszli do solidnych drzwi biura.

– Pan mi da latarkę, szefie.

Jan podał mu wąski cylinder, a Marek, zasłaniając lewą dłonią światło, cał po calu zbadał ościeżnicę, skrzydło i zamek.

– Drzwi są czyste.

Przeszedł do okna. Morawski zdążył w tym czasie wyszperać pod ścianą kilka cegieł i ułożyć z nich postument. Marek wszedł na cegły i sprawdzał kratę zabezpieczającą okno. Naraz zacmokał.

– Miał pan rację, szefie, ktoś tu majstrował przy kracie. – Podał Janowi latarkę i ustawił dłoń Morawskiego tak, by światło padało w konkretne miejsce. – Zadrutowana. Niedawno. – Wziął latarkę. – A okno wepchnięto do środka, tu są ślady od łomu.

Naraz drzwi po drugiej stronie dziedzińca otwały się i ktoś z nich wyszedł. Jan i Marek przykucnęli przy murze.

– Znikamy stąd – szepnął Morawski.

Gdy znaleźli się na ulicy, Marek zagadnął:

– Myśli pan, szefie, że ten cały patron da panu wiarę?

– Myślę, że tak, problem tylko w tym, że nie wiem, czy zdążę go ostrzec. Ten człowiek bez przerwy się przemieszcza i załatwia tysiące spraw. Jego plan dnia przypomina rozkład jazdy pociągów. A policja planuje nalot na drukarnię w poniedziałek lub we wtorek.

Doszli do skrzyżowania i Marek się zatrzymał.

– Moglibyśmy...

– Moglibyśmy, ale twój brat urwałby mi głowę.

Naraz Morawski się wzdrygnął. Z kamienicy po przeciwnej stronie Wilhelmowskiej wyszła pani Terlecka. Jan stanął za Markiem i obserwował mameczkę zza jego ucha. Przekroczyła Święty Marcin i weszła do kościoła pod tym samym wezwaniem.

– Zobaczyl pan tego Schliemanna?

– Gorzej.

Ruszyli w stronę Bazaru.

– Dowiem się w czasie balu, czy patron jest w Poznaniu. Jeśli nie... – Pomyśl był szalony i Jan o tym wiedział. Włamywał się nie raz, ale nigdy w rodzinnej okolicy. Ale nie mógł tak zostawić tej sprawy. Stawka była za wysoka. Odkrycie w polskiej drukarni katolickiej fałszywych niemieckich banknotów dałoby Prusakom pretekst do dokręcenia śruby germanizacyjnej. – Jeśli nie, to wejdziemy dziś w nocy.

Marek skinął głową z aprobatą.

– Jak pan pójdzie na ten bal, to ja się wybiorę na mały rekonesans. Rozpoznam wejścia, zamki, przyjrzę się tej kracie. Byłoby lepiej po prostu otworzyć drzwi. Pogadam z dozorcą, dowiem się, czy jest tam pies.

– A jeśli jest?

– Weźmiemy chloroform. Pies to nie kłopot. Kłopotem jest kot.

– Kot?

– Czarny. Jeśli jest, to nie wchodzę – zastrzegł Marek i wyliczał: – Poza tym wychodzę, jeśli znajdziemy strzaskane lustro, zatrzymany zegar lub obraz olejny bez ramy. Nie wchodzę w nów i wtedy, gdy księżyc ma otoczkę. Nie wchodzę też do

świeżo pomalowanego domu, ale już wiemy, że to nie ten przypadek.

– Więc dla odstraszenia włamywaczy powinienem w mieszkaniu zbić lustro i na noc rozrzucać okruchy w holu?

– W sumie to tak.

Gdy się rozstawali przed głównym wejściem do Bazaru, Marek dodał jeszcze:

– No i musimy zorganizować sobie przebranie. Gdyby ktoś nas nakrył, ważne jest, by potem nie można nas było rozpoznać.

– Czy wąsy wystarczą?

– Wąsy są prawie najlepsze. Bo najlepsza jest broda. Nic tak nie utrudnia identyfikacji jak sztuczna broda.

Morawski przystanął w hotelowej sieni przed wejściem do winiarni. Jakoś nie spieszyło mu się do spotkania z Mateuszem. Otworzył drzwi i wszedł do środka. W części znajdującej się bliżej ulicy siedziało przy stolikach kilku mężczyzn, ale Jan od razu poszedł w głąb pomieszczenia. Za przepierzeniem, w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, znalazł Maksa Krajewskiego z kieliszkiem wina, cygarem i zadumaną miną.

– Jakież problemy? – zagadnął go Jan, siadając.

– A jak myślisz?

– Pieniądze?

– Wyczerpałem już wszystkie możliwe źródła, przynajmniej te legalne. Choć podobno lichwa jest nielegalna, a z tej opcji też skorzystałem. I to naciski lichwiarza popchną mnie do czegoś desperackiego. – Palił przez chwilę. – Lichwa to wrzód toczący społeczeństwo.

– Ale nie brzydziłeś się dotknąć tego wrzodu. – Jan skinął głową kelnerowi, który przyszedł z czystym kieliszkiem.

– Nie potrafię odmówić sobie cygar, alkoholu, dobrych ubrań. A przy tym jestem jak Wilde. Mam nadzwyczaj prosty smak i zadowala mnie wyłącznie to, co najlepsze. – Mówiąc to, Maks wskazał butelkę chateau margaux.

– Dużo jesteś winien?

– Sporo. Kapitał spłaciłem, ale pozostały te chore odsetki. Mam kilka dni na zdobycie pieniędzy.

Ukrył się za kieliszkiem wina, więc Jan przestał pytać.

Rozmyślał o tym, że Harpagon był nie tylko skąpcem, ale też lichwiarzem, drapieżnym w interesach, drobiazgowym w domu. Czyżby Henryk Terlecki, który tak narzekał na Żydów, sam parał się lichwą?

– Jakies pomysły? – rzucił obojętnie Maks.

– A myślałeś o podjęciu pracy?

– Nie bądź niemądry. Praca to deklasacja. Ludzie z mojej sfery nie pracują.

– Chłapowski jest z twojej sfery, a pracuje.

– Chłapowski nie jest z mojej sfery. Pochodzi z ziemiaństwa, z zasłużonej rodziny, to fakt, ale nie ma tytułu. Zresztą nawet gdybym zdecydował się na podjęcie pracy, to i tak wszystkie ścieżki zostały dla Polaków zablokowane. Administracja, sądownictwo, szkolnictwo, każda choć trochę szlachetna działalność związana jest z państwem, więc zarezerwowana dla Niemców. A ja nie mam ochoty być Niemcem.

Była to prawda. Niemcy stanowili większość wśród urzędników państwowych, od najwyższych do najniższych; od administracji rządowej i magistratu, przez pocztę, szkolnictwo i cło, na kolejach żelaznych kończąc. A jeśli chodziło o Polaków, rząd stosował metodę przenoszenia do zachodnich prowincji nauczycieli szkół ludowych i seminariów nauczycielskich, urzędników kolejowych i pocztowych, a nawet woźnych i listonoszy, licząc na to, że otoczeni żywiołem niemieckim ulegną germanizacji.

Maks odłożył cygaro na brzeg popielnicy i bawił się tasowaniem podkładek i rozsuwaniem ich po stole.

– Prawo? – podsunął Jan.

– Długie i kosztowne studia. Najbardziej opłacalny jest notariat, ale też zarezerwowany dla Niemców.

– Medycyna? – zasugerował Jan i zmarszczył brew. – Zapomnij o tym. Technika?

– Jak wyżej. Prace państwowe i duże zlecenia tylko dla Niemców.

– Bankowość?

Maks się zaśmiał.

– Powierzyłbyś mi pieniądze? Mógłbym przecież pójść w ślady młodego Mielżyńskiego. Znasz tę historię?

– Tak, w jedną noc przegrał ćwierć miliona marek. To były pieniądze jego ojca, prawda?

– Siostry. Wyszła za Łackiego i stary Mielżyński polecił synowi pobrać z banku posag siostry i przekazać mężowi. Młody przegrał w jedną noc wszystko. To było tu, w Bazarze. W owych dawnych dniach przed wprowadzeniem zakazu gry na pieniądze. – Rozłożył podkładki dachówkowo, uniósł pierwszą i zgrabnie odwrócił wszystkie na drugą stronę. – Ale tak czy owak, dla dobra zainteresowanych byłoby lepiej, gdybym nie dostał do ręki większej sumy.

Jan łyknął wina i uśmiechnął się.

– Panna Anastazja powinna przedstawić ci swoją teorię uczciwości.

Krajewski się skrzywił.

– Nie mów mi o niej. Podstępna lisica. Nie znoszę takich kobiet. Przecież wiem, że celowo wyreżyserowała ten spektakl na balu.

– A pomyślałeś, co by było, gdyby nie ujawniła bankructwa Walewskiego?

Maks odwrócił wzrok, a Jan dodał:

– Straciła dla ciebie głowę i jest gotowa na wszystko.

– Nie chcę jej za żadne pieniądze. Już wolałbym sprzedać się tej wdowie, którą rai mi pani Źdzarska. Moja żona musi uznawać moją wyższość.

Jan z trudem pohamował śmiech, słysząc to wyznanie.

– Tak, z panną Anastazją to by nie przeszło – odparł. – Szkoda, że panna Cecylia nie ma fortuny.

– Otóż to – przytaknął bardzo poważnie Maks. – Jest moim ideałem żony. Doskonałe parantele. Łagodna i posłuszna. I religijna.

– Zawsze twierdziłeś, że Boga nie ma.

– Ja to wiem, ale wiara w Boga jest kobiecie niezbędna, by zająć jej umysł.

Morawski pokręcił głową. Miał dość. Już nawet zdenerwowanie Mateusza będzie łatwiejsze do przełknięcia. Wstał.

– Ja też idę – oznajmił Maks i skinął ręką na przechodzącego kelnera.

Jan z westchnieniem usiadł i poczekał, aż chłopak przyniesie rachunek, ale zamiast kwitu Maksowi podsunęto kajet. Krajewski podpisał, lecz zanim zdążył oddać zeszyt, Morawski mu go zabrał. Spojrzał na okładkę i przeczytał: „Rejestr kredytowy”.

Popatrzył na Maksa, który siedział naprzeciwko niego i spokojnie palił cygaro.

– U Żychlińskiego też kupujesz na kredyt?

– Oczywiście. I uprzedzając twoje pytanie, odpowiadam: tak, byłem tam we środę wieczorem.

– I nic nie powiedziałaś.

– Miałaś czterech podejrzanych i z trudem rozplątywałaś tę łamigłówkę – prychnął Krajewski. – Z litości nie dorzuciłem ci piątego. – Zaśmiał się i nagle wytrzeszczył oczy. – A to kto?

Jan siedział tyłem do wejścia, nie widział więc przybysza, dopóki ten nie podszedł do lady. Stał bokiem do Morawskiego i choć jego gładko ogolona twarz była obca, postać wydawała mu się znajoma. Ubrany w czarny surdut i koszulę z czarną muszką, mężczyzna trzymał się prosto i niezwykle sztywno. Naraz usłyszeli jego głos.

– Chciałbym, jak co sobotę, uregulować swój rachunek.

– Bernard Orzelski – szepnął Jan.

– Co się stało z jego brodą? – Maks ze zdumienia porzucił swą flegmę i wykrecał się w stronę przybysza.

– Zapytajmy go.

– Dzień dobry, panie Bernardzie – huknął Krajewski na całą winiarnię.

Tamten się wstrząsnął. Odwrócił się ku nim i na jego twarzy, gołej i jakby bezbronnej, ukazała się panika, a potem niechęć.

– Zapraszamy do nas – nie ustępował Maks.

Pan Orzelski, nie znalazłszy na poczekaniu wymówki, przysiadł się do stolika,

ale co chwilę spoglądał, czy nadchodzi kelner z rachunkiem.

Twarz miał gładko ogoloną, bez cienia zarostu czy najdrobniejszego skaleczenia. Patrząc na niego, nikt by nie uwierzył, że jeszcze poprzedniego wieczoru nosił brodę jak Garibaldi. Także jego brwi – dotąd gęste i długie – przycięto króciutko.

– Co za przemiana! – Maks kręcił głową.

– Niewiarygodna – dodał Jan, a pan Orzelski spojrział na niego kątem oka z jawną groźbą.

Zjawił się kelner i przedstawił rachunek. Pan Orzelski wyciągnął z portfela banknot i położył na tacy. Chłopak oznajmił, że nie ma sumy wystarczającej do wydania reszty ze stu marek. Tacę z rachunkiem i banknotem pana Bernarda położył na stoliku i wrócił na zaplecze. A wtedy Maks pochylił się nad banknotem, podniósł go, przysunął do oczu, potem do lampy.

– Coś się stało? – zapytał pan Orzelski.

– Widzicie te brązowe plamy? – Maks położył setkę na stole i wskazał jeden punkt. – Zrobiono je, moim zdaniem, celowo, by ukryć pieczęć, która powinna być karminowa, a jest różowa.

– To znaczy, że...

– Ten banknot jest fałszywy.

ROZDZIAŁ 17

Jan przywitał się z trzema przedstawicielkami komitetu organizacyjnego balu, złożył datek na Towarzystwo Czytelni Ludowych i wszedł na Białą Salę. Jak w poprzednie wieczory, była rzęsiście oświetlona i udekorowana girlandami kwiatów. Od czarnych fraków panów odcinały się pastelowe suknie panien i jaskrawe kreacje dam. Falowały wachlarze, błyszcząły klejnoty, szemrały rozmowy, podzwaniały śmiechy.

Morawski szedł między gośćmi, kłaniał się, lecz ponad głowami zebranych rozglądał się za dwiema osobami, z którymi chciał się spotkać: doktorem Franciszkiem Chłapowskim i panną Izabelą. Naraz za plecami usłyszał głos Artura, naśladujący arystokratyczne cedzenie Maksa. Odwrócił się i zobaczył rodzeństwo Boratyńskich. Ruszył ku nim, zastanawiając się, jak mógł ocenić urodę Izabeli jako przeciętną. Wyglądała ślicznie w prostej, eleganckiej sukni w kolorze błękitu paryskiego, tak doskonale podkreślającym jej szafirowe oczy, jasną cerę i ciemne włosy. Ukłonił się, ona podała mu dłoń, a on się nad nią pochylił i ucałował. Potem przywitał się z Arturem, ale rozmowy nie zdążyli zacząć, bo rozległa się przygrywka i pary pospiesznie ustawiały się na parkiecie.

Po chwili popłynęły takty poloneza, a wśród tancerzy przeważały nobliwe pary, pierwszy taniec bowiem tradycyjnie należał do męża. Młodzież unikała poloneza, przedkładając nadeń walce, polki, w ostateczności nawet kadryle i kontredansy.

Panna Izabela nie odrywała spojrzenia od mijających ją kobiet.

– Zapamiętuje każdy kolor, tkaninę, falbankę i riuszkę – szepnął scenicznie Artur, odgarniając nieposłuszne włosy z czoła. – Nie uwierzyłbyś, jakie one robią wokół tego zamieszanie. Wszystkie chcą się znaleźć w gazecie i przysyłają wizytówki: „Raczy pani łaskawie o mnie wspomnieć – mówił afektowanym tonem. – Moja suknia jest wzorowana na pracowni Wortha, z materii *crêpe de Chine*

w kolorze wody w strumieniu wiosną”. „Panno Izabelo, daleka jestem od tego, by się pani narzucać, ale wystąpię w sukni jakby z pracowni Paquin, z tafty w kolorze wątróbkowym z przybraniem *à la* kalarepa. Zapłaciłam za nią pięćset marek – po znajomości”.

Morawski pochylił głowę, z trudem powstrzymując śmiech, a Artur kpił dalej:

– „Panno Boratyńska, byłam sąsiadką pani babki w oślej ławce na pensji, nie odmówisz mi zatem zamieszczenia wzmianki o sukni mej wnuczki Melanii. Jest to zwiewna szata z jedwabiu *liberty* w kolorze *tourterelle* z koronkami *maligny*”.

Panna Izabela odwróciła się do ściany. Cała się trzęsała, a po policzkach płynęły jej łzy.

– Idźcie sobie stąd – wykrztusiła, ocierając oczy.

Nagle tuż obok rozległy się słowa:

– Panno Izabelo! Piękna jest ta pani suknia.

Na dźwięk tego straszliwego miodowego głosu mężczyźni odsunęli się na bok. Pani Terlecka zbliżyła się i pochyliła, a Morawski wzdrygnął się na widok potężnego siedzenia ściśle opakowanego w fioletowy materiał. Mameczka dłonią w rękawiczce ujęła wstawkę z drobno plisowanego jedwabiu, z którego była uszyta spódnica panny Izabeli.

– Doprawdy piękna! – powtórzyła. – A skoro jesteśmy przy tym temacie, moja kreacja pochodzi z Berlina, to najnowszy materiał, zapewne jeszcze się pani z nim nie zetknęła, *corah de Chine*, podobny do krepy, ale z połyskiem. Proszę spojrzeć na tę wspaniałą inkrustację z koronki *chantilly*. Falbany *serpentine*, tren podszyty riuszą i przybrany plisowaniem *chiffon*. A kolor to *améthyste*. Gdyby pani była łaskawa...

– Nie omieszkałam tego zaznaczyć.

– Bardzo pani uprzejma. – Pani Jadwiga uściśnęła palce panny Boratyńskiej i serdecznie się uśmiechnęła.

Od drzwi dobiegł kaszel, więc odwróciła się w tamtą stronę, akurat w chwili, gdy ukazał się zawinięty w czarny szal hrabia Maurycy Walewski. Jego cesarsko-królewski zarost, który poprzedniego dnia w czasie rautu był oklapnięty, odzyskał

już swój imponujący wygląd sprzed dekonspiracji. Pani Terlecka wygładziła koafiurę, wzburzyła falbanki i rozwinęła wachlarz, po czym ruszyła w jego kierunku.

– Czy zechce pani zarezerwować dla mnie pierwszy taniec? – Jan zwrócił się tymczasem do panny Izabeli. – Oczywiście, gdy skończy pani pracę.

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęła się i odwróciła w stronę środka sali, gdzie formowały się pary do walca.

– No, no, gratuluję – mruknął Artur. – Moja siostra znana jest z tego, że tańczy jeden taniec na cały karnawał. I to z tobą już ten jeden taniec odpracowała zeszłej nocy.

W tym momencie podeszły pani Teresa z panną Anastazją i Jan usłyszał fragment ich rozmowy.

– Pracuję nad tym, ale to jest trudny przypadek.

– Myślałam, że załatwi to pani od ręki – narzekała młoda dama.

Pani Żdzarska uniosła twarz do góry i bezgłośnie poruszyła ustami.

– Zostaw to mnie. Niczego sama nie rób.

Zagrano Nad pięknym modrym Dunajem i panna Anastazja pobiegła w stronę jakiegoś młodego człowieka. Już po chwili wirowała w jego ramionach, śmiejąc się i przekomarzając.

– Ta dziewczyna ma w głowie sieczkę – prychnął Artur. – Poza zabawą chyba nic nie jest w stanie przykuć jej uwagi. Wątpię, czy przeczytała w życiu choć jedną książkę.

Jan spojrział na naburmuszoną twarz młodego Boratyńskiego, na małe, przekrwione oczka i nos jeszcze większy niż zwykle.

– Mój najmilszy – wzruszyła się pani ciotka – nie możesz sądzić wszystkich swoją miarą. Nie każdy może być taki wyjątkowy jak ty.

– Na szczęście Maks się na niej poznał – mruknął Artur i odszedł, rozglądając się za swoim idolem.

Morawski stał u boku pani Teresy i również lustrował salę. Pana Chłapowskiego jeszcze nie było.

Metr dalej na krzesłach siedzieli pani Jadwiga Terlecka i pan Maurycy

Walewski. Od czasu do czasu słyhać było pompatyczny głos hrabiego: „mój ojciec często bywał na dworze najjaśniejszego pana”, „paryską rezydencję mego stryja nawiedzał cesarz Napoleon III” i „udało mi się ustalić koligacje z ponad dwustoma europejskimi rodami”.

– Jak idą interesy, pani Tereso? – spytał Jan, biorąc z tacy przechodzącego lokaja dwa kieliszki szampana i podając jej jeden.

– Mam sporo zleceń – odrzekła, gdy przełknęła kilka łyżeków – dobrych, perspektywicznych, ale wszystko jakoś się poplątało. Towarzystwo pannom jest zawsze łatwe, ale najwięcej zarabiam na kojarzeniu małżeństw. Liczyłam, że uda mi się namówić Maksa Krajewskiego na tę wdowę. Strasznie się rozochociła i chłopak miałby z nią złote życie. Ale nie i nie. On się tak podoba kobietom, choć dla mnie jest za gładki. Szkoda, że nie chce się dać namówić na tę wdowę. – Upiła trochę, oblizwała wargi i skarżyła się dalej: – Myślałam, że z Anastazją pójdzie łatwo...

– Sądziłem, że miała pani tylko jej szaperonować i dopiero wczoraj ona sama...

– Jej ojczym od razu oznajmił mi, że szuka dla niej męża. Ona o tym nie wiedziała.

Jan przypomniał sobie słowa samej Anastazji, które wypowiedziała pierwszego dnia. Spryziula przejrzała opiekuna na wylot.

– No więc na początku byłam pewna, że pójdzie łatwo. Podoba się mężczyznom, posag doskonały, prawdziwie awantażowna⁴⁶ partia, choć pochodzenie – skrzywiła się – nie bardzo. Ale ta też uparła się na Maksa. Nawet by pasowali, ale Maks zadurzył się w Cecylii. – Zacisnęła wargi. Przez chwilę wyglądała na cygańską królową szykującą się do rzucenia klątwy. – Diabli nadali tę Cecylię. – Otrząsnęła się. – To oczywiście niezwykle miłe dziecko.

– Maksa nie stać na małżeństwo z córką bankruta.

– Otóż to, mój drogi, więc jeszcze wszystko może się poukładać. Pan Ludwik Jankowski, też mój zleceniodawca, stracił głowę dla Cecylki, więc muszę tylko wydać ją za niego, a wtedy Maks, widząc, że nadzieje płonne, zgodzi się na Anastazję lub wdowę. A ja będę miała dwa zamówienia zrealizowane.

Morawski odwrócił wzrok. Lubił tę kobietę, ale jej merkantylizm był chwilami

odrażający.

Nagle usłyszał własne nazwisko i wystrzył uwagę.

– Tak, tak, znam Morawskich oczywiście – gadał hrabia Maurycy do pani Terleckiej – ale w porównaniu z Walewskimi to ludzie *minorum gentium*⁴⁷. Nawet nie mają tytułu. Choć pani to chyba nie robi różnicy.

Jan odchrząknął i odstawił kieliszek, by odejść, ale zatrzymała go pani Teresa, kładąc mu dłoń na przedramieniu.

– A potem ożenię pana i Henrykę. – Mrugnęła. – Na miłą wyczuwam rodzący się afekt.

– Bardzo panią proszę, by pani niczego nie robiła – rzucił ostrzegawczo. Odwrócił się i odszedł, ale tylko krok, bo zatrzymały go jej słowa.

– Coś mi się widzi, że pan jest jak Izabela. Ona twierdzi, że nie chciałaby bezgranicznie się zakochać i stracić głowy. Mówi, że czułaby się upokorzona. – Pogroziła mu palcem. – Ale mężczyzna nie może być sam. – Zachichotała. – Mężczyzna bez kobiety jest jak garnek bez ucha. Nie dosyć, że zupełnie nieprzydatny, to jeszcze jak dotkniesz, to się poparzysz.

Morawski odruchowo wrócił do niej i stał ze zmarszczonym czołem, gdy ona się zaśmiewała. Nie zauważyła jego zainteresowania, bo coś innego przykuło jej uwagę.

– Idzie Maks – szepnęła. – Od razu go przycisnę w sprawie Anastazji.

Jan stał i rozglądał się za błękitem paryskim, jednym uchem słuchając pochwał tradycji „krzyżowania rasy szlacheckiej z finansową”, argumentów o powszechności tego zjawiska, o patriotyzmie takiej transakcji, w której jedna strona oferuje złoto, a druga herb.

– Ma pan obowiązek wobec swych przodków, panie hrabio, wyprowadzić ród na prostą. Poza tym – ściszyła głos pani Teresa – to sprawa narodowa. Część fortuny Anastazji to kapitały żydowskie. Powinno panu zależeć, by zostały w Polsce.

– Ale ja bym od razu wziął te kapitały i czmychnął na Lazurowe Wybrzeże – zapewnił ją Maks.

Po przeciwnej stronie sali Jan wypatrzył pannę Izabelę i ruszył w jej kierunku. Minął panią Leśniewicz. Siedziała znudzona, senne powieki do połowy przesłaniały

jej wielkie oczy i ledwie skrywała za wachlarzem ziewanie. Gdy w pewnej chwili pulchną dłonią pogładziła miodowy lok, wyglądała jak Emma Bovary tęskniąca do czegoś lepszego.

Morawski był w połowie drogi, gdy ktoś ujął go pod ramię.

– Drogi panie, chciałbym z panem zamienić kilka słów – przemówił do niego pan Ludwik Jankowski.

– Ale ja...

– To zajmie najwyżej dwie minutki. – Pan Jankowski poprowadził swą zdobycz wprost do sąsiedniego saloniku, pełniącego funkcję bufetu. – Pan wie, czym ja się zajmuję, prawda?

– Tak, oczywiście.

Mimo tego zapewnienia pan Ludwik postanowił wszystko wyjaśnić:

– Kupuję grunty, buduję na nich domy, a potem sprzedaję je lub wynajmuję. Po przyłączeniu w zeszłym roku okolicznych wsi miasto powiększyło znacznie swe rozmiary. Już wtedy miałem tam sporo parcel, a potem jeszcze dokupiłem. A teraz trafia się fenomenalna oferta. Patrz pan. To jest miasto. – Zdjął z talerza babeczkę z pasztetem i ustawił na obrusie. – Wschód, zachód. – Wskazał kierunki. – Plan nowych dzielnic jest oparty na trzech ulicach wylotowych z miasta: Wielka Berlińska, Bukowska i Cesarzowej Augusty Wiktorii. – Sięgnął po szpikulce i rozłożył je obok babeczki. – Tu jest ulica Nowoogrodowa, która ma stanowić kręgosłup luksusowej dzielnicy. Wschodnią część tej nowej ulicy przejęli Niemcy. Już budują. Na sprzedaż jest zachodnia. Niektóre parcele obiecano Maxowi Johowowi, wie pan, temu architektowi, inne są do wzięcia.

Wypił duszkiem kieliszek wina i szukał najskuteczniejszych słów, zabawnie poruszając na wszystkie strony ustami.

– To czysta okazja, ale ja mam kapitały zamrożone: w innych parcelach, w budowie własnej kamienicy i w kilku już postawionych. Liczyłem na dopływ gotówki, ale wszystko się z niewiadomych powodów ślimaczy.

– Ale gdzie tu jest miejsce dla mnie?

– Potrzebuję współnika, a gdy się poznaliśmy, wspominał pan, że rozważa zakup

czegoś w Poznaniu. Moglibyśmy się dogadać. Pan wyłoży pieniądze na grunt, ja wybuduję na nim wielomieszkaniowe kamienice, a gdy je sprzedamy lub wynajmiemy, podzielimy się zyskiem w zależności od poniesionych nakładów. Taka inwestycja to znacznie lepsza lokata kapitału niż...

– Kupuje pan dom w Poznaniu, drogi Janie? – spytała mameczka.

– Bardzo panią przepraszam – rzekł pan Ludwik ostrym tonem. – Rozmawiamy o interesach.

– Na balu o pieniądzach? To bardzo niedystyngowanie – zaćwierkała. – No chyba że chodzi o dobroczynność. A tak się składa, że ja właśnie zbieram datki na pomoc dla rodziny tego zamordowanego chłopca. Na jakie kwoty panów zapisać?

– Mnie na żadną – odpalił pan Jankowski wprost. – Ja nie uznaję takiej pomocy.

– Powinien się pan wstydzić! Buduje pan sobie pałac, a żałuje kilku...

– A pani ile wpłaciła?

– Mnie nie stać na pomoc finansową. Ja niosę wsparcie duchowe.

Obróciła się na pięcie, zarzucając obciśniętymi suknią pośladkami, i obrażona odmaszerowała.

– Słowo honoru, na tę babę nie ma innej metody – mruknął pan Ludwik, a Jan się roześmiał. – Nie stać jej na datek, bo stary wpłacił mi dwieście tysięcy na największą kamienicę.

– Henryk Terlecki wpłacił dwieście tysięcy na kamienicę?

– Tak. Przy każdej okazji powtarza, że kamienica to najlepsza inwestycja. – Skinął głową na kelnera. – Dwieście tysięcy, mój drogi. Nie wiem, jak uciułał taką sumę z tej bankowej pensyjki, ale tyle mi wpłacił. To połowa i ma mi dopłacić drugie tyle. Kamienica gotowa, ja potrzebuję bejmów, które w nią włożyłem, a on się miga.

Podszedł kelner i podał mu kieliszek z przezroczystym płynem.

– Mówił mi dzisiaj – rzekł Morawski – że jego własny bank odmówił mu kredytu.

– Nie wiem nic o żadnym kredycie. – Pan Jankowski upił kilka łyków. – Z tego, co gadał, odniosłem wrażenie, że jakaś suma mu zniknęła. Miała być, a nie ma. –

Wypił do dna. – A ja potrzebuję pieniędzy. Szybko. I muszę je zdobyć. Pan nie wie, jakie cudne są te parcele. Można na tym zarobić z pięćset procent.

– Ale skąd on miał dwieście tysięcy? – dociekał Jan.

– Nie wiem. Jest jednym z dyrektorów Banku Przemysłowców. Typowy biurokrata. Nieprzyzwyczajony do samodzielności, nie potrafi podjąć żadnej decyzji. Miesiącami się zastanawiał nad zakupem kamienicy. Jednego dnia był przekonany, drugiego sam zbijał swoje argumenty.

Kelner nalał mu jeszcze jedną porcję. Pan Jankowski wypił, a widząc zdumione spojrzenie Jana, zaśmiał się:

– Znoszę picie lepiej niż niektórzy abstynencję.

Wrócili na salę i od razu pana Ludwika odwołała pani Teresa. Wyszli na klatkę schodową, gdzie już dreptał hrabia Maurycy. Najwyraźniej szykował się kolejny etap negocjacji.

Na parkiecie hasano w najlepsze, a na kanapkach i fotelach trwał handel żywym towarem. Zewsząd padały pytania o posag, koligacje i parantele, kalkulowano majątki posiadane i te dopiero spodziewane po stryju, który nie dożyje do końca roku. A niewolnice, którymi handlowano, płaśły lub siedziały na krzeselkach, w większości mdłe, posłuszne i przykładne.

Jan szedł dookoła sali, nigdzie jednak nie dostrzegł ani Chłapowskiego, ani panny Izabeli.

– Czego pan dzisiaj szuka, przyjacielu? – usłyszał nagle i odwrócił się.

Podeszły do niego kwitnąca panna Anastazja i zgaszona panna Cecylia. Jan podejrzewał, że jedna z panien jest bardzo świadoma tego kontrastu.

– Mistrza – rzucił, bo coś musiał powiedzieć, a poza tym ta dziewczyna miała takie dziwne wiadomości.

– Masońskiego?

Jan drgnął. Na to nie wpadł. Widział tylko jeden z rysunków, które znajdowano z płytami Mistrza – ten odkryty przez niego samego w Kolonii. Był jednak zabrudzony farbą i dopiero po porównaniu z innymi ustalono, że przedstawiał młotki. Może to nie były młotki, tylko na przykład węgielnice?

– Być może.

– Ojczym jest mistrzem wolnomularskim.

– Czy to znaczy, że pan Bernard jest murarzem? – spytała panna Cecylia.

W tym momencie podszedł lokaj i przekazał polecenie hrabiego Walewskiego, by córka do niego przyszła. Dziewczyna ruszyła za służącym.

– Umysł ciasny, ale cnotliwy – wybuchnęła śmieszkiem panna Anastazja.

Zagrano walca i pobiegła.

Jan nareszcie dostrzegł pana Chłapowskiego. Podszedł do niego, przywitał się i spytał:

– Czy słyszał pan ostatnio o jakimś włamaniu, doktorze?

Tamten się zamyślił.

– Nie, a to bym chyba pamiętał.

Jan pokiwał głową. Taką samą odpowiedź przyniósł Mateusz, a w spokojnym Poznaniu każde włamanie natychmiast stałoby się sensacją.

– Gdzie znajdę patrona Wawrzyniaka?

– Wyjechał, wróci w poniedziałek rano.

Morawski przygryzł wargę i odruchowo przebiegł spojrzeniem po sali. Dostrzegł pannę Izabelę i od razu zapomniał o nieobecności księdza.

Naraz w polu widzenia ukazał się Tomasz Leśniewicz tańczący z macochą. I znowu był to pełen pasji taniec dwóch bliskich sobie osób.

– Pięknie tańczą – zauważył lekarz.

Zbliżyła się do nich pani Chłapowska, prowadząc półślepego naukowca. Na tej sali, wśród sprawnych, rozweselonych osób, w swych przyciemnionych okularach i zbyt obszernym ubraniu bardziej niż zwykle przypominał żebraka.

– Jeszcze kilka tygodni, mój Franiu – zaskrzeczał – i odkryjemy tajemnicę tych pleśni. Jak to dobrze, że Tomasz został w Poznaniu.

Pani Chłapowska odprowadziła naukowca i pomogła mu usiąść w fotelu.

– Co to ja chciałem powiedzieć? – zakłopotał się lekarz.

– Że „drugie małżeństwo to triumf nadziei nad doświadczeniem”⁴⁸ – podsunął Jan.

Pan Chłapowski tylko szarpnął brodę. Po chwili odszedł do żony, a Jan ponownie spojrzał na przeciwległy kraniec sali, gdzie chwilami migąła mu plama intensywnego błękitu. Wciąż czekał na obiecany taniec. Stanął w głębokiej wnęce okiennej. Muzyka ucichła, trwała przerwa w zabawie, a lokaje roznosili kieliszki z winem i szklaneczki z lemoniadą.

Naraz za lewą kotarą rozległ się namiętny kobiecy szept:

– W Berlinie jest taka piękna szmaragdowa kolia. Coś takiego od razu uleczyłoby mnie z melancholii. Wyobraź sobie, jak cudownie wyglądałabym w szmaragdach.

– Prze-prze-przecież wiesz, że nie mam ani gro-gro-grosza. Gdy-gdy-gdybym miał, już bym stąd wyjechał...

– Słyszałam przed chwilą – mówiła kobieta, ciężko oddychając – o wielkiej kwocie ukrytej...

Z przeciwnej strony dobiegł Jana rozhisteryzowany głos pana Bernarda Orzelskiego:

– ... dzisiaj na pewno nie. Teraz wracam do siebie.

– Źle się pan poczuł? – rozległo się cedzenie Maksa.

– Morawski mnie na każdym kroku prześladowuje i nie wytrzymam tego ani chwili dłużej.

Jan aż przysiadł na parapecie. Przez cały wieczór nie zetknął się z Orzelskim. Ostatni raz widział go wtedy, w winiarni, gdy pan Bernard po ujawnieniu, że chciał płacić fałszywą setką, wstał, zabrał banknot i odszedł.

Po chwili Morawski postanowił wysondować Maksa, o czym rozmawiał z Orzelskim. Podniósł się i opuścił wnękę. Krajewski stał już dalej od okna i Jan ruszył w jego stronę, ale akurat w drzwiach wejściowych ukazał się rozradowany pan Ludwik i błyskając w uśmiechu złotym zębem, zmierzał wprost na swego upatrzonego współnika.

– Doszliśmy z Walewskim do porozumienia! – huknął. – Jutro finalizujemy rozmowy, ale wszystkie szczegóły są dograne.

Trzy metry za plecami uszczęśliwionego pana Jankowskiego stał Maks. Obie

dłonie wczepił we włosy i słuchał ze zgrozą.

– Maleńka Cecylka, gołąbeczek słodki, jednak będzie moja. – Pan Ludwik zacmokał. – Nie dorastam jej do pięt, ale to bzdura.

Jan przeniósł spojrzenie z mówiącego na drzwi. Zobaczył, że na podeście klatki schodowej hrabia Walewski komunikuje coś córce, a ona wybucha płaczem.

– To trochę zmienia moją propozycję wobec pana – ciągnął pan Jankowski, nieświadomy tej rozpacz – bo teraz jeszcze bardziej potrzebuję pieniędzy. Jeśli nie jest pan zainteresowany spółką, to mógłby pan kupić jedną z gotowych kamienic. Gdyby zapłacił pan gotówką...

Hrabia Maurycy zostawił Cecylię i szedł z zaciętą miną pomiędzy rozstępującymi się balowiczami, mrucząc: „Bez posagu. Bez posagu”.

– ... byłbym skłonny zaoferować panu dziesięć procent rabatu od ceny rynkowej.

Tymczasem Cecylia weszła na salę balową i bezsilnie opadła na najbliższe krzesło. Była blada jak całun, a usta miała fioletowe. Jan nie mógł do niej podejść – Pani Etykieta nie pozwalała kawalerowi na poświęcanie nadmiernej uwagi pannie, którą nie był zainteresowany. Rozejrzał się, gdzie jest pani Teresa, albo – jeszcze lepiej – pani Chłapowska. Żadnej nie dostrzegł, zauważył natomiast, że panna Izabela wesoło gawędzi z jakimś eleganckim przystojniakiem.

– Moja propozycja nie będzie obowiązywać długo – zastrzegł pan Ludwik – bo jeśli uda mi się zdobyć pieniądze z innego źródła, tak jak planowałem...

Do Cecylii podeszła panna Henryka, przysiadła tuż obok i podała hrabiance szklankę z lemoniadą, a potem gładziła ją po dłoni i cicho coś mówiła. Panna Walewska rzewnie się uśmiechnęła, a na twarzy jej towarzyszki pojawił się równie miły wyraz.

Pan Ludwik tymczasem zamilkł i Jan zauważył, że ukłonił się znacząco jakiejś pulchnej, zalotnej kobiecie. Dostrzegł badawcze spojrzenie Morawskiego i zapewnił:

– Nie ma obawy. Skończę z nią jeszcze przed ślubem. Wiem, co jestem winien arystokratycznej żonie, nawet jeśli biorę ją bez posagu. – Zaśmiał się. – A pan Walewski, taki hardy, taki dumny, machał mi przed nosem tą swoją genealogią, a jednak życie w końcu zmusiło go, by spuścił z tonu. Bo widzi pan, wszystko ma

swoją cenę.

– „Za pieniądze kupisz psa, ale nie kupisz jego merdania ogonem” – odrzekł mu Jan.

Pan Jankowski zmarszczył czoło. Zagrano walca. Morawski spojrzął w stronę krzesła Cecylii – było puste. Przeniósł wzrok na parkiet i cicho gwizdnął – dziewczyna tańczyła z Maksem. Oboje wyglądali na uszczęśliwionych. Jan pokręcił głową ze zdumienia. Czyżby Maksio – czarna owca rodziny, utracjusz, karciarz i ulubieniec kokot – naprawdę się zakochał?

Wtedy zobaczył coś, co rozwiąło to ciepłe rozbawienie. Po przeciwnej stronie sali stała panna Anastazja, a jej mina nie wróżyła niczego dobrego. Była rozwścieczona. Naraz na jej miłej zwykle buzi pojawił się złośliwy uśmiezek. Pociągnęła za łokieć stojącą obok pannę Henrykę, na której twarzy, jak w lustrze, pojawiła się ta sama zła mina.

Jan wrócił spojrzeniem do tańczących, ale nie zobaczył Cecylii i Maksa, lecz pannę Izabelę tańczącą z tym przystojniakiem, z którym wcześniej rozmawiała. To był jego – Jana – przyrzeczony taniec, a ona oddała go innemu.

– Jestem pewna, że pan nie gustuje w podobnych istotach – odezwała się u jego boku mameczka. – Można by ją nawet nazwać rozwiązłą, a już na pewno płochą. Przecież obiecała ten taniec panu. Sama słyszałam. Oto prawdziwa podłość. Moja córka nigdy nie wystawiłaby pana na takie pośmiewisko.

Jan ruszył w stronę wyjścia i zobaczył znikających na schodach Maksa z Tomaszem. Pobiegnął za nimi. Z garderoby na parterze zabrał swój płaszcz, zdeponowany tam uprzednio przez Mateusza, i wyszedł z hotelu wprost w padający śnieg. Zachowując bezpieczną odległość, podążał za odchodzącą dwójką. Przekroczyli ulicę Wilhelmowską i szli wzdłuż południowej pierzei placu. Skręcili w bramę oznaczoną numerem 8. Jan przełożył minibrowninga z wewnętrznej kieszeni płaszcza do prawej zewnętrznej, odczekał chwilę i również tam wszedł. Kamienica była głęboka, a za nią ciągnęły się podwórza, poszatkiwane parkanami, upstrzone budyneczkami. Na nikogo nie natrafił. Otaczała go ciemność, a konfuzję zwiększały spadające płatki śniegu i dochodzące z kilku stron odgłosy hucznej zabawy. Przyszło mu do głowy, że w jednym z takich zaułków, kilkadziesiąt metrów

stąd, zamarzył Ignaś.

Morawski odwrócił się w stronę bramy i zrobił kilka kroków do tyłu. Naraz na kogoś wpadł. Gwałtownie odskoczył. Naprzeciwko niego stał Mateusz.

– Co pan tu robi?

– Wszedłem za Maksem i młodym Leśniewiczem. Od Wilhelmowskiej.

– A ja ze Świętego Marcina. Za Arturem Boratyńskim i tym od budowania kamienic.

[46](#) Awantażowna – korzystna, zyskowa.

[47](#) *Minorum gentium* (łac.) – niższego rzędu.

[48](#) Słowa Samuela Johnsona.

ROZDZIAŁ 18

– Wróciłem do tej drukarni, szefie, i obejrzałem zamek w bramie – raportował Marek.

Siedzieli we trójkę w saloniku i pili kawę. Mateusz miał głowę zwieszoną na piersi i pięciolinie zmarszczek na czole.

– Widziałeś się ze stróżem? – spytał Jan.

– Tak, a stróż, jak to stróż – zaśmiał się młodszy Małecki – wypić sobie lubi. Zaprosiłem go do jednej knajpki na Piekarach, postawiłem mu kilka głębszych i podpytałem o kamienicę. Drukarnia działa całą noc, ale pracownicy mają jakieś inne wyjście, od Wilhelmowskiej. Rzadko korzystają z tej bramy przy dziale wysyłek, ale dzięki temu, że jest tam ta drukarnia, brama nie jest zamykana na łańcuch. I to jest nasze szczęście. Bo musi pan wiedzieć, że dla każdego włamywacza największą zmorą jest łańcuch. – Łyknął kawy. – A potem fundnałem mu jeszcze jednego sznapsa i zostawiłem z kolegami, a sam poszedłem na podwórze i spokojnie wszystko obejrzałem.

– Pies?

– Nie ma, ale na wszelki wypadek weźmiemy chloroform.

Dopili kawę i sprawdzili, czy ekwipunek został spakowany.

Trzy kwadransy po północy Morawski opuścił hotel, ubrany w swój elegancki płaszcz i kapelusz. Wyglądał na zwykłego dżentelmena poszukującego nocnych rozrywek. Ulicą Wilhelmowską doszedł do kościoła Świętego Marcina i przy głównym wejściu do świątyni, gdzie panował całkowity mrok, spotkał się z Markiem, który z ciemną brodą do złudzenia przypominał Bernarda Orzelskiego. Małecki pomógł Janowi przykleić dorożkarskie wąsy, a potem wręczył mu sakwojaż Mateusza, wypełniony niezbędnymi akcesoriami.

– Lepiej, żeby pan to zabrał – mruknął. – Policja nie odważy się pytać kogoś

takiego jak pan, co niesie w torbie. Idziemy.

Wyszli z zaułka. Marek przeszedł na północną stronę ulicy Święty Marcin, Jan ruszył w zbliżonym tempie przeciwległym chodnikiem. Zatrzymał się przed numerem 11, na skrzyżowaniu z Piekarami. W sąsiedztwie mieściło się kilka szynków, z których dochodził teraz karnawałowy jazgot świętujących rzemieślników i robotników.

Morawski spojrzął na bramę pod numerem 69, gdzie „pracował” Marek, a potem skierował wzrok w lewo, w stronę kamienicy numer 63, z której wyszli z Mateuszem po pościgu. „Gdy tylko wyjaśnimy sprawę drukarni – postanowił – musimy rozpoznać ten labirynt łączących się podwórek”.

Rozejrzał się ponownie. W oddali zobaczył grupkę ludzi, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Była ostatnia sobota karnawału i nocny przechodzień nikogo nie dziwił. Przeszedł przez jezdnię.

Marek stał w zacienionej wnęce bramy i wygiętym drutem majstrował przy zamku. Jan minął go obojętnie i zatrzymał się przy najbliższej latarni. Sięgnął po zegarek, jakby na kogoś czekał. Do jego uszu dolatywało stukanie metalu o metal, wreszcie usłyszał charakterystyczny dźwięk otwieranego zamka. Potem rozległo się skrzypnięcie drzwi. Jan obrócił się w prawo i w lewo, cofnął kilka kroków i zniknął w cieniu, który pochłoniął Marka. Morawski zamknął bramę, a Marek przekręcił wytrych. Z torby wyciągnęli szmaty i obwiązali nimi buty, żeby nie zostawiać wyraźnych śladów na pokrywającym podwórko śniegu.

Zbliżyli się do wejścia do biur i magazynu drukarni, położonych po lewej stronie. W głębi tego pierwszego podwórza znajdował się wąski przesmyk, który prowadził na kolejny dziedziniec. Stamtąd dochodził odgłos prasy drukarskiej. Morawski stanął tuż przed tym przewężeniem i nasłuchiwał raczej niż wyglądał, czy ktoś nie nadchodzi. Przez kilka minut Marek klęczał przed drzwiami i próbował sforsować zamek którymś ze swych wytrychów, jednak bez skutku. Wreszcie wstał i podszedł do Jana.

– Dziwiłem się – szepnął – dlaczego Niemcy rozpruli kratę, ale teraz już rozumiem.

Z torby wyjął obcęgi i podszedł do okna. Wspiął się na postument z cegieł. A Jan porzucił swój punkt obserwacyjny, zbliżył się do drzwi i położył sak na stopniu. Z kieszeni wyciągnął pęk swoich wytrychów, poświecił sobie latarką, wybrał jeden kluczyk i spróbował wsunąć do zamka. Nie dało się, więc wybrał inny wytrych. Wszedł gładko.

– Proszę o światło – szepnął Marek od strony okna.

Odpowiedział mu chrobot otwieranego zamka.

Małecki natychmiast znalazł się przy drzwiach. Wziął torbę i wsunęli się do środka. Marek sięgnął po latarkę i oświetlił wytrychy w dłoni Morawskiego.

– Czy mój brat wie, że pan to ma, szefie?

Jan nie odpowiedział, tylko wyłączył latarkę. Natychmiast otoczyła ich ciemność. Nie zamierzał dopuścić do tego, by zapalone światło przyciągnęło uwagę kogoś z mieszkańców kamienicy lub pracowników drukarni. Z torby wydobył dwie płachty brezentu i paczkę cienkich gwoździ. Razem z Markiem przyczepili po jednej płachcie do ram obu okien. Pracowali w ciszy, niewiele widząc, za to słysząc aż za dużo. Jan po raz kolejny przekonał się, że ciemność nie tylko ograbia ludzi ze zdolności widzenia, ale też uaktywniając inne zmysły do niezwykłego poziomu, wprawia w konfuzję.

Gdy okna były zasłonięte, Marek ponownie włączył latarkę. Z mroku wyłoniło się spore wnętrze, podzielone przepierzeniami na sektory. Jan sięgnął po stojącą na biurku lampę spirytusową, zapalił ją i przeszedł się po długim, niskim pomieszczeniu.

Po lewej stronie od wejścia znajdowała się – jak głosił napis – „Ekspedycja Kuryera Poznańskiego”, na wprost „Ekspedycja Księgarni Świętego Wojciecha”, a w głębi po prawej – magazyn drukarni. Marek zaczął rewizję od tej ostatniej części, Morawski zaś pobieżnie przejrzał prawie puste biuro wysyłkowe „Kuriera”, a potem zajął się biurem księgarni. Na stole leżały stosy ulotek informujących, że „*Książeczka jubileuszowa na rok 1901* napisana z polecenia Najprzewieleb. X. Arcypasterza opuściła prasę w tym tygodniu. Wielebni Księża Proboszczowie zechcą celem oszczędzenia portoryum zająć się hurtownym sprowadzaniem

książeczek dla swoich parafian”. Na podłodze stało zaledwie kilka paczek przygotowanych do wysyłki – były to same kartony i tylko jedna skrzynia. Jan szybko je sprawdził i dołączył do Marka, który z gorliwością celnika przetrząsał zawartość paczek, podśpiewując cicho: „Wielka sława to żart, książę błazna jest wart”.

Choć karnawał jeszcze trwał, księgarze już przygotowali się na nadchodzący post. Na składzie znajdowały się setki egzemplarzy *Kazań wielkopostnych*, *Homilii o Męce Pańskiej* i *Nauk wielkopostnych o pokucie świętej*. Jan i Marek przerzucali zawartość tych póltek, paczek i kartonów przez ponad godzinę, ale nie znaleźli niczego. Usiedli razem w części magazynowej.

– Nic, szefie. Nic podejrzanego.

– Zadanie praktycznie niewykonalne – mruknął Jan. – Szukamy igły w stogu siana. Kilku niepasujących paczek ukrytych w wielkim magazynie książek.

– Nie dalibyśmy rady przeszukać wszystkiego. Nie wiem jak pan, ale ja sprawdziłem tylko paczki i kartony. Skrzyń w ogóle nie otwierałem, bo są zabite gwoździami. Trzeba by podważać wieka łomem, sprawdzać, co jest w środku, a potem przybijać pokrywę.

Morawski pokiwał głową. On też zajrzał tylko do kilku, bo zajmowało to zbyt wiele czasu. Zapatrzył się na dziesiątki drewnianych skrzyń. Były różne, najróżniejsze, lecz jego wzrok przyciągnęła jedna: duża skrzynia o wymiarach zgodnych ze standardami obowiązującymi w niemieckim kolejnictwie, ustalonymi ostatnio przez rozlubowanych w normach i przepisach Prusaków.

– Musiałby tu ktoś przyjść i wskazać nam ją różdżką – narzekał Marek.

– Ta – wytypował Jan.

Zdjęli stojące na skrzyni kartony i paczki. Podważyli wieko i odstawili na bok. Odrzucili wierzchnie warstwy papieru pakowego i odsłonili kilkadziesiąt książek i broszur. Morawski wyciągał je i układał na sąsiednim kartonie, dzieląc na trzy grupy: katechizmy do nauki religii w szkołach średnich, poradniki dla księży, jak prowadzić tajne nauczanie religii, jak zachęcać do nauki języka polskiego i jak ukrywać te lekcje przed władzami, a wreszcie plan przygotowań do strajku

generalnego polskich dzieci, opartego na odmowie nauki religii po niemiecku. Wszędzie jako wydawca widniała Drukarnia Świętego Wojciecha. Na dnie leżała duża koperta zawierająca korespondencję grupy poznańskich księży z organizacjami polskich robotników w Westfalii. Z pobieżnego przeglądu wynikało, że strajkowi uczniów wielkopolskich miał towarzyszyć strajk generalny robotników polskich w zachodnich prowincjach Cesarstwa.

Morawski przysiadł. Tego się nie spodziewał. Gdyby niemiecka policja znalazła tę skrzynię w polskiej drukarni, konsekwencje spadłyby na Kościół, na Polaków, na polskie gazety. Hakata miałyby nareszcie pretekst, by żądać zastosowania środków specjalnych wobec buntowniczej „mniejszości”. Wszak rozprowadzano materiały nawołujące do łamania prawa, do buntu przeciwko niemieckim władzom. Schliemann doskonale to wymyślił.

– Jednak nie ta skrzynia – westchnął Marek.

Jan podniósł na niego zdumiony wzrok.

– Właśnie że ta.

– Ale przecież...

– Nieważne. Brat ci to później wytłumaczy. To jest ten „towar”.

– A ja myślałem, że szukamy pieniędzy.

– Ja też tak myślałem. Ale możliwe, że to jest jeszcze gorsze. – Uniósł dłoń, by uciszyć Małeckiego, i na dobitkę zrobił groźną minę. – Nie wiem, jak to wszystko ze sobą posplatać, ale na razie musimy wymyślić, jak zdetonować tę bombę, którą podłożyli hakatyści.

– To znaczy?

– To znaczy, że w poniedziałek tej skrzyni nie może tu być. Jakies pomysły?

– Pan tu jest od pomysłów, szefie.

– Wariant pierwszy: przekupujemy stróża i wynosimy.

– Nie pójdzie na to.

– Gdyby istniała szansa na sprawiedliwe śledztwo – rozważał Jan, chodząc po magazynie – moglibyśmy tu i ówdzie dodać jakiś dowód, że to hakatyści podrzucili, ale tak? – Skrzywił się. – W ostateczności zgłosimy to szefom drukarni. Choć

wolałbym nie musieć się tłumaczyć z tego włamania. Szkoda, że nie ma patrona.

Spojrzał na dział ekspedycji. Wydał usta. Podszedł do jedynej skrzyni, która tam stała pośród kartonów. Była spakowana i zaadresowana do parafii katolickiej w Dolsku, a wysyłkę spedycją C. Hartwig zaplanowano na poniedziałek. Morawski wziął od Marka łom i podważył wieko. Pamiętał, że wewnątrz były owe *Księżeczki jubileuszowe* i wielkopostne książki.

– Zamieniamy zawartość obu skrzyń – polecił.

Małecki wpatrywał się w Jana zdumiony.

– Wyciągaj książki przygotowane do wysyłki – wyjaśnił Morawski – te wszystkie *Księżeczki* i kazania, i zanoś do magazynu. Zakazane katechizmy przenieś do skrzyni w dziale wysyłek. Już!

Wymiana zajęła im trzy minuty. Wewnątrz paczki zaadresowanej do Dolska Jan położył kartkę: „Proszę to ukryć” – miał tylko nadzieję, że nie narobi kłopotów proboszczowi. Nałożyli wieko, zabili gwoździami i przyczepili dokumenty wysyłkowe. Kopertę z korespondencją kościelno-robotniczą Morawski schował do kieszeni płaszcza. Potem zamknęli także niemiecką skrzynię.

– Tu powinniśmy położyć kartkę: „Überraschung!”⁴⁹ – zaśmiał się Marek.

Pozbierali narzędzia, zgasili lampy, odczepili płachty i pojedynczo wyszli: najpierw Marek, który stanął na czatach przy załomie muru, potem Jan, który zamknął drzwi wytrychem. Przemknęli się przy ścianie, wewnątrz bramy zdjęli ochraniacze z butów.

Marek otworzył bramę i Jan wyszedł pierwszy. Już chciał powiedzieć, że droga wolna, ale po przeciwnej stronie zobaczył dwóch policjantów. Natychmiast skierowali się ku niemu.

– Cofnij się – polecił szeptem Markowi.

Usłyszał lekkie stuknięcie skrzydła i przekręcenie wytrycha. Wyciągnął z kieszeni latarkę i skierował światło na listę mieszkańców.

– Co pan tu robi?

– Przyszedłem odwiedzić krewnego – odparł Jan i zawiadacko odsunął kapelusz na tył głowy.

– O trzeciej nad ranem?

Morawski wzruszył ramionami i lekko się zachwiał.

– Jak pan się nazywa?

– Jan Morawski.

Jeden z policjantów wziął od Jana latarkę i oświetlił listę mieszkańców.

– Rzeczywiście jest tu Franz von Morawski.

– Wiem, że tu mieszka – mruknął drugi – ale słyszałem, że na kilka dni wyjechał.

– A ja właśnie – czknięcie – przyjechałem.

– Czy może pan dowieść, że tak się nazywa?

Jan zaczął szukać po kieszeniach swych kart wizytowych, ale w jednej kieszeni miał wytrychy, w drugiej pistolet. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i natrafił na pakiet listów podżegających do antyrządowego strajku.

– Wszędzie pana szukam – surowym tonem odezwał się Mateusz tuż za policjantami.

– To mój kamerdyner – wyjaśnił Jan i się zaśmiał. – Pokaż panom moją kartę.

Mateusz westchnął teatralnie i z eleganckiego portfela wyciągnął karty wizytowe Jana w wersji francuskiej i niemieckiej.

Policjanci przeczytali i pouczyli Morawskiego, by przestał się szwendać po nocy i znalazł sobie inną porę na odwiedziny. Potem oddali mu latarkę i odeszli.

Jan z podpierającym go Mateuszem też odeszli, ale po chwili wrócili i zaskrobali w bramę. Szczęknął zamek i ostrożnie wyłonił się z niej Marek. Zamknął bramę i razem ruszyli w stronę Bazaru, po drodze odklejając sztuczny zarost.

– Ten Morawski to naprawdę pański krewny, szefie?

– Wszędzie nas pełno.

Do Bazaru wrócili wejściem od ulicy Nowej i Mateusz poszedł prosto przez podwórze do kuchni po coś ciepłego do jedzenia. Marek z Janem weszli na drugie piętro i wtedy okazało się, że nie tylko oni załatwiają w nocy różne sprawy. Najpierw minęli hrabiego Walewskiego, który szedł korytarzem w starym gmachu

i mrucał: „Bez posagu, bez posagu”. A potem, już w nowym gmachu, trafili na pana Bernarda Orzelskiego, który właśnie wchodził do swego pokoju numer 21. Morawski uprzejmie go pozdrowił, Marek się uklonił, ale pan Bernard tylko błysnął białkami oczu i zamknął drzwi.

[49](#) *Überraschung* (niem.) – niespodzianka.

ROZDZIAŁ 19

Po powrocie do pokoju Jan usiadł przy stole i zanotował, jakie książki i broszury podrzuciono w drukarni. Gdy skończył, zjawił się Mateusz z dzbankiem bulionu, kokilkami i talerzem pasztecików. Nalał parującego płynu do naczynek i jedno podał Morawskiemu. Ten spojrział na kamerdynera ze zdumieniem, jakby nie zauważył jego powrotu.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

Wstał, wziął zabraną z drukarni kopertę i ruszył do sypialni. Usłyszał jeszcze głos Marka:

– Co mu się stało? Przecież wszystko przebiegło świetnie.

– Idź spać.

Po chwili trzasnęły drzwi.

Morawski zdjął buty i usiadł przy biurku. Otworzył notes i przeglądał zapiski z ostatnich dni. Trzykrotnie przeczytał notatki z akcji „Dorożka”.

Od czwartku zastanawiał się, jaki mógł być związek Oskara Krause z raportem dotyczącym księży, a gdy potem okazało się, że coś łączyło Oskara z radcą Schliemannem, próbował powiązać działalność radcy ze specjalnością Krausego, czyli fałszerstwami pieniędzy.

W drukarni spodziewał się znaleźć fałszywe banknoty – bo to uzasadniałoby udział Oskara w spisku – i jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia wywołanego znalezieniem zakazanych druków i planu strajku. Czuł, że trafił na wierzchołek góry lodowej. Nadal nie wiedział, do czego Schliemann potrzebował Oskara, ale było pewne, że radca zaplanował serię eksplozji, z których każda kolejna miała wzmocnić siłę rażenia poprzednich.

„Trzy ptaki utłuczone jednym kamieniem” – przeczytał. Towar w drukarni, „prezent” dla bankiera i coś jeszcze, co wymyślił ten przekłety hakatysta.

Znalezisko w Drukarni Świętego Wojciecha uderzyłoby najbardziej w Kościół – polski i katolicki, cieszący się wielkim prestiżem od czasu pierwszego kulturkampfu. Morawski miał nadzieję, że ten ładunek udało się zdetonować. Trzeba będzie porozmawiać z Wawrzyniakiem o paczce, poprosić, by się skontaktował z proboszczem w Dolsku i uprzedził go.

Pozostawała sprawa „prezentu” dla bankiera i ów specjalny pomysł Schliemanna. Zwłaszcza ta ostatnia tajemnica niepokoiła Jana. Z powodu śmierci Oskara nie udało się zrealizować planu z jakimś skarbcem, radca wymyślił więc coś innego. Co? Mogło to być wszystko, nawet coś sprzecznego z interesami niemieckimi. Hakata była gotowa narazić państwo niemieckie na kompromitację i straty, byle zaszkodzić Polakom. Trudno przewidzieć, jaki będzie następny krok. Jan pokręcił głową. Możliwości było tak wiele. Podszedł do okna i wyjrzał na plac Wilhelmowski. Biblioteka Raczyńskich?

Nie miał żadnych danych do rozwiązania tej zagadki, zajął się więc sprawą numer dwa. „Bankier otrzymał prezent, chłopcy już weszli”. O jaki bank chodzi? Może Przemysłowców, gdzie dyrektorował Henryk? Jeden z największych polskich banków, bank, od którego zaczęła się spółdzielczość. Schliemann ze Śliwkowym powiedzieli: „dostał prezent”. Kupili go? A jeśli go kupili, co znaczyło „chłopcy weszli”? I gdyby go – Henryka – kupili, to dlaczego brakowało mu na wpłatę za kamienicę? Chyba że zapłacili z góry i to poszło na tę przedpłatę. Ale co musiałyby zrobić, żeby zasłużyć na taką sumę pieniędzy? Skąd miał dwieście tysięcy marek, skoro jego żona sama wydawała tysiące? A może to ona jest odpowiedzialna za zniknięcie pieniędzy, na które Henryk skarżył się Ludwikowi? Jan poczuł, że kręci mu się w głowie.

Ukrył kopertę w neseserze i położył się na łóżku. Miał nadzieję, że zaśnie. Przymknął szczypiące oczy.

Ten taniec był jego. Jak mogła oddać go innemu?

Czy jednak nie wyolbrzymił tego wszystkiego? Wydawało mu się, że ona go... lubi. A jeśli nawet, to co z tego? Poprosił ją tamten dystyngowany elegant, więc się zgodziła. Pewnie znają się od lat, a nie od trzech dni, dwóch właściwie. Niczego nie była mu winna, a on zachowywał się jak gimnazjalista wiosną.

Poderwał się i usiadł. To leżenie mu nie służyło. Czas wziąć się do roboty i zagłuszyć tę wewnętrzną szamotaninę. Ale co można zrobić o 5.30 w niedzielę?

Skąd Henryk miał dwieście tysięcy marek? Był dickensowskim sknerą, oszczędzał na drobiazgach, zaciskał pasa, a wpłacił dwieście tysięcy na kamienicę. I jakie interesy załatwiał w suterenie? Jan wstał i przerzucał kartki w notesie, nie mogąc sobie przypomnieć, czy służąca podała numer domu na Wrocławskiej. Podała.

Włożył buty, wziął minibrowninga, notes, wytrychy, latarkę. Wyszedł z pokoju jak najciszej, by nie obudzić Mateusza. Starął się niepotrzebnie. Kamerdyner w pełnym rynsztunku siedział przy stole i czytał gazetę.

– Nie śpisz? – zdziwił się Jan.

– Wydawało mi się, że jest pan... przygnębiony.

– Chwila słabości. Mnie też coś się wydawało. – Sięgnął po płaszcz. – Wychodzę.

– Idę z panem.

– Idę sam.

Mateusz pokręcił przecząco głową i wstał.

Wyszli starą bramą prosto w jasny mrok. Niebo było jeszcze ciemne, ale świeży śnieg rozświetlał świat tuż nad ziemią. Szli w milczeniu ulicą Nową, minęli Szkolną, dotarli do Wrocławskiej i skręcili w nią. Zatrzymali się przy numerze 39, który boczną ścianą przylegał do ulicy Koziej. W sąsiednim budynku Jan jadł obiad z doktorem i patronem, po przeciwnej stronie, w podwórzu, mieszkał Ignas i działała kuźnia pod znakiem czterech młotków, kawałek dalej przy tej ulicy mieściło się laboratorium Leśniewiczów, a *vis-à-vis* laboratorium sprzedawano jedwabne nici. Wszystkie drogi zdawały się prowadzić na Wrocławską.

Rozległ się dźwięk przekręcanego klucza i Jan z Mateuszem szybko ruszyli dalej trotuarem. Po chwili Morawski obejrzał się i zobaczył dwie kobiety w czerni idące w stronę Starego Rynku. Mężczyźni zawrócili, podeszli do bramy i Jan nacisnął klamkę. Ustąpiła. Weszli na podwórze wypełnione oficynami, przybudówkami i warsztatami. W trzech miejscach zamontowano wąskie drewniane schody

prowadzące do mieszkań na piętrze. Z trudem można było w tej plątaniu znaleźć drogę, ale Mateusz bez wahania podszedł do drzwi ulokowanych w tylnej ścianie głównego budynku. Otworzył je i razem z Morawskim zeszli kilka stopni w dół. Jeden korytarz prowadził prosto, w stronę Wrocławskiej, drugi w prawo.

– Tam są dwa mieszkania – szepnął Mateusz, wskazując korytarz po prawej. – Tu na wprost jest jedyne pomieszczenie, gdzie nikt na stałe nie mieszka.

– Skąd wiesz?

– Byłem tu wczoraj wieczorem, gdy pan poszedł z Markiem na rozpoznanie drukarni.

Skierowali się na wprost.

Morawski otworzył drzwi wytrychem, włączyli latarki i weszli do wilgotnego pomieszczenia. Bliżej drzwi stały stół i dwa zdezelowane krzesła. W głębi, tuż pod sufitem, było widać brudne zakratowane okienko, znajdujące się na poziomie chodnika ulicy Wrocławskiej. Po lewej stronie stał żeliwny piecyk, którym natychmiast zainteresował się Mateusz, a o prawą ścianę była oparta drewniana płyta. Morawski odstawił ją i zobaczył wmurowaną metalową szafeczkę. Założył okulary, w świetle latarki obejrzał zamek szafki, po czym wypróbował kolejne wytrychy. Żaden nie pasował do tak nowoczesnego zamka. Potrzebowałby klucza i zaczął obmyślać, jak go zdobyć od Henryka Terleckiego. Sam nie mógł iść do mieszkania bankowca – już i tak jego wczorajsze odwiedziny były ryzykowne; gdyby je powtórzył, mameczka dałaby na zapowiedzi. Przyszła mu na myśl Józefa – może Mateusz zdołałby ją namówić na wypożyczenie klucza Terleckiego? A jeszcze lepiej nadawałby się do tego złotousty Marek.

Za plecami usłyszał szmer metalu pocieranego o metal.

– Chodź tu, zaraz – mruknął Mateusz.

Kłęcząc przed otwartym piecykiem, na ceglanej podłodze leżały nadpalone drewnienka i bryłki węgla, a on z czeluści wyciągał coś tak zapalczywie, że unosił całą żeliwną konstrukcję. Morawski podszedł i przytrzymał piecyk, a wtedy Mateuszowi udało się wydobyć przedmiot wielkości sporej książki, zabezpieczony czarną tkaniną. Rozwinęli materiał i odsłanili stalową kasetkę bankową, z uchwytem

na pokrywie, zamykaną na kluczyk. Zamek nie był tak skomplikowany jak ten w szafce i Morawski sforsował go za drugą próbą.

– Może ta szafka to tylko wabik na włamywaczy? – zasugerował.

Podnieśli wieko. Na wierzchu leżał brudny gruby zeszyt, a pod spodem jakieś świstki. Usiedli przy stole, podzielili się zawartością kasetki i zaczęli ją przeglądać.

Janowi trafił się zeszyt. Każda strona była podzielona na kilka kolumn, w których zapisano kolejny numer, nazwisko, adres, kwotę, procenty, wpłaty, formę zabezpieczenia. Morawski zacmokał. Rejestr długów. Sądząc po wysokości odsetek, sięgających pięciuset procent, był to rejestr lichwiarza. Przesuwał palcem po kolumnie czwartej i analizował kwoty pożyczek. Figurowały tu same drobne sumy – dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt marek – aczkolwiek ilość tych wpisów była ogromna. Nawet nie potrafił oszacować łącznej wartości pożyczonych pieniędzy. Sprawdzał dalej, aż trafił na większą kwotę: tysiąc marek, potem było pięć tysięcy – dla Maksa Krajewskiego (z notatek wynikało, że spłacił już pięć tysięcy pięćset, pozostało cztery tysiące pięćset, gdyż lichwiarz potraktował Maksa preferencyjnie i obniżył oprocentowanie do stu procent), następnie te większe kwoty pojawiały się co kilkanaście, kilkadziesiąt linijek. Generalnie obiektem zdzierstwa była biedota, ludzie, którym nie wystarczało na ziemniaki, opał i komorne. Kto inny pożyczalby dziesięć marek, gdy kura na targu kosztowała dwie marki, pączek pięć fenigów, a podstawowy kurs dorożką pół marki?

– Co tam masz?

– Weksle, akty własności jakichś gruntów, maszyn, zwierząt.

– Weksle Maksa Krajewskiego?

– Nie, same nieznane nazwiska. Małe sumy. I koperta, a w niej sto pięćdziesiąt marek i kartka: „Stary Walenty Adamski zapłacił 50 i odsetki. Zabrałem moją dolę. A.”.

Jan podał kamerdynerowi rejestr, a sam przejrzał pobieżnie dokumenty: brudne, przepeczone, żalosne. Krawiec pożyczyl pod zastaw maszyny do szycia, jakiś ogrodnik pod zastaw konia pociągowego, gimnazjalista zastawił książki.

W korytarzu zapłakało dziecko, więc mężczyźni przestali rozmawiać. Mateusz

cicho podszedł do Judasza i wyjrzał.

– Chyba pobudka u sąsiada. Korytarz nadal pusty.

– Wychodzimy – zdecydował Jan.

Schowali kasetkę do piecyka, zakryli ją szczapami i węglem, a potem wyszli, zamykając drzwi wytrychem.

Niebo już jaśniało, minęło bowiem wpół do siódmej. W drodze do Bazaru Morawski powtórzył Mateuszowi swą rozmowę z Maksem o cisnącym go lichwiarzu.

– To jest gangrena, gangrena – mruczał kamerdyner. – Lichwiarzom powinno się wypalać znak na czole.

– A teraz idziemy na te podwórza między Wilhelmowską a Świętym Marcinem, tam gdzie zniknęła w nocy czwórka.

– Nie spał pan i nic pan nie jadł. Idziemy do hotelu.

To było właśnie to, czego najbardziej chciał uniknąć Jan.

Szli w górę ulicą Nową. Dochodzili już do Bazaru, gdy z bramy wyłoniła się panna Cecylia Walewska. Szła prosto na nich. Była jeszcze bledsza niż poprzednio, zabiedzona, oczy miała zaczerwienione, a dłonie kurczowo splecione.

Stanęli pod ścianą.

– Wczoraj po tym tańcu z panem Krajewskim – szeptał Mateusz – ojciec wyprowadził ją z sali i zrobił jej karczemną awanturę. Kelnerzy mi o tym opowiadali, gdy nad ranem poszedłem do kuchni po bulion.

– Idzie na prymarię.

Nie zauważyła ich.

– Wie pan co? Ona wygląda, jakby się wybierała nad rzekę, nie na prymarię.

Ruszyli wolno za nią, ale Jan się obejrzał. Od skrzyżowania z ulicą Wilhelmowską nadchodziła kolejna kobieta. Twarz miała zakrytą woalką, ale modny krótki płaszczyk i najwęższa spódnica w mieście obciskająca najszerze biodra w mieście nie pozostawiały wątpliwości, kto nadchodzi. Morawski złapał Mateusza za łokieć i obaj przywarli do muru.

– Idzie skaranie boskie.

Ona też ich nie zauważyła. Skręciła do Bazarowej bramy. Jan spojrzął w dół ulicy. Cecylia się oddalała. Kiwnął Mateuszowi głową w stronę dziewczyny, a sam pobiegł za Terlecką. Dotarł do hotelu w chwili, gdy zatrzaśkiwały się drzwi prowadzące na klatkę schodową starego gmachu. Odczekał kilka sekund, otworzył drzwi i ruszył do góry. Nie mógł pojąć, czego ta kobieta szuka w hotelu o tej godzinie. Przyszła się z kimś spotkać? Podążał za stukotem obcasów uderzających o stopnie. Międzypiętro, pierwsze piętro, drugie piętro. Dotarła na poddasze, skrzypnęły drzwi. Przystanął piętro niżej, a po minucie wszedł również na najwyższy poziom. Mieściły się tam pokoje dla służby gości, pralnie, składowiska mebli. Wyjrzał na korytarz i zobaczył, jak mameczka zamyka jakąś szafę, a potem zagląda do jednej z klitek.

Morawski usłyszał, że ktoś idzie po schodach. Przywarł do ściany. Drzwi się otworzyły, a skrzydło go zasłoniło. Rozległy się kroki. Wychylił się i zobaczył, że korytarzem idzie wysoka kobieta w stroju służącej. Nie czekał, by się przekonać, czy pani Terlecka zostanie odkryta. Opuścił swą kryjówkę i zbiegł po schodach.

A na parterze wpadł wprost na Artura, który wynurzał się z hotelowych piwnic.

– Wszędzie cię szukam – oznajmił Boratyński, zdejmując pajączynę z peleryny.

– W piwnicy również?

Młody Boratyński wyglądał marnie. Był wymięty, blady, a wszystkie dysproporcje jego fizjonomii – wielkie czoło i nos, małe oczy – wydawały się jeszcze wyraźniejsze. Nie był chyba przyzwyczajony do ранego wstawania.

– Dlaczego mnie szukałeś?

– Bo wczoraj w czasie balu moja siostra prosiła, bym cię odnalazł i przeprosił, że pierwszy taniec zatańczy z tym człowiekiem, z którym rozmawiała. – Ziewnął. – On się spieszył na pociąg, a udało im się uzgodnić coś tam o współpracy czy coś takiego. Nie pamiętam, bo mnie takie drobiazgi nie interesują. W każdym razie poprosił ją do tańca, a ona nie mogła odmówić. A potem ja wyszedłem lub ty wyszedłeś. No i nie przekazałem ci. Ale to nie moja wina. Tak się złożyło.

Morawski stał i słuchał tego, lekko kiwając głową.

– Idź do domu.

– Ale jednak przekazałem ci. I nic się nie stało.

– Nic.

Artur ruszył do bramy, lecz jeszcze się odwrócił.

– A jakbyś miał ochotę, to ona o dziesiątej wychodzi na spacer.

Odszedł.

A Jan przez recepcję wrócił do swego pokoju, sprawdził, czy kwiat z jedwabiu spoczywa bezpiecznie w walizce, a potem rzucił się na łóżko – w płaszczu i w butach – i zasnął.

ROZDZIAŁ 20

Tuż po dziewiątej Jan zasiadł do śniadania w swoim saloniku. Zjadł – pożył właściwie – dwie porcje smażonych na szynce jajek, a zaspokoiwszy w ten sposób pierwszy głód, rogaliki z masłem i konfiturą malinową jadł już spokojnie, popijał kawą i czytał niedzielne wydanie „Dziennika Poznańskiego”.

Naprzeciwno niego siedział Mateusz, ubrany nie w służbową jaskółkę, ale w garnitur. Oddał już sprawiedliwość świeżemu chlebowi i poznańskim wędlinom, chwając zwłaszcza półgęski, ale teraz potrząsał „Kurierem” i udawał, że czyta.

– Jaka pogoda w Paryżu? – spytał Jan. Domyślał się, co trapi przyjaciela, i chciał oderwać jego myśli od przykrego tematu.

– Nie wiem, „Kurier” nie zamieszcza takich wiadomości.

Jan złożył „Dziennik” i podał Mateuszowi, ale ten rzucił gazetę przy swoim nakryciu i postukał palcem w zegarek.

– Miał być o dziewiątej, a minęło już wpół do dziesiątej.

Jan tylko odchrząknął. Przejrzał „Kurier”, ale nic nowego o wybuchu nie podano.

Nagle drzwi otwały się z impetem i do pokoju wpadł Marek w najlepszej marynarce Mateusza i bardzo ładnym jedwabnym krawacie, którego Morawski dotąd nie widział.

– Dzisiaj tutaj jest śniadanie? I do tego z szefem?

– Było śniadanie – wycedził jego brat. – O dziewiątej.

Spóźnialski usiadł przy czystym nakryciu.

– A co dla mnie?

– Co chcesz. – Mateusz wskazał mu pozostałości uczy.

Młodszy Małecki sięgnął po chleb i z pochyloną głową skubał suchą kromkę, choć przy jego talerzu stało masło.

Jan wstał i poszedł do sypialni.

– Pamiętasz, Mateuszu – rozmarzył się Marek – jak mama przygotowywała nam w niedzielę smażone jajka?

Mateusz wytrwał w swym oporze pół minuty; po tym czasie rozległo się trzaśnięcie drzwi.

Morawski włożył marynarkę i buty, w neseserze ukrył pistolet i latarkę. Potem rozejrzał się, czy na wierzchu nie zostało nic, co powinno być schowane, i wrócił do saloniku.

– „Pełen biust osiąga się, stosując Junogen – czytał Marek w gazecie. – Zdziwiający efekt już po użyciu pięciu puszek”. Myśli pan, że one to biorą?

– Na pewno.

Jan włożył płaszcz i sięgnął po kapelusz. W progu minął się z Mateuszem, który niósł tacę z talerzem zakrytym posrebrzaną pokrywą. Morawski przepuścił go, a zamykając drzwi, usłyszał:

– Mateuszu, jesteś lepszy nawet od mamy!

Ruszył schodami w dół. Poniżej spocznika natknął się na idącego w przeciwnym kierunku Maksa.

– Poranny spacer? – zagadnął Krajewski.

– Dzień jest taki piękny – uśmiechnął się Jan, zbiegając dalej.

– Słyszałem, że w nocy też spacerujesz. Po Świętym Marcynie, koło Drukarni Wojciecha.

Tym razem Morawski przystanął i po sekundowym zawahaniu odwrócił się do Maksa.

– To prawda. – Mrugnął. – Wpadłem tam dodrukować pieniądze.

– Musisz mi zdradzić ten sekret.

Jan się zaśmiał i odwrócił do wyjścia.

Dwa metry od niego stał pan Bernard Orzelski, w futrze i kapeluszu. Wracił skądś, choć zazwyczaj budził się dopiero po południu. Nie próbował zasztyletować Jana spojrzeniem, tylko z kamienną twarzą wyminął go i ruszył w stronę schodów.

Morawski stawiał się w mieszkaniu panny Boratyńskiej minutę przed dziesiątą.

Młoda dama była już ubrana w piękny czarny płaszcz z kołnierzem z gronostajów i ciemnoszary kapelusz wymodelowany na kształt gołębich skrzydeł.

– Może przejdziemy się po Starym Rynku? – zaproponowała, gdy wyszli z kamienicy.

Jan udał, że to rozważa.

– Pod warunkiem, że pozwoli się pani zaprosić na kawę do Pfitznera.

Zaśmiała się i ruszyli Wilhelmowską w stronę Bazaru.

– Czy mogę spytać... czy mój brat dostarczył panu wczoraj moją wiadomość?

– Nie. To znaczy, proszę nie pytać.

– Tak pan nagle wczoraj wyszedł.

Akurat skręcili w Nową. Morawski zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale jego uwagę przyciągnęły grupki ludzi napływających z obu stron ulicy i niknących w bramie Bazaru. Jego towarzyszka zauważyła to zainteresowanie i wyjaśniła:

– Od dwóch lat w Poznaniu działa Towarzystwo Wykładów Ludowych. Zimą w każdą niedzielę odbywają się dwa wykłady. Z historii, literatury, medycyny, etnografii. Wstęp jest wolny, a sala zwykle pełna.

– Stara Sala jest ogromna.

– Mieści sześćset osób.

Ruch przed wejściem ustał. Nagle z bramy wyłoniła się kobieca postać w ciasno opinającej obfite biodra sukni. Odrzuciła z twarzy woalkę i rozpromieniła się na widok Morawskiego. Potem wzrok pani Terleckiej zsunął się na pannę Izabelę. Nadal się uśmiechała, ale jej policzki drgnęły.

– Dzień dobry! – zawołała miękko. – Więc jednak wybaczył jej pan ten taniec.

Jan uchylił kapelusza, a panna Izabela odwróciła się i odeszła kilka kroków.

– Właśnie wybieram się do tego skąpca Jankowskiego – oznajmiła mameczka – przekonać go, że jego chrześcijańskim obowiązkiem jest wesprzeć rodzinę tego zamordowanego chłopca. – Uśmiechnęła się tkliwie do Morawskiego, pogładziła go po przedramieniu i rzuciła na odchodnym: – Do zobaczenia wieczorem, drogi Janie.

– Najlepiej nie mówmy o niej – poprosiła panna Boratyńska. – Szkoda pięknego dnia.

A dzień był piękny. Słońce świeciło na błękitnym niebie i w miriadach gwiazdek rozrzuconych w świeżym śniegu, wiatr wyszumiał się poprzedniego dnia i teraz odsypiał swe harce.

Kawiarnia Pfitznera znajdowała się w kamienicy na Starym Rynku, naprzeciw wylotu ulicy Wrocławskiej. Jan złożył zamówienie w kasie i zapłacił, a potem zostawili płaszcze w szatni i usiedli przy wskazanym stoliku. Panna Izabela została w kapeluszu, Jan położył homburg na wolnym krześle. Minutę później kelner przyniósł zamówioną kawę, ćwiartkę pischingera i paterę gniazdek bocianich. W kawiarni unosił się wprawdzie upajający aromat pączków, pieczonych tam trzy razy dziennie, ale ze względu na swe podstępne nadzienie pączki nadawały się do jedzenia raczej w zaciszu domowym.

– Tylko u Pfitznera można zjeść prawdziwe wafle – oznajmiła panna Boratyńska, odkrawając kawałek waflowego torcika.

– Kierzkowska ma zaledwie sto tysięcy – odezwała się dama dwa stoliki dalej. – Karolek wart jest znacznie lepszej partii. Wolałabym, żeby się oświadczył Lipińskiej.

– Kierzkowska teraz ma zaledwie sto – odparł siedzący obok niej tłusciuch – ale jak umrze jej babka, dostanie kolejne sto. Dowiadywałem się i lekarze ręką, że stara nie pociągnie do końca roku. A jeśli jeszcze coś się stanie temu jej chrzestnemu, przecież o wypadek na polowaniu nietrudno, to cały majątek wojnicki przejdzie na dziewczynę.

Kobieta wzruszyła ramionami i z dystygowaną miną, trzymając uszko dwoma paluszkami, przytknęła subtelne usteczka do filiżanki.

– Rozmawiałem już z Karolem – ciągnął dżentelmen – i dziś oświadczy się Kierzkowskiej.

Jan głośno nabrał powietrza.

– To okropne – szepnęła panna Izabela – że ludzie budują swe nadzieje na szczęście na czyjejś śmierci.

– A mnie przeraża ta pogoń za pieniędzmi. Wszyscy mówią tylko o tym. Mieć pieniądze, by odkupić pałac rodowy, by kupić kamienicę, by kupić grunt, by kupić

męża, by kupić żonę...

Przez chwilę wyrównywała nożykiem linię ukrojonego wafla. Jan uznał to milczenie za dezaprobatę dla swego występu i już otwierał usta, by złagodzić stanowisko, gdy kobieta się odezwała:

– Nie wymienił pan mojego przypadku. Ja chcę mieć pieniądze, aby kupić sobie niezależność. Pracuję, bo dzięki pieniądзом nie będę zmuszona robić tego, czego robić nie chcę. Chcę mieć wybór, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe.

Pokiwał głową. Doskonale to rozumiał.

– Jesteśmy w dość podobnej sytuacji, żadne z nas nie musi pracować, a jednak to robimy.

– I to jest częścią tej właśnie niezależności, o którą mi chodzi – dodała. – Gdy zaczęłam pisać do gazet, musiałam zarobić na utrzymanie i przyjmowałam wszystkie zamówienia. Teraz przyjmuję tylko te, które mnie interesują. – Odkroiła jeszcze kawałek pischingera. – Właśnie wczoraj otrzymałam taką propozycję. Ten mężczyzna, którego spotkałam w czasie balu, to był warszawski wydawca. Zamierza wydać album o historii mody i zaproponował mi, żebym przygotowała rozdział o dziewiętnastym wieku.

– Gratuluję.

Podziękowała uśmiechem.

– Ja chyba nigdy nie pracowałem z konieczności, przynajmniej finansowej – wyznał, rozdzierając palcami bocianie gniazdko, choć Pani Etykieta nakazywała krojenie ciastka nożem. – Odziedziczyłem majątek, który pozwoliłby mi nie robić nic do końca życia, oczywiście przy odpowiednim gospodarowaniu. Bo – wykrzywił się – z każdym majątkiem można się uporać.

– Przykład Maksa Krajewskiego.

– Właśnie. Przyjmuję więc, tak jak pani, te sprawy, które mnie interesują lub, bo zdarzają się i takie sytuacje, te, które uważam za swój obowiązek rozwikłać.

– A o jakich sprawach w ogóle mówimy? – uniosła brwi. – Bo mam nadzieję, że nie zajmuje się pan śledzeniem żon zazdrosnych mężów?

– Nie. Najczęściej chodzi o zniknięcie osób i przedmiotów, często o fałszerstwa.

Niestety także o szantażu, to chyba najgorsze przestępstwo. I morderstwa.

– Takie jak śmierć tego biednego chłopca?

– To morderstwo jest, jeśli tak można powiedzieć, skutkiem ubocznym.

Przyjechałem tu w zupełnie innej sprawie.

Do kawiarni weszły dwie grupy klientów i sala zaczęła się zapełniać. Morawski spojrzał na ich stół. Zjadł już wszystkie gniazdka, oboje wypili po dwie filiżanki kawy, z pischingera zostały tylko okruszki.

– Może się przejdziemy? – zaproponował.

Obejrzała się na nowo przybyłych i skinęła głową.

Jan pomógł jej włożyć płaszcz, ubrał się i wyszli. Skręcili w prawo, ale zamiast pójść w stronę Bazaru, ponownie skręcili w prawo przy księgarni Jolowicza. Szli wzdłuż zachodniej pierzei Rynku.

Doszli do parterowego Odwachu, który zdaniem Jana był najpiękniejszym budynkiem w Poznaniu. Prosta i elegancka fasada tego arcydzieła, przypisywanego Kamsetzerowi, była doskonale skonstrastowana z rzeźbami wieńczącymi attykę. Kamiennie postacie skrywał puchowy śniegu tren.

– Wracając do pani pytania, przyjechałem tu w sprawie fałszerstwa.

Panna Izabela przystanęła.

– Fałszerstwa obrazu?

– Nie, pieniędzy.

– Zawsze słyszałam... to znaczy Niemcy twierdzą, że marki są nie do podrobienia.

– To dlaczego wprowadzają nowy wzór? Właśnie dlatego, że ich banknoty nie są doskonałe. Po prostu Niemcy nie rozgłaszają przypadków wykrycia fałszywek, bo to podważałoby wiarygodność Rzeszy. Zdecydowali się wypuścić nowe banknoty, pewniejsze, lecz pojawiło się podejrzenie, że komuś udało się je podrobić, jeszcze zanim zostały wprowadzone do obiegu.

– I szuka pan tych podrobionych?

– Wciąż nie wiadomo, czy one istnieją. Widzi pani, przeprowadzono śledztwo i znaleziono warsztat, a w nim gotowe płyty. Odzyskano też papier ukradziony

z papierni rządowej.

– Więc wszystko w porządku, prawda?

Stanęli przy koszmarnym trzypiętrowym gmaszysku. Był to Nowy Ratusz, wybudowany w miejsce czterechsetletniej Wagi Miejskiej, którą Prusacy w zapale unowocześniania rozebrali.

– Tak by się wydawało. Tylko że detektyw, który tak jak ja zajmował się tą sprawą, nagle wyjechał do Poznania. Nie podobało mi się to, więc przyjechałem za nim. Spotkałem się z nim, porozmawialiśmy, a gdy wyszedłem, nastąpił wybuch.

Zmarszczyła czoło.

– Ten w Concordii? Czytałam o tym w gazecie.

– A przedtem zdążył wyznać, że odkrył spisek polskich fałszerzy.

– Fałszerze w Poznaniu? I do tego Polacy?

Skręcili i szli wolno wzdłuż północnej pierzei Rynku, mijając jedną po drugiej kamienice o niepowtarzalnych fasadach.

– Ja też niespecjalnie mu wierzyłem, ale skoro zginął w zamachu...

– Coś w tym musi być.

Jan pokiwał głową.

– Nic nie chciał o tych ludziach powiedzieć, wspomniał tylko, że jest ich czterech, co zgadzałoby się z naszą wcześniejszą teorią. – Nagle przypomniał sobie, że jednym z czterech podejrzanych jest jej brat, i raptownie porzucił ten wątek. – A teraz, tropiąc tych fałszerzy, odkryłem coś gorszego.

Ostrożnie dobierając słowa, opowiedział jej o spisku Schliemanna ze Śliwkowym.

– Podejrzewam, że tą drukarnią, gdzie coś podrzucono, jest Drukarnia Świętego Wojciecha.

– Trzeba ich ostrzec – zdenerwowała się. – Pan nie wie, jakie ta drukarnia ma zasługi. Nie można dopuścić...

– Do jutra nic się nie wydarzy. A rano spotkam się z patronem Wawrzyniakiem – zapewnił najszczerzej, jak potrafił – i przekonam go, by doprowadził do sprawdzenia pomieszczeń drukarni.

Uspokoiła się, ale nadal szybko oddychała. Stali teraz przed Ratuszem, tuż przy Pręgierzu. Na chwilę zapadło milczenie, gdyż w pobliżu wymijały się dwa tramwaje elektryczne.

– A te dwie inne sprawy, bankier i to trzecie? – spytała.

– Trzeciego pomysłu nie znam, chyba nawet nie wymienili szczegółów. Ale o drugim powiedzieli tak: bankier dostał przesyłkę. – Wydał usta i zastanowił się. – Lub: prezent. Chłopcy zanieśli. Dwie noce temu. Dokładne słowa mam zanotowane.

Szli wzdłuż ciągu wąziutkich kamieniczek, zwanych domkami budniczymi, aż dotarli do końca Rynku i ponownie skręcili w prawo.

– Czy mogę spytać... czy te informacje o planowanych prowokacjach zdobył pan legalnie?

– Nie. To znaczy, proszę nie pytać.

– Jak mogę pomóc? – spytała, gdy minęli figurę świętego Jana Nepomucena. Zawahał się, a ona argumentowała: – Przecież jeśli to im się uda, oni nas zniszczą. Teraz mamy tu koszary policyjne, ale jeśli ten diabelski plan się powiedzie, urządzą nam kolonię karną. – Doszli do ulicy Nowej i ruszyli w górę. – Jak mogę pomóc?

– To może być niebezpieczne. Radca Schliemann jest człowiekiem bezwzględnym...

Z bramy Bazaru wysypywali się ludzie, najwyraźniej pierwszy wykład dobiegł końca.

– Stara Sala jest Prusakom solą w oku – powiedziała panna Izabela. – Tam odbywają się wszystkie nasze ważniejsze zebrania.

Jan pokiwał głową.

– To pan wie – ciągnęła. – A słyszał pan, że już kilkakrotnie próbowano przeszkodzić w organizacji polskich zebrań pod pozorem, że brakuje niemieckich urzędników, którzy władają polskim i mogą kontrolować obrady? Zawsze jednak składaliśmy protest i trybunał administracyjny uznawał te zarządzenia za bezprawne, twierdząc, że zapewnienie urzędników jest obowiązkiem rządu. Jeśli do drukarni i gdzieś jeszcze podrzucono coś zakazanego, na przykład te fałszywe pieniądze, to hakatyści zyskają pretekst do spacyfikowania nas. Koniec towarzystw,

koniec zebrań, koniec gazet. – Mówiła coraz szybciej, ale zreflektowała się. Wykonała głęboki wdech i wydech. – Jak mogę pomóc?

Stał naprzeciwko niej i czuł radość.

– Jeśli ma pani chwilę, pokażę pani te zanotowane słowa Schliemanna. Mieszka pani w Poznaniu, może z czymś się to pani skojarzy. Mam salon do własnej dyspozycji, więc nie narazi pani chyba swej reputacji, wchodząc na górę.

Zawahała się.

– Mój kamerdyner świetnie nadaje się na przyzwoitkę – zapewnił.

Weszli przez główne wejście, minęli sieni i znaleźli się w holu. A tam Morawski od razu to poczuł: śliwkowy dym. Wciągnął nosem powietrze. Rozejrzał się. Na podwórzu, w połowie drogi między holem a restauracją, stał mężczyzna w kraciastym płaszczu i patrzył wprost na niego. Miał obwisłą, gładko ogoloną twarz, a przez jego prawy policzek biegła jasna szrama.

– Czy coś się stało? – spytała panna Izabela i Jan wyrwał się z zapatrzenia.

– Nie, nie, chodźmy.

W saloniku Jana nie zastali niestety Mateusza. Morawski pomógł swemu gościowi zdjąć płaszcz.

– Przyszło mi do głowy coś jeszcze – odezwała się. – Jeśli w Poznaniu rzeczywiście działa grupa fałszerzy... Mamy tu kilku grafików, litografów i rytowników. Przypuszczam, że do podrobienia banknotów potrzeba wielkich umiejętności. Mogę popytać, czy jakiś dobry specjalista nie odmawia ostatnio zleceń.

Jan już miał na końcu języka, że płyta została wykonana w technice heliograviury, do której potrzebny jest fotograf, ale przypomniał mu się ten przeklęty Artur.

– To jest jakiś pomysł, ale w tej chwili najważniejsze to przeszkodzić Schliemannowi. Pokażę pani te notatki.

Wszedł do sypialni i zamurowało go. Na jego łóżku leżał Marek i smacznie pochrapywał. Jan zamknął drzwi łączące oba pokoje, szarpnął śpiocha i szepnął mu w ucho: „Wynocha!”. Wziął z neseseru kartki, pokazał Małeckiemu drzwi z sypialni

na korytarz i wrócił do panny Izabeli.

Podał jej swoje zapiski; nie brzmiały: „bankier dostał przesyłkę... chłopcy zanieśli”, tylko bardziej złowrogo: „bankier dostał prezent... chłopcy weszli”.

– To zmienia postać rzeczy – mruknęła. – Ten „prezent” to zapewne ironia. A „chłopcy weszli” to ewidentnie włamanie. Nie słyszałam ostatnio o żadnym takim incydencie.

– Tak samo jak doktor Chłapowski i wszyscy służący, których wypytał mój kamerdyner.

– Ale powinniśmy chyba pytać o próbę włamania. Bo coś poszło nie tak i zmienili plany.

Morawski wyjął usta i sięgnął po notatkę. Jeszcze raz przeczytał tekst. Miała rację.

– A może to coś pani mówi?

Z portfela wyjął kartkę z szyfrem zabraną Krausemu i podał Izabeli.

– Nie, zupełnie nic. A co to jest?

– Nie wiem. Możliwe, że zaszyfrowany tekst lub kod dostępu do jakiegoś miejsca.

Ktoś zapukał do drzwi. Panna Izabela wstała. Rozległo się dudnienie.

– Jest pan tam? – zawołał męski głos.

Panna Boratyńska rozejrzała się i czmychnęła do sypialni. Jan miał nadzieję, że Marek usłuchał polecenia i się wyniósł.

Ponownie ktoś załomotał. Morawski otworzył drzwi i zobaczył wycelowaną w siebie lufę rewolweru.

ROZDZIAŁ 21

Bernard Orzelski z bronią w dłoni ruszył do przodu, toteż Jan zaczął się cofać. Dotarł do stołu i lekko się obrócił, zmuszając napastnika, by stanął tyłem do uchylonych drzwi prowadzących do sypialni.

– Mam dość, rozumiesz? – Orzelski podniósł rękę, tak że rewolwer znalazł się pół metra od czoła Morawskiego. – Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny, co? Że możesz mnie prześladować, cisnąć, a ja będę to znosił, tak? No to się zawiodłeś. Miałem do czynienia z gorszymi od ciebie i zawsze dawałem sobie radę. Nikt nie będzie mi groził...

Naraz drgnął jak ukłuty, a zza jego pleców padł rozkaz:

– Rzuć to.

Na chwilę zamarł, ale wykonał polecenie. Morawski schylił się i podniósł rewolwer z dywanu. Z korytarza dobiegły zmieszane dźwięki głosów i kroków, a zaraz potem do saloniku wpadł portier z panem Kollatem, jednym z dyrektorów Bazaru.

Scena, która ukazała się ich oczom, była jednoznaczna: jeden z gości stał z bronią w dłoni, a naprzeciwko niego słaniał się inny gość, blady i rozdygotany.

– Co się dzieje?

– Nic, małe nieporozumienie – zapewnił Jan.

– Panie Orzelski?

– Tak, tak – wychrypiał. – Nieporozumienie.

Wyszedł z pokoju, trzymając się obiema rękoma za skronie. Dyrektor i recepcjonista z ociąganiem poszli w jego ślady. Jan zamknął drzwi i panna Boratyńska wyszła z sypialni. W trzęsącej się dłoni trzymała posrebrzany świecznik, którym sterroryzowała Orzelskiego. Przez chwilę ona i Morawski przyglądali się sobie.

– Co to miało znaczyć? – spytała w końcu. W jej głosie brzmiał tłumiony szloch.
– On oszalał?

– Nie wiem. – Jan rozłożył ręce. – Już od dwóch dni patrzy na mnie wilkiem. Chyba myśli, że coś mu grozi albo że coś mu zrobiłem. Nie wiem.

– Dlaczego nie wyjaśniłeś dyrektorowi, co się stało?

– Miałem powiedzieć: to on mnie zaatakował?

– Właśnie.

– Mężczyźni tak nie załatwiają spraw – zachnął się. – To niehonorowe.

– Wiesz, co to jest honor? Imaginacyjny sznur do pętania głupców.

– To już przesada – zaperzył się.

– Przesada? Honor nie pozwala ci zawiadomić szefa hotelu, że inny gość tego hotelu chciał cię zabić. Powtarzam: honor to sznur do pętania głupców.

Nawet nie mógł się zająć uciszaniem jej, bo im bardziej się denerwowała, tym ciszej mówiła.

– Mógł cię zastrzelić – tłumaczyła przez zaciśnięte zęby. – A skoro raz spróbował, zrobi to ponownie. Rozumiesz to? Mieszkasz pod jednym dachem z kimś, kto chce cię zabić.

– Kto chce pana zabić? – spytał Mateusz, stając w drzwiach.

– Nikt.

– Pan Bernard Orzelski – padła jednoczesna odpowiedź.

Kamerdyner z nieomylnym instynktem odgadł sprzymierzeńca i od tej pory słuchał tylko panny Boratyńskiej, która zrelacjonowała mu zajście. Następnie przedstawił jej swoją teorię, jakoby ktoś usiłował wmanewrować pana Jana w dwa morderstwa.

– Czy to się może łączyć? – zwróciła się Izabela do Morawskiego. – Ta dzisiejsza napaść z tamtymi sprawami?

Opierał się o komodę i patrzył na tę zrównoważoną dotąd kobietę, w tym momencie tak przejętą; zwykle była rozsądna i chłodna, a teraz z uwagą wysłuchiwała sensacyjnych koncepcji. Do tego sama zmieniła sposób zwracania się do niego, przenosząc ich znajomość na całkiem inny poziom. Jeśli po opadnięciu

emocji Izabela nie wycofa się z tego, będzie chyba mógł uznać, że zależy jej na nim.

– Nigdzie nie może pan sam wychodzić – oświadczył kamerdyner.

Izabela nic nie dopowiedziała, bo dostrzegła badawcze spojrzenie Morawskiego. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i nagle równocześnie odwrócili wzrok.

Zaambarasowana kobieta zerknęła na zegarek przypięty do sukni i stwierdziła, że musi iść.

– Odprowadzę cię – zerwał się Jan.

Uprzedził Mateusza i sam podał Izabeli płaszcz. Sięgnął po rewolwer Orzelskiego – był to smith & wesson 38 – i schował go do kieszeni. Wyszli razem z młodą damą, odprowadzani wzrokiem skonsternowanego kamerdynera.

Gdy mijali recepcję, portier zawołał:

– Panno Izabelo, mam wiadomość dla pani.

Dama wzięła małą kopertę, podziękowała, przeprosiła Jana, wyjęła bilecik i przeczytała. Morawski stanął kilka metrów dalej, ale kątem oka zauważył, że zagryzła wargę.

– Złe wieści?

– Nie, nie.

Wyszli przed hotel i Jan spojrzał na nieskalaną biel śniegu pokrywającego plac Wilhelmowski, na drzewa ozdobione efektowną okiścią. Zaproponował krótki spacer, a jego towarzyszka się zgodziła. Ruszyli w kierunku Biblioteki.

Wymieniali uwagi o obojętnych rzeczach – o nadchodzącym końcu karnawału, o Teatrze Polskim. Potem szli w milczeniu, a Jana przepełniało poczucie zgody ze sobą i ze światem. Był pewien, że wszystko się ułoży.

– Jeśli uda ci się dowiedzieć czegoś o włamaniu lub tylko próbie – rzekł, gdy zawrócili – znajdziemy w czasie balu okazję, by porozmawiać.

– Nie idę na ten bal.

– Nie idziesz na ten bal? – Morawski się zatrzymał. – Wspominałaś, że będziesz na wszystkich balach.

– Tak, ale sytuacja się zmieniła.

Patrzył na nią wyczekująco, więc wyjaśniła:

– Dzisiaj jest bal Koła Kobiet Katolickich. Kiedyś im się... – zamachała dłonią – naraziłam. Pani Terleckiej, dokładnie mówiąc, a ona skłóciła mnie z innymi paniami. Już dawno wszystko sobie wyjaśniłyśmy, ale pani Terlecka od czasu do czasu, gdy tak jest jej wygodnie, wraca do tego tematu, twierdząc, że to tamte są na mnie obrażone.

– To bzdura. Chyba nie zamierzasz przejmować się czymś takim?

– Zamierzam – oświadczyła i ruszyła do przodu.

Morawski stłumił warknięcie i pobiegł za nią.

– Jeśli jesteś pewna – gonił ją – że tamte są do ciebie przychylnie nastawione, to po prostu zignoruj...

– Nie – odpowiedziała twardo. – Czas z tym skończyć. Raz na zawsze. Tamte panie na mnie liczą, więc razem z odmową wyślę prezesce list pani Terleckiej. Bo zawsze dotąd była sprytna i tylko dawała mi do zrozumienia, że jestem w niełasce. Teraz po raz pierwszy pisemnie nawiązała do tamtego incydentu. – Wyciągnęła z mufki kartonik otrzymany w hotelowej recepcji i zaczęła czytać: – „Droga i tak dalej... biorąc pod uwagę pani krytyczny stosunek do naszej organizacji, nie sądzimy, by dobrze się pani czuła w naszym gronie... nie chcemy więc narażać pani na udział w spotkaniu, którego pani nie aprobuje...”.

– Krytyczny stosunek?

– Pani Terlecka nalegała, żebym uczestniczyła w dekorowaniu kościoła. Raz tak mnie docisnęła, że powiedziałam, co myślę o takich „dowodach wiary”. Rozgłosiła to. Z własną interpretacją.

– Więc ja też nie idę.

– Myślę, że ze względu na dobro śledztwa powinieneś iść – zauważyła. – Będą tam prawie wszyscy, więc z łatwością ustalisz, czy gdzieś doszło do próby włamania. A to teraz najważniejsze.

W Janie narastała wściekłość: nie tylko nie miał wpływu na tę nieznośną kobietę, ale nawet na własne postępowanie.

– Nie gniewaj się – zmieniła ton – to zaledwie jeden bal. Jeśli się czegoś dowiem, przyjdę rano... Nie, rano nie mogę, mam spotkanie. Przyjdę dziś w nocy.

Poproszę Artura, by wrócił wcześniej, powiedzmy o północy, i przyjdziemy do Bazaru.

– Dobrze. O północy.

– Po północy.

Czuł, że napięcie go opuszcza. Po chwili znowu zaczął się uśmiechać. Szli Wilhelmowską w stronę mieszkania Izabeli.

– Ładnie się to koło nazywa – zaśmiał się. – KKK. Jak: Ku Klux Klan.

Gdy przechodzili przez ulicę Nową, podszedł do nich pan Ludwik Jankowski.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Ależ nie! – zapewniła Izabela.

„Znikaj stąd!” – pomyślał Jan.

– Idę w tym samym kierunku. Może pójdziemy razem?

– Oczywiście.

„Niech go szlag”.

– Państwo tak miło sobie spacerują – paplał pan Ludwik. – Ja też niedługo będę miał z kim chodzić na takie spacerki.

Morawski, na nowo poirytowany, przewrócił oczami.

– W niedzielę jestem sam jak palec – ciągnął pan Jankowski. – Znużyła mnie ta samotność i dlatego postanowiłem się ożenić. Jestem przecież jeszcze na fleku⁵⁰.

– Zdecydowanie – potwierdziła Izabela, Jan zaś odwrócił głowę w stronę jezdni.

– Szkoda, że nie zakochałem się w pani. Ale serce nie sługa – zakończył pan Ludwik, a Morawski spojrział na niego z niedowierzaniem. – Choć jak mnie ten cymbał Walewski wyprowadzi z równowagi, to ze wszystkiego się wycofam i zwrócę do pani. Ale musi mi pani powiedzieć, czy mam szansę. Nie zamierzam robić z siebie durnia i przystawiać drabiny do niewłaściwej ściany.

– Nie wytrzymałby pan ze mną jednego dnia, panie Ludwiku. Ja jestem przyzwyczajona do samodzielnego podejmowania decyzji, a pan chciałby wszystkim rządzić.

– Ależ to szczegół, moja miła, drobiazg. Przekażę pod pani dowództwo jakąś część swojej działalności i będzie pani mogła swobodnie się wykazywać. Do niczego

nie będę się wtrącał.

Morawski przyglądał się twarzy Izabeli. Wydawało się, że słucha tych bredni z zainteresowaniem.

– Rozważyłaby pani taką propozycję? – dopytywał się adorator w średnim wieku.

– Być może. Zawsze imponowali mi mężczyźni dostrzegający nie tylko siebie.

– To znaczy? – włączył się Jan.

– Pan Ludwik założył i utrzymuje cztery freblówki⁵¹ w Poznaniu.

– No, no, nie ma o czym gadać. Skończmy z tym. Ja idę do Izby Panów. Pan też?

Zatrzymali się przy wejściu do Hotelu Francuskiego, na narożniku ulic Wilhelmowskiej i Podgórznej.

– Do Izby Panów? – zaciekawił się Morawski.

– To klub dyskusyjny dla mężczyzn – wyjaśniła Izabela.

– Gdzieś musimy rozmawiać o polityce i interesach.

– Słusznie – potaknęła – wszak poradniki pouczają, by przy kobietach nie poruszać tematu polityki czy nauki, bo byłyby zakłopotane, nie mogąc nic zrozumieć.

Izabela mrugnęła do Jana, a on się zaśmiał.

– Moja droga pani – tłumaczył pan Ludwik – mężczyźni potrzebują odpoczynku od obecności dam. Ta cała kurtuazja i grzecznota są męczące na dłuższą metę. Trzeba uważać, co się mówi... – Stropił się. – Niech mnie powie! Tego akurat miałem nie mówić.

Śmiejąc się, podeszli do wielkiego okna od strony Wilhelmowskiej. Szyba była częściowo oszroniona i Jan zajrzał ponad tą przesłoną.

– Zgromadzenie jest liczne.

– Może pan wejdzie?

– Chętnie, dziękuję. Odprowadzę pannę Izabelę i przyjdę.

Pan Jankowski wszedł do hotelu, a Izabela podniosła ze śniegu patyczek i zaczęła pisać na oszronionej szybie, literując: „O B I A D”. Jan zerkał do środka i widział, że mężczyźni pokazują szybę i śmieją się.

– To taki żart poznański – wyjaśniła. – W niedziele we wszystkich domach obiad

jest spóźniony, bo mężczyźni obradują w Izbie Panów. Pieczeń zmienia się w podeszwę, żona chodzi dookoła stołu i z nerwów zjada cały przygotowany chleb, a oni tu siedzą.

– Widziałem chyba Artura.

Zagryzła wargę.

– Powinien być na studiach, prawda? – Jej oczy podejrzenie błysnęły i ruszyła w stronę Świętego Marcina. – Po Bożym Narodzeniu pozwoliłam mu zostać w domu. W Monachium zaczął grać w karty, a tego boję się dla niego najbardziej. Nasz ojciec nie potrafił odejść od stolika, aż wreszcie przegrał cały majątek.

– Nie wiedziałem.

– W Poznaniu hazard został wyrugowany z towarzystwa, między innymi dzięki panu Ludwikowi. Tu Artur jest bezpieczny.

Morawski nic nie odrzekł. Pokój, który między nimi nastał, był kruchy jak lód na kałuży i wolał go nie testować. Odprowadził ją pod drzwi mieszkania i wrócił, by wziąć udział w obradach Izby Panów.

Hotel Francuski, własność Teodora Luzińskiego, był trzypiętrowym budynkiem, w którym oprócz pokoi i restauracji znajdowały się dwie sale. Mniejsza była zlokalizowana w skrzydle przy ulicy Wilhelmowskiej i do niej właśnie wszedł Jan.

Wbrew nazwie, sugerującej zgromadzenie arystokratów, Izba Panów miała skład demokratyczny. Na to przynajmniej wskazywała różnorodność fizjonomii i ubiorów. Spotkanie – jak Morawski szybko się zorientował – dotyczyło planowanej likwidacji fortyfikacji i rozbudowy miasta, a temat musiał być zapowiedziany z wyprzedzeniem, gdyż mówiący mężczyzna wspierał się notatkami.

– Wiemy doskonale, że od dekretu o budowie twierdzy wywodzą się wszystkie nasze bolączki: brak powierzchni pod nowe domy, odseparowanie przedmieść przez szeroki pas ograniczenia zabudowy, trudność w lokowaniu fabryk, brak zgody wojska na wprowadzenie kolei do miasta, odcięcie od najlepszych źródeł wody, jednym słowem: fatalne warunki sanitarne i mieszkaniowe.

– Na siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców – włączył się inny uczestnik – siedem tysięcy gnieździ się na strychach i w piwnicach. I są to w większości Polacy.

Dopiero ta straszna powódź zwróciła uwagę na miasto.

– Jaka tam powódź – prychnął pan Ludwik. – Warunki w mieście są fatalne nie tylko dla Polaków. Brakuje terenów zielonych, brakuje powietrza, mieszkań o wysokim standardzie, więc Niemcy zaczęli uciekać. To zwróciło uwagę rządu na Poznań, a nie powódź. Stąd program *Kulturhebung der Ostprovinzen*. Dla podniesienia poziomu kulturalnego wschodu. Podniesienia, czyli zniemczenia. – Naraz się rozpromienił i zatarł ręce. – Ale to wszystko się zmieni. Likwidacja fortyfikacji radykalnie poprawi sytuację w mieście, popchnie nas w dwudziesty wiek.

– A ja jestem pewien, że fortyfikacje zostaną – burknął jakiś starzec, zapewne równolatek samej twierdzy, i stuknął laską dla poparcia swej niewiary.

– Wykluczone – zgasił go pan Ludwik. – Niemcy muszą przyciągnąć tu Niemców i Witting⁵² doskonale to rozumie. Tak bardzo to rozumie, że nie zawahał się w raporcie do władz zafałszować statystyk i dowieść, że Jeżyce trzeba przyłączyć do Poznania, bo większość mieszkańców to Niemcy. Czysta bzdura. Ale Berlin uwierzył, bo tak mu pasowało, i Jeżyce już od roku leżą w granicach Poznania.

– Powinniśmy z zasady sprzeciwiać się każdemu pomysłowi Wittinga – włączył się sąsiad malkontenta – bo zależy mu tylko na ściągnięciu tu Niemców. Na każdym kroku straszy władze cofaniem się niemczyzny.

– Zgadza się – odparł młody człowiek siedzący koło pana Ludwika – ale przy okazji zapobiegania temu cofaniu chce zrobić dla miasta wiele dobrego. Już zrobił. Odkąd został nadburmistrzem, walczy o zniesienie twierdzy. Za jego rządów wymieniono kocie łby na kostkę granitową, zainstalowano oświetlenie prawie wszystkich ulic, uruchomiono elektrownię, tramwaj elektryczny, skanalizowano miasto.

– Wystaw mu pan pomnik!

– Cieszymy się, że trafił nam się ktoś tak energiczny – podniósł się pan Ludwik – bo mogli nam tu przysłać bezmyślnego urzędasza, który zajmowałby się nadzorowaniem zebrań i niczym więcej.

– Mógłbyś pan takiego urzędasza skaptować do tej swojej krucjaty przeciw grze

w karty i wpisalibyście hazard do kodeksu karnego – zaperzył się starzec z laską. – Całe życie grałem i nikomu nic do tego, a teraz...

– Hazard to marnowanie pieniędzy, które można wykorzystać... – Pan Jankowski aż machał rękoma.

Prowadzący trzykrotnie uderzył dłonią w stół.

– Wróćmy do pytania zasadniczego: czy likwidacja twierdzy i związana z tym rozbudowa wyjdą nam na dobre.

Pan Ludwik opadł na krzesło i głośno prychnął z irytacji, a do dyskusji włączył się jego poplecznik, w którym Jan domyślił się architekta.

– Oczywiście, że tak. Wewnątrz murów stłoczone są wielopiętrowe kamienice, na zewnątrz panuje zabudowa małomiasteczkowa, bez pomysłu i nadzoru. Trzeba zlikwidować wały, scalić te dwie części, rozluźnić centrum, zaprowadzić ład na przedmieściach.

– Zaprowadzić ład, ale niemiecki – odezwał się nobliwie wyglądający dzentelmen. – Już teraz na każdym kroku widać dążenie władz do zmazania polskich cech Poznania. Wszystkie budynki użyteczności publicznej: szkoły, szpitale, poczty, dworce, powstają według ujednoczonych projektów prosto z berlińskich pracowni. Czasami gdy idę ulicą w centrum Poznania, wydaje mi się, że jestem w którejś z zachodnich prowincji.

– A jeśli faktycznie nastąpi ta wielka przebudowa – dodał kolejny uczestnik – to będzie nie tylko próbą skłonienia Niemców do osiedlania się na wschodzie, ale także pokazaniem Polakom niemieckiej dominacji.

– To jest dorabianie teorii – zniecierpliwił się pan Jankowski. – Nie dopatrujemy się we wszystkim germanizacji.

Podniósł się gwar, który jednak natychmiast ucichł, gdy odezwał się pan Stefan Cegielski, syn słynnego Hipolita, poseł⁵³.

– To jest germanizacja, oczywiście. *Ostflucht*⁵⁴ narasta, więc władze starają się z tym walczyć, przede wszystkim z inicjatywy i przy udziale Hakaty. Nie pomagają osadnictwo i pomoc materialna dla Niemców w Poznańskim, postanowili więc przystąpić do zmiany oblicza miasta. Zaczęli od budowy biblioteki i muzeum, ale

pójdą dalej. – Wstał i powiódł spojrzeniem dookoła. – To jest działanie germanizacyjne i nie mamy co do tego złudzeń. I rozbudowa nastąpi, sprawa jest pewna. Przecież już trzy lata temu ministrowie zdecydowali, że wały trzeba zlikwidować. Pozostała kwestia zapłaty władzom wojskowym za odstąpione tereny przyforteczne. Wojsko żąda osiemnastu milionów marek, miasto skłonne jest zapłacić sześć. Gdy się porozumieją, zburzą fortyfikacje i przebudują Poznań. Nie mamy na to wpływu, więc przestańmy się zastanawiać, czy jesteśmy za, czy przeciw. Musimy natomiast rozważyć, jak tę przebudowę wykorzystać dla naszych interesów.

– Gdy tu będzie lepiej, wrócą – mruknął starzec z łaską.

Czerwony na twarzy pan Ludwik przewrócił oczami.

Naraz ktoś załomotał do drzwi. Nikt nie wchodził, więc jeden z członków Izby Panów podniósł się i otworzył. W wejściu stała wiejska dziewczyna z krwistymi rumieńcami od mrozu i zakłopotania. Głowę i ramiona miała zawinięte w grubą pstrokatą chustkę.

– Moja pani powiedziała, coby pan zara przyszedł.

– A do którego z panów skierowane jest to wezwanie?

Cegielski sięgnął po kapelusz.

– Zapewne do większości z nas.

Odpowiedział mu śmiech. W ciągu dwóch minut sala opustoszała, a Jan został w holu razem z panem Ludwikiem i dwoma innymi nieżonatymi mężczyznami. Ktoś zasugerował, by zjeść obiad w hotelu, bo minęła druga. Propozycję przyjęto. Panowie przeszli do restauracji, złożyli zamówienie i przez kolejną godzinę trójka poznaniaków omawiała różne koncepcje rozbudowy miasta.

Jan słuchał nieuważnie i wyczekiwał okazji do rozmowy z jednym z nich, niejakim panem Dembińskim, który – jak wspomniał pan Jankowski – był właścicielem kamienicy przy Świętym Marcinie w interesującym Morawskiego kwartale.

[50](#) Być na fleku (gw. pozn.) – być jeszcze w pełni sił.

[51](#) Freblówka – przedszkole.

[52](#) Richard Witting (1856–1923) – prawnik, nadburmistrz Poznania w latach 1891–1902.

[53](#) Stefan Cegielski (1852–1921) – przemysłowiec, polityk i społecznik, poseł do parlamentu Rzeszy (1884–1903) i sejmu pruskiego (1888–1903), wieloletni działacz Związku Spółek Zarobkowych i Towarzystwa Naukowej Pomocy.

[54](#) *Ostflucht* (niem.) – dosł. ucieczka ze wschodu. Zjawisko migracji ze wschodnich rejonów Rzeszy na zachód, gdzie istniały lepsze możliwości zarobkowania. Przybrało na sile na przełomie XIX i XX wieku.

ROZDZIAŁ 22

Po obiedzie wyszli razem z restauracji, a jako że pan Dembiński zmierzał w kierunku domu, Morawski postanowił mu towarzyszyć. Najpierw wyraził poparcie dla rozbudowy miasta, a potem zainteresował się ulicą Święty Marcin.

– Zaproponowano mi udział w pewnym przedsięwzięciu – wyznał. – Chodzi o współfinansowanie budowy pasażu łączącego plac Wilhelmowski ze Świętym Marcinem. Wzdłuż wijącego się przejścia mieściłyby się sklepy, a za nimi lokale rozrywkowe. Piwiarnia, kawiarnia, ogród zimowy.

– Nie słyszałem o tym pomysłe.

– Pod uwagę brane są dwie lokalizacje. Według pierwszej wersji pasaż zaczynałby się na placu przy kamienicy numer osiem, według drugiej byłby przedłużeniem domu handlowego „Michaelis i Kantorowicz”.

– Moja kamienica znajduje się pomiędzy nimi, przylega do działki numer siedem, należącej do Kronthala.

– Doprawdy?

Pan Dembiński był niezmiernie poruszony, choć Jan nie wiedział, czy zachwyciła go wizja wzrostu wartości jego posesji, czy też przeraziła perspektywa takiego sąsiedztwa.

– Myśli pan, że mógłbym obejrzeć te podwórza? – rzucił obojętnym tonem Morawski. – Chciałbym się przekonać, czy to dobry pomysł, a inwestor, z którym wybieram się na oględziny, pokaże mi tylko to, co uzna za korzystne dla siebie.

– Oczywiście, przyjacielu, oczywiście. Sam bym panu wszystko pokazał, ale jestem umówiony u siostry. Polecę synowi stróża, by pana pooprowadzał. Zna ten teren jak własną kieszeń.

Jan podziękował serdecznie i po pięciu minutach znalazł się pod opieką piegowatego łobuza o niezwykle wąskiej, lisiej twarzy. Pan Dembiński za tę

przysługę zażądał rewanżu, a mianowicie informowania go o postępach w sprawie budowy pasażu, co też Jan solennie obiecał.

Przez ponad godzinę przedzierał się za swym przewodnikiem między latrynami, budkami, warsztatami i fabryczkami. Chłopiec pokazał Morawskiemu tyły kamienic mieszczących Atelier Rubens i sklep Żychlińskiego, a także zabezpieczony przez policję fragment podwórka, gdzie znaleziono ciało posłańca.

Konkluzja była następująca: działki w tym kwartale miały różne kształty, różną długość, stykały się pod rozmaitymi kątami. Podwórka kamienic położonych przy placu Wilhelmowskim łączyły się ze sobą od numeru 2 do 9, czyli na długości prawie całej pierzei. Oczywiście przejścia między nimi nie znajdowały się w prostej linii, nie były też otwarte. Zwykle gdzieś w jakimś załomie tkwiła furteczka, metalowe drzwi lub wystarczyło po prostu przestawić kubeł. Ponadto każda działka położona przy placu łączyła się z odpowiadającą jej działką przy Świętym Marcinie, a czasami nawet z dwiema. Osoba wtajemniczona mogłaby zatem wejść przez bramę na początku placu Wilhelmowskiego i wyjść na Święty Marcin na przeciwległym skraju kwartału.

Dla Jana nie była to dobra wiadomość. Zasięg poszukiwań rozrósł się do niebotycznych rozmiarów, a fakt, że ktoś zniknął w bramie numer 8, nie znaczył absolutnie nic.

Zniechęcony, wrócił do hotelu i skierował się do starej bramy. Ponieważ ulica Nowa opadała na całej długości, nad częścią parteru starego gmachu Bazaru, mieszczącego dostępne z zewnątrz sklepy, zbudowano międzypiętro. W kilku ulokowanych tam pomieszczeniach działało Bazarowe Koło Towarzyskie. Morawski dotarł na ten poziom w drodze na drugie piętro, którym zamierzał przejść do nowego gmachu. Już idąc po schodach z parteru, usłyszał męski głos. Przystanął.

– Bardzo się cieszę, że jest pani zainteresowana naszym kołem, ale minęła siedemnasta i zaczynamy doroczne walne zgromadzenie. Pewnie czytała pani ogłoszenie w prasie. Jeśli chce pani do nas przystąpić, proszę przyjść jutro.

– Ale ja chciałam się tylko rozejrzeć – przekonywała kobieta, której głosu Jan nie rozpoznał. Mówiła, jakby plątał jej się język. – Nie mogliby państwo zacząć zebrania później?

– Wszyscy już dotarli i zaczynamy.

– A nie mogliby państwo wyjść? Tylko na kilka minut. Tak pana proszę.

Odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami. Jan pobiegł na kolejny podest i odrobinę wychylił się zza balustrady.

Na klatkę schodową wyszła pani Leśniewicz, w płaszczu, kapeluszu i z wielką torbą w dłoni. Zatrzymała się na górnym stopniu i stała w bezruchu z opuszczonymi ramionami. Morawski odniósł wrażenie, że kilka razy żałośnie zakwiliła. Po chwili wolnym krokiem zaczęła schodzić.

On też poszedł w swoją stronę. Pokonał korytarz drugiego piętra i skręcił do nowego gmachu. Wyłonił się zza zakrętu i natychmiast cofnął. Kilka metrów od niego z pokoju numer 21, zajmowanego przez pana Bernarda Orzelskiego, wychodziła panna Cecylia Walewska. W ramionach tuliła szmaciane zawiniątko. Ostrożnie przytknęła drzwi i skierowała się do starego budynku. Jan ledwie zdążył ukryć się w łazience.

Usłyszał jej lekkie kroki tuż obok i po chwili wyjrzał. Znikała w końcu korytarza. Pobiegł za nią. Weszła na poddasze, a gdy on tam dotarł, zobaczył w oddali zamykające się drzwi. Ruszył w tę stronę, a idąc ciągnącym się w nieskończoność korytarzem, zastanawiał się, czego szukała tam tego ranka Terlecka.

Wszystkie drzwi wyglądały tak samo, najpierw więc trafił do prasowni. Nacisnął następną klamkę i uchylił drzwi.

W mizernej izdebce, pozbawionej jakichkolwiek wygód, na drewnianym łóżku i cienkim jak naleśnik materacu siedziała hrabianka Walewska i liczyła banknoty. Obok niej leżała poszewka, z której wypadały niebieskie i zielone papierki.

– Zadowolona?

Poderwała się i odskoczyła wstecz tak gwałtownie, że gdyby za nią znajdowało się otwarte okno, wypadłaby na ulicę. Stała z wytrzeszczonymi oczyma, dłonią zakrywając gardło, w odwiecznej pozie przerażonych kobiet. Morawski zamknął drzwi.

– Czekam na wyjaśnienia.

– To nie jest tak, jak pan myśli – wyszeptała.

– Ukradła pani pieniądze pana Orzelskiego.

– To nie są jego pieniądze. Pochodzą z napadu na bank. On je ukradł, więc nie są jego.

– Skąd pani wie, że pochodzą z napadu na bank? – Wpatrywał się w nią zdumiony.

– Wszyscy o tym wiedzą. Cały hotel mówi o stu tysiącach marek ukrytych w Bazarze. A skoro to są ukradzione pieniądze, to zabranie ich nie jest przecież przestępstwem.

– A to kto pani powiedział? Też hotel?

– Ja sama to zrozumiałam. Kradzież to zabranie czyjejś własności. A te pieniądze nie były własnością pana Bernarda, więc ja nie popełniłam kradzieży.

– Te pieniądze nie były własnością pana Bernarda, były własnością banku. Ukradła pani pieniądze banku – powiedział dobitnie, po czym mruknął: – Jeśli rzeczywiście pochodzą z banku.

– To tym lepiej. Bo wzięłam naszą własność. – Usiadła i spokojnie układała dalej banknoty. – Papa mówi, że banki go oszukały, więc banki muszą mu zapłacić.

Morawski zmarszczył czoło. Ścieżki, po których biegły jej myśli, były mu niedostępne.

– Zostawmy na chwilę kwestię, czy miała pani prawo, czy nie. Jeśli te pieniądze zostały ukradzione z banku, wszyscy znają numery tych banknotów i są one poszukiwane. Gdyby spróbowała pani wydać choćby jeden z nich, zaarrestowano by panią.

– Te numery są notowane? Ale dlaczego?

– Właśnie na wypadek kradzieży. A myślała pani, że czemu służą?

Tylko wzruszyła ramionami.

– Poskładamy te banknoty i spróbuję je odnieść – oznajmił Jan.

W jej oczach ukazały się łzy.

– To znaczy, że nie mogę ich zatrzymać? Ale tłumaczyłam panu, że nam się należą. I ja tak ich potrzebuję. Bez pieniędzy nie wyjdę za Maksa. – Złożyła dłonie

modlitewnie. – Tak pana proszę. Tylko ten jeden raz.

Była jak dziecko zakochane w bajkach, ale Morawski z trudnością panował nad irytacją.

– Proszę mnie posłuchać. Złamała pani jedno z przykazań – oświadczył surowo, choć nie pamiętał, które to było przykazanie. – Ukradła pani. Zabrała coś, co nie należało do pani. Jak pani to wyjaśni swemu spowiednikowi, to pani problem. Ja zamierzam odnieść te pieniądze, o ile jeszcze właściciel nie zauważył kradzieży.

– Cały dzień czatowałam na pana Bernarda, aż wreszcie wyszedł – chlipała, gdy Jan składał banknoty. – Nigdy nie zdołam wyznać tego spowiednikowi. To naprawdę grzech? Mimo że były ukradzione?

– W czym przechowywał te pieniądze?

– W metalowej kasetce, na biurku.

Wyjął jej z rąk banknoty i wyrównał. Zwinęła całkiem sporo, kilkaset not o nominałach pięćdziesięciu i stu marek. Sięgnął po poszewkę, ale się skrzywił. Jeśli uda mu się wejść do pokoju Orzelskiego, będzie miał czas tylko na odłożenie łupu, lepiej więc, żeby pieniądze były w stosach. Wyciągnął dłoń w stronę koszyka z robótkami stojącego na krześle i wydobył wąską liliową wstążkę.

– Nie, proszę, to jedyna wstążka, jaką mam. Reszta jest pożyczona.

Rozejrzał się. Na komodzie stała piękna drewniana szkatułka, której wieko zdobiła intarsja przedstawiająca pałac. Obok, na kawałku papieru pakowego, leżały noże o cienkich ostrzach, dłuta, różnokolorowe kawałki drewna, z których coś powycinano, stały też dwie buteleczki.

– Pani ozdobiła tę szkatułkę?

– Właśnie dzisiaj skończyłam.

Wyglądało na to, że panna Walewska była obdarzona prawdziwym talentem, ale Jan nie miał czasu o tym dyskutować. Zapakował banknoty do szkatułki.

– Jak w ogóle zdołała pani wejść do jego pokoju?

– Był otwarty. Uznałam to za znak, że los mi sprzyja.

– Chodźmy, zejdzie pani ze mną i poczeka przed drzwiami. Oby nadal były otwarte.

Bez komplikacji zeszli piętro niżej. Poczekali chwilę na korytarzu, bo Jan słyszał na schodach kobiecy śmiech. Gdy wszystko ucichło, polecił Cecylii, żeby usiadła na krześle i ostrzegła go nuceniem, jeśli ktoś się pojawi w korytarzu.

Wszedł do pokoju pana Bernarda i przymknął drzwi. Kasetkę, która miała być na biurku, znalazł na stole pod oknem. Wewnątrz leżały tylko jakieś papiery. Przełożył banknoty ze szkatułki Cecylii do kasetki. Gdy chował ostatnią partię, usłyszał skrzypnięcie drzwi. Jego serce wykonało salto, błyskawicznie się odwrócił i zobaczył głowę Cecylii.

– Ale co mam nucić?

– Co za... – zaczął, ale się pohamował. – *Nad pięknym modrym Dunajem.*

Skinęła głową i zniknęła. Jan głęboko odetchnął. Z kieszeni wyciągnął rewolwer Orzelskiego i wsunął go pod gazetę leżącą na stole. Uchylił drzwi i nasłuchiwał. Na korytarzu panowała cisza. Wszedł na zewnątrz. Gdy zamykał drzwi, zobaczył, że w półmroku zakrętu, na styku korytarzy starego i nowego gmachu, stoi jakaś starsza dama. Morawski, przeklinając w duchu nieuważną Cecylię, uprzejmie się uklonił, a kobieta szybko odeszła.

Panna Walewska zerwała się z krzesła i podeszła do Jana, a wtedy od strony klatki schodowej ukazała się kolejna dama, która wyglądała na siostrę tamtej. Morawski uniósł szkatułkę i zaczął ją oglądać.

– Jest przepiękna – zachwycił się głośno. – Byłbym zainteresowany jej zakupem, gdyby chciała ją pani sprzedać.

Kobieta wyminęła ich i zniknęła za zakrętem. Jan oddał szkatułkę Cecylii, a ona stwierdziła:

– Naprawdę nie wiem, ile mogłabym za nią od pana zażądać.

Morawski ciężko westchnął. Kazał dziewczynie iść do siebie. Zbiegł na pierwsze piętro, ale wtedy ponownie usłyszał kobiecy śmiech, ten sam, co kilka minut wcześniej. Zszedł niżej i u stóp schodów zobaczył swoją ulubioną marynarkę, a w niej Marka. Młodszy Małecki uklonił się beczelnie, a potem wrócił do miłej pogawędki z panną Anastazją Nowacką, która – w płaszczyku, kapeluszu, loczkach i rumieńcach – zaśmiewała się z czegoś, co mówił jej towarzysz.

Morawski sprawdził w recepcji, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości, i wrócił na piętro.

– Wiesz, dokąd wyjechał Bernard Orzelski? – spytał Mateusza, wchodząc do swego pokoju.

– Poza miasto. Gdzieś tu w okolicy przebywa z wizytą siostra jego żony, ciotka panny Anastazji. To podobno królowa megier.

Jan przypomniał sobie, że coś podobnego o matce panny Nowackiej mówił doktor Chłapowski. Zdjął kapelusz i płaszcz.

– Kazałeś Markowi to ustalić? – spytał, siadając na fotelu.

– Nigdy nie powierzyłbym Markowi żadnej z pana spraw. A miejsce pobytu pana Bernarda ma kluczowe znaczenie dla pana bezpieczeństwa. Gdy tylko pojawi się w hotelu, od razu będę o tym wiedział. Teraz coś panu przeczytam.

Mateusz usiadł przy stole, założył okulary i otworzył zaczytany tom Wachholza:

– Proszę słuchać. To powinno kogoś panu przypomnieć. *Podręcznik medycyny sądowej*, strona pięćset dziewięćdziesiąta trzecia, czytamy: „Przewłoczne pomieszenie umysłu *paranoia chronica*”... to nas nie dotyczy... „chory uważa, że osoby z jego otoczenia objawiają mu niechęć, unikają go, podburzają przeciw niemu osoby z dalszego otoczenia, rozgłaszają o nim niekorzystne wiadomości”... dalej, dalej... „wreszcie chory, mający pod dostatkiem dowodów z obserwacji swego otoczenia, dochodzi do urojonego przekonania, że jest prześladowany. Odtąd wyjawia swe urojenie prześladowcze i żali się, że go prześladowają osoby z najbliższego otoczenia, później z dalszego”... i tak dalej. A to też Wachholz: „Paranoja – powolne wytworzenie się z przyczyn wewnętrznych niewzruszonego systemu urojeń przy zupełnie zachowanej jasności i porządku myśli, zamierzeń i działania. Urojenia ustalają się w świadomości chorego...”.

Jan ziewnął.

– „... i z biegiem czasu łączą się z sobą w coraz obszerniejszy, silnie ze sobą powiązany gmach urojeń. Początek powolny, stopniowy”.

Jan powoli, stopniowo przymykał oczy.

– „Zaczyna się od przypisywania doniosłego znaczenia drobiazgom. Podśłuchane

rozmowy ludzi obcych, ich miny, mowy publiczne, wszystko odnoszą do siebie. Potem chorzy przystępują do interpretowania zdarzeń z przeszłości. Ponieważ doznają złudzeń pamięci, oceniają przeszłość w sposób opaczny i urojony”.

Tego Jan już nie słyszał.

– Proszę się obudzić!

Morawski z trudem wydobywał się z czeluści snu. Chętnie zapadłby się z powrotem w tę studnię, ale coś go ciągnęło za ramię, a jakiś głos powtarzał:

– Proszę się obudzić. W hotelu jest policja.

To ostatnie słowo pomogło. Jan otworzył oczy.

– Po mnie?

– Nie, chcą aresztować tę małą pannę Cecylię. Jest oskarżona o kradzież pieniędzy panny Anastazji.

– Gdzie są?

– Piętro wyżej, przed pokojem panny Anastazji.

Jan wyszedł na korytarz, a Mateusz podążał za nim i powtarzał, czego się dowiedział. Około wpół do szóstej na posterunek policji zgłosiła się zapłakana panna Anastazja Nowacka, twierdząc, że z jej apartamentu zginęły należące do niej pieniądze, dwadzieścia tysięcy marek. Jej pokojówka widziała, jak z pokoju ojczyrna panny Anastazji, łączącego się z pokojem poszkodowanej, wychodziła panna Cecylia Walewska, niosąc w ramionach wypchany worek. Dotychczas cała ta gotówka była przechowywana w pokoju panny Anastazji, ale akurat tego dnia trwożliwa panienska w obawie przed kradzieżą postanowiła powierzyć pieniądze męskiej pieczy i zaniosta je do pokoju swego opiekuna. Panna Anastazja zadziwiła policjantów przezornością, bo posiadała numery niektórych banknotów stumarkowych, które razem z pięćdziesiątkami stanowiły łup.

Na korytarzu stała grupka złożona z dwóch detektywów, śmiertelnie bladej Cecylii, zapłakanej Anastazji, Maksa Krajewskiego, recepcjonisty, dyrektora Kollata i kilkorga gości. Jan nie dziwił się, że policjanci, mimo niedzieli i karnawału, pojawili się tak szybko. Kradzież w Bazarze to dla niemieckich funkcjonariuszy rarytas.

- Idziemy przeszukać pani pokój – oznajmił policjant łamaną polszczyzną.
- Chwileczkę, to musi być nieporozumienie – włączył się Morawski.
- Kim pan jest?

Jan się przedstawił, a Niemiec burknął swe nazwisko – Kunick – i stwierdził:

- Skoro pan nie jest z rodziny, proszę się nie mieszać. Idziemy.

Na twarz Anastazji wypłynął uśmiech zaspokojonej złośliwości i Morawski postanowił nie ustępować. Czuł w tym metternichowskim planie jej rękę. Pamiętał jej wściekłość, gdy Maks tańczył z Cecylią, pamiętał, jak coś mówiła młodej Terleckiej, a na bezmyślnej twarzy tamtej, niczym w lustrze, odbiła się złośliwa mina panny Nowackiej.

- Nie można tak po prostu przeszukać pokoju panny Walewskiej – oświadczył.
- Nie mam nic do ukrycia – szepnęła Cecylia.
- Nie rozmawiamy o tym, czy ma pani coś do ukrycia, czy nie, ale o tym, czy ci panowie mają prawo wejść do pani pokoju.
- Skoro panienka się nie sprzeciwia...
- Bo nie wie, że ma prawo się sprzeciwić. – Jan zwrócił się do dyrektora Kollata:
- Proszę pomyśleć, dyrektorze, jak zareaguje zarząd Bazaru, gdy się dowie o takim upokorzeniu hrabianki Walewskiej. Może powinien pan najpierw skonsultować się z dyrektorem Kwileckim⁵⁵?
- Sam nie wiem... – Pan Kollat przestąpił z nogi na nogę.

Morawski tymczasem ruszył na policjantów:

- Panna Walewska pochodzi z rodziny spokrewnionej z rodami w całej Europie, także w Niemczech. Proszę sobie wyobrazić skandal, jaki wybuchnie, gdy rozniesie się wieść, że niemiecka policja, nie mając żadnych dowodów, potraktowała hrabiankę niczym pospolitego złodziejaszka.
- Mam dowody – oburzyła się panna Anastazja. – Mam zapisane numery.
- Więc ma pani dowód, że posiadała pani te pieniądze, ale żadnych, że zabrała je panna Cecylia.
- Moja pokojówka zeznała...
- A gdzie jest ta pokojówka?

– Boi się policji i za nic...

– Gdzie jest pani ojciec, panno Cecylia? Gdzie jest hrabia Walewski?

– Na podwieczorku u pani Kościelskiej.

Nawet Niemcy znali to nazwisko. Polskojęzyczny policjant tłumaczył wszystko temu drugiemu, chyba wyższemu rangą.

– Faktycznie nie mogę pozwolić... – zaczął dyrektor.

– Czy panienka jest pewna, że te pieniądze zniknęły? – Kunick zwrócił się do panny Anastazji. – A może mimo wszystko zostały w pani pokoju? I musimy porozmawiać z tą pokojówką, bo rzeczywiście...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, włączył się ponownie Jan:

– O! Idzie ojczym panny Anastazji, może wejdźmy tu, bo wywołujemy sensację.

Otworzył drzwi do pokoju Bernarda i zainteresowani weszli. Sam pan Orzelski, ogarnięty paniką i roztrzęsiony, na wszystko się zgadzał, chował w cień, starając się zniknąć, i pozwolił, by Jan przejął inicjatywę. Morawski ze zmarszczonym czołem zapatrzył się na stojącą na stole kasetkę, tak że policjant musiałby być ślepy, by nie zwrócić na nią uwagi. Kasetkę otwarto, po czym przeliczono zawartość i porównano numery dwudziestu ośmiu setek ze spisem dostarczonym przez pannę Anastazję. Znaleziono dwadzieścia tysięcy marek, a numery zgadzały się z wykazem.

Panna Nowacka spokojnie przyjmowała wytyk z ust policjanta, któremu brakowało odpowiednich polskich słów, wobec czego reprimenda miała zerową siłę rażenia, natomiast wzrokiem sztyletowała Jana, który okazywał zdumienie. Wobec tego przeniosła spojrzenie na inne osoby. Dostrzegła triumfalną minę Maksa, zauważyła, że Cecylia wpatruje się w ukochanego i coś mu szepcze. Przez miłą buzię panny Anastazji przebiegł wyraz zrozumienia.

Jeśli więc było tak, jak przypuszczał Jan, że to Anastazja zastawiła pułapkę na swą rywalkę, a upewniwszy się, że przynęta chwyciła, zawiadomiła policję, to teraz zachowanie Cecylii świadczyło o tym, iż to Maks był jej zbawcą. Morawski nie chciałby być w jego skórze i mieć przeciw sobie niepohamowanej Anastazji.

55 Mieczysław Kwilecki (1833–1918) – ziemianin, oddany gospodarstwu i służbie publicznej. Prezes Towarzystwa Naukowej Pomocy, wieloletni dyrektor Bazaru, działacz towarzystw gospodarczych i kulturalnych.

ROZDZIAŁ 23

Gdy policjanci opuścili hotel, a korytarz opustoszał, Morawski wrócił do siebie. Ze skrytki pod komodą wyjął metalową kasetkę, a z niej kopertę Lloydsa, którą ukrył w podwójnym dnie walizki. Potem zabrał też z kasetki swoje pieniądze, zostawiając tam tylko kilkadziesiąt wzorów fałszywek z poprzednich akcji. Pieniądze zaniósł do gabinetu dyrektora Kollata i poprosił o zdeponowanie ich w hotelowym sejfie. Przy okazji dyrektor podziękował mu za niedopuszczenie do rewizji w pokoju hrabianki Walewskiej. Widział teraz jasno, że gdyby pozwolił na to przeszukanie, prawdopodobnie straciłby posadę. Przez lata Bazarem zarządzała obieralna grupa kilku ziemian, ostatnio jednak uznano, że potrzebny jest dyrektor „techniczny” – płatny i odpowiedzialny za codzienne funkcjonowanie hotelu. Nadawaniem ogólnego kierunku działalności zajmował się główny dyrektor, pochodzący z ziemiaństwa i wykonujący swą pracę społecznie. Był nim Mieczysław Kwilecki z Oporowa, pełniący tę funkcję od 1870 roku, roku urodzenia Jana.

Pan Kollat dziękował więc wylewnie, a po chłodzie i nieufności, jakie okazywał Morawskiemu po jego rzekomej napaści na Orzelskiego, nie został nawet ślad.

Jan wrócił do pokoju i zastał tam już Mateusza, który przyniósł z czytelnicy i z hotelowego archiwum niemieckie i polskie gazety z ostatnich tygodni. Rozkładał je na stole i jednocześnie relacjonował swój popołudniowy wypad na ulicę Wrocławską.

– Wypiłem piwo w szynku przy Koziej, to kilkanaście metrów od tej sutereny. Akurat trafiłem na stolarza, który ma warsztat w tym samym podwórzu. Podobno co dzień pojawia się tam pewien Żyd, faktor⁵⁶, drobny handlarz. *Lumpensammler*.

– *Lumpensammler* ? Tego samego słowa użyła matka Ignasia.

– Nazywa się Aaron.

– Nasz „A” podpisany pod liścikiem. Wiemy, że to tylko pośrednik. Działa na

czyjeś zlecenie i pobiera prowizję. Prawdziwym zdziercą jest ktoś inny, zapewne jakaś bardzo szanowana osobistość. Kto jest najemcą?

– Tego właśnie nie zdołałem ustalić, bo nie dotarłem do stróża. Spróbuję jutro.

Przez kolejną godzinę przeglądali gazety – Jan niemieckie, Mateusz polskie – analizując, która z wielkopolskich instytucji mogłaby stanowić następny cel Schliemanna: pierwszym były Kościół katolicki i Drukarnia Świętego Wojciecha, drugim przypuszczalnie jeden z banków, ale która organizacja miała być tym trzecim ptakiem utłuczonym przez radcę? Mateusz twierdził, że chodzi o Towarzystwo Naukowej Pomocy, fundujące stypendia dla ubogiej młodzieży, Morawski wahał się między PTPN i Biblioteką Raczyńskich.

– Sprawę banku omówię dzisiaj w czasie balu z doktorem Chłapowskim i jutro rano z patronem Wawrzyniakiem.

Pomiędzy gazetami zaplątał się jeden ze styczniowych numerów „Tygodnika Mód i Powieści” i Morawski rzucił się na artykuł podpisany inicjałami „IB”:

W kroju sukien od lat paru mała zachodzi zmiana, zawsze są one gładko leżące w górze, a bardzo szerokie u dołu, moda każe je nosić bardzo długie, tak aby z przodu i z boków opierały się o posadzkę – tylne bryty strojnej sukni muszą spływać w długi tren, zaokrąglony lub prosty, złożony z trzech brytów (nie więcej), u góry zebranych w cztery fałdy schodzące się do środka, albo w fałdę Watteau.

Modne są bardzo bryty gazy lub tiulu spadające na tren w rodzaju manteau de cour od wykroju stanika albo upięte na kształt szarfy na wcięciu stanu. Figura musi również stosować się do mody i tworzyć z przodu linię prostą, ku czemu służy modny gorset zachodzący na żołądek, a przody stanika powinny o ile możliwości przechodzić poza wcięcie stanu.

Tego typu wytyczne ciągnęły się przez całą stronę, a Jan, który dotąd omijał podobne teksty, tym razem przeczytał całość.

Bal miał się rozpocząć o dziewiątej, toteż piętnaście minut przed tą godziną Morawski porzucił lekturę i poszedł do sypialni.

– Możecie z Markiem gdzieś wyjść – powiedział, goląc się. – Będę miał gościa, więc chciałbym, byś tu dzisiaj nie wracał.

– Rozumiem.

– Weź klucz od drzwi prowadzących z sypialni na korytarz i połóżysz się u mnie.

– Nie rozumiem. Myślałem, że będzie pan potrzebował właśnie sypialni.

Jan wyjrzał zza futryny.

– Spotykam się z panną Izabelą.

– No to już rozumiem.

– Potem rozłożę sobie twoje łóżko i spokojnie się prześpię.

Bal odbywał się w pobliskim Hotelu Francuskim, Morawski musiał więc na frak włożyć płaszcz, zabrać cylinder i ślizgając się w lakierkach po zaśniewanym chodniku, dotrzeć na miejsce. W normalnych okolicznościach te drobiazgi nie zepsułyby mu humoru, ale tego wieczoru mu przeszkadzały, podobnie jak cały balowy blichtr: zbyt strojne suknie, wymyślne dania, odgrzewane anegdoty i sztuczne uśmiechy.

Sala balowa we Francuskim była mniejsza niż w Bazarze, ale miała dwa wejścia, dzięki czemu Jan zdołał uniknąć przywitania z mameczką, która należała do komitetu organizacyjnego. Ledwie przekroczył próg – z półgodzinnym opóźnieniem – gdy dopadł go pan Ludwik.

– Gdzie jest panna Cecylia?

– Nie wiem, nie jestem jej narzeczonym.

Tamten pokraśniał. Przeniósł spojrzenie na przechodzącego mężczyznę.

– Ach, jest pan Roger, mój ulubiony architekt. Dobry wieczór!

Podszedł do nich szczupły mężczyzna o inteligentnej twarzy i poważnej minie. Miał ciemne włosy, zaczesane na bok z lekką falą, cienkie wąsy i jasne oczy. Pan Jankowski dokonał prezentacji: Jan Morawski, Roger Sławski⁵⁷, po czym odbiegł, bo zobaczył swego wspólnika w jednym z niezliczonych interesów.

Jan wiedział, że gdy panu Sławskiemu zlecono zaprojektowanie nowego gmachu Bazaru, terminował jeszcze w Niemczech. Miał już jednak za sobą kilka wygranych konkursów i pracował w Ministerstwie Robót Publicznych, a ponadto jego rodzina

była mocno związana z Poznaniem. Morawski skomplementował nowe skrzydło Bazaru i dość naturalnie rozmowa potoczyła się w kierunku tej przebudowy.

– To było wielkie wyzwanie – przyznał architekt – już na etapie projektowania. Prawo nakłada mnóstwo ograniczeń, drugie tyle dołożył inwestor. Ulokowanie tak wielu pomieszczeń na tak skromnej przestrzeni oznaczało konieczność wielu kompromisów, nie jestem więc do końca zadowolony z efektu.

– Fasada jest przepiękna.

Pan Roger się uklonił.

– W kwestii fasady mogłem pójść na całość. Mam nadzieję, że ten lekki styl uda się zaszcześcić na tutejszym gruncie.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o opóźnieniu robót i wzroście kosztów spowodowanym natrafieniem pod Bazarem na resztki starej fosy i stale napływającą wodą, a potem zgodzili się, że część Bazarowego podwórza powinna zostać przeszklona i przeznaczona na hol. Na to jednak niestety nie pozwalało niemieckie prawo budowlane.

Następnie pan Sławski został uprowadzony przez swą siostrę i dla Jana skończył się jedyny interesujący kwadrans tego balu.

Przez chwilę obserwował tańczących: panna Anastazja jak zwykle szalała na parkiecie, ale po tańcu partner odprowadził ją do jakiejś nie znanej Janowi matrony. Morawski rozejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł pani Teresy, najwyraźniej więc przez solidarność z bratanicą została w domu. Był za to Artur: z kieliszkiem w dłoni, wzburzoną fryzurą, krwistymi rumieńcami, zagadywał Maksa, który co rusz spoglądał w stronę drzwi.

– Proszę tylko na niego spojrzeć – u boku Jana rozległ się szemrzący głos, a pani Terlecka poufale wsunęła mu dłoń pod ramię. – Na jeden wieczór wyrwał się spod opieki siostry i od razu do butelki. – Zacmokała i zwróciła się do różowego Henryka, który stał u jej boku: – Pannie Izabeli wychowanie brata się nie powiodło.

Jan odchrząknął. Akurat przechodził kelner, Morawski sięgnął więc po kieliszek, by pod tym pretekstem uwolnić się od jej ręki.

– A w ogóle to gdzie ona jest? – ćwierkała mameczka, rozglądając się po sali. –

Ach, i nie ma też pana Bernarda Orzelskiego. Czyli jednak się pogodzili. Jak to dobrze, ja tak lubię zgodę. Jeszcze dwa tygodnie temu on i panna Boratyńska byli nierozłączni, ale potem coś ich poróżniło.

Jan ze świstem wciągnął powietrze i oboje Terleccy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Nie mam ochoty o tym słuchać – oświadczył.

Uklonił się i odszedł.

Idąc wzdłuż ścian, obserwował młode mężatki, odcinające się jaskrawymi sukniami od pastelowych panien. Właściwie wszystkie te kobiety w agrestowych, jagodowych i malinowych kreacjach z zapałem flirtowały. Ta rzucała partnerowi słówka ze znaczącym uśmiechem, tamta musnęła kwiatem policzek jakiegoś dżentelmena, inna podała kawalerowi – dokładniej: Maksowi Krajewskiemu – liścik. Na tym zawołanym tle toczyła się zabawa.

W podwójnych drzwiach pojawili się spóźnieni goście – hrabia Maurycy Walewski i panna Cecylia. Morawski odetchnął. Dziewczyna była jednym z dwóch powodów jego obecności w tym miejscu. Ruszył w stronę drzwi, omijając głośno perorującego Artura. Zastanawiał się, jak zaaranżować rozmowę z hrabianką na osobności, gdy z pomocą przyszedł mu pan Jankowski. Dskoczył do dziewczyny, zaczął się kłaniać, całować rączki, uśmiechać i prawić kwieciste madrygały. Panna Cecylia zeszywniała z odrazy i próbowała cofnąć rękę, ale jej ojciec ujął pana Ludwika pod ramię i bezceremonialnie odprowadził na bok.

Dziewczyna stanęła pod ścianą i Morawski widział, jak porusza ustami, zapewne odmawiając modły o zesłanie jej choć jednego tancerza. Podeszedł i przywitał się.

– Już się bałem, że państwo nie przyjdą.

– Papa szukał jakiejś wizytówki. – W jej oczach ukazały się łzy. – Tak panu dziękuję. Te numery naprawdę były spisane... Gdyby znaleźli u mnie te pieniądze... Nie przeżyłabym takiego wstydu... A musiałabym się z tego wypowiadać... I co by sobie pomyślał o mnie Maksio...

– Panno Cecyljo, proszę nie ufać Anastazji.

– Ależ to moja przyjaciółka!

– Ta przyjaciółka zastawiła na panią tę pułapkę.

– Jaką pułapkę?

Morawski podrapał się po brwi. Jej umysł notował wydarzenia i zjawiska, ale nie widział między nimi żadnych związków.

– Anastazja zaniósła tam te pieniądze i rozpuściła plotkę o nich, wiedząc, że pani potrzebuje gotówki – tłumaczył, choć zdawał sobie sprawę, że ta głuptaska może wszystko Anastazji wypaplać. – A potem zostawiła drzwi do pokoju ojczyma otwarte.

– Ale dlaczego miałyby to robić?

– Bo Maks wybrał panią, a nie ją.

– Ale ja przecież nic nie mogę na to poradzić. I ona nie ma do mnie żalu. Sama mi to mówiła.

– To nieważne, co mówiła. Liczy się to, że Maks woli panią.

– Ale ja nic złego nie zrobiłam.

Jan odwrócił głowę i zmełł w ustach przekleństwo. Ponownie na nią spojrział. Patrzyła na niego wielkimi oczyma, głęboko przekonana, że jej czyste intencje wystarczają, by ochronić ją przed niegodziwością i egoizmem innych. Zrezygnował z przekonywania jej.

Już chciał odejść, ale postanowił powiedzieć jej coś miłego.

– Pani szkatułka jest niezwykła i jeśli byłaby pani skłonna ją sprzedać, mogę skontaktować panią z kimś, kto kolekcjonuje intarsje. Na pewno otrzyma pani godziwą zapłatę.

Rozpromieniła się.

– Dziękuję panu. Ale panna Izabela... Zna pan pannę Izabelę Boratyńską?

Morawski zdobył się na skinięcie głową i hrabianka kontynuowała:

– Tu w Poznaniu jest galeria z przedmiotami artystycznymi i panna Izabela obiecała mi...

– Wyjaśniłaś panu, czego od niego oczekuję? – warknął pan Maurycy, podchodząc nagle.

– Nie, papo, jeszcze nie, ja właśnie...

– Ta niezguła miała panu oznajmić, że mam dla niego zlecenie. Ty idź do pana Ludwika, chce z tobą porozmawiać. – Palcem wskazał córce kierunek. – Pan podobno detektyw, a ja szukam akurat pewnego łotra, który mnie oszukał.

– Ja nie zajmuję się poszukiwaniami łotrów.

– Sprzedał mi obligacje, łajdak przeklęty – kontynuował hrabia, głuchy na protesty Morawskiego. – Miały przynieść sto procent rocznie, ale okazały się fałszywe. Więc ja teraz pana zatrudniam, żeby pan go znalazł, a on ma mi oddać pieniądze.

– Niestety, nie mogę panu...

– Zakładam też, że oboje jesteście ludźmi na poziomie i o żadnej zapłacie nie może być mowy. To będzie przysługa, którą jeden arystokrata wyświadcza drugiemu arystokracie.

– Dwa dni temu nie zaliczał mnie pan do arystokracji.

– Fałszerstwo tych obligacji stwierdził sam ekspert Reichsbanku, bo to były obligacje niemieckie. Tu mam jego wizytówkę, gdybyś chciał pan uzyskać dodatkowe informacje.

– Panie hrabio, nie podejmę... – oświadczył zirytowany Jan i spojrział na kartonik. „Oskar Krause”.

Odruchowo wziął podaną sobie kartę. Oskar Krause, detektyw Banku Rzeszy, wystąpił jako ekspert i stwierdził fałszerstwo obligacji, wskutek czego hrabia Walewski stracił całą fortunę. „Znowu Krause, na każdym kroku Krause! – Morawski zacisnął zęby. – Nie wytrzymam!”

– Nie wytrzymam! – wściekł się Walewski. – Ten cholerny Krajewski znowu z nią rozmawia.

Hrabia odbiegł, a Morawski schował wizytówkę do wewnętrznej kieszeni fraka. Te wizytówki były wszystkim, co zostało po Oskarze.

Szedł wzdłuż krzeseł ustawionych pod ścianami. Siedziały tam matrony i te panny, na które nie znalazł się amator. Wystawiano je na sprzedaż, licząc, że może ktoś podejdzie i kupi. Jak na targu niewolników w starożytnym Rzymie. Klienci mogli je oglądać, zamienić z nimi kilka słów, dotknąć w tańcu. Negocjacje kupujący

przeprowadzał z właścicielem.

Morawski czuł coraz większy niesmak. Aby uciec od tego spektaklu, przeszedł do pokoju dla panów, znajdującego się po drugiej stronie holu. Gry hazardowej w karty w Poznaniu zakazano, mężczyznom więc, którzy z zasady gardzili grą o homeopatyczne stawki, pozostały cygara, koniak i pieprzne dowcipy. I kalkulacje, ile która panna wniesie w posagu i na co to wystarczy. Jan przez kwadrans przysłuchiwał się ich rozmowom i palił cygaro, ale w końcu zdusił je w popielnicy i wyszedł.

Na sali tańczono właśnie mazura, uwielbianego głównie przez starszych balowiczów, którzy z wielkim zaangażowaniem wykonywali wszystkie figury – przytupy, na kolanko, ręka uniesiona, dama wokół paluszka. Wszyscy ci dostojni ziemianie, lekarze, profesorowie podskakiwali niczym młode wróble.

Nawet jednak te absurdalne harce nie zdołały rozbawić Jana. Coraz częściej spoglądał na zegarek, aż wreszcie pocieszył się postanowieniem, że o wpół do dwunastej wróci do Bazaru, niezależnie od tego, czy doczeka się doktora Chłapowskiego, czy nie.

Mazur jeszcze trwał, gdy niepewnym krokiem podszedł do niego Artur. W zarumienionej twarzy mocno błyszcząły mu oczy.

– Jak ci idzie śledztwo? – zapytał, wypijając duszkiem pół kieliszka czerwonego wina.

– Bardzo powoli. Którąkolwiek nitkę chwyć, od razu poruszają się dwie lub trzy kolejne – odparł Morawski, w myśli zaś dodał: „A każda nitka, którą próbuję złapać, prowadzi do Oskara. Do Oskara, którego nie ma, bo wyleciał w powietrze”.

– Rozumiem, że to taka ładnie opakowana forma przyznania, że niewiele ustaliłeś. – Boratyński się zachwiał. – Ale dlaczego?

– Bo wszyscy kłamią.

– Ale to on mnie o to prosił. Nie mogłem odmówić jego prośbie.

Jan przebiegał spojrzeniem po sali, udając, że ledwie słucha.

– Tak, tak – przyznał ze wzruszeniem ramion. – Czasami ktoś prosi i po prostu się zgadzamy.

– To się wydawało takie nieszkodliwe. „Jeśli zapytają, czy byłeś wtedy a wtedy w sklepie, powiedz, że byliśmy razem i nikogo oprócz nas nie było”. Tak zrobiłem.

Czknął. A Morawski pomyślał: *In vino veritas*⁵⁸. Więc Bernard prosił Artura o potwierdzenie, że byli razem w sklepie Żychlińskiego. Zatem Bernard mógł się spotkać z Krausem.

Młody Boratyński ziewnął. Jan już chciał go zapytać, o której godzinie on i Izabela przyjdą do Bazaru, gdy nagle Artur otworzył szeroko oczy, obrócił się na pięcie i podał tyły. Morawski spojrzał, by się przekonać, co wywołało taką panikę.

– Czy przyłączy się pan do nas w czasie kolacji, drogi Janie? – zaszemrała mameczka. – Henriecie tak na tym zależy.

Henryka-Henrietta wpatrywała się w Morawskiego z uwielbieniem, a jej górna warga wydawała się jeszcze bardziej podwinięta niż zwykle. Miała na sobie strojną, jasnomorelową suknię, której linia idealnie podkreślała brak talii i szyi.

Propozycja pani Terleckiej mogła mieć daleko idące konsekwencje: zgodnie z kodeksem Pani Etykiety, jeśli rodzice panny mieli na oku kandydata na zięcia, zapraszali go, by im towarzyszył podczas kolacji, a kawaler, przyjmując takie zaproszenie, potwierdzał, że jego zamiary są poważne.

– Niestety, właśnie wychodzę – odparł Morawski z ukłonem.

Poszedł prosto do szatni, zabrał swe okrycie i opuścił Hotel Francuski, choć minęła dopiero jedenasta.

W Bazarze odbywał się bal Towarzystwa Śpiewaczego, toteż przy recepcji i restauracji kręciło się mnóstwo osób. Jan przedarł się przez ten tłum i poszedł do swego apartamentu. Zajrzał do sypialni, ale Mateusza jeszcze nie było. Otworzył na chwilę walizkę i rozwinął chustkę, w której przechowywał różę z jedwabiu. Pogłaskał płatek, a potem wrócił do saloniku. Usiadł w fotelu i czytał książkę, którą udało mu się po południu wyszperać w hotelowej czytelnicy: *The Portrait of a Lady*.

Minutę po północy rozległo się pukanie. Poderwał się z fotela i prawie dobiegł do drzwi.

– Dobry wieczór, mój drogi – przywitał się doktor Chłapowski. – Nie inkomoduję⁵⁹ cię? Wracam od chorego i postanowiłem do ciebie zajrzeć. Miałem ci

coś do powiedzenia – oznajmił, zdejmując płaszcz i rozsiadając się wygodnie – ale nie pamiętam co. Odsapnę i zaraz mi się przypomni.

I rozgadał się na temat swojej dystrakcji i dziwacznych sytuacji, kiedy „odskakiwała mu klapka”, a potem opowiadał, jak kiedyś ciągle zostawiał gdzieś szal, rękawiczki i kapelusz, ale teraz pacjenci się nauczyli i pilnują, by wszystko zabierał.

Początkowo Jan był zniecierpliwiony. Oczekiwanie na Izabelę zmęczyło go i rozdrażniło tak bardzo, że nie był w stanie znieść obecności nawet tego uroczego i podziwianego przez siebie człowieka. Ale po trzech kwadransach, gdy jej przyjście stało się mało prawdopodobne, zaczął odpowiadać czymś więcej niż tylko monosylabami.

– A pamięta pan, jak się poznaliśmy?

– Tak – odparł lekarz bez wahania – grałeś *La Campanellę*.

– Niemożliwe – stwierdził Jan. – Zawsze unikam grania podczas spotkań rodzinnych. Poznaliśmy się w Jurkowie, jakieś dziesięć lat temu, i na pewno pamiętałbym taką sytuację.

– Grałeś *La Campanellę*.

Morawski się zamyślił. I rzeczywiście, po chwili z mroków niepamięci wyłoniła się scena w salonie w Jurkowie i wielki fortepian. Musiało być lato, bo okno było otwarte i wiatr, ciepły wiatr przynosił aromat róż. Połowa lata, bo kobieta, która podawała mu do ust cząstki brzoskwiń...

– A mnie pamiętasz z tego pobytu? – spytał lekarz i Morawski otrząsnął się ze wspomnień.

– Zniknął pan na dwie godziny i wszyscy pana szukaliśmy. Wreszcie znalazłem pana śpiącego w hamaku, w sadzie.

– To niemożliwe! Nie potrafię zasnąć pod gołym niebem.

– Zerwał się pan i kazał mi prowadzić się do chorego. Byłem pewien, że to z tego mnie pan zapamiętał.

– A ja byłem pewien, że zapamiętałeś mnie, bo to ja cię prosiłem o *La Campanellę*.

Pan Chłapowski wstał, powtarzając: „Nigdy nie spałem pod gołym niebem”, a Jan pokręcił głową. Można by pomyśleć, że mówili o dwóch różnych spotkaniach.

Pomógł lekarzowi włożyć płaszcz i do jego kieszeni schował rękawiczki doktora. Minęła pierwsza.

– Coś mi się przypomniało. Moja żona zaprasza cię na obiad jutro o szóstej. Przyjdiesz?

Jan przyjął zaproszenie. Doktor otworzył drzwi, ale natychmiast je zamknął.

– Wiem, po co przyszedłem. Pytałeś, czy nie było włamania.

Morawski już otwierał usta, by wyjaśnić, że interesują go także próby włamania, ale lekarz ciągnął:

– O udanym włamaniu nic nie wiem, ale próbowano się włamać do Banku Związku Spółek. Możliwe, że złodzieje nawet weszli, ale nic nie zginęło, więc nie wzywano policji. Nic więcej nie wiem.

Morawski pokiwał głową. Bank Związku Spółek Zarobkowych to było to. Punkt drugi planu Schliemanna: bankier, któremu dostarczono „prezent”. Ksiądz Wawrzyniak.

– Jutro rano mam spotkanie z patronem, więc go wypytam – rzekł Jan.

Odprowadził doktora na korytarz. Nagle rozległ się koszmarny krzyk. Morawski podbiegł do schodów. Krzyk się powtórzył. Dochodził z góry. Jan ruszył w tym kierunku, przeskakując po trzy stopnie. Na korytarzu stała panna Anastazja i histerycznie łkała. Minął ją i wszedł do pokoju, w którym poprzedniego dnia był dwukrotnie. Bernard Orzelski siedział przy biurku z tułowiem bezwładnie spoczywającym na blacie.

⁵⁶ Faktor – pośrednik handlowy.

⁵⁷ Roger Sławski (1871–1963) – architekt, projektant wielu poznańskich kamienic, a także ziemiańskich dworów i pałaców. Naczelnym architektem Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 roku. W latach 1946–1951 głównym architektem odbudowy poznańskiego Ratusza.

⁵⁸ *In vino veritas* (łac.) – wino skłania do mówienia prawdy (dosł. w winie prawda).

⁵⁹ Inkomodować – sprawiać komuś kłopot, przeszkadzać.

ROZDZIAŁ 24

Doktor Chłapowski stwierdził zgon i Jan ruszył do recepcji. Na schodach spotkał wracających Mateusza i Marka. Poinformował ich o śmierci Bernarda Orzelskiego i polecił wezwać policję. Potem cofnął się do pokoju numer 21.

– Moim zdaniem to otrucie – oświadczył doktor Chłapowski, nachylając się nad ciałem. – Umarł niedawno, może z pół godziny temu.

Wyprostował się i oglądał ciemną apteczną buteleczkę, która stała na biurku. Jan zbliżył się i wziął od lekarza flaszkę. *Extractum belladonnae* – przeczytał. Usłyszał łkanie. Jedynym źródłem światła w pokoju była lampka biurkowa, więc dopiero po tym odgłosie zorientował się, że na fotelu obok drzwi siedzi panna Anastazja. Naraz w drzwiach ktoś stanął.

– Co się stało? – spytał Maks Krajewski.

– Pan Orzelski nie żyje.

Dziewczyna głośno zaszlochała, zerwała się z fotela i rzuciła nowo przybyłemu na szyję:

– Zaopiekuj się mną! Zostałam zupełnie sama!

Morawski akurat podniósł lampkę do góry i zobaczył, że panna szepnęła coś Maksowi do ucha. Krajewski zdjął jej ramiona z szyi i odepchnął ją. Oparła się o fotel i przez chwilę wpatrywała w Maksa z miną rozzłoszczonej kotki. Potem precyzyjnie się między nim a futryną i uciekła.

Jan pochylił się nad ofiarą. Pan Orzelski siedział prawym bokiem do drzwi i w tym kierunku zwrócona była jego twarz. Obie dłonie miał zaciśnięte: jedna była pusta, ale pod drugą tkwiła częściowo zmięta kartka. Morawski obszedł biurko, uniósł przegub zmarłego i delikatnie wydobyl spod spodu papier. Rozprostował i przysunął do światła. Ulotka Banku Przemysłowców.

Nagle usłyszał kroki na korytarzu. Wsunął ulotkę z powrotem pod rękę

Orzelskiego i wyprostował się. Zauważył jeszcze, że głowa zmarłego spoczywa na otwartej książce formatu albumowego.

Do pokoju wpadł recepcjonista.

– Policja zaraz będzie – wydyszał. – Nie wolno niczego dotykać.

Morawski uniósł ręce na znak, że jest niewinny, natomiast doktor Chłapowski uchylał powieki zmarłego i nie zwrócił uwagi na ten zakaz.

Jan odsunął się od biurka, stanął przy Mateuszu, który właśnie przyszedł, i badał wzrokiem pokój, starając się zapamiętać jak najwięcej. Przypuszczał, że już mu się nie uda tu wejść.

W pomieszczeniu panował rozgardiasz, którego nie było tam jeszcze kilka godzin wcześniej. Wydawało się, że ktoś powyciągał wszystkie przedmioty z szaf i szuflad. Wszędzie walały się ubrania, gazety, wizytówki, butelki. Na biurku leżały książki, luźne kartki, przybory do pisania, kilka połyskujących drobiazgów. Na stole stały metalowa kasetka, skrzyneczka z napisem „S. Żychliński”, zamknięty neseser, a spod leżącej na blacie gazety wystawała lufa rewolweru.

Spojrzał na recepcjonistę służbistę. Stał z boku z taką miną, jakby gotował się rzucić na każdego, kto złamie policyjny zakaz. Morawski zbliżył się do biurka.

– Niczego nie wolno...

– Przecież niczego nie dotykam – warknął Jan.

Pochylił się nad świecidełkami, których nie potrafił z oddali zidentyfikować. Były to dwa sygnety: złoty, który Morawski widział u pana Bernarda, i srebrny, z symbolami cyrkla i węgielnicy. Oba leżały na osobistej papeterii pana Orzelskiego, z imieniem, nazwiskiem i herbem. Jan wyprostował się i odsunął. Na schodach zadudniły kroki, rozbrzmiały głosy. Weszło trzech policjantów: jeden umundurowany i dwóch w cywilu, ci sami, którzy wieczorem zostali wezwani w związku z oskarżeniem hrabianki Walewskiej o kradzież.

Obdarzyli Jana chmurnym spojrzeniem i wyprosili z pokoju wszystkich oprócz pana Chłapowskiego. Morawski, znalazłszy się na korytarzu, postanowił zaczekać na doktora i dowiedzieć się od niego jak najwięcej.

Sytuacja jednak nieoczekiwanie się zmieniła. Po kilku minutach od odcięcia

sceny zbrodni zjawił się kolejny posterunkowy w towarzystwie drobnego mężczyzny w meloniku i drucianych okularach. Razem weszli do pokoju 21.

– Radca Schliemann przykazał, aby niczego tu nie ruszać – dobiegło zza uchylonych drzwi. – Chce być przy przeszukaniu. Radca polecił, żeby doktor Bauer obejrzał ciało, potem można je zabrać. Ewentualnie także dokumenty. Resztę zostawić.

Detektywi coś odpowiedzieli, ale ich słowa zginęły między innymi odgłosami: dudnieniem stóp na schodach, łkaniem dochodzącym z sąsiedniego pokoju, podekscytowanymi głosami gości zbierających się w korytarzu.

Po dziesięciu minutach nadeszło czterech policjantów z noszami i zniknęli w pokoju. Wyszli chwilę później, niosąc ciało zakryte brązową płachtą, za nimi podążali obaj lekarze – Polak i Niemiec – dalej detektywi i posterunkowi. Jeden z nich niósł neseser podróżny pana Bernarda. Na drzwiach założono plombę, przy plombie ustawiono jednego z funkcjonariuszy, a potem poproszono zebranych o rozejście się. Goście niechętnie usłuchali, a gdy na korytarzu pozostali tylko doktor Chłapowski i Jan, słychać było wyłącznie szloch.

– Ach tak – przypomniał sobie medyk – ta mała panienska. Zaraz dam jej coś na sen.

Podeszli do sąsiednich drzwi i zapukali. Lekarz poczekał chwilę na odpowiedź, a nie doczekawszy się jej, nacisnął klamkę. Weszli.

Panna Anastazja płakała tak, jakby umarł jej ukochany ojciec, a nie opiekun, którego traktowała z obojętnością. Szlochała histerycznie i nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Pan Chłapowski zaproponował, że zabierze ją do swego domu, ale dostała spazmów. Otworzył więc torbę i wygrzebał spomiędzy wielu przedmiotów papierowy woreczek wypełniony aptecznymi pakiecikami. Wyjął jeden. Podeszedł do stolika nocnego i nalał wody do szklanki, a w tym czasie Morawski zanurzył palce w woreczku i wyjął dwa papierowe kwadraciki. Nie miał na sobie fraka i nie wiedział, co zrobić z łupem, przyklęknął więc i wsunął pakiety do buta.

Gdy się podniósł, zobaczył, że lekarz gładzi pannę Anastazję po głowie i pyta,

czy przysłać do niej pokojówkę. Odmówiła, więc obaj wyszli.

– Co spowodowało śmierć?

– Trudno powiedzieć. Na biurku stała buteleczka z belladonną, ale... – Lekarz się zawahał.

– Ale nie widać śladów po ataku szału.

– Nie zawsze objawy są podręcznikowe – stwierdził doktor Chłapowski ze zmarszczonym czołem.

Janowi przypomniała się sugestia, że Orzelski cierpiał na chorobę psychiczną.

– Mógł sam się otruć?

– A mógł, pewnie, że mógł. Coś innego mnie niepokoi. Zaleciłem mu nalewkę z belladonną, a nie wyciąg, który jest dziesięciokrotnie silniejszy. A na biurku stała buteleczka z wyciągiem. – Wzruszył ramionami. – Próżne domysły. Zabrali buteleczkę do badania, przeprowadzą też sekcję. Dowiem się wyniku od Lubarscha.

– Czy może mi pan dać jeszcze jedną swoją wizytówkę?

Lekarz wydobył z kieszeni kartonik i podał Janowi. Pożegnali się.

Morawski ruszył do swego apartamentu i zastał tam siedzących przy stole Mateusza i Marka. Wysłał kamerdynera po kawę, a sam poszedł do ogólnodostępnego salonu dla gości i z jednej z książek zdjął okładkę z szarego papieru. Wrócił do pokoju i zawinął w ten papier butelkę z wodą lawendową Mateusza, tak by opakowanie pogniotło się w odpowiednich miejscach.

Zjawił się Mateusz. Jan nalał kawy do kubka, z buta wyjął środki nasenne i wsypał zawartość obu pakietów do kawy. Zamieszał.

– Idź, Mateuszu, i poczęstuj naszego przyjaciela na drugim piętrze.

– Chyba nie zamierza pan...

– Właśnie tak.

Mateusz już otwierał usta, ale Morawski nie dopuścił go do głosu.

– Wiesz, kogo Schliemann oskarży rano o popełnienie morderstwa? Mnie. Po kłótni z Bernardem trzymałem w dłoni broń, a po południu wchodziłem do jego pokoju i ktoś mnie widział. A ja nie mogę się z tych dwóch incydentów wytłumaczyć, bo musiałbym wmieszać w to kobiety. Muszę sobie poradzić inaczej.

Idź.

Mateusz poszedł bez dalszych protestów.

Morawski tymczasem dopisał na papierze kulfonami numer swego pokoju – 12.

– Chciałbym pójść z panem, szefie – odezwał się zniecierpliwiony Marek.

– Mam nadzieję. Nie wysilili się zbyt, jeśli chodzi o plombę. To miała być raczej umowna przeszkoda, prawdziwą stanowi wartownik. Wbili gwóźdź w zewnętrzny skraj futryny, a sznurek z plombą zaczepili o ten gwóźdź i klamkę.

Marek skinął głową i wstał.

– Idę po narzędzia. Mają tu świetnie wyposażony warsztat.

– Znajdź też kawałek sznurka. Takiego do pakowania.

Prawie natychmiast po wyjściu Marka wrócił Mateusz. Jan nachylał się nad stołem i nakłuwał narożnik wizytówki doktora Chłapowskiego.

– Wypił duszkiem – oznajmił kamerdyner. – Gdzie Marek?

– Poszedł po narzędzia.

– Idzie z nami?

– Tak.

– Nie zgadzam się – oświadczył Mateusz. – Z pewnych względów... to jest bardzo zły pomysł.

Morawski się wyprostował.

– Psuje mi pan całą robotę – poskarżył się kamerdyner.

– Wiem, że to stoi w sprzeczności z twoją misją pedagogiczną, ale robię to dla ciebie. Jeśli tam trochę nie namieszam, zostaniesz bez pracy, bo twój pracodawca pójdzie do więzienia.

Po minucie zjawił się Marek. Podał Janowi sznurek, a na stole położył skrzynkę z uchwytem. Wyciągał z niej różne narzędzia, większość odkładał, a kilka włożył sobie do kieszeni. Morawski tymczasem obwiązał paczkę sznurkiem, przyczepił do niego wizytówkę, po czym rozerwał papier dłonią i zdarł całe opakowanie z flakonu. Wyglądało niezwykle autentycznie.

Spojrzał na zegarek.

– Poczekajmy jeszcze chwilę. – Usiedli przy stole. – Teoria robocza wygląda

następująco: ktoś szantażował Orzelskiego, tak przynajmniej wynikało ze słów, które wypowiedział wczoraj, gdy mi groził. Myślał, że to ja, więc na mnie napadł. Być może naprawdę cierpiał na paranoję. Wszystko poszło nie tak, więc w desperacji popełnił samobójstwo.

Jego towarzysze kiwali głowami, ale dla samego Morawskiego brzmiało to nieprzekonująco, zwłaszcza gdy przypomniiał sobie butelkę z wyciągiem z belladonny.

– Czego szukamy? – spytał Mateusz.

– Nie wiem. Najbardziej chyba dokumentów, jeżeli jakieś zostały, bo pewnie większość zabrali policjanci w tym neseserze.

Po dwudziestu minutach Marek poszedł na przeszpiegi i wrócił z informacją, że wartownik śpi. Morawski ostrzegł swoich towarzyszy, że muszą porozumiewać się szeptem i z dala od drzwi, a potem zabrali spreparowane opakowanie, narzędzia i poszli.

Jan z Mateuszem przygasili dwie lampy na korytarzu drugiego piętra, a tymczasem Marek wyciągnął obcęgi i gwóźdź, na którym był zaczepiony sznurek z plombą. Potem Morawski podał mu swoje wytrychy i Marek otworzył pokój przy pierwszej próbie. Weszli do środka, zamknęli drzwi, a wytrych pozostawili w zamku od wewnątrz.

Jan przy świetle latarki doszedł do biurka i zapalił lampkę. To musiało im wystarczyć, zresztą wiedział, że przy marnym oświetleniu odruchowo mówi się ciszej. Rozejrzał się. Nadal wszędzie panował rozgardiasz. Tylko neseser zniknął. Na drzwiach prowadzących do pokoju panny Anastazji również znajdowała się plomba, a klucz tkwił w zamku.

– No, no – mruknął Marek, pochylając się nad biurkiem. – Z takim widokiem przed oczami to musiała być bardzo przyjemna śmierć.

Jan spojrzał ku niemu. To był chyba ten album, na którym leżało ciało.

– Co tam masz?

– Trzy bardzo cielesne nagie panie – odparł Marek.

Wyszedł z biurka, położył album na skraju blatu, tuż przy lampie, i przeglądał

go dalej.

Mateusz przerzucał ubrania, a Jan usiadł w fotelu, w którym Bernarda Orzelskiego dosięgło przeznaczenie. Pod biurko wrzucił przyniesione opakowanie, a następnie obejrzał przedmioty leżące na blacie. Nic się nie zmieniło. Były oba sygnety, papier listowy, książki, gazety. Odsunął fotel i przejrzał szuflady. Wszystkie okazały się puste. Potem zauważył, że między blatem a szufladami znajduje się uchwyt przyczepiony do grubej na trzy centymetry deski. Myślał, że to dodatkowy blat, ale po wysunięciu jego oczom ukazała się płytką szuflada, podzielona listewkami na trzy przegrody.

W jednej spoczywały rachunki za ubrania i kapelusze oraz kilka listów: od rejenta w sprawie majątku panny Nowackiej, od szwagierki z informacją, że zatrzyma się u znajomej w Komornikach, i list nadany w Poznaniu czternastego lutego bieżącego roku. Morawskiemu pismo na kopercie wydało się znajome. Wyjął małą kartkę i przeczytał:

Szanowny Panie,

wczoraj wieczorem widzieliśmy się w sklepie z cygarami Żychlińskiego. Od pierwszej chwili Pana twarz wydała mi się znajoma, ale dopiero potem ją skojarzyłem. Tak się składa, że mam dostęp do rejestrów amerykańskiego systemu więziennictwa. Chciałbym się z Panem spotkać i przestrzec, jak groźne dla pozycji towarzyskiej Pańskiej pasierbicy może być upublicznienie pewnych faktów.

Kreślę się z poważaniem

Oskar Krause

Morawski zazgrzytał zębami. Chorobliwie wprost nienawidził szantażu. Przypomniała mu się ta chwila, gdy w winiarni z kieszeni wypadła mu karta wizytowa Oskara i zaadresowany do niego list. Bernard musiał uznać, że to on jest tym szantażystą i grozi mu jako Oskar Krause. W tym świetle niedzielny atak Orzelskiego wydawał się całkowicie uzasadniony.

Jan podniósł wzrok na Mateusza, który spod łóżka wyciągnął do połowy

spakowaną walizkę. Cichym gwizdnięciem przywołał kamerdynera, a gdy ten podszedł, podał mu list. Mateusz czytał, a Morawski zajrzał ponownie do szuflady. Wydobył kajet, prawie w całości zapisany. Przejrzał kilka stron – to był chyba dziennik pana Orzelskiego, ale zapiski, przedtem codzienne, urwały się na ostatnim piątku.

– Miał pan rację – mruknął kamerdyner. – Ten łajdak go szantażował.

Przeglądając kilka cienkich świstków wyciągniętych z trzeciej przegrody, Jan przypomniał Mateuszowi scenę z winiarni.

– Wstrętny szantaż – powtórzył kamerdyner. – Ale szkoda, że Krause nie napisał, za co tamten siedział.

– Może też za szantaż. Tu jest kilka wyciągów The Nassau Bank w Nowym Jorku i wynika z nich, że co pół roku pan Bernard wpłacał na konto równe pięć tysięcy dolarów.

Jan bębnił palcami w blat biurka. W głowie miał mętlik. Czyżby Krause szantażował szantażystę? A może Orzelski był tym lichwiarzem i w ten sposób zarabiał na życie?

– Usiądź tu i przejrzyj ten dziennik – polecił kamerdynerowi. – Dziesięć, piętnaście wpisów.

Wstał i podszedł do stołu, a Mateusz usiadł przy biurku, z kieszeni wyjął okulary i zaczął przerzucać kartki. Cichutko zacmokał i Morawski się przybliżył.

– Widział pan, że każda para stron jest zapisana innym charakterem pisma?

Jan przytaknął. Spojrzał na Marka, który wciąż pochylał się nad otwartym albumem, ale nie przewracał już kartek, lecz oglądał pasek papieru.

– To może pana zainteresować, szefie. – Podał świstek Janowi. – Bilet na poranny pociąg do Berlina.

Jan przyjrzał się biletowi, a potem latarką oświetlał mebel po meblu, stertę po stercie. W otwartej walizce zobaczył drewniane płaskie pudełko. Podszedł bliżej i w świetle załśnił złoty napis „Wilkinson Sword – London”. Uchylił wieko i znalazł zestaw, jakiego sam używał: posrebrzany uchwyt, siedem ostrzy oznaczonych dniami tygodnia, skórzany pasek. Wątpił, by ta nowość była dostępna w Poznaniu,

Orzelski musiał więc przywieźć ją ze sobą. Zatem albo planował zgolić brodę, albo golił się codziennie, a brodę doklejał.

Jan rozejrzył się po pokoju. Spakowane częściowo walizki, opróżnione szuflady biurka, bilet wreszcie – wszystko świadczyło o tym, że Bernard szykował się do drogi. I osłabiało teorię samobójstwa, w którą Morawski i tak nie wierzył. Bo gdyby Orzelski popełnił samobójstwo z powodu szantażu, zostawiłby list z oskarżeniem swego prześladowcy.

– Ale jeśli morderstwo, to z jakiego powodu? – mruknął.

Popatrzył jeszcze raz na biurko, na wszystkie zgromadzone na nim przedmioty. „Jeśli Bernard został otruty – rozważał – to mógł wiedzieć, kto jest jego mordercą, i zostawić wiadomość. Jeśli tak, to tym przesłaniem może być ulotka Banku Przemysłowców lub album, bo one nie pasują do reszty rzeczy. Ale też sygnety. Właśnie, sygnety. Dlaczego położył na wierzchu symbol łoży? Powinien być w ukryciu. Dlaczego zdjął sygnet rodowy? Zamordował go ktoś tego samego herbu?”

– Co to za herb? – spytał Mateusza.

– Dryja – padła natychmiastowa odpowiedź. Potem kamerdyner postukał w kaset. – To przypadek dla lekarza. Co rano wyznaczał sobie zadania. Ile haseł z encyklopedii opanuje, ile stron przeczyta z biografii, ile z historii. Ile czasu poświęci na spacer, ile na jedzenie, ile razy uderzy kijem podczas gry w bilard. Wieczorem rozliczał się z tych zadań.

Morawski zajrzał do komody i szafy – obie były puste. Wszedł na krzesło i oświetlił wierzch szafy. Niczego nie znalazł. Dla pewności przeciągnął jeszcze po nim dłonią i wyczuł inną fakturę. Przyjrzał się dokładniej. We wgłębieniu utworzonym przez ozdobny rzeźbiony gzyms leżała paczka zawinięta w papier w beżowym kolorze, identycznym z kolorem surowego drewna. Jan wyjął z kieszeni nóż i wyłuskał pakiet. Zszedł z krzesła i na biurku rozwinął papier. Oczom trójki mężczyzn ukazały się diapozytywy przodu i tyłu nowej setki, numerator, tusze, motki czerwonego i niebieskiego jedwabiu. Oraz kilkanaście rosyjskich banknotów.

– No, no – mruknął Marek. – Więc stary Bernard się przekwalifikował!

Odłożył paczkę czekolady do picia, którą trzymał w ręku, i oglądał ruble. Po chwili się wyprostował i dostrzegł spojrzenia pozostałej dwójki. Mateusz wpatrywał się w niego z furją, Jan z wyczekiwaniem. Marek odchrząknął.

– Znalazłem czekoladę w jego walizce – uśmiechnął się i poruszył brwiami. – Ten chłopiec, który zamarzył, pił chyba czekoladę przed śmiercią...

– No, mów. Znałeś go, tak? – spytał Jan.

Marek odchrząknął.

– Gdzie się zetknęliście? – naciskał Morawski. – W więzieniu?

Mateusz ze świstem wciągnął powietrze.

– Ale to nie była moja wina – zastrzegł Marek, unosząc ręce w geście poddania. – Chciałem pomóc kumpłowi, ale on się wykręcił i ja poszedłem do paki. Niczemu nie byłem winien. Słowo.

– To już trzecia wersja – mruknął Jan, a Marek zmarszczył czoło. – Nieważne. Za co siedział Bernard?

– Za to. – Marek wskazał paczkę. – Ale nie fałszował banknotów, tylko чеки. Potrafił podrobić każdy charakter pisma.

– Ciągłe ćwiczył – mruknął Mateusz, stukając w kajet.

– Co jeszcze wiesz?

– Niewiele. Pochodził z dobrej rodziny. Sfałszował jakiś dokument i wysłano go do Ameryki. Tam zaczął studia, ale rzucił to i żył jak pan, fałszując чеки. Miał opanowany taki system. Wybierał ofiarę, czyli tego, czyj czek podrobi. Potem załatwiał sobie wzór podpisu. Jeśli ofiarą miał być na przykład broker, Bernard sprzedawał mu kilka obligacji, prosząc o zapłatę чеkiem. Jeśli ofiarą miał być kupiec, kupował coś, płacił banknotem studolarowym i prosił o resztę чеkiem. Potem zakładał konto w tym samym banku, dostawał książeczkę czekową, a dalej to już była łatwizna. Udawało mu się to latami, ale w końcu wpadł. Wsadzili go. Tak się poznaliśmy.

– Czy w Ameryce nosił brodę?

Marek pokręcił przecząco głową.

– A chorował? – dociekał Jan.

– Tak, na głowę. Wystarczyło, że ktoś na niego krzywo spojrział, od razu wydawało mu się, że jest w niebezpieczeństwie.

– Gdy wracaliśmy z drukarni, widział cię ze mną – przypomniał sobie Jan. – Skoro mnie uważał za szantażystę, twój widok musiał go przekonać, że go osaczamy. Nie trzeba być paranoikiem, by oszaleć. – Popatrzył na pakiet, potem na zegarek. – Dobrze, kończymy.

Gdy składał zawartość paczki, w czerwonym jedwabiu wyczuł jakiś drobny twardy przedmiot. Spomiędzy nitek wydobył mały kluczyk, taki jak do skrytki bankowej. Na obrzeżu miał on wybite jakieś znaki, a po obu stronach po dwa małe młotki.

– To na pewno jego – oznajmił Marek. – W więzieniu nosił nazwisko Hammer⁶⁰.

⁶⁰ *Hammer* (ang. i niem.) – młotek.

ROZDZIAŁ 25

Jan postanowił zjeść śniadanie w swym saloniku, bo chciał przejrzeć gazety. Polskie dzienniki nie ukazywały się w poniedziałki – swoją drogą „Dziennik” i „Kurier” mogłyby się umówić, by jeden z nich zrobił sobie przerwę w inny dzień – Mateusz poprosił więc pikolaka o przyniesienie niemieckich gazet. Czekać na prasę, Morawski przejrzął spisy treści kilku numerów „Nowin Lekarskich”, w jednym z nich znalazł artykuł o belladonie i uzupełnił swą wiedzę na temat wskazań do jej stosowania.

Boy hotelowy wywiązał się z zadania rzetelnie, dostarczając cztery dzienniki i sześć publikacji reencyjnych, które wychodziły raz w tygodniu i dotyczyły wybranych dziedzin: szkolnictwa, ziemstwa czy przemysłu.

Już na drugiej stronie „Posener Zeitung” Morawski natrafił na wzmiankę o wybuchu. Tym razem podano nazwisko i profesję ofiary, rozwodząc się nad zasługami pana Oskara Krause na polu tropienia przestępstw bankowych. Podobną notatkę pomieszczono w „Posener Tageblatt”. Żaden z dzienników nie wspomniał o śmierci polskiego chłopca.

Wreszcie Jan odsunął całą tę makulaturę, przyniósł mikroskop Oskara i zajął się odcyfrowywaniem napisu na brzegu kluczyka, który zabrał z pokoju Orzelskiego. Wybito tam osiem liter. Same litery, tak jak na świstku zabranym Krausemu, choć przy tak drobnych znakach istniało niebezpieczeństwo, że litera S jest cyfrą 5, a litera B – cyfrą 8. Jan był prawie pewien, że Oskar ukradł tamtą kartkę z kodem. Jeśli faktycznie za fałszerstwami stała grupa osób, współnicy zapewne sobie nie ufali. Może mieli skrytkę strzeżoną zamkiem na szyfr i klucz? Jeden miał kluczyk i fragment hasła, inny resztę hasła? Może z długiego hasła trzeba coś wykreślić? Morawski zaczął zaznaczać na kartce Oskara kolejne litery wybite na kluczyku – w pionie, poziomie, ruchem konia szachowego – ale szybko to porzucił. Wciąż nie

wiedział, do czego miało służyć rozwiązanie, nie był więc w stanie zweryfikować jego poprawności. Poza tym jeżeli fałszerzy było czterech, przypuszczalnie każdy z nich miał fragment kodu, tak żeby dopiero złożone w całość dawały dostęp. Tylko do czego, do pioruna?

Poirytowany Jan podrapał się po policzku.

Pięć po siódmej zjawił się Mateusz i już od drzwi zaczął sprawozdanie:

– Schliemann jest od piątej w hotelu. Osobiście nadzorował przeszukanie pokoju. Teraz osobiście przesłuchuje służących. Na wszystkich padł blady strach. Do gości jeszcze się nie dobrał i nie wiadomo, czy w ogóle zamierza. Na razie ogłoszono, że każdy, kto coś wie, ma się zgłaszać do dyrektora.

Morawski pokiwał głową. Schliemann był sprytny. Wiedział, że goście nie będą chcieli mieć do czynienia z policją. Co innego wpaść na pogawędkę do dyrektora hotelu.

– I ktoś się zgłosił?

– Ktoś zeznał, że widział w korytarzu na drugim piętrze mężczyznę wchodzącego do pokoju dwadzieścia jeden. Pół godziny po północy. Nie wiem nic więcej.

Morawski upił kawy. To nie był on, więc mógł to być morderca. Trzeba poczekać, aż wypłynie więcej szczegółów.

– A słyszałeś, czy coś już znaleźli w pokoju?

Mateusz pokręcił przecząco głową. Zapukano i kamerdyner otworzył drzwi.

– Radca von Schliemann – oświadczył posterunkowy – prosi pana Morawskiego na górę.

– Zaczyna się.

Jan odstawił filiżankę, włożył kamizelkę i marynarkę, a potem razem z Mateuszem poszedł na drugie piętro.

Na korytarzu ustawiono biurko, przy którym siedział policjant i coś notował, z salonu dla gości dochodził stukot maszyny do pisania, a wszędzie kręcili się umundurowani funkcjonariusze. Jednym słowem, pan von Schliemann dopilnował, by z polskiego hotelu zrobić filię niemieckiego komisariatu.

Mateusz przystanął na najwyższym stopniu schodów, tuż za rogiem, a Jan podszedł do radcy. Wysoka postać Schliemanna wydawała się jeszcze bardziej imponująca, co być może wiązało się z czołobitnością i posłuchem okazywanymi mu przez podwładnych. Akurat rozmawiał z panem Kunickim, jednym z detektywów, którzy pierwsi przybyli w nocy do hotelu.

Uprzejmie przywitał się z Morawskim i poprosił o zrelacjonowanie nocnych wydarzeń: „O której usłyszał pan krzyk młodej damy?”, „Co pan wtedy robił?” *et cetera*. Nagle z korytarza starego gmachu nadbiegł policjant.

– Panie radco! Przyniósł to dyrektor Kollat. Znalazł u siebie w gabinecie.

Podał Schliemannowi zwykłą kopertę, z której ten wyjął pojedynczą kartkę i przeczytał:

– „Nie mogę tak dalej żyć. Postanowiłem z tym skończyć. Bernard Orzelski”. Co za bzdura – prychnął radca. – Pierwszy raz widzę, żeby samobójca zostawiał list dyrektorowi hotelu. – Podał kartkę detektywowi. – Dlaczego nie zostawił tu, w pokoju?

Jan ledwie słuchał. W oszołomieniu patrzył na kartkę: niewielką, kremową, delikatnie liniowaną, z zaokrąglonymi narożnikami. Znał ten papier doskonale, bo od lat notował wszystko w kieszonkowych notesach z takimi właśnie kartkami.

– To zupełnie bez sensu – przyznał Kunick. – Zwłaszcza w zestawieniu z tym biletem na poranny pociąg.

– Jaka niezwykła kartka – stwierdził Schliemann. – To chyba z jednego z tych małych czarnych notesów spinanych gumką.

– Czy mógłbym spojrzeć? – spytał Morawski.

Radca zmarszczył czoło, więc Polak dodał:

– Tylko na papier.

Schliemann podsunął mu kartkę czystą stroną do góry. W dolnym rogu widniała liczba „42”.

– Nie jestem pewien – powiedział Jan głośno – ale chyba widziałem taki mały notes w recepcji lub w winiarni. Albo w którymś z salonów.

– Sprawdzimy to. A tymczasem proszę tu wejść. – Wprowadził Jana do pokoju

pana Orzelskiego. – Proszę się rozejrzeć i potwierdzić, czy wygląda tu tak jak w nocy.

Morawski się nie spieszył. Powoli obszedł dookoła krzesło, stół, oddalił się i przybliżył. Na podłodze pod biurkiem nie było papierowego opakowania.

– Nic nie zniknęło? – spytał radca.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że brakuje papieru listowego pana Orzelskiego i jego sygnetu. Były dwa, złoty rodowy i srebrny. Jest tylko srebrny.

Radca popatrzył na detektywa, a ten przytaknął, że rzeczywiście, teraz sobie przypomina – na blacie leżał także złoty sygnet. Papeterii nie pamiętał. Schliemann dał znak i protokolant to zapisał.

– Na razie to wszystko, ale będę miał więcej pytań. Dużo więcej. Proszę się zgłosić do Dyrekcji Policji o godzinie ósmej.

Skinął głową i odwrócił się. Morawski odszedł.

– Zdążyłeś? – spytał Jan, wchodząc do swego saloniku.

– Tak – przytaknął Mateusz – wyrwałem wszystkie zapisane kartki i podrzuciłem notes w czytelnicy w starym gmachu. Ale kilku kartek brakowało, zaraz za tymi zapisanymi.

Morawski obejrzał wyrwane przez przyjaciela notatki. Kończyły się na stronie „40”.

– Czego chciał Niemiec? – spytał kamerdyner.

– Pogawędzić. A tak mu się spodobało, że mam się stawić w Dyrekcji Policji o ósmej.

Na twarzy Mateusza pojawiła się panika.

– Pójdiesz do Wawrzyniaka – mówił Jan, zbierając porozkładane na stole dokumenty – nie, najpierw do Chłapowskiego, opowiesz mu, co tu zaszło, i razem pójdziecie do Wawrzyniaka. Chłapowski cię zna, więc ci uwierzy. Opowiesz księdzu, co znalazłem w drukarni, tu jest wykaz, i powiesz, co zrobiłem z paczką.

Mateusz kiwał głową.

– Jeśli paczka jeszcze nie wyszła, niech się jej pozbędą, a jeśli jest w drodze do

Dolska, niech pchną tam kogoś, by uprzedził proboszcza. Oddasz też patronowi tę kopertę, którą zabrałem z drukarni.

Jan poszedł do sypialni i schował kluczyk, karteczkę Oskara i swe notatki do skrytki pod komodą, a z ukrycia wydobyl kopertę.

– Dowiedz się też – krzyknął – do kiedy ksiądz patron będzie w Poznaniu, bo chciałbym...

Rozległo się stukanie. Mateusz przewrócił oczami i otworzył drzwi. Naprzeciwko niego stała Izabela.

– Dzień dobry pani. Proszę wejść. Ja właśnie wychodzę.

Weszła do pokoju, a Mateusz wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Morawski się zbliżył i stanął przy stole. Czekał. Na te dwie nocne godziny, gdy zajmowała go śmierć Orzelskiego, odepchnął od siebie zawód, jakiego doznał, gdy nie przyszła. Ale gdy wrócił do sypialni po trzeciej nad ranem, długo nie mógł zasnąć.

– Bardzo cię przepraszam – zaczęła. – Nie mogłam przyjść, bo ciotka dostała straszliwej migreny i do drugiej przy niej siedziałam. Żadne leki nie pomagały, a na dodatek doktor Chłapowski przepadł jak kamień w wodę. Wreszcie wezwałam doktora Jerzykowskiego i dał jej zastrzyk. Nawet nie miałam jak cię zawiadomić, bo Artur zapomniał przyjść do domu o wpół do dwunastej, tak jak się umówiliśmy.

Wpatrywał się w błękitne oczy i czuł, jak rozluźnia się obręcz ściskająca mu serce. Dopiero teraz zwrócił uwagę, jak mizernie wygląda z tymi podkrążonymi oczyma i twarzą bledszą niż zwykle.

Za drzwiami rozległy się podniesione niemieckie głosy.

– Co tu się stało? – spytała dziewczyna. – Dlaczego jest tylu policjantów? Pytałam w recepcji, ale nie chcieli mi nic powiedzieć.

– Bernard Orzelski nie żyje.

– Co takiego?

– Najprawdopodobniej został otruty. Belladonna.

– I kogo oskarżają?

– Mnie.

– Ale dlaczego? – Przyłożyła dłoń do ust. – Dyrektor widział cię z bronią.

Powiedziałaś, że to pan Orzelski cię napadł?

– Nie.

– Powiedz, że ja przy tym byłam, a ja poświadczę.

– Oboje wiemy, że nie powinno cię tu być. Twoja reputacja by tego...

– Nie obchodzi mnie reputacja. Powiedz im.

– Wykluczone.

– To ja im powiem.

– Nie! Muszę się z tego inaczej wykaraskać.

Wolał nie dodawać, że mają na niego znacznie więcej niż tylko zeznanie dyrektora.

– Idę do adwokata – ruszyła do wyjścia – i wszystko mu opowiem.

Otworzyła drzwi, ale zatrzasnął je, sięgając ponad jej głową.

– Obiecuj, że nie podejmiesz żadnych kroków – powiedział z naciskiem.

Odwróciła się i spojrzała na niego wyzywająco.

– Obiecuj – powtórzył.

– Nie będę ci składać obietnic, których nie zamierzam dotrzymać.

– Ale z ciebie uparciuch – warknął.

– Przyganiał kocioł garnkowi – odcięła się tym samym tonem.

Zastanawiał się gorączkowo, jak odsunąć ją od policyjnego śledztwa, jak ją zepchnąć na drugi plan, by nic jej nie zagroziło. Musiał skierować jej uwagę na coś bezpiecznego.

– Skorzystam z twojej propozycji – powiedział najłagodniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć – jeśli nie będę miał innego wyjścia. – Widział, jak opadły jej napięte ramiona. – A tymczasem, jeśli chcesz mi pomóc...

Pokiwała żarliwie głową.

– Postaraj się ustalić, kto wynajmuje suterene przy Wrocławskiej trzydzieści dziewięć. Pokój od ulicy.

Głośno odetchnęła.

– Dobrze. Dobrze. – Uśmiechnęła się blado. – Może przyjdiesz dziś wieczorem

do nas? Jak będzie po wszystkim?

– Przykro mi. Już przyjąłem zaproszenie doktora Chłapowskiego.

Przygryzła wargę.

– Może przy innej okazji.

Skinął głową.

– Bądź ostrożny.

– Bądź spokojna.

Za kwadrans ósma Jan sięgnął po płaszcz. Był prawie pewien, że Schliemann nie przyjmie go o ósmej, ale wolał nie przeciągać struny. Kiwnął ręką Mateuszowi, który miał minę, jakby rozstawał się ze skazańcem idącym na szafot, zabrał gazety i wyszedł z hotelu.

Na perłowoszarym niebie wisiało słońce, które zdawało się zbyt znużone, by świecić, a po wyszarzałym śniegu szli równie znużeni ludzie. Wielu z nich wróciło z zabawy dwie godziny wcześniej, a teraz – półprzytomni – szli leczyć, operować, uczyć i budować.

Radca Schliemann oczywiście nie mógł przyjąć Morawskiego i Polakowi wskazano miejsce w poczekalni. Jan miał do wyboru: słuchać niemieckich rozmów, czytać niemieckie gazety lub zapoznać się z projektami niemieckich rozporządzeń. Niektóre w swej drobiazgowości nadawałyby się do kącika humoru, gdyby nie fakt, że były jak najbardziej prawdziwe. Dla przykładu: władze postanowiły wypowiedzieć wojnę najmodniejszym powłóczystym sukniom, które wzbijały tumany kurzu. W marcu 1901 wchodziło w życie rozporządzenie – *Strassen-Polizei-Verordnung für die Stadt Posen* – zgodnie z którym policjanci poznańscy powinni czuwać, by panie nie zanieczyszczały sukniami powietrza, a w przypadku bezskutecznego napominania mieli nakładać grzywny. Morawski przypuszczał, że w kwietniu wejdzie rozporządzenie określające maksymalną dopuszczalną średnicę damskich kapeluszy.

Wreszcie tuż przed dziesiątą zaprowadzono Jana do gabinetu radcy Gottschalka, szefa policji kryminalnej. Za biurkiem siedział – jakżeby inaczej – radca von Schliemann, wyraźnie zadowolony. Jego jasna czupryna była zaczesana idealnie do

góry, a złote oprawki okularów połyskiwały, tak jak znaczek Hakaty w klapie marynarki.

– Zastępuje pan radcę Gottschalka? – spytał Jan, siadając.

– Można tak powiedzieć. Radca Gottschalk został odsunięty, przepraszam, przesunięty. – Przełożył kilka kartek na biurku. – Wiem, że musiał pan czekać, ale tyle osób się zgłosiło z zeznaniami... Tyle osób zwróciło na pana uwagę... Mógłby pan to nawet potraktować jako komplement. – Skinął na protokolanta. – Zaczniemy od początku, czyli od tego, kiedy poznał pan pana Orzelskiego.

– W miniony czwartek, w Bazarze.

– Nigdy wcześniej?

– Nigdy wcześniej.

– To dziwne. Znali się panowie cztery dni, a już doszło do gróźb i machania rewolwerem?

– Nie wiem nic o żadnych groźbach.

– Przypomnę panu zatem. Wczoraj przed południem – spoglądał w kartki – służba hotelowa słyszała krzyki dochodzące z pańskiego pokoju, a gdy przybiegł dyrektor Kollat, trzymał pan broń i mierzył do pana Orzelskiego.

– To pan Orzelski przybiegł do mojego pokoju ze swoim rewolwerem. Z nieznanых powodów wbił sobie do głowy przekonanie, że mu zagrażam. Nagle zaczął się trząść i rzucił broń na dywan. Podniosłem ją i wtedy nadbiegł dyrektor. Wydaje mi się, że pan Orzelski cierpiał na manię prześladowczą, i może powinni panowie skontaktować się z jego lekarzem.

– Oczywiście nie ma pan świadków.

– Oczywiście nie.

– A czy ma pan w zwyczaju odwiedzać pokoje hotelowe pod nieobecność zajmujących te pokoje gości? Jeśli ma pan ten zwyczaj i w grę wchodzi więcej takich przypadków, dodam, że mam na myśli wczorajsze popołudnie, około godziny piątej.

– Pan Orzelski zostawił u mnie rewolwer. Poszedłem go odnieść. Drzwi były uchylone, więc wszedłem i odłożyłem jego własność na stół.

– Oczywiście nie ma pan świadków.

– Oczywiście nie.

– Czy nie dziwi pana, że już druga osoba umiera wkrótce po kłótni z panem?

Jan zmrużył oczy. Albo nie znaleźli podrzuconego opakowania, bo zabrał je ten tajemniczy ktoś razem z sygnetem rodowym, albo Schliemann postanowił go nie znaleźć. To by oznaczało kłopoty...

– Mówi pan o nim tak spokojnie – ciągnął Niemiec – ale chyba czuł pan do niego urazę, bo zaledwie kilka godzin przed śmiercią pana Orzelskiego, gdy wymieniono jego nazwisko, zachnął się pan i powiedział ostro: „Nie mam ochoty o nim słuchać!”. – Radca obrócił kartkę. – Tak, to zeznanie pańskiego rodaka, pana Henryka Terleckiego.

– Powiedziałem: „Nie mam ochoty o tym słuchać!”. To była reakcja na fakt, że w mojej obecności państwo Terleccy powtarzali wstrętne plotki o kobiecie.

Radca Schliemann uśmiechnął się.

– Wiemy też, że w sobotę wieczorem zmarły skarżył się kilku osobom, że pan go dręczy.

– Już panu mówiłem, pan Orzelski cierpiał na manię prześladowczą i uwierzył, że ja mu zagrażam. Proszę się skontaktować z jego lekarzem.

– Na wszystko ma pan taką zgrabną odpowiedź. A jak pan wyjaśni to?

Z leżącej na biurku koperty wyjął książkę, którą Morawski od razu rozpoznał. *Our paper currency; the most complete, accurate and reliable instruction extant in regard to all the safeguards found on genuine paper currency*⁶¹. Kilka miesięcy wcześniej Jan przeczytał ten amerykański poradnik i wysłał Oskarowi.

– Znaleźliśmy ją w neseserze, który zabrano z ciałem. – Schliemann wyjął ze środka kartonik i przeczytał: – „Bardzo pouczająca lektura. Jan Morawski”.

– Dałem ją panu Oskarowi Krause, temu, który zginął w wybuchu, bo dotyczyła naszych wspólnych działań, ale skoro znalazła się u pana Bernarda Orzelskiego, to najwyraźniej otrzymał ją właśnie od pana Krause.

– Przecież się nie znali.

– Przecież się znali. Widzieli się w sklepie Żychlińskiego kilka godzin przed

wybuchem.

– Zatem najpierw wysłał pan bombę Krausemu, a potem otruł jego znajomego Orzelskiego.

– O ile pamiętam, nie znaleziono dowodów, że wysłałem bombę Krausemu.

– Dowodem jest to, że teraz nie żyje Orzelski, znajomy Krausego.

– Przed chwilą twierdził pan, panie radco, że się nie znali.

Schliemann zaśmiał się i z miłym uśmiechem oświadczył:

– W trosce o życie kolejnych osób jestem zmuszony pana aresztować.

– A co z tym człowiekiem, którego widziano, jak pół godziny po północy wchodził do pokoju pana Orzelskiego?

– To pan nim był.

– Od północy do pierwszej rozmawiałem z doktorem Chłapowskim.

– Zatem albo doktor Chłapowski się myli, albo myli się świadek.

Od drzwi dobiegł głos:

– Świadek zdecydowanie twierdzi, że jakiś mężczyzna tam wchodził pięć po wpół do pierwszej.

Schliemann zerwał się na nogi.

– Dzień dobry, panie prezydencie.

Morawski obrócił się i również wstał. A więc to był Hans von Hellmann⁶². Jego powierzchowność sprawiała zawód: był chuderlawy, miał dużą głowę i poruszał się drobnym kroczeniem. Nieznacznie uklonił się Janowi, ale koncentrował uwagę na radcy.

– Twierdzi też, że widział niskiego mężczyznę. – Zmierzył spojrzeniem Morawskiego, który przewyższał go o głowę. – Nie tego zatem.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ten świadek to starszy człowiek, a o tak późnej godzinie w korytarzach hotelowych panuje półmrok. Na pewno się pomylił.

– Ten świadek to niemiecki fizyk, więc możemy chyba zaufać jego dokładności.

– W takim razie myli się doktor Chłapowski. Przyszedł o innej godzinie. Jego roztargnienie jest legendarne.

– W recepcji odnotowano, że wszedł dwie minuty przed północą i pytał o numer pokoju pana Morawskiego. I gdybym był na pańskim miejscu, nie podważyłbym zeznań doktora Chłapowskiego. Naczelny prezes prowincji von Bitter i nadburmistrz Witting tego nie przełkną. – Popatrzył na podwładnego z przyganą. – Ustalmy więc, że trzydzieści pięć minut po północy do pokoju numer dwadzieścia jeden wchodził ktoś inny. Na przykład hrabia Krajewski. Tak zeznała pasierbica zamordowanego, czyż nie?

– Twierdzi, że po rozmowie z ojczymem widziała Krajewskiego na tym korytarzu – zaśmiał się Schliemann. – Ale oskarżyła go z zemsty, bo nie chciał się z nią ożenić. Wszyscy o tym wiedzą. Jej zeznanie nie ma żadnej wartości.

– Ma wartość, dopóki nie zostanie podważone czymś mocniejszym niż plotka.

Jan przyglądał się zafascynowany temu pojedynkowi.

– Tę kwestię trzeba wyjaśnić – kontynuował von Hellmann – choć jest drugorzędna, bo truciznę najprawdopodobniej dostarczono wcześniej. A teraz przyszedłem w innej sprawie. – Prezydent mówił powoli, irytująco wręcz powoli. – Otóż doszło do mnie, że znalazł pan w pokoju denata pewien przedmiot, który stanowi dowód, że trucizna była przeznaczona dla pana Morawskiego i tylko przez pomyłkę trafiła do pokoju Orzelskiego. – Wyciągnął dłoń i funkcjonariusz, który z nim przyszedł, a dotąd stał w progu, zbliżył się i rozłożył na biurku pognieciony, podarty szary papier ze sznurkiem i wizytówką. – Zaadresowane do pokoju dwanaście, czyli do pana Morawskiego, dostarczone do dwadzieścia jeden, czyli do ofiary. Przypięta wizytówka doktora Chłapowskiego. Podobno pan to widział, panie radco, ale chyba zapomniał pan włączyć do protokołu, bo w raporcie, który mi pan przesłał, nie ma o tym wzmianki... A to opakowanie jednoznacznie wskazuje, że to pan Morawski był celem zamachu. Tak jak mógł być celem zamachu w czwartek. Bo naraził się niejednemu, jak wynika z naszych archiwów. Pan tam czasami zagląda?

– Całkiem często.

– Może do niewłaściwych działów. Byłoby lepiej, gdyby zamiast studiować historię mojej rodziny, zajrzał pan do kartoteki pana Morawskiego. Opisane są tam jego wspólne śledztwa z policjantami, między innymi z radcą Englem z Frankfurtu. Radca Gottschalk depešował do Frankfurtu już w piątek i otrzymał zapewnienie, że

pan Morawski mógłby kogoś zastrzelić, co mu się już zdarzało, ale na pewno nie wysłałby nikomu bomby.

Schliemann stał wyprostowany jak struna i coraz bardziej unosił brodę, mierząc małego człowieka spojrzeniem, które nie wróżyło niczego dobrego.

– Nie sądziłem – rzekł oschłym tonem – że prezydenta policji interesują takie drobne sprawy.

– Trzecie morderstwo w ciągu pięciu dni to wystarczający powód, bym się tym zainteresował.

Jan podszedł do biurka. Wygładził papier i odwrócił wizytówkę, by móc ją odczytać.

– Podczas sobotniego balu skarżyłem się doktorowi Chłapowskiemu, że coraz częściej dokuczają mi ataki astmy, i zalecił mi belladonnę...

– Zapewne słyszało to wiele osób – zasugerował prezydent, a Morawski przytaknął. – To wiele wyjaśnia. Czy padły pytania – pan von Hellmann zwrócił się do protokolanta – o te diapozytywy i inne materiały znalezione na szafie?

Zdenerwowany policjant stanął na baczność i pokręcił przecząco głową.

– Sądziłem – prezydent przeniósł wzrok na radcę – że wezwał pan pana Morawskiego na konsultację w tej sprawie, wszak został zatrudniony przez Reichsbank. Zapewne mógłby panu pomóc.

– Nie potrzebuję jego pomocy.

– W takim razie proszę go zwolnić. Przynajmniej do czasu, aż znajdzie pan przeciwko niemu mocniejsze dowody. *À propos* dowodów, nie życzę sobie manipulowania nimi, panie radco. Zwłaszcza dla celów pewnych organizacji. Niemcy to państwo prawa i mnie bardzo podoba się myśl, że temu państwu służę.

Prezydent wyszedł z gabinetu, a Jan ruszył za nim, życząc radcy udanego dnia.

Przy portierni musiał przysunąć się do ściany i iść z odwróconą głową, dostrzegł bowiem panią Terlecką, która atakowała policjanta siedzącego za ladą.

– Chcę odwołać zeznanie mojego męża – oświadczyła.

Morawski przystanął i zaczął czytać jakieś ogłoszenie.

– Zeznał, że pewien młody człowiek, niezwykle sympatyczny i dystyngowany,

mój przyszły zięć właściwie, skrzywił się na wzmiankę o tym otrutym. Nie było żadnego skrzywienia. Mój mąż jest po prostu głupi.

– Niech pani mąż przyjdzie odwołać zeznania.

– To niemożliwe, doznał w pracy ataku nerwowego. Czytał sobie gazetę jakby nigdy nic...

Morawski wyszedł, żegnany napisem na drzwiach: „Czekamy na państwa informacje o wszelkich nieprawidłowościach”.

[61](#) *Our paper currency... – Nasze pieniądze papierowe. Najbardziej kompletny, dokładny i wiarygodny przewodnik po zabezpieczeniach stosowanych na autentycznych banknotach.* Autor: Byron N. Rooks.

[62](#) Hans von Hellmann (1857–1917) – niemiecki prawnik i polityk, w latach 1897–1908 prezydent policji w Poznaniu.

ROZDZIAŁ 26

W czasie tych prawie czterech godzin, które Jan spędził w Dyrekcji Policji, słońce strząsnęło z siebie dokuczliwy *Katzenjammer*⁶³ i w pełnym blasku podróżowało po intensywnie błękitnym niebie.

Morawski spojrział na zacieniony trotuar biegnący wzdłuż południowej pierzei placu Wilhelmowskiego i postanowił wrócić do hotelu przez środek skweru. Minął *Löwendenkmal*, pomnik postawiony dla upamiętnienia bitwy pod Nachodem, i spojrział w kamienne oczy lwa, który patrzył na wschód, wskazując Niemcom kierunek marszu. Morawski zapalił cygaro i idąc powoli, próbował zaprowadzić jakiś porządek w myślach.

Ktoś go wrabiał – Mateusz miał rację, Jan musiał to przyznać. Najpierw próbowano obciążyć go śmiercią Oskara, potem morderstwem Ignasia – jeśli chłopiec nie zginął tylko po to, by można było o oba przestępstwa oskarżyć właśnie Morawskiego. Tym jednak, co ostatecznie utwierdziło Jana w przekonaniu, że przeciwnik chce usunąć go z drogi, był nieudolny list z wyznaniem samobójstwa, rzekomo napisany przez Orzelskiego i podrzucony – co za bzdura! – dyrektorowi hotelu. Było jasne, że Schliemann od razu przejrzy fałszerstwo i zacznie szukać prawdziwego autora listu. Gdyby nie przypadek, który zrządził, że Morawski był obecny przy dostarczeniu tego listu...

No i ta książka, którą dał Oskarowi. Mogła trafić do Orzelskiego przez Oskara... Nie, nie mogła, przecież Oskar szantażował Bernarda, więc książka była dowodem wrabiania, tak jak kartka z notesu. A może Oskar dał ją jednemu z fałszerzy, nie wiedząc, że Bernard należy do szajki? Potem zobaczył go w sklepie Żychlińskiego i zaczął grozić ujawnieniem przeszłości.

Swoją walkę prowadzili przeciw Janowi hakatyści, ukrywając dowody na jego obronę, a stronniczo interpretując pozostałe ślady. Po co? Dla samej przyjemności

zaszkodzenia Polakom? Nie, znaczenie Morawskiego dla Poznania było żadne. Coś zatem odkrył lub do jakiegoś odkrycia się zbliżył.

Wrócił myślą do książki – to jej pojawienie się najbardziej skomplikowało jego sytuację, bo potwierdzało, że znał Orzelskiego. Otrzymał ją od Jana Oskar i albo przekazał szajce fałszerzy, do której należał Bernard, albo fałszerzowi, który podrzucił ją do pokoju zamordowanego Bernarda. W każdym razie samo znalezienie się książki w pokoju Bernarda świadczyło o tym, że Krause grał na co najmniej dwa fronty. Morawski analizował dalej: wiedział, że Oskar współpracował z Hakatą, i podejrzewał, że spiskował też z fałszerzami. Najprawdopodobniej więc Schliemann chciał go – Jana – unieruchomić, by nie odkrył, co Krause szykował na zlecenie Hakaty.

Morawski z satysfakcją pokiwał głową, lecz nagle jego uśmiech znikł. A może książka wcale nie była w pokoju Bernarda, tylko do neseseru trafiła prosto z rąk Schliemanna?

I co się stało z sygnetem Orzelskiego i jego papeterią? Ktoś je zabrał, by w jakiś sposób wykorzystać, czy w celu zmylenia śledczych, odwrócenia ich uwagi od jakiegoś istotnego szczegółu?

Jan zgniótł cygaro i rzucił je na śnieg. Nie potrafił rozwiązać tej płątaniny. Postanowił podejść do tematu od innej strony: kartkę i najpewniej także książkę podrzucił morderca Orzelskiego, trzeba więc znaleźć mordercę. Uff! To się wydawało prostsze.

Dlaczego zginął Bernard? Jeśli należał do czwórki i szykował się do wyjazdu, pozostali mogli uznać, że chce ich zdradzić. Ich, czyli kogo?

Kto widział wcześniej ten notes? Morawskiemu stanęła przed oczyma scena w winiarni, gdy Orzelski zobaczył u niego kartę wizytową Krausego i zaadresowany do niego list. Jan pisał wtedy w swym notesie i wszyscy obecni mężczyźni ten notes widzieli. Każdy z nich mógł wykorzystać tę wiedzę, by ukraść mu kartki, nieudolnie spreparować list pożegnalny Bernarda i rzucić podejrzenie na właściciela takiego notesu. Każdy z nich mógł więc być mordercą.

Doszedł do skraju placu, *vis-à-vis* budowy muzeum, gdy po prawej stronie

zobaczył idącego spiesznie do Bazaru Mateusza. Chyba wracał z Dyrekcji Policji. Morawski ruszył ku niemu.

– Wszędzie pana szukałem! – Mateusz przywitał Jana wyrzutem, gdy spotkali się na rogu. – Pan sobie spaceruje, a ja umieram...

– Potrzebowałem słońca. Co załatwiłeś?

– Byłem u doktora Chłapowskiego i wszystko mu opowiedziałem. Poszliśmy razem do patrona i jemu też wszystko opowiedziałem. Obiecał, że się zajmie i drukarnią, i Dolskiem. Kopertę oddałem. Potem poszliśmy razem z doktorem do prawnika, pana Trąpczyńskiego, i też mu wszystko opowiedziałem. Ten prawnik powiedział, że Schliemann ostatnio się rozpanoszył i podobno kopie dołki pod prezydentem policji von Hellmannem. I jeżeli uda się przekonać prezydenta, że Schliemann gotów jest na wszystko, byle się popisać przed Berlinem i zająć jego miejsce, będzie pan uratowany.

Przechodzili wolno przez ulicę Wilhelmowską.

– Co ustalili śledczy w hotelu?

– Najprawdopodobniej ostatnią osobą, która rozmawiała z panem Bernardem, była pani Anasztazja, piętnaście lub dwadzieścia minut po północy.

– Jakże to dziwne, że była w hotelu. Przecież każdą zabawę opuszcza ostatnia.

– Recepcjonista mówił, że wróciła nagle z balu i pobiegła prosto na górę.

Stanęli przed Bazarem, ale Jan nie chciał tam wchodzić, dopóki nie usłyszy wszystkiego, co Mateusz ma do powiedzenia. Ruszyli w stronę narożnika i skręcili w ulicę Nową.

– A ten mężczyzna widziany po wpół do pierwszej?

– Zeznania świadków się różnią. Ktoś widział, że jakiś mężczyzna kręci się po korytarzu, ktoś widział, że wchodzi do tego pokoju. Ale rysopis jest taki sam. Niewysoki, raczej szczupły, chyba w ubraniu wieczorowym.

– Maks, Henryk Terlecki, Artur, także Walewski – wyliczał Jan. – Z naszych dotychczasowych podejrzanych odpada Ludwik, ze względu na tuszę.

– *À propos* pana Ludwika, była u mnie panna Izabela. Bardzo zaniepokojona, chyba kompletnie zawrócił jej pan w głowie.

Morawski chrząknął i Mateusz zgasił uśmiech.

– Co to ja mówiłem? – zawahał się. – Pytała, czy coś wiem. Chciała pójść do pana Trąpczyńskiego, tego prawnika, i wyznać mu, że była świadkiem tego grożenia bronią, ale powiedziałem jej, że to nie jest najgorsze. Że był pan w pokoju pana Bernarda jeszcze raz tego wieczoru. Potem ja wyszedłem z doktorem, a ona wróciła o dziesiątej z innym pomysłem. Otóż gospodyni jej ciotki, niejaka Marcjanna, ma chrześniaka, który pracuje w Bazarowej winiarni, tam gdzie bywał pan Bernard. Poszedłem do tej winiarni na pogawędkę z chrześniakiem. I proszę sobie wyobrazić, że pan Bernard był tam, i to pół godziny przed śmiercią.

– Sam?

– Nie, z panem Jankowskim. Najpierw przyszedł pan Ludwik z jeszcze jednym wysokim. Usiedli i czekali. Gdy przyszedł pan Bernard, wysoki odszedł, a tamci zaczęli się kłócić, a raczej pan Bernard się tłumaczył, a pan Ludwik krzychał: „Nie możesz pan się wycofać. Potrzebuję pieniędzy!”. Podobno był agresywny, aż sam szef winiarni go uspokajał. A pan Bernard powiedział, że decyzja zapadła, rano wyjeżdża. Zapłacił i wyszedł. A chwilę po jego odejściu przyszedł ten wysoki i dosiadł się do pana Ludwika. Strasznie się jąkał i wciąż powtarzał: „Mu-mu-muszę z nim po-po-porozmawiać”.

– Tomasz Leśniewicz.

Dotarli na Stary Rynek. W oddali, między ulicami Wrocławską a Jezuicką, Morawski dojrzał wielkiego mężczyznę w wielkim futrze.

– Zaraz się dowiem, o co chodziło – powiedział do Mateusza. – Wracasz do hotelu?

– Nie, idę do panny Izabeli. Obiecałem, że dam jej znać, co z panem.

Jan spojrzał na niego zafasowany.

– Trzymaj ją od tego z dala, Mateuszu.

Już chciał dodać, że chyba faktycznie ktoś mu szyje buty, ale wyobraził sobie środki ostrożności, jakie od razu przedsięwzięłby kamerdyner.

– Obawiam się, że ona się nie zgodzi.

– O niczym jej nie mów. A gdy będzie pytać, nic nowego nie wiesz.

– Przecież zawsze miał pan żal do panny Konstancji właśnie o to, że gdy nic jej pan nie mówił, sama z siebie nie pytała. Poza tym to pan opowiedział pannie Izabeli o śledztwie i spiskach.

– Wiesz co? Idź już.

Morawski zostawił kamerdynera i poszedł w stronę pana Jankowskiego.

Pan Ludwik w swym codziennym wcieleniu – garnitur w szmaragdowo-wiśniową kratkę, rozpięte futro i futrzana czapka nasadzona na czubek głowy – przypominał amerykańskiego spekulanta. Ucieszył się na widok Morawskiego i wypytywał o morderstwo w Bazarze.

– A pan był już przesłuchiwany? – zainteresował się Jan.

– Nie, a dlaczego?

– Bo jako jeden z ostatnich rozmawiał pan z panem Orzelskim.

Pan Ludwik odsunął czapę na tył głowy i gestem odgonił zbliżającego się posłańca.

– W winiarni, po północy – dodał Morawski.

– Myślałem, że policja tego nie odkryła, bo nikt mnie nie nachodził.

– Nie interesuje mnie, czy to odkryli, czy nie. Ale muszę wiedzieć, o czym panowie rozmawiali.

– Przyszedłem do Orzelskiego i w recepcji dowiedziałem się, że rano wyjeżdża. Poprosiłem, by go sprowadzono do winiarni.

– Był pan sam?

– Nie, z młodym Leśniewiczem. To ten fajtłapowaty naukowiec. Usiedliśmy w winiarni, a gdy zjawił się Orzelski, Leśniewicz wyszedł, by na zewnątrz zaczekać na swoją kolej. Też chciał rozmawiać z Orzelskim.

– Podobno krzyczał pan na Bernarda.

– Proszę mnie zrozumieć. – Jankowski ujął Jana pod ramię i prowadził w stronę ulicy Wodnej. – Potrzebuję pieniędzy. Pilnie. Orzelski je miał. Przekonałem go, by przystąpił ze mną do spółki. Zgodził się. Myślałem, że to jest na zicher⁶⁴, więc uruchomiłem przygotowania do rozpoczęcia prac, a on mi mówi, że zwija wszystkie interesy i wyjeżdża. Jakby mu amba⁶⁵ odbiła. Święty by się wściekł, a co dopiero ja.

– Więc powiedział mu pan, co o tym myśli. Co było dalej?

– Wszedł, a po minucie wrócił Leśniewicz. Był okrutnie zawiedziony, że nie pogadał z Orzelskim. Posiedzieliśmy chwilę i za kwadrans pierwsza wyszliśmy. – Klepnął Jana po plecach. – No a teraz, skorośmy sobie wszystko wyjaśnili i już nie jestem podejrzany – zarechotał – pokażę panu kamienicę, którą sobie buduję, tu, przy Nowym Rynku. Powiadam panu, gigant. Kilkadziesiąt mieszkań na wynajem. Dla mnie będzie dziewięciopokojowy apartament. Mam już kupione meble, licytowano pewien pałac i kupiłem na pniu jak leci. Jest nawet obraz, ma cztery metry długości. Brakuje tylko żony, ale to już też załatwiam. Chodźmy.

– Mam bardzo wiele...

– A może pojedziemy obejrzyć te parcele przy Nowoogrodowej? Musi pan zobaczyć, co pan kupuje.

Morawski odwrócił się, by odejść, ale tamten go złapał za ramię.

– To chociaż chodźmy na obiad.

– Dopiero minęła dwunasta.

– Co masz zjeść za godzinę, zjedz od razu. To będzie taki wczesny przedobiad.

Nagle pan Ludwik kiwnął do kogoś i oddalił się kilka kroków. Morawski zamierzał się ulotnić, ale spojrzawszy w tamtą stronę i zobaczywszy, że bogacz rozmawia poufale z jakimś szmaciarzem. Postanowił poczekać.

– Prowadzi pan interesy z bardzo różnymi osobami – zauważył, gdy pan Jankowski skończył rozmowę, podszedł i prowadził Jana w stronę wschodniej ściany Rynku.

– Ja się nie wzbraniam przed kontaktami z nikim. A Aaron jest niezwykle przydatny. Są przecież sprawy, w których ja nie chcę występować, i on się sprawdza wyśmienicie. Choć może niedługo trudno będzie o takiego pośrednika. Żydzi uciekają do Niemiec, bo w atmosferze hakatyizmu nie można działać. Bojkot i szowinizm niszczą interesy. Ciekawe tylko, kiedy Niemcy będą mieli Żydów dość u siebie.

Weszli do restauracji pod numerem 46, na odcinku między Wodną a Butelską. Właściciel, pan Malicki, przywitał ich osobiście:

– Pański stolik czeka, panie Ludwiku.

Pan Jankowski wybrał to, co zawsze, czyli golonkę i piwo, a swego gościa namawiał:

– Radzę panu zamówić peklowane wieprzowe stóпки, uszy i ryjki. Najlepsze w mieście. Wpadam tu na nie codziennie po południu. W południe potrzebuję czegoś treściwszego i golonka zawsze na mnie czeka.

Morawski zdecydował się jednak na coś mniej niezwykłego: rostbef na zimno. Uznał, że przy jedzeniu ryjków mógłby nie opanować wysokoków wyobraźni.

– Tak, ja utrzymuję kontakty ze wszystkimi – chwalił się pan Ludwik, smarując golonkę musztardą. – W branży budowlanej nie ma miejsca na kręcenie nosem na narodowość. Niemieccy przedsiębiorcy są uzależnieni od polskich robotników i baumajstrów⁶⁶, polscy właściciele kamienic od niemieckich najemców.

– Zaskakuje mnie pan. Wciąż słyszę, że Poznań jest miastem złożonym z dwóch odrębnych społeczeństw, żyjących obok siebie, ale nie stykających się ze sobą.

– Wie pan, to jest szerszy problem. – Pan Jankowski jadł tak, jak mówił: głośno i szybko. – Działania władz faworyzują jedną grupę, powodują więc niezdrową rywalizację ekonomiczną. Każda ze stron wzywa rodaków, na łamach prasy i podczas zebrań, do bojkotu obcych towarów. Korzystanie z usług obcych rzemieślników, zakupy w niemieckich i żydowskich sklepach piętnowane są jako czyn niepatriotyczny. To się staje nie do zniesienia. – Chlebem otarł piwo z wąsów i mrugnął do kelnerki, która przyniosła drugi kufel. – Sam pan się przekona, jak to utrudnia życie.

– Ale Niemców chyba też to ciśnie, bo wyjeżdżają.

– Drogi panie, Niemców w Poznańskim trzymają subwencje i dopłaty. Mają fundusz premiowania właścicieli ziemskich za zatrudnianie niemieckich robotników, fundusz „dodatków wschodnich” dla nauczycieli i urzędników. Ustanowiono nawet prowincjonalny fundusz zwalczania polskiego stanu średniego. Gdy tylko Polacy w czymś się umocnią, Niemcy, pyk! – pan Ludwik dźgnął nożem w kierunku Jana – i wymyślają dopłaty, by jakieś niedojdy się skusiły i tu osiedliły. Jak zaczęło przybywać polskich medyków, uchwalono dopłaty dla niemieckich

lekarzy, żeby przynosili się na wschód. Zadziałało. A jeśli wyjeżdżają, to dlatego, że pobyt tu przestał im się opłacać.

Pan Jankowski dopił piwo i zamilkł, z satysfakcją wpatrując się w idealnie czysty talerz. Morawski złożył sztucce i rzekł:

– Powtórzę pańskie słowa: to szerszy problem.

Pan Ludwik podniósł wzrok, a Jan kontynuował:

– W ciągu ostatnich kilku dni miałem okazję zetknąć się z tutejszymi Niemcami. Znakomita większość z nich odnosi się do Polaków jeśli nie przyjaźnie, to w każdym razie bez wrogości. Ale gdy tylko na horyzoncie pojawia się ktoś z Hakaty, ci neutralni dotąd Niemcy jakby tracili niezależność myślenia i swoje umiłowanie prawa. I postępują tak, jak tamci im zagrają. Garstka ekstremistów manipuluje całym społeczeństwem. Mniejszość narzuca normy większości.

– Ciekawe, do czego to doprowadzi – westchnął pan Jankowski.

Wyszli z restauracji i wpadli prosto na doktora Chłapowskiego. Pan Ludwik pożegnał się i odszedł w stronę ulicy Szerokiej, krzycząc na cały głos do jakiegoś znajomego: „Te, Eda! Jedziesz ze mną do piarni?”.

– Idę do apteki – oznajmił doktor.

– Pójdę z panem. To pan zalecił panu Orzelskiemu belladonę, prawda? I w piątek kazał mu pan zwiększyć dawkę. – Tamten pokiwał głową. – A czy pan Bernard kupił dodatkowe opakowanie?

– Zostawiłem mu receptę i przekonamy się, czy ją zrealizował. Ale jak mówiłem, zaleciłem *Tinctura belladonnae*. Nalewkę, nie ekstrakt, który stał na biurku.

– A czy ustalono już, jaka była przyczyna śmierci?

– Biedzą się nad tym, na razie obliczyli, że umarł między kwadrans po północy a za kwadrans pierwsza.

Weszli do apteki pod numerem 41. Zjawił się właściciel, pan Gierłowski, i przedstawił lekarzowi rachunek za wydane w ostatnich dniach leki dla ubogich: dwadzieścia siedem marek. Doktor zaczął macać się po kieszeniach, ale Morawski otworzył portfel i podał Gierłowskiemu trzy banknoty dziesięciomarkowe.

– I tak się panu nie wypłacę, doktorze.

– Jak chcesz płacić, to płacić. – Lekarz uśmiechnął się do aptekarza. – Wypisałem receptę na nalewkę z belladonną dla pana Orzelskiego. Czy pamięta pan może, kto ją wykupił?

– Młoda dama, taka niewielka i przymilna. Siostrzenica czy chrześniaczka. – Pogładził się po brodzie. – Dziwna sprawa z tą belladonną. Pamiętam dobrze, że w sobotę rano były trzy buteleczki nalewki, w raporcie sprzedaży mam wymienioną jedną, a wieczorem była tylko jedna, prawda, Jurku? – zwrócił się do swego pomocnika.

Chłopak spiekł raka i coś burknął.

Morawski z panem Chłapowskim wyszli z apteki.

– Nie czuj się moim dłużnikiem – mówił lekarz. Wybierał się do pacjenta na ulicy Wronieckiej i Jan postanowił kawałek go odprowadzić. – Ja tylko poszedłem z tym twoim przyjacielem do Trąmpczyńskiego, a on ruszył do prezydenta Hellmanna i przekonał go, że Schliemann chce się odbić na tym śledztwie i zająć jego miejsce. Ta dwójka ciągle drze koty, więc wszystko, co powiedział Trąmpczyński, trafiło na podatny grunt. Ale i tak niewiele by zdziałał, gdyby nie zjawił się ten detektyw, który mówi po polsku, nie pamiętam, jak się nazywa, ale jego syn cierpiał na reumatyzm, zabrałem go dwa lata temu na kilka miesięcy do Kissingen. Widział mnie z tobą w nocy i pytał, kim jesteś, bo podobno zapobiegłeś jakiejś wpadce poprzedniego dnia, chodziło o jakąś rewizję w hotelu czy coś takiego. Powiedziałem, żeś mój krewniak, i sobie poszedł. A potem się okazało, że ruszył do Hellmanna i zaniósł jakieś opakowanie, które Schliemann kazał spalić, a które przemawiało na twoją korzyść. Bez tego prezydent nic by nie zrobił. Ma obsesję na punkcie przestrzegania prawa, więc jak zobaczył ten papier, byłeś uratowany.

– Więc jednak wszystko zawdzięczam panu.

Chłapowski machnął ręką i z Rynku skręcił we Wroniecką.

– Widzimy się wieczorem?! – zawołał za nim Jan.

– Nie mówiłem ci? Gdy się umawialiśmy, zapomniałem, że dzisiaj o osiemnastej odbywa się walne zebranie członków PTPN. Więc musimy przełożyć nasze

spotkanie. Chyba że przyjdiesz zjeść kolację z moją rodziną.

– Nie, nie, dziękuję. Znajdziemy inny termin.

Lekarz ruszył w swoją stronę, unosząc dłoń na pożegnanie.

A Morawski się uśmiechnął. Może Izabela jeszcze nie miała planów na wieczór i to zaproszenie, którego rano nie mógł przyjąć, było nadal aktualne.

Szedł do Bazaru i myślał o śmierci Bernarda. Nagle zwolnił. Przypomniały mu się słowa wypowiedziane poprzedniego dnia przez Cecylię Walewską, jakoby „wszyscy mówili” o pieniądzach ukrytych w Bazarze. Ona była przekonana, że są u Bernarda. Może inni też tak sądzili? Przecież wszyscy mówili tylko o pieniądzach, myśleli o pieniądzach, starali się o pieniądze i polowali na nie. Może Orzelski zginął po prostu przez pieniądze?

Jan wszedł do Bazaru głównym wejściem. W sieni zderzył się z wychodzącym Maksem. Krajewski był blady, wyglądał na przygnębionego, a do tego miał na sobie garnitur nie najwyższej jakości. Dostrzegł chyba spojrzenie Morawskiego, bo szybko zapiął płaszcz.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – zaczął Jan.

– Spieszę się. Mam spotkanie.

– W sprawie pieniędzy?

– A żebyś wiedział.

– Więc będzie krótko. Anastazja zgłosiła się na policję i oświadczyła, że w nocy widziała cię przed drzwiami do pokoju swego ojczyma. Około wpół do pierwszej.

– To wiedźma.

– Gdzie byłeś w tym czasie?

– Jeśli już musisz wiedzieć, wyszedłem z balu z Arturem. Przeszliśmy się do jednego lokalu na Rybakach, ale było dennie, więc przed pierwszą wróciłem do hotelu. A teraz muszę już iść.

Następną osobą, którą Morawski spotkał, był hotelowy pikolak.

– Poproś pannę Cecylię Walewską do salonu na pierwszym piętrze.

Dał chłopakowi monetę i tamten wystrzelił jak z procy.

Dziewczyna zjawiała się dość szybko. Jeszcze bardziej niż przedtem

przypominała sponiewieraną nimfę. Wyglądała tak mizernie, jakby się żywiła połykanymi słowami i wylewanymi łzami.

– Panno Cecylio, mam kilka pytań...

– Słyszałam, że pan otruł pana Bernarda. To straszne.

– Panno Cecylio, wczoraj, gdy zastałem panią liczącą pieniądze pana Bernarda – przypomniał jej dla otrzeźwienia – powiedziała pani, że w hotelu są pieniądze i wszyscy o tym wiedzą.

Przytaknęła.

– Kto to są wszyscy?

– No, wszyscy.

– A od kogo pani to usłyszała?

– Nie wiem.

– A od kogo dowiedziała się pani, że te sto tysięcy marek ukrytych w Bazarze jest właśnie u pana Bernarda?

– Od Henryczki. W najściślejszej tajemnicy. Na sobotnim balu. Ale Henryczka na pewno nikomu nie powiedziała, bo nawet mnie kazała przyrzec milczenie. Powiedziałam o tym tylko Maksiowi.

Jan mógł zatem założyć, że mameczka o wszystkim wiedziała. Przez otwarte drzwi zauważył, że korytarzem nadchodzi hrabia Walewski i zagląda za zasłony.

– Pani ojciec czegoś szuka?

– Papa z nerwów cały czas spaceruje po hotelu. To go uspokaja.

„Uspokojony” hrabia wpadł do salonu jak rozhukany byk.

– Co ty tu robisz? – warknął na widok córki. – Idź i odpisz na ten list. – Podał jej kartkę papieru. – Napisz, że odmawiam zapłaty.

– Ależ papo, on pisze, że pożyczył nam pieniądze i jeśli nie oddamy...

– Najpierw niech się nauczy zasad korespondencji, impertynent jeden. List do wyżej postawionych należy zacząć poniżej połowy strony, użyć większego papieru, zostawić duże marginesy, a w pierwszym zdaniu powtórzyć tytuł z nagłówka: „Szanowny panie hrabio! Ośmielony pismem pana hrabiego...”. Nie będę płacił ordynusowi, który nie zna podstawowych reguł. Napisz odmowę.

Dziewczyna opuściła salon, a wyżej postawiony zaatakował Morawskiego:

– Gdzie pan był?

– Na policji.

– Szukał pan tego łotra, który mnie oszukał? – ożywił się hrabia.

Jan bez słowa wyszedł. Pobiegł na drugie piętro. Na korytarzu stały dwa policyjne biurka, z pokoju Orzelskiego dochodziły głosy, ale tłumy funkcjonariuszy zniknęły.

Zapukał do drzwi pokoju panny Nowackiej. Odezwała się, więc nacisnął klamkę. Przystanął w progu i zdążył dostrzec, że schowała coś pod papiery pokrywające stół, przy którym siedziała. W dłoni trzymała pióro.

– Chciałbym z panią porozmawiać. W salonie.

– Wolałabym zostać tu.

Westchnął i wszedł. W całym pomieszczeniu pachniało tym charakterystycznym dla Anastazji słodkim, owocowym aromatem.

– W sobotę kazała pani Henryce wyznać Cecylii, że w pokoju pani ojczyma znajduje się poważna suma pieniędzy. Czy tak?

– Być może.

Nie spytał, dlaczego to zrobiła, bo powód znał. Interesowało go coś innego.

– Czy ktoś mógł słyszeć pani rozmowę z Henryką?

Wzruszyła ramionami.

– Myśli pan, że ojczym zginął przez te mityczne pieniądze?

– Być może.

Cały czas jej się przyglądał. Była spięta, a po jej żartobliwości nie pozostał ślad.

– To absurd – prychnęła. – Już od soboty gadano, że w hotelu są pieniądze: w kuchni, w piwnicach, na poddaszu. Ale kto by się przejmował plotką?

– Dlaczego wróciła pani wcześniej z balu?

– Już mnie o to pytano.

Milczał, więc odpowiedziała.

– Po północy dostałam liścik od ojczyma z informacją, że on rano wyjeżdża. Wróciłam, by go namówić do zmiany planów.

– O której go pani zostawiła?

– Dwadzieścia minut po północy. Gdy wychodziłam, pił z tej buteleczki.

Morawski lekko pokiwał głową.

– Buteleczki z belladonną. To była jedna z tych dwóch, które kupiła pani w sobotę?

Odłożyła pióro i opadła na oparcie krzesła.

– Już pan to odkrył? Jedną dałam ojczymowi, drugą tej idiotce Cecylii. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Powiedziałam jej, że to cudownie powiększa oczy, co na pewno spodoba się Maksowi. Ale ta kretynka ją zgubiła. – Anastazja potrząsnęła rozczapierzonymi dłońmi. – Nie dość, że się tym nie posmarowała, cielę jedno, to jeszcze nie mogę na nią donieść, bo to ja tę flaszkę kupiłam! – Uderzyła piąstkami w stół. – Nie mogę jej znieść, tą cielęcinością psuje mi każdy plan.

– Maks jest nią zachwycony.

Zerwała się na równe nogi i oparła o blat stołu.

– Proszę się nie wysilać. To już nie działa. Z Maksem koniec. A on jeszcze pożałuje.

– I dlatego doniosła pani na niego?

Popatrzyła na niego zdumiona, więc wyjaśnił:

– Spędziłem całe przedpołudnie na policji.

– Naprawdę go widziałam na korytarzu. Około wpół do pierwszej. Tylko wyjrzałam z pokoju, bo wydawało mi się, że coś słyszę. Miałam nadzieję, że poszedł po rozum do głowy i chce się o mnie oświadczyć.

Jan wpatrywał się w nią. Był pewien, że spryciara stosowała znaną metodę: jestem szczerą w drobiazgach, tak byś uważał mnie za szczerą w sprawach wielkich. Powiedziała prawdę na temat godziny swego powrotu, bo to było sprawdzalne; uznała, że zyskała kredyt zaufania i spokojnie może kłamać w innych kwestiach. Bo Morawski był przekonany, że nie widziała w nocy Maksa.

Gdy on tak rozmyślał, Anastazja również kalkulowała.

– Mam dla pana propozycję. Ojczym był moim opiekunem, a teraz mam przejść pod straż mojej koszmarnej matki chrzestnej. Nie zamierzam do tego dopuścić.

Proponuję panu interes. Jeśli się pan ze mną ożeni, przekażę pod pana kontrolę połowę mojej fortuny. I nigdy nie będę się wtrącać do pana spraw.

– Czy Maks, gdy go pani widziała na korytarzu, był ubrany tylko we фрак, czy miał też na sobie płaszcz?

Złapała szklany słój, który stał na stole, i rzuciła w Jana. Chybiła i słój rozbił się o ścianę.

A Morawski odkrył sekret otaczającego ją niebiańskiego zapachu: żywiła się ratafią rumową.

[63](#) *Katzenjammer* (niem.) – kac.

[64](#) Na zicher (gw. pozn.) – na pewno.

[65](#) Amba komuś odbiła (gw. pozn.) – zwariował.

[66](#) Baumajster (gw. pozn.) – mistrz budowlany.

ROZDZIAŁ 27

Jan zbiegł do swego pokoju. Wszedł i zobaczył śpiącego na rozkładanym łóżku Mateusza. Najciszej jak mógł zamknął drzwi, ale kamerdyner i tak się poderwał.

– Przepraszam – rzucił Morawski.

Mateusz opuścił stopy na podłogę i siedział z zamkniętymi oczami. Jan tymczasem sięgnął po hotelową papeterię, usiadł przy stole i napisał krótką wiadomość do Izabeli, że doktor Chłapowski odwołał ich spotkanie i jeśli jej plany na wieczór się nie zmieniły, chętnie skorzysta z zaproszenia.

– Coś do wysłania?

– To wiadomość do panny Boratyńskiej. Wyślę przez posłańca.

– Ja pójdę.

– Połóż się jeszcze.

Kamerdyner sięgnął po zegarek położony na łóżku tuż przy poduszce.

– Piętnaście po drugiej. To znaczy, że spałem półtorej godziny. Wystarczy. Zaniosę wiadomość, a pan się prześpi. Spał pan w nocy trzy godziny.

„Dwie” – pomyślał Jan. Jedną zastanawiał się, dlaczego Izabela nie przyszła.

– Idę do patrona Wawrzyniaka – oznajmił.

– Nie mówiłem panu? Cały dzień biega. Wróci na Wilhelmowską o wpół do czwartej. Może pan przyjść o dowolnej porze po trzeciej trzydzieści.

Teraz to Jan spojrzął na zegarek. Rzeczywiście, mógł się na godzinę położyć. Zdjął kapelusz, płaszcz i marynarkę, a potem poszedł do sypialni. Położył się na łóżku – tylko na chwilę, bo planował podnieść się jeszcze i zdjąć buty. Ostatnim dźwiękiem, jaki dotarł do jego świadomości, był trzask zamykanych przez Mateusza drzwi.

Morawski obudził się o czwartej. Przypuszczalnie spałby jeszcze dłużej, ale

popołudniowe słońce zalało pokój jasnym światłem, a Jan nie potrafił spać w takich warunkach.

W sąsiednim saloniku Mateusz czekał z informacją, że panna Izabela bardzo się ucieszyła i zaprasza na kolację na godzinę siódmą.

Dwadzieścia po czwartej Morawski w towarzystwie swego kamerdynera wyszedł z hotelu. Zamierzał najpierw porozmawiać z patronem o banku i włamaniu, a potem, gdy miną godziny urzędowania, przy pomocy Mateusza przeszukać biura i główną salę. W rewizji przydałby się też Marek, ale zniknął.

Po kilku minutach stanęli przed budynkiem przy ulicy Wilhelmowskiej 26. Fasada była udekorowana cegłą licówką, a na parterze po obu stronach bramy lśniły wielkie witryny eleganckich sklepów. Gdy Morawski widział to miejsce w piątek, uznał je za siedzibę Związku Spółek, teraz jednak zmarszczył czoło.

– A gdzie... bank?

– W oficynie – wyjaśnił Mateusz. – Też mnie to zdziwiło, więc zapytałem. Obniżają koszty własne, by móc wypłacać więcej klientom. Kamienica należy do banku, ale główny budynek jest wynajmowany, więc na siebie zarabia. To podobne rozwiązanie jak przy Teatrze Polskim. Tam przecież też przed budynkiem teatru stoi kamienica dochodowa i zapewnia teatrowi subwencję. Słowo daję, chyba tu złożę swoje oszczędności.

Przeszli przez bramę i na podwórzu skierowali się do prawego skrzydła. Jan z doświadczenia wiedział, że taka zaciszna lokalizacja znakomicie ułatwia włamywaczom pracę.

Przez środek głównej sali biegła lada rozdzielająca pomieszczenie na dwie części. Przy tym blacie siedziało trzech pracowników i każdy obsługiwał klienta. W głębi stały wysokie regały i pulpit, przy którym skrobał pisarz. Siedział na taborecie w kształcie siodła, obciągniętym skórą i obracającym się na długiej śrubie z drewna. Po lewej stronie znajdował się korytarz. Tam skierowano Jana i Mateusza, gdy poprosili o widzenie z księdzem patronem.

Kamerdyner znał drogę, więc prowadził. Minęli dwie pary drzwi i zapukali do tych położonych na końcu korytarza. Męski głos zaprosił ich do środka i weszli.

Najpierw zobaczyli ogromne, pełne zakamarków biurko z nadbudowanymi szafkami, w głębi wielką szafę, a pod ścianami metalowe regały z szufladami. Meble te zajmowały prawie całą powierzchnię, a gdy zza biurka wstał ksiądz Wawrzyniak, miejsca zrobiło się jeszcze mniej. Z drugiego krzesła podniósł się siwy mężczyzna z monstrualnymi wąsami i patron dokonał prezentacji: pan Józef Konstanty Kusztelan⁶⁷, dyrektor Banku Związku Spółek Zarobkowych.

– Jeśli panom przeszkadzamy... – zaczął Jan.

– Nie, nie – zapewnił dyrektor – ja właśnie wychodzę.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Morawski zwrócił się do patrona:

– Czy mógłby mi ksiądz wyjaśnić, bo trochę się pogubiłem... Zawsze kojarzył mi się ksiądz ze Związkiem Spółek, dopiero potem doktor Chłapowski uświadomił mi, że kieruje ksiądz Bankiem Związku, a teraz poznałem dyrektora banku...

– Spółdzielnie kredytowe są zrzeszone w Związku Spółek, a pod względem finansowym powiązane z Bankiem Związku Spółek. Zasadniczo bank i związek to dwie samodzielne organizacje połączone unią personalną: patron związku jest kuratorem banku.

Ksiądz wskazał swym gościom krzesła i usiedli.

– A po co w ogóle spółdzielniom bank? Przecież same przyjmują wkłady od członków.

– W spółdzielniach znajduje się czasami za dużo, czasami za mało kapitału. Bywa tak, że jedna spółka nie wie, gdzie ulokować pieniądze, a z kolei druga nie wie, jak mogłaby zasilić swą kasę na potrzeby członków. Niezbędny był pośrednik, a baliśmy się powierzyć obsługę polskiej spółdzielczości Niemcom. Dlatego powstał bank.

– Rozumiem. Bank jest spółką akcyjną, prawda? – Jan przeglądał ulotkę banku, na której zaznaczono, że przewodniczącym rady nadzorczej jest pan Stefan Cegielski.

– Tak, właścicielami są spółdzielnie. Lokują dziesięć procent kapitału własnego w akcjach banku. Dzięki temu korzystają z preferencyjnego oprocentowania wkładów i z taniego kredytu.

– I tylko spółdzielnie są klientami banku?

– Nie. Bank obsługuje i gospodarke spółdzielczą, i prywatną, ale na odmiennych zasadach. Na spółdzielniach prawie nic nie zyskujemy, bo celem banku jest wspomaganie spółdzielni, a nie zarabianie na nich.

– Jakie jest oprocentowanie?

– Dla spółdzielni niezmiennie: cztery procent od wkładów, zaś oprocentowanie kredytu to cztery i pół procent.

Morawski z niedowierzaniem pokręcił głową na tę minimalną różnicę.

– To z czego bank się utrzymuje?

– Z obsługi klientów prywatnych. Tu dążymy do maksymalizacji zysku, bo z tych transakcji finansujemy ewentualne straty związane z obsługą spółdzielni. Ta prywatna klientela jest niezwykle różnorodna i aby ją przyciągnąć, stale poszerzamy naszą ofertę. Ostatnio postanowiliśmy na przykład pośredniczyć w transakcjach kupna-sprzedaży papierów wartościowych notowanych na giełdzie. – Uśmiechnął się. – Obsługa osób prywatnych pozwala nam pokrywać nie tylko koszty utrzymania banku, ale też wypłacać dywidendę dla udziałowców.

– Więc jest i dywidenda?

– Oczywiście, zawsze sześć procent. Mówiłem: dobro spółdzielni jest najważniejsze, bo to spółdzielnie wspierają polskie rzemiosło i handel.

– A co na to wszystko Niemcy?

– Niemcy, jak to Niemcy, rzucają nam kłody pod nogi. Przypatrują się przez lupę każdej spółdzielni, szukając naruszenia prawa spółdzielczego. Ponieważ jednak nic nie udaje się znaleźć, wymyślili coś innego. Przez lata bank mógł brać nisko oprocentowany kredyt w Pruskiej Kasie Centralnej dla Spółek. Pod naciskiem hakatystów, atakujących polską spółdzielczość jako „dźwignię tendencji narodowych”, kasa wprowadzała ograniczenia i utrudnienia.

– I co?

– I zrezygnowaliśmy ze współpracy. – Patron wzruszył ramionami. – Wkrótce zapewne znajdą na nas coś innego, bo związek, a przez to także bank, uniemożliwia hakacie spychanie Polaków na margines. Ale przeszkody jednoczą. Jak znam

Polaków, gdyby nie te wszystkie naciski i szykany, już dawno roztopilibyśmy się w morzu niemczyzny.

Jan wpatrywał się w mówiącego. Właściwie był pewien, że tym bankierem, któremu Schliemann wysłał „prezent”, był ksiądz Wawrzyniak.

– Dziękuję ci za interwencję w sprawie drukarni – patron nieoczekiwanie zmienił temat.

Morawski uniósł brwi.

– O jedenastej weszła policja – kontynuował ksiądz – twierdząc, że otrzymali donos o drukowaniu ulotek namawiających do zamordowania cesarza. Przeszukano drukarnię, a właściwie tylko magazyn przy dziale ekspedycji, bo innymi pomieszczeniami nie byli zainteresowani. Niczego nie znaleziono.

– A paczka?

– O siódmej rano została wysłana. Jeden z moich zaufanych współpracowników wyjechał zaraz po waszej wiadomości do Dolska i czeka tam na tę przesyłkę. – Ksiądz Wawrzyniak przez chwilę milczał, po czym lekko skinął głową. – Oddałeś nam wielką przysługę.

– A teraz chciałbym przeszukać bank.

Patron skrzywił się i odwrócił, ale kątem oka wpatrywał się w Morawskiego.

– To dość niezwykła prośba.

– Powiedział ksiądz przed chwilą, że znajdą na was coś innego. Chyba już znaleźli. Człowiek, od którego usłyszałem, że towar dotarł do drukarni, powiedział też, że chłopcy weszli i zostawili bankierowi prezent. Rozpytywałem wszędzie, czy gdzieś doszło do włamania, i doktor Chłapowski przypomniał sobie, że kilka dni temu właśnie tu odkryto ślady włamania, ale ponieważ nic nie zginęło, nie powiadomiono policji.

Patron przytaknął.

– Może nie chodziło o wyniesienie czegokolwiek – ciągnął Jan – ale o podrzucenie. Tak jak w drukarni. Podrzucenie czegoś, czego nie wolno posiadać.

Wawrzyniak siedział z dłońmi splecionymi na piersi.

– Dobrze. Skoro uważasz, że istnieje takie niebezpieczeństwo... Co chcecie

przeszukać?

– Wszystko. Zaczniemy od biur, a salą zajmiemy się, gdy wyjdą klienci.

– Dzisiaj kończymy o piątej.

Jan spojrział na zegarek. Do piątej brakowało kwadransa.

– Czy jestem wam potrzebny? – spytał ksiądz.

– Nie, zajmiemy się tym sami, ale chciałbym wiedzieć, do których szaf i szuflad zagląda ksiądz codziennie. Bo tam na pewno niczego nie ukryto z obawy przed przypadkowym znalezieniem.

Patron wskazał biurko – używał właściwie wszystkich przegródek – a także dwie półki w wielkiej szafie. Potem wyszedł, a Mateusz z Janem rozpoczęli rewizję. Wysuwali metalowe szuflady i unosili sterty teczek, przeglądali pudła z dokumentami w szafie, sprawdzili także wszystkie meble – dna, plecy i góry – ale niczego nie znaleźli. Potem przeszli do dwóch innych pokoi w tym korytarzu, a patron na prośbę Jana sprawdził zawartość sejfów w swoim gabinecie. Zrewidowali też pokój skarbnika i kliteczkę przy głównym pomieszczeniu.

W przeszukiwaniu dużej sali pomagali patron i dyrektor Kuszczelan.

– Ilu tu jest pracowników? – pytał Jan.

– Dwunastu.

– Tylko tylu? Przy tak rozmaitych transakcjach?

– Mówiłem: dbamy o niskie koszty. Teraz zatrudniliśmy nowego pracownika do obsługi obrotu papierami wartościowymi.

– Co to za człowiek?

– Niejaki Błażej Augustyniak – odparł dyrektor. – Daliśmy inserat⁶⁸ do gazety, że szukamy kogoś znającego się na giełdzie, i on się zgłosił.

– Przez rok pracował na giełdzie londyńskiej – dodał patron. – Nigdy bym się nie spodziewał, że trafi nam się ktoś z takim doświadczeniem.

Dziesięć po szóstej Jan musiał się przyznać do porażki. Niczego nie znaleźli i nie wiedział, czy się z tego cieszyć. Przy rozstaniu patron chciał mu oddać raport na temat antyniemieckich nastrojów wśród polskich duchownych, ale Morawski zaproponował, by ksiądz to zatrzymał.

– Ostrzeżemy ich – dodał patron – ale nie wiem, czy uda nam się zrobić coś więcej.

Pożegnali się i Mateusz z Janem wyszli.

Na zewnątrz panował już mrok. Zniechęceni bezowocnymi poszukiwaniami, nie poruszali tematu banku. Szli i rozmawiali o ostatnim morderstwie.

– Jeśli chodzi o tego mężczyznę, którego widziano przed drzwiami do pokoju pana Orzelskiego... – zaczął Mateusz.

– To może zupełnie nie mieć znaczenia. Anastazja twierdzi, że gdy wychodziła od ojczyma, on pił z tej buteleczki. Choć wciąż nie wiemy, czy to w niej była trucizna.

Przeszli na drugą stronę jezdni.

– Moim zdaniem cierpimy na nadmiar nowych tropów – stwierdził Morawski. – Mamy ulotkę, czyli trop wskazujący na Henryka Terleckiego, ponadto trop szantażu, trop sygnetu, który zniknął, i trop kluczyka, który się pojawił.

„I trop książki, którą dałem Oskarowi” – pomyślał Jan.

– I trop kartki z notesu – dodał Mateusz. – I trop młotków na kluczyku. I młotka w nazwisku.

– I trop pieniędzy ukrytych w Bazarze – uzupełnił Morawski, po czym zrelacjonował incydent z Cecylią w roli złodziejki.

Mateusz nie chciał w to uwierzyć.

– Taka miła panienska? Hrabianka Walewska? Jest pan pewien?

– Błękitna krew nie jest szczepionką przeciw nieuczciwości. Gdybym ci powiedział, że to Anastazja ukradła, uwierzyłbyś?

Mateusz odchrząknął zakłopotany.

– Konkluzja tego, co ci opowiedziałem, jest taka: uparliśmy się szukać mordercy wśród osób, które mogły być zamieszane w fałszerstwa. Bo nie ulega wątpliwości, że Bernard był fałszerzem, prawda?

Kamerdyner pokiwał głową, a Jan mówił dalej:

– Więc może fałszerstwa fałszerstwami, a on zginął po prostu przez pieniądze? Te rzekomo ukryte w hotelu. A jeśli tak, to z przykrością muszę cię poinformować,

że tych pieniędzy szukali wszyscy. – Zastanowił się. – Oprócz Henryka. Ale widziałem jego małżonkę buszującą na poddaszu, a to w sumie to samo.

Weszli do Bazaru, minęli recepcję i wolno wchodzili po schodach.

– A może powinniśmy się zastanowić – wymyślił Mateusz – kto byłby zdolny do morderstwa dla pieniędzy.

– Każdy, zapewniam cię. No dobrze, prawie każdy. Uważamy się za uczciwych, bo nie natknęliśmy się na wystarczająco silną pokusę. Nie skusiłby nas tysiąc czy nawet dziesięć tysięcy. Ale tu w grę wchodzi co najmniej sto tysięcy. Sumienie pod ciężarem tej kwoty rozsypie się w pył.

Dotarli na pierwsze piętro. Weszli do saloniku Jana i zastali tam wesolutkiego jak szczygiełek Marka, który jak zawsze śpiewał: „Wielka sława to żart, księżę błazna jest wart, złoto toczy się w krąg z rąk do rąk”.

– Wróciliście?

– Jak widać – odburknął Mateusz.

– Coś panu powiem, szefie – rzekł Marek, stojąc nad skrzyneczką z cygarami Jana i macając kolejne sztuki. Ostatecznie zdecydował się na ulubiony gatunek Morawskiego El Rey Del Mundo. – Ktoś pana wrabia.

– Doprawdy?

– To jasne. Słyszałem o tej podrzuconej kartce.

Jan spojrział na kamerdynera, który odwrócił wzrok, a młodszy Małecki ciągnął:

– Potem w kuchni o tym fizyku, który pana widział w korytarzu, a portier mówił mi, że jakaś dama zeznała przeciw panu. – Przyniósł popielnicę. – Niedobrze to wygląda.

Usiadł przy stole i rozłożył gazetę.

Morawski przypatrywał się Markowi. Kto wiedział o ukrytej dużej sumie pieniędzy? Kto wiedział o poszukiwaniach? Kto lubił się wysługiwać innymi? Kto zdołałby rozpuścić plotkę wśród tylu osób?

– Widziałeś program Sali Lamberta na wieczór, Mateuszu?! – zawołał Marek. – Same rewelacje: „Hrabina Fanny Ferneci: międzynarodowa śpiewaczka koncertowa. Tancerz i ekwilibrysta. Tom & Tang: chińscy ekscentryści. Humorysta.

Georgette: subretka-tancerka. Siostry Tilly: duetystki. Akrobatyczny kłown”.
Musimy...

Jan obszedł stół dookoła.

– Wszyscy coś ci mówią – zagadnął. – A co ty im mówisz? Że w hotelu jest ukryte sto tysięcy marek?

– Ja? Ale jakie sto tysięcy? Ja nic nie wiem.

– Już w piątek słyszałeś, jak rozmawiamy o ukrytych gdzieś pieniądzach.

– Ależ szefie, ja nie wiem nic o żadnych pieniądzach. A do tego ukrytych.

Morawski nie ustępował. Wiedział z doświadczenia, że Marek zaraz pęknie.

– Przecież poszedłeś ze mną do drukarni, bo myślałeś, że szukamy pieniędzy.

– No więc dobrze. Powiedziałem kilku osobom. Ale chciałem tylko panu pomóc – oznajmił Marek bezczelnie. – Nie szło panu, więc pomyślałem, że zaprzęgnę do pracy tę całą bandę. No i rozpuściłem plotkę. I to nie jedną plotkę – zaśmiał się – ale kilka. Że pieniądze są na strychu, w piwnicy, w kotarach, w kuchni, w Kole Towarzystwim. Nie chciałem, żeby wszyscy szukali w tym samym miejscu.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że przez ciebie zginął pan Bernard? – zaatakował go Mateusz.

– Przeze mnie? Ale to przecież nie moja wina. Ja to zrobiłem dla pana, szefie.

– Jestem wzruszony.

[67](#) Józef Konstanty Kuszczelan (1843–1907) – działacz gospodarczy, krzewiciel idei spółdzielczości. Od 1885 prezes Związku Spółek Zarobkowych, dyrektor Banku Związku Spółek (1886–1906), redaktor „Poradnika dla Spółek”.

[68](#) Inserat – ogłoszenie w gazecie.

ROZDZIAŁ 28

– Ciągnął do występku jak kaczka do wody – westchnął Mateusz.

Siedzieli z Janem przy stole w saloniku i pili koniak. Minęło w pół do siódmej i Morawski powinien zacząć przygotowania do wieczoru u Izabeli, ale nie chciał zostawiać przygnębionego przyjaciela bez odbycia z nim krótkiej choćby rozmowy. W ciągu tych kilku dni, odkąd Marek spadł im na łeb jak dachówka, Mateusz przekroczył swój roczny limit zdenerwowania.

– Wspominałeś kiedyś, że Marek jest pogrobowcem, prawda?

– Tak, i pewnie dlatego matka tak go rozpieszczała. Bo taki był biedny, bez ojca. Ja to widziałem, jestem przecież trzynaście lat od niego starszy, i wściekałem się na nią. Ale gdy zmarła i on przeszedł pod moją opiekę, miał wtedy osiem lat, zacząłem się zachowywać tak jak ona.

– No, nie wierzę. Na pewno próbowałeś go wykierować na ludzi.

Mateusz wzruszył ramionami.

– Znajdowałem mu szkoły, potem posady, ale on zawsze lubił się... ślizgnąć, uchylić od obowiązków. Był przy tym taki uroczy. Potrafił wycyganić od garnka pokrywkę. Prawdziwy migłanc. – Zaśmiał się. – Z tym dałoby się żyć. Mało to nieszkodliwych trutniów dookoła? Ale on przeszedł od migania się do drobnych kradzieży. Potem doszły do tego włamania. Gdy miał osiemnaście lat, złapano go, ale udało się ułagodzić pokrzywdzonych.

– To znaczy: ty im zapłaciłeś.

Przybity Mateusz odwrócił głowę.

– Co było dalej? – spytał Jan.

– Dałem mu pieniądze na statek do Ameryki. Przysyłał listy, że znalazł pracę, ale w rzeczywistości znowu szedł na łatwiznę. Potem uwikłał się w dystrybucję fałszywych banknotów. Złapano go i spędził dwa lata w więzieniu. Wyszedł

i próbował się ustatkować, ale zawsze wydarzało się coś, co przekreślało jego kalkulacje, i musiał prosić mnie o pieniądze. Ostatnio zniknął, to pan wie. Przypuszczam, że zaczęło się robić gorąco, więc wrócił do Europy. – Kamerdyner dopił koniak i wstał. – A ja muszę się zastanowić, co dalej.

Poszedł do sypialni i otworzył szafę. Wyjął dwa wieszaki i powiesił je na otwartych drzwiach mebla.

– Nie jesteś za niego odpowiedzialny – powiedział Jan, podchodząc do kamerdynera.

– Właśnie że jestem. Już o tym rozmawialiśmy. I muszę go stąd odesłać, zanim narobi jeszcze większych kłopotów.

– Ktoś wam sprawia kłopoty, przyjaciele? – rozległo się za ich plecami. – Kto taki?

Mateusz podskoczył jak oparzony.

– Zawieś sobie dzwonek na szyi!

– Nie krzycz tak.

Marek odwrócił się i wyszedł, a z saloniku dobiegł kolejny fragment jego ulubionej arii: „Rodowód mój spod znaku lwa, a w herbie moim wiatry dwa. Dziś sługa, jutro jaśnie pan, lecz duch przekory wciąż ten sam”.

Mateusz chciał uciszyć śpiewaka, ale Jan go powstrzymał.

– Co pan włoży? Frak z białym krawatem, jak na obiad wystawny, to byłaby chyba przesada, więc może frak z czarnym krawatem?

– Garnitur.

– Wykluczone. W garniturze żakietowym może pan iść na obiad rodzinny, ale nie do obcego domu.

Skończyło się tak jak zawsze – wygrał Mateusz – i Jan, który marzył o jednym wieczorze w mniej formalnym stroju, musiał się zakuć w zbroję koszuli z wykrochmalonym gorsem, kamizelkę, frak i lakierki.

A gdy już włożył płaszcz i szykował się do wyjścia, wrócił jeszcze do sypialni, wyjął jedwabną różę i umieścił ją w butonierce.

Z hotelu wyszedł trzy minuty przed siódmą i punktualnie o umówionej godzinie

stanął w bramie kamienicy numer 18. Zamarł na chwilę, bo kilkanaście metrów dalej wypatrzył panią Terlecką. Wyszła ze swego domu z wielkim bukietem w ramionach, przebiegła przez jezdnię i otworzyła drzwi kościoła Świętego Marcina. Zapewne te chrześcijańskie uczucia, o których tyle mówiła, kazały jej przystroić kwieciami świątynię.

Drzwi otworzyła sama Izabela i Jan podziękował zaocznie Mateuszowi za upór w sprawie fraka, gdyż pani domu miała na sobie elegancką suknię wieczorową. Przywitali się i gość zaczął rozpinać płaszcz.

Naraz z głębi korytarza dobiegł dźwięczny głos i z półmroku wyłonił się wysoki, szczupły mężczyzna. Jan od pierwszego spojrzenia rozpoznał tamtego wydawcę, który w sobotę ukradł mu taniec. Cały dobry humor uleciał bez śladu i Morawski zacisnął zęby, by nie okazać wściekłości. Gdy jednak Izabela przeprosiła nowo przybyłego i podeszła do tamtego, musiał odwrócić się od nich, bo nie panował nad twarzą. Sięgnął prawą dłonią pod płaszcz, wydarł z butonierki różę, pogniótł płatki i zmiął druciki.

– Czy mam mówić szczerze? – usłyszał, chowając sponiewierany jedwab do kieszeni. – Może woli pani list?

– Proszę mówić.

– Zdjęcia pani brata są, moim zdaniem, pozbawione walorów artystycznych. O talencie nie może być mowy.

– Zatem nie powinnam podsycać jego przekonania, że jest wielkim artystą?

– Nie. Ale nie potrafiłem mu tego powiedzieć. Mówię to pani, bo prosiła pani o konsultację.

Nastąpiła cisza.

– Mam nadzieję – kontynuował dżentelmen zafrasowanym tonem – że moja odpowiedź niczego nie zmieni w naszej współpracy.

– Oczywiście, że nie.

Morawski odwiesił swój płaszcz i podał nieznajomemu jego okrycie. Po raz pierwszy spotkali się oko w oko i Jan zorientował się, że mężczyzna zbliża się do sześćdziesiątki. To jego młodzieńcza figura i pełne werwy ruchy wprawiały

otoczenie w błąd. Twarz mówiła prawdę.

Izabela ze smutnym, wymuszonym uśmiechem pożegnała wydawcę, a Morawski stał z boku i przeklinał się w duchu za swą porywczosć. Gdyby nie zniszczył kwiatu, mógłby go teraz przypiąć i rozbawić Izabelę opowieścią o swym występie w roli dorożkarza.

– Przepraszam za to zamieszanie – powiedziała. – Ciotka jest jeszcze słaba, Marcjanna walczy w kuchni, a Artur... ma głowę w chmurach. – Nabrała głęboko tchu. – Ale to nawet dobrze, że nikogo nie ma. Porozmawiajmy tu przez chwilę. Byłam na Wrocławskiej i widziałam się z dozorcą. Udawałam, że jestem zainteresowana wynajęciem sutereny, koniecznie od ulicy. Namawiał mnie na jedną w podwórzu, ale nie chciałam. Wreszcie powiedział, żebym porozmawiała z obecnym najemcą.

– Którym jest?

– Pan Henryk Terlecki.

Czyli potwierdziło się to, co wydawało się absurdalne. Nienawidzący lichwy i Żydów Terlecki za pośrednictwem lumpenzamlera Aarona wyciskał biedaków jak cytrynę. Ale jak łączyła się z tym ulotka, którą ścisnął w dłoni Orzelski?

– Henryk Terlecki z Banku Przemysłowców... – mruknął Jan.

– Terlecki jako bankier doskonale nadaje się do szajki fałszerzy! Może to nawet on wysadził w powietrze tego detektywa, o którym mówiłeś? Czy wiadomo, kto dostarczył bombę?

Wyglądała ślicznie w taftowej sukni w kolorze lapis-lazuli, a gdy tak rzucała pomysłami, na jej jasnej twarzy pojawiły się rumieńce ekscytacji. Jan patrzył na nią zachwycony.

– Posłaniec, niewysoki i szczupły.

Spojrzała na Jana znacząco, a on oprzytomniał. I zaczął błagać niebiosa, by to nie jej brat okazał się tym posłańcem.

– Pasuje idealnie – ucieszyła się. – I wiem, jak sprawdzimy jego alibi. Ten wybuch był w czwartek, prawda? Czyli czternastego. O której?

– Około dziesiątej – odparł z ociąganiem.

– To zrobimy tak. Dowiem się, kiedy pan Henryk ma przerwę, i pójdę w tym czasie do banku. Zacznę przekonywać kasjera do jakiegoś absurdalnego pomysłu, a gdy odmówi, powiem, że czternastego o dziesiątej uzgodniłam to z dyrektorem. A on mi powie, czy Terlecki był wtedy w pracy, czy nie.

– Nie zgadzam się – oświadczył Morawski najbardziej stanowczym tonem, na jaki umiał się zdobyć.

– Ale dlaczego?

– Bo to niebezpieczne.

– Umiem o sobie zadbać.

– Nie w starciu z bezwzględny zabójcą. O ile to był rzeczywiście on.

– Jeśli go nie powstrzymamy, to zabije kogoś jeszcze.

Jan już otwierał usta, żeby jej powiedzieć o ulotce, którą zaciskał w dłoni martwy Orzelski, a która mogła potwierdzać odpowiedzialność Terleckiego za to trzecie morderstwo. Chciał tym przestraszyć Izabelę, ale uświadomił sobie, że dla niej będzie to jeszcze jeden argument przemawiający za podjęciem akcji przeciw bankierowi.

Gdy on się zastanawiał, ona obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb korytarza. Morawski zacisnął zęby z irytacji i wolno poszedł za panią domu. Miał już dość tego ciągłego oscylowania między kłótnią a zwierzeniem, zmęczyła go ta huśtawka zachwyty – złości.

Jan wszedł do pokoju pani Teresy Źdzarskiej i przeraził się jej wyglądem: była blada, mrużyła podkrążone oczy i wydawała się pozbawiona sił. Nie zadała sobie trudu założenia kruczoczarnych włosów i zamiast tego wystąpiła w turbanie. Morawski ucałował jej dłoń, lecz nie zdążył nic powiedzieć, bo wpadł Artur. Usiadł na kanapie, rzucił się na oparcie i zanurzył palce we włosy. Tego dnia był zrobiony na artystę: koszula z bufiastymi rękawami, czarna haftowana kamizelka, czerwone spodnie i fontaż pod szyją.

– Jestem wycieńczony – jęknął.

– Podobały mu się? – natychmiast ożywiła się ciotka. – Co mówił?

– Mówił mało, ale widziałem, że był zachwycony... wstrząśnięty...

zdruzgotany...

Izabela odchrząknęła i wyszła, a Jan usiadł na fotelu i spytał panią Teresę o samopoczucie.

– To była straszliwa migrena – odpowiedział zamiast niej Artur. – Dobrze, że Izabela i tak planowała zostać w domu, bo gdybym ja musiał zająć się tobą, cioteczko, umarłbym. Artyści ze swoją wrażliwością nie są w stanie znieść cierpienia, zwłaszcza cierpienia bliskich.

Rozrzewniona tą deklaracją pani Teresa pogładziła go po dłoni.

– Wydawało mi się – wtrącił się w te czułości Jan – że też byłeś w domu...

– Zabalowałem z Maksiem do drugiej. Wróciłem, gdy wychodził lekarz.

Drzwi się otwarły i weszła Izabela.

– Chyba jednak będzie kolacja.

– Marcjanna jest mistrzynią deserów – wyjaśnił Artur – ale gotuje...

– Haniebnie. Zapraszam do jadalni.

Morawski pomógł wstać pani Teresie, ale Artur się uparł, że ją poprowadzi. Wychodząc z pokoju pani Żdzarskiej, Jan zatrzymał się przed obrazem Czarnej Madonny.

– Dziwnie wygląda w otoczeniu tych mądrości, prawda? – Izabela wskazała pochwały astrologii.

– Zupełnie absurdalnie.

– Nie wiem, dlaczego to tu powiesiła.

– Przemówił do niej – zaśmiał się Jan, wspominając wytłumaczenie pani Teresy.

– Ależ nie. Ten obraz wisiał w pokoju jej babki, mojej prababki, ale został sprzedany po bankructwie ojca. Ze dwa lata temu ciotka odnalazła to płótno u jakiegoś handlarza i uparła się, by je odkupić.

Jadalnię urządzono w pokoju znajdującym się na styku frontowej części domu i jego bocznego skrzydła. Aby zapewnić dzienne światło, jeden narożnik pomieszczenia był ścięty i w całości zajmowało go wielkie okno od podwórza. Na ścianach wyklejonych wytłaczanymi tapetami w kolorze pistacjowym wisiały obrazy w czarnych lakierowanych ramach ze złotą wstawką.

Najpierw krzepka Marcjanna przyniosła pasztet z zająca, a Artur zajął się nalewaniem wina.

Rozmowa tyczyła się ostatniego morderstwa, a większość pytań padała z ust pani Teresy. Jan nie był zachwycony tym tematem. Zbyt wiele razy musiał różnym osobom relacjonować przebieg wydarzeń, ponadto mnóstwo faktów ukrywał i nie chciał w tym się pogubić. Przedstawiał więc wersję okrojoną:

– Znalazła go panna Anastazja.

– Biedulka, musiała doznać wstrząsu – rozczuliła się pani Żdzarska.

– Trzeba by ją huknąć, żeby doznała wstrząsu – mruknął Artur. – Ta dziewczyna jest jak taran, nie ma krzty wrażliwości. Nie potrafiłbym policzyć, ile razy sprawiła mi przykrość.

– Doktor Chłapowski stwierdził śmierć... – ciągnął Jan, zgniatając okruchy przesuszzonego pasztetu, tak by dało się je nabrać widelcem.

– Doktor Chłapowski był w hotelu? – włączyła się Izabela. – A ja kazałam Marcjannie szukać go po całym mieście. Chciałam, żeby przyszedł do cioteczki.

– Był akurat na miejscu. Pokój pana Orzelskiego zabezpieczono, a rano w hotelu zainstalowała się policja i rozpoczęły się przesłuchania.

– I ty jesteś głównym podejrzanym – podsumował młody Boratyński.

– Ach jej! Ale dlaczego pana oskarżono? – zdziwiła się pani Teresa.

– Pan Bernard rozgłaszał w hotelu, że go prześladowę – odparł Jan, unikając wzroku Izabeli.

Zjawiła się ponownie Marcjanna, niosąc zakryty półmisek. Postawiła go na stole i zdjęła pokrywę, odsłaniając pieczoną perlicę. Artur, jako pan domu, powinien pokroić ptaka, ale odmówił udziału w tej „sekcji zwłok” i demonstracyjnie opuścił pokój – a właściwie „rzeźnię” – toteż Jan złapał za widelec i nóż do tranżerowania⁶⁹, kilka razy obrócił półmisek, próbując odświeżyć swoją zaśnieżoną wiedzę, a potem pokroił perlicę na prawie przepisowe kawałki. Marcjanna przywołała Artura i kontynuowano ucztę.

– A czy są już jakieś podejrzenia co do motywu mordercy? – pytała dalej pani Teresa.

Morawski dokonał przeglądu swoich teorii i wybrał tę najbezpieczniejszą.

– Policja skłania się ku wersji, że śmierć pana Orzelskiego wiąże się z plotką o ukrytych w Bazarze pieniądzech.

– Słyszałam o tym. Już w sobotę na balu.

– Wszyscy słyszeli i wszyscy szukali – uściślił Jan. – Chyba tylko pan Terlecki nie szukał.

– Ja też nie szukałam – zaśmiała się Izabela.

– Ty nie musisz – burknął Artur. – Ja natomiast szukałem. W piwnicach, bo słyszałem, że tam są ukryte. Ale po półgodzinie mi się znudziło. Na przeszukanie piwnic pod Bazarem potrzebowałbym roku.

– Ja też nie szukałam – dodała jego ciotka. – Na co mi pieniądze? Chociaż gdybym miała, dałabym je Arturkowi na podróż.

Artur podniósł się i pocałował ciotkę w rękę. Potem usiadł i nałożył sobie drugi filet z zamordowanej perlicy.

– Proszę sobie wyobrazić – rzekła pani Teresa, która dla odmiany nic nie jadła – jakiego wrażenia doznałam, gdy dziś po południu przyszedł do mnie list z za grobu. Od pana Bernarda właśnie. Wysłał go, jeśli wierzyć podanej przez niego godzinie, cztery minuty po północy.

– Czy mógłbym... – zaczął Jan i kobieta skinęła na bratanicę.

– Nie ma w nim nic przełomowego.

Izabela przyniosła list i podała Janowi.

Szanowna Pani,

zmuszony jestem nagle wyjechać. Uprzejmie proszę, by zechciała Pani zająć się Anastazją do Popielca, kiedy to przyjedzie po nią jej chrzestna. Poinformuję o tym planie moją pasierbicę, już po nią posłałem. Obawiam się, że przyjmie to bardzo źle, ale nie ma innego wyjścia. Rano po otwarciu banków wyjeżdżam.

Kreślę się z poważaniem

Bernard Orzelski

– Słyszałem, że ta chrzestna to prawdziwa megiera.

– Nie znoszą się z Anastazją – przytaknęła pani Teresa – więc zapewne wyda ją za mąż za pierwszego lepszego. A małżeństwo wymaga namysłu. – Patrzyła wprost na Jana, a on się uśmiechnął. – Tak, mój drogi, słyszałam te nowomodne koncepcje, że powinno się wychodzić za mąż z miłości. Ja wyszłam za mąż właśnie z miłości, choć to było prawie trzydzieści lat temu. Mężowi miłość minęła i przez kolejnych piętnaście lat mnie dręczył. Więc teraz jestem zdania, że małżeństwo to po prostu interes. Uczucia trzeba schować do kieszeni i chłodno wszystko przekalkulować. I co pan na to?

– Wielu wybitnych ludzi było tego samego zdania. Pewien angielski uczony twierdził, że „małżeństwa byłyby na ogół szczęśliwe, gdyby kojarzył je Lord Kanclerz po wnikliwym rozważeniu charakterów i okoliczności, a żadna ze stron nie miałaby w tej sprawie nic do powiedzenia”⁷⁰.

– Ha! No właśnie. Ja tak robię.

– Ale cioteczka dała sobie radę – dorzucił beztróska Artur – i uciekła od tego swojego brutala.

Zakłopotany Jan odchrząknął. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Uciekłam – westchnęła. – A to niewybaczalny grzech w oczach wszystkich kobiet, bo wychowuje się nas w przekonaniu, że jesteśmy własnością męża. Przyjaciółki i krewne odwróciły się ode mnie i musiałam wyjechać z kraju. Przez kilka lat pracowałam jako dama do towarzystwa, ale to było nie do zniesienia. Wreszcie odnalazł mnie brat, ojciec tej dwójki, i przygarnął. Ale potem sam stracił wszystko... i oto jestem – zakończyła niezręcznie.

Ciszę, która nastąpiła, przerwało wejście Marcjanny: triumfalnie wniosła beżową trzykondygnacyjną wieżę, na której wierzchołku stał koziołek.

– Dobry Boże, co to jest?! – krzyknął Artur.

– Deser krem koniakowy zrobiłam na Podkoziołek.

– Ale Podkoziołek jest jutro.

– Mnie jutro nie ma ide na migana – oświadczyła i wyszła.

Jan zmarszczył brwi.

– Migana to zabawa taneczna – przetłumaczyła Izabela. Popatrzyła na rzeźbę. – Marcjanna jest mistrzynią cukiernictwa, zwłaszcza skomplikowanych form. To prawdziwa artystka.

– Nie mówcie jej, że nie skosztowałam – rzekła pani Teresa. – Nie jestem przy apetycie.

Podniosła się ciężko i odeszła.

– Naprawdę źle się czuje, zazwyczaj życie oddałaby za słodczyce – rzekła Izabela. – Ten atak był taki dziwny. Od wielu miesięcy nie miała migreny.

– To te bale – wyjaśnił szybko Artur. – Taka seria powaliłaby każdego.

– To prawda. Ja też mam już dość, a przecież nie zostaję do końca żadnego balu. Kilka godzin głośnej muzyki, urywanych rozmów i konieczność zachowania stałej czujności doprowadza mnie do wyczerpania. Czas wrócić do zwykłego życia.

– Ja nie znam zwykłego życia – oznajmił Artur, sprawnie machając łyżeczką na talerzyku. Nawet Jan, znany łasuch, jadł wolniej. – Dla nas, artystów, każdy dzień jest wyjątkowy. – Westchnął. – Czasami gdy wyglądam przez okno i widzę spieszących się ludzi, zastanawiam się, jak można tak żyć, szarpać się, wysilać. Walczyć o byt, o kawałek chleba. Nie dbać o sztukę, o literaturę. Gonić tylko za złotem, jak ten dorobkiewicz Jankowski. – Oblizał łyżeczkę. – Ja nie mógłbym tak istnieć. Wolałbym się zabić.

Morawski już otwierał usta, ale Izabela szybko zaproponowała bratu:

– Może zajrzysz do cioteczki?

Artur przytaknął, nałożył sobie jeszcze porcję kremu i odszedł.

– Co mam z nim zrobić?

– Odciąć dopływ gotówki.

– Zacznie grać.

– Znaleźć mu pracę.

– Uważa się za istotę wyższą. Tak, nie waham się tego powiedzieć. Zgadza się być artystą lub dżentelmenem. Na artystę się nie nadaje, próbował już każdej dziedziny. A bycie dżentelmenem rozumie jako życie na wysokiej stopie i wydawanie szerokim gestem. Nie stać mnie na to.

Jan już chciał zauważyć, że nie jest odpowiedzialna za Artura, ale pamiętał stanowisko Mateusza w analogicznej sprawie.

– Pomyślę o tym – przyrzekł i zagadnął Izabelę o jej pracę.

Przez kolejne dwie godziny gawędzili o jej sprawozdaniach do gazet, o jego podróżach, jej planach na najbliższe miesiące i jego dawnych zleceniach.

Gdy Morawski spojrział na zegarek, ze zdumieniem stwierdził, że minęła jedenasta. Wstał, przeprosił za tak długą wizytę i zaczął się żegnać.

– A jaka była reakcja pań z Klubu Kobiet na twoją wczorajszą nieobecność na balu? Odpytały panią Terlecką?

– Tak. I wszystkiego się wyparła.

– Jak to: wyparła się?

– Tak, powiedziała, że ona tego listu nie napisała. Cytuję: „Ta litera »a« nie jest moja”.

Jan przez cały wieczór był szczęśliwy, ale gdy znalazł się na ulicy, poczuł bolesny niedosyt. Zdobył to, co chciał – miły wieczór w uroczym towarzystwie – lecz teraz pragnął więcej. Szedł coraz bardziej zachmurzony, gdy naraz przypomniał sobie, że Izabela zamierza następnego dnia pójść do Banku Przemysłowców i sprawdzić alibi Henryka na czas wybuchu. Było już za późno, by wrócić, ale Jan postanowił z samego rana pójść do niej i spróbować wybić jej z głowy ten – sprytny, to musiał przyznać – plan.

Na tym odcinku ulicy Wilhelmowskiej nie było restauracji, panowała tu więc względna cisza. Nagle Morawski usłyszał z tyłu kroki. Raptownie się odwrócił. Dziesięć metrów za sobą zobaczył mężczyznę w kraciastym płaszczu, który czytał afisz na słupie – w środku nocy, przy świetle latarni.

Jan spokojnie poczekał, aż tamten, przekonany, że niebezpieczeństwo minęło, przestanie udawać zaczytanego. Kraciasty się odwrócił i Jan rozpoznał twarz ze szramą. To było ich trzecie spotkanie: najpierw w dorożce, w towarzystwie Schliemanna, potem w niedzielę w Bazarze. Morawski zawrócił i poszedł do hotelu. Stał przed drzwiami i w szybie zobaczył, że Szrama mija wejście. Chwilę później pozostał po nim tylko aromat śliwkowego tytoniu. Jan wychylił się z wnęki.

Kraciasty płaszcz zniknął. Mógł pójść prosto Wilhelmowską lub skrócić w Nową. Morawski postanowił uspić czujność swego cienia, ale mimo to go wyśledzić.

Minął Bazarową sień i wydostał się na podwórze. Lawirując między stolikami, przeszedł przez restaurację i dotarł na drugi dziedziniec hotelowy, z którego brama wiodła prosto na Nową. Wybiegł tamtędy i ruszył w dół ulicy, nie spuszczając z oka oddalającego się szybko Szramy.

Niestety mężczyzna odwrócił się i na widok Morawskiego rzucił się do ucieczki. Najpierw biegł wzdłuż pierzei Starego Rynku, ale potem nagle skrócił w prawo, we Wrocławską. Gdy Jan po kilku sekundach dotarł do narożnika, pomiędzy świętującymi ostatki rzemieślnikami i robotnikami nigdzie nie dostrzegł kraciastego płaszcza. Przez pół godziny przepatrywał zaułki i zakamarki – bez skutku. Wracając do hotelu, zastanawiał się, czy nadeszła ta „ostateczność”, o której mówił Schliemann, i czy radca postanowił go unieszkodliwić.

[69](#) Tranżerowanie – porcjowanie upieczonego w całości mięsa.

[70](#) Słowa Samuela Johnsona.

ROZDZIAŁ 29

Bernard Orzelski, zamordowany w polskim hotelu Bazar, był znanym fałszerzem pieniędzy, karany za swe przestępstwa w Stanach Zjednoczonych. Nigdy nie dopuścił się tej strasznej zbrodni na terenie Cesarstwa Niemieckiego, gdyż niemiecki system bankowy przewyższa wszystkie inne swą doskonałością...

Jan zaklął. Dla Niemców ważniejsze były hakatystyczne cele propagandowe niż dobro śledztwa. Złożył „Posener Zeitung” i rzucił na drugi kraniec stołu. Gazeta gładkim ślizgiem pokonała nagi blat i spadła na krzesło.

Z irytacji sięgnął po jeszcze jednego croissanta. Odgryzł kawałek, zjadł dwie łyżeczki konfitury malinowej i popił kawą. Zegarek wskazywał ósmą, Morawski miał więc godzinę na przejrzenie innych gazet. O dziewiątej zamierzał pójść do Izabeli i przekonać ją, by nie narażała się na odwet Terleckiego. Wiedział, że żaden zakaz nie poskutkuje, pozostało mu więc wynegocjować z nią zmianę planów. Rano uświadomił sobie, że prosząc ją o sprawdzenie najemcy sutereny, nie wspomniał, iż jest to kwatery lichwiarza. Postanowił wyjaśnić to panie Boratyńskiej i przekierować jej zainteresowanie na kogoś innego niż Terlecki, na przykład na nieszkodliwego pana Ludwika, sugerując, że on ciśnie biedaków.

Wziął do ręki „Dziennik Poznański” i znalazł tylko lapidarną wzmiankę: śledztwo w toku. Podobna informacja widniała w „Kurierze”.

Kwadrans po ósmej zjawił się Mateusz ze stertą listów.

– Nasz nawiedzony Walewski pytał o pana. Chciał wiedzieć, czy już pan znalazł tego oszusta.

Morawski podniósł na przyjaciela pytający wzrok.

– Powiedziałem mu – rozpromienił się kamerdyner – że policja pana aresztowała.

Zaśmiali się obaj.

– I co on na to? – zagadnął Jan, sięgając po pierwszą kopertę.

– Sarknął: „Kolejny safandula. Nic to, Jankowski odzyska mi pałac”.

– Mówisz o tej transakcji tak spokojnie? Ty, wielbiciel romantycznych historii, wspomóżyciel zakochanych?

Kamerdyner położył łokcie na oparciu krzesła i uśmiechnął się uprzejmie.

– Coś panu powiem. Pan Jankowski w roli męża będzie lepszym rozwiązaniem dla pani Cecylii niż hrabia Walewski jako ojciec.

– Racja.

List pochodził od pana Chłapowskiego i tym razem był napisany na odwrocie sprawozdania z rocznej działalności PTPN. Lekarz donosił, że nadal nie ustalono, jaka trucizna doprowadziła do śmierci Orzelskiego. Wykluczono podanie czystej belladonny, a w tak oznaczonej buteleczce stojącej na biurku ofiary znajdowała się inna substancja. Doktor Lubarsch podejrzewał, że to morfina, i rzeczywiście stwierdzono jej obecność w treści żołądka, ale ostatecznie badacze doszli do wniosku, że to jakaś złożona mieszanka, nic standardowego. Próbkę wysłano do Berlina, do specjalistycznego laboratorium. Sam doktor Chłapowski skłaniał się ku teorii, że podstawowym komponentem trucizny była strychnina.

Jan odniósł wrażenie, że ostatnio natknął się gdzieś na strychninę. Przez chwilę próbował to sobie przypomnieć, bawiąc się jednocześnie składaniem kartki w rozmaite trójkąty, wreszcie rozprostował ją, złożył na cztery części i schował do koperty. Był zdania, że morderca podrzucił truciznę w takiej akurat butelce, żeby nie wzbudzić podejrzeń ofiary. Dla przeciętnego pacjenta nie istniała różnica między *tinctura* i *extractum*. Belladonna to belladonna.

Sięgnął po kolejny pakiet, większy i grubszy. W tym momencie do pokoju bezszelestnie wszedł Marek. Morawski nie dostał zawału serca tylko dlatego, że po kilku dniach przebywania pod jednym dachem z młodszym Małeckim nauczył się siadać tak, by zawsze widzieć drzwi.

– Dzień dobry, szefie! – Marek opadł na sąsiednie krzesło i nalał sobie kawy do filiżanki Jana. – Nie ma śmietanki?

– Ten, dla kogo zamówiono kawę, pije czarną – wycedził Mateusz i gestem odgonił brata.

Marek zignorował całe to machanie.

– Doszedłem do wniosku, szefie, że może trochę przedobrzyłem z tą plotką – oznajmił, a Jan okazał grzeczne zaciekawienie. – Chciałem jak najlepiej, ale skąd mogłem wiedzieć, że ci ludzie posuną się do morderstwa? Postanowiłem to panu wynagrodzić.

– O Boże! – jęknął Mateusz.

– Zeszłej nocy zaprosiłem recepcjonistę na sznapsa, tu do jednego szynku. Wypiliśmy kilka kolejek, nawet nie musi mi pan za nie zwracać pieniędzy, i wziąłem go na spytki. Wyznał, że w nocy z niedzieli na poniedziałek hrabia Krajewski, bardzo rozgorączkowany, szukał Hammera. Bernarda znaczy się.

– O której godzinie?

– Nie pamięta dokładnie o której, ale to było jakiś czas po przyjściu doktora Chłapowskiego.

Zanim Morawski zdążył przetrwać tę informację, ktoś zapukał. Mateusz otworzył drzwi i do pokoju wkroczył pan Ludwik Jankowski. Zamiast garnituru w jakiś jaskrawy, na przykład seledynowo-purpurowy deseń miał na sobie elegancki frak, w którego butonierce tkwił kwiat wielkości kalafiora. Podszedł do stołu, stanął naprzeciwko Jana i obwieścił:

– Idę się oświadczyć.

– Aha. – Na tyle tylko zdobył się Jan.

– Pan jest człowiekiem światowym – kontynuował pan Jankowski – a do tego życzliwym, więc przyszedłem odbyć u pana... jak by to ująć? Próbę generalną!

Z mankietu koszuli wyjął pogniecioną kartkę i podał Morawskiemu.

– Tu jest moja mowa. Nauczyłem się jej na pamięć. Powiem ją, a pan sprawdzi, czy dobrze wyszło. – Odchrząknął i zatarł ręce. – No to jedziemy: „Miła panienko, proszę się nie dziwić, że mówię do pani tak szczerze, ale niemożliwe jest dłużej milczeć o tym, co w moim sercu się dzieje. Sam siebie nie poznaję. Ja, który dotąd obojętny byłem na wdzięki i towarzystwo kobiet i skłaniałem się raczej do

starokawalerskiego życia, uczuwam wielką zmianę w pragnieniach i upodobaniach. Gdy przed kilkunastoma dniami poznałem panią, uczułem, że...”.

– Skąd pan to wziął, panie Ludwiku? – nie wytrzymał Jan.

– Niezłe, co? Znalazłem taki poradnik pisania listów i zmieniłem wszystkie „piszę” na „mówię”.

– Proszę deklamować dalej – zachęcił go Mateusz. – Wspaniale panu idzie.

Pan Ludwik nie umiał zacząć od miejsca, w którym przerwał, powtórzył więc wszystko od początku, a potem oszołomił swych słuchaczy ciągami napuszonych fraz, z których Janowi najbardziej podobała się taka: „uroda pani i wdzięk całej postaci stały się dla mnie siłą magnetycznie przyciągającą”. Gdy skończył, kamerdyner zasypał komplementami mowę i samego epuzera⁷¹. Pochwalił użycie fiksaturu⁷² do wąsów, ale zmienił czarną muszkę pana Jankowskiego na białą Jana, pożyczył też amantowi szapoklak swego pracodawcy. Wreszcie uciszył Marka, który jak zawsze nucił arię z *Barona cygańskiego* (tym razem powtarzał się fragment: „dostawca rogów zacnych mężów”), i wysłał go do kwiaciarni po gardenię do butonierki absztyfikanta, uznając wielki kwiat za „odrobinę niestosowny na tę okazję”.

Pan Jankowski z fascynacją wsłuchiwał się w słowa wszystkowiedzącego kamerdynera, a gdy czekali na gardenię, wydobył z kieszeni maleńkie pudełeczko i wyłuskał z niego gigantyczny pierścionek z brylantem. Mateusz nie skomentował wyglądu tego cuda, ale stanowczo doradził panu Ludwikowi, by nie wręczał pannie pierścionka przy oświadczeniach, lecz dopiero podczas przyjęcia zaręczynowego.

– Jaka szkoda! – westchnął pan Ludwik, oglądając błyszczący klejnot w barokowej oprawie. – Zamówiłem go u Wawrzyńca Kruka specjalnie na tę okazję. Sugerował co prawda coś mniejszego, ale ja nie zamierzam na mojej ukochanej oszczędzać.

Morawski siedział rozparty na krześle i z rozbawieniem oglądał tę iście molierowską komedię. Wreszcie wrócił Marek z ukrytym za pazuchą białym kwiatem. Gardenię przypięto do fraka i pan Ludwik wyszedł, szepcząc pod nosem swoją mowę.

Mateusz sięgnął po wzgardzony „Dziennik Poznański”, a Jan, śmiejąc się, otworzył tę większą kopertę. Wewnątrz znalazł zaproszenie od pani Chłapowskiej na kolację we czwartek dwudziestego pierwszego lutego o godzinie siódmej wieczór. Do zaproszenia był dołączony nowy esej pióra pana Franciszka Morawskiego, który, jak sądziła pani Chłapowska, mógł zainteresować jego krewniaka. Jan zaczął czytać:

„Były narody, od Łaby do Odry, z których zostało tylko imię i karty próżne w księdze dziejów, ludy nie zmarłe śmiercią własną, ludy wytępione. O miedzę od nas pomarły głuchą śmiercią. Na niemych kurhanach zbudował wróg swoje grody, a z krwi pomordowanych zaczerpnął soki swego życia i siły. I nie ustał na chwilę przez wieki, do dziś. Po strasznym żniwie Geronów, Henryków, Ottonów kośba szła dalej. Przyszli Krzyżacy i filozof z Sanssouci⁷³, i żelazny kanclerz, i uśmiechnięci biesiadnicy uczt w Liebenbergu.

Od lat tysiąca szli tamci, idą ci, jedną falą, wieczną chęcią, przyrodzonym parciem na wschód. Zawsze ci sami. Z mieczem w dłoni i hasłem oświaty na ustach”⁷⁴.

Morawski pokiwał wolno głową. Ostre słowa. Przeglądał dalej tekst, ale tonacja była podobna: „widzimy tę moc... ziele nienawiścią wieków... Idą jeszcze gorsze próby... Siła zewnętrzna nas nie zmoże, tylko wewnętrzna. Nie zmoże napaść, byle nie zmogła pokusa... straszą, grożą, kuszą, trują nienawiścią, jąttrzą przeciw sobie... ten wróg wewnętrzny to groza prawdziwa. Jego odżegnać to zadatek zwycięstwa”.

Jan złożył kartki, a chowając je do koperty, doszedł do wniosku, że należałoby napisać do kuzyna i wspomnieć o swych odwiedzinach. W natłoku zdarzeń nie pomyślał o tym wcześniej.

Napisał kilka zdań na papeterii hotelowej, zaadresował kopertę, ale nie pamiętał numeru domu. Sięgnął po niezawodną *Adressbuch*, odnalazł sekcję, gdzie w porządku alfabetycznym prezentowano kolejne domy na kolejnych ulicach z wyszczególnieniem właścicieli i lokatorów. Najpierw znalazł strony opisujące St. Martin Strasse. Kamienica, gdzie mieściła się Drukarnia Świętego Wojciecha i gdzie mieszkał kuzyn Franciszek, miała numer sześćdziesiąty któryś. Jan odszukał wpis pod numerem 69: St. Adalbert-Druckerei, Franz von Morawski, Dom Katolicki.

– Co to jest Dom Katolicki? – spytał, ale Mateusz wiedział tylko, że w Paryżu

poprzedniego dnia było pogodnie i ciepło, a w Monachium padał śnieg.

Jan zjadł jeszcze kilka łyżeczek konfitury.

– A gdzie w Poznaniu mieszka ksiądz patron? – dociekał dalej.

– Zapewne nad bankiem.

Ktoś z impetem otworzył drzwi. Mateusz już się odwrócił, by zrugać swego brata, ale w progu stał pan Ludwik, od którego wprost biła łuna.

– Przyjęła mnie. Ślub jeszcze dziś, bo czas nagli!

Mateusz gorąco mu pogratulował, Jan również złożył powinszowania, choć bardziej umiarkowane, i spytał zniecierpliwiony:

– Gdzie w Poznaniu mieszka ksiądz Wawrzyniak?

Pan Jankowski na moment stracił kontenans, ale już po chwili się otrząsnął.

– W Domu Katolickim, tam gdzie jest Drukarnia Świętego Wojciecha.

Jan złapał płaszcz, kapelusz i wybiegł z hotelu. Wiedział już wszystko. Skoro włąmywacze weszli do biura drukarni, najprościej było pozostać na tym samym podwórzu i skierować się do Domu Katolickiego.

Dochodząc do skrzyżowania Wilhelmowskiej ze Świętym Marcinem, Morawski spojrzął na zegarek. Właściwie była już dziewiąta i mógłby po drodze wpaść do Izabeli, ale przewidywał kłopoty ze znalezieniem patrona i chciał jak najszybciej rozpocząć szeroko zakrojone poszukiwania. Zaplanował więc, że tylko zajrzy do Domu Katolickiego i poprosi, by rozesłano wici, a potem pójdzie do Izabeli. Tych kilka minut niczego nie zmieni.

Szczyście mu sprzyjało. Gdy wszedł na pierwsze piętro kamienicy i zastukał do drzwi oznaczonych tabliczką „Dom Katolicki”, otworzyła mu starsza zakonnica. Zapytał, gdzie może znaleźć księdza patrona, i w tym momencie w głębi korytarza ukazała się wysoka postać Wawrzyniaka.

– Właśnie przyszedł – powiedziała.

– I właśnie wychodzi – dorzucił ksiądz i sięgnął po kapelusz.

Morawski go zatrzymał i poprosił o dwie minuty rozmowy. Wawrzyniak westchnął, ale cofnął się do tego pokoju, z którego wyszedł.

– Istnieje ewentualność – zaczął Jan bez wstępu – że te pieniądze zostały

podrzucone w księdza prywatnej kwaterze. Tutaj. Chcę przeszukać te pokoje.

– Szukaj, gdzie chcesz, ale ja już muszę iść.

– Gdzie księdza znajdę?

– Do wpół do jedenastej będę w Banku Spółek, potem od jedenastej w Banku Ludowym na Jeźycach, potem od pierwszej znowu w Banku Spółek.

– Zgłoszę się na Wilhelmowską.

Patron skinął głową i wyszedł.

Ksiądz zajmował dwa pokoje: w większym znajdowały się stół z krzesłami, biurko i kilka regałów, a w mniejszym wąskie, długie łóżko, klęcznik i komoda. Przeszukanie tych skromnych pomieszczeń zajęło Janowi kilkanaście minut. Sprawdził deski podłogowe i okalające je listwy, wreszcie spojrzął na piaskowe ściany. Pokoje miały cztery metry wysokości i wykorzystano sztukaterię, by optycznie obniżyć pomieszczenia. Gzyms znajdował się pół metra od sufitu, a ścianę nad nim pomalowano na biało, tak że zlewała się z sufitem. Morawski wszedł na parapet w pierwszym pokoju i przyjrzał się sztukaterii. Odniósł wrażenie, że w narożniku nad drzwiami gzyms jest wyższy. Nie chciał wzbudzać sensacji prośbą o drabinę, przystawił więc do drzwi stół, na nim umieścił krzesło i wszedł na to rusztowanie.

Na półeczce gzymsu leżało dwadzieścia paczek: dziesięć stosików po dwie paczki, ułożone symetrycznie przy narożniku, pięć z prawej, pięć z lewej. Były zawinięte w biały cienki papier, tak by nie odcinały się od gzymsu.

Jan zdjął ten skarb, zdemontował konstrukcję, ale stół pozostawił przy drzwiach. Wolał, aby go nikt nie zaskoczył.

Delikatnie odwijał papier i rozkładał zawartość. W każdej paczce było sto banknotów stumarkowych – pięknych setek z jedwabnymi nitkami, giloszami, mandalami, podpisami, numerami, bordiurami. Były tak absolutnie piękne, że nawet nie potrafił stwierdzić, czy to fałszywki.

Dwieście tysięcy marek.

[71](#) Epuzer – kandydat do małżeństwa.

[72](#) Fiksatur – pomada do włosów.

[73](#) Filozof z Sanssouci – tytuł, który nadał sobie Fryderyk II Wielki, władca Prus w latach 1740–1786, twórca potęgi tego kraju.

[74](#) Fragmenty pochodzą z książki *Z walki dwóch duchów* Franciszka Morawskiego.

ROZDZIAŁ 30

Przez chwilę rozważał, jak postąpić. Nie ulegało wątpliwości, że ten „prezent” nie mógł zostać u bankiera. Rozejrzał się w poszukiwaniu torby. Zdołałby wprawdzie ukryć te pakiety w kieszeniach płaszcza, ale było tego sporo, więc torba nadałaby się lepiej. Na komodzie w sypialni patrona leżał sfatygowany neseser i Morawski pozwolił sobie zajrzeć do środka. Znalazł w nim zmianę bielizny, modlitewnik i amerykańską książkę *People's banks: a record of social and economic success*. Opróżnił walizeczkę i umieścił w niej paczki pieniędzy. Odstawił stół na miejsce i wyszedł na korytarz. W drzwiach naprzeciwko ukazała się zakonnica.

– Muszę pożyczyć neseser księdza – oznajmił.

Spodziewał się protestów, ale ona uczyniła znak krzyża.

– Ksiądz patron powiedział, że gdybyś chciał coś zabrać, mój synu, to mam cię pobłogosławić.

Jan podziękował serdecznie i wyszedł.

Ruszył szybkim krokiem w stronę banku. Ze Świętego Marcina skręcił w Wilhelmowską, po raz drugi tego dnia minął mieszkanie Izabeli – naprawdę nie mógł w tym momencie do niej wejść, ale wróci tam, gdy tylko pozbędzie się tego trefnego towaru – i szedł szybko na północ, a jeśli zwalniał, to tylko po to, by się rozejrzeć za kraciatym płaszczem Szramy *alias* Śliwkowego.

Bez przeszkód dotarł do banku, ale tu się okazało, że patron ma spotkanie z dyrektorem Banku Ludowego ze Środy. Jan oczywiście zgodził się poczekać.

Siedział spokojnie minutę, lecz potem jego wzrok zatrzymał się na drzwiach w głębi sali. Pamiętał z wczorajszego pobytu, że urzędował tam ten specjalista od transakcji giełdowych, który praktyki odbył w samym City. Im dłużej Morawski nad tym dumał, tym silniejsze czuł zainteresowanie osobą tego pracownika.

– Czy ekspert od papierów wartościowych jest na miejscu?

– Tak, właśnie analizuje jakieś obligacje uznane przez eksperta Banku Rzeszy za fałszerstwo.

W tym momencie z głębi korytarza nadeszło trzech mężczyzn w towarzystwie patrona.

– Podwajamy Środzie limit kredytowy – oznajmił ksiądz Wawrzyniak jednemu z pracowników, a potem zwrócił się do swych gości: – Dajcie znać, gdyby któryś z gospodarzy się wycofał. Znajdę nabywców na te parcele.

Tamci dziękowali, ale on już patrzył na Morawskiego. Skinął mu ręką i ruszył do siebie.

Jan poszedł za nim, ale pokusa okazała się zbyt silna. Przechodząc obok pokoiku specjalisty od obligacji, nacisnął klamkę i zajrzał do środka. Przy biurku stał szczupły mężczyzna o przylizanych włosach, w wielkich rogowych okularach i niedopasowanym garniturze, jakie kupowało się gotowe w tanim sklepie. Na dźwięk otwieranych drzwi oderwał wzrok od trzymany w dłoni kartek. Był to bez wątpienia pan Błażej Augustyniak; Morawski znał go zresztą od lat, tyle że jako Maksa Krajewskiego, utracjusza i bawidamka, któremu złoto przesypywało się między palcami niczym piasek.

W pierwszej chwili Maks-Błażej oniemiał, jakby stracił orientację, po której stronie lustra się znajduje, a potem głęboko nabrał tchu.

Jan przeprosił za pomyłkę i poszedł do gabinetu patrona.

– Nie wiedziałem, że bank bierze udział w parcelacjach – wyznał, zamykając za sobą drzwi.

– Nie bezpośrednio. Bank kredytuje spółdzielnie, a one kredytują chłopów, by ci mogli wykupywać ziemię. Tylko dzięki temu Komisja Kolonizacyjna nie zajęła jeszcze wszystkich terenów. – Patron spojrział na swój neseser. – Widzę, że poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem.

– Tak, i to nawet większym, niż się spodziewałem.

– Jak dużym?

– Dwieście tysięcy.

Patronowi zabrakło słów. Opadł na fotel, a Jan opowiedział mu, gdzie znalazł ten

„prezent”.

– Nigdy bym nie uwierzył, że może chodzić o taką sumę – wyznał ksiądz.

– W wypadku fałszerstw politycznych zwykle w grę wchodzi poważne sumy – tłumaczył Morawski, zamykając drzwi na klucz i wyciągając paczki z neseseru. – Choć to nie jest typowa sprawa. Fałszerstwo polityczne to fałszowanie waluty jakiegoś kraju na zlecenie obcego rządu. Celem jest wprowadzenie chaosu i destabilizacja gospodarki przeciwnika. I zysk finansowy oczywiście, bo takie pieniądze nadają się do płacenia.

– Ale skoro jest w to zaangażowana Hakata... – Ksiądz-bankier dotykał pakietów. – Im przecież nie może zależeć na destabilizacji.

– Ale zależy im na zaszkodzeniu Polakom. I aby to osiągnąć, gotowi są narazić własny kraj na straty. Cel uświęca środki. Fałszerstwo polityczne jest skierowane przeciw wrogowi, a Polacy są wrogami. Hakata jest organizacją przestępczą, to jasne.

Ksiądz Wawrzyniak zmarszczył czoło i pokiwał głową.

– Garstka ekstremistów nie tylko popełnia czyny haniebne, ale popycha do tego samego resztę obywateli. Na razie chodzi o sprawy drobne, ale kto wie, do czego się posuną? – Podniósł jedną z niebieskich setek. – Przysięgłbym, że to oryginał. Ile potrzeba pracy, żeby wyryć taką płytę...

– Obecnie mniej niż dawniej. Coraz rzadziej spotyka się fałszerzy rytowników, bo staloryty zastępuje heliograviura. Wytwarzane tą metodą fałszywki są trochę gorsze, ale przygotowanie płyt trwa znacznie krócej. Zamiast ryć banknot na płycie, wykonuje się idealną fotografię, z niej heliograviurę, a z tak powstałej płyty drukuje się na papierze. Pieczęcie są nabijane osobno, osobno też nadrukowuje się numery. Ale produkcja to tylko połowa problemu, trzeba się pozbyć towaru.

– No właśnie. Jak takie banknoty są wprowadzane do obiegu?

– To skomplikowana operacja. Z fałszerzem współpracują dystrybutorzy, którzy zatrudniają rozprawczaczy. Ci pracują parami, często jest to mężczyzna z dzieckiem lub z kobietą. Jedna osoba ma zapas fałszywek, druga bierze pojedyncze banknoty, wchodzi do sklepów, kupuje, zabiera resztę. Jeśli sklepikarz rozpozna

falszywkę i wezwie policję, rozprowadzacz stwierdza spokojnie, że o niczym nie wiedział.

– One są piękne. Ktoś, kto to robi, musi mieć wielki dar. Ma wspaniały talent i go prostytuuje. Co za strata – stwierdził patron, układając pakiety w rzędzie. – Co z nimi zrobimy?

– Jeszcze nie wiem. Na pewno nie mogą zostać u księdza. Ani tu w banku, ani w tamtych pokojach. Zabieram więc ten „prezent”. Jeśli można, to w tej walizeczce.

– Oczywiście – zgodził się patron.

– Cały czas się zastanawiam, co jest tym trzecim ptakiem, którego Schliemann chce utłuc.

– Oprócz drukarni i banku?

– Właśnie.

Ktoś zastukał.

– Za minutę przyjdę! – zawołał patron.

– Nie przeszkadzam. – Jan wstał, a ksiądz mocno uściskał jego dłoń. – Odezwę się.

– Rano wyjeżdżam, ale Kuztulan zawsze wie, gdzie mnie znaleźć.

Morawski, dumny z siebie i zadowolony, wyszedł z banku. Zdetonował dwie bomby Schliemanna i nie dał się złapać.

Tuż za bramą podeszło do niego dwóch funkcjonariuszy policji.

– Radca von Schliemann polecił sprowadzić pana do Dyrekcji Policji.

Jan na chwilę zamarł – świadomość, co niesie w neseserze, pchała go do ucieczki – ale spokojnie podążył ze swą obstawą do stojącego po przeciwnej stronie ulicy powozu policyjnego. Wyraźnie na niego czekali, skądś zatem dowiedzieli się o jego pobycie w banku. Ale skąd? Oczywiście mógł przeoczyć Szramę, wystarczyłoby, gdyby porzucił on swój kraciasty płaszcz.

Wsiadając do powozu, Morawski spojrział w stronę banku i zobaczył stojącego w bramie Maksa-Błażeja.

Powóz ruszył i potoczył się ulicą Wilhelmowską, potem Fryderykowską i Teatralną wprost do budynku Dyrekcji Policji. Zaprowadzono Morawskiego na

pierwsze piętro, wpuszczono do niewielkiego pokoiku i polecono czekać. Jan spojrzął na zegarek. Do jedenastej brakowało dwóch minut. Zdjął płaszcz, bo jak znał szefa policji politycznej, rozmowa zacznie się za dwie godziny. Przez chwilę spacerował po pokoju, rozważając, czyby nie ukryć tych dwustu tysięcy w najbezpieczniejszym miejscu w Poznaniu, ale umeblowanie było zbyt skąpe. Oprócz biurka, dwóch krzeseł i regału z kilkunastoma książkami nie było tam nic. Nawet podłogę pokrywało linoleum, więc numer ze skrytką pod deskami odpadał.

Usiadł i wyciągnął z portfela karteczkę z kodem Krausego oraz drugą z literami odczytanymi z klucza Orzelskiego. Próbował dla zabicia czasu wykreślać na różne sposoby krótszy ciąg z dłuższego, ale po kwadransie takiej zabawy poddał się. Myśli krążyły tylko wokół pytania, po co Schliemann go wezwał: z powodu morderstwa numer jeden, numer dwa czy numer trzy? A może z powodu akcji „Drukarnia” albo akcji „Dorożka”? A może – i to byłaby prawdziwa katastrofa – z powodu akcji „Dwieście tysięcy w fałszywkach”? Mogli się dowiedzieć, że opróżnił ich schowek w Domu Katolickim. Jak? Najprościej: dzięki wtyczce w otoczeniu patrona. Im dłużej Jan o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że sprowadzono go z powodu tych pieniędzy. Wyjrzał przez okno, czy nie dałoby się ich ukryć poza pokojem, ale fasada była prawie płaska, a po dziedzińcu poniżej kręciło się kilka osób. Uchylił drzwi na korytarz, ale natychmiast zbliżył się posterunkowy i je zamknął.

Wreszcie spośród dostępnych w klitce książek Morawski wybrał jedyną akceptowalną, *Encyclopadie der Kriminalistik* Hansa Grossa. Musiał to być specjalny egzemplarz wewnętrzny dla policji, gdyż ukazanie się tej nowości było zapowiedziane na koniec roku. Jan zwinął płaszcz na krześle, usiadł, oparł stopy na biurku i zagłębił się w lekturze.

Dziesięć po pierwszej drzwi otwarto i ukazał się w nich policjant. Morawski nawet nie starał się ich rozróżnić, gdyż wszyscy wyglądali podobnie. Podniósł się i przeciągnął, potem pozbierał swoje rzeczy i ruszył za funkcjonariuszem wprost do gabinetu radcy Schliemanna – jego własnego gabinetu, nie tego, z którego wypchnął Gottschalka.

– Znowu się spotykamy – uśmiechnął się ukontentowany Schliemann.

– Tak, to już trzecie zatrzymanie – odpowiedział uśmiechem Jan. – Postanowiłem, że jeśli dojdzie do czwartego, na karcie wizytowej dopiszę sobie tutejszy adres. Spędzam tu tyle czasu...

– Pan żartuje. To miło. Zobaczymy, co pan powie na to.

Skinął na stojącego przy wejściu posterunkowego. Po kilku sekundach wprowadzono niskiego, mocno zbudowanego człowieka w mundurze, choć nie był to mundur policyjny. Mężczyzna miał wielkie podkręcone wąsy, a w klapie metalowy znaczek z czarnym orłem i napisem: *Deutscher-Ostmarken-Verein*, dokładnie taki sam, jaki nosił radca. A Janowi nagle się przypomniało, gdzie widział to oblicze: na poczcie, gdy podając się za Oskara Krause, odbierał jego listy. Stało się więc to, czego początkowo się obawiał, choć potem, w natłoku wydarzeń, przestał się tym martwić.

– To on – oświadczył pocztowiec, uważnie przyglądając się Morawskiemu.

– Jest pan pewien?

– W stu procentach. To on odebrał list zaadresowany do tego Oskara Krause. Szkoda, że dopiero we wczorajszej gazecie podano nazwisko. Przeczytałem to po południu i dzisiaj przyszedłem.

– Doskonale. – Schliemann wyduł usta, a następnie zwrócił się do policjanta: – Poprosić prezydenta von Hellmanna. Chcę, by to usłyszał.

Potem, ignorując Polaka, dwóch Niemców się rozszepotało, Schliemann siedząc, a pocztowiec stojąc. Morawski rozważał, jak postąpić. Wyprzeć się wszystkiego? Z pewnością istnieli inni świadkowie. Opowiedzieć całą historię von Hellmannowi? Nie uwierzy. Odmówić zeznań? Aresztują go i zabiorą neseser.

Po chwili nadszedł prezydent von Hellmann.

– Chciałbym, panie prezydencie, aby był pan przy tym obecny...

– Mam nadzieję, że tym razem potrafi pan coś udowodnić temu człowiekowi. Mecenas Trąpczyński już zgłosił zażalenie na nękanie jego klienta.

Jan postanowił, że jeśli tylko zdoła uciec z tego piekielnego kotła, pójdzie poznać prawnika, który już trzeci raz interweniował w jego sprawie.

– Kilka dni temu – radca von Schliemann zaczął spacerować, swą wielką

postacią zagarniając całą przestrzeń, co bez wątpienia miało speszyć drobnego prezydenta – podczas przesłuchania w sprawie śmierci Oskara Krause pan Morawski twierdził, że byli współpracownikami i nie miał wobec Krausego żadnych nieprzyjaznych intencji. Jak więc wyjaśni nam fakt, że już po śmierci swego kolegi poszedł na pocztę i posługując się kartą wizytową pana Krause, odebrał jego listy? Obecny tu pan Steiner może to potwierdzić.

Prezydent popatrzył na Jana ze zmarszczonym czołem, po czym zwrócił się do pocztowca.

– Tak było, panie prezydencie. – Tamten się uklonił. – Przyszedł, podał kartę wizytową...

– Czy taką? – radca Schliemann podsunął mu kartonik.

– Dokładnie taką. I zażądał wydania swoich listów. Wydałem, rzecz jasna.

– Czy pan się przyznaje, panie Morawski?

– Nie, oczywiście, że nie – stanowczo oświadczył Jan. Przecież nie żądał wydania listów Krausego.

– Pamiętam doskonale – wysyczał pocztowiec – że za kwadrans dwunasta piętnastego lutego ten człowiek podszedł do mojego okienka... – żołądkował się dalej, ale Morawski zatrzymał się na tym pierwszym zdaniu.

Piętnastego lutego? Zaczął obliczać. Czternastego lutego przyjechał do Poznania, tego był pewien, bo to były jego urodziny. I czternastego był na poczcie. A co robił piętnastego?

– Panie Morawski – odezwał się prezydent policji – gdzie pan był piętnastego o jedenastej czterdzieści pięć?

– W prosektorium doktora Lubarscha. Razem z radcą Gottschalkiem. I mniej więcej o tej właśnie porze poznałem obecnego tu radcę von Schliemanna.

Niemcy osłupieli i wpatrywali się w Jana.

– To niemożliwe – oświadczył Schliemann.

– Pamiętam doskonale... – przekonywał pocztowiec.

Prezydent skinął na umundurowanego policjanta, by odnalazł właściwy protokół. Funkcjonariusz trzęsącymi się dłońmi przerzucał kartki w teczkę, aż wreszcie

wydobył odpowiednią. Podał von Hellmannowi.

– „Pan Jan Morawski przybył na wezwanie o godzinie ósmej... przesłuchanie... radca Gottschalk... wyjazd do prosektorium... identyfikacja... radca von Schliemann. Zakończone o jedenastej pięćdziesiąt pięć”. – Spojrzał na pierwszą stronę. – Piętnasty lutego.

Podał raport Schliemannowi. Ten przebiegł wzrokiem po kartce i podsunął ją pod nos przerażonemu pocztowcowi.

– Ja nic nie rozumiem, panie radco. Nic nie rozumiem. Pamiętam dokładnie...

– Najwyraźniej niedokładnie. Gazety też pan nie przeczytał dokładnie.

– Nie zwróciłem uwagi na datę...

– Czy mogę odejść? – spytał Jan. Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce i pozbyć się parzącego go towaru. Zanim pocztowiec pójdzie po rozum do głowy i po rejestr wydawanej korespondencji. – Straciłem tu już dwie i pół godziny.

Prezydent postanowił przedtem przytrzeć Schliemannowi nosa:

– Proszę przeprosić pana Morawskiego, panie radco.

Panu radcy zadrgały nozdrza. Nabrał głęboko tchu, a potem powiedział cicho:

– Proszę o wybaczenie. – Spojrzał na Jana i dodał: – Zapewniam pana, że takie niedopatrzenie nigdy się nie powtórzy. Nigdy.

Morawski uklonił się z szacunkiem prezydentowi von Hellmannowi, tamtej dwójce skinął głową i wyszedł.

Przez minione dwie i pół godziny temperatura na zewnątrz wyraźnie się podniosła. I nie było to wrażenie Jana wywołane denerwującym incydem. Śnieg stał się mokry, z rynien, balkonów i daszków skapywała woda z topniejących sopli, a do tego wiał zachodni wiatr, pewna zapowiedź zmiany pogody.

Morawski zatrzymał się na rogu Berlińskiej i Rycerskiej. Czuł nieokreślony niepokój na myśl o tym pocztowcu, ale nie potrafił tego uczucia z niczym powiązać. Magazynierka nadzorująca jego pamięć biegła i jak oszalała podsuwała kolejne nitki: może chodziło o kartę wizytową Oskara? o odebrany list? o znaczek z orłem? a może o spotkanego wtedy na poczcie Polaka z bokobrodami? Jan tylko się krzywił.

Miał wrażenie, że na coś powinien był zwrócić uwagę.

Przekroczył ulicę Rycerską i szedł wzdłuż południowej pierzei placu Wilhelmowskiego. Zatrzymał się przy składzie cygar Żychlińskiego. Przypomniawsobie, że gdy był tu czternastego – teraz zapamięta te daty dokładnie – subiekt nie potrafił powiedzieć, czy poprzedniego dnia czwórka klientów zjawiała się pojedynczo, czy grupkami. Wprawdzie potem sami klienci udzielili Janowi tych informacji, ale w części pewnie fałszywych. Z ustaleń Mateusza wynikało, że szef będzie na miejscu we wtorek, Morawski postanowił więc tam wstąpić.

Wszedł do cichego sklepu i za ladą zastał brodatego mężczyznę, który porządkował gablotę z najdroższymi cygarami. Jan spytał, czy ma przyjemność z panem Żychlińskim, a tamten potwierdził. Morawski odłożył na ladę swą drogocenną torbę, sięgnął do portfela i wyciągnął list żelazny, czyli wizytówkę pana Chłapowskiego. Podał właścicielowi sklepu, ten przeczytał rekomendację, zamknął gablotę i spytał, co może zrobić dla krewniaka doktora Frania. Jan wyjaśnił, że prowadzi śledztwo w sprawie eksplozji i chciałby wiedzieć, kto przebywał w sklepie równocześnie z panem Krause.

– Pan Bernard Orzelski.

– A jak przebiegało to spotkanie? Czy odniósł pan wrażenie, że oni się znali?

– Raczej nie. Ale pan Krause przyglądał się panu Orzelskiemu tak natrętnie, że przez chwilę zamierzałem zwrócić mu uwagę.

– Wiem, że tego wieczoru było tu jeszcze kilku panów: Ludwik Jankowski, Tomasz Leśniewicz, Artur Boratyński i hrabia Krajewski. Czy oni...

– Skąd pan wie, że tu byli? – zdenerwował się Żychliński.

– Od nich. Czy więc mogli się zetknąć z Krausem? – Nie, nie sądzę. – Odwrócił wzrok.

Morawski dostrzegł to zakłopotanie i szybko zmienił temat.

– Rozumiem, że zatrudniał pan małego Ignasia.

Żychliński ciężko westchnął i potaknął. Jan dociekał dalej:

– A czy jest możliwe, że chłopiec, dostarczając paczki, coś zobaczył? I dlatego zginął?

– Proszę pana. To było dziecko. Dostawał tylko łatwe zlecenia. Pewne miejsca, stali klienci. Żadnych spelun. I zawsze pracował ze mną. Ja jestem jeden dzień tu, jeden dzień w tym drugim sklepie, przy dworcu. Ignas zawsze mi towarzyszył. Tak jak wtedy, w czwartek, gdy powierzył mu pan swoje paczki.

Jan podziękował i ruszył do wyjścia, ale się cofnął. Pan Żychliński stał nieruchomo, opierał się szeroko rozstawionymi rękami o ladę i patrzył na Morawskiego.

– A czy chłopiec był tu w środę wieczorem? – zapytał Jan.

– Tak.

Jan uszedł kilkanaście metrów, gdy zobaczył, że z bramy przed nim wyłonił się Tomasz Leśniewicz i ruszył w stronę Starego Rynku. Pod pachą niósł szarą papierową paczkę. Morawski pospieszył za młodym naukowcem, planując go zagadnąć, ale gdy znalazł się kilka kroków za nim, usłyszał stukot szkła dobiegający z pakunku. Zafrapowało go to zawiniątko. Leśniewicz przekroczył ulicę Wilhelmowską i szedł w dół Nowej, a Jan, choć zamierzał wejść do hotelu i pozbyć się neseseru, podążał w ślad za chemikiem i wsłuchiwał się w melodię szklanych przedmiotów.

Wreszcie widok wielkiej kałuży podsunął mu pomysł. Podbiegł w stronę naukowca, a gdy znalazł się metr za nim, wykonał ślizg na topniejącym lodzie. Wsparł się o Leśniewicza w taki sposób, że paczka wypadła tamtemu spod pachy prosto w wodę. Pan Tomasz otworzył usta i próbował coś powiedzieć, ale ujrawszy znajomą twarz, powstrzymał się od wyrzutów. Morawski zaczął przeproszać, wszedł w kałużę, pochylił się i wbijając palce w przemoknięty papier, podniósł pakiet. Spod opakowania wyłoniły się trzy apteczne butelki, chyba puste.

– Serdecznie pana przeproszam – kajał się Jan. – Chciałem się tylko przywitać, ale tu jest strasznie ślisko.

– Wła-wła-właśnie miałem je wy-wy-wyrzucić.

Zarumieniony Tomasz wziął rozerwany pakunek w trzęsące się dłonie. Pod rozpiętym płaszczem miał workowaty garnitur, a na szyi cienki szary szal, najprawdopodobniej damski, do którego przyczepiło się kilka ciemnych włosów.

Niezgrabnie skinął Janowi głową i odszedł.

Morawski odczekał chwilę i ruszył za nim. Leśniewicz wkroczył na Stary Rynek i zanurzył się w pierwszej bramie, a gdy ponownie się ukazał, nie miał paczki. Skręcił we Wrocławską, a wtedy Jan wszedł na to samo podwórze i w metalowym kuble znalazł skrawki papieru, jedną butelkę i potłuczone szkło. Brakowało niestety etykiet.

ROZDZIAŁ 31

Morawski opuścił podwórze i skręcił w stronę Bazaru, ale doszedł do wniosku, że powinien sprawdzić, jak się wiedzie pani Błachowiakowej. Zawrócił i ruszył Wrocławską aż do bramy oznaczonej młotkami, które tak go prześladowały. Na podwórzu huk warsztatu kowalskiego wydawał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Zbiegł do sutereny i zapukał. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Mroczna, stęchła kuchnia była wymieciona ze wszystkich sprzętów, podobnie jak sąsiednia alkowa. Gdyby nie ta kuźnia, Jan pomyślałby, że trafił do niewłaściwej sutereny. Wyszedł na podwórze. Spod topniejącego śniegu wyłaziły kocie łby, beczki i skrzynie.

– Pan szuka Błachowiaków?! – krzyknął jeden z kowali.

Jan skinął głową i podszedł do osmalonego mężczyzny, który stał na dworze bez koszuli, prezentując światu owłosiony tors.

– Wyprowadzili się. Już w sobotę przyszedł tu Jankowski, ten, co to ma bejmów jak inni brudu. Ten od tej wielkiej kamienicy. Zaproponował Błachowiakowej posadę stróżki w jednym ze swych domów na Górczynie. Dostali dwa widne pokoje z kuchnią, na parterze. Tuż przy szkole. Wczoraj nawet przysłał po nich wóz. Moja stara pomagała pakować ich klunkry⁷⁵.

Jan podziękował za informację i wyszedł na ulicę, wspominając sobotni bal, kiedy to pani Terlecka zarzuciła panu Ludwikowi skąpstwo i niewrażliwość. A on już w tym czasie zorganizował dla matki Ignasia prawdziwą pomoc.

Morawski spojrział w prawo, w stronę kamienicy numer 39. Przez zatłuszczone okno sutereny Terleckiego przedzierało się światło, zapewne więc obrotny Aaron załatwiał interesy. Przez chwilę korciło Jana, by tam pójść, ale najpierw chciał zajrzeć do mieszkania Boratyńskich. Sprawdził godzinę na zegarku i zaklął: dochodziła trzecia, przypuszczalnie więc Izabela zdążyła już zrealizować swój plan

zlustrowania Henryka Terleckiego. Tym bardziej powinien się z nią spotkać. Musiał też pozbyć się tych dwustu tysięcy marek, które ciągle ze sobą nosił. Więc tak: najpierw do Izabeli, potem do hotelu.

Naraz zza rogu ulicy Koziej wyłoniła się mameczka, wracająca zapewne z jednej ze swych słynnych misji dobrej woli. Na twarzy miała wyraz niezwykłego zadowolenia.

Jan cofnął się w głąb bramy i potracił opuszczającego podwórze mężczyznę. Ukłonił się i zaczął sumitować, ale słowa zamarły mu na ustach na widok powiewających bokobrodów, tak długich, że można by z nich spleść warkocze. To był ten sam człowiek, który na poczcie spierał się z urzędnikiem hakatystą. Mężczyzna nie odpowiedział na przeprosiny, przytknął tylko dłoń do kapelusza, po czym wyszedł z bramy i ruszył chodnikiem w stronę Starego Rynku. Morawski patrzył za nim. „Co za zbieg okoliczności – myślał – że pojawił się właśnie teraz, krótko po tym, jak zetknąłem się z tamtym wąsaczem z poczty. I na dodatek tu, w bramie pod znakiem młotków”. Porzucił tę zagadkę, bo przypomniał sobie o pani Jadwidze i na niej skoncentrował uwagę.

Szła Wrocławską w stronę Podgórznej i Świętego Marcina, dokładnie tak, jak on chciał iść do domu Izabeli. Westchnął, ale uznał, że nic się nie stanie, jeśli podąży za nią. Odczekał kilkanaście sekund i ruszył Wrocławską, potem skręcił w górę, po skosie, w Święty Marcin. Cały czas widział przed sobą strojny kapelusz pani Terleckiej. Nie weszła jednak do domu, lecz przekroczyła jezdnię i zniknęła w kościele, tak jak poprzedniego wieczoru.

Jan skręcił w Wilhelmowską, wszedł do kamienicy numer 18 i zastukał do drzwi mieszkania Izabeli. Otworzyła muskularna Marcjanna i Morawski zapytał o pannę Boratyńską. Służąca wyrzuciła z siebie taki potok słów, że opadły mu ręce. „Nie ma Izabeli” – tylko to zrozumiał.

Wyszedł z kamienicy i postanowił przyjrzeć się scenie intensywnej działalności mameczki.

Kościół stał bokiem do ulicy, a ponieważ blisko głównego wejścia postawiono dom, większość wiernych korzystała z bocznych drzwi świątyni, wychodzących na Święty Marcin. Jan ostrożnie otworzył ciężkie skrzydło, gotów w każdej chwili się

ewakuować. Owiął go chłód katakumb, bardziej przejmujący od zimna panującego na zewnątrz, gdzie temperatura była niższa. Tył kościoła tonął w półmroku, ale główny ołtarz był oświetlony i Jan zdołał dotrzeć do środkowego przejścia. Podeszedł kilka kroków do przodu i zorientował się, że trafił na ślub. Akurat dłonie młodej pary zostały związane stułą i w pękatym nowożeńcu Morawski rozpoznał pana Ludwika Jankowskiego. Usiadł w ławce. „Biedna Cecylia” – pomyślał ze smutkiem. Ale może Mateusz miał rację – wszystko będzie lepsze niż codzienność z hrabią Walewskim. Zwłaszcza że pan Ludwik ma serce po właściwej stronie.

Rozejrzał się. Nie zauważył innych gości, pan hrabia zatem dowiódł swej wyższej kultury, nie pojawiając się na ślubie jedynaczki.

Spojrzał w lewo i przy bocznym ołtarzu zobaczył wielki kapelusz mameczki. Przesunął się w ławce, żeby lepiej widzieć. Coś tam poukładała, poprzestawiała kwiaty przy krzyżu i wyszła.

Jan wysunął się z ławki i podeszedł bliżej. Ołtarz był ustrojony jak na Boże Ciało. Kwiaty, złote wstęgi, figurki świętych – aż się przelewało. Z boku widniała tabliczka: „Osobistą opiekę nad tą kapliczką sprawuje pani Jadwiga Henrykowa Terlecka”.

„O próżności ludzka!” – zachichotał w duchu.

Pod krzyżem, częściowo zakryta przez kwiaty, wisiała druga tabliczka. Jan się rozejrzał. Nikogo nie było. Przeszedł przez płotek zabezpieczający kapliczkę i odsunął kwiaty. Na tabliczce wyryto sześć liter. Spisał je. A skoro już tam był, zdjął wazon, przy którym coś poprawiała pani Terlecka. Okazało się, że wielkie ceramiczne naczynie stało na żeliwnej kratce. Jan uniósł ją, ale w tym momencie organy zagrały triumfalną melodię. Odłożył więc kratkę, ustawił wazon na miejscu i przeskoczył przez płotek. A potem stanął w ostatniej ławce, tuż przy głównym przejściu, i z weselną miną czekał na nowożeńców.

Pan młody przystanął na widok nieoczekiwanego gościa. Także panna młoda spojrzała w stronę Jana, a on poczuł, że szczęka mu opada jak barometr na niepogodę. W koronkowej oprawie welonu ujrzał okrągłą, uśmiechniętą buzię panny Anastazji.

Oczywiście dostrzegła jego szok i nie omieszkała go skomentować.

– Nie ta panna młoda, przyjacielu?

Odchrząknął.

– Doszedłem do wniosku – wyjaśnił pan Ludwik – że nie stać mnie na takiego teścia.

Zaśmiali się oboje, a Morawski zdążył trochę ochłonać. Złożył im najserdeczniejsze życzenia – nawet nie próbował odgadnąć, kto w tym stadle będzie grał pierwsze skrzypce, skoro oboje małżonkowie byli przyzwyczajeni przeprowadzać swoją wolę – po czym ucałował dłoń panny młodej. Ona cmoknęła go w policzek, omiatając aromatem owoców w rumie, i przy okazji szepnęła:

– A w prezencie ślubnym zażądam od małżonka weksli hrabiego Krajewskiego.

– Weksli Maksa?

– Widziałam, jak słodki Maksio podpisywał coś i dawał Ludwiczce. A gdy już będę miała hrabiego w ręku, tak mu dokręcę śrubę, że mnie popamięta na wieki.

Morawski uśmiechnął się do pana Jankowskiego.

– Nie sądziłem, że uda się to panu tak szybko zorganizować.

– Mówiłem, że przed końcem karnawału się ożenię, a u mnie słowo droższe pieniędzy. – Pan Ludwik błysnął złotym zębem. – Z księdzem ustaliłem wszystko już dawno, ale nie wiedziałem, czy nie zażąda jakichś papierów mojej najstarszej. Szczęśliwie świętej pamięci Bernard zostawił zgodę na małżeństwo swej podopiecznej właśnie ze mną, wyobraża pan to sobie?

Jan mruknął: „Niesamowite”, a pan młody uśmiechnął się szeroko.

– Tak, tak, wybrał właśnie mnie! Co prawda zgoda nie była potwierdzona notarialnie, ale na papierze listowym i z pieczęcią pana Orzelskiego.

Odwrócił się w stronę drzwi, a Jan pogroził Anastazji palcem. Posłała mu całusa i wyciągnęła świeżo poślubionego małżonka z kościoła.

Morawski spojrzął na zegarek – minęła czwarta, postanowił zatem zjeść obiad i zastanowić się, gdzie ukryć fałszywki. Nie zamierzał iść do Bazaru, bo tam z pewnością znalazłby się ktoś, kto chciałby uwolnić go od samotności, wstąpił więc do restauracji Delmerta przy ulicy Wilhelmowskiej 20, niepewny, czy nie zostanie

oskarżony o niepatriotyczny czyn. Wybór dań był już bardzo ograniczony, gdyż poznańskie lokale gastronomiczne serwowały posiłki w ściśle określonych godzinach: śniadanie od dziewiętej do dwunastej, obiad od dwunastej do piętnastej, a kolację od dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej. Morawski wybrał więc sobie chwilę w ciągu dnia, gdy jego żołądek powinien trwać w stanie spoczynku. Udało mu się zamówić zupę grzybową, a na drugie danie ćwiartkę pieczonej kaczki. Czekając na zupę, obejrzał powieszony w sali plan miasta, zwłaszcza okolice ulic Wrocławskiej i Koziej. Potem jadł i myślał na zadany sobie temat, ale każde miejsce ukrycia banknotów miało swoje wady. Jedząc kawałek jabłecznika, który wyczarowała dla niego żona właściciela, postanowił najpierw się upewnić, czy rzeczywiście nosi ze sobą prawdziwe fałszywki.

Wrócił do hotelu i poszedł do swego apartamentu. Nie zastał tam ani Mateusza, ani Marka. Zdjął płaszcz i kapelusz, ale zanim wyjął pieniądze, przeniósł się do sypialni i zamknął drzwi na klucz. W saloniku groziło mu nagłe i niezauważone wtargnięcie młodszego Małeckiego.

Otworzył neseser patrona, rozłożył banknoty na łóżku i analizował je pod lupą, a potem także pod mikroskopem Krausego. Na tyle, na ile mógł ocenić, płyty, z których je odbito, w większości były wykonane techniką heliograviury, ale niektóre elementy – przede wszystkim liniowanie, o którym mówił pan Chrzanowski – zostały wyryte. Nie dostrzegł żadnych zlewających się linii, żadnych niedokładności. Z kolei twarz Frei, a także alegoryczne postacie Przemysłu i Rolnictwa powstały metodą heliograviury – Jan wiedział, jak trudno jest wyryć wyrazistą twarz o jasnym spojrzeniu, jakich umiejętności wymaga od grawera oddanie głębi i perspektywy.

Potem wyciągnął ze skrytki spod komody oryginał nowego banknotu i próbki odbite z odzyskanych płyt. Różnice między egzemplarzami monachijskimi a oryginałem były wyraźnie widoczne i wykazał je pan Chrzanowski. Natomiast różnic między oryginałem Reichsbanku a egzemplarzami pochodzącymi z Domu Katolickiego Jan nie dostrzegał. Nawet papier wydawał się identyczny, podobnie jak tusz, kolory stempli i numerów.

– Przysięgłbym, że to oryginał – mruknął słowami patrona.

Wnioski były dwa: jeśli to nie były oryginały, to sporządzono je techniką mieszaną, a ich twórcy należeli do ekstraklasy – twórcy, bo potrzebni byli rytownik, fotograf i drukarz, a zapewne także chemik.

A konkluzja druga? Najwyraźniej płyty monachijskie, te heliograviurowe, były ochłapem rzuconym psom, by je czymś zająć, a przestępcom umożliwić swobodne uprawianie ich procederu. A skoro to Krause je dostarczył, to albo dał się nabrać, albo należał do spisku.

W kwestii schowania pieniędzy Jan postanowił dokonać plagiatu i ukryć banknoty na gzymsie sztukateryjnym. W sypialni był on zbyt wąski, poszedł więc do saloniku, ale tam gzyms zamocowano na styku ścian i sufitu. Zachęcające natomiast wydały się lambrekiny – usztywnione konstrukcje przypominające suknie infantek na obrazach Velázquez. Na długoterminowy schowek się nie nadawały, bo którejś gorliwej pokojówce mogło przyjść do głowy, by je odkurzyć, ale Jan planował rozstać się z tymi pieniędzmi już następnego dnia.

Przystawił sobie stół do okna, na stole umieścił krzesło i wszedł na tę wieżę. Kończył układać pierwszą warstwę, gdy usłyszał:

– Dowiedział się pan czegoś?

Zachwiał się i obejrzał, wściekły na siebie, że nie zamknął drzwi do salonu na klucz. Natrętem okazał się Maurycy Walewski.

– Nie – warknął Morawski.

– Myślałem, że jest pan profesjonalistą. – Hrabia obrócił się na pięcie i rzucił na odchodnym: – W takim razie nie ma wyjścia, ona musi wyjść za tego parweniusza.

– Powodzenia.

Jan zebrał pieniądze, zszedł z krzesła, zeskoczył ze stołu i zamknął się ponownie w sypialni. Opróżnił swoją metalową kasetkę z drobiazgów i próbek pochodzących z poprzednich fałszerstw, ułożył w niej dwieście tysięcy marek i ponownie zawiesił ją na pasach pod komodą. Nie była to idealna skrytka, gdyż Marek już ją na pewno odkrył, ale Morawski obiecał sobie, że nie dopuści młodego Małeckiego w pobliże tego pokoju. Potem poskładał próbki nowych banknotów i wzory ze starych fałszerstw, otworzył swój neseser i wszystko to tam schował. Kluczyk Orzelskiego,

karteczkę z kodem, lupę i mikroskop Oskara umieścił w walizce. Przy okazji upewnił się, że koperta Lloydsa spoczywa bezpiecznie.

Odłożył neseser. Nagle zmarszczył brwi i otworzył go ponownie. Zniknął jego minibrowning.

– Niech to szlag...

[75](#) Klunkry (gw. pozn.) – graty, rupiecie.

ROZDZIAŁ 32

Bal zamykający karnawał poznańskiego towarzystwa odbywał się tradycyjnie w Bazarze, ale tym razem, wobec ostatnich wypadków, postanowiono przenieść go do Hotelu Rzymskiego, a w Bazarze zorganizować bal Towarzystwa Młodych Przemysłowców. W ten pokrętny sposób ziemiaństwo obchodziło żałobę po śmierci jednego ze swoich.

Morawski przybył dziesięć minut po dziewiątej, gdyż sporo czasu zajęła mu naprawa róży z białego jedwabiu, którą własnoręcznie zwichrował. Tańce jeszcze się nie rozpoczęły, ale muzycy już brzdąkali.

Rozejrzał się po sali – poza trójką Leśniewiczów i nowożeńcami Jankowskimi wszyscy znajomi byli obecni. Jan wypatrzył na jednej z kanap panią Żdzarską i ruszył w jej kierunku, mijając rozgadane grupki. Ukłonił się bladej pani Teresie, a ona uśmiechnęła się smętnie i ruchem pozbawionym energii podała mu dłoń. Być może były to skutki migreny, ale niewykluczone, że frasowała się, czy wobec ślubu dwojga swych zleceniodawców otrzyma choć jedną prowizję. Morawski pytał ją o samopoczucie, a jednocześnie obserwował Artura, który ze wszystkich sił próbował przyciągnąć uwagę Maksa: zagadywał go, a wobec braku reakcji wchodził na linię wzroku Krajewskiego, który dla odmiany wciąż spoglądał ku Cecylii.

Potem Jan witał się z innymi gośćmi, a wszyscy oni byli pochłonięci jednym tematem: sensacyjnym ślubem pana Ludwika z panną Anastazją. Ponad gwar wybił się głos pani Terleckiej:

– Byłam absolutnie wstrząśnięta tą wiadomością, panie hrabio – zwróciła się do Walewskiego, który stał z boku i bezustannie poruszał ustami. – To skandal! Ta latawica odbiła pana córce narzeczonego.

Hrabia ciaśniej owinął się szalem i odszedł, mamrocząc coś. Cecylia, uczepiona jego ramienia, poszła razem z nim, ale spoglądała ku Maksowi.

– Co za szczęście, że pozbyliśmy się tej idiotki Anastazji – oświadczył Artur sztucznie ożywionym głosem. – To co, Maksiu, może się stąd urwiemy? Znam setki ciekawszych miejsc.

Krajewski nic nie odpowiedział, tylko poszedł za Walewskimi. Zdetonowany Boratyński kilka razy zamrugał, zawołał: „Poczekaj, Maks!”, i pobiegł za odchodzącym.

Morawski poczuł, jak ktoś ujmuje go pod ramię. Odwrócił głowę i zobaczył uśmiechniętą Izabelę.

– Szukałem cię.

– Słyszałam od Marcjanny.

Odeszli kilka kroków.

– Chciałem ci wyjaśnić, że ta suterena na Wrocławskiej wiąże się z...

– Byłam w Banku Przemysłowców – oznajmiła podekscytowana, a Jan głośno nabrał tchu.

– Tak cię prosiłem, żebyś z tego zrezygnowała.

– Terleckiego nie było w czwartek przed południem w pracy – ucięła jego protesty. – To było banalnie proste – oznajmiła, kłaniając się jakiejś mijanej parze. – Nawet nie musiałam długo przekonywać pracownika banku, że pan Henryk udzielił mi informacji o nowej lokacie.

– To niebezpieczne. Ten człowiek na pewno mu wszystko powtórzy, a Terlecki zorientuje się, że to ty o niego pytałaś.

Zignorowała te ostrzeżenia.

– Ale to jeszcze nie koniec. Wczoraj zasłabł w pracy. Czytał gazetę i nagle zaczął się trząść.

Jan już miał na końcu języka dalsze wyrzuty, ale przypomniał sobie, że coś o ataku nerwowym męża mówiła wczoraj mameczka na policji. Wydął usta i wpatrywał się w przestrzeń. Wczoraj w gazecie pojawiło się po raz pierwszy nazwisko Krausego jako ofiary eksplozji. Tylko że było ono na tapecie już w winiarni, gdy Janowi wypadły wizytówki i list. Od tego zaczęła się obsesja Bernarda Orzelskiego. Ale to się działo pod koniec spotkania, już po tym jak

przyszło do płacenia i Terlecki się ulotnił. Co łączyło Terleckiego z Krausem?

– Wygląda pan na wzburzonego, drogi Janie – zaczęła tuż obok pani Terlecka. – Przypuszczam, że rozmawiają państwo o tej skandalicznej historii z małą Nowacką. Ja prawie dostałam palpacji. Co za bezczelność! Ukradła adoratora innej pannie. I do tego hrabiance. No ale nie ma co się dziwić jej desperacji. Musiała łapać co popadnie, nawet groszoroba, po tym jak się okazało, że jej ojczym, czyli właściwie ojciec, był fałszerzem.

– Przecież oni nie byli spokrewnieni – wytknęła jej lodowatym tonem Izabela. – A nawet gdyby byli, to Anastazja nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jego przestępstwa.

Skinęła głową i odeszła. Morawski chciał jej towarzyszyć, ale mameczka wpiła się palcami w jego ramię.

– Szczęśliwie nie pozwalałam mojej Henriecie z nią się zadawać.

– Pani mąż źle wygląda, chyba za dużo pracuje – oświadczył Jan, patrząc na pana Henryka, który stał w pobliżu i trzęsącą się dłonią unosił kieliszek z wodą do posiniąłych ust.

– Tak, tak, on pracuje, by kupić Henriecie kamienicę posagową. Już teraz to krociowa panna, a wkrótce...

– Wydaje mi się, że widziałem go we Wrocławiu w zeszłym tygodniu.

– Ależ pan ma świetne oko, kochany panie Janie! Istotnie był we Wrocławiu w poprzedni poniedziałek. Czy to nie znak, że zwrócił pan uwagę właśnie na niego?

– zaczęła i figlarnie spojrzała na córkę, która stała jak ciele i jak ciele wpatrywała się w Jana. – Moja Henrietka zawsze powtarza...

Nie dokończyła, gdyż w tym momencie jej rozdygotany mąż porwał Morawskiego.

– Proszę posłuchać, mam dla pana propozycję interesu. Wyśmienitego po prostu.

– Puścił łokieć Jana i stanął naprzeciwko niego. – Potrzebuję dwustu tysięcy. Muszę uiścić drugą ratę za kamienicę, bo jeśli nie, stracę połowę zaliczki. Stracę sto tysięcy. Moje własne sto tysięcy. – Otarł dłonią spoczone czoło i oblizał wargi. – Więc pożycz mi pan dwie setki, a Henryczka dostanie tę kamienicę w posagu, więc

zyska pan to, co już zapłaciłem. Złoty interes, panie, czysty zysk. Tylko musimy to szybko przeprowadzić, bo ja mam kilka dni na wpłacenie. Jeśli nie, stracę tamte pieniądze, rozumie pan? Stracę, stracę moje pieniądze. Więc jak będzie? Może wpadnę dziś wieczorem do pana i wszystko omówimy? Kamienica to najlepsza...

Naraz między Jana a pana Henryka wcisnęła się mameczka, odpychając małżonka na bok. Ciągnęła za rękę córkę.

– Może zatańczy pan z Henrietką? Ona wciąż wspomina wasz pierwszy taniec...

– Poprosiłem już o ten taniec pannę Izabelę – oświadczył Morawski.

Uklonił się i odszedł.

Pannę Boratyńską znalazł pogrążoną w pogawędce z dwiema damami. Stał w szerokiej wnęcie drzwiowej i czekał, aż panie skończą. Po chwili Izabela do niego podeszła.

– Terlecka mówiła ci coś o tym zasłabnięciu męża?

– Nie, ale ja chyba wiem, co mu się stało – zaczął Jan, zapominając, że chciał odciąć Izabelę od całej sprawy. – Wczoraj w porannej prasie po raz pierwszy ukazało się nazwisko tego człowieka, który zginął w eksplozji...

– Tego detektywa, którego podejrzewasz o nieczystą grę?

– Właśnie jego. A co ciekawsze, w zeszły poniedziałek on był we Wrocławiu. Henryk Terlecki również.

Powiódł wzrokiem po sali, aby nikomu nie przyszło na myśl, że rozmawiają o czymś innym niż tańce i zabawa. Zastanawiał się, czy Terlecki jest zdrajcą, czy fałszerzem.

– Myślisz, że to Terlecki negocjował w imieniu fałszerzy? – zapytała.

Morawski drgnął. A Izabela pokręciła głową.

– Negocjować mógłby ktoś ważny – ciągnęła – a on na pewno nie jest mózgiem żadnego spisku. Wydaje się człowiekiem twardym, ale moim zdaniem to gra. On jest tylko wykonawcą. I mam nawet pomysł, jak ustalić, kto...

– Nie! – Morawski prawie krzyknął. – Żadnych więcej pomysłów. Zostaw to!

Stali przy podwójnych, zamkniętych drzwiach. Naraz dobiegł zza nich odgłos czegoś uderzającego o parkiet. Jan szarpnął klamkę, ale została mu w dłoni.

Szybkim krokiem poszedł wzdłuż krzeseł, zderzył się z kelnerem, złapał go za rękaw i kazał się zaprowadzić do przyległego pomieszczenia. Był to długi, wąski pokój, udostępniany zwykle gościom w czasie zabaw tanecznych, ale w poprzednim tygodniu niemiecki nadzór budowlany nagle uznał, że przy sali balowej jest potrzebny korytarz ewakuacyjny i nie wolno tam urządzać spotkań.

Klamka spoczywała na stojącym obok drzwi krześle. Gdyby leżała na podłodze, Jan trochę by się uspokoił, ale skoro była na krześle, ktoś musiał ją tam położyć.

Wrócił na salę i rozglądał się za Izabelą. Wszyscy tańczyli szaleńczo, jakby się chcieli wybawić na zapas, jakby już czuli w powietrzu aromat postnego żuru. Pozostało niewiele czasu, ostateczne bale kończyły się bowiem punktualnie o północy, gasła wtedy muzyka i wnoszono półmisek ze śledziem. A jutro Popielec: niektórzy odstawią tytoń, alkohol lub cukier, a wszyscy na kilkadziesiąt dni wygnają ze swego życia śmiech, radość i zabawę. Teraz jednak chcieli się upić tańcem.

Morawski podszedł do bufetu i sięgnął po kieliszek z szampanem.

– Fałszerz w Poznaniu i do tego zamordowany – gdakała jakaś kobieta. – Nigdy nie myślałam, że tego dożyję.

Do Jana zbliżył się Artur.

– Założę się – szepnął – że każda z tych świętoszek co najmniej raz podrobiła czyjś podpis. Zapewne męża na czeku.

– Pospolity przestępca w najlepszym towarzystwie – odezwała się inna.

– A jeśli nawet nie podrobiła – ciągnął Artur – to ukradła kluczyk i włamała się do skrytki w biurku męża lub do jego sejfu.

Morawski skierował na Boratyńskiego zaintrygowany wzrok.

– My – włączyła się mameczka, mocno akcentując to „my” – nie mieliśmy z nim nic wspólnego.

– Ciekawe – mruknął Artur – przecież Bernard tą ulotką właściwie oskarżył jej męża.

– Czy w Banku Przemysłowców można wynająć skrytkę? – spytał Jan. – Taką na kluczyk?

– A skąd mam wiedzieć? – prychnął Boratyński i odszedł z kieliszkiem w dłoni.

Jan podsumowywał fakty: Henryk wpłacił dużą sumę na kamienicę, ale nie dostał kredytu na dopłatę, znalazł się więc w trudnej sytuacji; był we Wrocławiu tego dnia, co Oskar; w dniu eksplozji wyszedł z pracy; miał dostęp do skarbcza, a Śliwkowy wspominał, że pomysł ze skarbcem nie wypalił. Wszystko wskazywało na to, że Hakata planowała przy pomocy Terleckiego rozbić polski system bankowy od środka. Czy jednak Henryk zmienił zdanie i zamiast wziąć udział w spisku, usunął Oskara?

Koło grupki pań przeszedł pan Maurycy Walewski i natychmiast pani Terlecka porzuciła swe niżej urodzone znajome.

– Słyszałam, panie hrabio, że jutro pan wyjeżdża? Ależ dlaczego?

– Mam dość tego przekłętego miasta. Tu się dzieją rzeczy, które w głowie mi się nie mieszczą. Ludzie mają za nic prawa przysługujące wyżej urodzonym.

Do Jana dołączyła Izabela i słuchali razem.

– A panna Cecylia? – dopytywała się mameczka.

– Proszę mi nie mówić o tej idiotce. Mogła mieć tego Jankowskiego, ale wszystko zepsuła. Mogła odwdziaczyć mi się za te starania, których jej nie szczedzę. Ale skoro ona postanowiła podeptać swe obowiązki względem mnie, niech sobie robi, co chce. Chciała tego golca Krajewskiego, proszę bardzo. Przynajmniej pochodzenie ma doskonałe. – Podbiegła rozpromieniona Cecylia, a on spojrzał na nią surowo: – Ale postawiłem warunek: on musi spłacić długi, żeby nikt mnie za to nie ścigał. Jeśli nie, wyjeżdżasz ze mną.

Cecylia uściskała go z wdzięczności za te małoduszne utyskiwania i egoistyczne lamente. Hrabia odepchnął ją i odszedł, a zachwycona dziewczyna powtórzyła Janowi i Izabeli decyzję ojca.

– Maksio powiedział, że do rana zdobędzie pieniądze na wykup weksła. Tak męsko i zdecydowanie przy tym wyglądał. – Złożyła dłonie jak do modlitwy. – Więc jutro weźmiemy ślub. Maks już ma specjalną zgodę. I znalazłam belladonnę, tę, którą dostałam od Anastazji. Maks już ją oddał policjantom.

Podszedł Krajewski, uklonił się i uprowadził swą wybrankę.

– A kiedy pana ślub z Henryką? – rzuciła jeszcze. – Pani Terlecka mówiła, że to

już postanowione.

Morawski z irytacji uniósł na chwilę dłonie, jakby chciał kogoś udusić. Zagrano walca.

– Zatańczymy? – zwrócił się do Izabeli.

Uśmiechnęła się. W połowie tańca, gdy znaleźli się w pobliżu drzwi, Morawski wyprowadził ją do bocznej sali. Nikogo tam nie było. Zatrzymali się przy oknie. Izabela przysiadła na parapecie, a Jan wyciągnął z kieszeni kwiat – właściwie podjął już decyzję. Przez kilka sekund wpatrywała się w ozdobę, coraz bardziej marszcząc czoło. Wzięła różę do ręki, obróciła, obejrzała.

– Przysięgłabym, że...

Pokiwał głową.

– Nie – zmarszczyła czoło. – Ten dorożkarz...?

Morawski przytaknął. Najpierw wpatrywała się w niego, potem zaczęła się uśmiechać, a po chwili śmiali się oboje. Nagle Jan spoważniał. Otworzył usta.

Do sali wpadł Mateusz:

– Zniknęli.

ROZDZIAŁ 33

Mateusz podszedł bliżej i na widok Izabeli się spłoszył.

– Ja... bardzo przepraszam. Nie zauważyłem pani.

Spojrzał jeszcze na Jana, odwrócił się i wyszedł. Morawski nerwowo przeczesał włosy.

– Chyba powinienes iść.

– Chciałem ci coś powiedzieć. – Popatrzył na drzwi, za którymi zniknął kamerdyner. – Ale masz rację, muszę iść. Postaram się tu wrócić.

– Ja też wychodzę – oznajmiła, wstając. – Już pół godziny temu powinnam być w Hotelu Francuskim. Odbywa się tam bal zaręczynowy i poproszono mnie o napisanie o tym krótkiej wzmianki.

– Mogę przyjść do was do mieszkania? – spytał, gdy szli w stronę szatni.

– Lepiej nie, ciotka ma lekki sen, a powinna dobrze się wyspać. – Spojrzała na zegar ścienny. – Jest wpół do jedenastej. Wracając po północy z Francuskiego, zajrzę do Bazaru.

– Nie powinnaś chodzić sama po nocy. Spotkajmy się rano.

– Jestem umówiona jutro w pałacu w Jankowicach, wrócę dopiero wieczorem. Możemy się spotkać pojutrze.

Westchnął. Chciał powiedzieć, co miał do powiedzenia. Nie mógł czekać do czwartku.

– Zajrzę około północy – powtórzyła. – To przecież tylko kilka kroków. Jeśli będziesz, porozmawiamy, jeśli nie, zostawię ci wiadomość i spotkamy się we czwartek.

Zatrzymał się w drzwiach, ujął jej dłoń i pocałował, a następnie wyprostował się i przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Obiecay – szepnął jej do ucha – że nie będziesz kontynuować śledztwa.

Rozległo się człapanie i Morawski się odsunął. Spojrzał ponad głową Izabeli i zobaczył, że do garderoby zmierza nastroszony Walewski. Za nim biegła Cecylia, lekko, jakby się unosiła w powietrzu. Przypominała tę radosną istotę, którą Jan poznał tuż po przybyciu. Po raz ostatni uśmiechnął się do Izabeli i wyszedł.

Morawski biegł po pustym trotuarze, ale nigdzie przed sobą nie widział Mateusza. Wpadł do bramy numer 8, tej samej, w której kilka nocy wcześniej zniknęli Maks z Tomaszem Leśniewiczem. Gdy znalazł się na podwórzu, kaszlnął.

– Tu jestem – usłyszał za plecami głos Mateusza. – Gdzieś tu powinien czekać Marek.

Taki właśnie był plan. Młodszy Małecki miał się zaciąć na tym podwórzu, a Mateusz w szatni Hotelu Rzymskiego. Gdyby podejrzani nagle opuścili bal, Mateusz miał zaalarmować Jana i razem dołączyliby do Marka.

Kamerdyner kilkakrotnie zagwizdał, tak jak było umówione, ale nikt się nie pojawił. Morawski dwukrotnie zawołał: „Marek”, ale odpowiedziały mu tylko koty. Mróz chyba całkowicie już odpuścił, bo dookoła zaczynał się unosić nieprzyjemny fetorek.

– Miejmy nadzieję, że nic mu się nie stało – mruknął Jan.

– Nie, nic się nie stało – rzucił Mateusz przez zaciśnięte zęby. – Poszedł obejrzyć te gejsze.

– Gejsze?

– W Sali Lamberta dzisiaj wieczorem jest program *Geisha Girls*. Już od dwóch dni Marek o tym mówił. Nie powinienem był w ogóle prosić go o pomoc. Przecież wiem, że nie można na nim polegać. Nierzetelny, niepunktualny – warczał. – Może spróbujemy poszukać sami?

– To nie ma sensu. Nawet przy świetle dziennym trudno tu cokolwiek znaleźć.

– Wraca pan na bal? Bo jeśli tak, to ja pobiegnę do Lamberta i sprawdzę, czy on się w coś nie wpakował. Kobiety i sznapsy to dla niego mieszanka wybuchowa.

– Idź.

– A jutro go odsyłam – zapewnił Mateusz, po czym między kubłami, klatkami i kurnikami ruszył w stronę Świętego Marcina.

Jan wyszedł na plac Wilhelmowski, ale nie zamierzał wracać na bal – po co miałby iść, skoro nie było tam już Izabeli. Miał inny pomysł na zlokalizowanie nieuchwytnych panów. Ruszył w stronę Bazaru, ale zatrzymał się przy najbliższej bramie, oznaczonej numerem 7. Pamiętał, że z tej lub z następnej wyłonił się wcześniej tego dnia Tomasz. Być może tu właśnie mieszkał. Brama nie była jeszcze zamknięta, wszedł więc i spojrzął na listę lokatorów. W mieszkaniu numer 4 na drugim piętrze rezydowali państwo Leśniewiczowie.

Wchodząc po schodach, uświadomił sobie, że na sąsiednim podwórzu, pod numerem 6, zmarł mały posłaniec. Zastukał do drzwi. Gdy po chwili się uchyliły, w szparze ukazała się niziutka staruszka.

– Czegu?

– Czy zastałem państwa Leśniewiczów?

– Pan śpi, a una kwęka u siebie.

Jan nie bardzo wiedział, co się kryje za tym stwierdzeniem, ale nie zamierzał ustąpić.

– Proszę jej powiedzieć, że mam wiadomość od Tomasza. Tu jest mój bilet wizytowy.

Przez szczelinę podał kartonik i drzwi się zatrasnęły. Dość szybko usłyszał szcęk zdejmowanego łańcucha.

– Niech wejdzie.

Poprowadziła go przez ciemny hol i otworzyła przed nim drzwi. Wszedł do dusznego, rozgrzanego pomieszczenia, przepojonego egzotycznymi aromatami i wonią leków. Zbliżył się do kanapki, jedyne oświetlone miejsce w tym pokoju. Wpółleżała na niej pani Leśniewicz, z rozpuszczonymi włosami, w miękkiej domowej sukni w kolorze mchu. Na stoliku przed nią stał dzbanek, a ona trzymała w dłoniach wysoki kubek do czekolady.

– Co to za wiadomość? – wymamrotała. Miała silne rumieńce i szkliste oczy.

– Właściwie to nie mam wieści od Tomasza, lecz dla Tomasza. Wiem, że czeka na tę wiadomość, więc próbuję go znaleźć. Wspominał, że ma dziś w nocy spotkanie z jedną z dziewcząt z tego programu *Geisha Girls*, i pomyślałem, że może wie pani

gdzie.

– Tomasz ma spotkanie z jakąś kabarecistką?

– Tak mi mówił. – Jan udał speszzonego.

– To niemożliwe! – Uniosła się. – Tomasz nie interesują inne... to znaczy nie interesują go kobiety. On nie zwraca uwagi na kobiety. Naprawdę! Chodzi na spotkania z jakimiś mężczyznami na zapleczu sklepu Żychlińskiego. Ale tam nie ma kobiet. – Opadła na kanapę. – Na pewno nie spotyka się z żadną kobietą. On by mi tego nigdy nie zrobił.

Spomiędzy poduszek wydobyła brązową apteczną butelkę, nalała z niej płynu do kubka, potem odwróciła się tyłem do Jana i wypła.

– Tomuś wrócił? – rozległ się skrzekliwy głos z głębi domu.

Odstawiła kubek na stół, poderwała się, dopadła do drzwi prowadzących do holu i wrzasnęła:

– Nie! – Wróciła na kanapę, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. – On chce wyjechać... Powiedział... że jeśli tylko zdobędzie pieniądze, wyjedzie... Jak najdalej... Jego ojcu pękłoby serce.

Jan podszedł do kanapy i zza poduszki wyciągnął brązową butelkę. „*Laudanum*” – przeczytał. Cicho opuścił mieszkanie Leśniewiczów. Zbiegł po schodach, wyszedł z bramy i ruszył w lewo. Minął bramę numer 8 i zanurzył się w następnej. Na podwórzu skręcił w prawo i dotarł do drzwi, które wedle jego obliczeń znajdowały się na tyłach sklepu z cygarami. Zapukał.

Otworzył mu naburmuszony mężczyzna wbity w przyciasny garnitur.

– Czemu tak późno? – przywitał Morawskiego, wpuszczając go do niewielkiego magazynu obstawionego szafami. – W interesach liczy się punktualność. Miał pan być o wpół, a jest już kwadrans po jedenastej. Czekam i czekam. A to ostatki, wszyscy się bawią, tylko ja tu tkwię.

– Idźcie więc i wypijcie za moje zdrowie – uśmiechnął się Jan i podał mu monetę.

– A dziękuję, wypiję. – Moneta zniknęła w sękatej dłoni. Portier włożył płaszcz i ruszył w stronę sklepu, gestem pokazując Morawskiemu, by podążył za nim. Gdy

znaleźli się w mrocznym wnętrzu, odwrócił się i zmarszczył czoło. – Bo to pan jest tym nowym, na którego kazali mi czekać?

– Właśnie, właśnie.

Uspokojony mężczyzna skinął głową. Otworzył jedną z szaf, nacisnął przycisk i wewnątrz rozbłysło światło, wydobywając z ciemności wąskie schody prowadzące na piętro.

– To tam. Ale najpierw pan zakluczy za mną drzwi na podwórze.

Wrócili na zaplecze, portier wyszedł, mrużąc: „Uszanowanie”, a Jan przekręcił klucz w zamku. Idąc po stromych schodach, przewidywał, że na piętrze znajdzie pracownię fotograficzną i rytowniczą; drukarnia działała zapewne gdzieś indziej, bo nikt nie dałby rady wnieść prasy po tej drabinie.

U szczytu schodów znajdowały się drzwi. Uchylił je lekko i usłyszał głos Artura:

– Klimat ci tu nie służy tak samo jak mnie, Maks. Wyjedźmy gdzieś, na przykład do Paryża.

– Za co?

– Powiedz tylko słowo, a pieniądze się znajdą.

– On już nie przy-przy-przyjdzie.

– Poczekajmy jeszcze trochę – zdecydował Maks. – To świetny klient.

Morawski popchnął drzwi. W podłużnym pokoju punktem centralnym był stół, przy którym siedziało trzech mężczyzn. Reszta pomieszczenia ginęła w półmroku i dymie z dwóch papierosów i jednego cygara. Na pokrytym zielonym sukniem blacie leżało kilka talii kart, papier i ołówki.

– Czekacie na kogoś?

Poderwali się z krzeseł i natychmiast na nie opadli.

– Co tu robisz? – warknął Maks.

– Przechodziłem.

Tomasz i Artur wydawali się speszeni, natomiast Krajewski był podekscytowany charakterystycznym podnieceniem nałogowca. Jego dłonie, jakby poza jego wolą, bezustannie przesuwają karty, tasowały je, układały.

– Czekamy na czwartego. Może się przyłączysz? – Uniósł całą talię. – Pamiętam,

że kiedyś lubiłeś pograć.

Jan obszedł stół dookoła. Wyciągnął cygaro i zapalił je od płonącej świeczki.

– Więc to tu spędzacie wieczory? – Nikt się nie odezwał. – Tak jak w zeszłą środę?

– Jesteśmy tu prawie codziennie – prychnął Artur i patrząc na Maksa, przewrócił oczami zniecierpliwiony natręctwem przybysza.

Palili, a Jan chodził i obliczał: ważny był środowy wieczór; melina nie odgrywała roli przy eksplozji, bo to było rano, ani przy śmierci Ignasia, bo to było po południu. Choć chłopiec mógł odkryć ich tajemnicę. Ale czy to powód do morderstwa? Na pewno by ich nie wydał, bo wpakowałby w kłopoty swego pracodawcę.

– Najpierw grał też Bernard – zauważył Jan.

– Ale potem tak go wyprowadziłeś z równowagi – wytknął mu Maks – że zaproponował, bym wskoczył na jego miejsce.

– A tobie to odpowiadało, bo byłeś w potrzebie.

Morawski wziął ze stołu jedną z lamp, podszedł do ściany i obejrzał zamek wbudowanego w nią sejfu. Oceniał, że kluczyk do tego zamka jest większy niż ten znaleziony u Bernarda.

– A co z niedzielną nocą, skończyliście chyba wcześniej?

– O-o-około północy.

Maks tasował karty jak szalony.

– Chodźmy stąd – nalegał Artur.

– Nie, czuję, że dzisiaj wygram, a ten człowiek ma kasy jak lodu.

To był ten Maks, którego Morawski znał z przeszłości, ten szaleniec ze skłonnością do gry *va banque*. Jan miał pewność, że gdy Krajewski wdroży się w handel akcjami, puści się na grubą spekulację.

Morawski odszedł od stołu. Znalazł drzwi do frontowej części piętra, ale były zamknięte na klucz, a choć miał przy sobie wytrychy, wolał się z tym nie ujawniać.

– Oszczędzilibyście mi wiele czasu – mówił do wszystkich, ale zwracał się do Maksa – gdybyście od początku powiedzieli, o co chodzi. Nie musiałbym za wami

gonić.

„I mógłbym spokojnie porozmawiać z Izabelą, do cholery”.

– Nie sądziliśmy, że jesteście podejrzani – burknął Artur.

Morawski patrzył na nich. Boże, jaka ta konspiracja wydawała mu się dziecinna! Choć może gdyby musiał tu mieszkać, też zacząłby się uciekać do takich cyrków.

– Zawsze przed grą kupujecie w sklepie? – spytał.

– A skąd! – odparł Boratyński. – Akurat tego dnia plątali się jacyś ludzie i musieliśmy udawać zwykłych klientów. Poza tym mnie naprawdę skończyły się papierosy.

– A komu zależało na dyskrecji? – chciał jeszcze wiedzieć Jan.

– Najbardziej chyba Jankowskiemu – stwierdził Maks – jest przecież wiceprezesem Towarzystwa Anty hazardowego. No i Arturowi.

– Moja siostra nienawidzi hazardu. A to ona trzyma kiesę.

Na pierwszą wzmiankę o Izabeli Morawski trochę się uspokoił, ale ten drugi komentarz Artura go zmroził. Zrobił nieprzyjemną minę, a Krajewski to zauważył.

– Idź już – powiedział ostro. – Jeszcze nam spłoszysz czwartego.

– Miłej gry – rzucił Jan, nie wspominając, że odesłał stróża i jeśli czwarty przybędzie, nikt go nie wpuści na górę.

Wyszedł na podwórze. Dokąd teraz? Hotel czy Sala Lamberta? Wpół do dwunastej. Miał zatem pół godziny. Postanowił, że sprawdzi, czy Mateusz znalazł brata marnotrawnego, a potem wróci do Bazaru.

Mimo wsparcia latarki nie potrafił znaleźć przejścia z tego podwórza na sąsiednie, wrócił więc na plac Wilhelmowski i przez kamienicę numer 8 przedostał się na Święty Marcin. Skręcił w lewo, dotarł do Piekar i bez kłopotu odszukał Salę Lamberta, bo dobiegały stamtąd krzyki, śpiewy i muzyka. Przepuścił dwóch panów, którzy z pijacką powagą wytoczyli się na ulicę, i wszedł do środka.

W Sali Lamberta trwała kulminacja karnawału: tłumy tańczyły i śpiewały, jadły i piły. Był to bal otwarty, dla wszystkich stanów i środowisk, a choć przeważali robotnicy i drobnomieszczanie, bywali tu i hrabiowie, i dziewczki kuchenne. Wiele osób nosiło maski.

Jan wypatrzył Mateusza i Marka, którzy stali w najlepszej zgodzie przy szynkwasiu i pili. Zbliżył się do nich. Powitali go z wielką radością.

– Przyszedł pan na sam koniec, szefie – wrzasnął Marek. – O dwunastej szlus.

– I o dwunastej wychodzę.

Zabawa trwała w najlepsze, a wodzirejem był błazen w czapce i z kaduceuszem. Wśród tancerzy rej wiódł siwy mężczyzna, w którym Jan rozpoznał hrabiego Brezę. Zbliżał się on do siedemdziesiątki, a tańczył mazura jak młody. Jego partnerką była hoża dziewczyna, na pierwszy rzut oka kucharka.

Morawski usiadł przy ladzie, wypił dwa sznapsy, śmiał się z Marka, który tańczył polkę z zamaskowaną kobietą i próbował odkryć jej tożsamość. Jan co chwilę spoglądał na zegar wiszący za barem, ale północ jeszcze nie minęła, zresztą skoro muzyka grała, trwały ostatki.

Potem wwieziono wielkie miski pełne kiełbas, a kucharz w wysokiej białej czapie wołał:

– Jedzcie, jedzcie! Od jutra ino śludok⁷⁶.

Wszyscy brali kiełbasy i jedli, popijali piwem lub wódką, częstując się przy tym mądrościami: „Od piwa głowa się kiwa” i „Od wódki rozum krótki”.

Potem zagrano walca figurowego i hrabia Breza zmienił się w wodzireja. Wykrzykiwał: *rond, corbeil, contre*, a wszystkie sprzedawczynie i posługaczki chciały wirować tylko z nim.

Naraz na środek sali wyszła pani Lambert, właścicielka tego przybytku, i uciszyła muzykę. Od orkiestry odłączył się jeden z muzykantów i zerwał struny skrzypiec. Drzwi kuchni otwały się i dwóch kuchcików wniosło gar z postnym żurem. Jan spojrział na zegar wiszący na ścianie – wskazywał za dziesięć dwunasta. Wyciągnął z kieszeni swój zegarek: pierwsza.

Klnąc na właścicielkę, która tym sposobem przedłużyła karnawał, wybiegł z sali. Szybkim krokiem szedł w stronę Świętego Marcina. Tylko do siebie mógł mieć pretensje, że nie zauważył upływu czasu, ale po raz pierwszy od wielu dni nie musiał obserwować, prowokować zwierzeń, kłaniać się w odpowiednim momencie i uśmiechać do odpowiednich osób. Po raz pierwszy mógł się po prostu bawić.

Po chwili zwolnił. Nie miał po co pędzić. Bal w Hotelu Francuskim zakończył się godzinę wcześniej, a Izabela zapewne od trzech kwadransów była u siebie. Postanowił, że następnego dnia rano zjawi się u niej i zaproponuje jej swą asystę podczas tej wyprawy do podpoznańskich Jankowic. Ucieszony tą perspektywą, głośno się zaśmiał.

Znalazł się akurat przy kościele Świętego Marcina i przypomniał sobie o ołtarzu pani Terleckiej, o tabliczce, wazonie z kwiatami i zagadkowej kratce. Wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydobył wytrychy. Rozejrzał się. Na ulicach było pusto. Ci poznaniacy, którzy rozpoczęli już post, przebywali nabożnie w domach, a klienci Sali Lamberta jedli żur.

Minął boczną ścianę kościoła, tę przylegającą do chodnika, i skręcił w prawo. Na znajdującym się za świątynią placyku stał pomnik Adama Mickiewicza. Jan uchylił przed wieszczem cylindra i po kilku stopniach wbiegł pod drzwi zakrystii. Zamek należał do starej generacji i do jego otwarcia najlepiej nadałby się po prostu kawałek drutu. Nowoczesne wytrychy Jana niechętnie zadawały się z takimi prymitywami i odmawiały współpracy. Dopiero po kilkunastu próbach Morawskiemu udało się sforsować drzwi. Wszedł i ruszył prosto do ołtarza mameczki. Odstawił wazon, uniósł kratkę i wsunął dłoń w otwór. Namacał metalową rączkę i wydobył na zewnątrz małą kasetkę. Usiadł na stopniu, zapalił latarkę i wziął ją w zęby. Żaden z jego kluczy nie nadawał się do zamka kasetki, wyjął więc nóż i podważył wieko. Wewnątrz znalazł plik kartek. Zaczął je przeglądać. Były to weksle kilkunastu osób, między innymi Maksa Krajewskiego, na łączną sumę przekraczającą pięćdziesiąt tysięcy marek. Morawski sięgnął ponownie do schowka i wyciągnął brezentowe zawiniątko. Rozwinął je i odkrył sześć pakietów banknotów stumarkowych, a także książeczkę bankową wystawioną na Jadwigę Terlecką przez Deutsche Hypothekenbank Meiningen. Wartość sum wpłaconych przez nią za pośrednictwem poznańskiego przedstawicielstwa banku przy Berlinerstrasse 10 przekraczała sto osiemdziesiąt tysięcy marek.

Weksle i książeczkę schował do kieszeni. Kasetkę i brezent wrzucił do otworu, ułożył kratkę, postawił wazon.

Pieniądze mameczki wyciśnięte z ubogich postanowił im zwrócić. Przy ołtarzu

głównym stała drewniana skrzynka z tabliczką: „Dla potrzebujących”. Jan wrzucił tam wszystkie banknoty. Proboszcz uzna, że jakiś grzesznik zapragnął odkupić w poście swe grzechy.

Zamykając drzwi, przystanął. Właściwie pomysł pani Terleckiej, by umieścić swą fortunę w kościele, był genialny. Zdecydował, że z samego rana przeniesie dwieście tysięcy marek do jakiegoś kościoła, najlepiej ewangelickiego.

Przemknął wzdłuż muru i stanął na chodniku, dokładnie *vis-à-vis* okien mieszkania Terleckich. Mógłby się założyć, że mameczka zajmuje pokój z widokiem na skrytkę.

Spojrzał w lewo i w mężczyźnie idącym powoli z pochyloną głową rozpoznał Maksa. Krajewski kilkakrotnie postawił Jana w kłopotliwej sytuacji, ale zaimponował Morawskiemu: tym, że wbrew wszelkim zasadom swojej sfery podjął pracę, a także tym, że na przekór pielęgowanym przez lata planom postanowił ożenić się z panną bez posagu. A do tego ślubu dojdzie, jeśli Maks wykupi weksel. Jan miał serce tak przepełnione życzliwością i zrozumieniem dla zakochanych, że sięgnął do kieszeni, wydobyl plik papierków i w świetle latarni wybrał ten podpisany przez Maksymiliana hrabiego Krajewskiego.

– Jak poszła gra?

– Nie było gry. Czwarty nie przyszedł. Stary nie da mi Cecylii, bo nie wykupię weksla.

– Tego weksla? – spytał Morawski, podsuwając mu pod nos świstek.

– Skąd to masz?

– To mój prezent dla ciebie i panny Walewskiej.

Maks wziął weksel. Najpierw triumfalnie wyrzucił pięści do góry, potem przycisnął je do oczu i przez chwilę tak stał. Jan przyglądał mu się z uśmiechem.

– Mogę cię uściskać? – spytał Krajewski.

– Nie.

Maks roześmiał się na całe gardło. Ruszyli wolnym krokiem w stronę hotelu.

– Z czystej ciekawości chciałbym wiedzieć – zagadnął Jan – czy Anastazja mogła cię widzieć w niedzielną noc, tak jak mówiła na policji.

– Mogła. Wróciłem tuż po północy, a potem błąkałem się po hotelu i zastanawiałem się... zastanawiałem się, czy nie próbować ukraść tych pieniędzy, które rzekomo były u Bernarda.

Więc jednak Anastazja powiedziała prawdę. Morawski z trudem potrafił w to uwierzyć.

– Na chwilę zatrzymałem się pod jego pokojem – ciągnął Krajewski. – A potem, gdy już go znaleziono, Anastazja rzuciła mi się na szyję. Pamiętasz?

– Tak, krzyknęła: „Zaopiekuj się mną!”.

– A do ucha szepnęła mi: „Ożeń się ze mną, a nie powiem, że cię tu widziałam”.

Naraz za plecami usłyszeli: „Wielka sława to żart, księżę błazna jest wart, złoto toczy się w krąg z rąk do rąk”.

Jan obejrzał się i zobaczył Mateusza z Markiem. Maks się pożegnał i w podskokach pobiegł do Bazaru. Morawski, patrząc za nim, zaczął się zastanawiać, co zrobiła Anastazja, gdy się przekonała, że to nie jej świeżo poślubiony mąż posiada eksle kochanego znienawidzonego Maksia.

Roześmiani bracia Małeccy zrównali się z Janem i wszyscy razem weszli do hotelu. Przy recepcji Marek umilkł, ale już na schodach znowu produkował arię Sandora: „By żyć, wystarczy cyrk i chleb, by umrzeć – garść ołowiu w łeb”.

Mateusz otworzył drzwi apartamentu, dziwiąc się, że nie są zamknięte na klucz, i zapalił światło. W saloniku obok stołu leżała Izabela.

ROZDZIAŁ 34

Jan odepchnął Mateusza i przypadł do nieruchomego ciała. Izabela leżała ze zgiętą lewą ręką i głową lekko przechyloną. Miała na sobie płaszcz wieczorowy i tę samą niebieską suknię, w której była na balu. Morawski przyłożył dłoń do jej szyi, ale nie wyczuł śladu życia. Nie było go też w spojrzeniu uchylonych błękitnych oczu. Odsunął połą odpiętego płaszcza. Powyżej skraju stanika, tuż nad sercem, ziała dziura, czarna niczym przeręb. Krew pokryła lewą stronę dekoltu i rozlała się na sukni brązową plamą. Przy prawej dłoni kobiety leżała karteczka.

Kłęczał, a w głowie nie miał ani jednej myśli. Słyszał dźwięki, ale nie rozumiał ich znaczenia.

– Musimy ją stąd zabrać.

– Dlaczego?

– Bo nie powinno jej tu być. To by jej zniszczyło reputację.

– Jej ta reputacja nie jest...

– A jak myślisz, kogo oskarżą o to morderstwo, jeśli ją tu znajdą?

– Szefa?

– Właśnie. A ja nie zamierzam do tego dopuścić. Zostań tu i pilnuj go.

Cicho zamknięto drzwi.

– Ja cię kręcę.

Otwarto i zamknięto drzwi.

– Widziałeś, braciszku, jak on się w nią wpatruje? Jakby go zaczarowali.

– Zamknij się. Przeniesiemy ją do salonu dla gości, tu w końcu korytarza.

– Nie da rady. Krew jest na dywanie.

– Raz, dwa, trzy... Raz, dwa i... Trzy metry na dwa i pół. Czekać tu.

Trzask drzwi. Trzask drzwi.

– Wejdzie idealnie. Przeniesiemy ją razem z dywanem. Więc tak: przestawiamy

meble na boki. Potem to samo w salonie. Przenosimy ciało z poplamionym dywanem. Czysty z tamtego salonu tu.

– A co dalej?

– Jeszcze nie wiem.

Stukot drewna o drewno. Wiele stukotów. Trzask drzwi. Trzask drzwi.

– Jakież dwie baby stoją na korytarzu i gadają.

Trzask drzwi. Trzask drzwi. Głuche uderzenie.

– W tamtym salonie podłoga pusta. Gotowe.

– Ty staniesz na czatach na klatce schodowej, a ja z panem Janem ją przeniesiemy.

– No nie wiem, czy uda ci się go ruszyć.

– Idź na korytarz i zgaś wszystkie lampki oprócz jednej. Tej przy schodach. Idź!

Szmer dywanu.

– Musi mi pan pomóc. Proszę się na mnie oprzeć i wstać. I niech pan stanie z boku. Tu. Dobrze. Nie możemy zgubić tego listu, który do pana napisała. Zawinę do środka boki dywanu, żeby nam było łatwiej. Proszę tu chwycić. Podnosimy. Teraz tu skręcamy. Kładziemy.

Głuche kłapnięcie.

– Obróćmy minimalnie dywan.

Ciche gwizdnięcie. Kroki.

– Pomóż mi ustawić te meble. Tak będzie dobrze.

– Nieźle ci to wyszło, braciszku. Nigdy bym nie uwierzył, że to nie tu...

– Połóż na stole ten liścik, który przy niej znaleźliśmy. Jeszcze pióro. Że niby tu pisała. Wracamy do pokoju i zastanowimy się, jak to ujawnić.

– Chodźmy, szefie.

– Chwyc go pod ramię.

Trzask drzwi.

– Idź i to załatw.

– Ale jak?

– Tak jak to zrobiłeś z plotką o ukrytych pieniądzech. Po prostu powiedz coś komuś.

– A nie możemy poczekać, aż pokojówki ją znajdą?

– Nie. Dochodzi trzecia, nie będziemy czekać tak długo. Idź.

Trzask drzwi. Klapnięcie dywanu, szum. Stukot stawianych mebli. Trzask drzwi.

– Załatwiłeś?

– Tak.

– Gdy tylko podniesie się hałas, pobiegiesz na ulicę Wiktorii dwadzieścia siedem. Tam na pierwszym piętrze mieszka doktor Franciszek Chłapowski. Powiesz mu, że w Bazarze znaleziono ciało panny Boratyńskiej. Nic więcej. Poprosisz, żeby jak najszybciej przyszedł. Jasne?

– Jasne, jasne.

– Proszę dać mi płaszcz – rozległ się głos, który Morawski skądś doskonale znał.

– I może pan tu usiądzie. Co pan nosi w tych kieszeniach?

Stukoty i brzęki.

– Zobacz, Mateuszu. Jakiś kwiat wypadł mu z kieszeni.

Jan poczuł, że coś trzyma w dłoni. Spojrzał. Biały kwiat. Róża. Muskał palcem jedwabne płatki. Niektóre były pogniecione, jeden naderwany. I ktoś pogiął drucianą łodygę.

Gdzieś w oddali rozległy się krzyki, Mateusz poderwał się z krzesła i wybiegł. O dziwo, był w szlafroku. Kiedy Jan widział go poprzednio, paradował w wyjściowym garniturze.

Z korytarza dochodził tupot kroków, ludzie krzyczeli. Do pokoju wpadł Marek, zabrał kurtkę Mateusza i zniknął. Morawski pogładził delikatnie różę i spojrzał na stół. Zobaczył dzbanek i filiżankę. Nalał do niej czarnego płynu i upił, ostrożnie, by się nie poparzyć. Kawa była zimna. Chyba przyniesiono ją, gdy spał i śnił ten koszmary sen. Wypił kilka łyków. Wstał, otworzył drzwi i poszedł za hałasem na koniec korytarza.

Przed salonem stało sporo osób: recepcjonista, portier, pokojówki we

flanelowych narzutkach i papilotach, mężczyźni w szlafrokach. Morawski przepchnął się między nimi. Na podłodze klęczał Mateusz, a na dywanie leżało ciało młodej kobiety w wieczorowej szafirowej sukni. Jan podszedł bliżej i odniósł wrażenie *déjà vu*. Ten sam obraz widział w tym okropnym śnie.

Wrócił do pokoju, złapał płaszcz i leżące na stole drobiazgi, które ktoś wyjął mu z kieszeni. Wyszedł na korytarz, zbiegł po schodach i opuścił hotel. Po prostu musiał wyjść.

Zmierzał przed siebie i usiłował zmusić się do myślenia o tej sprawie jak o nie dotyczącej go osobiście.

W hotelowym pokoju znaleziono ciało młodej kobiety. Nie mieszkała w tym pokoju, więc podstawowe pytanie brzmiało: kto miał zginąć?

Primo – mieszkaniec apartamentu, Jan Morawski; chętnych do usunięcia go nie brakowałoby, chętnych związanych z prowadzoną przez niego obecnie sprawą i z wieloma poprzednimi, a za tą wersją przemawiały wypadki, do których dochodziło w ostatnich dniach. Tylko że tamte zamachy organizowano z oddali, a tu sprawca przeszedł do działań bezpośrednich. Niewykluczone, że ofiara zastała mordercę przygotowującego wyrafinowaną pułapkę na Jana i zbrodniarz strzelił.

„Gdybym tylko nie poszedł wczoraj do Sali Lamberta, żyłaby. Gdybym się nie uparł, że poproszę ją jeszcze tej nocy o rękę...”

W hotelowym pokoju znaleziono ciało młodej kobiety. Choć nie mieszkała w tym pokoju, mogła być zamierzoną ofiarą. Pomagała w śledztwie, odkryła kilka ważnych faktów obciążających Henryka Terleckiego, ewentualnie tę drugą, ważniejszą osobę. Jan przystanął. Jak brzmiały jej słowa? „On na pewno nie jest mózgiem. Wydaje się człowiekiem twardym, ale moim zdaniem to gra. On jest tylko wykonawcą. I mam nawet pomysł, jak ustalić, kto...”

„Gdybym tylko nie poprosił jej o sprawdzenie, kto wynajmuje suterene, żyłaby. Gdybym odmówił rozmowy wczoraj na balu, nikt by nas nie podsłuchał...”

W hotelowym pokoju znaleziono ciało młodej kobiety. Kto miał okazję ją zastrzelić? A przede wszystkim: kiedy doszło do morderstwa? Najprawdopodobniej między północą a godziną drugą, choć to przypuszczenie opierało się na fakcie, że ofiara planowała przyjść do Bazaru po balu w Hotelu Francuskim. W rzeczywistości ten czas rozciągał się od dwudziestej drugiej czterdzieści, gdy Jan widział ją po raz ostatni, do godziny drugiej, gdy...

„Gdybym tylko odwiedził ją wczoraj rano, zamiast biec do Domu Katolickiego, powstrzymałbym ją od sprawdzania alibi Terleckiego w banku...”

W hotelowym pokoju znaleziono ciało młodej kobiety. Kto ze znanych jej osób miał alibi na czas jej śmierci? Marek i Mateusz. Małżeństwo Leśniewiczów? W zasadzie tak: on spał, ona kwękała. Można było założyć, że młodożeńcy Jankowscy też mieli inne zajęcia w tym czasie. Gracze? Alibi do sprawdzenia. Terleccy – również. Do tego dochodziły wszystkie inne osoby, których Jan nie znał, a które istniały w jej życiu...

„Gdybym tylko jej w to nie wplątał. To przeklęte marzenie, aby mieć wspólną pasję...”

Zatrzymał się. Stał przed kawiarnią Pfitznera i czytał napis: „Tylko u nas prawdziwy i oryginalny Pischinger”. Izabela uwielbiała te wafle.

Spojrzał na zegarek. Minęła szósta. Chodził już ponad dwie godziny. Postanowił wrócić do hotelu. Szedł z opuszczoną głową, patrząc na brudne błoto, które jeszcze wczoraj było białymi kryształkami. Bo gdy podnosił wzrok, obrazy atakowały go ze wszystkich stron: jakaś kobieta miała toczek podobny do Izabeli; dziewczynka, którą potracił, miała błękitne oczy i czarne rzęsy; na wystawie księgarni, jasno oświetlonej przez pobliską latarnię, leżał „Tygodnik Mód i Powieści”.

Przypomniały mu się słowa pewnego Francuza, który twierdził, że nasza pamięć to rodzaj apteki czy laboratorium chemicznego, gdzie wpada nam przypadkiem w rękę to kojące lekarstwo, to groźna trucizna. Jan co rusz trafiał na truciznę.

ROZDZIAŁ 35

Na ulicy Nowej przed bramą Bazaru stało kilku policjantów. Morawski ruszył więc prosto, skręcił w Wilhelmowską i wszedł do hotelu głównym wejściem. Gdy tylko zamknął drzwi, ze sklepu po prawej stronie wyłonił się Mateusz.

– Tak się martwiłem... – zaczął, ale gdy zobaczył twarz Jana, zmobilizował się i przeszedł do faktów. – Szukają pana.

– Schliemann?

– Nie, ten detektyw, który mówi łamanym polskim. Kunick chyba.

Wrócili do pustego sklepu i kamerdyner relacjonował:

– Był doktor Chłapowski razem z lekarzem policyjnym. Stwierdzili, że... – Umilkł, bo słowa nie przeszły mu przez gardło. – To w sumie nie jest istotne... Najważniejsze jest to, że około wpół do pierwszej jeden z gości wracał do siebie schodami w nowym gmachu. Na naszym piętrze dołączył do niego obcy człowiek, wszedł na drugie piętro i ruszył do starego budynku. Policja już szuka tego człowieka i powinno im się udać go znaleźć, bo miał na twarzy szramę.

Jan głośno nabrał tchu i przetarł usta.

– To ten, który mnie śledził.

– Ktoś pana śledził?

Morawski opowiedział o spotkaniach ze Szramą, a kamerdyner zawyrokował:

– Albo zastawiał na pana pułapkę i ona weszła, bo drzwi były otwarte, albo zginęła tylko dlatego, by można było pana w to zrobić.

Do sklepu zajrzał detektyw Kunick.

– Czekamy na pana.

Morawski skinął głową, a Kunick wrócił do sieni i kończył rozmowę z jednym z funkcjonariuszy. Jan skorzystał z okazji, by wydać kamerdynerowi dyspozycje:

– Ona miała napisać relację z balu we Francuskim. Spróbuj wypytać, o której

stamtąd wyszła.

Mateusz potaknął.

– Ale przede wszystkim – kontynuował Morawski – ustal, co robili Terleccy.

– Terlecki.

– Nie, oboje. Później ci powiem, dlaczego oboje. A jeśli chodzi o Terleckiego, pojechał do Wrocławia tego samego dnia co Oskar. A poza tym nie było go w pracy w dniu wybuchu. Ona to ustaliła, właśnie wczoraj. I ktoś nas podsłuchał, gdy o tym rozmawialiśmy w Rzymskim.

Mateusz skrzywił się i podrapał po skroni.

– Ale jaki to ma związek z tym ze szramą?

– Nie wiem.

Wyszli do sieni.

– Może chciałby pan się przebrać? – spytał detektyw na widok wieczorowego ubrania Jana. – Zjeść coś?

– Nie, dziękuję. Jedźmy.

Do Dyrekcji Policji weszli za piętnaście siódma. Morawski pomyślał gorzko, że jest to czwarte zatrzymanie, to, o którym myślał tak go wczoraj rozbawiła.

Na pierwszym piętrze Kunick zaprowadził Jana do gabinetu radcy Gottschalka. Usiedli po przeciwnych stronach biurka.

– Czy dobrze znał pan zmarłą?

– Przyjaźniliśmy się. – Nastąpiła cisza. – Zamierzałem poprosić ją o rękę.

Detektyw odchrząknął i poruszył się na krześle.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Wczoraj o wpół do jedenastej w holu Hotelu Rzymskiego. Byliśmy razem na balu, ale ja musiałem wyjść.

– A panna Boratyńska?

– Wybierała się w sprawach zawodowych do Hotelu Francuskiego.

– Ale przyszła do Bazaru.

– Umówiliśmy się, że dziś rano pojedziemy razem do pałacu w Jankowicach.

Przypuszczam, że wydarzyło się coś, co spowodowało zmianę planów, i przyszła zostawić mi wiadomość.

Kunick kilka razy kiwnął głową i sięgnął po małą karteczkę.

– Tak, znaleźliśmy przy niej liścik zaadresowany do pana. Pisze, że spotkają się państwo w czwartek. Ale dlaczego poszła do salonu dla gości? Dlaczego nie zostawiła wiadomości w recepcji?

Jan nie odpowiedział, tylko głodnym wzrokiem wpatrywał się w leżący na blacie list.

– Dobrze, zajmijmy się teraz panem – westchnął detektyw. – Co pan robił po wyjściu z Hotelu Rzymskiego?

– Chciałem porozmawiać z panem Tomaszem Leśniewiczem. Szukałem go w mieszkaniu jego ojca, ale go nie zastałem...

– Czy rozmawiał pan tam z kimś?

– Z gospodynią i macochą Leśniewicza.

Kunick szybko notował.

– Potem znalazłem Tomasza na spotkaniu w składzie pana Żychlińskiego.

– Był tam ktoś jeszcze?

– Artur Boratyński i Maks Krajewski. Opuściłem ich o wpół do dwunastej i poszedłem do Sali Lamberta.

– Do której pan tam był?

– Do pierwszej.

– Porozmawiamy z panią Leśniewicz i z jej pasierbem – mruknął detektyw. – Ale najważniejsze będzie świadectwo z Sali Lamberta. Już tam pracujemy.

– Czy wiadomo, kiedy nastąpiła śmierć?

– Z tego, co zdołaliśmy ustalić, między północą a pierwszą.

Rozległo się pukanie i Kunick wstał:

– Przepraszam na chwilę.

Wyszedł i stanął na korytarzu, dłoń trzymając na klamce. Przez uchylone drzwi dobiegło: „Zaraz przyjdę i go przesłucham... Tak, on przypuszczalnie dziedziczy po siostrze... ale to byłoby zbyt proste”. Po tych słowach detektyw zatrzasnął za sobą

drzwi. Wrócił po kilku minutach.

– Obawiam się, że zatrzymamy pana jeszcze trochę. Radca Gottschalk chce pana przesłuchać.

Radca Gottschalk zjawił się po ósmej i zadał Janowi dokładnie te same pytania co jego podwładny. Gdy kończyli, zapukano do drzwi i wszedł detektyw Kunick.

– Kamerdyner mówił prawdę. Ze dwieście osób widziało tam w nocy pana Morawskiego. Jako jedyny siedział wciąż w tym samym miejscu i był na widoku. Pani Agnes Lambert jest gotowa przysiąc, że nie wyszedł ani na chwilę.

– Są pewni godziny?

– Właścicielka od lat robi ten numer z hamowaniem zegara, więc zwracała uwagę na czas.

– Z naszej strony to już wszystko – oznajmił radca Gottschalk, wstając.

– Radca Schliemann dał panu spokój? – nie podarował sobie Jan.

– Tęskni pan za nim? – zainteresował się detektyw.

– Nie bardziej niż panowie.

– To proszę nie wywoływać wilka z lasu.

– Radca von Schliemann – oświadczył pan Gottschalk – przeniósł swe zainteresowania na inny teren.

Jan schodził po schodach i rozmyślał nad tym złowieszczym stwierdzeniem. Czyżby nadeszła godzina zero?

Z Dyrekcji Policji poszedł ulicą Rycerską w stronę Świętego Marcina i skręcił w lewo. Zatrzymał się dwadzieścia metrów przed kamienicą numer 69, gdzie mieścił się Dom Katolicki. Naraz z bramy wynurzył się Schliemann w towarzystwie mężczyzny w kraciastym płaszczu – Śliwkowego-Szramy. Morawski wczepił się dłonią w słup latarni. Czuł, jak pulsują mu skronie, a szczęki się zaciskają. Tamci uszli kilka kroków w kierunku Wilhelmowskiej. Nagle Schliemann odwrócił się do swego towarzysza i Jan zobaczył wykrzywioną wściekłością twarz radcy: mówił coś z furją, odsłaniając raz po raz zęby, i groził zaciśniętą pięścią. Zapewne właśnie odkrył, że dziupla jest pusta. Potem porzucił Szramę, przeszedł przez jezdnię

i wszedł do stojącego przy krawężniku krytego powozu z umundurowanym policjantem na koźle.

Morawski ledwie to odnotował. Całą uwagę skupił na powoli oddalającej się postaci w kraciastym płaszczu. Puścił słup i ruszył biegiem. Dogonił tamtego i złapał za łokieć. Mężczyzna przystanął i odwrócił się. Słowa, które Jan miał na ustach, zamarły. Szrama nie miał szramy. To znaczy – ten człowiek nie był Szramą. Pachniał śliwkowym tytoniem jak tamten i miał podobny płaszcz, ale...

– *Ich bitte um Entschuldigung*⁷⁷. – Morawski sięgnął do kapelusza i natrafił na pustkę. Nie zorientował się, że przez ostatnie godziny chodził po mieście z gołą głową.

Tamten wpatrywał się w niego podejrzliwie; znał przecież Jana, skoro – jak zapewnił radcę – „miał Morawskiego na oku”. Jan jednak odwrócił się na pięcie i zmierzał tą samą drogą, którą przyszedł.

Wracał do hotelu. Wprawdzie byłoby znacznie bliżej pójść ulicą Wilhelmowską, ale wtedy musiałby minąć jej dom. Cofnął się więc Świętym Marcinem i Rycerską, a potem szedł wzdłuż południowej pierzei placu Wilhelmowskiego.

To ostatnie odkrycie wywróciło do góry nogami jego teorię. Istniał więc pierwszy Śliwkowy w kraciastym płaszczu, ten, który odbył wycieczkę ze Schliemannem i który wiedział, że Morawski szuka fałszerza. Potem, w niedzielę, pojawił się mężczyzna w kraciastym płaszczu, również palący śliwkowy tytoń, ale ze szramą na policzku. Ponownie spotkali się w poniedziałek wieczorem na ulicy. Kim był i czego chciał? I czy to on strzelił minionej nocy? Chyba tak, skoro widziano go w hotelu.

Jan zatrzymał się i przetarł szczypiące oczy.

Nie wyjaśnił sprawy fałszerstw, nie rozwiązał sprawy trzech... nie, czterech morderstw, nie odkrył trzeciego punktu planu Schliemanna. Radca zamierzał skompromitować i zniszczyć Kościół polski, potem Związek Spółek Zarobkowych razem z bankiem, ale co jeszcze? Musiała być trzecia instytucja. Morawski spojrzął w lewo. Biblioteka Raczyńskich? PTPN?

Popatrzył przed siebie. I już wiedział: Bazar! Ale nie Bazar – hotel, lecz Bazar –

ośrodek życia społeczno-umysłowego, miejsce spotkań wszystkich ugrupowań, najważniejsza polska budowla publiczna. Powinien był dawno na to wpaść, przecież ciągle słyszał, że w opinii władz pruskich Bazar jest symbolem polskości i ogniskiem myśli niepodległościowej. I oto Schliemann wymyślił, jak zetrzeć ten haniebny punkt z niemieckiego planu Poznania. To był ten trzeci ptak, który miał zostać utłuczony.

Jan przyspieszył kroku. Schliemann po ostatniej porażce na pewno zionie pragnieniem zemsty i błyskawicznie zada kolejny cios. Pytanie brzmiało: co podrzucano i gdzie. Jeśli banknoty, to krecią robotę mógłby wykonać każdy z gości – ale na tym opierałaby się obrona dyrekcji Bazaru i radca był tego świadomy. Nie, to musiało być coś, z czego Polacy by się nie wytłumaczyli.

Morawski ponownie spojrzął na piękną, fantazyjną fasadę Bazaru i rosnące obok toporne gmazysko przyszłego muzeum. Przypomniał sobie rozmowę z Rogerem Sławskim, tym architektem, o kłopotach z przebudową Bazaru, o znalezionych fragmentach starej fosy wzdłuż ulicy Wilhelmowskiej. Może istniało przejście między budowanym muzeum a piwnicami Bazaru, przez które można by coś przenieść?

Dotarł do końca placu i postawił sobie kolejne pytanie: jak przekonać dyrekcję Bazaru, by mu uwierzyli i przeszukali piwnice? Odpowiedź przyszła natychmiast: w całym mieście jest tylko jeden człowiek, który uwierzy w jego ostrzeżenie i który cieszy się wystarczającym autorytetem, by wymusić zbadanie hotelowych lochów. Trzeba go sprowadzić do Bazaru. Oby tylko był w Poznaniu!

Morawski skręcił w lewo i pobiegł ulicą Wilhelmowską. Wpadł do bramy pod numerem 26, przeciął podwórze i szarpnął drzwi siedziby banku.

– Czy jest patron?

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł znanym sobie korytarzem. Ksiądz Wawrzyniak, już w płaszczu, stał przy biurku i rozmawiał z dyrektorem Kuztelnem. Obaj drgnęli na dźwięk otwieranych drzwi.

– Muszę z księdzem porozmawiać.

– Właśnie wybieram się na dworzec.

Patron pożegnał się z panem Kuztulanem, założył kapelusz i razem z Morawskim wyszli z banku. Jan gnał do hotelu, nie wypuszczając łokcia księdza Wawrzyniaka, i przedstawiał swoją teorię.

– Schliemann był w moich pokojach – oznajmił patron.

Morawski wreszcie się zatrzymał.

– Widziałem, jak wychodził. Był zły jak...

– Nie miałem czasu, żeby być przy tym przeszukaniu, bo spieszyłem się do banku. Trąpczyński już pisze skargę na nieuzasadnione wtargnięcie do Domu Katolickiego. Nieuzasadnione dzięki tobie. Chodź do Bazaru. Zaraz wszystko załatwimy.

Weszli do hotelu i patron zażądał widzenia z Mieczysławem Kwileckim, tym, który od trzydziestu lat zarządzał całą instytucją. Recepcjonista bez pytania przełożonego o zgodę zaprowadził księdza Wawrzyniaka do dyrektora, a Jan w milczeniu podążał za nimi. W gabinecie zarządu patron zwięźle przedstawił obmyślony przez szefa policji politycznej plan zniszczenia trzech polskich instytucji, wyjaśnił udział Morawskiego w unieszkodliwieniu dwóch prowokacji i jego podejrzenia, że trzeci strzał zostanie wymierzony właśnie w Bazar.

– Jestem prawie pewien – włączył się Jan – że coś, być może fałszywe pieniądze, ale przypuszczalnie coś jeszcze bardziej obciążającego, hakatyści ukryli w tutejszych piwnicach.

– A to ciekawe – odparł pan Kwilecki – bo właśnie na jutro urząd nadzoru budowlanego zapowiedział kontrolę piwnic. – Zmrużył oczy. – A kilka minut temu telefonowali, że przyjdą dzisiaj po południu. I do tego udział w tym weźmie szef Miejskiej Policji Budowlanej, sam *Baurat*⁷⁸ Fritz Moritz.

Mimo rozpaczy Morawski poczuł dreszcz emocji. Więc trafił. Pod pozorem inspekcji wejdą do piwnic i „przypadkiem” TO znajdą.

– Czy może pan wezwać kogoś – spytał – kto brał udział w przebudowie i będzie wiedział, gdzie może się znajdować łącznik między Bazarem a piwnicami pod budowanym muzeum?

– Roger Sławski już tu idzie. Poprosiłem go, by przed tą kontrolą rzucił na

wszystko okiem fachowca. Pracuje przecież w Ministerstwie Robót Publicznych.

Ksiądz spojrział na zegarek.

– Może jeszcze zdążę na pociąg.

Pan Kwilecki zaproponował, że hotelowy omnibus zawiezie go na dworzec. Patron pożegnał się z Janem i wyszedł z przywołanym portierem, a Morawski stanął przed głównym wejściem do hotelu i wypatrywał architekta.

Naraz zauważył, że z prawej strony nadchodzi hrabia Maurycy Walewski, eskortując jakąś nobliwą suchotnicę, zapewne krewną Maksa, bo za nimi podążał sam Krajewski pod rękę z Cecylią. Morawski odsunął się od drzwi. Hrabia Walewski i jego towarzyszka skręcili do hotelu, ale Maks pogalopował dalej. Cecylia stawiała opór, wołając: „Ależ Maksiu!”, lecz to nic nie dało. Zaintrygowany Jan aż wkroczył na jezdnię, by zobaczyć, dokąd Krajewski tak się spieszy. Maks otworzył ciężkie drzwi poznańskiej siedziby Reichsbanku i zniknął wewnątrz.

Od tej samej strony nadszedł Roger Sławski i Jan stracił zainteresowanie tamtą zagadką. Razem z architektem udał się do gabinetu dyrektora i powtórzył swe podejrzenia. Pan Sławski uważnie wysłuchał koncepcji Morawskiego i stwierdził:

– Nie wykluczam istnienia takiego przejścia, choć my na nic nie natrafiliśmy. Oczywiście Niemcy mogą dysponować bardziej szczegółowymi planami starych murów. – Podeszedł do wiszących na ścianie rzutów Bazaru. – Jeśli coś takiego istnieje, to blisko Wilhelmowskiej. Zejdziemy tymi schodami przy winiarni.

Poszli do winiarni, a na jej zapleczu pan Kwilecki otworzył drzwi i po krętych schodach zeszli do piwnic, gdzie przechowywano słynne na całą Polskę Bazarowe wina. Zapalili lampy i ruszyli za architektem. Brzęczały klucze, szczękały zamki, a oni szli krętymi korytarzami, mijając tysiące butelek, beczek i beczułek.

– Tu jesteśmy najbliżej muzeum – ocenił pan Sławski.

– A co jest tam? – Jan wskazał zamknięte drzwi.

– Najcenniejsze wina, przechowywane na specjalne okazje – padła odpowiedź dyrektora. – Tylko ja mam klucze do tej piwniczki.

Z pęku wybrał jeden klucz, wsunął do zamka i otworzył drzwi. Jan szedł między regałami pełnymi omszałych butelek. Uniósł lampę i na jasnej ścianie ukazał się

cień wielkiego kołowrotu. Znalazł szczelinę między regałami i wcisnął się za półki. Między nimi a ścianą znajdowała się wolna przestrzeń – stała tam prasa gwiazdzista, podobna do tej, którą widział u pana Chrzanowskiego, a obok niej drewniana skrzynka. Przyklęknął, podważył nożem wieko i uniósł je. Wewnątrz spoczywały w równych stosach nowe niebieskie setki. Ile – tego Jan nie wiedział, ale sporo. Więcej nawet niż w Domu Katolickim.

– Co to tu robi? – zdenerwował się pan Kwilecki, stając za Morawskim.

– Czeka na policję.

Po chwili cała trójka ruszyła w drogę powrotną. Jan niósł skrzyneczkę, bo uznał, że najważniejsze jest usunięcie banknotów. Z posiadania prasy jeszcze by się dyrektor wytłumaczył, z przechowywania fałszywek – nie. Pan Kwilecki i architekt mieli wrócić do piwnicy z dwoma zaufanymi pracownikami, by spróbować zdemontować i wynieść urządzenie, a gdyby to się okazało niewykonalne, przesunąć je w inne miejsce.

Morawski poradził, by sprowadzić także pana Chrzanowskiego, który najlepiej będzie wiedział, jak rozłożyć prasę na części.

Sam nie zamierzał brać udziału w tych manewrach. Musiał gdzieś ukryć znalezione pieniądze. Poza tym ich widok przypomniał mu o czymś, o czym wobec porannej tragedii zupełnie zapomniał.

W winiarni zdjął płaszcz i owinął nim skrzynkę. Pobiegnął do siebie. W apartamencie nie było nikogo. Przeszedł do sypialni i zamknął drzwi na klucz. Skrzynkę położył na łóżku i wyjął spod komody kasetkę. Otworzył ją. Była pusta. Zniknęło dwieście tysięcy fałszywych marek, które schował tam poprzedniego wieczoru.

⁷⁷ *Ich bitte um Entschuldigung* (niem.) – Proszę o wybaczenie.

⁷⁸ *Baurat* (niem.) – radca budowlany, jeden z urzędników magistratu.

ROZDZIAŁ 36

„Ja tu tworzę skomplikowane scenariusze, wieloskładnikowe motywy, a zaraz się okaże, że zginęła przez te przeklęte pieniądze. Tak jak Bernard. – Jan rzucił kasetkę na łóżko i potarł skronie. – Kto wiedział o skrytce? Ja i Mateusz. – Zabębnił palcami w blat komody. – I Marek”.

Wrócił do saloniku i podszedł do szafki stojącej w przeciwległym rogu. Otworzył drzwiczki i dokonał przeglądu rzeczy Mateusza. Nie znalazł jaskółki, kamerdyner był więc w hotelu.

Wypił dwie filiżanki zimnej kawy i zaczął chodzić dookoła stołu.

Po kilku minutach na korytarzu rozległy się głosy i do pokoju weszli bracia Małeccy. Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, Morawski podszedł do Marka.

– Komu powiedziałaś o skrytce pod komodą?

– Przecież ja nic nie wiem o żadnej skrytce.

Jan wyciągnął z kieszeni rewolwer smith & wesson, który zabrał z szafki Mateusza, i wycelował w Marka.

– Komu powiedziałaś o skrytce pod komodą?

– Jednemu znajomemu.

– Takiemu ze szramą?

– Pan go zna, szefie? – rozpromienił się Marek.

Jan rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Tak tylko myślałem – tłumaczył się Małeckci – bo przecież mamy wspólnego znajomego.

– Kogo?

– No, Oskara Krause. To znaczy ja go znałem jako Karla Otto, ale zajrzałem raz do jego portfela i widziałem wizytówki z nazwiskiem Oskar Krause.

Morawski przyglądał się Markowi, temu wcieleniu szczerości.

– Co Krause ma z tym wszystkim wspólnego? – warknął.

– Nic... – zaczął Marek, ale Jan ponownie w niego wycelował. – No więc poznałem go w zeszłym roku, gdy pracowałem dla jednego... takiego. To było po tym, jak wróciłem do Europy, bo Ameryka mi zbrzydła. Szef mnie prześladował...

Morawski odbezpieczył broń.

– No więc ten Karl Otto – ciągnął pospiesznie Marek – miał kontakty w bankach i dostęp do wzorów czeków i obligacji, a poza tym wiedział, kiedy policja planuje nalot. Kilka tygodni temu trafiłem na niego. Trochę wypiliśmy i on mi po pijaku chlapanął, naiwniak jeden, że w papierni rządowej widział papier do tych nowych setek, piękny i świeżutki. Wziąłem go na spytki i zdradził mi, że właściwie do magazynu może wejść każdy, że dopiero za kilkanaście dni przekażą papier do drukarni i nikt się nie zorientuje, jeśli go ubędzie.

Jan usiadł przy stole, a Marek ochoczo poszedł w jego ślady i kontynuował:

– Skontaktowałem się z Wiktorem, tym ze szramą, on jest fałszerzem pierwsza klasa, czyby nie chciał takiego towaru. Chciał, i to bardzo. Za ryzę miałem dostać granda⁷⁹. Od razu pierwszej nocy wszedłem do papierni. Magazyn był zamknięty, ale w biurze znalazłem pięć ryz, jakby przygotowanych specjalnie dla mnie. Zabrałem je i rano sprzedałem Wiktorowi. A w południe policja była już na moim tropie. Nie wiem, jak odkryli, że to ja. Czmychnąłem do Wiktora, a on prawie mnie zabił, bo ten papier był fałszywy. Podobno kilka arkuszy z wierzchu było porządnym, a reszta to marne podróbki. I od tej pory przez kilkanaście dni uciekałem. – Zwrócił się rozpaczliwym tonem do Mateusza. – O głodzie, chłodzie. Ranny, poturbowany.

Jan wpatrywał się w Marka, ale go nie widział.

Sprawa wyglądała jego zdaniem tak: Krause planował akcję na zlecenie Schliemanna. Miał kontakty w środowisku fałszerzy, znalazł wykonawcę płyty, potrzebował tylko papieru. Zapewne przy pomocy kogoś ze zwolenników Hakaty zdobył go, ale arkusze podlegały ścisłemu zarachowaniu i prędzej czy później odkryto by kradzież. Należało więc znaleźć kozła ofiarnego, który zatarłby ślady prawdziwej kradzieży. W miejsce oryginałów podłożono w papierni podróbki,

a Oskar Krause sprowokował tego idiotę Marka, by ukraść to, co podłożono. Marka *de facto* wpuszczono do papierni, potem namierzono i wysłano za nim pościg, a on tymczasem opchnął towar Wiktorowi ze szramą. Zdołał ukryć się przed policją, ale nie przed rozwścieczonym oszukanym fałszerzem.

Zamyślony Morawski coraz bardziej opuszczał głowę, aż wreszcie brodą dotknął mostka.

Tylko co się stało z odzyskanym przez policję fałszywym papierem, oficjalnie prawdziwym? Schowano go do magazynu papierni i zatajono, że to nie oryginalne arkusze? Chyba tak, Oskarowi zależało przecież na tym, by nowe setki wprowadzono do obiegu. Bo na pewno część fałszywych banknotów wydrukowanych na prawdziwym papierze zatrzymał dla siebie.

Jan pokręcił głową. Podejrzewał Oskara o nieuczciwość, ale nie spodziewał się, że odkryje taką górę przestępstw.

– Oskar działał na zlecenie Reichsbanku – powiedział do Mateusza – ale spiskował ze Schliemannem, kombinował z Terleckim, szantażował Orzelskiego, a do tego przypuszczalnie współpracował z Mistrzem. Jeśli ten Mistrz w ogóle istnieje, bo może być tylko tworem wyobraźni Oskara. – Potarł skronie. – Mieszał we wszystkim.

– Cholerny Niemiec.

– Nie, nie, przecież Oskar był Polakiem – skorygował Marek.

Uśmiechał się życzliwie, a Jan ledwo nad sobą panował, by mu tego uśmiechu nie zdjąć z twarzy.

– Więc Szrama-Wiktor tu cię odnalazł.

– Odnalazł? Dopadł mnie i sterroryzował. Moje życie było zagrożone. Żądał, bym mu oddał pieniądze, a ja ich nie miałem.

– Więc powiedziałeś mu, że ja mam pieniądze.

– Pomyślałem, że panu nie zrobi różnicy, szefie, jeśli on odbierze sobie od pana pięć tysięcy. – Odwołał się do brata płaczliwym głosem. – Przecież musiałem. Groził mi. To nie moja wina.

– Przepraszam – wycedził Mateusz – ale mnie się wydaje, że ty czegoś nie

rozumiesz. Skierowałeś tu znajomego rzezimieszka, żeby ukradł pieniądze twojemu dobroczyńcy, a ten twój kumpel przy okazji zamordował młodą kobietę. I to nie jest twoja wina?

– To był wypadek – przekonywał Marek. – Wiktor jest tylko fałszerzem. Nawet nie przyszło mu do głowy, by się przebrać. Na pewno nie zamierzał nikogo zastrzelić.

Jan ciężko oddychał i gładził cyngiel rewolweru.

– Pewnie go nakryła i po prostu nacisnął spust – kończył młodszy Małecki, wpatrując się w brata urażonym wzrokiem. Widząc jednak, że wypróbowana metoda nie działa, wstał i oświadczył – Nie będę słuchał takich oskarżeń.

Trzasnęły drzwi.

– Ten Szrama zabrał wszystkie pana pieniądze? – spytał Mateusz.

– Nie, zabrał dwieście tysięcy marek. Fałszywych marek, które wczoraj znalazłem w pokoju księdza Wawrzyniaka.

– Piekło i szatani! – jęknął Mateusz. – I nawet nie możemy zgłosić takiej kradzieży.

Przez dłuższą chwilę siedzieli przy stole, każdy pogrążony we własnych myślach. Pierwszy ocknął się Jan. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął weksle, które zabrał w nocy ze skrytki mameczki, a także jej książeczkę bankową. Opowiedział Mateuszowi, w jaki sposób odkrył tajemnicę pani Terleckiej, a potem pokazał mu, co znalazł.

– Chciałbym, abyś przejrzał te weksle. Nie mamy tego rejestru wpłat z sutereny, więc nie wiemy, kto ile spłacił, ale myślę, że trzeba wszystkim te weksle odesłać.

– Może po prostu je zniszczę?

– Jeśli dłużnicy nie dostaną tych dokumentów, będą dalej spłacać zobowiązania lub żyć w strachu przed nadchodzącą katastrofą.

– Zajmę się tym za chwilę – oznajmił Mateusz. Schował weksle do kieszeni i wstał. – Najpierw z nim porozmawiam.

– Gdyby gdzieś wpadł ci w oko mój browning... Wczoraj zauważyłem, że zniknął.

Kamerdyner najpierw zamarł z ręką na klamce, a po chwili bezszelestnie wyszedł.

Jan siedział i przerzucał kartki książeczki bankowej. Zupełnie nie wiedział, co z tym zrobić. Nagle zauważył wsunięty do środka świstek z literami spisany z ołtarza. Z portfela wyjął inną kartkę, tę z szyfrem ukradzionym Oskarowi. Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w te zapisy, ale nie potrafił się skoncentrować nawet na wodzeniu po nich wzrokiem. Czuł, że musi wyjść. Gdy szybko szedł, ciężar wydawał się lżejszy.

Schował obie karteczki do portfela, tuż obok wizytówek Oskara Krause, a książeczkę bankową pani Terleckiej postanowił ukryć w neseserze. Poszedł do sypialni i przystanął na widok skrzynki znalezionej w piwnicy Bazaru. Co miał z nią zrobić? Komu mógł zaufać na tyle, żeby mu ją powierzyć, a jednocześnie nie obawiać się, że wpakuje tę osobę w kłopoty? Nikogo takiego nie znał.

Schował książeczkę w neseserze pod wzorami fałszywek. Ktoś zastukał. Jan ruszył do drzwi, przeklinając intruza. Postanowił, że bez względu na to, kto przyszedł, on wychodzi.

Szarpnął drzwi i zobaczył łagodnie uśmiechniętego doktora Chłapowskiego.

– Dzień dobry, mój drogi. Przyszedłem sprawdzić, jak się czujesz.

Morawski zrobił mu przejście, pomógł wypłatać się z płaszcza i wskazał miejsce przy stole. Liczył na jakieś wieści w sprawie śledztwa, ale lekarz przyszedł z inną sensacją.

– Mój przyjaciel Motty powtarzał – zaczął pan Chłapowski tytułem wstępu – że zbytne świetności nie trwają długo i łuk zazwyczaj pęka, gdy go ktoś nadto mocno naciągnie. Wszczęto wewnętrzne śledztwo w Banku Przemysłowców w sprawie Terleckiego. Wyszły na jaw jakieś horrendalne wydatki rodziny: jego wpłata na kamienicę, promesa dopełnienia płatności, a także wielkie zakupy pani Terleckiej. Wiadomo, że żadne z nich nie posiadało majątku i jedynym źródłem ich dochodu jest jego pensja.

– Kto się zaniepokoił?

– Władze Związku Spółek. Niemcy wciąż patrzą polskim spółdzielniom na ręce

i tylko czekają na jakieś potknięcie. Związek nie może sobie pozwolić na żadne nadużycia i dlatego uruchomiono procedurę kontroli. Jeszcze w tym tygodniu odbędzie się walne zebranie i być może czegoś się dowiemy.

– Dlaczego pan mnie o tym informuje, doktorze?

– Bo podobno jesteś zaręczony z Henryką... Taką wiadomość kolportuje Terlecka. Choć moja żona uważa, że byłeś zainteresowany Izabelą.

– Jeśli mogę coś doradzić, panie doktorze, proszę słuchać żony.

Wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na plac pokryty brzydkim, szarym błotem. „Muszę wyjść, bo oszaleję”.

– Czy ma pan jakieś wiadomości o śledztwie?

– Policja szuka Tomasza Leśniewicza, chodzi chyba o potwierdzenie twojego alibi. Dzisiaj rano stróż widział, jak Tomasz wyszedł z domu z walizką w dłoni. Co gorsza, zniknęła też jego macocha, choć nie widziano, by wychodziła. Agaton jest załamany. Po raz pierwszy od lat nie poszedł do laboratorium i obawiam się, że bez syna nie będzie kontynuował badań.

– Muszę wyjść, bo oszaleję. – Tym razem słowa wymknęły się Janowi.

Lekarz natychmiast wstał.

– Tak, tak, oczywiście.

Morawski chciał go przeprosić, ale zobaczył spojrzenie Chłapowskiego i zrozumiał, że przeprosiny nie są potrzebne.

Odprowadził lekarza na klatkę schodową, a gdy się żegnali, z góry nadszedł hrabia Walewski. Miał na sobie swój paradny mundur, patrzył błędnym wzrokiem i mrucał pod nosem: „Bez posagu, bez posagu”.

Jan spoglądał za nim ze zmarszczonym czołem, a doktor Chłapowski wyjaśnił:

– Dzisiaj rano odbył się ślub jego córki z młodym Krajewskim, któremu jakimś cudem udało się wykupić weksel. Krajewski zrezygnował z posagu, poprosił tylko, by stary notarialnie przekazał córce te zakwestionowane obligacje.

– I?

– Zięc prosto z kościoła poszedł do Banku Rzeszy i wymógł ich wykup. Podobno opinia eksperta była błędna i obligacje są autentyczne. Teraz cały majątek należy do

Krajewskiego.

79 *Grand* (ang.) – slangowe określenie tysiąca.

ROZDZIAŁ 37

Morawski wrócił do pokoju po płaszcz i kapelusz. Jego wzrok padł na fałszywki wyniesione z piwnicy. Nagle przyszło mu do głowy idealne dla nich miejsce.

Zabrał skrzynkę i poszedł na drugie piętro. Nożem podważył łebek gwoździa na futrynie pokoju numer 21, wysunął gwóźdź, zdjął plombę i wytrychem otworzył drzwi. Wszedł do pokoju Bernarda Orzelskiego i położył skrzynkę na szafie. Opuścił pomieszczenie i założył plombę. Gorący towar znalazł się pod nadzorem policji niemieckiej, a zarazem poza jej zainteresowaniem – wszak pokój został już przeszukany.

Wyszedł z hotelu i ruszył przed siebie – przez kałuże i sterty brudnego śniegu, opryskiwany przez przejeżdżające dorożki.

Po wyznaniu Marka wiedział już, że najprawdopodobniej powinien oddzielić to czwarte morderstwo od poprzednich. Nie potrafił o nim myśleć, bezustannie obracał więc w głowie teorie dotyczące trzech pierwszych, wyciągał fakty, dowody, przypuszczenia. Nitki mu jednak uciekały i nie potrafił spleść z nich niczego sensownego.

Czuł, że te rozmyślenia byłyby skuteczniejsze, gdyby usiadł, zajrzał do swoich zapisków, zanotował zwracające uwagę szczegóły i nasuwające się wątpliwości. Bał się jednak, że gdy się zatrzyma, na nowo ściśnie go żal i ból, na nowo opadną wyrzuty sumienia. Szedł więc dalej.

Woda kapała z daszków i balkonów, śnieg zmieniał się w rozlewiska, a ludzie, skacowani, kwaśni i postni, spieszyli gdzieś w swoich sprawach. Wieczorem pójdą do kościołów, kornie pochylą głowy i pozwolą posypać je popiołem. Wczoraj pijaństwo, dziś – pokuta.

Jan zaczął analizować wydarzenia po kolei: fałszerstwa, morderstwo pierwsze, morderstwo drugie. Zatrzymał się przy morderstwie trzecim, bo o nim wiedział

najwięcej. Próbował odtworzyć widok, jaki mu się odsłonił, gdy wszedł tamtej nocy do pokoju Orzelskiego. Widział to dokładnie, zwłaszcza ulotkę Banku Przemysłowców, którą Bernard ścisnął w dłoni. Jeśli Orzelski próbował zostawić wiadomość, kto był jego mordercą, to ta kartka przemawiała za winą Terleckiego.

Morawski przystanął. Tak, od tego trzeba zacząć – od ustalenia alibi Terleckiego na czas dwóch ostatnich morderstw. Wiedział, że to nie będzie łatwe, bo mameczka bez wahania potwierdzi, iż małżonek był w domu. Chyba że widziałyby korzyść w odcięciu się od męża, Jan jednak wzdrygnął się na myśl, że miałby kupować zeznania od tej lichwiarki.

A jeśli Orzelski faktycznie chciał rzucić światło na mordercę, ale to nie ulotka się liczyła? Co tam jeszcze było? Sygnet masoński? Rodowy? Belladonna? Bernard jednak ich nie wskazywał. Trzymał tylko ulotkę. I leżał na otwartym albumie z malarstwem.

Jan zmrużył oczy. Album. Czy widział go na biurku następnego ranka, gdy Schliemann kazał mu sprawdzać, czy nic nie zginęło? Wtedy skoncentrował się na braku sygnetu rodowego i papeterii Orzelskiego, a także na zniknięciu sfabrykowanego przez siebie opakowania. Ale teraz miał pewność, że w poniedziałek rano blat był pusty.

Przystanął i się rozejrzał. Nie zauważył, że wyszedł za mury i przemierzał nowe dzielnice. Nie wiedział nawet, gdzie się znajduje. Zatrzymał dorożkę i kazał się zawieźć do Bazaru.

Spojrzał na zegarek. Minęła pierwsza, więc goście hotelowi będą zapewne na obiedzie.

Ponownie wszedł do pokoju Orzelskiego. Jego rzeczy zdawały się nietknięte – walizki, porozkładane ubrania, książki, skrzyneczka z cygarami. Wszystko było tak, jak pamiętał. Album zniknął.

Wychodząc, Jan spojrzał na stół i zauważył, że spod gazety wystaje kolba rewolweru Bernarda. Zdziwił się, że policjanci go nie zabrali, ale najwyraźniej broń interesowała ich tylko, jeśli była narzędziem zbrodni. Sięgnął po rewolwer – był nienaładowany, ale Mateusz miał identyczny, więc w razie potrzeby naboje się

znajdą.

Morawski schował broń do kieszeni i wyszedł. Pamiętał, jak tym albumem zachwycał się Marek. „Trzy bardzo cielesne nagie panie” – stwierdził wtedy młodszy Małecki. I zapewne miałyby coś do powiedzenia o aktualnym miejscu pobytu albumu.

Jan zbiegł do swego apartamentu. Na krześle naprzeciwko drzwi siedział Mateusz.

– Szukam Marka – oświadczył Morawski.

– Zniknął. A raczej uciekł.

Jan nagle poczuł zmęczenie. Opadł na krzesło.

– Zabrał... ukradł neseser z pana pieniędzmi – dodał kamerdyner.

Jan w pierwszej chwili nie zareagował. W ostatnich dniach tyle razy przerzucał rozmaite banknoty z jednej skrytki do drugiej, że zapomniał o swoich pieniądzach, tych bardzo prawdziwych.

– Spróbuję go odszukać. – Mateusz wstał. – Czekałem tu tylko po to, by o tym panu powiedzieć.

– Ale tam nie było moich pieniędzy. Zdeponowałem je w hotelowym sejfie, bo zaczęło mi brakować miejsc do chowania.

– To co było w neseserze?

– Fałszywki ze starych spraw... i książeczka bankowa Terleckiej.

– I tak go dopadnę... – Mateusz złapał kurtkę i wybiegł.

– I książeczka bankowa Terleckiej – powtórzył Jan. – Nie wiedziałem, co z nią zrobić, i Marek rozwiązał mi problem.

Morawski poszedł na poddasze, do pokoiku, który pierwszej nocy po przyjeździe do Poznania zajmował Mateusz, a w którym potem zainstalował się Marek. Na podłodze leżało kilka części garderoby, walały się torby z delikatesów i puste butelki, z popielniczki wysypywał się popiół przemieszany z niedopałkami, na łóżku kłębiły się pościel, bielizna i gazety. Jan przez chwilę przeglądał to kotłowisko, aż wreszcie przyklęknął na drewnianej podłodze, zajrzał pod łóżko i wypatrzył tam grubą książkę. Wyciągnął ją. *Dzieje malarstwa*. Usiadł na rozgrzebanym posłaniu

i zaczął wertować album. Znalazł kilka aktów, ale tylko na jednym widniały trzy kobiety: *Trzy Gracje* Rubensa. Rubens, czyli Artur.

Morawski wziął album i pobiegł do siebie. Usiadł przy stole, oparł łokcie na blacie i ukrył twarz w dłoniach.

Rubens, czyli Artur Boratyński. Czy pasował?

Nadawał się na kilkunastoletniego posłańca, a jego alibi – pobyt w ciemni Atelier Rubens – było bezwartościowe.

Z łatwością zdołałby zwabić Ignasia na podwórze i tam poczęstować go zaprawioną narkotykiem czekoladą.

Pasował do rysopisu człowieka kręcącego się przed pokojem Orzelskiego w noc trzeciego morderstwa.

Fascynował się fotografią. Może nie miał talentu do fotografii artystycznej, ale zmysł artystyczny nie jest potrzebny do robienia zdjęć banknotów. Potrzebna jest wprawa i dokładność.

Studiował w Berlinie i w Monachium, mógł gdzieś tam zetknąć się z Krausem i nawiązać z nim współpracę.

Mógł w środę spotkać się z Krausem u Żychlińskiego. Najpierw twierdził, że był tam w tym samym czasie co Bernard, ale w niedzielę wyznał, że to Orzelski go poprosił o potwierdzenie, iż byli razem. Dopiero teraz Jan przypomniał sobie, że gdy w piątek pytał o ten środowy wieczór, najpierw odezwał się Artur, nie Bernard. Wprawdzie Bernard mógł wcześniej prosić Artura o alibi, ale jeśli w niedzielę Artur już planował morderstwo Orzelskiego, mógł zrzucić na niego wszystko. Pozostawało pytanie, czy Orzelski był współnikiem w fałszowaniu, czy Boratyński tylko go tym obciążył. Tak jak śmiercią Bernarda próbował obciążyć Jana.

Morawski popatrzył na album i uświadomił sobie coś jeszcze, coś, co ostatecznie potwierdzało, że Artur Boratyński był tamtej nocy w pokoju umierającego lub martwego już Orzelskiego: poprzedniego dnia w czasie balu, gdy mameczka tak radykalnie stwierdziła, że oni, Terleccy, nie mieli nic wspólnego z fałszerzem Orzelskim, Artur mruknął, że Bernard tą ulotką właściwie oskarżył jej męża. A Morawski był pewien, że nie podano do publicznej wiadomości informacji

o ulotce w dłoni martwego Orzelskiego.

Najbardziej zaś pasował do Artura sam sposób dokonywania morderstw: na odległość, bez brudzenia sobie rączek, bez patrzenia na umierające ofiary. Bomba i trucizna.

Morawski westchnął. Czy to odkrycie go dziwiło? Nie bardzo. Przecież od początku widział chwiejność i wygodnictwo Artura, jego roszczenia i pretensje. Tacy ludzie zwykle idą na skróty, byle zdobyć jak najwięcej jak najmniejszym wysiłkiem. Może nawet brał udział w spisku ze Schliemannem, bo przecież Jan go spotkał, jak się wynurzał z piwnic. *Pecunia non olet*, nieważne, z czyjej kieszeni. Zwłaszcza że w galaretowatym charakterze Boratyńskiego pragnienie pieniędzy było bodaj jedynym stałym punktem.

Tak, teraz, gdy Janowi nie zasłaniała widoku osoba Izabeli, widział zbrodnie jej brata.

Morawski wyrwał kartkę z albumu, potem wstał i z szafki Mateusza wyjął naboje. Przy okazji zauważył brak rewolweru kamerdynera. Nie miał czasu tym się zajmować. Włożył płaszcz, wziął kapelusz i wyszedł.

Błyskawicznie dotarł do kamienicy Izabeli. Wystarczyła minutowa rozmowa ze stróżem, by ustalić, że pani Teresa w towarzystwie Marcjanny odprawia płacze w farze, a w domu jest panicz Artur. Jan podziękował monetą i ruszył do góry. Gdy stanął przed drzwiami, usłyszał czyjeś kroki na schodach. Wyjrzał przez balustradę: Mateusz.

Zszedł na półpiętro i w dwóch zdaniach zrelacjonował swoje odkrycie. Razem wspięli się na piętro, a Morawski wyjął z kieszeni wytrychy i delikatnie otworzył drzwi.

Weszli. Jan prowadził, Mateusz szedł za nim. Drzwi do saloniku były uchylone i Morawski popchnął je palcem. Zobaczył siedzącego przy stole Artura. Leżała przed nim kartka, a on stukał w nią ołówkiem. Na skraju blatu stała długa, płaska skrzyneczka, a z niej wysypywały się banknoty, pokrywając cały prawie stół.

Skrzypnęła podłoga i Artur podskoczył:

– Czego chcecie?

Morawski podszedł bliżej i pomachał małą karteczką.

– Przynieśliśmy ci zgubę. To chyba kod, który ukradł ci Krause.

– Oddaj mi to – warknął Boratyński i wyciągnął dłoń.

Jan odsunął rękę z kartką, a wtedy Artur wyjął z kieszeni minibrowninga. Trzęsącą się dłonią mierzył w Morawskiego jego własną bronią. Kątem oka Jan dostrzegł ruch ręki Mateusza i w dłoni kamerdynera pojawił się rewolwer. Ogarnięty paniką Boratyński strzelił do Mateusza. Jan wyciągnął broń Orzelskiego i również pociągnął za spust.

Artur opadł na krzesło i zsunął się na podłogę.

ROZDZIAŁ 38

Jan przyklęknął przy leżącym Arturze. Plama krwi na białej koszuli szybko się powiększała. Obok przykucnął Mateusz i rozwiązywał krawat Boratyńskiego, by dostać się do rany.

Morawski wstał i podszedł do stołu. Podniósł jeden z banknotów. To była niebieska setka obecnej edycji z roku 1898, ale z pieczęcią różową zamiast czerwonej: albo fałszerz błędnie dobrał tusz, albo kolor zbladł z powodu słabej jakości barwnika. Banknot przypominał ten, którym Bernard Orzelski próbował zapłacić rachunek w winiarni.

Zajrzał do skrzynki. Pod banknotami znalazł *In it, by H.C. Whitley, late chief of the Secret Service division of the United States Treasury*⁸⁰. Była to taka sama – lub ta sama – książka jak ta wysłana przez niego kilka miesięcy wcześniej Oskarowi razem z tą drugą, która trafiła do neseseru Orzelskiego i gabinetu Schliemanna. Pod spodem leżały trzy kartki wyrwane z kieszonkowego notesu, ze stronami oznaczonymi numerami od 43 do 48 – pozostałości po próbie wmanipulowania go w morderstwo, być może do wykorzystania w przyszłości.

Rozejrzał się po pokoju. Odkrycie głównego fałszerza to był dopiero początek. Pozostawało znalezienie warsztatu i ustalenie, czy Artur miał oprócz Krausego innych współników.

– On miał pana pistolet – odezwał się Mateusz.

– Co z nim?

– Nieprzytomny. Krew się leje strumieniem. Próbuję to zatamować, ale moim zdaniem on patrzy na księżą oborę.

Jan podszedł do biurka. Było zarzucone rysunkami postaci w staroświeckich strojach. Izabela najwyraźniej rozpoczęła prace nad albumem. Niektóre z rysunków wykonała w różnych wersjach – czarno-białe lub kolorowe, na kartonie białym lub

kremowym, także na cieniutkim papierze; zapewne razem z wydawcą dobierali najlepszą technikę. Morawski sięgnął pod marynarkę i dotknął białej róży ukrytej w kieszeni na sercu.

Pod każdym rysunkiem widniał jej podpis. Chciał musnąć te linie na jednej z przejrzystych kartek, ale papier był idealnie gładki; dopiero po chwili zorientował się, że rysunek wykonano od spodu. Bardzo mu się podobało jej pismo.

Obrócił tę kartkę raz, drugi, trzeci.

Odłożył rysunek i sięgnął po stos małych karteczek. Były to owe listy dam, z których wyśmiewał się Artur: „Kochana Izabelo, zechciej wspomnieć o mnie w swej relacji. Na najbliższym balu wystąpię w szmaragdowej sukni z jedwabnej tafty...”. Przejrzał te karteluszki – wszystkie zawierały tę samą prośbę: uczynić sławną mnie i mą suknię.

Widok tych liścików przypomniał mu wiadomość od Schliemanna dla Oskara, którą odebrał z poczty w miniony czwartek. Gdy potem radca urządził konfrontację z pocztowcem, Morawski czuł jakiś niepokój. Miał wtedy wrażenie, że coś mu umknęło. Teraz to uczucie wróciło. „Gazety też pan nie przeczytał dokładnie” – powiedział Schliemann, a Steiner odparł: „Nie zwróciłem uwagi na datę”.

– Czwartek – powiedział Jan na głos. – Co ona mówiła? Że codziennie kupuje „Dziennik Poznański”?

– Jaka ona?

– Pani swatka. Teresa.

Nowa myśl powstała w jego głowie i chciał ją potwierdzić. Przeszedł do pokoju pani Żdzarskiej. Wziął z regału teczkę, otworzył ją i wyjął czwartkowy numer „Dziennika”. Raport pogodowy brzmiał: „Wczoraj z rana śnieg zaczął padać w Hamburgu, Bremie, w południe w Kolonii i Hanowerze”. Sięgnął po gazetę piątkową i przeczytał: „Wczoraj tuż po północy zaczęło padać w Berlinie i Poczdamie, przed świtem w Dreźnie. W południe we Wrocławiu”.

– Dobry Boże! – zawołał Mateusz. – Co to jest?

Jan podniósł na niego wzrok. Kamerdyner wpatrywał się w obraz Czarnej Madonny w otoczeniu pochwał astrologii.

– To obraz, który przemówił do pani Teresy i dlatego go kupiła – wyjaśnił Morawski. W takich sytuacjach przejmował kontrolę nad pamięcią. Ze wszystkich szufladek tego magazynu wydobywał słowa, plotki, kłamstwa i fakty; segregował je, układał, odrzucał. – A ona... Izabela... mówiła coś innego: że ten obraz należał od lat do ich rodziny.

Sięgnął do kieszeni po karteczkę ukradzioną Krausemu. Razem z nią wysunęła się kartka wydarta z albumu i spadła na podłogę. Jan schylił się, by ją podnieść, i zobaczył niewielki obraz Czarnej Madonny. Zamrugął zdumiony i obrócił kartkę. Na drugiej stronie widniały *Trzy Gracje* Rubensa. Nie zauważył tego, wrywając kartkę z albumu i składając ją.

Mateusz tymczasem postanowił rozwikłać wątpliwość i sprawdzić pochodzenie obrazu. Zdjął go ze ściany i spojrzał na tył ramy. U dołu przybito blaszkę z napisem: „nam. dla wielm. Anzelma Boratyńskiego, A.D. 1822”. Dalej widniał znaczek złożony ze skrzyżowanych elementów.

– Więc pani Teresa skłamała. Obraz namalowano specjalnie dla jej przodka.

Jan zbliżył się i spojrzał na tabliczkę.

– Zobacz! – Wskazał mały znaczek. – Cztery młotki.

– To nie są cztery młotki, tylko herb Klamry – oświadczył Mateusz, znawca heraldyki. – Dwie klamry oblężnicze tworzące krzyż świętego Andrzeja. I jeśli mnie pamięć nie myli, to używają go między innymi Boratyńscy.

Morawski pokręcił głową z ubolewaniem: podczas poprzednich śledztw policjanci twierdzili, że rysunki znajdowane z płytami przedstawiały cztery młotki, a on ślepo przyjął tę opinię. Może gdyby... Odepchnął od siebie tę myśl. Zostawił Mateusza opukującego ścianę, która wyłoniła się spod obrazu, wrócił do saloniku i podszedł do stołu, przy którym leżał Artur. Zaczął przekładać kartki, by znaleźć tę, nad którą dumał Boratyński, gdy weszli. Odsunął wszystkie banknoty i znalazł świstek. Przyłożył do niego kartkę, którą zabrał Krausemu. Konfiguracja liter była identyczna.

Na chwilę przymknął oczy. Prawdę odkrył już kilka minut temu, ale teraz zyskał ostateczne potwierdzenie. Przykucnął i dotknął szyi Artura.

– Mateuszu! – zawołał, a gdy kamerdyner ukazał się w drzwiach, polecił: – Wezwij lekarza.

– Nie wyliże się z tego. Czy nie lepiej byłoby pozwolić mu... – Zakłopotany Mateusz przerwał. – To morderca.

– To nie on. Zadzwoń do doktora Chłapowskiego. Tu nie ma telefonu, ale gdzieś w okolicy musi być aparat. Choćby w Drukarni Wojciecha. To tu za rogiem.

Mateusz przez chwilę stał skonsternowany, po czym wybiegł z mieszkania. Jan sprawdził tymczasowy opatrunek i przykrył nieprzytomnego Artura kocem. Usiadł przy stole. Zegar melodyjnie zaśpiewał i Morawski spojrzął na jego wskazówki: kwadrans po drugiej. Przesunął wzrok niżej, na małą tarczę dzienną, i zauważył, że wskazówka zatrzymała się na dziewiętnastym, a był już dwudziesty lutego. Zbliżył się i otworzył wielkie przeszklone drzwi zegara. Pochylił się i odniósł wrażenie, że środek tej małej tarczy jest bardziej wypukły niż dużej. Wyjął z kieszeni nóż i wsunął ostrze pod tarczę. Zdjął ją i zobaczył pokrętło literowe. Podszedł do stołu po kartkę z kodem i wtedy popatrzył jeszcze raz na tarczę. Widok wyrytych na niej gwiazd i księżycy przypomniał mu astrologiczne sentencje. Wziął metalowy krążek i wrócił do pokoju pani Teresy.

– Gdzie ona to ukryła?

Zaczął czytać te mądrości, ale już po trzeciej złotej myśli sięgnął po kartkę i zanotował: „Będą znaki na słońcu i na księżycu, i na gwiazdach”. Wrócił do saloniku i usiadł przy stole. Sentencja składała się z czterdziestu znaków, zapis Krausego z trzydziestu, zatem kod liczyłby dziesięć, tak jak zazwyczaj w zamkach permutacyjnych. Z cytatu biblijnego Jan wykreślił litery z kartki Oskara, po czym pokrętłem wewnątrz zegara wybierał kolejno litery z otrzymanego ciągu. Po wybraniu ostatniej nastąpiło głuchoe kliknięcie.

Wyprostował się. Nie wiedział, czego się spodziewać. Popchnął tylną ścianę zegara, ale stawiała opór. Złapał więc za skrzynię i pociągnął. Potężny zegar popłynął w jego stronę, jakby nic nie ważył, i zgrabnie obrócił się na jednej ze swych tylnych nóg. W miejscu, gdzie stał poprzednio, widniała w podłodze czarna dziura.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Morawski wyjrzał do holu i zobaczył wracającego

Mateusza.

– Spodziewają się doktora w domu za pół godziny. Jak tylko wróci, natychmiast go tu skierują.

– Zamknij tymczasem drzwi na łańcuch.

Kamerdyner cofnął się, a Jan poszedł do kuchni. Założył łańcuch na tylne drzwi i zapalił dwie lampy naftowe.

Wrócił do saloniku, gdzie czekał już Mateusz, i oświetlił otwór. Zobaczył szczeble prowadzące pionowo w dół. Zszedł po nich, jedną ręką trzymając się drabiny, a w drugiej niosąc lampę. Ta kłopotliwa droga była krótka – po kilku szczeblach drabina zmieniała się w wąskie schody, podobne do tych, którymi Jan wspinał się do meliny hazardzistów.

Ruszył w dół. Przy najniższym stopniu znajdował się na ścianie biały przełącznik. Morawski przesunął go, a kiedy rozbłysło światło, rozejrzał się. Znajdował się w wysokim, bardzo wąskim pomieszczeniu, pozbawionym okien i wyłożonym korkiem. Na jednym końcu stało ogromne urządzenie, zajmujące prawie całą szerokość warsztatu. Na głównej płycie umocowano dwa bloki, a między nimi, jeden nad drugim, przykręcono dwa masywne stalowe walce. Dolny walec był połączony za pośrednictwem systemu kół zębatych z kołem gwiazdzistym – wielkim, ustawionym pionowo pięcioramiennym kołowrotem. Pomiędzy walcami biegła stalowa płyta, na której układano formę drukarską pokrytą farbą. Napis na tabliczce głosił, że jest to prasa firmy MM Kelton.

Środek warsztatu zajmowały dwa stoły i biurko, a pod ścianami stały szafy i regały. Na drugim końcu ulokowano stół z lampą, tam też było przejście do kolejnego pomieszczenia.

W tamtym kierunku poszedł Jan, a Mateusz przeglądał zawartość stołu.

W bocznym pokoiku urządzono ciemnię fotograficzną z całym arsenałem środków chemicznych, wśród których Jan wypatrył dwuchromian potasu i chlorek żelaza. W metalowej wiszącej szafce kryły się słoiczki ze strychniną, morfiną i atropiną. Wrócił do głównego pomieszczenia. Na stole przy wejściu do ciemni znalazł dwa aparaty fotograficzne i unowocześnioną kopioramę, jakiej nigdy

wcześniej nie widział.

– Tu jest wszystko – odezwał się Mateusz – tusze, farby, papiery, płyty stalowe, miedziane...

Morawski podszedł do krzesła. Na oparciu wisiała chłopięca ciemna kurtka, prymitywna i siermiężna, a pod nią czarne spodnie z szorstkiego materiału.

– Wiedziała, że przyjeżdżam – powiedział powoli – więc przebrała się za posłańca...

– Pani Teresa?

– Nie, Izabela.

Kamerdyner usiadł.

– Ale jej nie było.

– Była, była. Wyjechała z Berlina, gdy zaczął padać śnieg, czyli po północy. Nie w południe. Zdążyła więc dostarczyć bombę do pokoju Oskara. A gdy się okazało, że przeżyłem – ciągnął Morawski – znalazła tego chłopca, któremu dałem paczkę, i zabiła go, by mnie w to zrobić.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął perukę z krótkimi czarnymi włosami. Rzucił ją oniemiałemu Mateuszowi.

– Jestem pewien, że doktor Lubarsch stwierdziłby podobieństwo między wyrwanymi z niej włosami a tymi znalezionymi na szalu przykrywającym martwego Ignasia.

Usiadł przy biurku, wysunął szufladę i zaczął wyciągać z niej tekturowe teczki w różnych odcieniach niebieskiego.

– Co my tu mamy? Rachunki na *Madame* Isabelle Berthier z hoteli w Londynie, Paryżu, Monachium, ale żadnego z Berlina. Są za to czyste koperty z berlińskich hoteli i datownik z poczty berlińskiej. Paszport rosyjski wystawiony w lutym dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Pamiętasz, jak wtedy, w kwietniu, wybuchła ta sprawa z fałszywkami? Przegrałem z nią tamtą rundę. – Potarł podbródek. Sięgnął po kolejną teczkę: – Korespondencja z Oskarem. Zaczyna się od grudnia dziewięćdziesiątego ósmego. Ostatni list na wierzchu: „Twój pomysł z wysłaniem do piarni spryciarza, by usunął ślady, był znakomity... i tak dalej... Nie sądziłem,

że sprawy narodowe mają dla ciebie znaczenie. Gdybym wiedział, nie przyjąłbym tej propozycji”. I tak oto dowiedzieliśmy się, dlaczego Oskar wyleciał w powietrze. Była patriotką. A co ty tam masz?

– Nowe projekty. Diapozytywy znaczków skarbowych. I *crème de la crème*⁸¹: gotowe płyty banknotu tysiącfrankowego. Sądząc po próbnym odbitkach, to byłaby rewelacja. Godna Mistrza. – Kamerdyner rozejrzał się dookoła. – Może nawet już je wydrukowała?

– A ja mam pełne zestawienie strojów z berlińskiego balu, przygotowane na podstawie zapowiedzi przysłanych przez damy. Śmialiśmy się z wysyłania tych detali, a ona je znakomicie wykorzystała do zapewnienia sobie alibi. Na podstawie podanych szczegółów przygotowała sprawozdanie, a potem wystarczyło, że poszła na pierwszą godzinę balu, sprawdziła, czy nic się nie zmieniło, i już o dwunastej, najpóźniej o pierwszej nad ranem w czwartek mogła wsiąść do pociągu. A wtedy zaczął padać śnieg. Sama powiedziała: „Gdy wyjeżdżałam, zaczął padać śnieg”. Gdyby faktycznie wróciła do Poznania, tak jak twierdziła, czyli pod wieczór, tuż przed czwartkowym bale, śnieg musiałby zacząć padać w Berlinie około południa. Nie przeczytałem dokładnie gazety, nie zwróciłem uwagi na datę.

– W ten sposób pan to odkrył? – spytał Mateusz, podnosząc stojącą pod ścianą walizeczkę.

– W ten sposób zweryfikowałem jej alibi. A prawdę odkryłem, oglądając jej prace, teraz, tu na górze. Niektóre są narysowane i podpisane na spodniej stronie, a to znaczy, że posługiwała się pismem lustrzanym, co jest podstawową umiejętnością każdego rytownika. – Przyglądał się, jak przyjaciel kładzie neseser na stole. – Wtedy przypomniało mi się, że w niedzielę, gdy staliśmy przed Francuskim, ona napisała „Obiad” na zaszronionej szybie sali zebrań. Nie patrzyłem na to słowo, słyszałem tylko, jak czytała litery. Ale musiała napisać je właśnie pismem odwrotnym, skoro wszyscy wewnątrz bez trudu to odczytali. Miałem więc szansę rozgryźć to już w niedzielę.

Kamerdyner otworzył walizeczkę, ale okazała się pusta.

– Liczyłem – mruknął – że będą tu te fałszywe setki. Albo franki. – Spojrzał na zegarek. – Doktor Chłapowski!

Jan skinął głową. I tak chciał stamtąd wyjść, bo coraz trudniej przychodziło mu udawać opanowanie. Wstał, ale zajął jeszcze do ostatniej teczki i znalazł w niej szczegółowy raport na temat zarobków Henryka Terleckiego, wydatków jego żony i dokonanej przedpłaty na kamienicę. Czyżby Izabela dowiedziała się od Oskara, że zamierza on przy pomocy Terleckiego podrzucić fałszywki do skarbca Banku Przemysłowców, i zawiadomiła władze Związku Spółek?

Pod tą ostatnią teczką leżał zamknięty na kluczyk skórzany futerał wielkości książki. Po sekundowym wahaniu Morawski sięgnął po pusty neseser i włożył do niego wszystkie teczki razem ze skórzanym etui. Tak obciążony ruszył w stronę schodów, gdzie niecierpliwiał się już Mateusz. Przy wyłączniku światła wisiała wąska półeczka. Pomiędzy wieloma drobiazgami Jan znalazł pęk małych kluczyków, dokładnie takich jak ten odkryty na szafie w pokoju Bernarda. Podniósł je i zadzwonił nimi.

– No tak – stwierdził kamerdyner – skoro zabiła i Krausego, i chłopca, to zapewne zabiła też pana Orzelskiego.

– Przypuszczam, że tak, choć nie rozumiem dlaczego. Może współpracowali? A może on ją rozgryzł? Pewne jest, że miała okazję.

– Miała? Ale jak weszła? I kiedy?

Morawski zgasił światło i zaczęli się wspinać po schodach.

– Jak? Tak jak my wchodziliśmy przez cały czas, czyli starą bramą. A kiedy? – Przystanął na chwilę. – Myślę, że w niedzielę przed dziesiątą wieczorem, bo widziała ją Cecylia, rozmawiały nawet. Cecylia mi o tym wspomniała, ale nie zwróciłem na jej słowa uwagi. A powinienem był, bo skoro Izabela zaproponowała Cecylii pomoc w sprzedaży szkatułki, to musiała ją obejrzeć. A szkatułka była gotowa dopiero tamtego popołudnia. – Weszli po drabinie i przesunęli zegar. – Orzelski jadał bardzo późno, w ostatni wieczór swego życia poszedł zapewne na obiad, a jego pokój był pusty. Pozostali wyszli na bal. Idealna pora na podrzucenie trucizny i paczki z obciążającymi dowodami. Ale Walewscy opuścili Bazar później niż zwykle i Izabela wpadła na Cecylię. Gdyby trafiła na kogokolwiek innego, musiałyby zmienić plan. Ale Cecylii do głowy nie przyszło, by się zainteresować,

dlatego Izabela zjawiała się w nocy w hotelu.

– Ale dlaczego zabiła Orzelskiego?

Z podłogi dobiegł charkot.

– Banknot. Miał banknot.

Przyklęknęli koło Artura. W jego białej jak płótno twarzy lśniły oczy.

– Zabrałem jej... oddałem... dług.

– Ukradłeś Izabeli tę nieudaną setkę z różową pieczęcią i spłaciłeś dług Bernardowi – podsunął Morawski.

Artur mrugnął oczami.

– A potem Maks powtórzył ci scenkę z winiarni.

Boratyński potwierdził.

– I poszedłeś w nocy do hotelu. Po ten banknot. To ciebie widziano.

– Umierał.

– Oto odpowiedź na twoje pytanie, Mateuszu. Ona też zapewne usłyszała, że Orzelski próbował płacić fałszywką z różową pieczęcią, i postanowiła go usunąć, bo wiedział, że dostał tę setkę od Artura. A Artur wiedział, komu ją zabrał.

Kamerdyner podniósł z podłogi minibrowninga Jana i spytał:

– Ale skąd tu się wziął pana pistolet?

– Pewnie wzięła go z mojej sypialni, gdy się tam ukryła w czasie napaści Orzelskiego.

Rozległo się stukanie do drzwi i Mateusz się poderwał. Jan zwrócił się do Boratyńskiego:

– Ostatnie pytanie: w tym musi być ktoś jeszcze. Ktoś prócz niej. Kto?

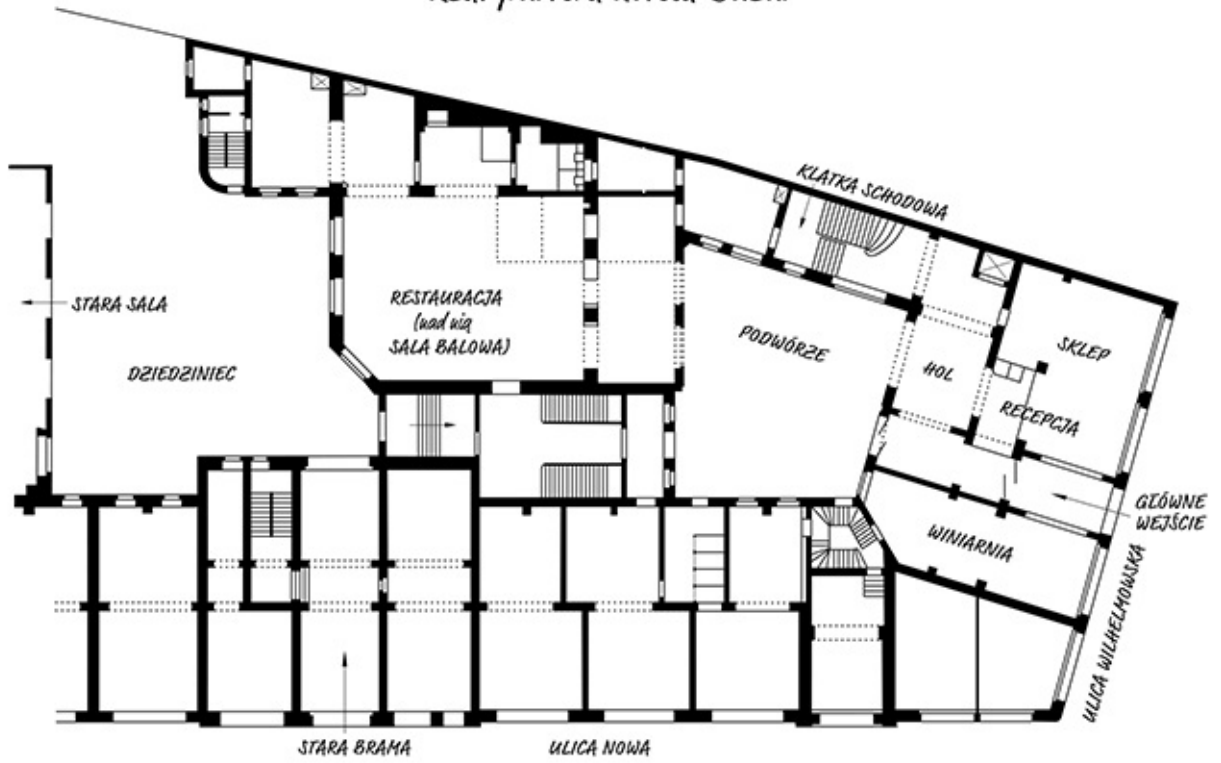
Artur wyszczerzył w uśmiechu zakrwawione zęby.

⁸⁰ *In it, by H.C. Whitley...* – W tym. Napisane przez H.C. Whitleya, byłego szefa Tajnych Służb w Departamencie Skarbu Stanów Zjednoczonych.

⁸¹ *Crème de la crème* (fr.) – coś najlepszego (dosł. śmietanka śmietanki).

DODATKI

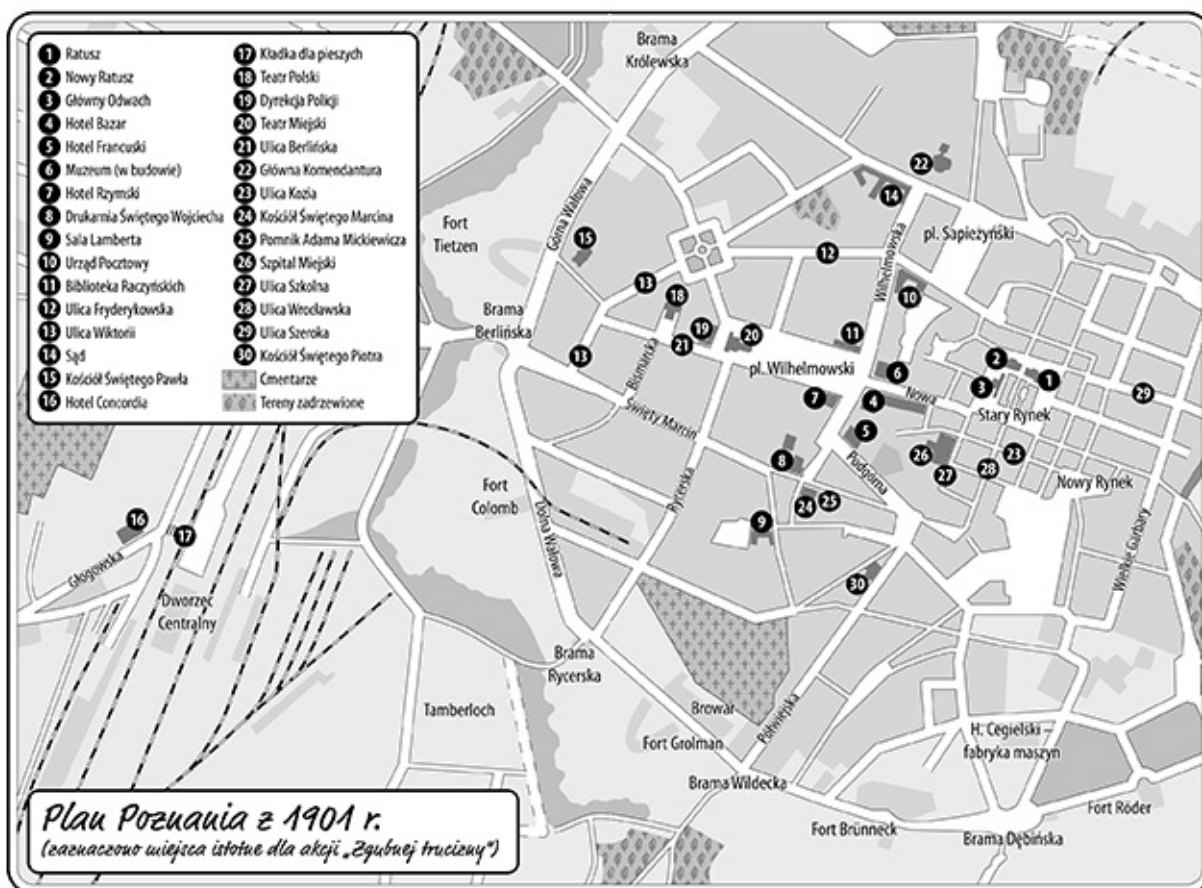
Rzut parteru hotelu Bazar



WYKAZ POZNAŃSKICH ULIC I PLACÓW, KTÓRYCH NAZWY ULEGŁY ZMIANIE

- ulica Berlińska – obecnie ulica 27 Grudnia
- ulica Bismarcka – obecnie ulica Kazimierza Kantaka
- ulica Butelska – obecnie ulica Woźna
- ulica Cesarzowej Augusty Wiktorii – obecnie ulica Grunwaldzka
- ulica Fryderykowska – obecnie ulica 23 Lutego
- ulica Jezuicka – obecnie ulica Świątosławska
- ulica Karola – obecnie ulica Juliusza Słowackiego
- plac Królewski – obecnie plac Cyryła Ratajskiego
- ulica Lipowa – obecnie ulica Feliksa Nowowiejskiego, między pl. Wolności a ul. 23 Lutego
- ulica Moltkego – obecnie ulica Stanisława Staszica
- ulica Naumanna – obecnie ulica Działyńskich
- ulica Nowa – obecnie ulica Ignacego Paderewskiego
- ulica Nowoogrodowa – obecnie ulica Jana Matejki
- Nowy Rynek – obecnie plac Kolegiacki
- ulica Rycerska – obecnie ulica Franciszka Ratajczaka
- plac Sapieżyński – obecnie plac Wielkopolski
- ulica Szeroka – obecnie ulica Wielka
- ulica Świętego Pawła – obecnie ulica Aleksandra Fredry
- ulica Świętego Piotra – obecnie ulica Bolesława Kryświczka
- ulica Teatralna – obecnie ulica 3 Maja
- ulica Wielka Berlińska – obecnie ulica Jana Henryka Dąbrowskiego
- ulica Wiktorii – obecnie ulice Gwarna i Seweryna Mielżyńskiego
- ulica Wilhelmowska – obecnie Aleje Karola Marcinkowskiego

plac Wilhelmowski – obecnie plac Wolności



Projekt okładki
Monika Klimowska

Fotografia na pierwszej stronie okładki

© Logan Zillmer / Trevillion Images

Rysunki

Rzut parteru hotelu Bazar na podstawie rysunku A. Mieczkowskiego ze zbiorów
Archiwum Państwowego w Poznaniu wykonał Jan Szczurek

Plan Poznania z 1901 r. na podstawie *Plan der Stadt Posen* autorstwa E. Everta i A.
Hinza wykonała Anna Styrska-Mróż

Opieka redakcyjna
Anna Rucińska-Barnaś
Anna Szulczyńska
Weronika Jakubczyk

Adiustacja
Anna Szulczyńska

Korekta
Katarzyna Onderka
Beata Trebel-Bednarz

Copyright © by Katarzyna Kwiatkowska
Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4559-4

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

